

LUCA DI FULVIO

DRABINA DIONIZOSA

*Dla Carli, która jest tym, kim chciałbym być, i bez której nie byłbym tym, kim dzisiaj jestem...
...i dla mojego ojca oraz syna Luki, którzy są moją najpiękniejszą przeszłością i najpiękniejszą przyszłością.*

..Gdy chce mieć dzieci, niech będą potworne,
Niechaj przed czasem ujrzą światło dzienne,
Niech na ich widok szpetny, niezwykajny,
Wszystkie nadzieje matki uschną w pączku...

WILLIAM SHAKESPEARE „Król Ryszard III”, akt I, scena II

Dioniz nie mniejszy od żadnego z bogów!

EURYPIDES „Bakchantki”, epejsodion III



PROLOG

I

Morderca wiedział, co to ból. Ponieważ w bólu się zrodził. On sam był bólem. I nie było udreki, której nie zdołałby pokochać. Ponieważ jego ból był dobry. Ponieważ teraz ból jego nędznego ciała stał się jednocześnie jego triumfem i świętem, środkiem wybranym przez los, by dać mu drugie życie. Życie w chwale.

Nikt się z niego nie będzie już śmiał. Już nigdy. Mógł pełnymi garściami wybierać z ciał innych udrekę, którą oni wcześniej wydarli z jego ciała i duszy. Teraz upajali się swoją zemstą. I swoją siłą. I strachem, który oni czuli.

Bóg mu na to zezwolił. I dla boga to robi.

Ponieważ ból go wypełnił. I wysuszył.

Nie był człowiekiem. Nigdy nim nie był. Był płodem.

Pewnego zamierzchłego wieczoru, szesnaście lat temu, narodził się płód, który w nim odnalazł swój byt. Był pulsujący nienawiścią, chęcią zemsty, strachem. I miłością. Całkowicie poświęcony bogu.

Teraz miał siłę. I powód.

I przeznaczenie do wypełnienia.

Ponieważ po szesnastu latach - powiedział mu bóg - nadeszła ta chwila. Bóg pokazał mu, kim jest. Ponieważ opowiedział historię, która była jego własną rozkoszą i jego własną największą żądzą. Ponieważ w historii boga znalazła się również jego mała część.

Bóg dał mu pana.

Pan dał mu siłę.

A do tej siły bóg dodał powód.

- Teraz - powiedział mu bóg i zniknął w ciemnościach nocy. Był to bóg ubrany jak człowiek.

Juffridi usłyszał zajadłe szczekanie psa, a po chwili pukanie do drzwi. Była noc. Chwytał nóż, który trzymał zawsze za pasem, postawił lampkę oliwną przy drzwiach, otworzył je, cofając się o krok, i wycelował ostry szpikulec w kierunku wejścia.

Ale zaraz opuścił broń i zaśmiał się.

- A, to ty... *skarado* - powiedział. Spojrzał na jego ręce i jeszcze głośniejszym śmiechem.

Baleś się, że zmarzniesz?

Ogromna dłoń, okryta czarną, skórzaną rękawicą, chwyciła go za gardło. Potem zaczęła ciągnąć na zewnątrz, w kierunku pieńka, na którym Juffridi rąbał drewno i ucinał kurom głowy.

Pies nie przestawał szczekać.

Juffridi wbił palce obu rąk w dłonie ściskające go za gardło, na próżno próbując rozluźnić uchwyt. Charczał i wierzgał nogami. W końcu wymierzył z całych sił kopniaka w miejsce, o którym wiedział, że będzie bolało. Usłyszał cichy jęk. Kopnął po raz drugi i kolejny. Kopał w desperacji w najczulsze miejsce *skarady*, jakie znał, wiedząc, że na pewno zada mu ból. Ale nie był w stanie przeciwstawić się takiej sile. Może kiedyś, gdy był młody. Ale nie teraz, w wieku sześćdziesięciu lat.

Wargi mordercy krwawiły. Nie oddychał. Brak mu było tchu i charczał krwią. Morderca zaczął się bać, że się udusi. Skronie mu pulsowały. Nie czuł rąk. Ani nóg. Nawet z powiek spływała mu krew, która paliła w oczy.

Juffridi wiedział, gdzie ugodzić.

Kiedy się urodził, wszyscy się z niego śmiali. Z mordercy. Wiedział o tym. Rósł, a oni nie przestawali się z niego śmiać. Także Juffridi się śmiał. Tylko bóg i pan nigdy się z niego nie śmiali.

- Teraz - wyszeptał morderca, z trudem poruszając rozciętymi wargami.

Nie był człowiekiem. Był bestią.

Pchnięty z wielką siłą Juffridi opadł plecami na pieńek. Zapach zgniłej krwi i suchego drewna dotarł do jego nozdrzy. Cały czas przytrzymywała go jedna dłoń. Druga chwyciła topór, którym Juffridi odrąbywał kurze głowy.

Zobaczył, jak ostrze unosi się w górze i zaczyna opadać w dół, celując w środek jego klatki piersiowej. Dopiero po chwili rozległ się trzask rozłupanego na pół mostka. I nadszedł ból, gorący, przeszywający. Oczy zaszyły Juffridiemu mgłą. I przez mgłę ujrzał mordercę wyciągającego zza paska punktak, używany zazwyczaj przez rzeźników do przygważdżania dużych kawałków mięsa do drewnianych blatów. Z niebywałą siłą narzędzie wbiło się w jego bark, przeszło przez ciało, rozłupało kość, przecięło ścięgna i werżnęło się w środek pieńka. Nadal jeszcze nie dotknęło gardła.

Juffridi był teraz wielkim kawałkiem mięsa, rozpiętym na drewnianym blacie. A rzeźnik dwoma szybkimi cięciami rozłupał do końca mostek i odciął obojczyki. Potem zajął się

brzuchem, który przeciął, dochodząc aż do pachwin.

Kiedy morderca z siłą oparł dłonie w rękawiczkach na obu końcach rozłupanego mostka, Juffridi usłyszał chrzęst łamanych żeber i w końcu zemdłał.

Serce wciąż jeszcze biło. Z poskręcanych płuc uszło nagle powietrze, a przecinające je żebra wydobyły z nich śmieszny świst. Morderca podniósł skórzany worek, który bóg kazał mu napęlić pożywieniem dla swych bestii, ściągnął rękawiczkę i zanurzył szpony w ciele Juffridiego.

Zaczął od góry i najpierw wydobył żołądek. Szarpnął z całej siły i ofgan wyszedł razem z jelitem przypominającym obwisły, śliski sznur, który zdawał się nie mieć końca i który z trudem udało mu się wcisnąć do worka. Potem wyciągnął wątrobę, która się rozerwała, tak że morderca musiał mocować się z poszarpanymi strzępami, bo nie chciały oderwać się od reszty ciała. Dopiero kiedy uporał się z wątrobą i włożył ją także do skózanego worka, zauważył, że serce Juffridiego przestało bić. Wtedy nadszedł czas na nerki, trzustkę, pęcherzyk żółciowy i śledzionę. Na koniec wyjął płuca i serce.

To nie on chciał tego wszystkiego. To bóg się tego domagał.

Morderca odwrócił się i wszedł do baraku Juffridiego. Porozrzucał wszystko, szukając tego, co należało do boga.

Poprzewracał spróchniałe meble, zaczął szukać na roboczych stołach i w szufladach, grzebał w narzędziach i w skrzyniach. Ale nie znalazł tego, czego szukał.

Wrócił więc do zwłok Juffridiego, aby wykonać ostatnie polecenie boga.

Ostrą brzytwą naciął mosznę pod samym penisem i precyzyjnie ją usunął. Odcięte jądro potoczyło się po ziemi. Drugie dyndało nagie przy martwym ciele.

Pies przestał szczekać.

Morderca wsunął mosznę do kieszonki kamizelki. Potem pociągnął za skórzany rzemień, zamykając worek z pobranymi organami. Zacisnął duży węzeł, zarzucił sakwę na plecy i zniknął w ciemnościach nocy.

II

Najpierw biegł aż do utraty tchu. Później szedł tak powoli, że zdawało mu się, iż stoi w miejscu. A im bardziej zwalniał kroku, tym bardziej uważał się za głupca niezdolnego nawet, by wyjść naprzeciw rozkoszy. Ale gdy znów zaczynał biec, zdawało mu się, że jest przerażonym szaleńcem, rzuconym na skraj przepaści. Jednak ani razu się nie zatrzymał, ponieważ kierowała

nim jednocześnie żądza i ból. Ból ciała i koszmar umysłu. Żądza umysłu i potrzeba ciała. Zupełnie jakby ból i potrzeba - czy koszmar i żądza - były przyczyną i skutkiem. Jak gdyby jedno wpływało z drugiego. Jednak tym właśnie jest człowiek w swym jestestwie: bólem i potrzebą, koszmarem i żądzą.

Ani jednej dorożki. Ani jednego wózka domokrażcy. Świat zdawał się pustynią zaludnioną tylko przez słabe i nieruchome cienie, wydzierane budynkom przez nieliczne latarnie naftowe. W tej części miasta nikt nie miał czasu, by przygotować się na to, co przyniesie jutro. Nikt nie czekał na wielkie wydarzenie.

Teraz, kilka kroków od ciemnego zaułka, gdzie po raz pierwszy przywiódł go ból - a następnie jego słaba wola - zaczął iść normalnie, znajdując równowagę między jednym rytmem, który wcześniej dodawał mu skrzydeł, a drugim, przygważdżającym go do chodnika niczym niepotrzebny balast. Szedł jak zwykły mieszkaniec tego miasta. Może urzędnik, wracający do domu. Może mąż, któremu nieśpieszno ujrzeć żonę. Może korepetytor, który w nogach odczuwa zmęczenie duszy. A może księgowy, który oszczędza na wszystkim, nawet na energii własnych mięśni. Albo porzucony narzeczoną, który oddycha nową, samotną wolnością, lub stary kawaler, który nie wie, z kim dzielić swe więzienie bez krat i kłódek.

Wyglądał na porządnego mieszczanina.

A jednak w jego rozedrganych i rozszerzonych źrenicach ciał się obieżyświat.

Decyzja została podjęta. I to, bardziej niż cokolwiek innego, wyznaczyło i narzuciło regularny rytm jego krokom - nie za wolny i nie za szybki, podobny krokom skazańca, który nie lęka się śmierci lub małżonka, który idzie do ołtarza bez wątpliwości i bez uniesienia. To był pewny marsz człowieka, który znajduje drogę nawet wśród zwodniczych cieni. Pogodny i niespieszny chód jucznego zwierzęcia, które wraca do zagrody.

Decyzja została podjęta. A bitwa przegrana.

Mężczyzna rozejrzał się wokół raz jeszcze, jakby szukał czegoś, co go zatrzyma. Jakby oczekiwał od losu ostatniego pretekstu, który by go odwiódł od postanowienia. Ale jego oczy, rozpalone potrzebą i przygaszone przegraną, nie dostrzegły nikogo - co jak zawsze wywołało w nim mieszane uczucie ulgi i rozpacz - w dzielnicy pozostawionej samej sobie, która poddała się występkom panującym tu niepodzielnie, wraz z nastaniem ciemności. Znajdował się w odległej części miasta, innej od pozostałych; nie było tu lśniących neonów ani świateł rozpraszających noc. To było biedne getto, pełne ciemnych okien. A nawet tam, gdzie tętniło życie - życie

zakazane - snopy światła, ostrza lamp i noże w nocy pojawiały się tylko na chwilę, rozjaśniając chodnik lub ulicę przez ten krótki moment, wystarczający, by otworzyć drzwi i wpuścić do środka bądź pożegnać klienta, wchłoniętego lub wyplutego przez nocne, krwawiące dymem rany, które szybko się zabiły. Światła nielegalne. Światła szybkie. Błyski, które zabijały i umierały w przeciągu sekundy.

Po prawej stronie znajdował się zaułek, w którego głębi rysowały się odrapane drzwi domu, odwiedzane przez mężczyznę od kilku miesięcy z przygniatającą punktualnością. Teraz wystarczyło przejść przez ulicę w kapeluszu nasuniętym na oczy - nikt by go nie zatrzymał. Ale część jego natury nie akceptowała tej kapitulacji, przeciwstawiała się pomysłowi, by wdepnąć w końskie łajno, które wiecznie zalegało w zaułku i tłumilo ostrożne kroki gości kierujących się ku odrapanym drzwiom.

Spazm ścisnął mu żołądek i rozszedł się po całym ciele. Mężczyzna zbladł, niespodziewanie odwrócił się i z obłędem w oczach pobiegł w kierunku parku, rozpinając po drodze guziki marynarki. W świetle naftowych latarni odbijała się wykonana z macicy perłowej kolba pistoletu wsuniętego za pasek spodni. Po kilku krokach zrobił nagły uskok w bok niczym trafione zwierzę i zwolnił, by oprzeć się o żelazne ogrodzenie, okalające park, próbując złapać oddech przez nadmiernie rozszerzone nozdrza i czując wciąż skurcz zaciskający mu krtań.

Mężczyzna stał teraz bez ruchu - z rozchyłoną marynarką, poruszaną przez lekki, cuchnący wiatr od miasta, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, daleko od broni - i wpatrywał się prowokacyjnie w ciemne niebo, walcząc z napiętymi mięśniami twarzy, aż w końcu udało mu się ułożyć je w szyderczy uśmiech. Poczul, że znalazł się centrum wszechświata pozbawionego sensu, zawieszony w czasie, który przestał płynąć. Już pogodzony z losem. Oczy zaszyły mu mgłą. Usta wypełnił cierpki smak żółci. Spazm przeszedł w coraz silniejsze drgawki, jakby cały chodnik drżał. Kiedy zebrał siły, by się odwrócić, zaułek zdawał się pozostawać w zasięgu wzroku i zmysłów. Mrugał porozumiewawczo w ciemności. Żywy. Mężczyzna dotknął ręką pistoletu i wyciągnął go; wycelował broń w kierunku uliczki i załadował. Nie był w stanie powiedzieć, ile czasu tak stał. A gdyby umiał, powiedziałby, że wystarczająco długo, by zdrętwiała mu ręka, ale nie dość długo, by wystrzelić, co może by nim wstrząsnęło. Później, gdy już rozładował pistolet, włożył go za pas i zapiał marynarkę, ramiona mu opadły i ten jeden ruch przemienił tak drastycznie jego wygląd, że ubranie wydało się zakurzone i pomięte. Nasunął głębiej kapelusz i zupełnie jakby przewidywał to od samego początku, przeszedł przez ulicę,

zanurzył się w ciemny zaułek i pozwolił, by jego kroki głucho zadudniły na kobiercu z łajna, prowadzącym do odrapanych drzwi.

- Kto tam? - spytał zachrypnięty głos ze środka, kiedy już, zgodnie z ustaleniami, mężczyzna zapukał szybko dwa, a po chwili trzy razy.

- Otwórz, Singapurze - powiedział przybysz, któremu nagle zaczęło się śpieszyć.

Drzwi się uchyliły i szybkie spojrzenie, bez najmniejszej emocji czy zaangażowania, zmierzyło gościa.

- Ach, to pan... - rozpoznał go właściciel lokalu, zaprosił klienta do środka i natychmiast zatrzasnął drzwi.

Mężczyznę owiał natychmiast gęsty, słodkawy, wonny dym, który od razu przyniósł mu odprężenie.

Przed nim wciąż stał Singapur, wysoki i chudy, skręcony niby wiotka łądyga rośliny, która zbyt szybko wyrosła. Miał zapadnięte, nieszczerze oczy i wąskie usta węża. Mimo to Singapur - jak zwali go stali bywalcy, którzy już nie pamiętali, czy to oni go tak ochrzcili, czy on sam wybrał sobie ten przydomek - miał w sobie coś z arystokraty, coś, co kazało go szanować i instynktownie kojarzyć jego oślizgłą postać bardziej z naukowcem niż z cwaniaczkiem. Może było tak z powodu książki, która zawsze wystawała z kieszeni jego zbyt szerokiej i obwisłej marynarki, może z powodu cytowanych fragmentów sztuk teatralnych, które mamrotał pod kaprawym nosem, może dlatego, że kiedy kłął, to czynił to zazwyczaj w niezrozumiałym, wschodnim języku, co dowodziło jego podróżniczej przeszłości, trawionej tym samym nałogiem, który sprzedawał swym klientom. A może ze względu na fajkę o długim bambusowym cybuchu i na ceramiczny tygielek z wizerunkiem pogańskiego bóstwa z egzotycznego Bliskiego Wschodu. Albo po prostu ze względu na obojętność i biegłość, z jaką prowadził dusze swych klientów poprzez oferowane przez siebie labirynty, pozwalając im w nie wkroczyć, ale nigdy się tam nie zagubić. Wyprowadzani przez niego na światło dzienne z najgorszych koszmarów i najsilniejszych oświeceń, nigdy nie mieli wrażenia, że są rybami złapanymi na wędkę. On po prostu umiejętnie chwycił niewidzialną nić, którą zawiesił, gdy oni wchodzili do swej ciemnej jamy.

- To znowu pan... - zwrócił się do mężczyzny ostrym tonem i skonsternowany potrząsnął głową. - Wierzyłem w pana... mogłem się założyć, że nigdy już pana nie zobaczę. Byłem pewien, że przynajmniej pan będzie miał siłę, by przestać... Wszyscy szukacie zapomnienia... - ciągnął

dalej doskonale modulowanym głosem, przeszytym głębokim ubolewaniem i żalem, prowadząc go do wspólnej sali - ...lecz znajdujecie je z pomocą pamięci ciała, a nie pamięci umysłu, prawda?

- Przestań tyle gadać i rób, co masz robić - powiedział mężczyzna. Singapur odwrócił się uśmiechnięty, jakby go w ogóle nie słyszał. Wszyscy tacy sami, pomyślał. Wchodzą jak wściekłe psy, a już po kilku minutach zmieniają się w owieczki gotowe na rzeź.

W takich chwilach mógłby zrobić z nimi, co mu się tylko podoba. Ale tym, co najbardziej podobało się Singapurowi, był fakt, że wracają.

Trącił nieuważnym kopniakiem chłopaka leżącego na ziemi, przesunął go i wskazał mężczyźnie miejsce pod kocem falującym od pluskiew.

- Igła czy fajka? - zapytał.

- Igła - odparł mężczyzna wyzutym z emocji głosem.

- Jasne, igła - powtórzył Singapur i odwrócił się. Depcząc po otepiałym tłumie zalegającym lokal dodał: - Czy mógłby pan tymczasem odsłonić rękę?

Mężczyzna zdjął marynarkę, zwinął ją i podłożył sobie pod głowę ze wzrokiem wlepionym w sufit zjedzony przez wilgoć i korniki, które za chwilę przestanie zauważać, i uszami obojętnymi na dobry tuzin stałych bywalców, co podobnie jak on - choć już na dalszym etapie podróży - niszczyli swe życie towarem oferowanym w lokalu.

Po chwili Singapur był już z powrotem. Ukłąkł przy mężczyźnie, położył na ziemi błyszczącą strzykawkę, zawierającą niemal przezroczystą, cenną, kleistą ciecz, i powiedział:

- Proszę wybaczyć tej biednej pustej głowie bez pamięci. Zapomniałem opaski. Pozwoli pan, że użyję pańskiego paska?

I nie czekając na odpowiedź, odpiął sprzączkę i wysunął pasek ze szlufek. Zacisnął go na odsłoniętym ramieniu i pogładził palcami ściśniętą żyłę, która zaczynała być dobrze widoczna. Następnie wziął do ręki strzykawkę i powoli, zerkając kątem oka na wynędzniałą i targaną żądzą twarz mężczyzny, wypuścił trochę powietrza z igły. Przymknął lekko powieki i wbił się w żyłę; patrzył, jak pierwsza kropla krwi zabarwia na różowawo ciecz, za którą mu zapłaca, i niczym wprawny kochanek wprowadził substancję do ciała mężczyzny.

- A to zostawi pan u mnie, prawda? - powiedział, chwytając pistolet za kolbę z macicy perłowej.

Podczas gdy najnowszy alkaloid opium - uzyskany kilka lat temu w drodze syntezy -

ekspłodował w jego ciele i wypełniał umysł kolorami, oślepiając jak lampa błyskowa u fotografa, mężczyzna próbował się nie poddawać. Ale po chwili powieki mu opadły i w momencie wyznaczającym granicę między światem, który opuszczał, a tym, któremu szedł naprzeciw, opierająca się ręka utraciła siłę i wolę walki. Poczuł, niczym z oddali, jak zimna lufa broni przesuwająca się po pachwinie i znika. Z trudem uniósł powieki, nie odczuwając prawdziwego zainteresowania tym, co się dzieje, i zobaczył, że Singapur oddala się niby cień. Podczas gdy rozkosz opanowywała całkowicie jego ciało, uśmiechnął się i ociężały zapadł w stan odrętwienia, w którym jego dusza, choć nadal odczuwała, zapominała, że istnieje. Mimo iż stan rzeczy nie uległ zmianie, nie miał już tego samego ciężaru ani znaczenia. Cały świat był niczym drabina, która nie prowadzi ani w górę, ani w dół. Jego życie - a przede wszystkim jego przeszłość - stały się nagle wyraźne i przejrzyste, pozbawione wszelkich trudów. Wspomnienia rozplływały się jedno w drugim. Ich kontury i kształty były zarazem jasne jak w dagerotypie i zimne, sterylne jak płytka, na której azotany wchodzą w reakcję, by stworzyć niesamowite obrazy. Tyle że ostrość wizji nie niosła ze sobą lęku ani podniecy, lecz mieszaną światła i cieni, układających się w świetlisty, geometryczny rebus, który nie wymaga rozwiązania.

Mężczyzna widział pojawiające się znikąd przeżyte niegdyś sytuacje, które jeszcze przed chwilą go dręczyły, oraz zjawy wypływające z moczarów jego podświadomości, które teraz już go nie przerażały. Wracał do publicznej ubikacji z białymi kafelkami, śmierdzącej stęchłym moczem, i wbijał nóż w brzuch kobiety. I po raz kolejny widział strugę krwi, tryskającą z rany. Rozdarty strzęp ciała w ubraniu, wykrzykujący nieme, gęste i czerwone słowa. I wiedział, że zaraz instynktownie się odwróci i skieruje wzrok na oświetloną przez lampy gazowe ścianę, która nie będzie już biała. Jak w posępnym lustrze rysował się obraz nabierający kształtów i rodzący się we krwi zalewającej kafelki. Obraz jego samego, mordercy.

Ale teraz nie było go, choć istniał. Płakał łzami niesionymi, niczym emocje bez przyprawy. W tej wodnej ciszy słyszał tylko tykanie zegara, rozlegające się tam, gdzie wibracje stały się mniej niż niczym. Na początku trudne do rozpoznania. Ale narkotyk już powoli wysuszał morze zapomnienia, które wyparowując, ustępowało miejsca świadomości i poczuciu minionych sekund oraz upływającego czasu. A im głośniejsze było tykanie, tym silniej mężczyzna zdawał sobie sprawę, że już niedługo powróci do równoległego, identycznego świata, który jednak broczy krwią, i tylko Singapur, niczym sztukmistrz, potrafi go ukryć, zatuszować. Zagłuszyć. Zegar wciąż tykał, przywracając mężczyźnie siebie samego.

I właśnie wtedy, gdy powoli wypływał na powierzchnię, do jego uszu zaczęły docierać dalekie odgłosy, które stopniowo stawały się coraz bliższe. W momencie gdy brzuch zamordowanej kobiety zaczął boleśnie krwawić, kontynuując przerwana przed chwilą dręczącą opowieść, mężczyzna z trudem otworzył oczy i ujrzał młyn rąk oraz pałek. Zacietrzewione mundury i ciała ciągnięte za włosy. Policjantów i narkomanów wymieszanych ze sobą jak potwór o niezliczonych mackach, który rozszarpuje własne ciało, szukając śmierci. Gdy próbował się podnieść i usiąść, zdawało mu się, że słyszy krzyk bardziej bestialski od pozostałych, ponury i ognisty huk. Odwrócił głowę w tamtym kierunku i dostrzegł krępego, niskiego człowieczka, trzymającego pistolet i strzelającego w bezładną ludzką masę. Mężczyzna zebrał siły, by się podnieść. Na chwiejnych nogach dotarł do szaleńca o rozszerzonych kokainą oczach i opadł na niego całym ciałem; sflaczałymi rękoma próbował dosięgnąć kolby broni. W chwilę potem poczuł, że ktoś chwytą go za kark. Kula wystrzelona z bliska przez policjanta zmroziła krępe ciało kokainisty.

- Stać... - mężczyzna próbował coś powiedzieć bełkotliwym głosem. - Jestem...

Pałka opadła z siłą i precyzją. Widział, że się zbliża, ale nie zdołał się uchylić. Poczul ból rozchodzący się po całym ciele; głowa zadyndała, jakby odłączono ją od korpusu. Ból był niemal bezosobowy, trudny do zdefiniowania, znieczulony przez narkotyki, który go jeszcze całkowicie nie opuścił.

Potem zapadła ciemność.

III

Mężczyzna spędził noc we wspólnej celi, ogłuszony od uderzenia w czoło, ciosu, po którym zemdlał, oraz od heroiny leniwie opuszczającej jego krew. Obudził się na chwilę przed świtem, w otoczeniu blisko tuzina dygocących więźniów, z oczami, które zaszyły krwią. Niektórzy przechadzali się nerwowo po wąskiej i cuchnącej celi; inni, leżąc na wznak na ziemi, tępo patrzyli w górę. Część z nich była porządnie ubrana. Medycy, pracownicy banku lub przedsiębiorcy. Wielu jednak było dość nędznie przyodzianych; może dlatego, że byli tylko zwykłymi nieudacznikami, dodatkowo pechowymi, gdyż stracili wszystko przez zniewalający narkotykowy nałóg. Kilku mamrotało imię kobiety - pewnie żony - powtarzając je obsesyjnie jak różaniec; chcieli najwidoczniej utrzymać przy życiu to, co najprawdopodobniej rozpadłoby się i tak po obławie; pozostali mieli zaciśnięte usta i dygotali w konwulsjach, jakby nie chcieli dzielić się z nikim swym przykrym doświadczeniem. Dwóch najmłodszych płakało, jeden na ramieniu

drugiego, nie znajdując pocieszenia. Inni trzymali dłoń na klatce piersiowej, na wysokości serca, jakby w przewidywaniu bolesnego klucia, które nie chciało jednak nadejść. Na twarzach i ubraniach wszystkich obecnych widać było ślady niedawnej walki.

Singapur stał w kącie celi oparty plecami o ścianę, z jedną nogą wrosła w podłogę i drugą zgiętą przy chropowatym murze, obsmarowanym wulgaryzmami przez zamknięte tu wcześniej osoby. Na czubku nosa miał przekrzywione okulary, a jego długie palce spokojnie kartkowały książkę, którą zawsze nosił w kieszeni. Był pochłonięty lekturą, zdawał się odprężony - jak podróżny czekający na swój pociąg. Tyle że na przeciętej prawej brwi widać było krew sącząca się spod przysychającego strupa.

Kiedy mężczyzna go zobaczył, przyłożył rękę do czoła. Także jego rana zaczynała się zasklepiać, choć wciąż była jeszcze wilgotna i lepka.

Singapur odwzajemnił spojrzenie i zachrypniętym głosem, który świadczył o tym, że przez całą noc nie zamienił z nikim ani słowa, zapytał:

- Jak się spało?

- Mój pistolet? - rzucił od razu mężczyzna.

Singapur chciał zmarszczyć czoło, ale rozcięta brew wywołała jęk bólu. Natychmiast się uspokoił, przywołał na twarz ironiczny uśmiech i wskazał palcem na bliżej nieokreślone miejsce za kratami, gdzie pewnie siedzieli strażnicy.

- U nich - odrzekł. - Hubner zmarł na miejscu - dodał po krótkiej chwili. Miał na myśli krępego kokainistę, który, jak pamiętał mężczyzna, strzelił w tłum. - Ale to był klient, na którego już raczej nie liczyłem. Jeszcze parę podróży i musiałbym go zawieźć na wysypisko ze zgruchotanym sercem. - Zakatarzony Singapur roześmiał się. - Oszczędził mi tylko wysiłku.

Mężczyzna podniósł się z posłania. Czuł, że pod lnianą koszulą, poplamioną krwią pchły urządziły sobie bankiet. Podeszedł do Singapura.

- Nie masz czegoś przy sobie? - usłyszał, jak jego ściszony głos zadaje pytanie.

Singapur udał zdziwienie. Potem wsunął rękę za pazuchę znoszonej marynarki i wyjął gumową kulkę, którą podał mężczyźnie, nie zwracając uwagi na pozostałych więźniów.

- Miałem dwie - powiedział. - Proszę żuć powoli, złagodzi trochę ból...

Mężczyzna spojrział na niego z wdzięcznością. Przejrzał się w oczach Singapura, których nigdy nie widział w świetle dnia, a które wydały mu się zimniejsze niż ślepie ptaka żywiącego się padliną i trupami. Zobaczył siebie odbitego w zwierciadle z tombaku. Zobaczył zamordowaną

kobietę, która osunęła się na ziemię z niemym pytaniem w oczach. Jej znoszony, męski kapelusz zsunął się z głowy, a włosy rozsypały się na brudnej podłodze ubikacji i ułożyły jak wyschnięte strumienie. Zobaczył - i poczuł - jak jego ręce wbijają się w wycięty przez nóż otwór, który on sam rozchylił wyuczonym, zabójczym ruchem. Ręce, które na próżno starały się zasklepić ranę, i czuły, jak gorący strumień stygnie. Zapomnieć. Chciałby zapomnieć. Zapomnieć tę kobietę, krew, lampy gazowe, zapach moczu, białe kafelki, poplamione na czerwono. Czyż nie tego zapomnienia szukał u Singapura?

Włożył do ust kulkę opium, gumową i gorzką. Zacznie działać powoli, stopniowo, nie pociągnie go w otchłań, którą Singapur sprzedawał w nocy, wiedział o tym. Jednak który ból uśmierzy? Ten w ciele, czy ten w duszy? I na jak długo? Czy można zapomnieć na zawsze, że się jest mordercą?

- ...to właśnie tę chorobę przywiozłem ze Wschodu - mówił tymczasem Singapur.

- Co? - zapytał mężczyzna, ocknąwszy się z rozmyślań. Singapur uśmiechnął się dobrotliwie, cierpliwym i przyzwyczajonym do nieuwagi swych rozmówców, gotów do powtórzenia.

W tym momencie młody strażnik więzienny przywarł do krat. Wyglądał na zmieszanego, gdy tak wpatrywał się w hałastkę obu płci, i nie mógł się zdecydować.

- Który to... - zawahał się, jakby kończąc zdanie, miał popełnić grzech. - Kto...

- Na pewno szukają pana - powiedział cicho Singapur. - Najwyższa pora się pożegnać.

- Winien ci jestem przysługę - rzekł mężczyzna, ruszając w kierunku krat.

- Ale ja jestem w połowie drogi. Zniosłem wszystko do teraz, zniosę też i resztę... - przeczytał Singapur po cichu fragment książki.

- To ja - zwrócił się tymczasem mężczyzna do młodego strażnika, który cofnął się o krok, słysząc ton głosu, nieznoszący sprzeciwu.

- Pan... Milton Germinal? - spytał nieśmiało.

- Otwórz.

Młody strażnik ponownie podszedł do krat.

- Inspektor... policji... Milton Germinal? - wyszeptał.

- Otwórz - nakazał policjant.

Gdy klucz przekreślał się w zamku, a drzwi celi obracały się z piskiem w zawiasach, zwarty tłum narkomanów, który dopiero co zamilkł na widok straży więziennej, ponownie zaczął szeptać i wszyscy odwrócili się w kierunku przewodnika.

Singapur zdawał się tego nie zauważać, poślinił obojętnie opuszkę palca i przewrócił stronę książki.

- Powiedział, że rany swe pokaże, gdy zostaną sami... - przeczytał na głos.

- Ja... nie wiedziałem... - zaczął się jękać strażnik, prowadząc inspektora policji ciemnym i krętym korytarzem więzienia.

Milton Germinal nie odpowiedział. Ograniczył się do przelotnego spojrzenia, które uciszyło chłopaka. Potem zaczął się rozglądać. Mury wydały mu się jeszcze bardziej odrapane, napisy bardziej wulgarne, powietrze bardziej zatęchłe, a ciemności - przygnębiające. Strażnicy, których coraz częściej spotykali po drodze i którzy otwierali niezliczone kraty - niczym w grze w chińskie pudełka - mieli jeszcze bardziej niż zwykle bestialskie spojrzenia, nieświeże oddechy, ociężałe ciała i mroczne dusze. Niespokojnym wzrokiem omiatał przedmioty, ledwie je dostrzegając, by już po chwili poszukiwać czegoś nowego. I choć patrzył przelotnie, dogłębnie sondował to, na co inni nie zwracali uwagi, a ślady inwigilacji na długo pozostawały w umysłach napotkanych przez niego osób, które później często czuły się nieprzyjemnie nagie. To było szybkie spojrzenie, wpisane w czystą, błękitną i przejrzystą tęczę, przechodzącą w kolor indygo, gdy przestawało padać na nią światło słoneczne. Rzęsy - długie i podkreślone - gdyby nie nerwowe ruchy i grymasy twarzy, zdawałyby się sztuczne. Miał prosty, szczupły nos o drgających nozdrzach i zaciśnięte wargi, pozbawione miękkości, podbródek ostry; wysokie zaś i wyraźne kości policzkowe podkreślały kształt oczu, które przypominały ślepią wilka. Delikatne, choć niemające w sobie nic z kruchości dłonie, zwinne, ale nie nerwowe, były wsunięte w kieszenie obszarpanych spodni i zaciśnięte w pięści.

Gdy przeszli przez ostatnią bramkę, dotarli do sporej sali, gdzie światło wpadało przez solidnie okratowane okna. Po prawej stronie stało biurko z ciemnego drewna, na którym pośpiesznie załatwiano papierkową robotę. Po lewej - podwójny rząd ławek z ciężkimi łańcuchami, którymi przywiązywano za ręce i kostki trafiających tu chwilowo więźniów. W głębi, naprzeciwko mebli, widać było ogromne, dwuskrzydłowe, zbrojone odrzwia z żelaznymi sworzniami; pośrodku rysowało się drugie, wąskie wejście. Obok otwartych właśnie drzwi, w plamie sinego światła koszmarnego poranka, stał sierżant policji, którego Germinal dobrze znał, w mundurze, z pałką wsuniętą za pas i fałszywym znudzeniem, malującym się na twarzy.

- Panie inspektorze... - odważył się ponownie odezwać strażnik więzienny, przystając w

progu - czytałem w gazetach o sprawie dotyczącej tamtych dzieci... To było niewiarygodne.

Germinal spojrzał na niego, nie zdradzając swych uczuć.

- A teraz ta historia... dziś w nocy... no, to znaczy, może pan być spokojny - zakończył chłopak, siląc się na uśmiech. - Nikt z nas nie piśnie o tym ani słówka.

- Ja nie szukam przyjaciół, chłopcze - poinformował oschle Germinal i surowo spojrzał na sierżanta. - Chcesz być moją niańką? - zapytał.

Sierżant odchrząknął, pokręcił głową, a następnie otworzył pancerne drzwi i gestem pokazał Germinalowi, by wyszedł.

- Wiesz, kto to jest? - mówił tymczasem młody strażnik do zmęczonego życiem, zwalistego draba, siedzącego za biurkiem. - Milton Germinal, inspektor, który udaremnił serię porwań dzieci...

- Ten, co uratował syna Sanguinetiego? - zapytał drab.

- Ten sam - potwierdził podekscytowany chłopak, odwracając się w kierunku drzwi, które właśnie się zamykały. - Złapali go podczas obławy. Dziś w nocy. - Pochylił się nad kolegą, opierając łokcie na biurku i osłaniając ręką usta. - Narkotyki.

- Narkotyki? - zapytał ten drugi. - Nasz bohater bierze narkotyki?

- Ty to powiedziałeś.

- Cholera...

- Bohater... Mogę się założyć, że to nie on rozwiązał sprawę.

- Tak uważasz?

- No, a jak narkoman może rozwiązać sprawę? Możesz mi to wyjaśnić?

Twarz draba zrobiła się jeszcze bardziej ospała, gdy próbował nadażyć za słowami kolegi.

- No ale...

- Przecież wszyscy wiedzą, że jest protegowanym Sanguinetiego - zauważył chłopak tonem starego wyjadacza. - Mogę postawić miesięczną wypłatę, że to bogaty maminsynek, który szuka wrażeń, bawiąc się w policjanta... Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? Sprawę rozwiązał ktoś inny, a on sobie przypisał zasługi.

- Naprawdę?

- No przecież ci mówię... Szkoda żeś nie widział, jak mnie potraktował z góry. Jakby to mnie przyłapali ze strzykawką w żyłę...

- Aż tak?

- Tak, wyjęli mu ją policjanci, gdy wsadzali go do paki... Płakał jak dziecko.

- A ty skąd to wiesz?

- Ma się swoje źródła, nie twoja sprawa - oświadczył chłopak, wypinając dumnie pierś ściśniętą mundurem. - Co, nie wierzysz mi?

- Nie, wierzę, wierzę... Cześć, stary! - zawołał drab na widok starszego strażnika, który właśnie wchodził, szurając butami po posadzce. - Chodź tutaj, mamy niezłą historię... No co tam, widziałeś tych dwóch? Wiesz, kim jest ten po cywilu? Ej, opowiedz mu... - I klepnął młodego po plecach.

W tym czasie Milton Germinal i umundurowany sierżant wsiedli do odkrytego wozu. Proste i cienkie, w kolorze słomy, włosy inspektora, siwiejące na czubku głowy, targał lekki wiatr, zwiewając je co chwila na szerokie, inteligentne czoło, pokryte płytko żłobionymi zmarszczkami i ubrudzone zakrzepłą krwią.

- Dokąd jedziemy? - spytał Germinal. Wóz przejeżdżał przez brudne ulice miasta, budzone do życia pokrzykiwaniami domokrażców i handlarzy.

- Nadkomisarz chce się z tobą widzieć - odpowiedział sierżant, nie odwracając nawet głowy.

- Zdążymy wpaść do mnie do domu? Chciałbym się trochę umyć

- powiedział Germinal.

- Obudzili go w środku nocy, gdy tylko okazało się, że cię złapali

- odparł sierżant niewzruszony. - Nie sądzę, żeby Sanguineti miał ochotę czekać, aż zrobisz się na bóstwo.

Koła wozu postukiwały po bruku. Powietrze było zimne i wilgotne. Germinal czuł tępy ból głowy. Przyłożył otwartą dłoń do skroni.

Sierżant wyjął z kieszeni chusteczkę i metalową manierkę. Odkręcił korek i zmoczył materiał.

- Odwróć się - polecił Germinalowi i dokładnie obejrzał jego czoło. - Ona zawsze się dobrze sprawuje - skomentował z uśmiechem i poklepał pałkę wsuniętą za pasek. Następnie przytrzymując jedną ręką podbródek komisarza, obmył mu ranę, uważnie, ale bez rozczulania się. - To było strasznie głupie, Milton... - dodał, gdy już oczyścił skaleczenia. - Nie mogłeś znaleźć innego sposobu, by uczcić koniec wieku?

IV

Jedna noc.

Tylko jedna noc dzieliła świat od nadejścia boga. I bóg drżał z niecierpliwości w swej cielesnej powłoce. W tej nędznej skorupie, którą wybrał, by przyoblec ludzki kształt, zanim się objawi. Wygląd człowieczy, do jakiego bóg się zniżał, by karać. Zanim objawi promieniujące światło swej boskości.

Nie kochał matki, zdzirowatej połowy swej boskiej natury. Kochał tylko siebie. Ale zstąpił na ziemię, by pomścić matkę, bo to w matce obrażono jego samego.

Tylko jedna noc. A potem gniew.

Ale nim nadeszła ta ostatnia noc oczekiwania, gdy niebo zaczęło gasnąć i ostatni, błądy dzień umierał - błądy, ponieważ osierocony przez boskie światło, które jeszcze nie rozbłysło - bóg postanowił spojrzeć raz jeszcze na pierwszą z czterech fałszywych sióstr swej matki, którą już niedługo oddali na zawsze od paleniska, której wydrze z rąk wrzeciona, którą zmusi, by przywdziała święte szaty jego orgii, i wtajemniczy w swe misteria.

Ponieważ one były ucieleśnieniem kłamstwa i krzywoprzysięstwa. Ponieważ w matce obrażono jego samego. A bóg przybył na ziemię, by zemścić się i zadać ból, którym odpłaci za kłamstwa i krzywoprzysięstwo.

Ponieważ bóg był magią i złudzeniem. Był bogiem zmańczonych zmysłów, syreną instynktów, krzykiem nienawiści. Ujadaniem, rykiem, wyciem, sykiem i skrzekiem. Był bogiem pierwotnych energii, uwolnionych w całej okazałości, objawionych w całej swej chwale. Był bogiem drzemiących sił, przed którymi nie można się ani schronić, ani obronić, które uderzają w nieprzewidywalnych kierunkach, niosąc zniszczenie i niekończący się ból.

On był Bykiem, Kozłem, Lwem i Wężem.

Od jego krwi wybrańca dojrzewał granatowiec.

On był Śmiercią i Odrodzeniem.

On narodził się dwa razy, był chłopczykiem, który przeszedł przez podwójne wrota.

I przed nastaniem ostatniej nocy ciąży bóg postanowił zajrzeć do domostw czterech kobiet, aby po raz ostatni zasmakować spokoju, który zniszczy, aby podziwiać doskonałość swojego planu.

Szesnaście lat czekał, by się objawić.

Najpierw odwiedził tę, która kiedyś się roześmiała i splunęła.

Pierwszą, którą wtajemniczy w swe orgie i misteria.

Pozostał w mroku i patrzył na dom, który aż drżał w ferworze przygotowań do małego nadejścia, które uznano za godne uczczenia, nie wiedząc, iż wieczorne powietrze zapowiada o wiele większe Nadejście. Nie nowego wieku, ale całej ery. Ery boga.

Słyszał szelest jedwabnych sukni, słuchał odgłosu próżności, która nie miała sensu, wdychał zapachy, które nie osłodzą gorzkiego smaku śmierci i zemsty. Widział, jak służący zapalają kandelabry, które nie oświetlą tych strasznych ciemności, w jakich on ich pograży.

Śledził głupi spokój głupiego świata.

Nie po raz pierwszy chował się w cieniu. Przyczajony bóg, który w nim się skrywał, już wcześniej śledził i analizował. Ponieważ jego plan musiał być doskonały.

Domostwo Pierwszej, tej, która kiedyś się roześmiała i splunęła, było wiejską posiadłością, czy też raczej było nią w przeszłości, kiedy bogacze wybierali podmiejskie tereny na letnie rezydencje. Ale teraz dom ten stanowił tylko siedlisko Pierwszej i grubego właściciela, który każdego poranka, zaraz po przebudzeniu, i każdego wieczoru przed pójściem spać wdychał słodką woń równiny. Obserwatorium, z którego chciwie kontrolował napływ pieniędzy do swych kas.

W domu tym każdy dzień był podobny do poprzedniego i następnego. A to ułatwiało realizację doskonałego planu boga.

Późnym popołudniem w dniu Nadejścia, jak każdego późnego popołudnia, gruby właściciel uda się do miasta. Aby uhonorować swą osobę i swój nędzny żywot w klubie, gdzie palono cygara, pito koniak i marnotrawiono czas na grze w karty, w kości, i na bezsensownych pogaduszkach mężczyzn posiadających nieco grosza. Jak każdego późnego popołudnia gruby właściciel opuści swój kurnik, wystawiając go bez opieki na łup nocnych drapieżników.

To było nawet za proste dla boga. Jakby ofiary z nim współpracowały, aby jego plan stał się doskonały.

Bóg wyszedł z mroku, niewidoczny dla oczu niewtajemniczonych w jego misteria, czarny w ciemnościach i lśniący w bieli, i zbliżył się do otwartej furtki. Włożył ziarnko swej boskości do zamka, mały kamyczek, który uniemożliwi zamknięcie kurnika następnego wieczoru. Nic nieznaczący odłamek skały, który znalazł się w środku zapadki i ją zablokował.

Następnie, niezauważony przez ogrodnika (trzej służący krzątali się gorliwie w kuchni), dotarł do drzwi wejściowych, z których wystawał klucz. Wyciągnął go i odcisnął dwa razy - z

obu stron - na prostokątnym kawałku wosku, zawiniętym w czarną szmatkę. Włożył klucz do zamka, delikatnie złożył materiał, odwrócił się plecami do fortecy, która niedługo mu się podda, i zniknął, czarny w ciemnościach i lśniący w bieli.

Jeszcze tylko jedna noc.

A potem Pierwsza nałoży święte szaty, wymagane przy jego orgiach, i zostanie wtajemniczona w jego misteria. Pierwszej objawi swą boską naturę. I Pierwsza krzykiem obwieści światu Nadejście. - Jutro - powiedział bóg, stając się na powrót człowiekiem.

V

- Pora na ciebie - powiedział Milton Germinal do dziewczyny, która jeszcze leniwie wylegiwała się w pościeli.

Na podłodze pod łóżkiem leżały dwie puste butelki, za których pomocą inspektor policji próbował zwalczyć smutek, złość i ból rany na czole. Za pomocą których próbował uciszyć głos radzący mu uparcie, by zostawił wszystko. Dwie butelki, które wypił wspólnie z dziewczyną spotkaną pierwszy raz w życiu, gdy czekała na ulicy na klientów.

- Dalej, ubieraj się i wynocha - powtórzył zachrypniętym głosem i na bosaka podszedł do okna sypialni. Odsunął ciężkie zasłony, przez które wpadło jasne światło poranka. Z jego poddasza na piątym piętrze miasto wydawało się mniej brudne, a ludzie krążący po ulicach mniej biedni i zdesperowani.

Pościel za nim zaszeleściła i zaskrzypiało łóżko. Dziewczyna powoli wstawała. Mamrotała coś pod nosem, półprzytomna jeszcze od snu i alkoholu, ale Germinal jej nie słuchał.

Nawet życie, oglądane z wysoka, było mniej żywe. W tych dniach, w tych ostatnich miesiącach to właśnie zdawało się Germinalowi czymś, czego można by się chwycić. Patrząc na sprawy z daleka, z dystansem. Jakby nie mogły go dotknąć, jakby go dotyczyły w niewielkim stopniu. Ale nie było to możliwe. Nigdy i nie dla niego, nawet przez chwilę w ciągu trzydziestu lat jego życia.

Woda zaszumiała w łazience. Dziewczyna się śmiała. Z pewnością nie była przyzwyczajona do domu z bieżącą wodą. Może nie była nawet przyzwyczajona do łazienki. Prawdopodobnie żyła w jednej izbie razem z Bóg wie iloma osobami, zmuszona załatwiać potrzeby swego ciała we wspólnym wiadrze.

Germinal poczuł bolesne klucie w żołądku, jakby ktoś rozrywał go pazurami od środka. To nieprzyjemne odczucie - podobnie jak kurczenie się ścięgien w nogach, jakby miały zaraz

rozerwać ciało - zawdzięczał narkotykom. To była owa „pamięć ciała”, o której wspominał Singapur. To przez nią klienci zawsze odnajdywali drogę do obmierzłego lokalu, byle tylko uciszyć skurcze, zagłuszyć krzyk członków i zmusić do milczenia organy, które burzyły się przeciw narkotycznemu głodowi.

Usiana pęcherzykami, gruba i chropowata szyba ze skazami zaparowała od oddechu Germinala. Teraz miasto było jeszcze piękniejsze, pogrążone w dalekim, zamglonym śnie. Kolory nie raziły oczu. Blakły też rozmyte plamy krwi, które nie dawały mu spokoju. Z kolei dźwięki - jakby słuch poddał się wrażeniom odbieranym przez wzrok - cichły, zamieniając się w odległy szept.

- Wychodzę - oznajmiła stojąca za nim młoda prostytutka. Germinal nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Mógł zapomnieć przynajmniej o niej. To był luksus, z którego nie miał zamiaru rezygnować. Nie odpowiedział. Usłyszał kroki dziewczyny przemierzającej pokój i idącej krótkim korytarzem, który prowadził do małego gabinetu, a następnie znajome skrzypnięcie otwieranych drzwi wejściowych. I wtedy nagle, niemal dla zabawy, prawie z entuzjazmem, odwrócił się, by pochwycić ulotne wrażenie czegoś, co go w końcu opuszczało, jak gdyby jakiś koszmar ulatniał się z jego życia na zawsze. Ale dziewczyna już wyszła. Nie zobaczył nawet jej cienia. Uśmiech, który z trudem zawitał na jego twarzy, szybko zgasł.

- Kiedy wieść się rozniesie, moi wrogowie zażądają mojej i pańskiej głowy - powiedział mu nadkomisarz Sanguinetti poprzedniego ranka. - Ale pan uratował mojego syna i nie mogę o tym zapominać. I dlatego, zamiast się krzywić, powinien pan przynajmniej powiedzieć dziękuję, Germinal.

Więc powiedział. Ale ostrym i nieprzyjemnym tonem, który zabrzmiał jak nieporadnie upiększone przekleństwo.

Germinal znów zaczął przyglądać się miastu przez szyby okien. Miastu, które przemierzył od dachów po bruk w poszukiwaniu prawd ukrytych w ciemnych zaułkach, tak za dnia, jak i w nocy.

- Postaram się zatuszować całą sprawę. Nie zostanie pan zwolniony... przynajmniej na razie - podsumował Sanguinetti. - Ale proszę zrobić wszystko, żeby ta noc była tylko drobnym potknięciem i niczym więcej. Małym wypadkiem.

Germinal nie odpowiedział. Stał bez ruchu, czekając, aż będzie mógł pójść do domu. W końcu nadkomisarz, widząc na skrzywionej twarzy pozorną niewdzięczność, dodał,

odprowadzając go do drzwi:

- Przykro mi, Miltonie. Chciałbym, żeby mi pan uwierzył... nic więcej nie mogę zrobić.

Germinal zadawał sobie pytanie, dlaczego doprowadził do tego, że uczciwy i inteligentny człowiek musi tłumaczyć się przed swoim podwładnym? T to z czego? Dlaczego zamiast wyrzucić go z oddziału w niesławie, on po prostu przeniósł go do najgorszej dzielnicy w mieście? Czy on za to właśnie chciał go zganić owym „dziękuję”? Za to, że nie zamknął obojga oczu? Do tego doprowadziły go narkotyki?

Powinien był przeprosić, przynajmniej listownie. To powinien był zrobić. Od chwili gdy się pożegnali, gnębiły go wyrzuty sumienia. Ale duma mu na to nie pozwoliła.

Ktoś zapukał. Germinal odwrócił się.

- Myślałeś, że nie przyjdę sprawdzić, jak się sprawujesz w pierwszym dniu pracy na Pijawczaku? - powiedział sierżant, który poprzedniego poranka przyszedł po niego do więzienia.

Germinal otrząsnął się ze swych myśli. Podszedł do niego, nie siląc się na uśmiech.

- Jesteś jak wesz, Londe - odparł, z trudem ukrywając zażenowanie i wstyd, jaki odczuwał z powodu tej wizyty. - Sanguinetti bał się, że w ostatnim momencie postanowię się wycofać?

- Szeffi jest najbardziej przykro ze wszystkich, idioto - zganił go sierżant Londe.

- Wiem - odpowiedział Germinal i powrócił do niewesołych rozmyślań, które gnębiły go od kilku godzin.

- Niby wiesz, ale wnioskując z twego zachowania, w ogóle tego nie widać.

- Tak, wiem też i to...

- Sporo wiesz, Milton - powiedział Londe. - Ale chyba ta wiedza na niewiele ci się zdaje.

Germinal wsunął się do łóżka, szcękając zębami.

Sierżant kopnął jedną z dwóch butelek.

- Picie na nic się nie zda... - rzekł, kiwając głową. Germinal odwrócił się do niego plecami.

- ...ani pieprzenie się z dziwkami... - ciągnął dalej sierżant.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Do tego trzeba mieć jaja, Milton.

- A może ja ich nie mam - odciął się Germinal, siadając na łóżku.

Sierżant Londe spojrział na niego w milczeniu, a potem podniósł parę spodni i koszulę z fotela o wytartym obiciu. Rzucił mu je.

- Ubieraj się - rzucił krótko.

- Zostaw mnie w spokoju, Londe.

- Ubieraj się.

Germinal powoli wstał z łóżka i zaczął wkładać ubranie. Miał pochyloną głowę. I milczał.

Potem sierżant Londe wyjął z kieszeni pakunek i podał mu go.

- Twój pistolet... - wyjaśnił. - Udało mi się go odzyskać. Germinal skinął głową i wyjął wargi. Naprawdę chciał podziękować. Ale nie odezwał się.

- Trzymaj go zawsze przy sobie... zwłaszcza na Pijawczaku. Germinal skinął głową. Wsunął broń za pasek spodni i skończył się ubierać.

- Idziemy - powiedział.

Obaj mężczyźni zeszli w milczeniu schodami starej kamienicy. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, stukot powozów na ulicach, pokrzykiwania handlarzy, odgłosy miasta podnieconego przygotowaniami do pożegnania końca wieku, który miano świętować tego wieczoru, przeszły uszy Miliona Germinala.

- Chcesz mnie trzymać za rękę czy mogę iść sam, mamusiu? - spytał Londego.

Sierżant spojrzał na niego. Znali się od pierwszego dnia, gdy Germinal pojawił się na komisariacie. Powierzył mu go osobiście nadkomisarz, będący wówczas komisarzem okręgowym.

- To jeszcze dzieciak. Zrób z niego mężczyznę - polecił mu.

I od tego dnia Londe zawsze zajmował się tym inteligentnym dzieciakiem, który zaszedł o wiele dalej od niego i który teraz, ze względu na stopień, mógł mu rozkazywać.

- Komisarz Pijawczaka nazywa się Landau - zwrócił się do Germinala. - Jest ze starej szkoły. Na Pijawczaku nie funkcjonuje jak u nas. Pod względem techniki dochodzeniowej są sto lat za nami... dla ciebie to będzie jak wejście w nieznaną świat, który ci się nie spodoba. To gówniane miejsce.

Germinal się nie odzywał.

- Rewir Landaua obejmuje teren wsi i jedną fabrykę. Chyba boją się jakichś rozruchów wśród robotników. Życie tam nie będzie lekkie, Milton.

Germinal nadal nic nie mówił.

- I powiedzieli mi, że nie mają nawet lekarza do wykonywania sekcji. Zwracają się do jakiegoś dziwnego typka, który zarządza piekielnym miejscem, ośrodkiem zwanym przez

wszystkich Miastem Zwierząt...

- Skończyłeś już? - zapytał Germinal.
- Tak - odparł Londe. - Zawołać ci dorożkę?
- Nie.
- Pojedziesz swoim gruchotem?
- Tak, mam.

Mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu.

Ktoś krzykiem obwieszczał wielki festyn ludowy ze sztucznymi ogniami, który miał się odbyć tego wieczoru nad brzegiem rzeki. Ludzie, już teraz tłoczący się na chodniku, nie mówili o niczym innym. Kobiety, obładowane pakunkami i podekscytowane, szły ulicami mokrymi od deszczu, ochlapując błotem długie suknie.

- Zbieram się - powiedział Germinal.
- Cześć, Milton.
- Cześć... - odparł Germinal, odwrócił się plecami i ruszył przed siebie.

Londe stał przez chwilę nieruchomo na chodniku.

- Milton! - zawołał. Germinal spojrzał na niego.
- Nie mogłeś o tym wiedzieć... - rzekł w końcu Londe.

Germinal lekko przytaknął głową i ruszył dalej. Doszedł do dużej ulicy i zanim skręcił, odwrócił się i obejrzał do tyłu. Zobaczył Londego, stojącego wciąż na chodniku - potężne ciało, opięte mundurem - i pomyślał, że wygląda jak pies.

- Odwal się! - krzyknął.
- Do cholery, Milton! - odwrzasnął sierżant. - Nie mogłeś o tym wiedzieć!

Germinal skręcił w bok. Po kilku krokach wślizgnął się w ciemny zaułek. Przy samym murze stał przykryty plandeką pojazd, którym miał dojechać na Pijawczak. Germinal położył dłoń na pokrowcu, żeby go zdjąć. Ręka mu drżała. Dysząc ciężko, odwrócił się w kierunku ulicy, gdzie całe miasto, z wyjątkiem tego ciemnego schronienia, żyło w podnieceniu nadejściem nowego wieku. Ale jego oczy nie widziały już tego, co go otaczało. Był znowu w tamtej ubikacji, oślepiany przez lampy gazowe i ostrą czerwień krwi na białych kafelkach. Pomyślał, że naprawdę nie mógł o tym wiedzieć w chwili, gdy zanurzał ostrze w jej wnętrznościach.

Poczuł klucie w żołądku, skurcz, szarpnięcie. Usta wypełnił kwaśny, cierpki smak. Zgiął się wpół i zwymiotował zielonożółtą mazią na plandekę. Żółć, soki żołądkowe. Miał wrażenie, że

zaraz się udusi. Opierając się ręką o mur, wyszedł z zaułka. Ściągną w nogach zdawały się bliskie zerwania. Dotarł do rogu, na którym dopiero co skręcił, i spojrzął w kierunku swojej bramy. Potężnego sierżanta już nie było.

Germinal wycofał się najszybciej, jak mógł. Ale ten krótki odcinek drogi stał się nagle nie do pokonania. I raptem wydało mu się, że widzi całe miasto, w którym żył od zawsze, ale teraz miał przejmujące wrażenie całkowitego wyobcowania. I kiedy tak szedł, wlokąc się noga za nogą, spojrzął na zegar pod swoim domem, zepsuty od niepamiętnych czasów i zawsze wskazujący kwadrans po ósmej, nie wiadomo czy rano, czy wieczorem; na cukiernię pani Silie, która przybyła tu z dalekiego, zimnego kraju, przywożąc ze sobą tajemnice cukru i kruchego ciasta; na utykającego gazeciarza, który każdego dnia prosił o potwierdzenie tego, o czym pisały gazety, przekonany, że Germinal zna wszystkie sekrety tego świata; na bandę wyrostków uprzykrzających życie handlarzom w tej dzielnicy, i dostrzegł, że każdy z tych drobnych kryminalistów ma już wypisany na twarzy swój nędzny los, pozbawiający jakiegokolwiek nadziei. Popatrzył na sklepik z napisem CEROWANIE ARTYSTYCZNE, w którym stary pan Lexmarque nadwierał resztki wzroku i opuszków palców, storturowanych przez igły. Każdy krok był zwycięstwem. Serce dudniło mu w gardle, nogi odmawiały posłuszeństwa, raz był skostniały, raz zlany potem. Brama domu zdawała się oddalać. Tłum wokół wrzeszczał do niego, a dźwięki z każdą chwilą stawały się coraz bardziej nierealne, skrzeczące, chrypliwe, niezrozumiałe. I znowu, jak zawsze, jak każdego dnia swego życia, Germinal poczuł się obcy, inny niż ta cała źle dobrana masa. Niczym podróźny trzeciej klasy w opuszczonym przedziale.

Białe kafelki, jego odbicie w czerwonym lustrze krwi. Koszmary, które nie dawały mu spokoju. Pytania, które tłoczyły się w jego bezładnym, zagubionym umyśle. Ale odpowiedzi na te pytania pozostały pod ciałem kobiety leżącej na wznak z otwartym brzuchem w męskiej ubikacji. Pozwolił, aby wszystkie odpowiedzi zaległy, oblepione krwią krzepnącą na białych kafelkach; pozwolił, by przykleiły się do zwłok i by zapieczętowały lichą trumnę za parę groszy, która opadła na dno wspólnego grobu; i tylko patrzył, jak znikają pod grudami ziemi.

Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze tylko dwadzieścia kroków. Ale coś blokowało mu nogi.

- Co? - zapytał, choć w podświadomości już wiedział.

Może to była ta odpowiedź, którą pogrzebał głęboko, wiele lat temu, w otchłani swego serca. Odpowiedź, której pozwolił wypłynąć kilka miesięcy temu przez nieuwagę, przez

przypadek, przez okrutny los, i którą teraz musiał koniecznie zdusić. Odpowiedź nad odpowiedziami. Znana, ale trzymana w sekrecie przez usta, które nie chciały jej wymówić, i przez uszy, które nie chciały jej słuchać, i przez oczy, które nie chciały na nią patrzeć. I przez duszę, która nie mogła jej znieść.

Wszedł do sklepu z alkoholem i kupił butelkę absyntu.

Wyszedł, szczękając zębami. Nie słyszał zatrzymującego się za nim starca, który przestał na chwilę pchać swój ciężki wózek z warzywami, i zapytał go, czy nie potrzebuje pomocy.

- Byłaś tylko dziwką przebraną za mężczyznę - powiedział na głos, zagubiony w swych koszmarach.

- Słucham? - wpadł mu w słowo starzec.

Germinal spojrzał na niego z niespodziewanym okrucieństwem, które kierował przeciwko samemu sobie. Ale starzec nie mógł tego wiedzieć. Spuścił głowę, zacisnął dłonie na skrzypiącym wózku i pchnął go, torując sobie drogę wśród tłumu.

Germinal zawlókł się do bramy, wszedł schodami na piąte piętro, na swoje poddasze, i drżąc, wsunął się w ubraniu do łóżka. Poczuł, że coś go uwiera przy pachwinie, włożył rękę za pasek spodni i znalazł pistolet. Spojrzał na broń rozbieranym wzrokiem i pogłaskał ją. Kolba z macicy perłowej. Błyszcząca lufa. Wystarczyłaby jedna chwila.

Ale jego usta szukały już zimnego szkła butelki z absyntem. Wypił połowę i zaczął wsłuchiwać się w swoje ciało.

Ściągnę rozluźniły się. Ucisk w żołądku ustąpił. Serce zwolniło. Koszmary rozmyły się na dnie jego umęczonej duszy.

Kolejny łyk.

Wyjął naboje z bębienka. Rzucił pistolet. Na podłogę. Kolejny łyk.

I opadł na poduszkę. Ręka trzymająca butelkę zrobiła się miękka. Resztki absyntu rozlały się po pościeli, zmoczyły prześcieradło i wymieszały się z jego zimnym potem, zagłuszając zapach prostytutki, która była tu poprzedniej nocy.

- Jutro... - powiedział i wstrząsany dreszczami zapadł w sen pozbawiony wszelkich snów.

VI

- Oto pora Nadejścia - powiedział bóg i poczuł, jak boski głos rozbrzmiewa w nim samym, a wibracje łagodnie rozchodzą się coraz głębiej.

To nigdy nie zdarzało mu się w wypadku innych głosów; ale ten był wyjątkowy. Brzmiał

jak rozkaz, lecz smakował jak rada; imperium pana wraz z dobroduszością przyjaźni. Był jednocześnie jego własnym głosem i głosem kogoś innego. Podpowiadał myśli, których jego śmiertelne ciało i umysł nie byłyby w stanie sformułować, ale gdy już przemieniał je w czyn, działania przeprowadzone z tej inspiracji stawały się własne i naturalne. A on pamiętał, że jest bogiem.

Morderca podniósł się z łóżka, z zeszywniałymi plecami, którymi opierał się o wilgotną ścianę baraku, czekając, aż zbudzi go powstały z martwych święty, boski byt. Czekając, aż przypomni sobie swą boską naturę, ponieważ pamięć - jak powtarzał będący w nim bóg - jest matką wszelkich działań. Postawił bosc, zdrętwiałe stopy na drewnianej podłodze, pogrzebał w pościeli, szukając wełnianych skarpet, i zapiął guziki przetartego na łokciach, niebieskiego kombinezonu ze skórzanymi łatami na kolanach. Potem ukląkł przy połowym łóżku i wyciągnął spod niego parę grubych, ciężkich, sznurowanych butów, ściskanych paskiem wokół kostki, na grubej podeszwie, w której szczelinach zostały resztki suchego błota. Postawił buty na stole, obok brudnego, wyszczerbionego talerza i karafki wypełnionej do połowy czerwonym winem, świętym napojem boga. Tłustym widelcem zaczął usuwać grudki ziemi, których odprysnięte okruchy mieszały się z okruchami pokrywającymi drewniany stół jak obrus. Kiedy skończył najtrudniejszą część pracy, podszedł do miednicy, w której stała woda z mydlinami. Zanurzył w niej starą szczotkę z żółtą szczecina, pogiętą ze starości jak samotne drzewa, rosnące w pobliżu morza, którym wiatr nadaje chwiejne, nienaturalne formy. Przetarł energicznie zelówki i zapiął paski wokół kostek. Podszedł do szafki, gdzie przechowywał suszone mięso dla swych kapłanek, wyjął zniszczoną płytę, za którą w wąskiej szparze czekał okazały worek, przygotowywany na Nadejście. Gdy go podnosił, rozległ się niewyraźny, metaliczny chrzęst. - Oto pora Nadejścia.

I ponownie zrozumiał, że jego pełen chwały los właśnie się ziszcza. W każdym najmniejszym nawet szczególe. Zgodnie z tym, co bóg, który był w nim, wiedział od zawsze, i co zostało obwieszczone przed wszystkimi wiekami. Bóg opowiadał, opisywał, zapowiadał, przewidywał. Ponieważ bóg dominował nad Wiedzą. I bóg zadrżał, ponieważ nadszedł moment, dla którego przyszedł na świat, dla którego przyoblekł nędzny kształt człowieczy i dla którego poniżył się w ten sposób przed oczyma świata.

Przeszedł przez brudną izbę w kierunku wyjścia, pochylając głowę przed porysowanym lustrem, aby nie oślepiło go własne odbicie. Pozdrowił swoje kapłanki, zamknięte za ogrodzeniem, chodzące bez przerwy tam i z powrotem wzdłuż zardzewiałej siatki - z ogniem zła

w źrenicach, który choć przygasał każdego dnia, cały czas się tlił - i rzucił im z cuchnącego worka garść mięsa rojącego się od robaków. Kapłanki boga rzuciły się najedzenie żarłocznie i ostrożnie zarazem, nie obdarzając go nawet łaskawym spojrzeniem, jakie odmalowałyby się w oczach psa czy jakiegokolwiek zwierzęcia, które w zamierzchłej przeszłości ewolucji postanowiło przyłączyć się do człowieka. Kapłanki boga nigdy się nie ukorzyły, nie potrzebowały ani miłości, ani opieki, ani jałmużny. Nie były śmieciarkami. Chętniej żywiły się żywym mięsem, w którym pulsowała ciepła jeszcze krew. Były lisicami, kunami, łasicami. Miały ostre, spiczaste kły i gdy je zatapiały w tłustych ciałach kur i królików, poruszały nieustannie oczyma, jakby sam akt zabijania pozwalał im, poprzez kontrast, poczuć się żywymi. To nie była zwykła, wyrafinowana rozkosz, ale konsekracja ich wolności, ich siły, ich nieujarzmionego charakteru. Ich okrucieństwo było celebracją boga i jego furii.

Bóg obserwował, jak walczą między sobą o kawałki mięsa, jak się gonią i chowają, jak szukają osłony, by nie zostać zaatakowane od tyłu i okrążone przez pozostałe, jak walczą, obnażając zęby, by wydrzeć innym nagrodę.

Potem bóg spojrział na horyzont nad sytą równiną, gdzie postanowił się objawić, i z przyjemnością dostrzegł czerwone zabarwienie. Od tej chwili w ciągu godziny słońce powinno przejść do innego świata, ustępując pola nocy i jej drapieżcom. Nadszedł czas. Nadeszło *to* późne popołudnie.

Zbliżył się do małego wozu, do którego był już przywiązany stary, ale muskularny gniady koń. Bóg wskoczył na kozioł, cmoknął i gdy koń ruszył, rzucił ciężki worek na drewniane deski, poplamione od wieloletniego przewożenia razem łąjna, drewna, zbóż i pasz, które deszcz wymieszał w jednolitą masę, tworząc dziwny, ciemny rysunek, wzbogacany każdego dnia i przy każdym transporcie nowych brudów, jak nieukończone, choć harmonijne i wciąż imitujące dzieło.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, wieś pogrążyła się w przedwczesnym zmroku, niosącym zimno, wilgoć i gęstą mgłę, jakby chmury spadły na ziemię. Bóg jechał błotnistą dróżką, pokrytą świeżym, zmrożonym śniegiem, który chrzęścił pod krzywymi kołami wozu. Dojechawszy do rozstajów, wstrzymał konia, spojrział w prawo, a potem w lewo, od jednego krańca horyzontu po drugi, obiegił wzrokiem dwa ciemne kominy cukrowni, osadę robotników, zwartą i złowieszczą masę miasta, które ciągnęło się aż tutaj, ulegając zepsuciu na tych zdeprawowanych peryferiach - gdzie można było jeszcze rozpoznać stare, podupadłe resztki

wiejskiej pańskości - zwanych przez wszystkich Pijawczakiem, czyli pijawką pasożytniczą na sokach, i będących skupiskiem przestępców, złodziei, szabrowników, zabójców i wyrzutków społeczeństwa; oni to, jak jeden wielki pasożyt, dobierali się do żywego organizmu, utaczając miastu krwi i nie produkując nic w zamian.

Rozejrzał się, by sprawdzić, czy świat jest nadal taki, jakim go zostawił dnia poprzedniego, zanim noc Nadejścia wyrzuci go do góry nogami, wtłoczy w nowe sztance, złożone raczej z cieni niż z form, z pozorów, a nie z konkretów, i połączy całość w jeden ciemny profil.

Następnie, obejrzawszy, jak wygląda to wszystko, co za chwilę i tak zniknie, bóg znowu cmoknął i gniadosz apatycznie ruszył w dalszą drogę.

Przez kilometr - i przez czas, który też zdawał się gubić we mgle - nie było nic widać. W końcu bóg dostrzegł swój cel, stojący na uboczu wsi. Zwalniał, aż stukot kół stał się zaledwie chrapliwym tchem. W tej „przystawce” ciszy mógłby usłyszeć własne myśli. Gdyby je miał. Ale on nie miał myśli. Bóg w tym momencie czuł tylko wielkość Nadejścia, która razila go w oczy czerwonymi błyskami. Skulił się na koźle i chwycił mocno lejce; z jego wykrzywionych ust wydobyło się warknięcie. Był już blisko.

Skręcił w długą, cichą aleję, wzdłuż której rosły olbrzymie kasztany. Zbliżył się do zadbanego żywopłotu i przejechał przez szarą bramę, z liliami z kutego żelaza, które kunsztownie oplatały się wokół siebie i krzyżowały, tworząc zmyślne, misterne esy-floresy, zakończone złowieszczymi, ostrymi szpikulcami kwiatów.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Ukrył wóz pod wysokim platanem, którego korona rysowała się na tle wieczornego, opalizującego nieba. Zsiadł ostrożnie, wlokąc za sobą worek, który znów poruszył się złowrogo w napiętej atmosferze, i oparł się na chwilę o chropowaty pień drzewa. Oddech przeszedł w sapanie. Zęby zazgrzytały jeden o drugi. Powstrzymał spazm, będący w połowie płaczem i w połowie śmiechem. Niczym atak kaszlu. W półmroku oczy wyszły mu na wierzch, jakby tylko one miały prawo krzyczeć na cały głos i przerwać tę nagłą ciszę.

Strach jego cielesnej powłoki i podniecenie jego boskiej natury, niczym podczas reakcji alchemicznej, trzymanej do tej chwili pod kontrolą, zaczynały się mieszać, ustępując na zmianę jedno drugiemu. Przyciśnięty przez dwa przeciwstawne i równie despotyczne wiatry bóg oparł się mocniej o drzewo. Jego głowa kiwała się, jak w czasie pierwszych, tanecznych kroków jego

orgii, jego misteriów, najpierw w prawo, potem w lewo, towarzysząc dwóm furiom, które rozdzierały mu duszę. W końcu bóg zwyciężył i oznajmił z całą prostotą swej boskiej natury:

- Oto pora Nadejścia.

Cały świat uciszył się, przestał wirować i bóg już wiedział, że strach przegrał walkę. Ze został obrócony w determinację. Ze został przemieniony w podniecenie. Ponieważ bóg, który był w nim, wybrał już swój los szesnaście lat wcześniej i teraz szał zemsty miał zwyciężyć wszystko.

- Jutro - obiecał poprzedniego dnia.

Wypatrzył w zmroku właściciela, który kazał ogrodnikowi przyprowadzić dwukólkę. Usłyszał, jak mówi mu, by wracał już do domu. Potem zobaczył wychylającą się zza drzwi kobietę, Pierwszą, tę, która kiedyś się roześmiała i splunęła. I usłyszał, jak mąż mówi do niej:

- Przyjadę po ciebie o siódmej. Bądź już gotowa, bo nie mam zamiaru spóźnić się na przyjęcie u burmistrza.

W końcu pan domu ściągnął lejce i ruszył. Pojechał do klubu, jak to zwykł czynić każdego późnego popołudnia.

Pierwsza pożegnała ogrodnika, któremu pan nakazał wracać do domu, i weszła do środka.

- Dzisiaj - powiedział odurzony bóg. - Teraz. - I ruszył. Brama otworzyła się bez oporu, dokładnie tak, jak bóg przewidywał.

Przeszedł przez zadbany ogród szeroką aleją, obsadzoną bukszpanem, pośrodku której ogołoczone z liści róże i peonie czekały cierpliwie na wiosnę, i dotarł do arkadowego krużganka.

Otworzył drzwi kluczem, który wcześniej odlał z woskowej formy. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Bóg wniósł na plecach płócienny worek.

Gdy tylko wszedł do domu, jego nozdrza wypełniła rozkoszna, subtelna woń, stanowiąca połączenie wielu aromatów, wśród których dominował kojący zapach świeżo wyrobionego ciasta na chleb, rosnącego pod wilgotną ściereczką i czekającego na przebudzenie w piecu nazajutrz rano.

Usłyszał jakieś głosy, dochodzące z kuchni.

- Przygotujcie mi kąpiel na szóstą - mówiła pani domu.

Bóg skulił się w kącie, posłuchał kroków kobiety wchodzącej po schodach na pierwsze piętro i usłyszał, jak otwiera i zamyka drzwi pokoju. Dopiero wtedy się poruszył. Znow dotarły do niego głosy z kuchni.

- Idę na górę odpocząć - oznajmił mężczyzna, majordomus. I jego zmęczone kroki

rozległy się na schodach dla służby.

- Ja też - odparł głos młodszej kobiety.

- To ty masz się zająć kąpielą dla pani - zaprotestowała starsza. Na pewno kucharka.

Młoda służąca głośnie westchnęła.

- Ale ty zagrzejesz wodę. Zejdę za pół godziny - powiedziała.

I również jej kroki zabębniły na drewnianych stopniach schodów dla służby.

Bóg stał nieruchomo przez czas, który każdemu innemu wydałby się długi. Ale on mierzył czas inną miarą niż ludzie. I ludzie nie mieli takiego boskiego hartu ducha. Słuchał chwilę, jak kucharka nalewa wodę do garnków, gderając pod nosem. Potem położył worek na podłodze, wyjął z niego święte narzędzie i ruszył, szybko i cicho. Ale bóg nie mógł zniżyć się do poziomu sług. Stał się mordercą.

Wśliznął się do kuchni i zaszedł kucharkę od tyłu. Kobieta miała czerstwą twarz, spierzchniętą od ciągłej walki z zimnem na dworze i gorącem przy kuchni. Kiedy pękały jej kości karku, wytrzeszczyła oczy, osunęła się na ziemię i tak pozostała, ze zdziwieniem na twarzy, nawet kiedy morderca już sobie poszedł.

Pokoje służących znajdowały się na ostatnim piętrze; dochodziło się do nich wąskimi schodami dla służby, ukrytymi przed wzrokiem gości za malowanymi drzwiami. Morderca wszedł na górę, wstrzymując oddech.

Było tam troje drzwi, niemal obok siebie, jakby prowadziły do małych cel.

W pierwszym pokoju stary majordomus chrapał już z otwartymi ustami. Pomarszczona szyja tylko chrupnęła przy skręceniu. Powietrze natychmiast wypełnił ostry zapach moczu, który popłynął strumykiem z ciała służącego.

Drugi pokój był pusty. Jego lokatorka leżała na podłodze w kuchni.

Kiedy trzecie drzwi otworzyły się ze zgrzytem, młoda służąca odwróciła się w ich kierunku i natychmiast usiadła przerażona na łóżku, z rękoma złożonymi na piersiach. Gdy morderca skręcał jej cienką szyję, dziewczyna otworzyła usta w niemal niemym krzyku i ukazała długie, pociemniałe zęby, które nierówno nachodziły na siebie i z pewnością nie pozwoliły jej za życia uśmiechać się bez zażenowania do kochanka.

Morderca wychylił się przez okno i spojrzał w dół na świat, który powoli się zmieniał. Rzednąca mgła powoływała do życia zastępy zjaw.

Teraz dom był gotów. Morderca znów stał się bogiem, wszedł na parter, odłożył swe

pierwsze święte narzędzie i wziął worek, w którym gnieździły się jego ostre kapłanki.

Pokój kobiety - Pierwszej, tej, która się roześmiała i splunęła - znajdował się na piętrze dla państwa.

Stęchły zapach potu i zmęczenia na poddaszu zastąpiła woń tuberozy i pudru. Bóg zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

- Oto pora Nadejścia - wyszeptał i wszedł do pokoju.

Drzwi zamknęły się same. W ciszy wieczoru jego ostre bestie, jego posłuszne kapłanki wykrzyczały całą swą złość, przyłączając się do wrzasków kobiety, opiewających mękę ciała i chwałę boga.

VII

Pochód robotników, przesuwający się jak ocalałe resztki starego różańca, wracał do osady z fabryki pod wieczór, rozświetlony ponurym, czerwonym blaskiem pochodni i latarni. Ludzie szli błotnistą ścieżką, na której śnieg, bielący pola cienką warstwą, jeszcze nie zdążył się zadomowić. Nieliczne grudki zmarzniętego puchu, który został na bokach rowów, były już ściemniałe od ziemi. Tworzący grupę mężczyźni, kobiety i dzieci mieli na sobie cienkie, płócienne ubrania i szli, dygocąc z zimna, pogodzeni z losem i niestawiający oporu, niczym pobita armia, która wycofuje się z pola walki i nie ma już nawet sił, by uciec od śmierci. Pochylali głowy, aby chronić się od wiatru, który dał w mżawkę przechodzącą w śnieg. Różnice w ich wyglądzie zacierała ta sama u wszystkich anemiczna bladość i nabrzmiałe ślady po skrofulozie.

Jeden z robotników, dobrze wszystkim znany, imieniem Rinaud, któremu zapalczywy charakter od prawie pięćdziesięciu lat, czyli odkąd przyszedł na świat, uparcie ścierał brwi nad nosem, jakby chcąc je połączyć, poczęstował kopniakiem młodego mężczyznę, niemającego jeszcze dwudziestu lat, bez jednego słowa i - jak się wydawało - bez żadnego powodu.

Chłopak odwrócił się rozszluszczony nie tyle kopniakiem, ile świadomością swego cherlawego wyglądu, który nie pozwalał mu na oddawanie razów. Nie pytając o nic ojca, włożył rękę do kieszeni, wyjął manierkę z drewnianym korkiem i podał ją mężczyźnie.

- Cholera jasna, jeśli już teraz zaczniesz pić, to jak dociągniesz do nocy? - zachnął się patrząc na Rinauda starzec, wlokący po błocie ciężkie buciory na drewnianej podeszwie.

- Nauczyłem się pić od ciebie - odburknął Rinaud, otwierając manierkę, monotonnym i znudzonym głosem człowieka, który już tyle razy dał tę samą odpowiedź, że stracił nawet

zainteresowanie całym rytuałem rozmowy.

Starzec roześmiał się zadowolony i splunął flegmą.

- W kołysce się tego nauczyłeś - przytaknął z dumą. - I była to jedyna rzecz, jakiej udało mi się ciebie nauczyć.

Znów się roześmiał, splunął i pokiwał głową.

- Mleko z cycka i wódka z buraków to jedyne dwie rzeczy, które można tu pić, jeśli się nie chce wyładować na cmentarzu... bo tutejsza woda, jeżeli cię nie otruje, to na pewno przyprawi o kolkę...

I sennie, jak wół machający ogonem, klepnął ręką szyję, potarł skórę i zaklął.

- Cholerne komary! Przyssijcie się do mojego fiuta. W moim wieku i tak się tam już nic nie czuje.

- To powinienesz chodzić z nim na wierzchu - doradził chłopak, śmiejąc się głupkowato, przez co jednak jego tępe oczy ani trochę się nie ożywiły.

Ojciec oderwał na chwilę usta od flaszki i ugodził go kolejnym kopniakiem.

- Trochę szacunku dla dziadka, durniu - pouczył syna.

W tym momencie dwóch chłopaków około dwudziestki, którzy szli na przedzie, zebrало trochę błotnistego śniegu i zaczęło obrzucać kolegę śnieżkami, podśpiewując:

- Berto, trochę szacunku dla dziadka, jeśli nie chcesz, by cię zamknęli razem z bratem w Mieście Zwierząt.

Rinaud odwrócił się gwałtownie, uderzył w twarz pierwszego chłopaka, a drugiego chwycił za kołnierz lekkiej kurtki.

- Ten potwór nie jest jego bratem! - oświadczył groźnie, czerwony na twarzy, obserwując reakcję pozostałych. - Nie jest jego bratem ani moim synem! A kto mówi inaczej, ten będzie miał ze mną do czynienia!

Dwa złowieszcze kominy fabryczne, wyraźnie widoczne na horyzoncie na tle opalizującego nieba, wciąż buchały dymem i nasycaly powietrze słodką, duszącą parą z fermentacji o zapachu zgnilizny, która w najmniejszym stopniu nie przywodziła na myśl białego jak śnieg cukru, oczyszczanego w ich gardzielach. Nieopodal widać było robotniczą osadę, zbudowaną przez akcjonariuszy cukrowni. Okalające ją pola buraków połyskiwały w blednym świetle.

Dwaj mężczyźni odeszli od Rinauda. Berto popatrzył na nich, śmiejąc się szyderczo, i

splunął pod nogi.

Niebo zachowało jeszcze trochę blasku, jakby bało się ustąpić nadchodzącej nocy, która wyznaczała koniec starego i początek nowego wieku. Nagle robotnicy usłyszeli za plecami świst bata i stukot kół miażdżących kamienie na drodze. Odwrócili się i zobaczyli parę bladych, wytrzeszczonych niczym u krótkowzrocznego zwierzęcia oczu, które pojawiły się za czarnym murem za zakrętem i w miarę jak się zbliżały, stawały się coraz większe, rozsiewając wokół siarkowy blask. Karaluch, jak go wszyscy nazywali, był małym, czarnym, krytym, jednoosobowym powozem, niestabilnym niby postawiona pionowo trumna, ciągniętym przez małego, zwinnego konika. Pędził on drogą prowadzącą z cukrowni do miasta. Dwie lampy, umocowane przy siedzisku, przypominały parę oczu.

Karaluch dojechał do grupy robotników, zwolnił i zahamował.

- Rinaud - powiedział mężczyzna w wozie, ściągając czarne, skórzane lejce - ty nawet w ostatnim dnia roku nie potrafisz przestać się kłócić?

Rinaud odwrócił się. Mężczyzna uśmiechał się do niego. Dopiero co przekroczył trzydziestkę; jego długie i cienkie włosy były zebrane na karku w coś pomiędzy kucykiem a damskim kokiem z warkocza. Mimo czarnego ubrania wszystko w jego osobie było lśniące, począwszy od alabastrowej cery.

- Jest piękny jak anioł - szepnęła młoda robotnica, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby.

- Dobry wieczór, Chemiku - odpowiedział Rinaud, podchodząc do dziwnego pojazdu.

I zniżył głos, tak żeby inni go nie słyszeli:

- Wieczorem jest zebranie. Będziemy mówić o poważnych sprawach.

- I popijemy za darmo, co? - Mężczyzna w powoziku uśmiechnął się.

- Pewnie, żeby uczcić nowy wiek... który i tak będzie równie gówniany jak ten, co się kończy dziś w nocy.

- No wiesz, Rinaud! Dwudziesty wiek będzie przyszłością dla tych, którzy będą umieli go wykorzystać - zaprotestował mężczyzna w karaluchu. - Słyszałem, że w cyrku osobliwości, który dopiero co przyjechał, mają prawdziwe cuda. Założę się, że twój syn wolałby pójść tam, zamiast wysłuchiwać gadania o polityce.

I odwrócił się do Berta, który zerkał ukradkiem na wyściełane aksamitem i skórą wewnątrz pojazdu.

Tępe oczy chłopaka nagle rozbłysły. Twarz Rinauda natomiast spochmurniała.

- Ani ja, ani mój syn nie mamy pieniędzy do wyrzucenia.

- Według mnie, twój syn tak nie uważa.

Twarz Chemika o regularnych rysach, równie męskich, jak i kobiecych, jakby zatrzymanych w połowie drogi, rozplynęła się w uśmiechu. Wąskie dłonie w delikatnych rękawiczkach z koźlęcej skóry popuściły cugli i na odjeźdźnym, zanim jeszcze mężczyzna spiął konia, zwrócił się do Berta:

- Jeśli wejdiesz ze mną, nie będziesz musiał płacić. Zastanów się, chłopcze.

Potem karaluch ruszył. Kobiety, stare i młode, widząc, jak odjeżdża, przycisnęły dłonie do piersi, do serca. Ale też i mężczyźni się uśmiechali.

Karaluch odjechał już na jakieś dziesięć metrów, kiedy Berto rzucił się do przodu i pobiegł, wymachując rękoma.

- Natychmiast wracaj, sukinsynu! - krzyczał Rinaud, gdy Berto zniknął, uczepony tyłu wozu.

W oddali słychać było śmiech Chemika. Także robotnicy zanosili się śmiechem, widząc czerwoną twarz rozzłoszczonego Rinauda.

Tymczasem niebo zaczęło już dogasać, zaprzepaszczając w ciemnościach ostatnie godziny dziewiętnastego wieku.

Karaluch zjechał z drogi i skręcił w węższą dróżkę, pnącą się pod górę, której szczyt rozświetlały czerwone płomienie licznych pochodni.

Berto wychylił się zza powozu, uczepony go kurczowo skostniałymi z zimna rękoma. Już było widać zarys namiotu pomalowanego w szerokie, pionowe pasy w jaskrawych kolorach. Wyglądało to jak krzykliwa tęcza.

Chemik spiął konia ostrogami i przejechał obok grupy wrzeszczących wyrostków, którzy szli w tym samym kierunku.

- Słyszysz? - krzyknął do Berta. - Zaraz zacznie się zabawa! Na szczycie pagórka rozbrzmiewał echem czyjś głos. Jadąc, mijali innych ludzi - mężczyzn, kobiety, dzieci, starców, grubych i chudych. Wszyscy wpatrywali się w światła, które coraz wyraźniej błyszczały na niebie nad wzgórzem. Im byli bliżej i lepiej widzieli mężczyznę w cylindrze z megafonem przy ustach, tym ciszej pokrzykiwali i z coraz większym zainteresowaniem nadstawiali uszu.

- Zapraszam, dobrzy ludzie, przyjdźcie zobaczyć Człowieka-Maszynę! - krzyczał baryton.
- Na koniec wieku tylko cztery pensy za wstęp i pokaz. Pół srebrnej korony za zmierzenie się z Człowiekiem-Maszyną... i złoty suweren dla tego, kto go zwycięży! Wchodźcie, wchodźcie!

I wszyscy biegli do wejścia namiotu, przy którym ustawiono dwa stojaki z afiszami ukazującymi giganta z ciała i błyszczącego metalu. PÓŁ CZŁOWIEK, PÓŁ MASZYNA informował napis nielicznych, którzy umieli czytać. Mężczyzna z megafonem stał na czerwonej drewnianej skrzyni. Obok niego, między dwoma afiszami, bileter - w krzykliwym kostiumie ni to pogromcy zwierząt, ni to majordomusa, ozdobionym błyszczącym szamerunkiem - wsuwał przez cały czas do sakiewki zawieszanej na brzuchu monety od wchodzących.

Chemik zatrzymał wóz przed namiotem i wysiadł. Berto zeskoczył szybko i stanął za nim. Za wzgórzem widać było wielkie miasto, rozświetlone przez przygotowaną specjalnie na tę wyjątkową, ostatnią noc końca wieku iluminację, oświetlającą zarysy potężnych pomników, którymi chełpiło się miasto, i brązowe, cuchnące wody rzeki, która gasiła jego pragnienie.

- On jest ze mną - zwrócił się Chemik do biletera, rzucając osiem monet, gdy tymczasem cyrkowy służący podbiegł, aby chwycić konia za lejce, i zaprowadził go za namiot.

Bileter i mężczyzna z megafonem pochylili głowy z szacunkiem i spojrzeli przelotnie na Berta.

W środku powietrze było tak samo chłodne jak na zewnątrz, tyle że cięższe od zapachów. Ludzie tłoczyli się wokół sceny.

- Baw się dobrze dziś wieczorem - powiedział Chemik do Berta i poszedł w kierunku sceny. Robotnice pozdrowiały go z uśmiechem.

- Spójrz, jest też Chemik - mówiły do siebie, podziwiając jego wąskie i krótkie spodnie, zgodne z najnowszą modą, czarną marynarkę, dopasowaną i długą do połowy uda, czarną jedwabną koszulę i batystowy żabot.

W powietrzu rozległ się rój brzęczących nut, powtarzanych przez echo, tajemniczych i niemal złowieszczych. Podczas gdy na widowni milkł szum rozmów, arena powoli pogrążała się w ciemnościach. Dopiero wtedy Chemik zauważył po przeciwnej stronie małą orkiestrę. Po raz drugi napłynęły dźwięki instrumentów dętych, niskie, potężne, przerażające, i zapadła absolutna cisza. Przerzywały ją tylko lekkie instrumenty dęte, których wysokie, powolne nuty opowiadały o dalekich, egzotycznych lądach. Może to świt. A może narodziny. Żywszy dzwonek był - jak się wydawało - sygnałem do pojawienia się delikatnej poświaty w głębi areny, która zabarwiła ją na

czerwono. Postać stojąca pod światło, pośrodku kręgu, była ledwie widoczna i nie miała jeszcze wyraźnych konturów, ale publiczność już zapatrzyła się w nią z rozdziawionymi ustami, chłonąc magię. I niczym syn owego cichego dzwonka pierwszy rozległ się łagodny śpiew skrzypiec. Rozdzierający, melancholijny. Uwodzicielski i zmysłowy. Światło z głębi areny rozbliło, przechodząc z ostrej czerwieni w żywy, intensywnie pomarańczowy odcień, podczas gdy skrzypce wraz z harfą dalej kołysały zmysły publiczności. To nie był ani świt, ani narodziny. To była porywająca muzyka objawienia.

Nowe, miękkie, bursztynowe światło ukazało tylko twarz kobiety, która powoli odwracała się w stronę widzów. Na głowie miała turkusowy turban, miękko okalający czoło; kawałek materiału opadał na ramiona jak kosmyk włosów, błyszczący od małych lusterek, które załamywały i rozpraszały światło. Połowa twarzy była zakryta pomarańczowym woalem. Kobieta stała z zamkniętymi oczyma. Długa, czarna linia makijażu, która pięła się w górę, równie egzotyczna jak muzyka, podkreślała powieki. Kobieta poruszała rytmicznie głowę, kołysana przez porywającą grę skrzypiec. Nagle otworzyła oczy, szare jak tutejsza mgła, błyszczące i pełne podniecenia. Oczy, które skrywały namiętność. Oczy, które na nikogo nie patrząc, rzucały urok na wszystkich. Ponieważ spojrzenie kobiety zatopione było w świetle tajemnym. Delikatne światło wciąż padało na twarz, muskając zaledwie ramiona. Naraz kobieta podniosła rękę do pomarańczowego woalu. Srebrna bransoletka oplatała jej nadgarstek, a na grzbiecie dłoni spoczywała głowa węża, gotowego w każdej chwili ukąsić. Przesunęła palcami po górnej części woalu, jakby gładziła twarz. Długie palce poruszały się z wdziękiem i zmysłowością morskich fal. Kobieta znowu zmrużyła oczy, które zamieniły się w wąskie, szare szparki, emanujące rozkoszą i upojeniem, a w tym czasie ręka ściągnęła w dół woal i odkryła całą twarz. Skóra była błyszcząca i nieskazitelnie biała, jak porcelana. Usta czerwone, rozchylone, pełne i zachęcające.

Na widowni rozległ się szmer podziwu.

Chemik patrzył błyszczącymi, przejrzystymi oczyma na kobietę, która jeszcze niedawno była podlotkiem, i uśmiechnął się.

- Igenes... - wyszeptał po cichu, jakby mówił jej coś do ucha. - Igenes...

Światło, wtórując szybszemu rytmowi muzyki, otoczyło teraz już całą postać, ubraną w zwiewne, nałożone na siebie warstwy materii. A kobieta tańczyła, dając się ponieść muzyce, wykonując gwałtowne ruchy, jakby poruszały ją niewidzialne ręce i ciągnęły ją to tu, to tam. Tańczyła niby ofiara miłości i namiętności; pobudzone przez grę orkiestry, wypełniały ją one, by

za chwilę opuścić, wycieńczoną nieustającą walką między melancholią a zmysłowością.

Widzowie rozdziawiali usta. Nie pamiętali takiego piękna, które dałoby się z nią porównać.

W chwili gdy zdawało się, że muzyka ofiarowuje kobiecie moment wytchnienia, wycieńczona tancerka osunęła się na proscenium, zwracając twarz w kierunku widzów. Nieokrzesani robotnicy, którzy dopiero co podeszli bliżej, by lepiej widzieć, onieśmieleni jej urodą zrobili krok do tyłu. Szkarłatne usta kobiety były przymknięte i drżące. Szare oczy zdawały się płonąć. Wyciągnęła rękę do jednego z robotników stojących przed nią. Jakby chciała go do siebie przyciągnąć. Oczarowany i onieśmielony mężczyzna postąpił krok do przodu. Wyciągnął czarną dłoń, na której widać było odciski. Kobieta chwyciła ją i przymknęła oczy, następnie podniosła do ust, jakby chciała pocałować, ale w ostatnim momencie zmieniła kierunek, opuściła rękę w kierunku luźnego rąbka turbanu, który zwisał z proscenium. Spojrzała na robotnika i zmysłowym gestem zawiązała luźno na jego nadgarstku złożoną taśmę, ozdabiającą brzeg tkaniny. Muzyka znów nabrała żywiołowego charakteru, tancerka podniosła się w rytmie zmysłowych nut i zaczęła się ponownie kręcić wokół własnej osi, zmierzając ku środkowi areny. Rąbek turbanu wciąż był okręcony wokół przegubu robotnika i podczas gdy tancerka wirowała, turban rozwiązał się, ukazując widzom bujne, złote włosy, spięte na górze egzotycznym sznurem pereł i koralu.

Publiczność oszalała i nagrodziła ją burzą oklasków.

Kobieta biegała między jedną kulisą a drugą w rytmie głośniejszej i szybszej muzyki, gubiąc po drodze kolejne warstwy przezroczystej szaty i coraz bardziej odsłaniając idealne kształty, aż została niemal naga w obcisłym gorseciku, opasującym jej wąską talię i piersi tak białe, jakby słońce ich nigdy nie pieściło. Przez prześwitujące szarawary z muślinu, uszyte na orientalną modłę, widać było długie, zgrabne i zwinne nogi. Kobieta wciąż tańczyła i biegała niczym opętana, jakby jej ciało trawił ogień, od którego płonęły jej szare oczy.

Kiedy muzyka zaczęła zwalniać, ona była już cała zroszona potem. Nieliczne woale, które pozostały, przylgnęły do jej ciała. Muzyka stawała się coraz wolniejsza, idąc w parze ze zmęczeniem ciała tancerki. Jakby odurzenie zamieniało się w łagodny sen; jakby demon, który wstrząsał nią do tej pory, ustępował miejsca magii.

I kiedy Ignis i muzyka zapadały w senne rozmarzenie, lampy gazowe, zarówno na widowni, jak i na arenie, zaczęły gasnąć, pozwalając nadejść nocy.

Tancerka prawie całkiem zamarła bez ruchu. Obróciła się wokół własnej osi, z dłońmi zmysłowo zaciśniętymi na piersiach, zamknęła oczy, jakby poddając się wyśnionemu uściskowi spełnionej namiętności, i powoli zaczęła układać się na scenie, pogrążona w swoim świecie.

Widzowie ściszyli pokrzykiwania i wyteżyli wzrok, próbując przeniknąć narastające ciemności, dopóki - przez krótką chwilę - nie zapadnie całkowita ciemność i cisza.

Przez chwilę, podczas której Chemik zamknął oczy, aby pogrążyć się w kompletnej czerni, i znów wyszeptał:

- Ignes, mój umierający ogieńku...

Wtedy ciszę gwałtownie przerwał ostry i przeszywający dźwięk bębnów i instrumentów dętych, niczym odgłos z wnętrza Matki Ziemi; po tej eksplozji arena zaczęła wypełniać się dymem i ciemności rozdarło intensywne światło kilku lamp, skierowanych na środek proscenium - oślepiający, zimny, błękitny odbłask nafty, odbity i zwielokrotniony przez skomplikowany i zmyślny system luster i szyb.

Publiczność zaszemrała, zauroczona sztuczkami.

Tam gdzie wcześniej ludzie widzieli Ignés, teraz - wśród opadającego dymu - zaczęła się wynurzać monstrualnie wielka postać. Atrakcja, za którą zapłacili cztery pensy, patrzyła na nich niewzruszona. Oto on, wyższy o dwie piędy od wysokiego mężczyzny, matowy i lśniący jednocześnie - Człowiek-Maszyna.

Tłum robotników i chłopów patrzył oniemiały.

Człowiek-Maszyna zbliżył się o krok, ciężko i niezgrabnie, zadudniwszy o pustą pod spodem arenę. Kolejny krok. Lampy naftowe podążały za nim, tak samo mechanicznie. Człowiek-Maszyna zatrzymał się i podniósł ręce, ukazując swą majestatyczną postać.

Na widowni podniósł się niewyraźny pomruk.

Głowę Człowieka-Maszyny stanowiła okrągła czaszka z błyszczącego mosiądzu, skrecona pośrodku śrubą; wystawały z niej pojedyncze, długie pasma zszarzałych płowych włosów. Nieproporcjonalne uszy wyglądały tak, jakby zostały prowizorycznie doczepione po obu stronach głowy i falowały sztywno jak w maskach z papier mâché. Skóra twarzy przylegała bezpośrednio do czaszki, pozbawionej ciała i mięśni. Kości policzkowe były wysokie i wystające. Oczy potwór miał szkliste i bez wyrazu, osadzone między dwiema metalowymi płytkami, także przymocowane śrubami. Płytki pełniły funkcję powiek. W nagłej ciszy, która zapadła po jego wejściu, stojący najbliżej sceny widzowie usłyszeli chrzęst metalu, gdy

Człowiek-Maszyna zamrugął powiekami. Skóra wchodząca pod mosiężne płytki, w których znajdowały się oczy, była pomarszczona. Górna warga nie istniała. Na jej miejscu znajdował się wąski pasek mosiądzu, przyśrubowany na obu końcach. Dolna szczęka była prostokątna i też wyglądała jak naga kość, obciągnięta skórą. Skórą suchą, zniszczoną. Połączenie stawowe znajdowało się na zewnątrz, co kazało przypuszczać, że w środku tkwi metalowy sworzeń, pozwalający monstrum otwierać i zamykać usta, pełne idealnie prostokątnych, małych, jednakowych ząbków z kości słoniowej. Od każdego sworznia odchodziły jednakowe, proste kołki mosiężne, które poprzez szereg dobrze naoliwionych przegubów schodziły się na środku klatki piersiowej, tworząc prostokątny mechanizm. Z niego wystawała płaska i błyszcząca sztabka, znikająca w dziurce od guzika białej koszuli z okrągłym kołnierzykiem, jak u księdza. Skóra powyżej materiału była rozcięta pośrodku, niby makabryczna kurtyna, i ukazywała strukturę szyi, składającą się z mosiężnych walców. Na koszulę Człowiek-Maszyna miał narzuconą luźną marynarkę z ciężkiego materiału, w kolorze zieleni tak ciemnej, że niemal czarnej, z wykładanymi klapami, ozdobionymi na brzegach delikatnym czerwonym haftem w owalne i geometryczne wzory. Ramiona były szerokie, ale kościste; podobnie jak twarz, również resztę ciała tworzył jeden szkielet - czy też raczej rama - pozbawiony mięśni. Miękkie czarne spodnie opadały na parę ciężkich butów, wystarczająco szerokich, by zapewnić olbrzymowi stabilną podstawę. Z rękawów wystawały ręce ukształtowane tylko połowicznie i ostro zakończone metalową płytką, z której wychodziły grube, zmyślnie skonstruowane palce. Były gołe, jak inne kości z mosiądzu, i wyposażone w przeguby, ścięgna oraz stawy. Pokazując się publiczności, Człowiek-Maszyna zaciskał je i rozwierał z głuchym chrzęstem niczym dwa potrzaski.

Początkowe zaskoczenie opadło, bo atrakcja, za którą wszyscy zapłacili cztery pensy, wyglądała jak olbrzymia mumia.

- To starzec! - wykrzyknął ktoś na widowni.

Natychmiast tłum robotników i chłopów wybuchnął nerwowym, gromkim śmiechem, wyrażającym zarówno szyderstwo, jak i strach.

Zza kulis wyszedł mężczyzna około siedemdziesiątki, o pożółkłej cerze i rysach twarzy świadczących, że w młodości musiał być niezwykle urodziwy. Na starannie dobrany strój miał narzucony prześwitujący jedwabny szlafrok.

Na jego widok twarz Chemika stężała.

- No to nie będziesz się bał wyzwać tego starca! - zwrócił się właściciel cyrku do niedowiarka, kiedy śmiechy umilkły. - Ale cię nie widzę. Pokaż się.

Masa robotników i chłopów rozwarła się niemal z satysfakcją, odsuwając się od człowieka, który wcześniej krzyczał.

- To ty - orzekł właściciel, wyłowiwszy wzrokiem z tłumu mężczyznę około trzydziestki o zwinnym, nerwowym, muskularnym ciele.

- Nazywam się Sciron i jestem konstruktorem Człowieka-Maszyny, który tak cię śmieszy. No dalej, wyzwij go na pojedynek.

- Jestem robotnikiem. Nie wyrzucę pół korony w błoto - odparł mężczyzna, próbując się wycofać.

- Dlaczego zaraz w błoto? - rzekł Sciron. - Przecież nic nie ryzykujesz, walcząc ze... starcem, jak go nazywasz. W mgnieniu oka zarobisz złotego suwerena.

- Mogę się założyć, że znalazłbyś sposób, żeby nie wypłacić tego, co mi się należy - odparł robotnik, biorąc się pod boki i zaciskając pięści w geście wyzwania.

Z widowni podniósł się szmer poparcia.

- Teraz widać, co z ciebie za jeden - rzekł z westchnieniem Sciron, lekko przechylając w bok głowę. - Lubisz dużo gadać i tyle.

Publiczność roześmiała się. Mężczyzna poczerwieniał ze złości. Wtedy Chemik płynnym gestem wsunął rękę do kieszonki kamizelki, wyjął monetę i rzucił ją na arenę.

- Oto pół korony! - krzyknął do robotnika. - Ja zaryzykuję. Pobjij tego... starca.

Sciron odwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos. Kiedy zobaczył Chemika, zamarł na chwilę. Jego długa, żółta twarz stężała. I choć z pewnością targała nim nawałnica emocji, nie okazał tego. Twarz, która kiedyś musiała być piękna, nie rozplynęła się w uśmiechu ani nie skrzywiła niechętnie, nie zdobyła się ani na pozdrowienie, ani na odburknięcie. Sciron, wpatrując się wciąż w ubranego na czarno mężczyznę, podniósł monetę. Lekko skłonił się w stronę Chemika, podszedł do Człowieka-Maszyny i położył mu dłoń na ramieniu.

- Zakład przyjęty! - zawołał donośnie, choć tak naprawdę zwracał się tylko do Chemika.

Mężczyźni stojący wokół robotnika wypchnęli go do przodu. I wszyscy widzowie, gdy tylko znalazł się w zasięgu ich rąk, popychali go dalej, aż dotarł do skraju areny.

Chemik podszedł do robotnika, przymknął duże, ciemne, szkliste oczy o długich czarnych rzęsach, chwycił go za rękę i podniósł ją do góry.

- Oto nasz bohater! - wykrzyknął.

Potem roześmiał się. I natychmiast odwrócił głowę w kierunku Scirona, stojącego wciąż na środku areny obok Człowieka-Maszyny. Już się nie śmiał. Patrzył na starszego mężczyznę, jakby czekał na jakiś znak.

Robotnik odwrócił się do publiczności, która zagrzewała go głośno do walki, i zgrabnie wskoczył na arenę.

Człowiek-Maszyna stanął naprzeciwko, ruszając się powoli, jakby się wahał. W ciszy usłyszeć można było lekki zgrzyt mrugających metalowych powiek.

Sciron opuścił scenę i po krótkiej chwili pojawił się na widowni obok Chemika.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, Stigle - powiedział.

- Nigdy pan nie odpowiedział na moje listy - rzekł Chemik. Sciron wzruszył ramionami.

- My, obieżyświaty, nie mamy czasu na literaturę - wyjaśnił chłodno.

- Wciąż mi pan nie wybaczył?

- Stigle, ty jesteś osobą, której wszyscy wszystko wybaczą. Czyż nie tak? - Stary Sciron uśmiechnął się.

- Pańskie przebaczenie liczy się dla mnie bardziej niż cokolwiek na świecie - rzekł Chemik.

Robotnik na scenie zrobił błyskawiczny wypad i uderzył olbrzyma pięścią w sam środek klatki piersiowej. Człowiek-Maszyna tylko lekko się zachwiał i od razu odzyskał równowagę. Wyciągnął lewą rękę, zacisnął dłoń i zadał cios. Jednak był zbyt powolny i robotnik uchylił się, unikając uderzenia z góry, i znów zrobił wypad, wymierzając cios w bok przeciwnika. Po raz drugi, mimo iż atak był silny i precyzyjny, nie wywołał żadnej reakcji poza chwilowym zachwianiem się Człowieka-Maszyny.

Widownia zagrzewała robotnika do walki.

- Widziałeś ją? - spytał Sciron Chemika.

- Jest jak zawsze piękna - odrzekł Stigle.

- Jest jak zawsze moja - sprostował twardo Sciron.

- Nie jestem tu dla niej. Jestem tu ze względu na pana.

- Nie będzie cię chciała i tym razem.

- Jestem tu ze względu na pana - powtórzył Chemik. Sciron wpatrywał się w niego z cynicznym wyrazem twarzy. Stigle milczał. Jego szkliste oczy badały twarz Scirona.

- Zawdzięczam wszystko panu - powiedział w końcu. - To pan uczynił ze mnie człowieka, którym teraz jestem.

Spojrzenie Scirona złagodniało.

Człowiek-Maszyna zaczął młócić obiema rękoma od góry, ale jego przeciwnik był zbyt szybki i z dużym wyprzedzeniem uchylał się od ciosów. Robotnik odwrócił się do publiczności, która wiwatowała na jego cześć, i oczy zapłonęły mu dumą. Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Chemika.

Chemik pod marynarką przycisnął rękę do serca. Wyjął chusteczkę z czarnego jedwabiu i rzucił mu ją, parodiując średniowieczną damę.

- Rycerzu - rzekł z uśmiechem - broń mojej czci. Rozbawiona widownia wybuchnęła śmiechem.

Robotnik poczerwieniał ze złości i zacisnął szczękę; jego rozszerzone nozdrza drgały, gdy chusteczka Chemika poszybowała na deski sceny wśród krzyków tłumu.

- Widzę, że cię kochają - powiedział Sciron.

- Robię dla nich coś bardzo ważnego.

- Ja bym nic nie zrobił dla tej bandy głodomorów.

- To dlaczego pan tu jest? - zapytał Stigle.

Sciron nie odpowiedział i zapatrzył się na publiczność.

- Szuka pan kogoś? - spytał go Chemik.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? Ponieważ pewien człowiek dał mi sakwę pełną złotych monet, żebym rozbił mój namiot właśnie na tym wzgórzu - odparł Sciron.

- Ktoś panu zapłacił za pokazanie tu widowiska?

- Sakwą pełną złotych monet - potwierdził Sciron. - Ale nie wiem, kto i dlaczego.

- Może to jeden z akcjonariuszy cukrowni - powiedział Stigle, jakby zastanawiał się głośno. - Boją się strajku. Może chcą, by robotnicy nie zaprzęтали sobie głowy socjalistycznymi ideami... a jeśli tak, to wątpię, żeby udało się panu odkryć jego tożsamość.

- Tak, możliwe... Ale jakoś mi niezręcznie wracać do królestwa Hrabiego bez Rękawów - odparł Sciron, kiwając głową. I roześmiał się. - Ale sakwa pełna złotych monet pozwala mi znieść wszelkie niedogodności.

Tymczasem robotnik wykonał nagły zwrot, pozorując atak, i po chwili, kiedy Człowiek-Maszyna próbował przenieść ciężar ciała, by odparować spodziewany cios, okrążył go

z nadzwyczajną prędkością i znalazł się za jego plecami. Ugiął kolana i obiema rękoma chwycił olbrzyma za kostkę u nogi. Rzucił wyzywające spojrzenie Chemikowi i pociągnął ze wszystkich sił.

Człowiek-Maszyna chwiał się przez długą chwilę - podczas gdy publiczność nagle zamilkła, wstrzymując oddech, świadoma tego, co za moment nastąpi - i runął na ziemię, na twarz.

Chrzęst metalu był przerażający.

Od uderzenia pękła i wysunęła się szczeka olbrzyma. I gdy echo straszliwego upadku milkło, jedna ze śrub potoczyła się po drewnianej podłodze, uwolniwszy się z łuku brwiowego, wykonanego z błyszczącego metalu. Chemik natychmiast ją pochwycił.

I dopiero wtedy, gdy ten mały, nie nieznaczący dźwięk ucichł, na widowni nastąpił wybuch entuzjazmu, krzyków, huragan gwizdów i braw.

- Obawiam się, że stracił pan suwerena - powiedział Stigle do Scirona.

Człowiek-Maszyna leżał na ziemi nieruchomy. Pokonany.

Robotnik uśmiechnął się zadowolony z siebie, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Następnie zrobił krok naprzód, w kierunku proscenium, aby napawać się tą chwilą popularności, aby pooddychać atmosferą, której życie nigdy mu nie zaoferowało.

- Chcę mego suwerena! - krzyknął.

Robotnik patrzył na tłum przed sobą, myśląc, że Człowiek-Maszyna zepsuł się jak zabawka. Patrzył prosto przed siebie i grubym butem na drewnianej podeszwie, jakie nosili robotnicy, kopnął przez nieuwagę Człowieka-Maszynę w szczękę. Prawie się potknął, spojrzał w dół i śmiejąc się, podniósł wzrok.

- Wygrałem! - krzyknął.

Tłum wiwatował. Człowiek-Maszyna leżał na ziemi.

Robotnik podniósł zaciśnięte pięści do góry w geście szaleńczej radości. Za krótka koszula wysunęła mu się ze spodni, więc opuścił ręce i wcisnął ją za pasek, by znów oddać się swemu szczęściu.

Nie zauważył, że widzowie nagle zamilkli.

Nie dojrzał tego, co widzieli inni. Nie spostrzegł Człowieka-Maszyny, który na wpół się podniósł, wsparty na łokciu, i wyciągnął drugą rękę w kierunku jego kostki u nogi. Poczł tylko zaciskające się metalowe palce. Ale ponieważ nabrał już powietrza w płuca, w ciszy, którą

odbierał jako należny mu podziw, zdążył krzyknąć, nie mogąc się powstrzymać:

- Wygrałem! - Ale nawet jemu własna radość wydała się nie na miejscu.

Potem ludzie wzdrygnęli się, słysząc chrzęst kości miażdżonych ręką Człowieka-Maszyny, która zacisnęła się nad butem z drewnianą podeszwą.

I dopiero później, gdy zaskoczenie nagłym chrupnięciem minęło, robotnik wydał z siebie okrzyk bólu. A wszyscy patrzyli, jak Człowiek-Maszyna, pochylony nad kostką u jego nogi, szarpie ją z całych sił.

Robotnik z krzykiem upadł na twarz, tak jak wcześniej jego rywal. Rozbił sobie nos i połamał zęby. Leżał chwilę ogłuszony, potem odwrócił się nagle i znów zaczął wrzeszczeć, wyciągając rękę w kierunku kostki, której Człowiek-Maszyna nie przestawał miażdżyć.

Sciron zapalił cienkie ciemne cygaro. W jego zimnych oczach pojawił się błysk zadowolenia.

- Przegrałeś - powiedział cicho do Chemika.

- Jeśli pan wygrał, to wygrałem i ja - odrzekł Stigle. Sciron dmuchnął mu w twarz chmurkę gęstego dymu.

- Mogę pana jeszcze kiedyś odwiedzić? - zapytał Stigle. Robotnik wciąż krzyczał z bólu.

- Przestań - rozkazał Sciron metalowemu potworowi. Człowiek-Maszyna natychmiast posłusznie zwolnił ucisk, a jęczący robotnik z rozbieganymi oczami przyciągnął stopę do piersi.

- W każdej walce zawsze potrzebna jest odrobina honoru - zwrócił się Sciron do publiczności, wskazując poźólkłą dłonią o długich palcach leżącego na ziemi robotnika. - Nawet istota, która tylko w połowie jest człowiekiem, a w drugiej połowie dziełem naukowego geniuszu, sprzeciwiła się tej haniebnej, niehonorowej postawie... Nie wolno atakować od tyłu, jak tchórz...

Wielu widzów zmanifestowało swe poparcie. Pokonany przed chwilą bohater stał się wrogiem. Ofiarą.

- Ale ponieważ przysięga Hipokratesa nakazuje mi pomóc rannemu, nastawię nogę temu tchórzowi jedynie za dwa szylingi...

Sciron spojrzał na robotnika surowo i bez litości.

- Masz dwa szylingi w kieszeni... kuternogo?

Tymczasem Człowiek-Maszyna, przy pomocy biletera i mężczyzny w cylindrze, z megafonem, którzy ochoczo wbiegli na scenę, podniósł się i niezgrabnie pokłonił publiczności. A

może tylko Chemikowi. Szczęka dyndała mu w powietrzu, przymocowana tylko do jednego sworznia. I sztywnym krokiem zszedł z areny.

Wtedy mężczyzna, który na dworze zachęcał widzów, aby obejrzeni przedstawienie, położył megafon i cylinder na ziemi, wziął robotnika pod pachy i obrócił go, ukazując wszystkim na krótką chwilę jego zakrwawioną twarz. Potem zaczął go ciągnąć za kulisy, znacząc drewniane deski jaskrawą czerwieńią, wypływającą z rany nad butem. W połowie drogi bileter z brzęczącym woreczkiem monet, zawieszonym na szyi, podszedł do nich, chwycił robotnika pod kolana, obrócił go i po chwili wszyscy trzech znikli widzom z oczu.

Sciron kazał orkiestrze zagrać jakiś kawałek. Na arenie natychmiast pojawiła się Ignés. Dziewczyna spojrzała na Scirona i po chwili rozpoznała Chemika. Jej szare oczy pociemniały na moment, ale zaraz ponownie skierowała wzrok na starszego mężczyznę. Ten sięgnął po jedwabną chusteczkę Stigle'a, która wciąż leżała na deskach sceny, i wyciągnął ją w kierunku zbliżającej się Ignés.

- Stary przyjaciel przyszedł do nas z wizytą - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy i czekając na jej reakcję.

- Mnie go nie brakowało - odparła. Sciron roześmiał się.

- Bądź hojna dla publiczności... - rzucił i wsunąwszy chusteczkę za dekolt dziewczyny, ukazał widzom białą jak mleko pierś tancerki.

- Podaj mi megafon - powiedział Sciron do Stigle'a. Chemik wychylił się i chwycił urządzenie.

- Niech żyje nowy wiek! Niech żyje wiek dwudziesty! - zawołał stary człowiek przez megafon, przekrzykując wrzawę rozbawionych widzów.

- Niech żyje nowy wiek! - odpowiedział jak echo tłum. - Niech żyje Sciron! Niech żyje Człowiek-Maszyna!

Sciron dał znak ludziom za kulisami. Orkiestra zaintonowała patetyczny komentarz muzyczny.

Część namiotu za areną podniosła się jak kurtyna, ukazując na tle ciemnej nocy rozciągające się za wzgórzem wielkie miasto.

- Niech żyje nowy wiek! - wydierał się tłum. - Niech żyje nowy wiek!

- Bawcie się dobrze! - krzyknął Sciron przez megafon. - Już za minutę północ! Niech żyje wiek dwudziesty!

- Niech żyje nowy wiek! Niech żyje nowy wiek!

Ale w tym momencie wpadł na widownię dziesięcio-, a może jedenastoletni chłopiec z brudną buzią. Uczepił się rękawa wiwatującego robotnika i z trudem krztusił urywane słowa. W oczach miał przerażenie zbyt wielkie jak na swój wiek. Mężczyzna nie słuchał go i dalej sławił nowe stulecie. Chłopiec puścił więc jego rękę i przecisnął się przez świętujący tłum, torując sobie drogę łokciami i kuksańcami. Krzyczał o tragedii, ale nikt nie był w stanie go usłyszeć. W końcu dotarł do areny. Kiedy odwrócił się do tłumu, wielu zauważyło, że brud na jego buzi jest rozmazany przez strużki łez.

- Nie żyją! Wszyscy nie żyją! - krzyczał dzieciak, wymachując rękoma i próbując uciszyć ludzi. - Nie żyją!

Tłum robotników i chłopów zaczął cichnąć, począwszy od tych, którzy stali najbliżej, poprzez kolejnych, niczym fala, by w końcu całkiem umilknąć. Orkiestra przestała grać, a zdyszana Ignés tańczyć.

- Wszyscy nie żyją... - powtórzył chłopiec w upiornej ciszy, jaka zapadła.

Kobiety na widowni przeżegnały się.

- Wszyscy nie żyją... - raz jeszcze krzyknął chłopiec stojący w obramowaniu panoramy miasta. - W willi Neefów... rzeź...

Wtedy rozległ się suchy trzask wybuchających sztucznych ogni, w których blasku świat świętował koniec 1899 roku i początek nowej ery.

CZEŚĆ PIERWSZA

VIII

Milton Germinal obudził się raptownie, kiedy noc przechodziła już w świt. Bez tchu. Z płucami ściśniętymi przez skurcz, który nie miał zamiaru ustąpić. W końcu odetchnął. Nagle. Jakby uczył się od początku oddychać. Jakby rodził się na nowo. Jak niemowlę. Wgryzając się w powietrze, łapczywie zatapiając w nie zęby. Leżał nieruchomo, zemdłony zapachem absyntu, który wsiąknął w łóżko, podczas gdy on się uczył oddychać.

Było zimno. Podgrzał na spirytusowej kuchence kawę z poprzedniego dnia, nalał dużą filiżankę, i namoczył w niej szczerstwiały chleb. Posiliwszy się, wyszedł.

Miasto zdawało się wyludnione, martwe. Pierwszy świt nowego wieku objawił się bez istot ludzkich, jakby nikt nie przeżył. Przez gęstą, wilgotną mgłę Germinal dostrzegał na ziemi pozostałości świętowania. Rozbite butelki, resztki jedzenia, wszędzie śmieci. Nawet tu, w

dzielnicy położonej blisko ośrodków władzy i bogactwa.

Germinal zadygotał, zaciskając na piersi grubą pelerynę przeciwdeszczową. Dotarł do ciemnego zaułka, gdzie poprzedniego dnia chwycił go strach, i znów oparł rękę o plandekę okrywającą jego pojazd i zdjął ją z motocykla. Był to prototyp Daimlera. W mieście widział jeszcze tylko jeden taki. I parę welocypedów. Po kilku próbach udało mu się uruchomić silnik.

Mijał migający przed nim szereg okazałych kamienic, przeciął szeroką aleję, obsadzoną drzewami, przejechał przez most z białego kamienia, pod którym przepływała mulista rzeka, obojętna na nowy wiek. Dodał gazu, nie zwracając uwagi na ścięgna w nogach, kurczące się od zimnego powietrza, które mroziło mu twarz naznaczoną koszmarami.

Nagle znalazł się w mrocznym świecie, zbudowanym ze starych, rozpadających się kamienic o zapadłych dachach i powybijanych oknach, wyglądających jak niewidzące oczy. Przecinały je deski wypłowiałe od mijającego czasu. Domy te stały obok drewnianych baraków, zagubionych wśród ulic niemających logiki ani kierunku, przyklejonych przypadkowo jeden do drugiego, z ubikacjami na zewnątrz i okrągłymi blaszanymi pojemnikami, w których tliła się odrobina ciepła i nędznego żaru, trawiącego nieprzydatne już ubrania, torf i węglowy pył. Powietrze przepełniał wszędobyłski, ostry zapach brudu, biedy, ziemi użyźnianej ludzkimi odchodami oraz smród moczu kotów, myszy i psów, który górował nad mniej kwaśnym fetorem ludzkiej uryny.

Germinal zatrzymał się, wciąż sam w tym nowym wieku, i oparł motocykl na podnóżku. Obrócił się, próbując wycenić ciężar tutejszej biedy i przygnębienia. Próbował dostrzec przez mgłę, która powoli rzedła, czy rzeczywiście w dole wznosi się miasto, z którego on pochodzi. Ale go nie zobaczył.

Był sam - gdy tak rozglądał się wokół niby w pociesznym walcu, którego jedyne dźwięki pochodziły z miarowego warkotu silnika motocykla - jak na polu bitwy, opuszczonym przez wojska. Zgasił motor.

Wtedy usłyszał za sobą hałas. Odziana w szmaty kobieta pchała przed sobą drewniany, w połowie pusty koślawy wózek, który miał jedno koło większe od drugiego. Przystawała co chwila, podnosiła coś z ziemi, oglądała, podsuwając przedmiot niemal pod nos, i kładła do wózka lub rzucała w błoto. Krok za nią szła pokryta parchami suka o wyciągniętych sutkach i obwąchiwała to wszystko, co odrzuciła stara kobieta. Od czasu do czasu coś żuła, niemrawo machając ogonem.

- Może mi pani powiedzieć, gdzie tu jest komenda policji? - krzyknął do starej Germinal.

Suka zaszczeła i warknęła, a kobieta przyspieszyła kroku i nie odpowiedziawszy, znikła za barakiem.

W tym momencie Germinal zauważył, że nie jest sam. Kilkadziesiąt osób obserwowało go z kamienic, które tylko wyglądały na opuszczone, i podglądało przez szpary między deskami w barakach.

- Jestem inspektorem policji! - krzyknął Germinal do wlepionych weń oczu. - Gdzie komisariat?

Pierwszy wyszedł mężczyzna o szpakowatych włosach, brudnych i potarganych, niczym zapuszczona broda, i intensywnie niebieskich oczach, które błyszczały, jak drogocenne kamienie w chudej twarzy o ostrych rysach, umazanej tłuszczem. Za pasem miał dwa noże. Dwa stare noże z wyszczerbionymi ostrzami. Za nim postępowała grupa jednakowo obdartych mężczyzn, kobiet i dzieci. Po chwili z kamienic i baraków zaczęli wychodzić kolejni. Otaczali Germinala w ciszy. Wszyscy mieli anemiczną cerę, płowe włosy, przyklejone do czaszki, ciała sztywne od wysiłku. Byli brzydacy brzydotą typową dla głodujących.

Germinal chwycił pistolet i wyciągnął go, nie celując w nikogo, ale trzymając broń tak, aby wszyscy ją dobrze widzieli.

Mężczyzna z dwoma nożami za pasem roześmiał się. I zaraz potem roześmiali się wszyscy inni, nie marnując jednak zbytnio oddechu. Ten śmiech był niczym powiew wiatru, który unosi tylko suche liście. Większość twarzy - także młodych - była całkowicie bezzębna.

W końcu, kiedy zbiorowy śmiech umilkł, pośród kolejnych kichnięć i ataków kaszlu, mężczyzna z dwoma nożami, nie mówiąc ani słowa, wyciągnął rękę w kierunku ulicy, która ginęła we mgle. Nic więcej.

Germinal powoli schował pistolet za pas, uruchomił silnik i odjechał we wskazanym kierunku. Nikt się do niego nie odezwał, nikt się nie poruszył. Ale gdy był już daleko, usłyszał śmiech, rozmowy i klótnie, jakby życie zatrzymało się tylko na chwilę, by prześledzić jego przejazd.

Jechał z prędkością ludzkiego chodu i nagle dzielnica, choć nadal była obmierzła i nędzna, radykalnie się zmieniła, stając się odrobinę elegantsza i mniej surrealistyczna. Ludzie na ulicy byli czymś zajęci. Żebrak wyglądający jak mumia stał z wyciągniętą ręką, wykrzywioną od artretyzmu i okręconą szmatami, które kiedyś były pewnie jasne. Domokrażca wskazywał na

przyczepę swego wózka, zachęcając do zakupu pozbawionych barwy owoców. Niektóre ulice były brukowane, a przy chodnikach przycupnęły sklepiki. Germinal ujrzał małą pracownię krawiecką, sklep wielobranżowy i piekarnię. Natknął się na gazeciarza sprzedającego dzienniki i na kobiety, które choć skromnie ubrane, miały wstążki we włosach i rękawiczki na rękach. Ostrzący brzytwy cyrulik wyszedł ze swego zakładu, ukłonił się z uśmiechem i krzyknął:

- Motocykl! Tak, moi państwo, to się nazywa motocykl!

Germinal wyminął dwa stare powozy i dwukółkę. Widział rozkwitające lampy naftowe, gospody i szynki. Poczul w powietrzu zapach kwiatów i intensywny fetor zgnilizny z pobliskiego bazaru, z którego dochodziły pokrzykiwania sprzedawców. Usłyszał bzyczenie much w jatce, gdzie pomocnik rzeźnika rozbierał ćwiartkę wołu, przejrzał się w szybie wystawowej sklepu z alkoholem i ujrzał w górze, na tle zaczerwienionego od świtu nieba, dym z kominów, który barwił mgłę na czarno. Przystanął.

- Gdzie jest posterunek policji? - zapytał przechodnia. Mężczyzna patrzył przez dłuższą chwilę na motocykl, a potem podniósł wzrok w kierunku, skąd dochodził głos. Zlustrował Germinala od butów po czubek głowy i powiedział:

- Pan jest z miasta, prawda?

Germinal przytaknął, dziwiąc się w duchu, że mężczyzna nie uważa swej dzielnicy za miasto.

- I przejechał pan przez Piekło? - dodał mężczyzna, poprawiając okulary na nosie. - Ma pan dużo szczęścia, że pan żyje. Następnym razem radzę jechać okrężną drogą, kiedy będzie się pan tu wybierał. To dłuższa trasa, ale przynajmniej nikt nie poderżnie panu gardła.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie jest posterunek policji?

- Pan jest dziennikarzem? Przyjechał pan w związku z tą rzezią?

- Jestem inspektorem policji.

- Aha... mówiono, że ma przybyć wielu dziennikarzy, ale do tej pory żaden się nie pojawił... a pan myśli, że przyjadą?

- Może mi pan wskazać, gdzie jest posterunek policji?

- To tu. Trzeba skręcić za róg i będzie pan na miejscu.

Na przystawkę podano mu zwłoki majordomusa, służącej i kucharki.

Jego asystent - młody chłopak, który musiał przerwać studia medyczne ze względów

finansowych - o dłoniach smukłych jak u chirurga lub zegarmistrza i żołądku odpornym jak u rzeźnika, ułożył je po kolei na stole sekcyjnym, oświetlonym snopem światła z trzech lustrzanych lamp. Młody mężczyzna pod kierunkiem doktora Noverre, dyrektora Instytutu Upośledzeń, dokonał już zwyczajowych nacięć, usunął wnętrzności i zbadał ich zawartość na podstawie śladowych pozostałości w żołądkach. Proces trawienia zakończył się, nim zostali zabici, i doktor Noverre kazał asystentowi zapisać w raporcie przygotowywanym dla władz, że morderstwa nastąpiły najprawdopodobniej między godziną piątą a szóstą poprzedniego wieczoru. Kucharka nie miała żadnych ewidentnych zmian patologicznych oprócz nadmiaru tkanki tłuszczowej, zgromadzonej głównie na piersiach i pośladkach. Otyłość, jak wskazywały wstępne badania resztek pokarmowych w wyjątkowo rozepchanym żołądku, należało przypisać raczej nadmiernemu spożywaniu likierów do ciast niż obżarstwu. W przypadku majordomusa popuszczenie moczu w chwili zgonu świadczyło, jak dowodziły precyzyjne nacięcia i badania - o znaczącym przeroście prostaty. Z kolei u służącej stwierdzono wycieńczenie organizmu, które mogło być chroniczne lub wywołane dokonaną prymitywnie aborcją, przynajmniej rok wcześniej. Zabieg musiał być bolesny i spowodować duże krwawienie, czego dowodziły blizny na ściankach macicy, pozostałość po ranach zadanych ostrym żelaznym narzędziem w kształcie gracy, którym ktoś zbyt brutalnie manipulował, z pewnością ryzykując przez to zabicie nie tylko płodu, ale też i matki.

Po zakończeniu pierwszej serii badań doktor Noverre kazał przełożyć żołądki trzech ofiar - dokładnie opłukane z nieczystości - do szklanych pojemników, wypełnionych płynem konserwującym i oznaczonych datą oraz nazwiskiem zmarłego właściciela. To samo nakazał zrobić z jelitami. W kolejnym pojemniku umieszczono prostatę majordomusa, a w następnym macicę służącej. Wszystkie pojemniki zostały następnie zamknięte metalowymi pokrywkami i zapieczętowane żywiczną masą.

- Czekając na panią Neef, dokończymy raport dla komisarza Landaua - zwrócił się lekarz do młodego asystenta.

- Nie chce pan, żebym ich zaszył, doktorze Noverre?

- Po co kraść robotę właścicielowi zakładu pogrzebowego, Jasperze? On się zajmie ich załatwianiem.

Asystent poszedł umyć zakrwawione ręce, ściągnął fartuch i z nieśmiałym uśmiechem pomógł doktorowi usiąść w fotelu obitym kwiecistym materiałem, który aż kłuł w oczy w tym

ciemnym pomieszczeniu, przesyconym fetorem i relikdami śmierci. Następnie usadowił się przy biurku, zanurzył pióro w kałamarzu i trzymając je w powietrzu, czekał na sporządzenie notatki z sekcji zwłok.

- W dniu dzisiejszym, pierwszego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku, ja, niżej podpisany, doktor Noverre, poświadczam, że zarówno majordomus, kucharka, jak i... Nie mówię za szybko?

- Nie, nie... poświadczam, że... - powtórzył Jasper, podczas gdy pióro nadal drapało papier.

- Poświadczam, że zarówno majordomus, kucharka, jak i... służąca w willi Neefów zmarli w wyniku przerwania kręgów szyjnych, które spowodowało wyciek szpiku kostnego... - Lekarz westchnął i w zamyśleniu pokiwał głową. - Nie, tego faktu nie można przemilczeć - oświadczył w końcu. - Może okazać się istotny dla dochodzenia... Pisz, Jasperze. Służąca po dokładnym badaniu... Przykro mi, biedactwo. Ludzie będą mieli o czym gadać, kiedy się dowiedzą... - I znudzonym głosem podyktował dalszy ciąg relacji o przerwanej ciąży, a następnie szybko przeszedł do innych szczegółów, które wyszły na jaw podczas sekcji zwłok. - Na wszystkich trzech ciałach - podsumował - widoczne są podobne do siebie wybroczyny, choć znajdują się w różnych miejscach na sklepieniu czaszek i na czołach.

Germinal opierał właśnie motocykl na podnóżku pod posterunkiem policji - trzypiętrową kamienicą, pomalowaną jaskrawo żółtą farbą, która odłaziła już w kilku miejscach - gdy trzech umundurowani policjanci wywlekli przez drzwi komisariatu nastolatka i zaczęli wpychać go do czarnego wozu, przystosowanego do przewozu więźniów. Siedemnastoletni, a może nawet młodszy chłopak, był masywnie zbudowany, ale wyglądał jak przygnieciony lub sprasowany; miał długie, niezgrabne nogi, pusty wzrok, podarte ubranie i podrapane, poranione ciało. Nie stawiał najmniejszego oporu, był zdany na łaskę i niełaskę dwóch policjantów, a mimo to jeden z nich, podczas gdy drugi otwierał podwójne tylne drzwiczki wozu, wyciągnął zza pasa pałkę i z całej siły uderzył chłopaka w głowę. Ten odwrócił się w kierunku napastnika i spojrzał na niego zdziwiony. Upadł na ziemię, na kolana, a następnie wyprostował się, wybałuszając oczy i wyciągając drżące ręce. Drugi cios ugodził go w środek czoła. Chłopak przewrócił oczyma, zaczął się ślinić jak małe dziecko, a rysy twarzy stężały mu w grymasie bólu, strachu i głębokiej rozpacz, która wydobyła z jego gardła nieludzki krzyk. Ale nie zareagował i, zamiast rzucić się

na strażnika, skulił się tylko na ziemi. Trzecia pałka trafiła go w plecy. Policjant ponownie podniósł ramię, ale w tym momencie powstrzymał go Germinal. Jego oczy płonęły wściekłością.

- Wynocha! - krzyknął do niego drugi strażnik, zachodząc go od tyłu, gotów do ataku.

- Przestańcie go bić - powiedział Germinal ostrym tonem. Dwaj strażnicy roześmiali się.

- Tobie też się może dostać - ostrzegł starszy z nich.

- To rozkaz - dodał Germinal. Strażnicy zawahali się. Spojrzeli na siebie.

- Kim pan jest?

- Inspektor Milton Germinal.

- Ach, to pan miał przyjechać wczoraj?

- Dlaczego go bijecie? Co zrobił? Nie widzicie, że jest obłąkany?

- Ma w zwyczaju uciekać z Miasta Zwierząt do nas i musi się nauczyć...

- Cicho bądźz - przerwał mu starszy strażnik. - Jest niebezpieczny, panie inspektorze.

Teraz wygląda tak... ale jest niebezpieczny. Właśnie odwozimy go do Instytutu Upośledzeń... Zbiegł stamtąd i napadł na nas...

- Gdzie jest komisarz Landau? - rzucił ostrym tonem Germinal.

- W Mieście... to znaczy w Instytucie Upośledzeń, w związku z tą rzezią. Jeśli pan chce, może pan się z nami zabrać.

Germinal przytaknął. Potem pochylił się i pomógł chłopakowi wstać. Obłąkany uśmiechnął się do niego, patrząc pustymi jak szkło oczyma, a z krótkiego, płaskiego nosa popłynęła strużka krwi.

- Jak się nazywasz? - spytał Germinal. Obłąkany roześmiał się.

- Jak się nazywa? - zwrócił się Germinal do policjantów.

- A skąd mam wiedzieć, do diabła - obruszył się młodszy strażnik. - Dla mnie jest jak krowie łajno. A pan odróżnia jedno krowie łajno od drugiego po tych wszystkich szkołach, które pan skończył w przeciwieństwie do niżej podpisanego prostaka? Czy na krowim łajnie jest znak firmowy?

Potem strażnicy zajęli się chłopakiem, podnieśli go niezgrabnie i wepchnęli do więziennego pojazdu, który był karcerem na czterech kółkach, wyposażonym z tyłu w podwójne drzwiczki, otwierające się tylko od zewnątrz. Dwie wąskie szczeliny po obu bokach, zabezpieczonych żelaznymi kratami, przyspawanymi na stałe do grubych prętów, zapewniały obieg powietrza. W środku znajdowały się dwa rzędy ławek stojących naprzeciwko siebie, z

żelaznymi obręczami, łańcuchami i kłódkami, umocowanymi na wysokości nóg i rąk; za ich pomocą unieruchomiono obłąkanego. Drewno było przesycone ostrym zapachem moczu.

- Czy to konieczne? - spytał Germinal. - Dokąd niby miałyby uciec?

- Takie są zasady, proszę pana - wyjaśnił młodszy policjant.

- A wy zawsze przestrzegacie zasad, prawda?

- Tak jest - odpowiedział strażnik, wytrzymując pełne nagany spojrzenie Germinala. - Jedzie pan z nami czy na... na tym czymś? - zapytał, wskazując na motocykl.

- Pojadę z wami.

- Chce pan dotrzymać mu towarzystwa czy siedzieć na koźle? Germinal usiadł na koźle, pomiędzy strażnikami; młodszy z nich wziął lejce, odblokował ręczny hamulec i świsnął batem. Dwie cha-bety zaczęły ciągnąć swe ciężkie, skrzypiące brzemie.

Dopóki powóz więzienny jechał w męczącym, ślimaczym tempie, Germinal nie odezwał się ani słowem. Zbliżali się już do granic ubogiego skupiska miejskiego, kiedy strażnik przy lejcach podniósł rękę i bez słowa wskazał dziwny budynek z czerwonej cegły. Germinal mógł dostrzec tylko jego górną część, ponieważ cały gmach otoczony był grubymi, wysokimi murami. Jak forteca. Albo więzienie. I w mlecznej poświacie wczesnego poranka nowego wieku na szczycie murów Germinal ujrzał błyszczące miriady potłuczonych, spiczastych kawałków szkła, zatopionych w szarawej zaprawie, lśniących jeszcze bardziej dzięki rosie, która niespiesznie wyparowywała. Przypominało to odpryski gwiazd. Fragment budynku, który Germinal mógł dostrzec za ogrodzeniem, zupełnie nie miał surowego wyglądu, jakiego się spodziewał. Rozkwitał wieżyczkami i małymi balkonami o fantazyjnych balustradach z kutego żelaza, dość wątpliwej urody. Germinal ujrzał skrzydlate amorki z gipsu, z których większość nosiła ślady niepogody, uzbrojone w łuki gotowe do wypuszczenia strzały; dwa popiersia Wenus z odkrytym biustem, zamknięte w dwóch dużych muszlach; kwietne dekoracje, oplatające rynny i wdzierające się na okna jak nadwątlona, przywiedła dżungla.

- To jest instytut? - zapytał zaskoczony Germinal. Starszy strażnik kiwnął głową na znak potwierdzenia.

- Kiedyś tu był burdel. - Policjant kierujący powozem roześmiał się.

- Czy to tu miała miejsce ta rzeź, o której wszyscy mówią? - spytał znowu Germinal.

- Nie, panie inspektorze - odparł powożący policjant. - Tyle że sekcje zwłok przeprowadza Hrabia bez Rękawów.

- Kto?...

- Doktor Noverre - sprecyzował starszy funkcjonariusz. Drugi roześmiał się.

Za budynkiem, oddalone o kilometr, wznosiły się na otwartej przestrzeni wsi dwa szare kominy, strzeliste niczym ogromna, nieukończona szubienica.

Doktor Noverre skończył już dyktować pierwszą część raportu, kiedy dwaj ewidentnie zmieszani sanitariusze instytutu dotarli do sutereny, niosąc ciężki pakunek, zawinięty w białe prześcieradło, upstrzone licznymi żółto-czerwonawymi plamami, typowymi dla krwi zmieszanej z płynami ustrojowymi. Za nimi kroczył komisarz Landau, liczący jakieś pięćdziesiąt pięć lat, dobrze zbudowany.

- Udało nam się - powiedział, zwracając się do doktora, ale nie patrząc mu prosto w oczy.

Mimo że znał lekarza od wielu lat, nie był w stanie przyzwycząić się do jego wyglądu.

- Połóżcie ją tam. - Noverre wskazał brodą pokrzwawiony stół operacyjny, na którym jeszcze kilka minut temu leżały obok siebie ciała maluczkich.

Pani Neef była osobą z wyższych sfer, i właśnie randze społecznej zawdzięczała teraz zarówno zainteresowanie władz, jak i późną autopsję, ponieważ żaden funkcjonariusz policji nie pozwoliłby lekarzowi tknąć jej zwłok bez wcześniejszego zezwolenia małżonka, ważnego akcjonariusza cukrowni.

Podczas gdy dwaj sanitariusze kładli zawinięte ciało z szacunkiem zabarwionym lękiem, jakby pani Neef wciąż żyła, młody asystent dyrektora Miasta Zwierząt ponownie włożył fartuch ochronny, wyciągnął piły i skalpel z miseczki, do której je przedtem wrzucono, pomógł doktorowi wstać z kwiecistego fotela i zaczął rozwijać brzegi prześcieradła, które spowijało czcigodne zwłoki.

- Chce pan mi asystować? - zapytał Noverre komisarza Landaua.

- Tylko przy wstępnym badaniu - odpowiedział policjant. - Jeżeli byłyby potrzebne jakieś wyjaśnienia, panie doktorze.

Uwolnione z prześcieradła zwłoki pani Neef ukazały się w całej swej przerażającej postaci. Kobieta miała trzydzieści pięć lat i piękną twarz o regularnych i subtelnym rysach, charakterystycznych dla osób, które od pokoleń nie cierpiały głodu i niedożywienia. Wydawała się zrelaksowana, jakby spała.

- Tak ją znaleźliście? - zapytał rozzłoszczony Noverre. - Tak wyglądała?

- Naturalnie, że nie... - zaczął tłumaczyć Landau.

- Jasne, naturalnie - przerwał rozdrażniony Noverre. - Tyle że ja powinienem dysponować wszystkimi elementami, by móc przeprowadzić prawidłową analizę okoliczności zajścia, panie komisarzu. Czy zamknęliście oczy służącej albo kucharce? Oczywiście, że nie. Ale pani Neef... na miłość boską, jak można by zostawić panią Neef z wybałuszonymi oczyma, prawda?

- Pan wykonuje swoją pracę, panie doktorze - odpowiedział oschle Landau - a my wiemy, jak wykonać naszą prośbę mi wierzyć...

- Ale ja muszę dysponować większą liczbą informacji. Tym właśnie jest moja praca - ciągnął Noverre bez cienia lęku, patrząc wyzywająco na komisarza, mimo że ten przewyższał go wzrostem o łokieć i nie służył z łagodnego charakteru. - A teraz proszę wyświadczyć mi przysługę i szczegółowo opisać, jak wyglądała pani Neef, kiedy ją znaleźliście.

Komisarz Landau odwrócił się tyłem do dyrektora i skupił się na pierwszym wrażeniu na widok zwłok.

- Była przywiązana do łóżka... - zaczął.

- To widzę - przerwał Noverre, pochylając się nad nadgarstkami i kostkami u nóg pani Neef, całymi w sinich plamach i głębokich otarciach. - Została przywiązana za ręce i nogi i z całych sił próbowała się uwolnić. Ale na pewno nie czuła bólu od sznurów, ponieważ było coś znacznie gorszego... To były sznury, prawda? Pochylił się znowu nad dużą raną na lewym nadgarstku.

- Jasperze, pobierz próbkę... widzisz to?

- Tak... to były sznury - potwierdził Landau, podczas gdy asystent pęsetą chirurgiczną wyciągał z rany włókno.

- Niech mi pan opisz wyraz twarzy pani Neef - odezwał się znowu Noverre.

- Twarz była wykrzywiona... a jaka miałaby być u kobiety, która... - zaczął zniecierpliwiony Landau, odwracając się do dyrektora.

Napotkawszy opanowany wzrok lekarza, uspokoił się i podjął opowieść.

- Twarz była wykrzywiona. Oczy wybałuszone...

- Gdzie patrzyła?

- Jak to gdzie patrzyła? Zmarły nie patrzy. A jeśli patrzy, to tylko w pustkę.

- Oczy były zwrócone do góry? Do dołu? Spoglądały w bok?...

- Nie wiem, do cholery! - uniósł się Landau - Patrzyły na... Nie, nie patrzyły... krzyczały.

Oczy tej biednej kobiety krzyczały. Właśnie tak, krzyczały...

- Powinien pan zostać poetą, nie komisarzem policji - zauważył złośliwie Noverre i odwrócił się przodem do zwłok.

- Jasperze, podnieś jej powieki - polecił spokojnym głosem. Następnie przejrzał się w martwych źrenicach, kiwając głową.

- Proszę spojrzeć, panie komisarzu. Czy oczy były w tej pozycji? Czy z tego, co panu wiadomo, pani Neef miała zeza?

Landau podszedł z wahaniem.

Źrenice pani Neef były groteskowo zwrócone na zewnątrz, jedna w prawą, druga w lewą stronę, a otaczającą je białą przestrzeń żłobiły popękane czerwone naczynka. Widząc ją teraz, nikt nie mógłby powiedzieć, że pani Neef była piękną kobietą.

Landau potrząsnął głową.

- Czasami to się zdarza - podjął temat Noverre, w czasie gdy komisarz zaczął się wycofywać, zszokowany makabrycznym widokiem. - Zauważyłem, że po zgonie w wyniku ataku epilepsji lub po prostu silnego bólu... powinienem powiedzieć w tym przypadku okrutnego... konwulsje nieodwracalnie uszkadzają gałkę oczną. - Lekarz ponownie przyjrzał się twarzy kobiety. - Jasper, otwórz jej usta... O tak, dobrze... Tak jak myślałem. Język jest przycięty... Chce pan sprawdzić, panie komisarzu?

Landau pokręcił przecząco głową.

- Wystarczy mi słowny opis, jeśli się pan zgodzi.

- Jak pan woli - odpowiedział półgłosem Noverre, pochylony wciąż nad ustami zmarłej, rozwartymi chirurgicznym hakiem. - Wyciek krwi chyba nic nie znaczy, biorąc pod uwagę silne unaczynienie śluzówki języka... co pozwala przypuszczać, że przygryzła go, kiedy już nie żyła... Skurcze *post mortem*... - Wstał i odwrócił się do mężczyzny. - Chodzi pan czasami na ryby, panie komisarzu? - zapytał niewinnie.

- Słucham? - wykrztusił Landau.

- Pytałem, czy chodzi pan na ryby. Nigdy pan nie zauważył, czyszcząc rybę, że choć już nie żyje... kiedy rozcina się jej brzuch... Pewnie jak wszyscy zaczyna pan, wkłuwając czubek noża w zwieracz, prawda? No więc, nie zauważył pan nigdy, że ryba czasami się rusza, jakby w gwałtownym skurczu, drga i po chwili nieruchomieje? No właśnie, z ludźmi jest tak samo... A ten nieznaczny ślad krwi na języku pozwala przypuszczać, że serce wcześniej przestało bić.

Ugryzła się, kiedy już nie żyła. Może mi pan powiedzieć, czy pani Neef miała otwarte usta?

Zaskoczony komisarz Landau popatrzył uważnie na ciało.

- Nie, teraz kiedy się nad tym zastanawiam - powiedział - usta miała zaciśnięte... jakby ścisnęła coś między zębami...

- Swoj język...

- Tak... swój...

- Podsumowując - rzekł Noverre - pani Neef miała szeroko otwarte oczy, które... krzyczały, dobrze mówię? Usta były zaciśnięte i prawdopodobnie nozdrza rozszerzone. Pańscy ludzie sporo nabroili... Następnym razem byłbym wdzięczny, mogąc osobiście ocenić stan zwłok. Myśli pan, że to możliwe?

- Mam nadzieję, że nie będzie żadnego następnego razu - odparł posępnie komisarz.

- Mówię czysto hipotetycznie, to chyba jasne.

- Chciałbym, żeby powiedział mi pan coś więcej na temat ran, panie doktorze...

Noverre patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a następnie odwrócił się przodem do nagiego ciała pani Neef. Skóra prześwitująca spod grubej warstwy krwi była nadzwyczaj biała, jakby oproszona talkiem. Ciało pełne, ale nie otyłe, okrągłe, faliste biodra, zgrabne nogi, wąskie pęciny i nadgarstki, jędrne, duże piersi, gładki brzuch z rzadkim owłosieniem, jasnym jak jej włosy.

- Ugryzienia? - spytał komisarza.

- Też tak pomyślałem, ale... - Landau pokręcił głową z niedowierzaniem. - Kto mógłby ją... Mój Boże, komu mogłoby przyjść do głowy, żeby doprowadzić kobietę do takiego stanu? I co to za zwierzęta? Kto mógłby tak wytresować zwierzęta, żeby rozszarpały na kawałki kobietę?

Ciało pani Neef było zmasakrowane kilkudziesięcioma ranami, nie większymi od nieszpułki. Było całe pocięte, poszarpane, podrapane. Lewą pierś zaatakowano z krwiożerczą furią. Sutek został pożarty. Brzuch, ręce, szyja, nogi, wnętrze ud. Każda część ciała, poza twarzą, była rozszarpana.

- Także... - zaczął mówić komisarz.

- Pochwa, tak, widzę.

Niektóre ugryzienia były powierzchowne. Inne głębokie, jak te na brzuchu. Rana szarpana, którą Jasper pod kierunkiem swego przełożonego badał zakrzywionym i ostro zakończonym żelaznym narzędziem, dochodziła aż do organów wewnętrznych.

- W pokoju znaleźliśmy kawałki ciała na łóżku i na podłodze... - powiedział Landau.

- Chciałbym je zbadać - oznajmił Noverre, wciąż śledząc uważnie ruchy Jaspera, który tymczasem poszerzał rany, mierząc je po kolei i numerując w ciągu rosnących liczb tym samym piórem i atramentem, którego użyje później do napisania raportu.

- Jak długo możemy pracować nad panią Neef? - spytał Noverre komisarza.

- Mąż chce jak najszybciej przygotować pokój z katafalkiem - poinformował Landau i dodał po chwili. - Wyraźnie zabronił sekcji zwłok. Nie chce, żeby ciało jego żony jeszcze bardziej zbezczeszczono.

Noverre odwrócił się gwałtownie do funkcjonariusza, piorunując go wzrokiem.

- A cóż moglibyśmy zrobić gorszego niż to, co już się stało?

- Nie jestem w stanie przeciwstawić się decyzji pana Neef - rzekł Landau.

- A ja nie jestem w stanie wydać opinii lekarskiej na podstawie powierzchownego tylko badania. To, że zmarła w nieludzkich mękach i że jeszcze żyła, gdy ktoś szlachtował jej ciało... cóż, myślę, że to aż nadto widoczne. Może nie zmarła w wyniku jakiejś szczególnej rany, ale z powodu wszystkich tortur, jakich doznała... Tyle że bez dokładnego badania nigdy nie będę mógł zdiagnozować, czy to był zawał serca... czy wykrwawienie... czy jakiś wylew wewnętrzny... albo zator w mózgu. Rozumie pan?

- Przykro mi, panie doktorze - powiedział zmęczonym głosem Landau. - Ale tak naprawdę to, od czego zmarła, może zainteresować tylko naukę, a z pewnością nie pomoże nam odkryć, kto ją zabił.

- Powtarzam, że muszę przeprowadzić badanie wewnętrzne.

- A ja panu powtarzam, że to niemożliwe.

- Muszę! - krzyknął Noverre, tracąc panowanie nad sobą.

- Nie może pan! - odparował Landau.

Noverre zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. W końcu, podjąwszy decyzję, zatrzymał się przed komisarzem i oświadczył lodowatym tonem:

- No to ja nie mam nic więcej do roboty. Nasza nadmierna skrupulatność każe tylko Jasperowi przerysować największe rany... może dzięki temu uda się dojść, jakiego rodzaju zwierzęta ją poraniły i zagryzły...

Spojrzał wyzywająco na Landaua.

- Oczywiście jeżeli i ten wkład nauki nie jest zbędny dla pańskiego dochodzenia - rzucił.

- Kiedy skończycie, proszę przekazać ciało pani Neef grabarzowi, aby je pozszywał. Byleby przed wieczorem - odpowiedział komisarz.

- A kto zajmie się tą trójką?

- Pomyślimy o tym jutro, na spokojnie. Tymczasem możecie się nimi pobawić, jeśli sprawi to wam przyjemność - powiedział Landau.

Noverre zdecydowanym krokiem podszedł do wyjścia z sutereny, ale zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

- Idzie pan czy zostaje? - spytał sarkastycznie komisarza Landaua i gdy funkcjonariusz podszedł, zwrócił się do niego oschłym tonem: - Proszę mi otworzyć drzwi.

Mężczyźni przekroczyli próg i weszli na schody, które prowadziły do środka Instytutu Upośledzeń. Komisarz pożegnał się pośpiesznie z lekarzem, otworzył zewnętrzne drzwi i stojąc wciąż na szczycie schodów, zrobił głęboki wdech. Jego płuca wypełniło mroźne, wilgotne powietrze.

Noverre patrzył, jak tamten opuszcza jego królestwo. Miasto Zwierząt, jak zwano je w mieście.

Nieopodal niego sześcio-, może siedmioletni chłopiec płakał cicho w kąciu. Miał pusty wzrok, jak u osób opóźnionych w rozwoju, oraz zdeformowaną, otwartą buzię. W ręku trzymał złamaną na pół zabawkę - koślawo wystruganego pajacyka z drewna - i bezskutecznie próbował połączyć pęknięte kawałki i dopasować je do siebie.

Obok niego stał starszy chłopiec, z widocznym garbem na plecach, który pochylał go ku ziemi w ciągłym akcie skruchy, przyglądając się scenie z niepewnym uśmiechem, w jego oczach zaś tlił się niepokój, czy i on nie powinien się rozplakać.

Noverre podszedł do obu nieszczęśników, a jego oczy natychmiast wypełniły się instynktowną czułością.

W tym momencie rozległy się krzyki i w drzwi weszła pielęgniarka, otaczając ramieniem chorego psychicznie mężczyznę, przywiezionego tu przez strażników oraz Germinala, i posłała komisarzowi Landauowi pełne nagany spojrzenie.

- Pobili go, proszę spojrzeć... proszę spojrzeć, co z nim zrobili - zwróciła się pielęgniarka do doktora, dławiąc się ze złości.

- Bydlaki! - zasyczała pod adresem Landaua.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł komisarz.

Noverre nagle się zagotował. Podszedł najszybciej, jak mógł, do Landaua.

- Łajdaki - powiedział.

- Nic mu nie zrobili... - zaczął Landau.

- Był związany jak zwierzę - kontynuowała pielęgniarka, która cały czas gładziła zakrwawioną twarz chorego.

- Proszę trzymać swoje potwory za ogrodzeniem, panie doktorze, jeśli pan nie chce, żeby przydarzyło im się coś złego - odparł Landau zuchwałym tonem, zadowolony ze swego okrucieństwa, i zaczął schodzić po schodkach, pod którymi czekał na niego powóz.

- A pan to kto? Nowy inspektor? - spytał Germinala, nawet się nie odwracając.

Germinal mu nie odpowiedział.

- Bardzo mi... przykro - mruknął, patrząc z zażenowaniem na doktora Noverre.

Dyrektor spojrział na niego ze współczuciem, potem odwrócił się i podszedł do płaczącego dziecka i chłopca, który zaraz miał się rozpląkać bez powodu. Do dwóch z wielu zwierzątek, zamieszkujących Instytut Upośledzeń.

- Chodźcie ze mną, dzieciaki - powiedział czułym i ciepłym głosem.

Germinal stał zaskoczony i patrzył na niego z zapartym tchem. Zobaczył, jak dwa potworki podchodzą nieśmiało do lekarza: mały, który przestawał już płakać, oraz uśmiechnięty garbus, pewny, że i jemu to się uda. I patrzył, jak Noverre klęka, aby znaleźć się na wysokości pustego wzroku dzieci, z troską rzadką nawet u ojców.

W tym momencie odstrasząca twarz doktora - z sinym, nieregularnym czołem, rzadkimi kosmykami siwych włosów, wykrzywionymi i zawsze uchylonymi ustami, śliną, która bulgotała mu w gardle i spływając, zbierała się w kąciakach bladych warg, z prawym okiem sporo większym od lewego - pochyliła się, aby oprzeć się na głowie malca we łzach. I zaraz zaczął pocierać głową o główkę dziecka, powoli, jakby je głaskał, ponieważ Noverre zamiast rąk miał tylko dwa niepotrzebne kikuty, którym fokomelia uniemożliwiła rozwój.

Dwa małe potworki, niezrażone w żadnym stopniu jego kalectwem, co więcej, uznając go za równego sobie, chłonęły poprzez ten nieporadny kontakt całą miłość, której tak bardzo potrzebowały.

- Idzie pan czy nie, inspektorze? - zawołał zniecierpliwiony Landau.

Germinal powoli ruszył w kierunku powozu.

- Zobaczycie, że go naprawimy... - mruczał do dzieci zdeformowany dyrektor Miasta

Zwierząt, a puste rękawy jego marynarki, poruszone przez kikuty, powiewały, jakby targał nimi wiatr.

IX

Powóz był kryty jak wszystkie modele policyjne. Miał podstawowe wyposażenie. Siedzenia zostały pokryte grubą, twardą skórą, niezbyt starą, ale już wytartą, z jaśniejszymi i ciemniejszymi plamami, które tworzyły grę światła i cieni na mdłym, naturalnym kolorze skóry zdartej ze zwierzęcia.

Germinal siedział zamyślony, próbując uniknąć wzroku komisarza Landaua, który usiadł prawie naprzeciwko niego. Znienawidził nowego zwierzchnika od pierwszego spojrzenia.

Komisarz odznaczał się silną, masywną budową ciała. Jednak jego twarz była zwiotczała. Miał duże, obwisłe policzki, na pewno miękkie w dotyku. I wielkie krowie oczy, okrągłe i wytrzeszczone, podtrzymywane - takie się odnosiło wrażenie - przez mięsiste, żółtawe i pomarszczone worki pod oczami, które wyglądały jak dwie portmonetki z żabiej skóry. Te dwie sakiewki pełne, choć nienabrziałe, bo cała twarz komisarza była obwisła, wypływały spod powiek jak strumień nieoczyszczonego wosku, mający zaraz zalać całą twarz. Nos był zakrzywiony jak dziób puszczyka, mały, cienki.

Tak naprawdę, pomyślał Germinal, komisarz wykazuje oznaki dużej słabości charakteru, którą ukrywa pod histeryczną stanowczością, jaką narzuca mu jego pozycja.

Germinal miał humor posępniejszy niż zwykle. Także tej nocy, jak zresztą każdej nocy i każdego dnia od wielu miesięcy, stoczył walkę z narkotykami. I jak każdej nocy, białe kafelki ubikacji, które targały jego duszą, pokryły się czerwienią.

- Nie mogłeś o tym wiedzieć - powtarzał mu sierżant Londe. - Nie mogłeś o tym wiedzieć.

Ale teraz wiedział. I wiedza ta była jego koszmarem. Uciszył krzyk mięśni i ścięgien dwoma kieliszkami absyntu, ale udało mu się zasnąć dopiero o świcie, kiedy trzeba już było wracać do pracy. Droga z domu na Pijawczak była długa. Ale nie czuł się jeszcze gotowy na planowanie swego życia. Nowe miejsce pracy przytłoczyło go, czuł się skazany na świdrującą ciszę wyludnionych dzielnic przemysłowych i śmiertelną truciznę martwych peryferii. A już współpraca z funkcjonariuszem policji ze starej i anachronicznej straży, jakim był komisarz Landau, wydawała mu się nie do zniesienia. Na sam widok nowego zwierzchnika i po natychmiastowej jego ocenie przyszłość zdała mu się jeszcze ciemniejsza. Komisarz był wrogiem

tego wszystkiego, co Germinal uważał za najświętsze. Był jego panem i Milton pomyślał, że trafił mu się wyjątkowo obmierzły pan. Tego było za wiele, ponieważ Germinal należał do osób, które są w stanie zrezygnować ze swojego życia, ale nie ze swej pracy, czyniąc z niej coś, czym nie była, podnosząc jej rangę, gdyż odczuwał palącą potrzebę nadania sensu temu, co zostało go pozbawione. Żeby strząsnąć z siebie choć cząstkę niezbadanej głupoty ludzkiego istnienia. Germinal był człowiekiem, który - jako dziecko - marzyłby o bohaterach i rycerzach, o cnotach i odważnych czynach, pragnąc zapisać swe imię wśród dobroczyńców ludzkości. Ale zachowywał się tak, jakby nigdy nie miał dzieciństwa, a w związku z tym również możliwości udoskonalenia wyrafinowanej gry wyobraźni, typowej dla dzieci. Wspecjalizował się za to w dorosłym rozszyfrowywaniu - najszybszym jak to możliwe - otaczającego go świata. I te ciągłe potyczki z rzeczywistością, obserwowane chłodnym, naukowym okiem, dogłębnie analizującym przedmioty i osoby, jakby odzierającym je z ubrań i skóry - nie pozwalały mu dostrzegać niczego poza wnętrznościami i ukrytymi organami, przypominającymi przerażające demony i lustrzane odbicia dusz, które nie zaznały spokoju.

Tego poranka Germinal próbował oprzeć się decyzji komisarza Landaua, by nie przeprowadzać sekcji zwłok pani Neef, ale bez rezultatu. Usiłował się powoływać na współczesne metody śledcze, przytaczając statystyki i przykłady, ale komisarz natychmiast go powstrzymał.

- Niech pan z tym skończy, Germinal - powiedział zjadliwie. - Czytałem pański raport przeniesienia. Cała lista wyrazów uznania za pana dokonania i ani linijki uzasadniającej decyzję. A to milczenie jest bardziej wymowne niż cokolwiek innego. Znam dobrze język biurokracji, zapewniam pana. Niedawno wykrył pan i przerwał serię porwań dzieci, ratując podczas operacji syna nadkomisarza Sanguinetiego... i wszystko, na co pan zasługuje, to przeniesienie do tej dziury? Wszystko, co może zrobić dla pana szef policji, to zesłanie pana tutaj? Germinal, pan ma na koncie jakiś wyskok, ja to panu mówię. I to taki, że gdyby pozwolił sobie na niego ktoś taki jak ja, zostałby usunięty i pozbawiony dobrego imienia. Ale pana przeniesiono, ponieważ ma pan potężnego opiekuna... Co pan przeszkrobał? Korupcja? Ma pan przeszłość bohatera... a gdzie pan wylądował? Dlatego proszę mi nie mówić o nowoczesnych metodach. My tutaj obywamy się bez nich.

A więc to będzie mój krzyż... - myślał w tym momencie Germinal, wpatrując się w jednaki wciąż krajobraz, przecinany w regularnych odstępach szkieletami nagich, ogołoconych z

liści drzew, wyglądających niby sterczące z grobów ręce niezliczonych trupów.

Z trudem odrywając się od swych myśli, komisarz Landau przerwał ciszę, wyciągając przed siebie rękę z wyprostowanym palcem wskazującym, którym pomachał Germinalowi przed oczyma.

- Widzi pan? To jest cukrownia - powiedział. - A wokół stoją domy... wille mniejszościowych akcjonariuszy. Akcjonariuszy większościowych jest trzech i ci mieszkają w mieście... jak pan - dodał z lekkim sarkazmem.

Germinal nie odezwał się, spojrzał na dwa kominy i po chwili znów opuścił wzrok, nie mówiąc.

Słodkawy, zatechły zapach fermentacji wisiał w powietrzu. Blade ciepło bezsłonecznego dnia rozpuściło odrobinę śniegu zalegającego na poboczach; błoto wypełniło już wszystkie wyrwy i teraz zajmowało zachłannie całą drogę. Koła krytego powozu policji co chwila grzęzły w brei i dwa konie z trudem wyciągały je z błota.

Germinal i komisarz wciąż milczeli. Landau źle znosił tę ciszę, traktując ją jak akt niesubordynacji. Zakaszłał, poruszył się na siedzeniu i w końcu odezwał się, byleby tylko przerwać milczenie:

- Z panem Neefem będę rozmawiał tylko ja, dobrze?

Germinal uczynił ledwie dostrzegalny gest głową, który mógł oznaczać przytaknięcie, a może tylko to, że go słyszał.

- Hrabia bez Rękawów poruszył pańską wyobraźnię? - spytał Landau, uśmiechając się ironicznie.

Germinal powoli odwrócił głowę, by na niego spojrzeć. Doktor Noverre niewątpliwie zrobił na nim wrażenie. I to nie tylko ze względu na swój wygląd. W tej zdeformowanej istocie, która mogła mieć około pięćdziesiątki, była jakaś siła i niezwykła duma.

- Jest naprawdę hrabią? - spytał.

Landau, zadowolony, że choć na chwilę złamał opór swego podwładnego, roześmiał się. Potem odwrócił głowę w kierunku swojego okna i z zadowoleniem na twarzy zaczął wpatrywać się w dobrze sobie znany krajobraz. Teraz cisza zależała od niego.

Po kilku minutach, podczas gdy powóz zwalniał, zbliżając się już do willi Neefów, komisarz, jakby w ogóle nie było tej władczej pauzy, która przywróciła mu dowodzenie, powiedział:

- Tak, doktor Noverre jest prawdziwym hrabią. Ostatnim dziedzicem bardzo szanowanego tu rodu.

Powóz zatrzymał się na żwirze. Landau otworzył swoje drzwi. Spojrzał na Germinala.

- A pan, należący do tego nowego, współczesnego świata... na pewno myślał, że nawet nie będąc arystokratą i bogaczem, jako kaleka mógłby zostać lekarzem, psychiatrą, chirurgiem, założyć swoją menażerię i nią kierować, prawda? - I roześmiał się, kiwając głową.

- Z panem Neefem będę rozmawiał tylko ja - powtórzył, wysiadł i ruszył ku drzwiom willi, gdzie czekał na niego mężczyzna w skromnym ubraniu i o unizonym wyrazie twarzy.

- Pan już czeka - powiadomił mężczyzna Landaua i Germinala z pewnym zażenowaniem, jak ktoś, kto jest majordomusem, choć ma stanowisko i umiejętności zaledwie ogrodnika.

Nosił ciężkie, zabłocone buty, z kieszeni wystawały mu sekator i nóż ogrodniczy. Poprowadził przybyłych przez wejście aż do pokoju, w którym ogień trząsał wesoło, nie zważając na stan smutku i zagubienia, w jakim znajdował się pan domu.

Pokój, jak i cała reszta willi, był pogrążony w półmroku. Ciężkie zasłony nie pozwalały smętnemu światłu dziennemu przeniknąć przez okna. Stojące wszędzie lampy olejne, zapalone, jakby to była noc, oświetlały wnętrza na żółto. Germinal pomyślał, że to już zapewne z powodu żałoby.

Pan Neef zaprosił ich do środka ruchem ręki. Stał przed kominkiem w skromnym, wygodnym ubraniu bez żadnych ozdób.

- To pan, panie komisarzu - rzucił, dając upust swej żalości i nie poświęciwszy najmniejszej uwagi Germinelowi. Jego oczy zaszły mgłą, jakby temat rozmowy, choć podejmowany po wielokroć tego dnia, wciąż go zaskakiwał.

- Przyszedłem, żeby dowiedzieć się o pana samopoczucie - zaczął Landau, lekko pochylając głowę, ale to wystarczyło, aby okazać szacunek.

- To pierwszy poranek od nie wiem ilu lat, kiedy nie zajrzałem do fabryki... - powiedział pan Neef. - Ale wie pan, co jest najbardziej zabawne? - spytał z hamowanym uśmiechem.

Landau podszedł do niego, udając zainteresowanie, jakby chciał go zachęcić, by kontynuował.

- Ze nikt się tym nie zmartwi. - Mężczyzna roześmiał się głupio.

Germinal ocenił, że ma około sześćdziesiątki. Wyglądał na rozszluszczonego, niezadowolonego, jakby to nieoczekiwane wdowieństwo stanowiło dla niego cios, bardziej ze

względu na zakłócenie porządku dnia, niż na samą żalobę. Jakby był zirytowany tragedią, która dotknęła go tak blisko, bez uprzedzenia, i która w znaczący sposób odciskała swe piętno na codziennej rutynie. W wyrazie narastającej furii było coś nieludzkiego i jednocześnie budzącego współczucie. Germinal rozumiał, że starzec nie zdołał jeszcze pojąć rozmiaru swego bólu ani strachu, a tym bardziej samotności, która będzie mu od teraz towarzyszyć. Gdy tylko Germinal go ujrzał, wiedział już, że ma do czynienia z osobą głupią i ograniczoną. Obrazy zawieszony w nadmiarze na ścianach były kiczowate, prawdopodobnie zakupiono je wszystkie razem, aby raz na zawsze pozbyć się kłopotu z urządzeniem wnętrza. Wszystko w tym człowieku - od małego, sflaczałego ciała po zarys ramion, od mięsistych ust po dłonie, na których tkanka tłuszczowa chroniła kruchą strukturę paliczków, od anemicznej cery koloru spranej ścierki po krótkie, chude kończyny, przypominające świńskie nóżki - emanowało arogancją i prostactwem, typowym dla osób ukrywających się za swoimi pieniędzmi.

- Sam pan widzi, panie komisarzu - mówił tymczasem pan Neef z widocznym oburzeniem. - Nie pozostał mi nikt oprócz tego nieszczęsnego ogrodnika... Jak pomyślę, że zawsze się uskarżał na to, że nie może mieszkać u nas w domu, bo brakuje pomieszczenia... oczywiście nigdy mnie ani mojej żonie... ale o takich rzeczach zawsze wiadomo... zawsze wie o nich właściciel, który troszczy się, aby to, co posiada, nie popadło w ruinę, to miałem na myśli... A teraz, jak pan sądzi? Po tym wszystkim będzie się jeszcze uskarżał? Co za nieszczęście, co za nieszczęście... I afront! - Głos utknął mu w gardle.

Przycisnął rękę do piersi, jakby chciał uspokoić serce, które jakiś lekarz zdiagnozował jako słabe.

- Musi pan go znaleźć, panie komisarzu - powiedział twardym głosem, przewracając co chwila oczyma.

Boi się, pomyślał Germinal. W szczęściu ogrodnika dostrzegł oznakę swojego szczęśliwego losu. On też był nieobecny tamtego popołudnia, co uchroniło go od strasznej śmierci.

- Proszę spróbować rozwiązać przynajmniej tę sprawę - dodał pan Neef, kładąc nacisk na słowo „przynajmniej”, zawierające w sobie cały katalog niepowodzeń, które najwidoczniej ciążyły na komisarzu.

Boi się, pomyślał znów Germinal, i daje upust swojemu strachowi pod postacią złości, pastwiąc się nad tym, kto nie może mu odpłacić tą samą monetą.

Komisarz Landau spuścił wzrok na znak pełnej szacunku uległości.

- Jeśli naprawdę zależy panu na odkryciu, co się stało, panie Neef - wtrącił się Germinal pomimo wyraźnego zakazu ze strony przełożonego, który natychmiast odwrócił się do niego, jakby smagnięty batem zdrady, poczerwieniały na twarzy - dlaczego nie pozwala pan na przeprowadzenie sekcji zwłok? Mielibyśmy więcej materiału do analizy...

- Zdawało mi się, że jasno się wyraziłem, iż nie chcę jeszcze bardziej profanować... tego biednego ciała - przerwał mu zirytowany starzec, zwracając się jednak wciąż do komisarza i nadal ignorując Germinala.

- Tak też uczyniono - zapewnił go Landau.

- Czyli dobrze mi się zdawało - odparł rozpogodzony pan Neef.

- A czy data pogrzebu - podjął temat komisarz pełnym zainteresowania tonem, starając się przypodobać rozmówcy i uśmierzyć jego irytację - została już wyznaczona?

- No tak... - I akcjonariusz nachmurzył twarz, błyskawicznie wczuwając się w rolę wdowca, którą chwilę wcześniej tak dobrze odgrywał. - Jutro. No właśnie, a pan będzie?

- Oczywiście, proszę pana.

- Umundurowanie galowe?

- Nawet nie musi pan pytać. Oraz orkiestra dęta naszego oddziału, jeśli pan zezwoli.

- Ale dopiero na cmentarzu - zastrzegł pan Neef, wznosząc palec do góry. - Nie w kościele. Tam będzie chór, same cienkie głosiki... no, chór dziecięcy... Czyli o dwunastej w kościele. Potem, parę minut przed końcem mszy żałobnej, pan wyjdzie i będzie na mnie czekał na cmentarzu z gotową już orkiestrą.

- Przepraszam, że przerywam, ale czy moglibyśmy zobaczyć pokój? - wtrącił się Germinal, nawet nie usiłując ukryć zniecierpliwienia, zresztą przerwanie rozmowy mówiło samo za siebie.

- Panie komisarzu Landau - znów zirytował się pan Neef, cały czas ignorując Germinala - powtarzanie dwa razy tego samego nie jest miłą rozrywką dla wdowca.

- Tak, rozumiem pana - odparł skruszony Landau.

- Nie ma tam nic do oglądania. Myśli pan, że taki biedny starzec jak ja położyłby się wczoraj spać tuż obok miejsca tej przeraźliwej jatki? Pan by tam zasnął? Kazałem posprzątać ten pokój. I to natychmiast! Został posprzątan, zanim poszedłem spać! - zaczął gniewnym, choć przyciszonym głosem, jak czynią to wielcy panowie. - I chciałbym wiedzieć, kto mógłby mi tego

zabronić! - wykrzyczał całą swą niechęć w twarz komisarzowi.

- Proszę mi powiedzieć, która z kobiet robiła porządki, tak abym mógł ją przesłuchać i zobaczyć, czy pamięta coś ważnego lub może jakiś szczegół - odezwał się Germinal.

Pan Neef spojrzał twardo na Landaua i wziął głęboki wdech. Ale zanim zdążył osiągnąć najwyższą wenę twórczą, komisarz powiedział:

- Przynajmniej na to...

I odebrał starcowi dotychczasowe wsparcie, co było mu na pewno nie w smak.

- Przynajmniej na to mógłby mu pan zezwolić. Pan Neef wyglądał, jakby doznał szoku.

- Zdaje się, że pański autorytet wśród podwładnych zaczyna niepokojąco spadać. Zrobił krótką pauzę, lustrując Landaua od stóp do głów, i dodał:

- Pani Rinaud, żona jednego z naszych starszych robotników. W końcu po raz pierwszy odwrócił się do Germinala, jakby go dopiero dostrzegł, i zapytał:

- Pan tu jest nowy, prawda?

Germinal przytaknął, a on rozsunął ciężkie zasłony szerokim, efektownym gestem i pokazał mu widok na fabrykę.

- Ona żywi nas wszystkich... ale, dzięki Bogu, pożera tylko robotników.

Spojrzał na niego, unosząc brwi. Roześmiał się beztrąsko, powtarzając dowcip, który prawdopodobnie opowiadał każdej nowo poznanej osobie. Potem, kiedy opuścił rękę, a zasłony skryły przygnębiający krajobraz, nagle spoważniał i jego wzrok rozmył się, jak wtedy gdy stał sam przy kominku. I teraz wrócił do tematu rozmyślań przerwanych przybyciem dwóch policjantów, nie zważając na etykietę.

- Wiedzą panowie... te zasłony... - zaczął mówić w zadumie. - Moja żona nie znosiła widoku fabryki. Nie cierpiała myśli, że ma za oknem ten sam wulgarny krajobraz, co robotnicy w ich nędznych domach... dlatego chciała, aby zasłony w oknach wychodzących na fabrykę były zawsze zaciągnięte, skazując nas tym samym na wieczną noc... A teraz... - i głos nagle mu się załamał - teraz... teraz... jak na ironię losu będę mógł wpuścić do mojego domu światło... teraz, gdy... - Odwrócił się i poczłapał do drzwi na końcu pokoju, wykonanych z indyjskiego mahoni, ze stylizowanymi, geometrycznymi wzorami. Otworzył je zmęczonym ruchem ręki i westchnął. Jakby miał dość oczekiwania na łzy ukojenia, na jakie w swym skostniałym cierpieniu nie potrafił się zdobyć.

- Owocnej pracy, panowie - życzył im jeszcze, zanim zniknął. Landau i Germinal dotarli

do powozu w milczeniu. Zaczekali, aż znajdą się poza ogrodem willi, i stając naprzeciwko siebie, zmierzili się wzrokiem.

- Tylko ja miałem z nim rozmawiać. Taki dałem panu rozkaz. Niech to się więcej nie powtórzy, Germinal - powiedział komisarz cichym, drżącym głosem. - Niech pan nie ocenia pana Neefa po pozorach. Ten człowiek może więcej, niż pan, nafaszerowany miastowymi pierdołami, zdolny jest sobie wyobrazić.

- Czy ma też władzę, by utrudniać dochodzenie? Jaki to ma sens, niech mi pan powie. Co pan robi, kiedy należy tutaj czegoś poszukać? Idzie pan pod okna właścicieli i wyje o kość? - wybuchnął Germinal.

- On może kazać mnie przenieść! - wykrzyknął ze złością Landau, spuszczać wzrok.

Germinal natychmiast rozpoznał w jego oczach nadciągającą noc.

- I to przenieść... - ciągnął głosem wypranym z emocji komisarz - ...do jeszcze gorszego miejsca...

To był strach. I porażka. I noc. Germinal widział, jak wielu się w niej pogrąża. Patrzył na nich, kręcących się po życiu niczym ocalali na polu bitwy. Podarte mundury, pochwy bez broni, bagnet, który służy już tylko do wykopywania korzonków. Biała flaga, zwykła chusteczka, noszona w kieszonce marynarki.

- Dobrze - rozpoznał Germinal swój własny głos, idąc na oślep, jakby zamknięty w klatce, i czując, jak rośnie w nim wszechogarniające uczucie klaustrofobii, która chwyciła go za gardło za każdym razem, gdy usłyszał głupi rozkaz. - A więc to nie panu Neefowi morderca będzie mógł podziękować. Jeśli pozostanie na wolności, będzie zawdzięczał to tylko panu.

- Germinal - odparł Landau, odnajdując w sobie męskość, prostując się, jak tylko mógł, by stać się większy, i spojrzał w oczy, których jeszcze przed chwilą unikał. - Germinal, pańskie życie tutaj będzie piekłem. A ja osobiście dołożę wszelkich starań, by ta przepowiednia się ziściła.

Sala była zadymiona i wilgotna, przypominała oborę. Robotnicy - ponad dwustu, z których większość to mężczyźni - tłoczyli się jeden przy drugim, ze wzrokiem utkwionym w Rinauda, stojącego w głębi sali na drewnianej skrzyni.

- On, wiecie, o kogo chodzi... - mówił Rinaud, mając na myśli osobę, którą znali wszyscy robotnicy, ale która chciała pozostać w cieniu, przynajmniej oficjalnie - ...chce, abym przekazał

wam, że nasza godzina jest coraz bliższa...

Zrobił pauzę, a wtedy Berto, jego syn, podał mu manierkę z wódką z buraków, której Rinaud łyknął potężny haust.

Wielu robotników odwróciło w stronę drzwi sali zaniepokojony wzrok.

- Dajcie spokój! - zganił ich Rinaud na ten widok. - Jeśli już teraz stracie ze strachu, to co będzie, jak nadejdzie pora strajku? Zapomniałeś, Gunner, co się przytrafiło twojej żonie w zeszłym roku? Zapomniałeś, co mi mówiłeś? - krzyknął, wskazując palcem na wychudzonego robotnika. - Panowie, te wieprze nie dały jej nawet grosza na prawdziwego doktora. Musieliśmy zrobić zbiórkę i zaprowadzić ją do tego rzeźnika, czyż nie? A teraz twoja żona ma jedno oko i widzi na nie tak słabo, że może tylko obierać buraki, siedząc w domu. Co mi wtedy mówiłeś?

- Że chciałbym obedrzeć panów, te tłuste wieprze, ze skóry! - odkrzyknął robotnik.

I wszyscy inny mu zawtórowali:

- Łachudry! Ścierwa!

- Bo tym są właśnie panowie: tłustymi wieprzami! - ciągnął dalej Rinaud.

- Wieprze! - odpowiedziała jednym głosem widownia.

- On, wiecie, kogo mam na myśli... - Rinaud ponownie zrobił krótką pauzę - ...mówi, że moment jest bliski, a to oznacza, że wszyscy musimy sprawdzić między nogami, czy zostały nam chociaż jaja! Panowie wszystko nam odbierają, odbierają nam nasze życie! Kiedy jeden z nas umiera, mniej się smuć, niż gdy zgniotą mysz pod kołami swych powozów! Więc proszę was, włóżcie rękę między nogi i powiedzcie mi, czy macie jaja!

Jak w obrzydliwej pantomimie wszyscy robotnicy spełnili rozkaz i potrząsając genitaliami, krzyczeli:

- Strajk!

- Tak naprawdę czego się domagamy? - ciągnął Rinaud. - By nie traktowano nas jak zwierzęta! Byśmy mieli trochę grosza, aby wyżywić siebie i swoje rodziny! Spójrzcie na ich wille, pełne jedzenia i służących, spójrzcie na ich piękne żony, ubrane w jedwabie i wełny, spójrzcie na ich synów, wystrojonych jak panienki i z wypisanym na twarzach odwiecznym dobrobytem... Jak sądzicie, kto płaci za ich kaprysy? My! Naszą krwią i naszym potem!

- Tłuste wieprze!

- Ja się nie znam na polityce - mówił dalej Rinaud - nie wiem, czy z nas socjaliści tylko dlatego, że nie chcemy umierać z głodu... jestem nieuczony jak wy wszyscy... ale jedno wiem!

Nie chcę być nigdy więcej traktowany jak zwierzę! I o to będę walczył!

- Strajk! Strajk! Strajk!

- Cicho, teraz cisza - mówił dalej Rinaud, podnosząc do góry ręce. - To jeszcze nie ten moment. Ale nasza chwila jest blisko, powiedział... no, cholera, wiecie kto. Jest blisko. Nasza chwila jest blisko. Teraz chciałbym, abyście posłuchali pana Ignaszewskiego, oto on.

I wskazał na stojącego obok mężczyznę około trzydziestki, o wątlej posturze, cienkich, jasnych włosach, przejrzystych oczach, alabastrowej, jakby pozbawionej krwi cerze i twarzy, na której widok wzdychało wiele robotnic.

- Nie dajcie się zwieść jego ubraniu... Wiem, że nie wygląda na robotnika, ale on jest po naszej stronie, zapewniam was. Uczestniczył już w dwóch strajkach. Wie lepiej od nas, co należy robić. On jest prawdziwym socjalistą, cokolwiek by to znaczyło. - I Rinaud zszedł ze skrzyni. Młody Ignaszewski zajął jego miejsce. Ale nagle Rinaud odepchnął go, wskoczył na podwyższenie i znów zwrócił się do robotników.

- Zapomniałem o jednej sprawie. Widziałem, że wiele kobiet zegnało się na wieść o morderstwie pani Neef. No więc chcę powiedzieć, jak ja to widzę. Ona była żoną tego wieprza, właściciela. A żonę wieprza w moim domu nazywa się zdzira! Czyli, że na tym świecie jest teraz o jedną zdzirę mniej!

- Zdzira! Brawo, Rinaud! Tłuste wieprze!

- Powinniśmy powiedzieć: „Brawo!” temu mordercy! Oby ich wszystkich powyrzynał! - krzyczał Rinaud, schodząc ze skrzyni.

Potem zaprosił gestem Ignaszewskiego. Socjalista znów wszedł na skrzynię, zaczekał, aż robotnicy się uspokoją, i zaczął mówić ostrym, wysokim głosem, niezrażony w najmniejszym stopniu grubiaństwem swego audytorium.

- Przede wszystkim nie *pan* Ignaszewski, lecz *towarzysz* Ignaszewski. Panowie są naszymi wrogami. My, socjaliści, nazywamy się między sobą towarzyszami. Spójrzcie na to. - Pokazał znaczek wpięty w kołnierz marynarki. - To są dwie skrzyżowane na znak solidarności ręce. A w tle fabryka. Czerwona jak nasze ideały. Czerwona jak krew proletariatu, którą panowie wciąż przelewają. To oznacza bycie towarzyszami. Trzymać się za ręce przeciw panom, którzy nas mordują!

Rinaud oderwał usta od manierki z wódką i krzyknął:

- Niech żyje towarzysz Ignaszewski! Precz z panami!

- Niech żyje socjalizm! - krzyczała widownia, nie wiedząc nawet, co to takiego.

- Towarzysz Rinaud - kontynuował młody socjalista, który przyprawiał robotnice o szybsze bicie serca - powiedział, że nie chcecie być traktowani jak zwierzęta. I wam wydało się to słuszne. Ale się mylicie!

- Ej, co ty gadasz, do cholery? - wtrącił się natychmiast agresywnym tonem Rinaud.

- Co on? Zwariował? Co on mówi? A miał być po naszej stronie!

- wołali robotnicy.

Towarzysz Ignaszewski stał niewzruszony. Zaczekał, aż robotnicy się uspokoją. Potem zaczął mówić:

- Pokażę wam, dlaczego się mylicie. Dam wam przykład kopalni, w której my, socjaliści, zorganizowaliśmy w zeszłym roku strajk, trwający dobre dwa tygodnie. To pozwoli wam zrozumieć, kim tak naprawdę są panowie. W tej kopalni są olbrzymie, żelazne klatki, które jeżdżą do góry i w dół. Na górze stoi operator urządzenia, a drugi jest na dnie szybu... tysiąc dwieście stóp pod ziemią. Skok niepozostawiający cienia nadziei. Operator na górze ma gong, którym informuje tego na dole, że wszystko jest załadowane. Trzy uderzenia dla inżynierów i kierowników. Najwyższy stopień gotowości, za każdym razem tylko pięć osób. Dwa uderzenia...

- towarzysz Ignaszewski spojrział w milczeniu na robotników - ...dwa uderzenia... średni stan gotowości... czyli konie, pięć koni jednorazowo. Jedno uderzenie, niski stopień gotowości, najmniejsza uwaga... Oni to nazywali „gongiem na mięso” - głos młodego socjalisty stał się ostry. - Jedno tylko uderzenie dla górników. I ładowali ich po trzydziestu, czterdziestu! Są mniej warci niż konie! Są mniej warci niż zwierzęta!

Pomruk na sali.

- Dlatego, towarzysze - kontynuował wychudzony młodzieniec

- twierdząc, że się mylicie, mówiąc, że nie chcecie być traktowani jak zwierzęta. Zwierzęta w oczach właścicieli są warte więcej niż wy! Byłoby już nieźle, gdyby traktowali was jak swoje zwierzęta!

- Tłuste wieprze! Łachudry!

- A teraz pozwólcie, że wam wyjaśnię podstawowe założenia socjalizmu. Tu nie chodzi tylko o politykę, ale także o najnowszą historię ludzkości...

W tym momencie drzwi sali się otworzyły, jakaś kobieta przeszła szybko przez widownię i zawołała do Rinauda:

- Przysłała mnie po pana pańska żona! W waszym domu jest policja!

Rinaud splunął na ziemię resztką wódki. Berto zbladł. Towarzysz Ignaszewski skoncentrował uwagę na zajściu, a cała sala zaczęła szeptać:

- Policja!

- Chcecie, towarzyszu, żebyśmy poszedł z wami? - zaproponował natychmiast Ignaszewski.

- Nasze zebranie jest całkowicie legalne i nic nam nie mogą zrobić!

Rinaud potrząsnął głową; przechodząc pewny siebie wśród robotników, cały czas mówił wszystkim naokoło:

- Jaja. W takich wypadkach trzeba mieć jaja. Już ja im pokażę. Myślę, że się przestraszą!

Ale kiedy towarzysz Ignaszewski wyjaśniał idee socjalizmu, robotnicy byli już rozkojarzeni, zdenerwowani i jeden za drugim zaczęli opuszczać salę.

Pierwsza wyszła Ignés, dziewczyna, która tańczyła w cyrku Scirona. Była ubrana jak robotnica i niezauważona przez nikogo stanęła w rogu sali i słuchała przemówień. Po kryjomu, zachowując bezpieczną odległość, zaczęła iść za Rinaudem.

Fetor w biednym domu, z klepiskiem zamiast podłogi, był okropny. Smród przesuszanej smażonej cebuli, górujący nad wszystkimi innymi przykrymi zapachami, wniknął głęboko w mury, wypełniając całe powietrze i anonsując bezlitośnie swą obecność na całą nędzną kuchnię.

- Pani Rinaud... - próbował nalegać Germinal.

Kobieta odwróciła się gwałtownie. Patrząc srogo, przytknęła pokrytą szramami i czarną od brudu rękę do ust, jakby chciała powstrzymać się od mówienia.

- Nie powiem panu ani słowa, dopóki nie wróci do domu mój pieroński mąż - powtarzała z uporem.

Długo patrzyła na Germinala i w końcu dodała nieco melodramatycznie:

- Nic nie powiem, dopóki nie wróci. I jeśli za to macie mnie aresztować... to mnie aresztujcie.

I jakby chciała pokazać, że nic nie zmieni jej decyzji, zacisnęła pięści, wsparła je na biodrach i odwróciła się do okna nędznego wspólnego pokoju na parterze chałupiny, jakie seryjnie budowała cukrownia. Podczas gdy kobieta błędziła wzrokiem po smętnym krajobrazie z jednakowymi i jednakowo biednymi domami, nawet ich nie dostrzegając, Germinalowi zdawało się, że potrząsnęła prawie niezauważalnie głową, jakby powtarzała „nie” i jakby chciała

przekonać bardziej siebie samą niż jego o podjętej decyzji. To potwierdziło pierwsze wrażenie, jakie wyrobił sobie na temat tej brzydkiej, postarzałej kobiety o oczach zmrużonych od wysiłku powstrzymywania całej złości, która w niej tkwiła: że tak naprawdę bardzo lubi mówić, i to najchętniej źle.

- Nikt nie ma zamiaru pani aresztować - rzekł pojednawczo Germinal. - Ja tylko nie rozumiem pani oporu... Nie pytam o...

- Nic nie powiem, jeśli nie będzie tu mojego męża - zaparła się kobieta. - Jemu bardzo by to pasowało, że go tutaj nie było i że może źle zrozumieć zwykłą pogawędkę, zwłaszcza gdy ma za dużo wódki we krwi... i w ramach małżeńskiego obowiązku wziąć mnie w obroty, bijąc mnie po twarzy i młóćąc pięściami. O nie, takiego pretekstu mu nie dam.

I mówiąc to, zamiast się zaperzyć, czego można by się spodziewać, nagle zwiotczała, jakby mówiła o kimś innym, a nie o sobie.

Germinal rozejrzał się, nie odpowiedziawszy ani słowem. To nie było w jego stylu. A jednak nie odpowiedział. Nie zaatakował pani Rinaud. Stał, ponieważ kobieta nie zaprosiła go, nawet nieuprzejmym skinieniem głowy, żeby usiadł.

Pani Rinaud, która znów przez brudne okno wypatrywała wracającego męża, wzruszyła ramionami w geście pogardy, jakby mówiąc coś po cichu sama do siebie. Potem niespodziewanie odchrząknęła, splunęła na ziemię i podeszwą filcowego buta roztarła na podłodze mokrą plamę. Otworzyła gwałtownie okno i krzyknęła głosem potężnym niczym dźwięk trąb:

- Szybciej, pierunie! W domu jest policja.

I nie mówiąc nic więcej, jakby cieszyło ją wzbudzenie nieuzasadnionej paniki, której później nie omieszka wyśmiać, zostawszy z mężem sam na sam, zamknęła okno. Kiedy się odwróciła, jej oczka błyszczały w pomarszczonej twarzy, która teraz wyglądała na odżywioną napływem nowej krwi. Poprawiła chustę, jakby to były gronostaje, ustawiła się naprzeciwko drzwi, kilka kroków dalej, i obdarzyła Germinala szybkim, wzgardliwym spojrzeniem bohaterki wydarzenia, czekając, aż jej zdyszany mąż otworzy drzwi.

- Jaka znów policja? - spytał od progu robotnik.

Zaraz za nim wsunął się do domu syn Berto i natychmiast stanął w kącie, obgryzając paznokcie.

W jego szklanych oczach kryje się ta sama złość, co u matki, pomyślał Germinal.

Ale chłopak, przyklejony plecami do ściany, skulony w najgorzej oświetlonym

zakamarku domu, wydawał się nie mieć tej samej siły. Jego złość żywiła się raczej zazdrością niż nienawiścią, jak to bywa u osób, które nie mają zaufania do własnych możliwości i zdają się przemierzać świat w poszukiwaniu tego, czego im brakuje.

W każdym razie kurtyna właśnie poszła w górę. Pani Rinaud wypięła przywiedłą pierś, gdy tylko poczuła ciepłe światła rampy.

Niewidoczny statysta, który stał za drzwiami dopiero co otwartymi przez pana Rinauda, krzychał, nie mając pewności, czy widzowie go słuchają:

- Zaczekaj, do cholery... Skąd znowu policja? To był stary. Dziadek.

- Nareszcie żeś wrócił. Najwyższa pora. I oczywiście pijany - powitała męża pani Rinaud.

Ten mężczyzna jest niebezpieczny, ocenił go natychmiast Germinal. Ucieka się do przemocy. Istotnie, można to było wyczytać w jego twarzy i nieuprzejmym zachowaniu; takie osoby uważają, że bardziej się oplaca coś przewrócić niż obejść. Ale wzrok, który Germinal napotkał, mówił też coś innego. Gdy tylko Rinaud znalazł się przed nim, spuścił oczy i instynktownie, choć czujnie, zrobił krok do tyłu, jak gdyby miał coś do ukrycia. Robotnik spojrzał przelotnie i groźnie na Bertę. I dopiero wtedy, tonem dość spokojnym, choć bełkotliwym od alkoholu, połykając końcówki, jak zwykle prosty człowiek, spytał żonę:

- Czego? Najpierw każesz mi biec, a potem milczysz?

W tym momencie wszedł dziadek, chwiejąc się na starych nogach, pogodzony z losem niczy sportowiec, który nie wierzy już w dotarcie do mety.

- Panie Rinaud, nazywam się inspektor Germinal - przerwał Milton pewnym głosem. - Jestem tu, by zadać kilka pytań pańskiej żonie, która sprzątała pokój pani Neef, gdzie popełniono morderstwo... Słyszał pan o tym?

- I co? Czegoś brakuje? - spytał, podchodząc do niego, Rinaud. Germinal stał całkowicie zaskoczony. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jego wizyta może być tak interpretowana.

- Nie... - odpowiedział.

- Więc?

- Panie Rinaud - Germinal wypełnił niewielką przestrzeń, którą robotnik pozostawił między sobą a nim, wdychając opary alkoholu - pańska żona jest osobą, która lepiej niż ktokolwiek inny mogła zauważyć szczegóły przydatne dla śledztwa. Czy miałby pan coś przeciwko temu, abym zadał jej kilka pytań?

- A gdybym miał coś przeciwko?

- Wtedy mógłbym przypuszczać, że czegoś się państwo obawiają. A to podejrzenie mogłoby mnie skłonić do wszczęcia przeciwko wam dochodzenia - odpowiedział powoli Germinal.

- Dlaczego pan mu grozi? - zainteresowała pani Rinaud.

- Ktoś cię prosił o pomoc? - odparował natychmiast mąż z refleksem godnym boksera. Lub mężczyzny przyzwyczajonego do przewagi w kłótniach i bójkach.

- No to niech pan pyta - rzucił lekceważąco do Germinala.

- Pani Rinaud, czy mogłaby pani opisać, w jakim stanie zastała pokój? - zwrócił się w końcu Germinal do kobiety, która nie mogła się już doczekać pytania.

- Zastałam go w... o właśnie, w strasznym stanie - zaczęła ta, siadając i zachęcając w końcu inspektora uniesieniem podbródka, aby zrobił to samo. - Wszędzie była krew, nie tylko na łóżku, ale i na obu dywanach po bokach, z prawej i z lewej strony... i na ozdobnych oparciach łóżka... Zbryzgała je do samej góry i potem spłynęła na dół, na głowy drewnianych aniołków, które wyglądały, jakby płakały krwawymi łzami, proszę mi wierzyć, i na skrzydełka... - Zrobiła pauzę. - Do tego pokoju wszedł demon we własnej osobie - zamruczała, jeszcze mocniej zaciskając powieki i starając się przypomnieć sobie pierwsze wrażenia.

Germinal milczał i uważnie słuchał; Rinaud chodził niespokojnie po pokoju. Berto, wciąż w swoim ciemnym kąciaku, ani na chwilę nie spuszczał z ojca wzroku.

- Gdyby mnie pan spytał, jaki kolor miał pokój, odpowiedziałabym, że czerwony - ciągnęła kobieta. - Gdy mnie tam wpuścili, nie widziałam nic innego. Dopiero po chwili, czyszcząc i sprzątajac, zauważyłam, że tapeta na ścianach jest jasna i ma delikatne, turkusowe kwiatki... ale widziałam na każdym kroku krew. Wszędzie! Zaszlachtowali ją jak świnie, no nie? To nie był dobry człowiek, mówię to panu, miała co zatajać pod przykrywką akcji dobroczynnych...

Spojrzała na męża.

- Pamiętasz, co mi powiedziała, kiedy do niej poszłam, prosząc o trochę grosza, aby spłacić długi w sklepie?

Pan Rinaud spiorunował ją wzrokiem.

- Proszę wrócić do opisu pokoju - wtrącił Germinal.

- Pokój, oczywiście... Nie chciałam przez to powiedzieć, że cieszę się, że ją zaszlachtowali jak świnie...

- Czy były ślady szarpaniny? Walki? Przewrócone meble, otwarte szuflady, stłuczone przedmioty?...

- Nie. Pokój... pokój był taki, jak panu opisałam... oprócz tych... tych wydzielin pani Neef. Co za obrzydlistwo, to też musiałam posprzątać...

- Jakich wydzielin? - spytał Germinal.

- Z jelit - odparła kobieta. - Obsrała się, z całym szacunkiem, pościel była cała w gównie. Będą musieli zrobić nowy materac, mówię panu.

- Nie zauważyła pani - ciągnął Germinal - innych odchodów, trochę mniejszych?

- Jakich odchodów? - spytała zaskoczona pani Rinaud.

- Odchodów małych zwierząt.

- Takich jak myszy?

- Może trochę większych...

- O jakich zwierzętach pan mówi?

- Mięsożernych.

Rodzina spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Jak umarła pani Neef? - zapytała kobieta, pytając też w imieniu pozostałych. - Myślałam, że ją zasztyletowano.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Znalazła pani w pokoju odchody zwierząt?

- Nie - odparła pani Rinaud. - Tylko jej własne gówno. Germinal, myśląc, że nie dowie się już od pani Rinaud niczego więcej, skierował wzrok na wąskie okno, które wychodziło na boczną część zaułka, i zdało mu się, że widzi wycofującą się kobiecą postać.

- Dobrze - powiedział, wstając. Dziękuję pani. - I skierował się do wyjścia. Szarpnął drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Nikogo. - Był ktoś z panią? - zapytał, odwracając się.

Zobaczył, że kobieta struchlała.

- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie.

- Posprzątała pani wszystko sama? Bez niczyjej pomocy?

- Był ze mną Berto - odparła przez zaciśnięte zęby pani Rinaud.

Germinal odwrócił się w kierunku ciemnego kąta, gdzie przycupnął chłopak. Teraz, gdy wszystkie spojrzenia były skierowane na niego, zdawał się znacznie bardziej zdenerwowany.

- Pamiętasz coś jeszcze oprócz tego, co powiedziała twoja mama? - zapytał Germinal.

Berto wzruszył ramionami.

- Na Boga! - włączył się agresywnie Rinaud. - Wszędzie była krew tej zdziry, chyba żona jasno to powiedziała, nie? Co jeszcze miałyby być w tym pokoju?

- Pamiętasz coś jeszcze? - zapytał po raz kolejny Germinal, patrząc chłopcu prosto w oczy.

Ten pokręcił głową, nie mówiąc ani słowa.

- Dobrze, skończyłem - oznajmił Germinal, podszedł do drzwi i otworzył je pograżony w myślach.

- Kim jest ta kobieta, która za tobą szła? - zdążył jeszcze usłyszeć piskliwy głos pani Rinaud, zwracającej się do męża.

- Jaka kobieta? - zapytał robotnik. Germinal zatrzymał się i obejrzał na nich.

Pani Rinaud umilkła, wzruszyła ramionami i zaczęła udawać, że ma coś do zrobienia przy kuchni.

- Jaka kobieta? - powtórzył dziadek.

- Cicho bądź! - warknął Rinaud. Wtedy Germinal zamknął za sobą drzwi.

Osada robotnicza została zaprojektowana zgodnie z najsurowszymi zasadami geometrii, z jakimi kiedykolwiek zetknął się Germinal. Każdy murowany dom składał się z czterech segmentów, ustawionych szeregowo, jeden przy drugim. Dwa środkowe segmenty cieszyły się największym zainteresowaniem wśród robotników, ponieważ były najcieplejsze. Spadzisty dach każdego domu, wykonany z szarego łupku z odpadów, wznosił się nad fasadą, w której widniały cztery okna, i kończył na linii tyłu budynku. Każde mieszkanie miało też tylne drzwi, przez które wychodziło się do małego ogródka warzywnego. Na parterze znajdował się wspólny pokój z podłogą zmywaną bieżącą wodą i posypaną białym piaskiem. Przy ścianie, która sąsiadowała z przyległym segmentem, ustawiono żeliwny piec z paleniskiem, obok którego znajdowały się dwa małe piecyki, gdzie żarzył się kiepskiej jakości węgiel, dostarczany w stałej ilości przez cukrownię. Rura wylotowa pieca była wspólna dla obu segmentów, tak więc z każdego budynku, mieszczącego cztery mieszkania, wychodziły dwa kominy. Sufit był niski i przytłaczający. Przy tej samej ścianie wznosiły się drewniane schody, prowadzące na poddasze, gdzie znajdował się spory pokój z oknem oraz drugie, klaustrofobiczne pomieszczenie bez okna, wciśnięte pod dach, zazwyczaj przeznaczone dla dzieci. Każdy ogródek graniczył z ogródkiem jednego z domów wchodzących w skład budynku naprzeciwko, zbudowanego na zasadzie lustrzanego odbicia,

także oba stały do siebie tyłem. W ten sposób każde skupisko składało się w sumie z ośmiu mieszkań, czyli dwóch budynków o spiczastych dachach.

Moduły powtarzały się w nieskończoność, albo tak przynajmniej zdawało się Germinalowi, kiedy przemierzał wąskie, idealnie prostopadłe uliczki. W osadzie były dwie główne drogi - jedna prowadząca prosto z północy na południe oraz druga, biegnąca ze wschodu na zachód - nazwane odpowiednio: Główna Północ-Południe oraz Główna Wschód-Zachód. Były wystarczająco szerokie, żeby przejechał nimi spory powóz, i dzieliły osadę na cztery duże sektory: północno-wschodni, południowo-wschodni, południowo-zachodni i północno-zachodni. Pozostałe przecinające je uliczki były węższe i nazwane niezbyt fantazyjnie: Pierwsza, Druga, Trzecia itd., według porządku rosnącego.

Germinal wyszedł, według architektonicznego schematu, narzuconego przez cukrownię, z domu robotniczego 3-Pd/W, części budynku 13-Pd/W, i szedł wzdłuż ulicy Piątej na północ, aby za trzema uliczkami - Dziewiątą, Ósmą i Siódmą - przeciąć Główną Wschód-Zachód.

Tam zostawił swój motocykl, którym przyjechał do osady robotników. Germinal szedł szybkim krokiem, rozmyślając właśnie o bestialskiej jatce, którą musiał się zająć już pierwszego dnia swej pracy na Pijawczaku, gdy zobaczył kobietę krążącą wokół jego pojazdu. Wyglądało to tak, jakby nie tyle zaciekawiał ją wehikuł, ile jakby czekała na jego właściciela.

Germinal zwolnił kroku, próbując dostrzec rysy kobiety w wieczornym mroku. Odwróciła się, dopiero gdy był zaledwie kilka kroków od niej.

Inspektor nie był przygotowany na taką urodę. Długie, gęste, złote włosy lśniły w ciemności.

- Dobry wieczór - powiedział, przystając.

Ignés patrzyła na niego oczyma szarymi jak tutejsze mgły. Mężczyzna miał takie spojrzenie, że przez chwilę miała wrażenie, że się w nim przegląda.

- To pana? - zapytała i znów stanęła do niego tyłem, obróciwszy się w kierunku motoru.

Germinal przytaknął. Ale nie był w stanie wydobyć głosu. Patrzył na Ignés, która ciągle jeszcze dotykała kształtnymi dłońmi błyszczącego baku, jakby go gładziła. I pomimo jej lichego ubrania Germinal pomyślał, że nie jest robotnicą.

- Piękny - powiedziała Ignés, wciąż stojąc tyłem.

- Nie zna pani przypadkiem robotnika nazwiskiem Rinaud? - rzucił nagle Germinal.

- Co? - spytała zaskoczona Ignés, odwracając się i czując, że zamiera jej serce.

- Zastanawiałem się, czy to pani podglądała nas wcześniej przez okno.

Twarz Ignés spłonęła rumieńcem. Utkwiła w nim wzrok. A Germinal nie spuścił oczu. Jednak dziewczyna milczała. Tylko na niego patrzyła. Germinal wyczytał w jej oczach cień cierpienia.

- Nie wygląda pani na robotnicę - powiedział, aby przerwać pełną napięcia ciszę.

- Naprawdę?

Dziewczyna była jednocześnie pełna dystansu i pociągająca.

- Mieszka pani tutaj?

- Nie - odparła poważnie. - Ale urodziłam się w miejscu takim jak to.

- Zatem... - zaczął Germinal, który - nie wiedzieć czemu - czuł się coraz bardziej nieswojo
- ...zatem... co panią tu przywiodło? Tęsknota?

- Wprost przeciwnie! - Ignés roześmiała się. - Jestem tu, bo chcę zapomnieć o tym, co miałam szczęście pożegnać.

I natychmiast spoważniała. Nie wiedziała, dlaczego mu o tym powiedziała. I znów odwróciła się, aby uniknąć jego spojrzenia; czuła, że mogłaby się w nim zatracić. Ale zrobiła to zbyt gwałtownie, straciła równowagę i oparła się o motocykl, który zachybotał.

Dwie silne dłonie przytrzymały ją za ramiona. Ignés spojrzała na nie. I stopniała pod ich dotykiem.

- Proszę mnie nie dotykać - ostrzegła jednak.

Patrzyli sobie w oczy. Nic nie mówiąc. Oddychając w tym samym rytmie. Jedno obok drugiego.

Germinal zaczął powoli opuszczać ręce.

- Proszę mnie nie dotykać - powtórzyła Ignés niższym, zmysłowym głosem, nie przestając patrzeć mu w oczy.

Germinal cofnął się o krok.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała natychmiast Ignés, podchodząc do niego, prawie się o niego ocierając, i położyła dłoń na jego piersi. - Przepraszam, ja...

Germinal nakrył ręką dłoń Ignés. Nie panował już nad swymi odruchami.

Ignés wysunęła gwałtownie rękę i cofnęła się. Okrążyła motocykl, który znalazł się teraz między nimi.

Milton patrzył na nią w milczeniu. Niespodziewanie Ignés roześmiała się. Tyle że bez

radości. Jakby ten śmiech miał ukryć słowa, których nie ważyła się wypowiedzieć, jakby miał przerwać pełne napięcia spojrzenia, rozpalone emocjami oraz zmysłowością, których się nie spodziewała. I Germinal zawtórował jej śmiechem.

A potem spojrzał dziewczynie głęboko w oczy - w oczy szare jak mgła - i nagle zrozumiał. Pojął, w jaki sposób ona oddała od siebie smutek i ból, pozwalając, by ją zaledwie muskały. Uciekając. I pojął, dlaczego się jej boi. Ta dziewczyna była taka jak on.

- Pan też nie wygląda na robotnika - odezwała się wreszcie Ignés; odzyskała już chyba kontrolę na sytuacją; podeszła do motoru i oparła się biodrem o zimny bak.

- Co pan robi na Cmentarzu?

- Cmentarzu?... - powtórzył zdumiony Germinal, również podchodząc do motoru i kładąc dłonie na kierownicy, jakby poprzez maszynę dotykał ciała dziewczyny. Jakby nie mógł się od tego powstrzymać.

- Robotnicy tak nazywają te osady... - Ignés uśmiechnęła się, ale bez blasku. Teraz jej ręka muskała bak. - Tylko cmentarze wśród swych nagrobków zachowują taki sam geometryczny porządek, nie sądzi pan?

- Tak... istotnie... - I dłoń Germinala powędrowała z rączek kierownicy w stronę zbiornika.

- No więc? Co pan tu robi?

Głos Ignés był spokojny, a zarazem ciepły; jej oczy podążyły w kierunku ręki Germinala, znajdującej się już blisko jej dłoni, będącej w ciągłym ruchu.

- Ja... - Germinal zmierzał powoli na spotkanie z jej dłońmi na baku. - Przyjechałem tu, aby... Jestem policjantem. Przyjechałem tu w związku z tym, co wydarzyło się w willi Neefów.

- W związku z tą rzezią? - Opuszki Ignés musnęły palce Germinala.

- Rzezią... tak...

I dopiero w tym momencie Germinal zdał sobie sprawę, że przy tej kobiecie zapomniał o spazmach i skurczach głodowych. Bez zastanowienia zamknął jej dłoń w swojej. Po prostu, dlatego że nie mógł się powstrzymać. Dlatego że pragnął tego całym sobą.

- Proszę mnie zostawić - zaprotestowała Ignés, próbując się uwolnić.

- Jak się pani nazywa? - spytał Germinal, nie zwalnając uścisku; w jego głosie można było wyczuć pośpiech.

Wolną ręką Ignés uczyniła gest, jakby chciała wymierzyć mu policzek.

Germinal spojrzał na nią i powoli puścił jej dłoń.

Ignés stała naprzeciwko niego, patrząc mu głęboko w oczy.

Żadne z nich się nie odezwało. Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

- Ignés - odpowiedziała.

Oboje dyszeli, jakby właśnie stoczyli walkę.

- Muszę już iść - dodała Ignés i odwróciła się. - Do widzenia... panie policjancie.

Germinal jednym susem wskoczył na motor, zapalił go i wrzucił bieg. Odwrócił się, by spojrzeć na Ignés. Przystanęła. Może się uśmiechała.

- Niech pan przyjdzie mnie zobaczyć któregoś wieczoru - powiedziała głośno. - Tańczę w tamtym namiocie na wzgórzu. - I wskazała kierunek ręką.

Po czym znikła w ciemnym zaułku osady.

Germinal dodał gazu i ruszył. Przed nim widniało samotne na równinie wzgórze niczym parawan między robotniczą osadą a miastem. A na szczycie wzgórza namiot pomalowany w szerokie, pionowe pasy w jaskrawych kolorach, przypominające krzykliwą tęczę. Na horyzoncie dwa ciemne i majestatyczne kominy cukrowni.

Ignés czekała w ukryciu, aż dziwny pojazd na dwóch kołach oddali się na tyle, by mężczyzna jej nie widział. Potem wyszła i zapatrzyła się w znikającego Germinala. Nikłe, wieczorne światło padało na jej ramiona, podkreślając idealne proporcje i malując włosy na różne odcienie oranżu i złota. Przycisnęła rękę do piersi. Serce biło jako szalone.

Kiedy motocykl zniknął w otchłani nocy, pozostawiając po sobie tylko ślad dźwięku, powtarzany przez echo bezludnej równiny, Ignés objęła spojrzeniem niebo z nielicznymi gwiazdami, niskie i przytłaczające jak sufity domu, w którym się wychowała; próbowała poddać się dobrze sobie znanemu, łagodnemu smutkowi, który nie miał ani imienia, ani dotkliwych oznak prawdziwego bólu, a jednak ogarniał ją za każdym razem, gdy przekraczała granicę robotniczej osady.

Miała trzynaście lat, kiedy jej ojciec po raz pierwszy zauważył, że staje się kobietą. Dla niej, aż do tamtej chwili, rodzic nie był nikim więcej niż nieznanym mężczyzną, zawsze pijanym, z którym nie miała żadnego kontaktu, oprócz momentów, gdy ją bił bądź wyrywał jej z ręki zarobione w fabryce pieniądze. Ale wówczas Ignés instynktownie pojęła, że nie może się już przy nim rozbierać. Czuła, jak jego wzrok pali jej skórę, a nocą bała się zasnąć. Była jednak

mała. I bezbronna. Za pierwszym razem pchnął ją do kąta. I po raz pierwszy się do niej uśmiechnął. Nie jak ojciec.

A jednak dzisiejszego wieczoru nie czuła w ustach gorzkiego smaku przeszłości. Wydarzyło się coś nowego, niespodziewanego. Coś, czego wcale sobie nie życzyła. Ponieważ od tej chwili nie była już niczyja.

- Żegnaj - odpowiedziała Ignés echu motocykla Germinala, który zniknął za czarnym murem jej życia, i wślizgnęła się w ulicę Siódmą.

Po kilku krokach, dotarłszy do Czwartej, podeszła do czarnego, jednoosobowego, krytego powozu, niestabilnego jak postawiona pionowo trumna, ciągniętego przez małego, zwinnego konika.

- Co powiedział? - rozległ się głos siedzącego w środku Chemika.

- Nie przyszedł z powodu strajku - wyjaśniła Ignés, normalnym już głosem. - Chciał się dowiedzieć czegoś o rzezi w willi Neefów.

- I tyle?

- I tyle - potwierdziła Ignés.

- A zebranie?

- Już ci mówiłam. Jak tylko pojawił się inspektor, wszyscy się rozeszli. Jeden za drugim.

- Nie będzie łatwo utrzymać ich razem, gdy nadejdzie pora - rzekł z westchnieniem Chemik, siedząc wciąż w środku karalucha i nie wychylając się. - Byłaś mi bardzo pomocna. Lepiej, żebym nie pokazywał się na zebraniach, przynajmniej na razie. Dziękuję, Ignés.

Ignés stała nieruchomo, dłubiąc czubkiem buta w czarnej ziemi.

Stigle milczał przez chwilę. Potem karaluch zaskrzypiał i wychyliła się z niego czarna postać, oświetlona przez dwie lampki po bokach powozu. Chemik spojrzał uważnie na Ignés.

- Dlaczego się na to zgodziłaś? - zapytał.

- Bo kiedy próbowałeś zaciągnąć mnie do łóżka... - odpowiedziała Ignés z dwuznacznym wyrazem twarzy - ...wyświadczyłeś mi przysługę, nawet o tym nie wiedząc.

- Jaką?

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami, nie przestając się wpatrywać w kółka, które rysowała w błotnistej, czarnej ziemi.

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Wsiadaj, chodź... Odwiozę cię do Scirona - rzekł Chemik. Ignés przez chwilę się

wahała. Wydawało jej się, że słyszy urywany hałas motoru jadącego przez noc.

- Co to za typ ten inspektor? - zapytał Stigle.

Oczy Ignés zablęsnęły na chwilę, a potem dziewczyna wsiadła do karalucha.

- Myślisz, że mu się spodobałaś? Ignés znów nie odpowiedziała.

- Pamiętaj, że należysz do Scirona - przypomniał Chemik. Koń, słysząc świst bata w powietrzu, ruszył z kopyta, opuszczając Cmentarz.

X

- To, co mamy zrobić, panie doktorze, jest nielegalne - powiedział Germinal, przestając na chwilę majstrować wytrychem w zamku. Odwrócił się do budzącej obrzydzenie postaci dyrektora Instytutu Upośledzeń. - Jak już będziemy w środku, gdyby nas nakryli, mógłbym zaoszczędzić panu kłopotów i oskarżenia o przestępstwo, mówiąc, że zmusiłem pana siłą... - I wskazał głową na powóz stojący w mroku, na tle którego odcinał się nieruchomy i monstualny cień. - Ale z tym furiatem, który nas pilnuje, ta wersja wydałaby się mało prawdopodobna.

- Już panu mówiłem, że nazywa się Zóla - oznajmił Noverre lodowatym tonem.

Germinal kilka godzin wcześniej tkwił na siodelku motocykla, podekscytowany wirem myśli. Spotkanie z Ignés go poruszyło. Germinal nigdy w całym swym życiu nie miał stałego związku. I nigdy mu tego nie brakowało. Przeżył kilka nocy, bardziej samotnych i ciemniejszych od pozostałych. Ale tak naprawdę natura Germinala skłaniała go do jednorazowych lub krótkotrwałych przygód, zahaczających o siebie i wypalających się powoli po kilku miesiącach. Nie prowadził życia bon vivanta czy zatwardziałego kobieciarza. Kobiety były ważną, choć nie najważniejszą częścią jego egzystencji. Nie były też jedynym jej sensem, choć na pewno jednym z niewielu. I może to tłumaczyło, dlaczego tak się upierał, by nie zatrzymać się przy żadnej z nich. Aby nie dać jednej tylko kobiecie możliwości wyeliminowania pozostałych.

Spotkanie tego wieczoru nie wykraczało poza scenariusz, którego Germinal się trzymał. Wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Na widok Ignés poczuł nagłą fascynację, której nie doznał wobec żadnej innej kobiety. Fascynację, która zniewalała zmysły i duszę i która odbierała mu zdolność myślenia.

Ruszył motocyklem w kierunku wzgórza. Mówił sobie, że musi znowu zobaczyć tę kobietę, odczuwając pragnienie, a zarazem złość, jakby właśnie owo pragnienie był przyczyną jego złości, ponieważ nie miał siły nad nim zapanować. Niedaleko namiotu przystanął. Stąd było widać duży bardzo wygodny powóz, dwa kryte wozy, z których unosiła się cienka smuga dymu

oraz zapach pieczonego mięsa, a za nimi mały namiot ze złożonymi zdobieniami. Obok zatrzymała się elegancka dorożka i wysiadło z niej pięciu mężczyzn we frakach. Przywitał ich starzec sprawiający wrażenie chorego na żółtaczkę, pokłonił się i szeroko uśmiechnął. Potem wyciągnął rękę, aby wziąć pieniądze, które podali mu mężczyźni.

- Królowa Mgieł jest do panów dyspozycji przez pół godziny - powiedział, odchylając połę namiotu i wpuszczając ich do środka. - Znają panowie zasady! - zawołał jeszcze tylko za nimi i zaczął przeliczać pieniądze. Po chwili Germinal zobaczył Ignés. Serce skoczyło mu do gardła. Idący za nią dwaj potężni mężczyźni nieśli cztery wiadra gorącej, pachnącej wody. Germinal chciał ją zawołać, chciał do niej podbiec, ale Ignés weszła do namiotu.

Królowa Mgieł jest do panów dyspozycji przez pół godziny - powtórzył głośno rozwścieczony Milton. Silnik pod nim zawarczał, gotując się jak on. Germinal dodał gazu i zjechał w dół ze wzgórza, bez żadnego celu.

Nawet nie zauważył, jak dotarł do Miasta Zwierząt. Pisk hamulców zawtórował skrzekowi żab w pobliskiej wsi i pojazd zaczął zwalniać, parskając dymem. Germinal zapukał do ciężkiej bramy i zobaczył, jak przed głównym wejściem, w strzępiastych oparach wieczoru, materializuje się nieproporcjonalnie duża istota ludzka, która po chwili wpuściła go do środka. Dopiero na zwirowatym podwórzu przyjrzał się uważniej samotnej postaci. Wydała mu się jeszcze potężniejsza.

Mężczyzna był w trudnym do określenia wieku, prawdopodobnie koło pięćdziesiątki, miał małe rysy twarzy i zgaszone, mleczone oczy, przypominające białko jajka. Kąciki ust opadały z natury, nie z powodu złego nastroju. Brwi były rzadkie i mocno łukowate, włosy natomiast, gęste i sterczące, zwyczajowo przycięte, zdawały się dodatkowo przygniatać czoło, i tak nieproporcjonalnie niskie w stosunku do twarzy. Małe uszy wychylały się jak nagie zwierzątka z zarośniętych bokobrodów, które niemal zachodziły na kwadratowy podbródek. Nos był na górze cienki i zapadnięty - wiecznie zacieniony przez wypukłe płyty czołowe, które tworzyły jakby okap - ale niżej, przy rozszerzonych nozdrzach, stawał się duży i mięsisty. Mężczyzna opatulił się w zniszczony przez lata niepogody brązowy płaszcz, upstrzony ciemnymi plamami, które sprawiały, że przy i tak rzadkim włosie lichego materiału wyglądał jak skóra hieny chorej na świerzb. Ręce mężczyzny były opuszczone wzdłuż tułowia, a ogromne dłonie dyndały niby bezwładne, sękatę, powietrzne korzenie. Nogi, wygięte w lekki pałąk, obleczone w ciemne spodnie z surowego płótna, wrosły w ziemię, a stopy - szerokie i stabilne jak platformy -

były ustawione do środka, co pozwalało się domyślać naturalnej predyspozycji istoty do skoków pomimo dużej masy ciała. I owa dwoista natura, emanująca z mężczyzny - ewidentna umiejętność przekształcania swego niemal katatonicznego bezruchu w nagły, acz skuteczny i skoordynowany skok - najmocniej poruszyła wyobraźnię obserwującego go Germinala.

Twarz mężczyzny była poraniona. Rozcięcie na nosie, otarte i posiniaczone policzki i rozcięta górna warga.

- Może mnie pan zapowiedzieć doktorowi Noverre? - zwrócił się do kamiennego strażnika. - Inspektor policji Milton Germinal.

Mężczyzna stał bez ruchu przez krótką chwilę, a potem, nie zmieniawszy wyrazu twarzy ani nie uczyniwszy żadnego gestu w kierunku Germinala, odwrócił się mechanicznie i natychmiast zniknął w ciemnym budynku, tak że inspektor zarejestrował tylko odgłos kroków. Chwilę później wrócił i stanął naprzeciwko w tej samej pozycji co wcześniej, nie udzielając żadnej odpowiedzi.

- No więc? Mogę się z nim zobaczyć? - zapytał Germinal.

- Tak - odparł lakonicznie mężczyzna z powagą, choć bez wrogości; sprawiał wrażenie, że nie ma zamiaru zmienić statycznej pozycji, którą przyjął.

- Na co pan czeka? - rozległ się w ciemnym korytarzu niemiły, ostry i jednocześnie ochrypli głos, który niewyraźnie wymawiał sylaby. Następnie pojawił się Noverre i po raz kolejny na widok jego ułomności Germinal doznał wstrząsu.

- Musi się pan przyzwyczać do mroku, panie inspektorze - powiedział lekarz, idąc przodem i poruszając się jak linoskoczek, który nie może rozłożyć rąk, by odzyskać równowagę.

- Moje odbicie w lustrze napawa mnie jeszcze większym przerażeniem niż to, które odczuwają wszyscy na mój widok... - dodał ze zniekształconym uśmiechem na twarzy, a kilka kropel światła w pokoju lekko rozświetliło ślinę na ustach.

Od tej chwili Germinal postanowił, że już zawsze będzie patrzył doktorowi w oczy, nie będzie zerkał na niego z boku ani okazywał zakłopotania - bądź przerażenia - jakie budzą w nim zakłócone linie jego sylwetki.

Po krótkiej rozmowie, Germinal zostawił motocykl na podwórku Instytutu Upośledzeń i wsiadł do powozu doktora. Wkrótce dotarli na miejsce.

Germinalowi udało się w końcu otworzyć zamek. Odwrócił się do swojego współnika, skinął głową i weszli.

Błada poświata dalekiej lampy odbijała w nocnych mrokach zielone litery, tworzące na drzwiach, które dopiero co przekroczyli, napis: PIERWSZORZĘDNY, RENOMOWANY ZAKŁAD POGRZEBOWY O DŁUGOLETNIEJ TRADYCJI - RODZINA SARONNO.

Germinal zapalił w środku lampę oliwną, podszedł do pomalowanych na czarno drzwi i je otworzył.

Noverre wszedł za nim. Oczy błyszczały mu w drżącej poświacie oliwnej lampy. Wzrastające podniecenie usztywniało jego mięśnie, same w sobie słabo skoordynowane. Zatrzymał się, gdy tylko weszli, Germinal zaś zajął się dwiema potężnymi lampami olejnymi, zawieszonymi na dwóch przeciwległych ścianach.

Pokój rozbłysnął bielą, oszałamiającą bielą wśród gęstej czerni, w której jeszcze przed chwilą się znajdowali. Bielą kafelków, którymi wyłożono zarówno podłogę, jak i ściany na wysokość człowieka.

Germinal zamknął oczy. Białe kafelki zabarwiły się na czerwono. Czerwona krew spływała i tworzyła lustro, w którym widział swoje odbicie mordercy.

- Nie mogłeś o tym wiedzieć - mówił głoś. - Nie mogłeś o tym wiedzieć...

- Dobrze się pan czuje? - spytał Noverre.

- Niech pan zamknie drzwi - nakazał Germinal napiętym i zdecydowanym głosem.

Noverre zdrętwiał, a potem odwrócił się i zaczął popychać nogą skrzydło drzwi.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł szybko Germinal, kończąc za niego tę czynność i wracając do rzeczywistości.

Noverre nic nie odpowiedział, minął go i podszedł do czterech stołów, na których spoczywały podobne do siebie ciała. Trzy były przykryte nieskazitelnie białymi prześcieradłami. Czwarte zwłoki okrywał fioletowy jedwab. Noverre zatrzymał się przy nich.

Małe okienko w ścianie zerkąło na nich z wysoka.

Germinal odsłonił twarz trupa.

- To ona? - spytał.

- Oczywiście - zapewnił Noverre. - Zaczynamy.

- Zaczynamy - powtórzył Germinal i podszedł do wyjścia. - Wezmę z powozu narzędzia i odlewy.

Nie odrywając wzroku od pogodnej twarzy pani Neef, Noverre zaczekał, aż drzwi za inspektorem się zamkną. Następnie pochylił się nad bladymi policzkami, przymknął oczy i

wchłonał zapach z ust kobiety. Kiedy Germinal wrócił, dyrektor Instytutu Upośledzeń stał nonszalancko tyłem do ciała.

Germinal na dworze zrobił kilka głębokich wdechów, pod nieruchomym spojrzeniem Zoli, aby pozbyć się obrazu białych kafelków, które z niewiarygodną siłą przypomniały mu koszmar, od którego uciekał i który zaprowadził go do cuchnącej nory Singapura.

- Jedno tylko pytanie, zanim zaczniemy - powiedział Germinal - przeczytałem dokładnie pański raport na temat śmierci trzech służących. Ma pan jakieś przypuszczenia, co mogło spowodować te wybroszyny na sklepieniu czaszek i na czołach trzech ofiar?

- Nie. Szczerze mówiąc, to zagadka, której nie potrafię wyjaśnić.

- Ale wszystkie są do siebie podobne, czyż nie?

- Tak, są identyczne - potwierdził Noverre. - I... jakby to powiedzieć, mechaniczne. Albo geometryczne, jeśli pan woli.

- Silne uderzenie...

- Nie, nie uderzenie - przerwał mu Noverre. - Raczej ucisk. Bardzo mocny. Każda ofiara ma dwa takie znaki, a odległość między nimi jest jednakowa, wynosi sto osiemdziesiąt stopni...

- Jakby ślady po jakimś narzędziu w rodzaju szczypiec? - zapytał Germinal. - Albo... kleszczy porodowych?

- Kleszcze porodowe - powtórzył Noverre. - Dziwny podał pan przykład... Nie, to coś zupełnie innego. Kleszcze zostawiają ślady, które idą w kierunku górnej części czaszki, rozumie pan. Te znaki wskazują raczej na ruch obrotowy.

- Jakby użyto...

- Nie woli pan, żebyśmy zaczęli, zanim ktoś nas nakryje?

- Tak... tak, oczywiście, panie doktorze - odparł w zamyśleniu Germinal. - Zaczynamy.

- Najpierw nacięcie w kształcie litery Y - powiedział Noverre. - Będzie pan potrzebował lancetu z rączką z kości słoniowej, piły... i pewnie skalpela...

Germinal wyjął ze skórzanej torby narzędzia.

Przeprowadzą zatem sekcję, której im zakazano.

Germinal nie wiedział, dlaczego liczył na współudział doktora. Ale czuł, że ten się na to zgodzi. I to nie dlatego, że lekarz pierwszy zażądał dokonania autopsji. Z innych przyczyn, które wymykały się racjonalnemu rozumowaniu i mrugały porozumiewawczo do jego instynktu. Jedyną pewnością, jaką miał Germinal - zawierając statystyce dotyczącej określonych zachowań -

to ta, że pochodzenie społeczne wpływa w dość łatwy do przewidzenia sposób na postawy i reakcje każdego z nas. W podobnych okolicznościach Germinal zawsze obserwował u wysoko urodzonych osób idiotyczną i głęboko zakorzenioną obojętność w stosunku do jakichkolwiek zakazów. Pewnie tylko dlatego doktor Noverre zgodził się na jego plan. Tylko w imię przeciwstawienia się „nie” komisarza oraz nadętego nuworysza. Jakakolwiek byłaby jednak motywacja, ważne, że on, Milton, zyskał jego współudział i wiedzę.

Ale teraz miał wrażenie, jakby naprawdę sam Noverre zasugerował mu to skrycie, i choć z trudem przychodziło mu przyznać, że ktoś inny podsunął pomysł, miał jednak przez chwilę niemiłe odczucie, że jest manipulowany.

Z tym podejrzeniem w głowie, równie bezsensownym, co uporczywym, zaczął rozbierać panią Neef, która pod fioletowym prześcieradłem była wystrojona, jak wielka dama, w czarną jedwabną suknię, zapinaną z przodu na delikatne kościane guziczki, w tym samym odcieniu co koronki przy rękawach. Dekolt został zasłonięty czarną, gęstą koronką, niepasującą do całości, ale ukrywającą ślady po ugryzieniach, które opasywały szyję niczym makabryczny naszyjnik.

Zamierzali ją rozebrać, otworzyć, zaszyć i z powrotem ubrać, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Oto plan, w którym byli współnikami, obaj sobie niezbędnie konieczni. Noverre, ponieważ był najlepszym specjalistą, potrafiącym rozszyfrować mowę śmierci. Germinal, ponieważ miał dłonie.

Kiedy kobieta była już całkowicie naga, rozciągnięta na metalowym stole, którego kanty pobłyskiwały refleksami rzucanymi przez ścienne lampy, ponownie stała się udreżonymi zwłokami; stary Saronno zszyl je po mistrzowsku, przywracając im najwyższą godność, stosowną do uroczystości pogrzebowych, zaplanowanych na dzień jutrzejszy.

Germinal zobaczył ją po raz pierwszy właśnie taką: umytą, bladą, o białej skórze, zaczynającej już żółknąć, nieco ciemniejszej wokół oczyszczonych, głębokich ran, które odznaczały się od reszty ciała jak dziwaczne jamy. Po atramencie, którym asystent doktora ponumerował obrażenia, zostały tylko nieliczne ślady, przypominające stare, wyblakłe tatuaże.

- Musi pan wprowadzić skalpel tu, pod mostek - pouczył Noverre, wskazując podbródkiem środek ciała. - Poczuj pan początkowo opór, naskórek jest twardszy, niż na ogół wszyscy sądzą... trzeba, jeśli można tak powiedzieć, po prostu chcieć - rzekł z uśmiechem, który zdawał się świadczyć o jego obojętności wobec śmierci - ale kiedy pokona pan już ten opór, tkanki w środku będą miękkie i kruche, dlatego musi pan kontrolować siłę nacięcia. Krótko

mówiąc, proszę być gotowym na powściągnięcie z lekka ręki.

Noverre wyjaśniał spokojnie i chłodno, wzbudzając w Germinalu mieszane uczucia. Z jednej strony, inspektor czuł się pewniej, mając wsparcie w postaci jego wiedzy, z drugiej zaś, zadawał sobie pytanie, jak jego mistrz może tak dobrze opisywać coś, czego nie mógł nigdy doświadczyć. Przeciął, poczuł, jak skóra kobiety istotnie stawia opór, by zaraz się poddać, wydając suchy, a nie kleisty odgłos, jakiego się spodziewał. Raczej świszczący, jakby przecinał wyprawioną zwierzęcą skórę.

- Niech pan zrobi nacięcie do kości, a potem prowadzi ostrze dalej powierzchniowo aż do gardła, nie przejmując się tym ugryzieniem, które przetnie pan na pół - powiedział Noverre. - Nie jest ono ani interesujące, ani istotne jako przyczyna śmierci pani Couze. - Spojrzał na Germinala. - Tak nazywała się w młodości. Jej matka i moja były bliskimi przyjaciółkami - wyjaśnił. - A potem niech pan weźmie tę piłę i rozpiłuje mostek na pół. To praca raczej dla drwala i nie wymaga szczególnej baczności, ale jeśli wykaże pan zbyt ni entuzjazm, kość może się pokruszyć.

Obaj mężczyźni pracowali w milczeniu, przerywanym tylko wskazówkami i komentarzami doktora, aż w końcu, godzinę później - wśród trzasków ścięgien, skrzywienia stawów, chrzęstu kości i głuchych plaśnień organów wewnętrznych - pani Neef stała się jeszcze bardziej naga i budząca litość niczym upolowana zdobycz, w której grzebią w poszukiwaniu dobrego kawałka mięsa.

- Zmarła w wyniku tamtego ugryzienia na lewym udzie - zawyrokował w końcu Noverre. - Kły przecięły tętnicę udową. Śmierć przez wykrwawienie. Nie wiemy, czy są zatoki w mózgu - postanowili nie otwierać czaszki - ale nie wykluczałbym tego. Także serce nie wykazuje specjalnych cech zużycia, a rany na brzuchu wyrządziły mniej złego, niż można by przypuszczać, patrząc na nie. Od momentu śmiertelnego ugryzienia minęło przynajmniej dziesięć minut, zanim nastąpił zgon. Wszystko wskazuje na to, że była świadoma, aż do końca... zmysły wciąż działały, to mam na myśli. I wątpię, żeby to było ostatnie ugryzienie.

Germinal teraz, gdy dotarł już do końca tego ćwiartowania zwłok, czuł niepokojącą słabość w nogach, a ręce zaczęły mu drżeć.

- Proszę coś dla mnie zrobić, mógłby pan jej podnieść powieki? Chodzi o zwykłą ciekawość.

Germinal ujrzał parę zgaszonych oczu o idealnym kształcie, wpatrujących się w pustkę.

Noverre przytaknął usatysfakcjonowany i zaczął rozglądać się wokół w poszukiwaniu

narzędzia, które wyjawi mu sekret skorygowanego przez grabarza zeza. W końcu spojrzał pełen podziwu na przedmiot na szafce.

- Bańka! - wykrzyknął - Genialny Saranno. Genialny i miłosierny. Germinal pochylił się nad skórzaną torbą i wyjął z niej trzy ponumerowane odciski ugryzień.

- Teraz musi pan zrobić badanie pochwy - oznajmił Noverre, przerywając jego rozmyślenia. - Zna pan podstawy ginekologii?

Germinal popatrzył na niego zmieszany.

- Nie chce się pan upewnić, czy nie wykorzystano w obrzydliwy sposób biednej Couze? - zapytał Noverre, znów nazywając panią Neef jej dawnym nazwiskiem, które nosiła, będąc niewinną dziewczyną.

Germinal spojrzał na okaleczony otwór między nogami zbezczeszczonej kobiety, pozbawionej w tym miejscu sporego kawałka ciała. Zmieszany po raz pierwszy, od chwili kiedy zaczął profanować ciało piłami, skalpelami i lancetami.

Noverre czekał cierpliwie. Z niczym niezmaconym wyrazem twarzy.

Germinal wahał się nie z powodu zażenowania, że miałby zbadać część ciała, którą tak dobrze przecież znał w związku z licznymi przygodami seksualnymi. Blokowała go raczej - w tym wnętrzu wyłożonym białymi kafelkami - mdląca myśl, że miałby uklęknąć między nogami kobiety. Jakby problemem było wyobrażenie sobie tego. Nie sam czyn. A umysł nie pozwalał mu na żadną inną myśl.

- Wsunie pan tampon aż do szyjki macicy - ciągnął Noverre. - Będzie pan wiedział, że dotarł do celu, ponieważ napotka pan tam zwężenie. A ja będę patrzył z drugiej strony - i wskazał precyzyjnie otwarty brzuch pani Neef, cudownie okrągły pępek, przycupnięty na skrawku odchylonej skóry, jak guzik pościeli, porządnie złożonej przez pokojówkę przed nadchodzącym wieczorem.

Germinal drżącymi dłońmi wyjął tampon z walizki.

- Jeśli mamy szczęście, odkryję ślady spermy - dodał Noverre. - Mógłby pan wyjąć też mikroskop i ustawić na stole... o, tam?

Germinal wykonał prośbę jak zahipnotyzowany. Nagle przeniósł się w przeszłość, do odległych czasów dzieciństwa, kiedy z ledwością dosięgał klamek u drzwi. I przypomniał sobie jedną szczególną klamkę, choć obraz samych drzwi, w których ją zamontowano, pozostawał zatarty. Mosiężna klamka w kształcie pyska dzika, zakrzywiona do góry, w arabskim stylu.

Pochylił się nad pochwą. Włożył rękę, zakrzywioną jak dziób, z lnianym tamponem w zaciśniętych palcach i wsunął go między blade tkanki, które rozwierały się po cichu. Atak mdłości. Powstrzymał go. Kontynuował, czując się coraz mniejszy, opanowany lękiem, przestraszony i przyklejony do obrazu, od którego nie umiał uciec, rozpoznając paraliż nóg, który opanował go też tamtego dnia. Wsunął głębiej rękę w tajniki martwego ciała, prawie ze złością, chcąc przeciwstawić się przerażeniu. Zderzył się z czymś twardym, nienaturalnym. Wrócił do terażniejszości.

- Tam coś jest - powiedział, wyjmując rękę i kładąc na stole tampon żółty od płynów ustrojowych.

Ponownie zbadał pochwę, chwycił ciało obce i ostrożnie wyciągnął je na zewnątrz, jakby bał się, że ryba wyśliznie mu się z haczyka palców, niczym w makabrycznym porodzie. Na tę myśl poczuł kolejny atak mdłości.

Spojrzenie doktora stało się uważne, żywe, lśniące ciekawością.

- Co to jest? - zapytał podekscytowany.

- Zawiniątko... obwiązane... sznurkiem - powiedział Germinal, oglądając wygrzebany przed chwilą z głębin ciała dowód rzeczowy. - Woreczek... ze skóry...

Noverre podszedł do niego i wpatrzył się w przedmiot błyszczącymi, zdeformowanymi oczyma.

- To moszna - oświadczył. - I wygląda na... ludzką.

- W środku jest coś twardego - rzekł Germinal, macając zawiniątko.

- Niech pan to otworzy, szybko.

Germinal położył mosznę na stole, obok mikroskopu, i skalpelem zaczął rozsupływać węzeł.

- Kostki... - powiedział. - Małe kostki.

Noverre stanął przy Germinalu i pochylił się tak jak on. Jego zaczerwieniona, spierzchnięta twarz zbladła, a oddech zatrzymał się na chwilę w gardle.

- A ci dwaj kretyni nie chcieli sekcji zwłok! - wykrzyknął Germinal w przypływie emocji.

- Panie doktorze - dodał - nie może pan o tym nikomu powiedzieć. Przynajmniej dopóki nie będziemy absolutnie pewni, czy zostawił to morderca.

- Panie inspektorze - odparł Noverre, gdy już doszedł do siebie po oszołomieniu spowodowanym odkryciem, unosząc ironicznie brwi, co jeszcze bardziej podkreślało asymetrię

jego zniekształconej twarzy. - Nie wiem, jakie zwyczaje mają miastowe panie... ale w naszych stronach sekrety, których na pewno nie brakuje, nie są zagrzebywane w tak intymnych miejscach, zapewniam pana. A mówię to na wypadek, gdyby pomyślał pan, że mała Couze mogła uprawiać jakieś zboczone praktyki.

- Proszę jednak, aby nikomu pan o tym nie mówił - powtórzył Germinal.

- Niesamowite - wymamrotał w odpowiedzi Noverre. - Wygląda to na paliczki zwierząt. Paliczki zwierząt w mosznie, która prawie na pewno jest ludzka. - I dodał po chwili: - Nie mamy zbyt wiele czasu. Niech pan włoży tampon pod mikroskop, zanim całkowicie wyschnie. Zobaczymy, czy morderca przypieczętował gwałtem swą bestialską naturę.

Podczas gdy Noverre analizował z uwagą desenie widoczne pod silnym szkłem mikroskopu, Germinal znów poczuł, że zanurza się w swej koszmarnej przeszłości, która nie objawiała się, ale też nie milczała, nieustająco jednak przemawiała trudnym do sprecyzowania i rozdzierającym głosem w jego duszy. Odszedł od ciała i oparł się o chłodną białą ścianę. Obok niego stała szafka, również polakierowana na biało. Otworzył ją, nie wiedząc nawet, czego szuka.

„Hydrat chloralu” głosił napis na jednym z flakonów z brązowego szkła z lekami. Germinal znał go jako substancję o neutralnym kolorze i gorzkim, lekko piekącym smaku, która spowalniała pracę serca, wprawiając pacjenta prawie w stan śpiączki. Raporty sądowe często wymieniały osoby, które po jej przedawkowaniu nieświadomie napotkały śmierć. Prawdopodobnie pan Saronno trzymał lek pod ręką dla krewnych ofiar, aby ukoić ich nerwy za pomocą maksymalnie dziesięciu granów. Germinal spojrzał na doktora, wciąż pochylonego pod mikroskopem. Ponowna myśl o Ignés wkradła się zdradliwie do jego głowy. Wziął buteleczkę i wsunął ją do kieszeni. Potem wrócił do ciała.

- Albo umyli dokładnie biedną Coupe, albo - co, rzekłbym, jest bardziej prawdopodobne... - odezwał się Noverre, odrywając większe oko od szkiełka. - Hm, całą rozrywką mordercy było obserwowanie, jak zwierzęta rozdzierają ją na strzępy.

- Myśli pan, że to zwierzęta spowodowały te wszystkie rany? - zapytał Germinal, który nagle poczuł się pewniej, prawdopodobnie dzięki flakonikowi ukrytemu w kieszeni.

- A cóż innego? - odpowiedział mało zainteresowany Noverre. - Widział pan odciski. Dwa różne zwierzęta. Mięsożerne. Może kuna... i łasica, sądząc po ostrych i dobrze rozwiniętych kłach.

- Nie wydaje się panu dziwne, że na skórze kobiety nie ma nawet jednego śladu

zadrapania przez pazury tych zwierząt? - zainteresował się Germinal.

Noverre spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Trzy rzeczy się nie zgadzają - ciągnął Germinal z opuszczoną głową. - Po pierwsze, zadrapania. Po drugie, pani Rinaud, która sprzątała pokój, nie pamięta odchodów tych tajemniczych, mięsożernych zwierząt. I trzecia, równie dziwna sprawa, że twarz ofiary pozostała całkowicie nietknięta - napierał na doktora, próbując rozwikłać wszystkie zagadki zadaniem jednego pytania: - Czy można wysunąć hipotezę, że morderca trzymał zwierzęta i kierował ich kły ku ciału związanej wcześniej kobiety?

Noverre już miał odpowiedzieć, gdy jego wzrok zapłonął złością. Zrobił krok do przodu, patrząc w jeden punkt na górze. Germinal odwrócił się i w okienku, które wychodziło na pokój, zobaczył szpiegującą ich wąską głowę. W świetle dwóch silnych lamp ściennych rany na twarzy Zoli były jeszcze bardziej widoczne. Gdy tylko olbrzym napotkał wzrok swego pana, zaczerwienił się i uciekł.

- On jest psychicznie chory - wyjaśnił Noverre, lekko poruszając kikutami, które wprawiały w ruch rękawy ciężkiego palta, niby czarne duchy. - Nic nie powie nikomu. Daje tylko upust swej chorobliwej, ludzkiej ciekawości, której nie przytłumiło nawet upośledzenie. Proszę mu wybaczyć...

- Skąd te rany? - zapytał Germinal.

- Gonił lisa, który zakradł się do kurnika. Próbował przejść przez tę samą dziurę w ogrodzeniu. - Noverre roześmiał się, ale bez szyderstwa, raczej z czułością, jakby mówił o dziecku, pomyślał Germinal.

Inspektor wrócił myślami do pytania. Wziął do ręki odciski. Jego asystent uzyskał je, okładając najbardziej rozległe rany roztworem wodnym pyłu kredowego, utwardzonego i uelastycznionego klejem pochodzenia zwierzęcego. Ślady były dokładne w najmniejszych nawet szczegółach. Germinal mógł wskazać w białawych i twardych odlewach, w którym dokładnie miejscu kończyły się zęby i zaczynał chropowaty, nierówny naskórek ofiary. Zamyślony odłożył po kolei odciski do walizeczki. Następnie, jakby dopiero teraz tłumaczył sobie to, co przed chwilą zauważył, wziął ponownie do ręki odlew numer 27, pozostając pod wrażeniem dokładnie odtworzonej wewnętrznej powierzchni rany.

- Może mi pan powiedzieć, któremu ugryzieniu odpowiada ten odlew? - spytał podekscytowany doktora.

Ten przyjrzał się dokładnie ciału i wskazał na ranę w boku, naj wysokości biodra.

Germinal wziął metalową pęsetkę i jeszcze raz przyjrzał się odciskowi. Na boku rany, zaraz nad śladem ugryzienia, był wyraźnie widoczny znak, który nie miał ani odwzorowania ostrych kłów, ani nieregularnych krągłości rozciętej skóry. Pochylił się nad raną i rozsunął ją, naciskając jej brzegi na przemian kciukiem i palcem wskazującym. W końcu zobaczył wbity w ciało, zaczepiony o kość biodrową, błyszczący jak nabój na powierzchni skóry odłamek metalu. Chwycił go mocno pęsetką i wyciągnął.

Po czym triumfalnie pokazał go lekarzowi.

- Te zwierzęta mają szczęki z żelaza - oznajmił i zabrał się do zszywania ciała, a następnie do jego ubierania.

Kiedy zgasił już obie lampy, usłyszał głos lekarza:

- Będzie lepiej, jeśli odstawi pan buteleczkę, tam gdzie ją znalazł. Przez takie głupstwo mogliby nas odkryć.

Germinal wzdrygnął się z lampką oliwną w rękę. Jej światło ukazało jego nagle zblednięcie.

- Pewnego dnia powinien pan opowiedzieć mi o swoim problemie - ciągnął dalej Noverre spokojnym i opanowanym głosem. - Może mógłbym panu jakoś pomóc.

- A co? Handluje pan narkotykami? - zapytał Germinal, wyprzedzając go i kierując się do wyjścia z zakładu pogrzebowego.

XI

Bóg wtopił się w tłum ludzi już wczesnym rankiem, by móc wdychać pełnymi płucami chwałę swego Nadejścia, podczas gdy nieświadomy tego, otaczający go świat zaczynał je świętować. Poprzez pogrzeb, który dla boga był świętem.

Bóg drżał z niecierpliwości w swej śmiertelnej powłoce. W tej nędznej skorupie, którą wybrał, by przyoblec ludzki kształt, zanim się objawi, zanim ukaze światło swej boskości. Nikt w tłumie, który zaczął się już gromadzić przed kościołem, nie mógł dostrzec jego transcendentalnej natury. Jeszcze nie teraz. Ponieważ bóg chciał być jednym z nich, aby móc dalej karać.

Pierwsza, ta, która kiedyś się zaśmiała i splunęła, została ułożona w bogato intarsjowanej, ciemnej trumnie, wyściełanej błyszczącym jedwabiem. Podszedł do niej jak wielu innych, niewidzialny dla wszystkich w swej boskości, kiedy kościół nie był jeszcze pełen. Pochylił się nad bladą, nieruchomą twarzą, jakby chciał się z nią pożegnać, ale tak naprawdę, by odurzony

wchłonąć fetor zbezczeszczonego ciała, udęczonego podczas jego orgii i rytuałów, w które je wtajemniczył. Głęboko wdychał kwaśny zapach martwego ciała; kościelne kadzidła nie były w stanie go zlikwidować. Pocałował nawet zmarłą w błądy policzek i zauważył, że skóra jest już sucha i twarda, a nie aksamitna, jak ta, którą zapamiętał, jak ta, której skosztował zaledwie dwa dni temu.

Potem bóg wyszedł na zewnątrz, przeszedł przez ulice, które niedługo staną się teatrem jego Nadejścia. Słuchał komentarzy ludzi na temat swej chwały; nikt nawet nie podejrzewał, że to on jest bogiem. Tym bogiem, który wymierza karę, który odnowi rytuał, który będzie się mścił i triumfował. Który oddali kobiety od wrzecion. Który zmaci umysły szalem, zanim ukaże swą mistyczną, najczystsza naturę.

Dzień wcześniej wziął udział w pobieżnej uroczystości, dzięki której świat pozbył się trzech przeszkód, jakie on musiał usunąć, aby Pierwsza mogła w pełni uczestniczyć w jego misteriach. Trzy ofiary, trzy małe owady, zostały pośpiesznie pobłogosławione przez proboszcza - podobnie jak bóg pośpiesznie i bez gniewu się ich pozbyli wrzucone do wspólnego grobu, bez imienia i bez chwały, tak jak być powinno.

Ale bóg wiedział, że dla Pierwszej zjawi się wyższy stopniem kapłan, sam biskup. Całe miasto brało udział w rytuale jego Nadejścia. Pisały o tym gazety. Tłum ciekawskich z miasta i okolicznych wiosek przybył tego ranka do kościoła, który zazwyczaj świecił pustkami. Z powodu boga. Z powodu Nadejścia. Z powodu Pierwszej, która przyoblekła szaty jego misteriów i jego orgii. I w oczach wszystkich kryło się przerażenie ogromem dzieła, godnego tylko boga.

A bóg drżał z wściekłości.

- Co pan zrobił? - krzyknął wyprowadzony z równowagi komisarz Landau, kiedy Germinal poinformował go o nielegalnej sekcji zwłok, nie zdradzając udziału doktora Noverre.

Zegar ścienny wybił jedenastą trzydzieści. Komisarz poprawił jedwabną szarfę wokół bioder, która przekrzywiła się, kiedy gwałtownie podniósł się zza biurka. Był w galowym mundurze. Za kilka minut powinien wyjść z komisariatu, wydać ostatnie instrukcje orkiestrze dętej, która miała zagrać na cmentarzu, i punktualnie na dwunastą dotrzeć do kościoła na uroczystości pogrzebowe.

- Pójdzie pan ze mną - rozkazał Germinalowi i wściekłym krokiem wkroczył na wewnętrzne podwórko, gdzie orkiestra ćwiczyła w marszowym tempie „Requiem”, w którym

flety i puzony odgrywały partie skrzypiec.

Komisarz Landau podszedł do dyrygenta, starego Gidona, żandarma, który był już na dwóch wojnach, stłumił rewoltę i strzelał do robotników strajkujących w kopalni na północy. Rozmawiali przez kilka minut, a następnie, gdy dźwięki „Requiem” po raz kolejny zostały okaleczone przez solówkę dzwonów z pobliskiej dzwonnicy, obwieszczającą śmierć, komisarz odwrócił się z zaciśniętą szczęką do Germinala.

Orkiestra opuszczała podwórze, kierując się na cmentarz, a tymczasem Germinal stał naprzeciwko przełożonego, nieugięty pod jego spojrzeniem.

- Pójdzie pan na pogrzeb razem ze mną - oświadczył komisarz twardym głosem, kiedy zabłocone podwórko opustoszało. - Ma pan mundur na uroczyste okazje?

- Panie komisarzu, pan chyba nie rozumie rangi mojego odkrycia... - zaczął protestować Germinal.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie mam munduru - warknął Germinal, lekko pochylając głowę, jednak nie tyle w geście uniżoności, ale jakby chciał stłumić złość i nie pozwolić jej wybuchnąć. - Ani na uroczyste okazje, ani galowego.

- Jakoś mnie to nie dziwi - skomentował pogardliwie Landau. - A więc pójdzie pan tak i stanie na końcu kościoła.

- Nie płacą mi za chodzenie na pogrzeby.

- Ale zapłaci pan, jeśli ktoś odkryje, co pan zrobił ze zwłokami pani Neef, łamiąc mój wyraźny rozkaz. Chcę, aby to do pana zwrócono się o zapłatę za tę rzeź.

- Zapłacę im wtedy znalezionymi dowodami - odciął się Germinal. Landau spojrział mu w oczy, uśmiechając się ironicznie.

- Wtedy się pan przekona, że te pieniądze wyszły już z obiegu w tutejszym banku - rzucił z goryczą.

- A co ma pan zamiar zrobić, jeśli nikt niczego nie zauważy? - przeszedł do sedna Germinal.

Landau spojrział na zegarek w kieszonce. Za kwadrans dwunasta.

- Powiem panu po pogrzebie, Germinal - odparł komisarz. - Idziemy.

Obaj mężczyźni szli w milczeniu. Landau z przodu, Germinal podążając ociężale za nim, spowolniony działaniem dziesięciu granów chloralu, które wziął poprzedniego wieczoru, nie

mogąc zasnąć i rozmyślając o wynikach sekcji. Fragment metalu, spokojnie obejrzany w Instytucie Upośledzeń przez doktora pod mikroskopem, okazał się kawałkiem żelaza, tak jak Germinal przypuszczał. A to świadczyło, że morderca nie *kazał* zabić pani Neef krwiożerczym zwierzętom, ale sam zadał ofierze śmierć, nacinając jej ciało dwoma różnymi narzędziami. Dwoma zaostrzonymi protezami, które miały kształt zębów kuny i łasicy. Do łasicy należały też kości włożone do moszny, która bez wątpienia była ludzka. Noverre odkrył, że kostki tworzyły łapę. I gdy przekazywał inspektorowi tę ostatnią rewelację, głos Hrabiego bez Rękawów - jak zauważył Germinal - załamał się i na krótką chwilę stracił swą metaliczną pewność. A oczy doktora, które zazwyczaj patrzyły wyzywająco na rozmówcę, błędziły po pokoju, unikając kontaktu.

Gdyby to było przesłuchanie, pomyślał Germinal, uznałbym, że Noverre kłamie. Lub coś ukrywa.

W okolicach miasteczka panowało wielkie zamieszanie. Ludzie na ulicach byli podekscytowani, i gdyby nie czarny kolor ich ubrań, można by pomyśleć, że to jakieś święto. I w istocie ich podniecenie budziły zarówno przerażające wydarzenie, jak i wielka pompa w związku z pogrzebem, którą biedacy oceniali wedle kosztów, wyliczając, że za tę sumę mieliby co jeść przez rok albo nawet dwa. Wszyscy - bogaci, biedni, mężczyźni i kobiety, mieszkańcy Pijawczaka, dziennikarze i gapie, którzy napływali z miasta - podążali w jednym kierunku i jak tysiąc potoków, które spływają z gór, by zlać się w rzekę, wypełniali coraz bardziej zatłoczone zaułki, aż do ujścia głównej ulicy. Stamtąd samoistnie uformowana procesja dotarła do placu i dziedzińca cmentarza, już od ponad godziny zatłoczonych i tętniących rozmowami przybyłych.

W tym momencie - pięć minut przed dwunastą - pojawił się wdowiec, torując sobie drogę w czarnym, błyszczącym dyliżansie, ciągnionym przez osiem koni, równie czarnych i błyszczących, z fioletową kitą, zatkniętą między uszami. Powóz był odkryty pomimo zimna, tak że - niczym powiatowy arcykapłan - pan Neef mógł obdarzyć swym skąpym błogosławieństwem maluczkich, którzy wykorzystywali ten krótki przejazd, by przekazać swe kondolencje. Z tyłu, tworząc półkole, jak w wojskowym szyku, ustawiły się między wdowcem a stłoczonymi ludźmi jeden za drugim powozy innych ważnych osobistości.

Bóg na nich patrzył otoczony przez tłum, który go znał, ale który wciąż go nie rozpoznawał. Przybyli wszyscy razem, jak na paradę. Jakby chcieli go uhonorować. Z jednego

powozu wysiadła Druga, która tak jak Pierwsza kiedyś się roześmiała i splunęła; z drugiego wysiadła Trzecia, która się roześmiała, splunęła i dodała:

- Należałoby go zabić.

Z kolejnego powozu wysiadła Ostatnia, ta, która się roześmiała, splunęła i potwierdziła:

- Tak, należałoby go zabić.

I która później poraziła matczyne łono swą czarną klątwą, skazując boga na ułomność i zmuszając go do ukształtowania się w ojcowskim jądrze.

Czas Nadejścia został uczczony przez Pierwszą.

I rychło zostanie uczczony także przez Drugą.

Ale nie był to jeszcze czas ani Trzeciej ani Ostatniej.

Teraz bóg nie spuszczał oczu z Drugiej, patrzył na nią, gdy pochylała się, niczego nieświadoma, by pożegnać Pierwszą. Nie wiedząc, że spoglądając na swe odbicie w ślepych źrenicach i umęczonym ciele, przegląda się właśnie w mulistym jeziorze swej przyszłości, w zapowiedzi orgii i misterii, które bóg ma dla niej w zanadrzu. Jakby Pierwsza przekazywała jej przeznaczenie zapisane od zawsze, które już niedługo w pełni się ziści. Jakby przekazywała jej pałeczkę chwalebego końca.

Ponieważ on był bogiem zmańczonych zmysłów, syreną instynktów, krzykiem nienawiści. Bóg był ujadaniem, rykiem, wyciem, wrzaskiem, sykiem i skrzekiem. Był bogiem pierwotnych energii, uwolnionych w całej swej okazałości, objawionych w całej swej chwale. Był bogiem drzemiących sił, przed którymi nie można było ani się schronić, ani obronić, które uderzają w nieprzewidywalnych kierunkach, niosąc zniszczenie i niekończący się ból.

On był Bykiem, Kozłem, Lwem i Wężem.

Od jego krwi wybrańca dojrzewał granatowiec.

On był Śmiercią i Odrodzeniem.

On narodził się dwa razy, był chłopczykiem, który przeszedł przez podwójne wrota.

Był bogiem magii i złudzenia. I dlatego przygotował już ostatni akt; on przyniesie kres ograniczoności umysłów i ślepotę ludzi, którzy powinni rozszyfrować jego plan.

Germinal stał w głębi kościoła i rozglądał się na boki niespokojnymi oczyma, które w wilgotnym półmroku błyszczały od fioletowych lamp. Miał ręce założone na plecach, blisko ciała, i był bezustannie przesuwany i popychany przez napływający tłum, który falował jak

chłostany przez północno-wschodni wiatr łan żyta i wciąż się przemieszczał, nie będąc w stanie ustać w miejscu, wypierany zaraz przez kolejną rzekę ludzi tłoczących się z tyłu.

Ołtarz i okryty kirem katafalk były otoczone wieńcami kwiatów, których nadgniła nieco woń, wypełniająca powietrze i łącząca się z zapachem kadzideł, nie docierała do Germinala, bo wokół niego przeważał fetor tłumu. Kwaśny odór potu i ubrań przesiąkniętych znojem. Przypominający woń strachu.

W kościele było trzydzieści rzędów ławek podzielonych na trzy sektory, centralny oraz dwa boczne; w ten sposób obie nawy, otoczone z każdej strony kolumnadą, tworzyły dwa centralne korytarze, prowadzące do ołtarza.

Przybyli wszyscy. Notable i znamienici mieszkańcy tej mieszanej dzielnicy - która nie była tylko peryferiami ani tylko wsią, ani też tylko częścią przemysłową miasta, ani tylko strefą rezydencjalną - zgromadzili się w pierwszych ławkach trzech sektorów, z wyjątkiem pierwszej ławki w środkowej części, która stała dziwnie pusta. Za pierwszymi rzędami, oddzielonymi od pozostałych małym przejściem, które w rzeczywistości wyznaczało granicę, siedzieli mieszczenie, dziennikarze oraz ciekawscy ludzie we frakach, w porządku malejącym, zgodnie z którym stopniowo biedniały ubrania i rzędy klejnoty pań. Reszta przybyłych - robotnicy, chłopci, drobni sklepikarze i inne osoby, które mogły być zarówno kieszonkowcami, żebrakami jak i zwyczajnie głodującymi ludźmi - rozsypała się bez żadnej nadrzędnej zasady po kościele, stając w przypadkowych miejscach i zdobywając swe pozycje za pomocą łokci i kuksańców. Granicę, której nie mogli przekroczyć, wyznaczał rząd żandarmów, stojących na wysokości dwóch pierwszych ławek, zaraz za ołtarzem i katafalkiem.

Germinal rozpoznał zwiotczałą postać pana Neefa, wdowca, który ścisnął w dłoni idealnie wyprasowaną, dużą chusteczkę z cienkiego białego lnu, dotrzymującą mu towarzystwa w oczekiwaniu na łzy, mające napęścić baseny jego wciąż suchych oczu. Inspektor doszedł do wniosku, że osoby stojące przy nim to akcjonariusze cukrowni wraz z żonami. W trzecim rzędzie zauważył masywny kark komisarza Landaua, który siedział sztywno w galowym mundurze. Aż podskoczył, gdy mniej więcej w połowie kościoła ujrzał starca, którego widział poprzedniego wieczoru na wzgórzu, kiedy szukał Ignés. „Królowa Mgieł jest do panów dyspozycji przez pół godziny”

- powtórzył w myślach, dławiąc falę nienawiści do starca o cerze chorego na żółtaczkę, ubranego w jaskrawy, aksamitny frak, który przywodził Germinalowi na myśl cyrkowego

pogromcę zwierząt.

Po jego lewej stronie dostrzegł mężczyznę o długich włosach, zebranych w kobiecy niemal węzeł, odzianego na czarno, z elegancją nieprzekraczającą dobrego smaku. Germinal zaczął natychmiast wypatrywać w tłumie Ignés. Ale jej nie odnalazł. Za to wśród stłoczonych w prawej nawie ludzi zauważył rodzinę Rinaudów. Robotnik wymachiwał rękoma i opierał się o plecy stojących przed nim ludzi, żeby lepiej widzieć; Berto, jego syn, obgryzał jak zawsze paznokcie i rzucał ukradkowe spojrzenia na wszystkich wokół, jakby się bał, że ktoś go dotknie; z nikim nie zamienił ani słowa; pani Rinaud, z kwaśną miną, plotkowała z kilkoma kobietami, ubranymi równie biednie jak ona.

- Rozszarpały ją na kawałki, mówię wam - opowiadała konspiracyjnym szeptem. - Wszędzie była krew i ten inspektor... o, tamten, widzicie? - Pokazała kumoszkom Germinala, który choć nie wiedział, o czym kobiety mówią, spostrzegł, że się odwróciły, by na niego spojrzeć, i pokazują go sobie palcami. - Więc ten inspektor dał mi do zrozumienia, że nie ma co do tego wątpliwości. Ta świńska zdzira Neef nie została zadżgana nożem, ale rozszarpana na kawałki. Rozszarpana przez dzikie zwierzęta!

W tym momencie podeszły inne zaciekawione kumoszki, a pani Rinaud ciągnęła swą opowieść, która - przekazywana z ust do ust - obiegła robotnice, ich mężów, dzieci i wkrótce dotarła do uszu wszystkich.

Tuż za rodziną Rinaudów Germinal zauważył młodego mężczyznę o cienkich, jasnych włosach, ładnych rysach twarzy i oczach gorejących pasją. Poczul nagle silną empatię w stosunku do tego nieznanego, który pomimo dość skromnego odzienia nie wyglądał na robotnika.

Wtem usłyszał nieprzychylny pomruk, który rozprzestrzenił się jak śmiertelny rak, zarażając wszystkich obecnych, więc się odwrócił. W ten sposób ludzie reagowali na wejście mocno spóźnionego doktora Noverre. Kaleki dyrektor Miasta Zwierząt zatrzymał się na chwilę w otwartych drzwiach kościoła, jakby rzucał wszystkim wyzwanie. Germinal napotkał wzrok doktora i bez widocznych znaków obaj mężczyźni - policjant i potwór - potwierdzili pakt, który zawarli tej nocy. Tylko oni dwaj byli w pełni świadomi, w jakim naprawdę stanie jest ciało wystawione u stóp ołtarza. Wiedzieli to lepiej niż mąż zmarłej. W tym momencie Germinal przypomniał sobie, że spostrzegł doktora z okien komisariatu, krążącego z Zolą po zaułkach Pijawczaka, i że widział go tego ranka w okolicach kościoła, gdy przybył tam razem z

Landauem. I uświadomił sobie, że to spóźnione wejście nie jest przypadkowe.

Zóla, olbrzym, który stanowił zawsze straż lekarza, na znak swego pana ruszył do przodu. Jego imponujące cielsko torowało drogę w zwartym tłumie, który rozstępował się, gdy nadchodzili, i natychmiast potem zablizniał jak rana, kipiąc coraz żywszym oburzeniem.

Germinal zobaczył, że w połowie środkowego korytarza Noverre się zawahał. Spojrzenie zdeformowanego kaleki skrzyżowało się ze wzrokiem starca, który handlował Ignés. Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Germinalowi udało się ze swego miejsca dojrzeć obie twarze. Pierwszą reakcją mężczyzny ubranego jak cyrkowy pogromca zwierząt było zażenowanie i niepewność. Ale później, na widok tych samych odczuć, malujących się na zniekształconej twarzy doktora, jego mimika uległa radykalnej zmianie i na ustach zakwitł mu szyderczy, wyzywający uśmiech. Sam Noverre po pierwszej chwili zakłopotania - co zaskoczyło Germinala - opanował się i ruszył dalej.

Germinal patrzył, jak Noverre siada w pierwszej ławce, pośrodku kościoła. Ławka, mogąca pomieścić dziesięć osób, była nienaturalnie pusta i pozostała taka także wtedy, gdy Noverre i Zóla usiedli.

Gdyby spojrzeć na to z punktu widzenia osób, które nie zajęły tej ławki, można by uznać, że nie chciały usiąść przy doktorze, pomyślał Germinal, ale jeśli spojrzeć na to z perspektywy tych dwóch, którzy właśnie usiedli, nikt nie mógłby wątpić, że to inni nie mogli tam spocząć, bo właśnie tego najwyraźniej życzył sobie Noverre.

Germinal całkowicie zdawał sobie sprawę z siły, jaka emanowała z tego kaleki, i był nim zafascynowany. Człowiek, dla którego podstawowe czynności dnia powszedniego były wyzwaniem nie do pokonania, stawiał czoło całej społeczności. Człowiek, który nie mógł sam wyjść z pokoju o drzwiach zamkniętych tylko na klamkę - i który dlatego potrzebował Zoli - sam dźwigał na swych ułomnych barkach ciężar konfliktu. I właśnie ze względu na jego słabość każdy remis oznaczał dla niego zwycięstwo, tak nierówne były siły obu stron. Germinal pojął, że podziwia go bezwarunkowo.

Ale ponownie siła doktora Noverre - albo przynajmniej tak się wydało Germinalowi - załamała się, gdy zżółkły starzec wstał i podszedł, by się z nim przywitać. Ułomny, choć budzący szacunek Noverre znów wydał się bardzo zmieszany. A Zóla zrobił coś więcej, zauważył Germinal. Przysunął się do doktora, zbliżając udo do jego uda, jednak nie po to, by go bronić, lecz samemu chcąc się schować za swym żalonym panem. Jakby się bał tego mężczyzny,

wyglądającego jak pogromca zwierząt. Starzec pochylił się i szepnął coś do ucha dyrektorowi Miasta Zwierząt. A Noverre podniósł się gwałtownie, odyskując całą stanowczość, utraconą tylko na chwilę, i wypowiedział kilka słów, mierząc starca wzrokiem i poruszając pustymi rękawami marynarki. Starzec uśmiechnął się cierpkim i złośliwym grymasem, odwrócił się do doktora i Zoli plecami i wrócił na swoje miejsce, daleko w tyle, zgodnie z hierarchią. Rozmawiał przez chwilę z mężczyzną o długich włosach, ubranym na czarno, czekając, jak wszyscy, na początek mszy żałobnej.

- Kim jest ten starszy mężczyzna? - zwrócił się z pytaniem Germinal do stojącego obok niego robotnika.

- To doktor Sciron, naukowiec o światowej sławie - odpowiedział mężczyzna głosem wyrażającym szacunek. - To on stworzył Człowieka-Maszynę.

- Człowieka-Maszynę?

- Przyjechał tu kilka dni temu. Nie widział pan namiotu na szczycie wzgórza, nad Cmentarzem? Tam odbywają się pokazy - odparł robotnik, kiwając głową z wyższością. - Człowiek-Maszyna jest cudem nauki i techniki. W połowie człowiekiem, w połowie maszyną... - I podniósł rękę, jakby chciał opisać jego olbrzymie wymiary - ...walczy w namiocie Scirona. Kto go pokona, wygrywa złotego suwerena.

- I ktoś już z nim wygrał? Robotnik roześmiał się.

- Nie. Człowiek-Maszyna jest nie do pokonania. Jest najsilniejszą... *rzeczą* na świecie.

- Pójdę go obejrzeć - powiedział Germinal, myśląc, że tam tańczyła też Ignés. Tancerka Człowieka-Maszyny. I Królowa Mgieł doktora Scirona.

Organy wypuściły z nozdrzy rój niskich i pompatycznych dźwięków wstępu, a następnie zabrzmiała „Missa solemnis”, która wypełniła sklepienia świątyni, uciszając podniecone rozmowy i zagłuszając swym górnolotnym sapaniem odklepywany przez kobiety różaniec. Tymczasem wszedł sam biskup w podtrzymywanym przez grupkę kleryków płaszczu, opierając ręce na dwóch poduszkach, niesionych z obu stron przez księży.

Nabożeństwo potoczyło się zgodnie z ustalonym porządkiem; biskup wygłosił oklepane i puste słowa, które nie przywoływały bynajmniej przerażającego wydarzenia, a wdowiec patetycznie przypomniał cnoty swej małżonki. Msza już się kończyła, gdy komisarz Landau podszedł do Germinala i pociągnął go za rękaw.

- Chodźmy. Pójdziemy na cmentarz i dopilnujemy, żeby orkiestra była gotowa -

powiedział.

Germinal ruszył za nim, torując sobie łokciami drogę w tłumie, który nie uznawał żadnych władz i bardzo niechętnie ustępował im miejsca. Zeszli na dziedziniec po szarych i wytartych stopniach, wyszczerbionych przez tupoczące buciory młodych wiernych i wyszlifowanych przez cienkie, tanie podeszwy starców. Stangret karawanu skręcił sobie i zapalił papierosa, czekając, a teraz gwałtownym ruchem rzucił niedopałek na ziemię ze skruszoną miną. Landau i Germinal wyminęli go szybkim, zamaszystym krokiem i skręcili za świątynią w wąską uliczkę, która wyglądała jak korytarz, z łukami z czerwonej cegły na całej długości, łączącymi budynki kościoła z klasztorem i plebanią. Ponownie zabrzmiały dzwony w ciężkim i zakopconym powietrzu tego ponurego dnia, który pachniał mgłą i palonym w piecach drewnem. Słońce obwieszczało swą obecność jedynie żywszą, okrągłą plamą światła na niebie, widoczną za zasłoną ciężkich chmur. Nie dawało o sobie znać nawet w bladych i drżących cieniach Landaua i Germinala. Kroki obu mężczyzn dudniły na lepkim bruku, przytłumiając swym skórzanym głosem zamierające drgania dwóch kolejnych dzwonów.

W końcu Landau zatrzymał się i spojrzał na Germinala.

- Nie zajmuje się pan dalej tą sprawą - oznajmił.

- Jak to? Panie komisarzu, pan nie może...

- Cicho, Germinal - przerwał mu Landau. - Mogę, i to jeszcze jak. Znajdę panu sprawę, która nie wymaga taktu podczas dochodzenia, bo pan jest go całkowicie pozbawiony. Nie przyjmuję do wiadomości sprzeciwu.

Germinal już miał wybuchnąć, gdy dochodzące z kościoła krzyki kazały mu się odwrócić. Landau skoczył do przodu, a Germinal pobiegł za nim. Pokonali schody dziedzińca, przeskakując po dwa stopnie i nie bacząc na tłoczących się tam ludzi, rozepchnęli ich z całej siły. Krzyki wewnątrz kościoła wzmagały się niepokojąco.

Kiedy już znaleźli się w środku, ludzie byli zbyt stłoczeni, by udało im się przebić dalej. Germinal wskoczył na ostatnią ławkę i stanął na niej wyprostowany; drewno zaskrzypiało pod jego wysokimi butami.

Germinal usłyszał, że młody mężczyzna o jasnych, cienkich włosach, otoczony i popychany przez grupę robotników - wśród których był też Rinaud - coś krzyczy. A jego słowa powtarzają głośno jak echo robotnicy.

- Nadszedł czas uznania praw tych ludzi! - wołał z płonąącym wzrokiem. - Nadszedł czas,

byście przestali udawać w kościele aniołów, a potem w fabryce zatapiaли jak wilki kły, w robotników, ogryzając ich z ciała do kości!

A robotnicy, na początku ci skupieni wokół niego, potem zaś wszyscy, którzy wypełniali kościół, zaczęli krzyżeć:

- Wilki! Panowie to wilki! Wilki wieprze!

- Aresztować go! - krzyknął komisarz Landau barytonem do żandarmów ustawionych w szyku, aby chronić ławki akcjonariuszy. - Aresztować go!

- Wilki! Panowie to wilki! Wilki i wieprze! - wykrzykiwał tłum, stłoczony w kościele.

Tymczasem biskup dał znak klerykom i dwóm księżom, że należy bezpiecznie wycofać się do drzwi zakrystii.

Szpaler żandarmów na rozkaz Landaua, rozproszył się, usiłując schwytać młodego socjalistę, który wywołał tę małą rewoltę. Tyle że w ten sposób dwie ławki akcjonariuszy ostały się bez ochrony.

Tłum falował groźnie, a krzyki wzmagaly się w swej sile i w gniewie. Germinal zobaczył, że robotnicy blokują przejście żandarmom, którzy wyjęli palki i kręcili nimi w powietrzu, torując sobie w ten sposób drogę. Jednocześnie, jakby uwolniona nagle z oków, spora grupa robotników zaczęła zajmować część kościoła, w której siedzieli akcjonariusze.

Pierwszy wstał elegancki mężczyzna około czterdziestki, wymierzył na oślepiec cios w stłoczonych robotników, potem chwycił mocno żonę i pociągnął ją za ołtarz, do drzwi zakrystii, przez które wymknął się już niepostrzeżenie biskup z klerykami i dwoma księżmi. Za nim, w tempie, o które trudno było podejrzewać opasłe i sflaczałe ciała większości z nich, pośpieszyli także pozostali akcjonariusze cukrowni, z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma.

Tylko pan Neef, w pierwszej chwili przyłączywszy się do odwrotu i dotarłszy do ołtarza, odwrócił się i spojrział na krzyżącą rzekę ludzi, którzy - bardziej popychani przez innych z tyłu, niż z zamiarem wyrządzenia szkód - przewracali ławki. Germinal zobaczył, że mężczyzna spogląda z bólem na katafalk z trumną zmarłej żony, po czym wraca i staje między trumną a tłumem, rozpostarłszy ręce jak tarczę. Niemal bohatersko.

- Została zaszlachtowana, tak jak oni nas szlachtują! - podniósł się głos wśród czeredy. - To właśnie robicie z nami każdego dnia!

Tymczasem młody socjalista, wspomagany przez tłum, dotarł już do wyjścia z kościoła, mając dużą przewagę nad policjantami.

- Germinal! Niech pan go zatrzyma! - krzyknął Landau.

Germinal dał susa w kierunku wejścia. Wpadł na jakiegoś mężczyznę, podniósł się, rzucił do przodu i złapał chłopaka za kołnierz kurtki. Pociągnął go z całej siły do siebie i przytrzymał. Z bliska tamten nie okazał się wcale taki młody, miał już około trzydziestki i anielską urodę. Rysy twarzy były niezaprzeczalnie arystokratyczne. Spojrzeli sobie w oczy. Germinal wiedział już, jaka pasja rozpala źrenice socjalisty o cienkich, jasnych włosach. A pierwsze sympatyczne wrażenie pogłębiło się, w miarę jak dostrzegał w oczach tamtego nie tylko ogień walki o ideały, ale też całkowity brak strachu. Ten człowiek był gotów bez chwili wahania zostać męczennikiem. Germinal zauważył też odznakę z połączanymi brzegami. Dwie skrzyżowane ręce na tle czerwonej fabryki.

Zwolnił uścisk.

- Uciekaj - rzucił półgłosem.

Uwolniony socjalista spojrzał na niego uważnie, a potem odwrócił się, wypadł z kościoła i zniknął.

- Nie! - krzyknął pan Neef z drugiego końca świątyni.

- Została zaszlachtowana, tak jak wy nas szlachtujecie! - powtarzał wokół niego tłum, nad którym nikt już nie panował. - To samo robicie z nami każdego dnia! Zostaliśmy pomszczeni! Zemsta! Zemsta!

W ferworze tych ostatnich chwil przystrojona trumna, potrącana ze wszystkich stron, zaczęła się kołysać.

- Nie! - krzyczał pan Neef w rozpacz. - Nie!

- Cofnąć się! Do tyłu! - rozkazał żandarmom komisarz Landau, widząc, że młody socjalista się wymknął i że ich obecność była bardziej wskazana tam, gdzie znajdowali się przed chwilą. - Do tyłu! Do tyłu!

Trumna stoczyła się na ziemię z głuchym, przerażającym hukiem, który zagłuszył wrzask rozwścieczonego, oszalałego tłumu.

Germinal znów wskoczył na ostatnią ławkę, a potem susami, po kolejnych siedziskach, zaczął przemierzać kościół w kierunku ołtarza.

W połowie drogi zrównał się ze Scironem. Stary nie wyglądał na przestraszonego. Rozglądał się wokół, nie wiedząc, co robić. Mężczyzna o długich włosach, ubrany na czarno, zniknął. Germinal skoczył na kolejną ławkę i ruszył w kierunku ołtarza.

Wciąż było słycać cichnące już, choć coraz bardziej rozpaczliwe krzyki wdowca. Żandarmi torowali sobie drogę ciosami pałek.

- Została zaszlachtowana, tak jak wy nas szlachtujecie! - wykrzykiwał tłum. - Zostaliśmy pomszczeni!

Germinal był już o kilka metrów od schodów, z których stoczyła się trumna, kiedy zobaczył lecącą w powietrzu czarną suknię z jedwabiu, z delikatnymi, kościanymi guziczkami w tym samym odcieniu co koronki na rękawach, i z czarną, gęstą koronką na dekolcie. Suknię zmarłej kobiety, poszarpaną, podartą.

- Nie! - krzyknął znowu wdowiec.

Landau wyciągnął pistolet i strzelił. W kościele. Natychmiast zapadła cisza. Na moment.

Gniew tłumu opadł jak po gwałtownym przebudzeniu. Ferwor ustąpił miejsca strachowi. I niby strumień na równinie, niszczący wszystko, co napotka na swej drodze, masa zbuntowanych robotników ruszyła do wyjścia. Ktoś upadł pod razami pałek. Ktoś został podeptany drewnianymi podeszwami towarzyszy.

A potem w kościele znów zapanowała cisza.

I wśród ciszy rozległo się, początkowo ledwie słyszalne, łkanie, ciche i pełne bólu. Wdowiec płakał. Po raz pierwszy od czasu morderstwa żony.

Germinal zrobił krok do przodu. Noverre odwrócił się i spojrzał na niego. Siedział na swoim miejscu. Zdeformowane usta wykrzywił grymas. Prawie jak uśmiech. Obok niego trwał Zóla, który stoczył walkę, by tłum nie zbliżył się do jego pana. Dwaj nieprzytomni mężczyźni, leżący na ziemi, nosili na zakrwawionych twarzach ślady jego rąk.

Germinal zrobił kolejny krok.

Płacz wdowca nie milkł, płynął powoli, bez ustanku. Bez głośniejszych szlochów. Jak wykrwawiająca się rana. Germinal nie mógł go dostrzec. Zaslaniało go kilkadziesiąt osób.

Za nimi kroki Landaua odbijały się echem po kościele.

Grupka rozproszyła się i dopiero wtedy Germinal zobaczył wdowca. Trzymał w rękach czarną suknię, która przed chwilą fruwała w powietrzu. Porwaną. Trzymał ją w rękach jak starą chorągiew pokonanego wojska. I płakał. Podniósł oczy, napotkał wzrok Germinala i powiedział:

- Zabili ją po raz drugi.

Tylko to. I znów zaczął płakać.

Na ziemi, obok przewróconego katafalku, leżało nagie, udręczone ciało pani Neef.

Która w rękę trzymała kij. Kij opleciony pędem bluszczu. Potem nastąpił błysk lampy magnetycznej aparatu fotograficznego.

XII

Deszcz zmył kurz z kawałków szkła na szczycie muru otaczającego Instytut Upośledzeń, a światło wyostrzyło szpikulce. Spiczasty szklany dywan - pomalowany na różne kolory, wśród których dominowała zieleń, połyskująca szmaragdowo na tle ciemnego nieba - zdawał się poruszać powoli niby ścięte lodem morze, nad którym przepływają chmury.

Germinal szedł za doktorem Noverre przez dziedziniec Miasta Zwierząt, trzymając ręce głęboko w kieszeniach spodni, prawie je wypychając. W jednej ręce - prawej - ścisnął buteleczkę z chloralem, którą skradł z zakładu pogrzebowego w noc nielegalnej sekcji zwłok.

Za nimi, w odległości około trzydziestu kroków, szedł w milczeniu służący doktora, jego wierny olbrzym, Zóla, gotów wykonać niezwłocznie wszelkie rozkazy swego pana. Nie odrywał od idących przodem mężczyzn wzroku i zdawało się, że w jego tępych oczach nie kryje się żadna myśl.

Germinal szedł przez podwórze z ułomnym dyrektorem wśród dzieci; Noverre uśmiechał się do nich z nieskończoną słodyczą, zrozumieniem i szacunkiem, których nawet jego kalectwo nie czyniło śmiesznymi. Dzieci miały puste spojrzenia, otwarte, nieme buzie, ciała upodlone przez dziwactwa natury i alkoholizm rodziców - istni bezkształtni potomkowie genetycznego błędu. Germinal szedł za doktorem z opuszczoną głową i tylko od czasu do czasu - słysząc mruknięcie, szuranie nogami, podmuch zimnego i mokrego wiatru, który śpiewał w szparach między szkłem powbijanym na szczycie muru tego więzienia makabry - podnosił oczy, a jego dłoń wciąż zaciskała się na buteleczce z chloralem.

- Miasto Zwierząt skrywa i chroni to, czego społeczeństwo nie chce oglądać - mówił właśnie Noverre spokojnym głosem, jakim przemawiał zawsze do swych dzieci. - Bezbronne wyrzutki, winne tylko temu, że nie potrafią mówić, że mają zgaszone i zbyt duże oczy, ręce wiecznie wykrzywione w geście, który niczego nie chwyta, nogi, które poruszają się zrywami jak niecierpliwa różga lub są bezładne jak macki wodnych stworzeń, zaślinione buzie, które bezwstydnie świadczą o ich bólu i nie panują nad językiem... Te szklane ostrza tam na górze nie są zwykłymi straszakami... to raczej symbole bezlitosnego odrzucenia, gotowego zadać nowe rany obok tych i tak zbyt perfidnie obmyślonych przez naturę. To uzbrojone spojrzenia świata, który morduje z całym okrucieństwem produkt własnego, niewybaczalnego błędu... To zęby, co

rozszarpują tych, którzy nie są posłuszni, którzy chcą wyjść. To rzeź bez rozlewu krwi...

Oczy dyrektora, zauważył Germinal, wypełniał raczej głęboki smutek niż uraza, nadając jego zdeformowanej, inteligentnej twarzy, ukrytej pod cienką warstwą groteskowej maski, mile ludzki wyraz.

- Jakby masowy mord mógł być cywilizowany... - podsumował cichym głosem kaleka.

Mężczyźni znaleźli się na placyku z ubitą ziemią i żwirem, przed głównym wejściem do Instytutu Upośledzeń. Germinal rozumiał, że Noverre nie śpieszy się, jakby na razie nie chciał mu jeszcze pokazać serca swego królestwa. Jakby poddawał go jakiejś próbie. Germinal odwrócił się do obscenicznego budynku, w którym kiedyś był burdel, ze ściśniętym gardłem, o władnięty jakimś podskórnym podenerwowaniem i niepokojem; jego dłoń zaciskała się na buteleczce.

- Jest kilka kwestii, które chciałbym z panem przedyskutować. Ciekawi mnie pana opinia - rzekł Germinal.

- Bardzo proszę.

Germinal zatrzymał się i spojrzał na rozmówcę. Otworzył usta, by zacząć mówić.

- Z furia, a zarazem z zimną krwią - powiedział. - Morderstwo w willi Nefów miało dwoisty przebieg. Trzej służący zostali po prostu... usunięci, właśnie z zimną krwią, jakby nie byli żywymi istotami, ale jedynie mechaniczną przeszkodą... a potem furia w stosunku do pani Neef... i znów pozostawiona z zimną krwią wiadomość... ukryta w miejscu tak... tak...

- ...intymnym - dokończył Noverre. - Tak, ma pan rację. Ja także zauważyłem tę dwoistą, nazwijmy to, naturę zbrodni. A nie uważa pan, że i sama furia w tym morderstwie ma w sobie załączek zimnej kalkulacji? Albo teatralności. Coś z rytuału. A przecież furia z definicji powinna być niekontrolowana.

- Tak... rozumiem, co pan ma na myśli - przytaknął Germinal. - To bardziej okrucieństwo niż furia. Pan Neef została zaszlachtowana... uważnie. Furia bez błędów to nie furia, ale...

- Ale?...

- Plan.

- Plan. Dobra definicja.

- Furia - sprecyzował Germinal - która ma przyczynę.

- Czyli furia... logiczna. - Noverre uśmiechnął się. - Jakkolwiek nielogiczny miałby to być wniosek.

- I to mnie właśnie zastanawia. Mordercy starają się nie odsłaniać, nie ujawniać powodów

zabójstwa, ponieważ w ten sposób mogliby wskazać drogę detektywom. W tym przypadku natomiast kij owinięty bluszczem, który wsadził w ręce zmarłej w kościele... bo nie mam wątpliwości, że zrobił to morderca... jest niczym innym jak wskazówką, kim jest.

- Morderca, który sam się ujawnia, który sam się określa - powiedział Noverre - jakby chciał, by go rozpoznano. Jakby on sam musiał się rozpoznać... przejrzeć się w tym, co nam pokazuje... Furia, która coś uosabia. Potwór, który akceptuje to, kim jest.

- Czyli że on... mówi nam o zdeformowanej duszy? - Germinal pokręcił głową. - Jeszcze nie wiem... ale jest... tak, jest tu cały szereg sprzeczności. Łapa, którą schował w mosznie...

Germinal spojrzał na doktora, ale dyrektor Miasta Zwierząt nagle odwrócił wzrok.

- To wszystko są informacje, które... jakby do siebie nie pasowały... Jakby stanowiły jakiś całościowy plan, tyle że jeszcze mglisty... plan złożony z wielu planów, który teraz wydaje nam się nielogiczny.

- Ciekawe... - zgodził się Noverre. - To chyba typ mordercy, z jakim nie miał pan wcześniej do czynienia, prawda?

- Tak... - odparł zamyślony Germinal. - To nowy typ mordercy... który narodził się na nowy wiek.

- Ależ nie, myli się pan... - rzekł Noverre. - To morderca urodzony w starym wieku... ale który każe się czcić w nowym stuleciu.

- I ta moszna... - Germinal zamilkł. Zaciśnął usta w wymuszonym uśmiechu, unikając wzroku lekarza.

Zdeformowana twarz i kikuty chorego na fokomelię, poruszające się w rękawach marynarki, wprawiały go w zażenowanie. Jego umysł wciąż gnębiły dręczące myśli na temat tego człowieka. Jakim życiowym niedogodnościom musiał stawiać co dzień czoło, choćby w najbardziej intymnych i poniżających dla istoty ludzkiej sytuacjach dnia codziennego? Czując natura Germinala kazała mu solidaryzować się z tym nieszczęśnikiem, który idealnie wtapiał się w tłum ludzkich degeneratów z Instytutu Upośledzeń, takim samym jak osoby, które chronił i kontrolował. Ale jednocześnie, pomimo wszelkich starań, Germinal czuł się ofiarą instynktownego wstrętu wobec ułomnego wyglądu, jakby jakiś atawistyczny głos podpowiadał mu, że pod zewnętrzną brzydotą musi kryć się równie zdegenerowana dusza. Trapiło go też ciągle przeświadczenie, że Noverre poddaje go próbie.

- Proszę spojrzeć tam.

Noverre wskazał Germinalowi skrzynię z napisem UWAGA SZKŁO.

- To prezenty od pana kolegów kryminologów, którzy proszą mnie o potwierdzenie swych genialnych teorii... jako że Miasto Zwierząt jest... „niezwykłym laboratorium”, jak określają to w swych listach.

- Moich kolegów? - powtórzył zirytowany Germinal.

- Tak. Współczesnych detektywów, którzy z nauki czynią podstawę poszukiwania prawdy. Pan nie korzysta ze zdobyczy współczesnej nauki?

- Ależ tak - potwierdził z pewną dumą Germinal. - A co zawiera ta skrzynka?

- Narzędzia do pomiarów anatomicznych - odparł Noverre tonem, którego nie udało mu się złagodzić i który w miarę mówienia stawał się coraz bardziej cierpki. - Takie jak kraniometr Broki... który ma zdefiniować dla celów statystycznych mikrocefalię, wykryć ewentualne anomalie lemiesza bądź większą pojemność oczodołów...

Jego głos stawał się coraz ostrzejszy, niczym szkło na szczycie murów. Kontynuował wywód, wymieniając choroby takie jak: szeroko-żuchwie, oksycefalia, długogłowie, rzucał naukowymi nazwami schorzeń, na które sam w znacznym stopniu cierpiał, żyjąc w swej zdeformowanej zewnętrznej skorupie.

- Mógłbym też poeksperymentować ze sfigmografem oraz azotanem amyłu, by sprawdzić, czy brak zaczerwienienia i nikła reakcja naczyń krwionośnych na ból mogą być symptomem znieczulicy moralnej i emocjonalnej... W końcu ofiarowali mi też eksperymentalną maszynę elektromagnetyczną do sprawdzania wrażliwości na wstrząsy elektryczne i magnetyzm, tak abym mógł obliczyć, o ile w wypadku anomalii psychicznych wartości te różnią się od normalnych parametrów...

Germinal jeżył się wewnątrz, słuchając doktora. Wiedział, kim jest kryminolog, z którym łączy go Noverre. To była właśnie próba, którą musiał przejść. A jednak nie od razu zdołał przemówić.

- Proszę posłuchać - powiedział w końcu. - Źle mnie pan zrozumiał... Mówiąc o współczesnych metodach...

- Nie podziela pan idei fizjonomiki? - zapytał Noverre łagodniejszym tonem.

- Skąd! - zaprotestował oburzony do żywego Germinal.

- Nie ma się czego wstydzic - ciągnął Noverre, unosząc jeden z kikutów w kierunku chłopaka wysokiego jak na swój wiek, chudego i kościstego, o zapadniętych, ciemnych

oczodołach, który podglądał ich zza gruszy. - Proszę spojrzeć: wąskie usta... świadczą o słabej woli, prawda? A niech pan przypatrzy się jej dłoniom. Ma szeroki, niemal kwadratowy kciuk, jak u osobnika agresywnego, być może takiego, który lubi dusić. Do tego słaba wola... Tak, to potencjalny zabójca. Powinien z pewnością pozostawać pod ścisłą kontrolą... zgadza się?

- Ależ nic podobnego...

- Krótko mówiąc, jeśli te idiotyczne teorie zyskają poparcie - mówił dalej Noverre, którego pałające oczy stanowiły kontrast dla spokojnego tonu jego głosu - znajdują się w tarapatach nawet normalni ludzie, którzy ze względu na swój wygląd zewnętrzny, uznany za charakterystyczny dla potencjalnego przestępcy, od początku staną na przegranych pozycjach w wyścigu życia... Szeroki nos, odstające uszy, wysunięte lub cofnięte czoło... Ale jak zachowuje się pańska nauka, kiedy ma do czynienia z monstrem? Co może powiedzieć o jego deformacji? O dwóch różnych gałkach ocznych, na przykład. Jednej jak u mordercy, a drugiej jak u świętego. Albo o dwóch kciukach u tej samej dłoni. Jednym jak u dusiciela, drugim nie większym od małego palca. Wilk i jagnię w tej samej ręce. A ja, który w ogóle nie mam rąk? Niech pan spojrzy w te oczy... - I Noverre zrobił krok w kierunku chłopaka, który podglądał ich zza gruszy. - Widzi pan tę powagę? To nie smutek, jak mógł pan pomyśleć, ani ból... choć w obrębie tych murów mieszczą się też ogromne pokłady bólu i smutku. Ale te oczy, proszę dobrze i uważnie się przyjrzeć, to przede wszystkim oczy okaleczone. Żywe i drżące odbicia okaleczeń jeszcze głębszych niż te, które chłopiec nosi wyryte na ciele. To oczy, które nie zaznały dzieciństwa... ponieważ musiały liczyć się od zawsze z potworem, do którego należą, którego niewolnikiem są na całe życie; one każdego dnia chwytają jego odbicie w szkle, w lśniącej tafli, w lustrze... Od zarania stawiają czoło koszmarowi, który się ucieleśnił. Nędzy szczytowej niedoskonałości. Niedoskonałości, która nie czyni ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Tym właśnie jest potwór. A to są moje dzieci... które nigdy dziećmi nie były.

Chłopiec o poważnych oczach objął rękoma pień gruszy, niezdolny do ucieczki, i zaczął płakać cichymi łzami strachu.

- Ja jestem detektywem, nie siepaczem z policji kryminalnej, jak ten typ, z którym najwyraźniej mnie pan łączy - wyjaśnił Germinal, a że słowa go zawodziły, odwrócił się do nieruchomego wciąż chłopaka o twarzy ściągniętej strachem. - Chodź do mnie - powiedział wzruszony, wyciągając ręce w kierunku nieszczęśliwej istoty, zdecydowany ją objąć, by pojednać się ze swą własną naturą.

- Niech się pan nie zbliża! - krzyknął Noverre.

Ale Germinal go nie słuchał, pewien, że dyrektor broni młodego podopiecznego przed kontaktem uznanym za zakazany, i już był przy chłopcu.

- Zóła! Zóła! - krzyczał Noverre - Zóła!

W tej samej chwili, gdy Germinal dotknął chłopaka, ten zmienił wyraz twarzy, zaciskając oczy w szparki, i skoczył z siłą i szybkością dzikiego zwierzęcia.

- Zóła! Zóła! - krzyczał wciąż Noverre, a jego gigantyczny pomocnik biegł już ciężkimi susami.

Chłopak skoczył na Germinala i w ułamku sekundy przewrócił go na ziemię, wydając z siebie przeraźliwe, gardłowe odgłosy. Zerwał z niego marynarkę, a jego paznokcie próbowały wydrapać mu oczy. Germinal, nieprzygotowany na atak, już miał ulec zabójczemu impetowi, kiedy Zóła podniósł chłopca z ziemi i unieruchomił go w uścisku atletycznie umięśnionej ręki.

- Zostaw go już... - powiedział Noverre do Zoli, opierając czoło na głowie szaleńca, który zaczynał się uspokajać.

- Jota... Posłuchaj mnie uważnie, Jota. Ten pan nazywa się Germinal. Jest przyjacielem i nie musisz się go bać. Może pójdziesz teraz do ogrodu nabierać sałaty i nakarmisz króliki? Miałbyś na to ochotę?

Chłopiec - tak jak wcześniej niespodziewanie wykrzywił twarz w grymasie szalu - tak teraz równie nagle uśmiechnął się dobrodusznie, podekscytowany pomysłem nakarmienia królików, które tak go fascynowały. Pobiegł, śmiejąc się.

- Tak się składa, że Jota nie stanowi zaprzeczenia dla teorii fizjonomiki - zauważył w końcu Noverre z charakterystycznym uśmiechem, zwracając się do Germinala, który wstawał z ziemi. - To naprawdę niebezpieczny osobnik, jak się pan sam przekonał. Choć osobiście nie przypisywałbym jego natury kciukowi czy ustom, a raczej kretynizmowi, który często przedzierzga się w najczystsza agresję, kiedy napotyka coś nowego... w tym wypadku w pana osobie. Jakby jakaś pierwotna siła kazała mu niszczyć wszystko, co jako nowe zagraża jego niestabilnej... stabilizacji, wybaczy mi pan tę grę słów. Króliki są teraz jego najlepszymi przyjaciółmi. Ale kiedy zobaczył po raz pierwszy króla, ukręcił mu łeb, krzyząc i płacząc. Od tej pory nie będzie się już pana bał, a pan nie musi się obawiać jego. Kto przeżyje pierwsze spotkanie i przetrzyma atak jego pierwotnej, porywczej natury, zostaje potem idealnie włączony do codziennego świata przez jego drugą osobowość, która - o, zapewniam pana - jest samą

łagodnością. Wilk i jagnię... przejmujące, nieprawdą?

- Powtarzam, panie doktorze, że nie jestem w żadnym stopniu wyznawcą fizjonomiki... - odezwał się Germinal na wpół zakłopotany, na wpół rozzłoszczony.

- Panie inspektorze - uśmiechnął się Noverre i Germinalowi zdało się, że słyszy radykalną zmianę w głosie dyrektora, jakby naprawdę przeszedł zwycięsko jakąś próbę - z całym przekonaniem określił pan człowieka, który przysłał mi tę skrzynkę, mianem „siepacza z policji kryminalnej”, który nie wymaga doprawdy lepszej prezentacji...

Zrobił krótką pauzę.

- Gdybym mógł, podniósłbym ją, proszę mi wierzyć... ale moja sytuacja mi na to nie pozwala. Dlatego muszę panu powiedzieć, że na ziemi leży buteleczka z chloralem, która wypadła panu z kieszeni.

Germinal odwrócił się gwałtownie, chwycił pośpiesznie flakonik I i wsunął go do kieszeni spodni. Czuł się niezmiernie zażenowany i nic nie odpowiedział.

- Teraz, jeśli pan sobie tego życzy, możemy porozmawiać spokojnie w moim gabinecie. Proszę za mną - rzekł Noverre i odwrócił się do swego gigantycznego sługi.

- Właśnie o to chciałem pana prosić, doktorze - odparł sztywno Germinal.

- To będzie dla mnie zaszczyt - oświadczył lekarz z powagą w głosie. Germinal wciąż milczał, ale coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy.

- A więc idziemy? - Noverre uśmiechnął się do niego. Germinal lekko skinął głową, tylko jeden raz.

- Nie ma potrzeby, abyś ty też szedł z nami - zwrócił się Noverre do Zoli. - Ten pan mi pomoże. - I ułomny dyrektor Miasta Zwierząt ruszył ku wejściu do instytutu.

Zóła pozostał na miejscu, ale Germinal, dopóki nie zniknął w środku budynku, czuł na sobie spojrzenie olbrzyma, jakby ten kontrolował każdy jego krok.

- Co panu powiedział doktor Sciron tamtego dnia w kościele, podczas pogrzebu? - spytał zniecierpliwiony Germinal, kiedy mieli już wejść do gabinetu.

Noverre odwrócił się gwałtownie. Jego zdeformowana twarz była napięta. Podobnie jak w kościele, Germinal zauważył, że Sciron stanowi rysę na całkowitej samokontroli, którą szczycił się Noverre.

- Doktor? - powiedział z pogardą kaleka. - Ten szarlatan nie jest lekarzem. Został pozbawiony prawa do praktyki lekarskiej... wiele lat temu. Proszę otworzyć drzwi.

- Co panu powiedział? - ciągnął dalej Germinal, z ręką na gałce, której jednak nie przekreślał - Widziałem, że był pan zmieszany.

- Popelnia pan błąd. - Noverre uśmiechnął się sarkastycznie.

- Nie był pan zmieszany?

- Nie mówię o tym, tylko o pańskiej dłoni, zaciśniętej nieruchomo na klamce.

I Noverre popchnął nogą drzwi, które rozwarły się na oścież.

- Myśli pan, że w mojej sytuacji mogę sobie pozwolić na to, by ulegać szantażom człowieka, który nie otworzy mi drzwi, jeśli nie odpowiem na jego pytanie? Tutaj, z wyjątkiem zbiorowych pokoi dla dzieci oraz sali do sekcji zwłok, wszystkie klamki to atrapy.

Germinal stał nieruchomo, podczas gdy dyrektor Miasta Zwierząt wchodził do swego gabinetu, a drzwi zamykały się same, przyciągane przez sprężynę.

- Proszę wejść. - Noverre roześmiał się.

Germinal poczerwieniał; pchnął drzwi, które obróciły się na zawiasach, i wszedł do pokoju.

- Bardzo przepraszam... chyba winien jestem panu przeprosiny, ale... ja...

- Przeprosiny przyjęte - rzekł Noverre, siadając za biurkiem. - Nie jest łatwo mieć do czynienia z kaleką i nie ulec pokusie wykorzystania łatwej przewagi, którą oferuje natura. A poza tym jest pan na mnie zły... ponieważ każę panu zaglądać we własne wnętrze. Pan jest dobrym człowiekiem, panie inspektorze. Proszę spocząć.

Germinal usiadł w eleganckim fotelu z ciemnej, lekko wytartej skóry. Wszystko w tym gabinecie, który nie miał bezosobowego i biurokratycznego wyglądu pomieszczeń przeznaczonych tylko i wyłącznie do pracy, świadczyło o dobrym guście właściciela i w innych okolicznościach Germinal poświęciłby czas na przeanalizowanie wszystkich detali. Ale w tej chwili czuł ciężar, siłę i charyzmę spojrzenia tej żalostnej istoty, która przed nim siedziała. Milczał.

Noverre patrzył uważnie na Germinala asymetrycznymi oczyma, potrząsając dużą, nieforemną głową.

Germinal czuł, że nie ma już żadnej kontroli nad sytuacją. A jednak, mimo że było to najbardziej nienawistne odczucie, jakie znał, zdawał sobie sprawę, że pragnie tej utraty odpowiedzialności, pragnie całkowicie zawierzyć swemu rozmówcy.

- Wracając na chwilę do zabójstw - taktownie przywrócił go do rzeczywistości Noverre -

może mi pan powiedzieć, która z tych trzech śmierci zrobiła na panu największe wrażenie? Jako na człowieku, nie detektywie.

- Młodej służącej z willi Neefów - odpowiedział bez namysłu Germinal, który już bez oporów poddawał się wrażeniu, że jest kierowany. - Tej, która była w ciąży...

Noverre zmarszczył brwi.

- Nie była w ciąży - sprostował. - Miała zabieg.

- Tak... oczywiście. To miałem na myśli.

- I dlaczego zrobiło to na panu takie wrażenie?

- Bo to taka... podła śmierć.

- W przeciwieństwie do pani Neef nie cierpiała. Została zabita tak jak kucharka i jak majordomus.

- Tak, ale tamci dwoje... ona była...

Germinal czuł, że zaczyna dyszeć, jakby jakaś nieznana siła uciskała go w środku.

- Nie była w ciąży - powtórzył z naciskiem Noverre, pochylając się nad Germinalem.

- Nie, nie... ale... - wymamrotał Germinal, który już sam nie wiedział, dlaczego udzielił takiej odpowiedzi ani dlaczego miał wrażenie, że tak łatwo traci nad sobą kontrolę.

- Ale kiedyś była... - Tak?...

- Kiedyś była... w ciąży. To chciał pan powiedzieć, panie inspektorze? Jaki jest związek między tą ciążą a jej zabójstwem?

Noverre coraz niżej nachylał się nad Germinalem. Germinal nagle wstał, gwałtownie, jakby chciał uwolnić się od tego przesłuchania, przez które czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Nie wiem, powiedziałem głupstwo, proszę o tym zapomnieć - rzekł zdecydowanym tonem.

Noverre patrzył, jak inspektor chodzi wzdłuż i wszerz po pokoju; jego kroki tłumił drogi orientalny dywan w kolorze turkusu, złota i amarantu.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał.

- Ależ tak, oczywiście - odpowiedział Germinal rozdrażniony.

- Czy kiedykolwiek brał pan pod uwagę, że morderstwa mogły zostać dokonane przez narkomana, na przykład, na głodzie? - zapytał Noverre i uśmiechnął się prawie infantylnie, ukazując jak na dłoni swe przekonanie, ukrywane pod odrażającą maską, którą odcisnęła na nim natura.

Germinal zjeżył się.

- Nie, nie sądzę. Furia człowieka na głodzie byłaby mniej racjonalna, bardziej szalona. Ugodziłby na oślep... aby dać ujście swemu bólowi - odparł, próbując kontrolować głos.

- Dać ujście swemu bólowi, cóż za ciekawe określenie - skomentował Noverre, jakby mówił do siebie. - A więc pan się narkotyzuje, aby uśmierzyć nieznośny ból, a nie dlatego, że jest pan uzależniony.

Germinal odwrócił się gwałtownie.

- Nie potrafi pan powiedzieć, dlaczego właśnie śmierć służącej zrobiła na panu największe wrażenie? - ponownie zachęcił Noverre inspektora do dialogu, zanim ten zdołał odpowiedzieć na poprzednie pytanie.

- Proszę posłuchać, panie doktorze... - zaczął Germinal, a potem przerwał i wzruszył ramionami.

Noverre przestał go naciskać, zamilkł na dłuższą chwilę, podczas której Germinal znów zaczął przemierzać pokój, jak zwierzę w klatce, nie wiedząc, czy znów usiąść, czy sobie iść.

- Czy zechciałby pan otworzyć to pudełko? - zapytał w końcu Noverre i prawie niezauważalnie kiwnął głową w kierunku niskiego stolika z orzecha, na cienkich, ozdobnych nóżkach i z małymi, złożonymi intarsjami, ustawionego w niszy pod oknem.

Na blacie nabłyszczonym alkoholem umieszczono czarną skrzyneczkę z laki; nefrytowy smok na wieczku ział płomieniami z koralu.

Germinal podszedł - bardziej by usprawiedliwić fakt, że cały czas stał - i otworzył ją. Wnętrze pudełka wyłożono fioletową satyną. A na niej lśniła strzykawka, napełniona do połowy bursztynowym płynem. Obok strzykawki leżała opaska uciskowa i waciki.

- Nie ma sensu stawianie oporu, tak jak pan to robi - rozległ się za jego plecami hipnotyzujący głos doktora. - Pan potrzebuje lekarza.

Pauza.

- I leczenia.

Germinal nie odwrócił się, utkwiał wzrok w błyszczącej strzykawce.

- Musi pan przejść przez stopniowy odwyk - dodał magnetyzującym głosem Noverre.

Germinal wziął strzykawkę do ręki.

- Wstrzyknąłbym to panują, gdybym mógł - powiedział Noverre, rozkładając w bezradnym geście kikuty, wyglądające jak ramiona zjawy. - Czy da pan sobie radę sam?

Germinal nie odpowiedział. Zaniósł chińskie pudełko na biurko, usiadł w fotelu naprzeciwko gospodarza, zrzucił ciężką marynarkę na orientalny dywan, podwinął lewy rękaw koszuli, odsłaniając przedramię, i zacisnął opaskę. Wziął strzykawkę i przyłożył ją do nabrzmiałej, wyraźnie wygłodniałej żyły.

- Kazałem to przygotować dziś rano, nie mówiąc dla kogo. Może pan być spokojny, dotrzymam tajemnicy - zapewnił Noverre.

Igła przyłożona do żyły zadrzała.

- Dziś rano? - powtórzył Germinal, podnosząc wzrok. - Dziś rano jeszcze nie wiedziałem, że tu przyjdę.

Noverre odwzajemnił spojrzenie i z niezmaconym wyrazem twarzy patrzył inspektorowi w oczy przez dłuższą chwilę.

- Ach, nie? - zapytał z lekkim zdziwieniem. - W każdym razie wie pan, co dalej robić, prawda?

Germinal skinął potakująco głową. Ostrze igły ponownie zbliżyło się do żyły.

- Robił pan to już sam? - spytał Noverre, ponownie zmuszając Germinala do podniesienia głowy.

- Nie...

- Niech pan wkłuje delikatnie igłę. Poczujecie pan na początku opór skóry, który potem osłabnie i w jednej chwili będzie pan już w żyłę.

Zaczekał, aż Germinal opuści głowę, i dodał:

- Pamięta pan? Nabrał pan już praktyki przy sekcji zwłok pani Neef. Początkowy opór i potem kapitulacja tkanek. Ale teraz nie zatrzymałoby pana nawet widmo śmierci... prawda?

Germinal wbił się w skórę i żyłę, wstrzymując oddech.

- Teraz proszę głęboko odetchnąć, aby sprawdzić, czy jest pan już w żyłę.

Bursztynowy płyn, ukryty w strzykawce, zabarwił się na czerwono. Nieustannie zmieniająca się żywa strużka, której nieśpieszno było się wymieszać z żółtawą substancją, falowała niczym czerwona wstążka, poruszana wiatrem, jak na spowolnionym obrazie.

- Teraz delikatnie może pan zacząć wstrzykiwać.

Serce Germinala, które zaczęło gwałtownie przyspieszać już w momencie, gdy podniósł wieczko pudełka z laki, i osiągnęło rytm bliski apopleksji przy pierwszym dotknięciu strzykawki, żadne lepkiej obietnicy, zawartej w szkle, teraz zaczęło się uspokajać i zwalniać; powieki stały

się cięższe, mięśnie się odprężyły, przykuwając uległe ciało do fotela. Światło, które Germinal odebrał jako wspierający, wewnętrzny ogień, na chwilę wymiotło go z pokoju, uniosło nad ziemią, kołysząc przez moment w powietrzu, daleko od ciała, które mimo to nadal przekazywało mu leniwe, wyzute z emocji informacje o narkotyku, który zaczynał brać górę. Zamknął oczy i skonstatował - obojętnie, jakby go to nie dotyczyło - że zanurza się w powolnym, mulistym i wciągającym wirze.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego śmierć służącej zrobiła na panu takie wrażenie - odezwał się Noverre.

Germinal otworzył oczy, wyostrając obraz potężnego dyrektora Miasta Zwierząt, który był teraz przy nim. Może uśmiechnięty. Może szyderczy.

- Pięć miesięcy temu prawie udało mi się aresztować szefa organizacji przestępczej, która porывała dzieci z zamożnych rodzin - zaczął mówić Germinal obojętnym, wyzutym z wszelkich emocji tonem, bez bólu, bez zaangażowania. Jakby jego cały zewnętrzny byt nie miał nic wspólnego z tym, co mówi, albo nie był w stanie przeciwstawić się potokowi słów. - Udało mu się uciec i tylko my dwaj, pod koniec pościgu, znaleźliśmy się w publicznej ubikacji. Nie był wysoki ani potężny... ale za to szybki. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął nóż. Ugodził mnie, zanim się spostrzegłem. Ale kiedy chwyciłem go za rękę... powinienem był to wtedy zrozumieć... kiedy chwyciłem go za rękę... ja... to nie było silne ramię... i kiedy wbilem mu jego własny nóż w brzuch... przesuwając ostrze w górę... żeby go zabić... ponieważ bałem się zginać... to w tej ręce nie było siły, tylko szybkość... powinienem już wtedy zrozumieć, ale... ale zrozumiałem to dopiero, gdy otworzył usta i włosy opadły na ziemię i... i włosy były czarne... długie... i ta słaba ręka... dopiero wtedy zrozumiałem, że to kobieta... a ta krew, która rozlewała się po białych kaflach, ja... nie wiedziałem o tym... nie mogłem o tym wiedzieć...

Noverre wstał i podszedł do okna, które wychodziło na dziedziniec. Wsunąwszy kikut pod klamkę, użył go jako dźwigni i otworzył jedno skrzydło; wciągał powietrze głęboko w płuca.

- Proszę podejść, proszę tu podejść - powiedział hipnotyzującym głosem i kiedy Germinal podszedł do niego krokiem spowolnionym przez alkaloid opium, który wstrzyknął sobie w żyłę, dodał: - Niech pan odetchnie wolnością, Milton... Pozwoli mi pan zwracać się do siebie po imieniu, prawda? Proszę, niech pan odetchnie wolnością... pan, który jest niewolnikiem. Ponieważ pan jest niewolnikiem substancji chemicznej, której skład zajmuje ledwie kilka liniiek druku... czyż nie?

Germinal przytaknął z odurzonym spojrzeniem.

- Czyli ma pan swego pana? - szepnął Noverre. - Ale gdyby spróbować spojrzeć na to z innej strony... można by chyba dojść do wniosku, że narkotyk nie jest panem, a pan - przynajmniej wewnątrz - nie jest niewolnikiem? Ponieważ, odrzucając utarte schematy, można by przyjąć założenie, że narkotyk jest jak mały ładunek materiału wybuchowego, umieszczonego w szczelinie, która przecina nas mniej więcej w połowie. Wyznaczając granicę między ciemnością a światłem, tam gdzie zaczyna się noc i kończy dzień. I ta szczelina po wybuchu dzieli człowieka... człowieka takiego jak pan, Miltonie... na dwie części. Na dwóch ludzi, z których każdy chce tyranizować drugiego, aby nad nim zapanować. Tyle że jeden walczy gołymi rękami... tak jak pan - bo to za niego się pan zawsze uważał... drugi natomiast ma broń, to, co pozostało z materiału wybuchowego, ową emocjonującą deflagrację, rozbicie i pęknięcie, rozwarcie się i podział, mnożenie się... i ukorzenie przed jarzmem. Pragnienie bycia posłusznym nakazowi. Nieważne, czy słusznemu, czy nie. To nie moralność jest sednem problemu. Moralność dotyczy społeczności. A my tu mówimy o pojedynczej istocie ludzkiej. Jedynej. Oryginalnej. Niepowtarzalnej. O samym człowieku. I o niczym innym. I tak sednem problemu staje się posłuszeństwo nakazowi. Narzuconemu przez kogo? Przez pragnienie czy potrzebę? I czy jest jakaś różnica? Czyż obie nie są formą niewolnictwa? Niewolnictwa możliwości niedecydowania kosztem własnej, wewnętrznej wolności...

Ze wzrokiem utkwionym w puste oczy narkomana podszedł do Germinala, zmuszając go, by ten spojrzał mu w twarz.

- Miltonie, niech pan posłucha, jeśli chce pan używać narkotyku jako leku... nie będzie to degrengolada. Jeśli pańskim celem jest wypowiedzenie wojny swojemu wewnątrz sprzecznemu, dwoistemu „ja”, to znaczy poznanie samego siebie... czyli wybranie... wtedy narkotyk, który pan sobie wstrzyknął, jest zaiste lekiem. Wszystko zależy od pańskiej uczciwości. Lub pańskiej słabości. Nikt poza panem nie może być sędzią w tej sprawie.

Noverre pozwolił, aby Germinal spuścił głowę.

- Jeśli chodzi o mnie... jestem tu, by panu pomóc - dodał po chwili. - Proszę tylko nie liczyć na pomoc, której nie będę w stanie panu udzielić. A teraz niech pan podniesie głowę, Miltonie i spojrz mi w oczy.

Podszedł bliżej i utkwiał wzrok w inspektorze.

- Zrozumiał mnie pan? - spytał cicho.

- Tak - wymamrotał Germinal z odległego miejsca, w którym przebywał, zagubiony, a jednak bezpieczny, z owej ciemnej groty, stworzonej przez strzykawkę.

- To niech pan teraz... mówi.

- Nie mogłem tego wiedzieć... kiedy ją zabijałem... nie mogłem wiedzieć, że w brzuchu tej kobiety... rosło dziecko...

Germinal osunął się na ziemię, tam gdzie stał, kryjąc głowę w rękach.

- Czyli że to dziecko... To pan je zabił.

- Tak - potwierdził Germinal, podnosząc wzrok na pierwszą osobę, z którą o tym rozmawiał. Na zdeformowanego mężczyznę, potwora, który budził tylko odrazę. Poczł się śmieszny. Miał ochotę na śmiech. Ale męczący i bezsilny jak atak kaszlu.

A potem, prawie bez własnego udziału, jakby dokonało się to poza nim, zaczął płakać.

XIII

Noverre zalecił mu, aby nie zażywał zbyt dużo chloralu, zwłaszcza tego dnia, gdy wstrzyknął sobie diacetylmorfine, silny alkaloid opium, z którym Germinal eksperymentował po raz pierwszy w obskurnym lokalu Singapuru. Ale kiedy, wiele godzin później, młący spokój narkotyku go opuścił, Germinal został obłożony przez miriady myśli, którym nie potrafił zakneblować ust; sugerowały mu one rozważania, na jakie nie czuł się jeszcze gotowy. Gdy wrócił do rzeczywistości, był zaskoczony, że zwierzył się obcemu człowiekowi z najbardziej osobistych przeżyć, które stały się jego traumą. Nie rozmawiał o tym otwarcie nawet ze swoim najlepszym przyjacielem, sierżantem Londe. Unikał tego tematu w rozmowach z nadkomisarzem, ojcem, któremu uratował syna i który na pewno zrobiłby coś, by mu pomóc. Nie mówił o tym nawet, pijany do nieprzytomności, prostytutkom, w których ciałach szukał ujścia dla swej rozpacz. I nawet sobie samemu nie pozwalał na rozważania o tym, co się wydarzyło. Natychmiast nachodziły go liczne koszmarne omamy, jak przy malarii, które pojawiały się nieproszone, wstrząsając nim do głębi; próbował im się przeciwstawić za pomocą narkotyków i utraty świadomości.

Aż nagle, owego poranka, stanął całkowicie nagi przed nieznanym potworem, czując jednocześnie cudowne wyzwolenie i niewypowiedziany lęk. Ale w miarę jak działanie narkotyku zaczęło ustępować - pozostawiając niezaspokojoną pustkę w głowie i słabość ciała, ową zapowiedź głodu, którego szybko stanie się na powrót niewolnikiem - Germinal nagle stanął przed koniecznością stawienia czoła temu, co się stało. Wiele miesięcy temu oraz tego dnia. I

obie sprawy zlewały się ze sobą w jedno uczucie nowej udręki oraz - choć przed nim była jeszcze długa droga do zaakceptowania tego faktu - nowego spokoju ducha.

Odzyskawszy pełną kontrolę nad zdolnością rozumowania, zadawał sobie pytanie, jaką władzę miał Noverre, ten tak niedoskonały fizycznie człowiek, który musiał jednak posiadać nadzwyczajną siłę umysłu. A im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wydawało mu się, że odwiedził ułomnego dyrektora Miasta Zwierząt nie po to, by skonsultować z nim wyniki śledztwa, jak chciał wierzyć, lecz aby złożyć w ręce tego człowieka bez rąk swoje życie, swoją chorą psychę. Tak jakby przeczuwał, że Noverre, nawykły do widoku potworności - swojej i swoich pensjonariuszy - będzie w stanie mu pomóc poznać samego siebie i zaakceptować swego wewnętrznego potwora-zabójcę. Mordercę kobiety. Mordercę dziecka. Płod... I za każdym razem, gdy powtarzał w myślach słowo „płód”, wstrząsał nim atak mdłości i ogarniała go nowa fala rozpaczy, jeszcze głębszej i bardziej ukrytej. Jakby w tym prostym, nieszczęsnym słowie krył się sekret, który nie chciał się jeszcze ujawnić, a zarazem naciskał, by się ukazać, uzewnętrznić. By się narodzić...

Najpierw wrócił późnym popołudniem na komisariat. Wezwał go Landau i rozmawiał z nim twardym, pełnym nagany głosem.

- Wysłałem raport do nadkomisarza o pańskiej niesubordynacji, Germinal - oświadczył. - Poprosiłem, aby pana zawieszono, ale wygląda na to, że Sanguinetti uwielbia pana absolutnie bezwarunkowo, ponad wszelkie racje rozumowe... Odrzucił moją prośbę.

Słowa Landaua zaledwie muskały Germinala, którego dumny duch wciąż pozostawał znieczulony przez narkotyk.

- Od tej pory będzie się pan zajmował tą sprawą - ciągnął dalej Landau, podając mu cienką teczkę, w której były tylko trzy kartki. - To jakiś łachmaniarz, zamordowany w Piekło. Pewnie stare porachunki. A może chcieli go okraść. Nie badałem tej historii i nie czytałem nawet raportu. Kazałem przekazać to do archiwum jako sprawę nierozwiązaną, bo gdybyśmy się chcieli zajmować wszystkimi, którzy umierają w Piekło, nie robilibyśmy nic innego... Wie pan, co mam na myśli, mówiąc Piekło?

- Tak - odpowiedział Germinal, przypominając sobie nędzną dzielnicę, w której się zgubił pierwszego dnia, kiedy trafił na Pijawczak, mężczyznę z dwoma nożami za paskiem i jego bandę łachmytów, starą żebraczkę, która grzebała w śmieciach razem ze swoim psem. - Tak - powtórzył, rozumiejąc doskonale, dlaczego policja z Pijawczaka nie przejęła się tą śmiercią.

Jednego mniej, pomyśleli prawdopodobnie.

- W środku znajdzie pan raport z dochodzenia, zeznanie świadka, który znalazł ciało i zgłosił to na policję, i naturalnie raport z sekcji zwłok, wykonanej przez pana przyjaciela, Hrabiego bez Rękawów.

Landau utkwiał wzrok w Germinalu. Ironiczny uśmiech przyklejony był do tłustej twarzy.

- Podobno zostaliście przyjaciółmi...

Roześmiał się i podał swemu zbuntowanemu podwładnemu akta sprawy Juffridiego.

- Miłej zabawy.

Germinal wrócił na swoje poddasze w centrum miasta. Rzucił na podłogę teczkę, która miała go trzymać z dala od sprawy rzezi w willi Neefów. Działanie narkotyku już prawie całkiem ustało. Germinal był słaby i podenerwowany, ponieważ głód niebawem powinien dać o sobie znowu znać. Obrócił w palcach buteleczkę z chloralem, wiedząc, że kilka granów środka uspokajającego ochroniłoby go od koszmarów i bólu głodowego. Na podłodze leżały rzucone byle jak trzy nędzne kartki, które dotyczyły śmierci kogoś, kogo wszyscy uznali za jeszcze większego nędznika.

Germinal czuł, jak narasta w nim złość. Włożył buteleczkę z chloralem do kieszeni marynarki i chcąc oprzeć się pokusie, jaką odczuwał, próbował skupić się na śledztwie w sprawie rzezi w willi Neefów, mimo że komisarz Landau odsunął go od niej. Przeanalizował materiał, którym dysponowali. Skąpy, niestety, z powodu braku zaangażowania Landaua i arogancji pana Neefa. Zniszczono wszelkie dowody. Ślady za willą zostały usunięte przez ogrodnika, a te w pokoju, gdzie zamordowano panią Neef - niegdyś pannę Couze - zlikwidowała żona awanturnika Rinauda. Ale nielegalna sekcja zwłok wydobyla na światło dzienne dwa istotne fakty. Po pierwsze, zwierzęta, przez które rzekomo została rozszarpana ofiara, nie istniały. Były to zwierzęta, czy też raczej zębiska, z żelaza. Drugi fakt był jeszcze ważniejszy. Morderca zostawił to, co Germinal określił mianem „informacji”. Jeszcze nie umiałby stwierdzić, czy informację tę kierował do policji, do męża czy też stanowiła ona tylko rytualny akt, którego morderca potrzebował, aby poczuć pełnię satysfakcji. Ale na pewno była to wiadomość. I sugerowała niepokojące, wręcz upiorne scenariusze. Z dwóch powodów. Niepokojący był sposób dokonania rzezi, z zimną krwią i jednocześnie z furią, co pozwalało przypuszczać, że zabójca doskonale znał miejsce i osoby, które unicestwił, by dać upust swemu morderczemu szaleństwu, przenikając do domu bez śladu włamania, pozbywając się trzech osób, służących, jak przeszkód na drodze, i

zajmując się z bestialską maestrią panią Neef, która z pewnością była głównym obiektem jego morderczego ataku. Niepokojący, bo podobna perfekcja zakładała dobrze opracowany plan. Oraz upiorny, ponieważ moszna znaleziona w pochwie ofiary należała bez wątpienia do człowieka. Tak więc gdzieś jakiś mężczyzna został okaleczony, jeśli nie zabity. Germinal nigdy nie spotkał się z podobnym zabójstwem, ani w swoim życiu, ani w raportach śledczych.

- To nowy typ mordercy... który narodził się na nowy wiek - skomentował tego poranka Germinal.

Ale Noverre go poprawił.

- To morderca urodzony w starym wieku... który każe się czcić w nowym stuleciu.

I właśnie słowo „czcić” przeraziło Germinala. Wyczuł, że Noverre ma rację. Ponieważ, nawet jeśli nie był pewien, komu morderca chciał przesłać wiadomość, chowając ją w tak intymnym miejscu udręczonego ciała pani Neef, było jak najbardziej oczywiste, że kij opleciony pędem bluszczu, który podczas pełnego zamieszek pogrzebu został wetknięty w rękę zmarłej, był drugą wiadomością od zabójcy. Wiadomością, która bez wątpienia miała zostać dostrzeżona. Usłyszana. Wykrzyczana. Świadczyła o rytualnym znaczeniu mordu. I znów Germinal poczuł dziwny niepokój, myśląc o określeniu użytym przez Noverre'a. „Czczyć”.

Ale inspektor, mimo że wciąż jeszcze błądził w umysłowej mgle, instynktownie czuł, że nad całą sprawą ciąży zamęt, syn ciszy. Jak przez sen przypomniał sobie wyraz twarzy doktora i wstrząs odbijający się na niej przez krótką chwilę - nie wtedy, kiedy znaleźli mosznę w pochwie pani Neef, ale gdy odkryli, że zawiera kości. Zmieszanie tak nienaturalne dla człowieka odznaczającego się wyjątkową samokontrolą. Podobnie jak napięcie, które zauważył Germinal także w kościele, gdy oczy kalekiego lekarza skrzyżowały się ze wzrokiem starego Scirona. Zmieszanie i zaskoczenie. Niczym na widok ducha.

Czy pan coś przede mną ukrywa, doktorze Noverre? - pytał lekarza w myślach, podczas, gdy noc opadała ciemnością na miasto.

I uświadomił sobie, że dyrektor Miasta Zwierząt - pomimo swej żywej i wyostrzonej inteligencji - zrezygnował z przeanalizowania, co mogła znaczyć moszna i kości; pozwolił tej kwestii zamrzeć, a nawet skierował rozmowę na inny temat. I znów Germinal odniósł wrażenie, że jest kontrolowany i prowadzony za rękę. Przez ułomnego mężczyznę bez rąk.

Skąd wiedział, że do niego przyjdę? - zadał sobie ponownie to samo pytanie.

Ale wrażenie dyskomfortu znów pogmatwało mu myśli. Ubikacja i zakrwawione kafelki,

teraz, w świetle jego spowiedzi, nie były już koszmarną wizją, ale najczystsza, okrutną rzeczywistością. Padająca na ziemię zakrwawiona kobieta, wymachująca bezładnie rękoma i nogami, jakby nie miała już siły, by chwycić się życia wyslizgującego się z rany, którą on sam otworzył ze zdecydowanym postanowieniem zabicia, nie była już postacią należącą do świata snów i imaginacji. Teraz, gdy o niej wreszcie opowiedział, akceptując fakt, że jest zabójcą, wciąż tkwiła pod jego powiekami. A z brzucha, który otworzył stalowym ostrzem, dochodziły nieme krzyki dziecka zabitego wraz z matką. Płodu...

Podniósł się. Zawsze gotów do ucieczki, jakby zwykły bieg mógł naprawdę rozproszyć jego ból. Zszedł, wziął motor i jeździł pozornie bez celu przez godzinę, dopóki jego oczom nie ukazało się wzgórze pomiędzy miastem a osadą robotników. A na jego szczycie namiot w jaskrawych niby krzykliwa tęcza kolorach, które pod wieczór bladły, tworząc barwną plamę.

- Ignés - powiedział głośno. I w tym samym momencie znalazł cel.

Motocykl skręcił i zaczął się piąć po ścieżce prowadzącej do namiotu, gdzie występował Człowiek-Maszyna oraz kobieta, która wniknęła w ciało i duszę Germinala.

Kiedy się zatrzymał przed wejściem do cyrku, bileter zaciekawiony spojrzał na jego pojazd.

- Niech się pan pośpieszy - powiedział po chwili. - Spektakl już się zaczyna.

Ze środka dobiegały pierwsze dźwięki orkiestry dętej.

Germinal stał przez chwilę nieruchomo. Serce biło mu w piersi jak młot. Nagle wsunął gwałtownie rękę do kieszeni, za plecami biletera wyjął buteleczkę z chloralem, którą miał przy sobie, i zażył odpowiednią dawkę środka uspokajającego. Następnie rzucił bileterowi cztery pensy i wszedł do środka.

Ignés, oświetlona przez szereg lamp gazowych, wzmocnionych przez kawałki luster, stała pośrodku sceny, poruszając się z nadzwyczajną, zmysłową lekkością. Miała na sobie czarny, długi do kostek strój z głębokim dekoltem, z materiału, który mienił się w świetle reflektorów.

Germinal podszedł bliżej, przepychając się wśród robotników prawie do samej sceny. Kręciło mu się w głowie i zaczynał już odczuwać uspokajający efekt chloralu; wzrok zaszedł mu mgłą. Wielu widzów, którzy jeszcze przed chwilą szemrali z niezadowoleniem, że ubranie zakrywa wdzięki Ignés, zaczęło pokazywać palcami Germinala i szeptać coś między sobą.

Jest policja, rozeszła się szybko wieść wśród ludzi. I ci, co stali najbliżej, powoli zaczęli się od niego oddalać, tworząc wokół pustkę, której Germinal nawet nie zauważył. Ponieważ

patrzył tylko na Ignés.

A Ignés, właśnie wtedy go dostrzegła. Jej taniec zakłócił zryw, jakby się zawahała. Cała jej pewność siebie nagle znikła, nogi pod nią zadrżały. Na krótki moment, który wystarczył, by poczuła ucisk w żołądku i wrażenie upojenia. I strachu. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała mu głęboko w oczy.

Zatańczę tylko dla pana, mówił jej wzrok.

Germinal pochwycił to spojrzenie. I zdawało się, że zrozumiał przesłanie Ignés.

A ona poruszała się, falując, z zamkniętymi oczyma, niczym zahipnotyzowana, pochylając się i prostując, jakby owaładnęły ją powolne konwulsje. Także ręce przylegające do ciała były ukryte pod prześwitującym materiałem. Kiedy muzyka zaczęła się nasilać, osiągając dźwiękowe crescendo, które przywodziło na myśl szczyty seksualnej namiętności, Ignés odchyliła do tyłu głowę, wygięła plecy w łuk i, wciąż z zamkniętymi oczyma, wyprężyła się jak w miłosnym spazmie, po czym nagle się skuliła, niby uderzona w żołądek i w końcu podskoczyła do góry.

Germinal wraz z resztą publiczności patrzył zaskoczony, jak wznosi się, wznosi i wciąż wznosi niewiarygodnie wysoko. I gdy osiągnęła maksymalną wysokość odbicia i powinna już wrócić na ziemię, otworzyła swe magnetyzujące, szare oczy i podczas gdy jej nogi wciąż się wznosiły - znalazły się w pozycji poziomej - rozłożyła ramiona na całą szerokość.

Widzowie, którzy zamilkli podczas jej lotu, wydali z siebie szmer-” oczarowania.

Szata, dokładnie zapięta podczas pierwszej części występu, teraz, gdy Ignés rozłożyła ręce, rozpięła się niby ogromny wachlarz i ukazała wzorzystą podszewkę w jaskrawych kolorach. Strój przypominał skrzydła motyla, przytwierdzone do nadgarstków i kostek u nóg licznymi delikatnymi fiszbinami. I ten motyl zaczął krążyć wśród robotniczej publiczności, opadając i znów się wznosząc, szybując jeszcze wyżej ku górze. Ciało Ignés było teraz widoczne w całej swej krasie - nagie, białe, zgrabne nogi, a wyżej gorsecik z czerwonej satyny, który ścisnął ją w talii, eksponując piersi.

Entuzjastyczny aplauz, którym nagroził ją tłum, nie miał końca. Germinalowi udało się dostrzec w górnej, nieoświetlonej części namiotu płataninę bloków i szyn, do których Ignés była przywiązana linkami i skąd była kierowana.

- Jest policja - przekazał za kulisy sprzętacz. Sciron stał się czujny.

- Kontynuujemy - rzucił do operatora, który poprzez skomplikowany system pasów i

dźwigni utrzymywał Ignés nad areną. Następnie, wychylając się zza kulis, zerknął na widownię. Za nim Stigle, Chemik.

- To nowy inspektor - poinformował Stigle, rozpoznawszy Germinala. - Ten, który zajmuje się sprawą rzezi w willi Neefów.

- Czego tu chce? - zapytał głośno stary Sciron.

- Pewnie przyszedł na spektakl... - odparł Stigle. - Albo tylko dla Ignés.

Z miejsca, w którym stali, Sciron i Stigle doskonale widzieli Germinala, jego zadarty w górę nos i usta, otwarte jak u pozostałych. Trochę się zataczał i od czasu do czasu przecierał ręką oczy.

- Jest pijany? - zapytał Sciron.

- Na to wygląda.

Publiczność złożona głównie z robotników trzymała się od Germinala z daleka.

- Jak się nazywa? - spytał Sciron Stigle'a.

- Nie pamiętam - odparł Stigle.

- Jesteś gotów do wyjścia? - zwrócił się Sciron do Człowieka-Maszyny, stojącego sztywno za kulisami obok niego.

Olbrzym ze skóry i mosiądzu uczynił głową skrzypiące „tak”.

- Spuść ją na dół - rozkazał Sciron operatorowi, który natychmiast wprowadził w ruch szereg dźwigni.

Cienkie stalowe linki, które podtrzymywały Ignés, zaczęły rozwijać się ze szpul. Kobieta-Motyl osiadła z niezwykłą lekkością na ziemi i pokłoniła się publiczności, choć patrzyła tylko na Germinala. Jakby nie było na sali nikogo poza nim. Powoli, zmysłowo, ręka za ręką, skrzydło za skrzydłem, Ignés - jakby przemawiając do Germinala swymi szarymi oczyma - zaczęła na nowo chować się w czarnej, prześwitującej szacie, która była jej kokonem.

Widzowie nagrodzili ją entuzjastycznymi brawami. Germinale nie słyszał ich krzyków. Jego umysł wypełniało tylko imię Ignés. Oczy lekko zaszyły mu mgłą, a nogi nie zapewniały stabilnego oparcia. Chloral krążył już w jego krwi.

- Szybko, Ignés! - krzyknął Sciron.

Orkiestra skończyła utwór i werbel bębnow obwieścił wejście na scenę Człowieka-Maszyny.

Ignés skłoniła się ponownie przed Germinalem i znikła.

Wtedy z grupy robotników wyłonił się potężnie zbudowany mężczyzna z twarzą naznaczoną głębokimi bliznami i zaczął ściągać płócienną bluzę. Stał z nagim torsem, rzucił pół korony na scenę, pod stopy Człowieka-Maszyny, od którego ciężkich kroków zawibrowały drewniane deski.

Germinal spojrział przelotnie na monstrum za skóry i mosiądzu, większe od każdego człowieka, jakiego kiedykolwiek widział, z wyjątkiem Zoli, służącego doktora. Tak naprawdę zerkał za kurtynę i wypatrywał Ignés. Zrobił chwiejny krok w kierunku kulis, ale zatrzymał go cyrkowy służący.

- Muszę się zobaczyć z panną Ignés - mruknął Germinal.

- Teraz nie można - poinformował służący.

Tymczasem mężczyzna z bliznami wszedł już na scenę i obaj przeciwnicy zaczęli wzajemnie oceniać swe możliwości. Człowiek-Maszyna czekał na pierwszy ruch rywala. Potem bez uprzedzenia uderzył robotnika w twarz i powalił go na ziemię. Kiedy mężczyzna się podniósł, jego górna warga obficie krwawiła.

- Wygląda na to, że ten człowiek kolekcjonuje blizny - rozległ się za plecami Germinala zachrypnięty głos kobiety.

Milton się odwrócił.

- Ignés! - zawołał stłumionym przez środek uspokajający głosem. - Przyszedłem zobaczyć, jak pani tańczy, ale pani... fruwa.

- Zaproszenie pana tutaj nie było dobrym pomysłem - powiedziała Ignés. - Widzowie się pana boją.

Germinal rozejrzał się wokół i dopiero teraz zauważył, że tłum robotników stoi od niego w pewnej odległości.

- Pani też się mnie boi? - zapytał Ignés.

- Może - odparła, wzięła go pod rękę i poprowadziła ku wyjściu.

Wieczorne powietrze było zimne i wilgotne. Ze środka namiotu dochodziły okrzyki tłumu, który zagrzewał do walki Człowieka-Maszynę. Germinal i Ignés patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. Podeszli bliżej. Ich oddechy wypełniały powietrze, tworząc jedną opalizującą smużkę.

Germinal przytulił dziewczynę do siebie. Ignés jednocześnie go odpychała i obejmowała. Dłonie obrysowywały rysy twarzy, przebiegały po ramionach, klatce piersiowej, ubraniach. Oboje byli zdyszani. Jakby próbowali się poznać, poczuć. Potem Germinal objął jej plecy

ramieniem i przytrzymał. Ignés miała naznaczone namiętnością, wyostrome rysy. Germinal odsunął jej włosy z twarzy.

- Ignés! - rozległ się głos za nimi.

Germinal puścił zdobycz, nie odwracając się w kierunku głosu. Także Ignés się nie odwróciła. Patrzyła Germinalowi prosto w oczy, z dzikim i zmysłowym wyrazem twarzy.

- Niech pan nigdy więcej nie próbuje użyć siły - wysyczała mu prosto w twarz.

- Ignés! - zawołano ponownie.

- Proszę iść do domu - powiedziała cicho Ignés, łagodząc ton głosu, i pochyliła się w kierunku Germinala, lekko przymykając umalowane powieki i skrywając za nimi na chwilę szare oczy.

- Dlaczego? - zapytał Germinal z zimną złością. - Królowa Mgieł musi iść do łóżka z jakimś bogatym paniczykiem ze wsi? Jak można panią zarezerwować?

- Ja nie chodzę z nikim do łóżka - oznajmiła lodowatym głosem Ignés, rozdymając nozdrza. - Tym bardziej za panem. Proszę stąd iść.

I z całej siły odepchnęła go od siebie.

Germinal, wciąż zataczając się lekko, dotarł do motocykla, uruchomił go i odjechał. Ignés patrzyła z nim swymi szarymi oczyma, zaciśniętymi w dwie szparki, dwie rany w nocnych ciemnościach. Opuściła wzrok i ujrzała w błocie błyszczący guzik z macicy perłowej, który oderwał się od peleryny Germinala. Podniosła go.

- Wracaj do środka - powiedział Stigle, stając przy niej. - Nie rób tego Scironowi.

Ignés rzuciła mu obojętne spojrzenie i weszła do namiotu. Za nią Chemik. W rękę ścisnęła perłowy guzik.

Tymczasem Germinal zjechał już ze wzgórza i zapuścił się w błotnistą, ciemną dróżkę, którą światło motocykla ledwie rozjaśniało. Czuł coraz silniejsze mdłości, oczy zachodziły mu mgłą. Nagle reflektory motoru oświetliły coś, co znajdowało się tylko w umyśle Germinala. Czerwony, gruby, ociekający mur. Zahamował. Motocykl gwałtownie skręcił i upadł w błoto.

Germinal klęczał i wciąż widział przed sobą krwawy mur. Nagle w nocnych ciemnościach rozległ się czyjś płacz. Cienki, niepewny. Nieuformowany.

To nie jest płacz dziecka - powiedział do siebie.

To był płacz... Krople krwi spływały teraz z metalowego, błyszczącego stołu. Może ze stołu w zakładzie pogrzebowym, na którym dokonali sekcji zwłok pani Neef, może z innego

stołu; zdawało mu się, że go pamięta, ale nie wiedział skąd ani od kiedy... i ten płacz... nie, to nie było dziecko, to był...

Germinal zaczął krzyczeć, wznosząc ręce do nieba. To był rozdzierający, gwałtowny krzyk, który trwał aż do opróżnienia płuc z powietrza. Potem mężczyzna zatkał uszy rękoma, ale płacz, który słyszał we własnym wnętrzu, nie ustawał.

Już wiedział.

To był płacz płodu.

A płód się teraz śmiał. Śmiał się z niego. Śmiał się wraz z kobietą, którą Germinal poznał wiele lat temu.

XIV

Germinal przebiegi przez podwórko Miasta Zwierząt, rozglądając się wokoło. Potem wślizgnął się do instytutu i wbiegł schodami, pokonując po dwa stopnie naraz. W jednym ręku miętosił kartkę papieru ze stemplem komisariatu. Druga była zaciśnięta w pięść. Miał nieprzytomne oczy. Dopadł drzwi gabinetu doktora Noverre.

- Odsuń się, pozwól mi przejść - rzucił rozeźlony do Zoli. Olbrzymi służący stał nieporuszony. Germinal naparł na niego, próbując go przesunąć. Ręce obłąkanego wystrzeliły do przodu z nadzwyczajną szybkością; olbrzym ugiał lekko kolana i odepchnął Germinala, który uderzył z całej siły o ścianę korytarza.

- Noverre! Noverre! - zaczął krzyczeć Germinal, prostując się i ruszając ponownie przeciwko olbrzymowi.

Zóla znowu mocno go chwycił, ale Noverre otworzył już nogą drzwi swego gabinetu.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

- Dlaczego nic mi pan nie powiedział tamtego wieczoru, kiedy robiliśmy sekcję zwłok? - krzyknął, wytrzeszczając oczy Germinal, przytrzymywany przez potężne łapska Zòli. - Pan o tym wiedział! Pan o tym wiedział.

- Proszę się uspokoić - rzekł Noverre do inspektora, po czym oparł swą zdeformowaną czaszkę na nieproporcjonalnie dużym ciele Zòli. - Zostaw go - powiedział do olbrzyma.

Zóla nie wiedział, czy posłuchać, i targany wątpliwościami dalej ścisnął Germinala, jednak już bez agresji.

- On nie chce mi zrobić krzywdy - odezwał się znowu Noverre. Wtedy olbrzym ostrożnie uwolnił Germinala.

- Proszę wejść, Miltonie - powiedział Noverre, odwracając się plecami i popychając drzwi nogą.

Germinal poprawił marynarkę, wcisnął koszulę w spodnie i wszedł za dyrektorem Miasta Zwierząt do jego gabinetu, wciąż pod uważnym spojrzeniem Zòli.

- Już się pan uspokoił? - spytał Noverre.

- Jak mogę być spokojny po tym, co odkryłem?

- Proszę nie podnosić głosu, bo Zóla pomyśli, że chce mi pan wyrządzić krzywdę - ostrzegł Noverre. - Zechce pan usiąść.

Germinalowi trzęsły się nogi; jedna ręka zaciskała się w pięść, druga obracała kartkę ze stemplem komisariatu.

- Proszę pana... - odezwał się znowu Noverre. Germinal rzucił ze złością kartkę na biurko i usiadł.

- Pan to napisał, czyż nie? - spytał ze złością.

Noverre nie zaszczycił kartki nawet jednym spojrzeniem. Jego oczy, nieforemne a jednocześnie magnetyzujące, utkwione były w twarzy Germinala.

- Ja nie mogę pisać, zapomniał pan? - powiedział, poruszając pustymi rękawami marynarki.

- Tę sekcję zwłok przeprowadził pan, tak czy nie? - ciągnął Germinal rozzłoszczonym tonem.

Noverre opuścił wzrok na kartkę.

- Jeśli pan chce, żebym to przeczytał, musi pan obrócić ją do mnie - rzekł spokojnym głosem i podniósł oczy na Germinala. - Nie mogę nawet tego zrobić, widzi pan? Nie mogę nawet odwrócić kartki...

Germinal rzucił się do przodu, przekręcił zwinięty papier i wyprostował go obiema rękami. Noverre zaczekał, aż Germinal z powrotem usiądzie w fotelu, i pochylił się nad kartką.

- No tak... to ja przeprowadziłem tę sekcję - potwierdził Noverre lakonicznie.

- Zechce pan mi przeczytać, co tam napisano?

- Nie ma potrzeby, doskonale to pamiętam.

- Niech pan czyta! - rozkazał Germinal.

Drzwi gabinetu otworzyły się i tępa twarz Zòli wsunęła się ukradkiem. Noverre uśmiechnął się do niego.

- Wszystko w porządku, Zóla - powiedział. - Możesz być spokojny, jeśli będę cię potrzebował, zawołam. Teraz zostaw nas samych.

Olbrzym obrzucił wzrokiem Germinala, po czym zamknął drzwi.

- Niech pan czyta - powtórzył nalegająco Germinale.

- Dnia dzisiejszego, 29 grudnia roku 1899...

- Niech pan przejdzie do opisu ciała.

- „Za pierwszym razem Juffridi został ugodzony ostrym narzędziem, spiczastym i ciężkim, najprawdopodobniej toporem, który znaleziono obok ciała...” - zaczął czytać Noverre.

W dalszej części orzeczenia lekarskiego zamieszczono opis pierwszego ciosu, który otworzył klatkę piersiową Juffridiego. To uderzenie zresztą nie miało go od razu zabić. Morderca dosłownie zaszlachtował go jak zwierzę. Dokonał cięcia od podstawy szyi, gdzie łączyły się obojczyki, po brzuch. Juffridiego znaleziono tam, gdzie został zmasakrowany. Z niemal odciętymi rękoma, żebrami na wierzchu, leżącego na plecach na ogromnym, drewnianym pniu, do którego został przygwożdżony za pomocą rzeźniczego punktaka, przechodzącego przez bark. Idealnie zaostrożony topór był wbity w drewno, z boku pieńka, obok głowy Juffridiego, która dyndała z tyłu. Organy wewnętrzne mężczyzny zostały usunięte. Według raportu z sekcji zwłok, resekcji nie dokonano za pomocą narzędzi chirurgicznych. Ktoś wyciągnął wnętrzności ręką. Wyrwał. Choć trzymały się swymi korzeniami ciała, które zostało tak brutalnie zmasakrowane.

- „Natomiast moszna ofiary - kontynuował Noverre, udając, że ta ostatnia informacja nie ma większego znaczenia niż pozostałe - została usunięta chirurgicznie, ostrym narzędziem, prawdopodobnie skalpelem, poprzez ciągłe, biegnące wkoło nacięcie, od prawej strony do lewej.

- A w pochwie pani Neef - przerwał Germinale, który do tej chwili siedział cicho - znaleźliśmy ludzką mosznę, zaciśniętą jak sakiewka, zawierającą zwierzęce kości. - I potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Jak mógł pan ukryć przede mną tak ważny szczegół? - Z oburzeniem uderzył otwartą dłonią w blat biurka.

Noverre patrzył na niego w milczeniu.

- Miltonie - powiedział powoli - byłem przekonany o pańskiej inteligencji i zdolnościach śledczych, ale tak naprawdę... pan jest narkomanem. Zanim otworzę się przed panem, muszę zrozumieć, w jakim stopniu pana praca wiąże się z uzależnieniem od narkotyków. Muszę wiedzieć, czy jest pan w stanie prowadzić dochodzenie.

Germinale odwrócił głowę w bok, niezdolny udźwignąć spojrzenia lekarza. Na stoliku o

cienkich nóżkach, pod oknem, zobaczył chińskie pudełko, w którym poprzedniego dnia znalazł gotową strzykawkę, pełną diacetylmorfiny.

- Chce je pan otworzyć? - spytał Noverre przyciszonym głosem.

- Narkotyki nie wpływają na moje umiejętności śledcze - rzekł Germinal, gwałtownie wstając.

- Chce je pan otworzyć? - powtórzył Noverre tym samym, hipnotyzującym tonem.

Germinal chodził wzdłuż i wszerz pokoju, za każdym przemarszem coraz bardziej się zbliżając do chińskiego pudełka.

- Dalej - szepnął Noverre. - Niech je pan otworzy.

Germinal był w drugim rogu pokoju. Nefrytowy smok, który wydychał płomień z koralu, wyglądał tak, jakby go przyzywał. Powoli, niczym ryba na haczyku, wycieńczona walką z wędkarzem, inspektor przemierzył pokój, zbliżając się krok po kroku do pudełka. W końcu do niego podszedł, położył rękę na smoku, a następnie z coraz szybciej bijącym sercem podniósł wieczko.

Pudełko było puste.

Germinal zamknął je gwałtownie i odwrócił się do doktora.

- Ubawił się pan? - zapytał ze złością.

- Nie, nie ubawiłem się... - odparł Noverre, wstając i podchodząc do niego. - A pan zrozumiał teraz, że nie ma żartów z tym smokiem? Że nie ma pan już nad nim władzy... jeśli kiedykolwiek ją pan miał?

- Nie mam nastroju do kazań, doktorze Noverre.

- Niech pan otworzy okno, Miltonie.

Germinal patrzył na niego chwilę, a potem spełnił polecenie.

- No więc, zastanowił się pan? Odpowiedział sam sobie? Dlaczego się pan narkotyzuje? - zaczął mówić Noverre, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w równinę, która ciągnęła się przed nimi. - Jak wszystkie śmiertelne istoty, jest pan daleki od doskonałości, z którą się pan obnosi. Niech pan się przypatrzy swej naturze, Miltonie, niech pan jej spojrzy w twarz. Niech pan obmaca, bo w końcu ma pan dłonie i może to zrobić, swą ułomność, która jest tym, co czyni pana człowiekiem. Niech pan spojrzy dalej, na przykład tam, na ten las topoli, których pnie, wedle naszych i botaniki życzeń, powinny być idealnie proste. Niech pan się im przypatrzy i powie mi, czy choć jedna wśród nich jest naprawdę prosta. Niech pan poszuka w nich doskonałości,

rozbierze je z kory i wilgotnych plam, oczyści ze zwodniczych cieni, obedrze z gałęzi i powie mi, czy nie przechylają się na prawo albo na lewo, choćby odrobinę? Żadna z nich nie jest prosta, Miltonie. Jak my wszyscy... każda jest skażona. Skażona życiem, wydarzeniami, przyciąganiem, swą własną naturą, która burzy się przeciwko geometrii naszej upraszczającej wszystko moralności. Natura chórem odpowie panu, że gardzi doskonałością, o którą my się modlimy. Natura... jeśli istnieje choć jedna dusza, jakiej pragną czarne sutanny naszego Kościoła... ma duszę bestialską, skażoną i występłą, która utwierdza się w swym istnieniu poprzez cudzą śmierć. W tej doskonałej niedoskonałości natura ostrzy broń własnego przetrwania i ewolucji. Jeśli czymś zawiniliśmy, my, ludzie, wierzący, że przewyższamy naturę, jeśli czymś zawiniliśmy, to tym, że nie słuchamy naszych instynktów, że nie jesteśmy posłuszni sobie samym, żyjemy nie życiem, ale złudzeniami, nie czynami, ale hipotezami, nie teraźniejszością, ale przeszłością lub przyszłością. Jeśli czymś zawiniliśmy... to tym, że nie jesteśmy sobą.

Germinal odwrócił się i odszedł od doktora. Zbliżył się do biurka i podniósł kartkę z opisem sekcji zwłok. Złożył ją i wsunął do kieszeni. Rozumiał, co Noverre ma na myśli, doskonale wiedział, że pudełko ze smokiem natychmiast odwróciło jego, Miliona, uwagę od sprawy Juffridiego.

- Nie mogłem pozwolić, aby znalazł je pan pełne, Miltonie - powiedział Noverre. - Z mojego punktu widzenia, pan nie przychodzi tu, by się narkotyzować, ale po to, by się leczyć. By szukać we własnym wnętrzu odpowiedzi. Zastanowił się pan nad tym, z czego pan mi się zwierzył zeszłym razem?

- A nad czym się tu zastanawiać? - wybuchnął Germinal. - Zabiłem dziecko, które miało się urodzić. Kropka. Zabiłem dziecko, choć może się wydawać, że to nic takiego...

- Ja nie uważam, że to nic takiego - ciągnął Noverre spokojnym głosem. - Ale to nie wszystko.

Germinal kręcił głową w powtarzającym się geście negacji, jakby próbował się przeciwstawić pokusie zawierzenia temu człowiekowi.

- Proszę tu podejść, Miltonie, muszę panu coś pokazać... - I Noverre pochylił się nad azalią w doniczce stojącej na parapecie. - Niech pan popatrzy na tę roślinę, niech pan zajrzy pod liście i tam, gdzie formują się pączki... Widzi pan te małe stworzenia, pasożyty? Nazywają je roślinnymi wszami, jeśli się nie mylę. Pan, który może to zrobić, niech weźmie jedną z nich między opuszki palca wskazującego i kciuka... i zgniecie ją. Bardzo pana proszę... Proszę, aby

pan to zrobił dla mnie.

Germinal pochylił się tak, że jego twarz niemal muskała kwiatek. Najwolniej jak to możliwe zbliżył rękę do podstawy nierozwiniętego jeszcze pączka i wziął na opuszkę wskazującego palca insekta, u którego z trudem dostrzegał miriady przezroczystych prawie nóżek. Przycisnął go kciukiem i kiedy oderwał palce od siebie, na obu zauważył czerwono-zielonkawą plamkę.

- To nie było trudne, prawda? - ciągnął dalej Noverre. - Nie może pan powiedzieć, że kosztowało to pana dużo energii, że dokonał pan jakiegoś wysiłku. To nie było nic wielkiego. Bo w istocie to nędzne stworzonko jest niczym. Nawet pan nie zauważył, kiedy je rozgniół, a ono już nie żyło. Ale uwolnił pan roślinę od pasożyta. Dobrze mówię?

Germinal przytaknął, wpatrując się w ślad małej śmierci, która przykleiła się do jego palców.

- Ale czy może pan powiedzieć, że przyniósł ulgę roślinie? Przez unicestwienie jednego z setek pasożytów, które się na niej gnieźdzą? Ból, który zadały jej pana palce, które wyskrobały gościa, był większy niż ulga, że nie ma go już na liściach, proszę mi wierzyć. I to właśnie pan robi, Miltonie, z własną duszą, czy też raczej ze swą udreńczoną psychę. Czyli nic. Aby wyleczyć tę roślinę, aby naprawdę ją wyleczyć, nie tak jak zrobił pan to teraz, ogrodnik rozpuści trochę marsylskiego mydła w wodzie i ją spryska. Całą. Nie zajmując się oddzielnymi pasożytami, ponieważ pojedynczo są niczym, nie istnieją. Zabieg z mydłem i wodą sprawi, że padną, jeśli nie wszystkie, to większość. Dzięki temu większość pączków będzie miała możliwość się rozwinąć, zakwitnąć. I większość liści zacznie oddychać. I większość soków życiowych przestanie być wysysana przez żarłoczne paszczęki tej hordy najeźdźców. Ale tylko pod jednym warunkiem... pod warunkiem że pasożyty zostaną potraktowane jako całość, a nie pojedynczo. Widział pan kiedykolwiek jednego z nich pod mikroskopem? To monstra, których ludzki umysł nie mógłby sobie nigdy wyobrazić. Mitologiczne stwory, legendarne smoki, które nigdy naprawdę nie istniały. Oto co pan robi. Rozprasza się pan na każdego z osobna pasożyta, badając go pod mikroskopem. Zatraca się pan w obserwowaniu jednostki, demonizując ją, postrzegając jak smoka, piekielną istotę, i burząc proporcje rzeczywistego świata. Nie cierpi pan na nic innego, tylko na newralgię psychiki. Nie jest pan ani zdrowy, ani chory. Znajduje się pan tam, pośrodku, w nieistniejącym świecie, zagubiony w labiryncie, który dzień po dniu wymyśla pan pod mikroskopem. Nie jest to ani szaleństwo, ani jasność umysłu. Ma pan stargane nerwy, ale pana

nerwom nic nie dolega. Jest pan chory na głowę, ale pana umysł jest zdrowy. Pana psyche kuleje, ale potencjalnie jest w stanie biec i pokonać wszelką przeszkodę. Pan sam, z tym swoim drobiazgowym obserwowaniem pod mikroskopem, jest chorobą. Niech pan dalej odrywa jeden po drugim te nędzne pasożyty, ale kiedy pan dokona dzieła, roślina zakończy już swój życiowy cykl, pączki i tak nie rozkwitną... Pańska okrutna i uporczywa powolność pozwoli większości pasożytów na mnożenie się i wygranie ostatecznej walki. To będzie życie, w którym gigantyczne opuszki stoczą bój z mikroskopijnymi smokami, ale na koniec roślina, czyli dusza, i tak umrze z wyczerpania. W najlepszym wypadku będzie to życie chorego, który umrze zdrow. Niech pan podniesie głowę, Miltonie, i dostrzeże ogólny plan. Życie nie jest niesprawiedliwe lub sprawiedliwe ze względu na szczegóły... tak jak obraz nie staje się ładny czy brzydki przez pojedyncze pociągnięcie pędzla... - Noverre odwrócił się i spojrzał na napiętą twarz Germinala. - Nie mogłem pozwolić, aby znalazł pan strzykawkę napełnioną narkotykiem... rozumie mnie pan? Germinal milczał.

- Chciałby mi pan coś opowiedzieć? - zapytał Noverre.

- Mam spotkanie. Proszę mi wybaczyć... - rzekł Germinal, odwrócił się i bez słowa wyszedł z gabinetu dyrektora Miasta Zwierząt.

Kroki Ignés zadudniły głucho na podłodze wozu cyrkowego, kiedy podchodziła boso do małego okienka. Popatrzyła na formy świata, zanurzone w mlecznych ciemnościach wieczoru, które mgła otulała jak mokry szlafrok. Nic nie przypominało bardziej jej stanu ducha niż ten szczególny moment dnia. Niż ta chwila zawieszona na przelomie dnia bez słońca i nocy, której nie rozświetli symbolicznie nawet jedna gwiazda. Niż ta nieokreśloność mgły, która zaciera kształty rzeczy, przez co one nie stają się jednak ani mniej ostre, ani mniej palące, i która towarzyszy przejściu z jednego czasowego stanu w drugi, przysłaniając ich granicę i wtapiając je w siebie jak dwa odmienne odcienie jedynej, ulotnej rzeczywistości.

Nic nie uosabiało lepiej smutku Ignés niż ten szczególny moment dnia. Smutku bez imienia i bez głosu, który nie był w stanie przyjąć formy świeżej rany. Tęsknoty, która była po prostu siniakiem na duszy, pulsującym mrocznie, ale daleko, prawie niezauważalnie. Niepokoju, w którym tłoczyły się wspomnienia przeszłości. Stanu przygaszonego nieszczęścia, na które się składała terażniejszość, powtarzająca się bez zwrotów, bez niespodzianek, bez obietnic.

Ignés zamknęła okiennice i wóz cyrkowy pogrążył się w ciemnościach drżących od

świecy, która paliła się na stołku obok łóżka. Ignés otuliła się mocno kołdrą, którą miała narzuconą na plecy, krzepiącym gestem, jakby się obejmowała. Jakby chciała uwięzić w sobie ten nieoczekiwany żar, jaki poczuła w chwili, w której pomyślała o Germinalu.

Wsunęła się do łóżka, w którym spała sama każdej nocy. Od prawie pięciu lat. Od kiedy Sciron przegonił Stigle'a.

Ignés wiedziała, że podoba się mężczyznom. Wcześniej to rozumiała. I od tego czasu oddała się wielu z nich. Ale nigdy nie należała do żadnego. Nawet do Scirona.

A teraz, myślała, nadzieja, gwałtowna jak najbardziej przerażający strach, zajrzała do jej życia pozbawionego nadziei.

Łóżko było rozgrzane. I miękkie. Ignés skuliła się pod kołdrą, strzegąc ciepła, które wzbudziła myśl o Germinalu. Podwinęła spódnicę i pogłaskała gładką skórę na nogach. Potem ręką powędrowała do góry i rozsznurowała gorsecik, uwalniając piersi białe jak mleko.

Nie była w stanie o nim nie myśleć. Od chwili kiedy spojrzała mu w oczy i ich ręce się zetknęły. Od tego momentu miała świadomość, że nie jest już tą samą osobą, choć nadal nie wiedziała, kim jest, ani tym bardziej, kim będzie. I wiedząc, że być może dla niego pozostanie tylko dziwką.

Musnęła ręką miękkie, blady sutek. Nie zamknęła oczu. Wpatrywała się w nicość. Bała się zamknąć, bała się spojrzeć na coś, czego nie miała ochoty zobaczyć. Klejnot wsunięty na serdeczny palec dotknął lekko sutka. Ignés zacisnęła pięść, przycisnęła twarde kamień do piersi i zadrapała ją z całej siły.

Ten pierścionek podarował jej Sciron wiele lat temu, kiedy wyrwał ją od ojca. Ignés знаła siebie samą. Wiedziała, jak osiągnąć rozkosz. Poprzez ból. Zsunęła pierścionek i splunęła na niego. Poprzez ból i poniżenie. Poprowadziła pierścionek w dół, do miękkiego, gęstego meszku między udami.

Miała trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy ojciec zauważył, że staje się kobietą. Czowała, jak jego oczy przepalają jej skórę, i w nocy bała się zasnąć. Ale była mała. I bezbronna. Ignés pracowała w fabryce włókienniczej, podobnie jak ojciec, matka i dwóch braci. Tego dnia skaleczyła się w rękę brzeszczotem, którego używała do wyrównywania szpuli z tkaniną. Ojciec zaciągnął ją w ciepły i wilgotny zakamarek podczas przerwy południowej. Popchnął ją do kąta. Uśmiechnął się tak, jak nigdy się do niej nie uśmiechał. Drapał ją opiłkami węgla, wbitymi w dłoń, kiedy tak głaskał ją w pośpiesznym natarciu po plecach czarnymi od sadzy rękoma palacza.

Jego dłoń zsunęła się i zaczęła gładzić jej pączkującą dopiero pierś, potem zadarł jej spódnice. Ignés czuła, jak jego szorstka ręka rozsuwa ubranie; nie przyjęła jej ani nie odepchnęła, i to tam, na stojąco, doznała pierwszego kontaktu z innym ciałem. Potem została rzucona na ziemię i poczuła rozdieranie między nogami. Bardziej piekące niż gorące. Nieprzyjemne. Podczas gdy palacz brał ją w pośpiechu, Ignés opuściła rękę, jakby niezdecydowana, czy się bronić, czy nie, i wymacała w kieszeni bułkę, którą miała na obiad. Wzięła ją i zbliżyła do oczu, odwracając głowę i wystawiając jeszcze bardziej ucho na gorący oddech i stękanie ojca. Patrzyła na nią zaskoczona, myśląc, że jeśli to jeszcze dłużej potrwa, nie zje obiadu. Wbiła zęby w bułkę. Smak żytniego ciasta, ciemnego i gumowatego, który rozpląwał jej się w ustach, uspokajał ją. Początkowe wrażenie rozdarcia stopniowo łagodniało. Jeszcze raz zanurzyła zęby w czarnym owocu żyta i zamknęła oczy, poddając się pchnięciom lędźwi, które przypominały uderzanie morskich fal o skały.

Tego popołudnia, po wypracowaniu obowiązkowych godzin, wróciła do osady. Obejrzała głębokie skaleczenie na ręce, które zaczynało się zablizniać. Także z rany między nogami przestały już spływać krople śluzowatego płynu; teraz ścigał skórę na udach.

Podniosła oczy i obrzuciwszy spojrzeniem domy robotników, ruszyła bez zastanowienia w kierunku przerażającego ją miejsca. Pozostała pod dachem ojca przez rok. Rok, w którym także matka gwałciła ją swą postawą, odrzuciwszy Ignés jako córkę i traktując ją nie jak ofiarę, lecz jak rywalkę.

Potem, w okolicy robotniczej osady przyjechał cyrkowy wóz. Sciron zauważył ją, obserwował i wyczytawszy w jej oczach cierpienie, zabrał ze sobą. Ignés wsiadła do wozu, nie oglądając się za siebie, i znikła. A Sciron nauczył ją uprawiania miłości i tańca.

Po kilku latach Stigle próbował ją osiąść, ponieważ odkrył, że oddaje się wielu mężczyznom. I nawet nie podejrzewał, że robi to tylko po, by zemścić się na Scironie, który ratując ją, skazał jednocześnie na potępienie. Ale ona mu nie uległa. A kiedy Sciron zauważył, że Stigle usiłuje zdobyć jego kobietę, wypędził go.

Od tamtego dnia Sciron nie był już nigdy w stanie jej dotknąć.

I od tamtego dnia, od prawie pięciu lat, Ignés nie należała do żadnego innego mężczyzny.

Niespodziewanie uwolniona od zakusów Scirona poczuła głębokie, niemal brutalne zmęczenie mężczyznami. Od tamtego dnia, za każdym razem, gdy młode ciało kazało jej zaspokoić własną słabość, Ignés dotykała się sama, w swoim wozie, raniąc się swym

pierścieniem. By poprzez rozkosz płynącą z bólu pamiętać, kim jest. I wyobrażała sobie, że między jej nogami tkwi wbity kolczasty drut.

- Potraktuje cię jak dziwkę - powiedziała cicho, złamanym przez lęk głosem, opierając głowę na poduszce i wpychając pierścioneń od Scirona w ciemność ciała, które drżało. Lęk dziewczyny. Ten lęk, którego nigdy nie mogła poczuć, ponieważ nigdy nie była dziewczyną. Lęk, że go straci. Albo że nigdy go nie będzie mogła mieć.

I ta myśl, ta całkiem nowa myśl wstrząsnęła nią. Poczowała dreszcz i nagły płomień, gorący i wilgotny, tam gdzie dręczył ją twardy kamień pierścionka. Ignés podniosła nagle rękę, obróciła się w łóżku i zwinęła w kłębek. Cisnęła daleko pierścienień. Usłyszała, jak zabrzęczał na gołych deskach wozu.

Wtedy przypomniała sobie o guziku z macicy perłowej. To wszystko, co miała od niego. Wyjęła go z kieszeni ubrania i podniosła do oczu. Zaciśnęła w dłoni. Potem wyprostowała palce i trzymając guzik na rozłożonej ręce, zaczęła gładzić go drugą dłonią. Powoli, delikatnie. Jakby był żywy. Jakby był nim. Albo jakby był częścią niej, która znała tylko ból i udrękę od kolczastego drutu. I gdy gładziła go opuszką środkowego palca, muskając brzegi, nie zapominając o najmniejszym rowku, dotykając czterech dziurek, przez które przechodzi nić, całe jej ciało zaczęło się poruszać, przyjmując wszystkie te pieszczoty. Czując te pieszczoty. Pieszczoty delikatne, które nie kaleczyły, nie paliły ciała, od których nie krwawiła. Powolne, gorące i zmysłowe. Przymknęła oczy, a jej opuszka zaczęła zwiększać tempo pieszczot; przez całe jej ciało przeszła fala gorąca, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Poruszała się pod kołdrą, prostując nogi, mięśnie ud zaciskały się rytmicznie, plecy wygięły się w łuk. Ignés zamknęła oczy i nie widziała już kolczastego drutu ani brutalnej twarzy ojca, jej uszy nie słyszały plugastw Scirona i nie pamiętała ciężaru ciał wszystkich mężczyzn, którym się oddała, ale do których nigdy nie należała. Pod zmrużonymi powiekami Ignés widziała tylko sympatyczną, zarumienioną twarz człowieka, w którym się rozpoznała już w pierwszym momencie ich spotkania. A kiedy jej oczy się otwierały, widziały guzik połyskujący w chwiejnym płomieniu świecy, opuszka palca zaś dalej muskała gładką perłową powierzchnię bez kantów, które mogłyby ją zranić. I guzik stał się jej własnym ciałem, które drżało i radowało się bez potrzeby odczuwania bólu. A palec, który pieścił, był jego palcem. A ona na niego patrzyła... patrzyła... patrzyła...

Ignés zamarła. Otworzyła szeroko oczy, prawie przerażona, wpatrując się w palec, który

poruszał się frenetycznie, podczas gdy jej ciałem wstrząsała fala gorąca, paląc ją i pozbawiając tchu. Otworzyła usta, ponieważ chciała wymówić jego imię, teraz, w tym momencie...

Głowa opadła jej na poduszkę. Ignés dyszała.

Zapłakała. Ale tym razem bez bólu.

- Nawet nie zapytałam, jak ci na imię - powiedziała i zacisnęła guzik w dłoni.

- Dojedziemy do więzienia dosłownie za małą chwilkę - oznajmił sierżant Londe Germinalowi tego wieczoru.

- Nie ma potrzeby, żebyś ty też jechał - powiedział Germinal.

W dali słyhać już było odgłos zbliżającego się ze zgrzytem tramwaju elektrycznego, który w bogatej części miasta zastąpił prawie całkowicie konne omnibusy.

- To nadzwyczajny wynalazek. Uwielbiam nim jeździć - odparł Londe. - Nie robię tego, żeby być z tobą, spokojnie.

Ale Germinal wiedział, że Londe kłamie. To spotkanie go niepokoiło. No i Londe był prawdziwym przyjacielem, może jedynym, jakiego miał.

Kiedy tramwaj zatrzymał się, wsiedli i zajęli miejsca w przedniej części elektrycznego pojazdu.

- Tylko odchody ludzkiej natury - próbował żartować Londe. - Żadnego końskiego łajna. Nauka robi gigantyczne kroki naprzód.

Germinal spojrział na niego nieuważnie, lekko się uśmiechając. Potem znów spuścił wzrok na gazetę, którą przyniósł mu sierżant. Pierwsza strona była w całości poświęcona rzezi w willi Neefów, a w szczególności wydarzeniom, jakie miały miejsce dwa dni temu, podczas uroczystości pogrzebowych. Fotografia, na której uwieczniono nagie ciało ofiary, została zarekwirowana przez policję, ale dziennikarze dawali upust twórczej pasji, koloryzując kronikę wydarzeń. Znieważone zwłoki, płacz wdowca, rewolta robotników, strzał w kościele, nic nie zostało pominięte, co więcej, opisane z emfatyczną przesadą. Trzynastu aresztowanych, poszukiwany wichrzyciel socjalista, dwudziestu dwóch rannych, nieudolność policji. Nawet kij z bluszczem w ręku pani Neef nie umknął uwadze kronikarzy.

Cała masa myśli tłoczyła się w głowie Germinala, podczas gdy elektryczny tramwaj ze zgrzytem jechał po torach. Miasto - w tej części tak odmienne od Pijawczaka - przemykało w kwadratach szyb, ale on nie patrzył. Cała jego uwaga była obsesyjnie skupiona na jednym zdaniu,

które dotyczyło zamordowania Juffridiego, sprawy, do której został „zdegradowany” przez komisarza Landaua. Zabójstwo miało miejsce w Piekło, gdzie Juffridi mieszkał. Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat. Nie istniały dokumenty, które potwierdzałyby pewną datę jego urodzin i dlatego oparto się na wynikach autopsji, które porównano później z opiniami znajomych. Juffridi był od zawsze znany na Pijawczaku. Pracował jako kowal. Nie było to zwykłe morderstwo, mimo że nastąpiło w dzielnicy takiej jak Piekło, gdzie życie miało zdecydowanie mniejszą wartość niż w innych miejscach. Germinal nie mógł zrozumieć, dlaczego komisarza nie zszokowało takie bestialstwo. Dlatego wciąż rozmyślał nad jednym zdaniem, które zamykało katalog makabry w raporcie z sekcji zwłok. „Moszna ofiary została usunięta chirurgicznie, ostrym narzędziem, prawdopodobnie skalpelem, którym zrobiono ciągłe, spore nacięcie, biegnące wkoło od prawej strony do lewej”. Gdyby Landau raczył przeczytać ten raport...

- Landau to nie policjant... to sługa. Uparty sługa - powiedział cicho Germinal, zwracając się do przyjaciela. - Jest o wiele gorszy, niż mi go opisałeś.

Sierżant skrzywił się.

- W dniu, kiedy przyjechałem, dwóch strażników biło bez powodu biednego, bezbronnego, obłąkanego chłopaka - kontynuował Germinal, cały czas po cichu, aby inni pasażerowie go nie słyszeli. - Było widać, że dobrze się bawią i że jest to regułą. Regułą akceptowaną przez komisarza. Wszyscy bez wyjątku gardzą doktorem Noverre tylko dlatego, że jest ułomny... a ja cię zapewniam, że to jedyna istota ludzka wśród nich, która jest obdarzona inteligencją. Czcigodnej ofiary rzezi w willi Neef nie wolno było tknąć... nie można było dokonać sekcji zwłok, ponieważ wdowiec jest akcjonariuszem cukrowni...

- Ale ty ją tknąłeś, z tego, co mi wiadomo.

- Oczywiście, Londe. - Sam?

- Tak...

- Co znaczy, że nie.

- To naprawdę nieważne. Liczy się to, co odkryliśmy.

- Uważaj i nie wciągaj w dochodzenie ludzi spoza policji.

- Posłuchaj. Mówię ci właśnie, że Pijawczak to beczka z prochem, która zaraz może wybuchnąć. I zaczynam myśleć, że może tak się powinno stać... Znasz ulubiony dowcip akcjonariuszy? „Fabryka żywi nas wszystkich, ale, dzięki Bogu, pożera tylko robotników”, pijawczak to olbrzymia dzielnica, ciemniona przez kilkunastu bogaczy, a policja jest ich

osobistą gwardią...

Sierżant Londe położył mu rękę na ramieniu i jeszcze bardziej zniżył głos:

- Milton, masz już wystarczająco dużo kłopotów... Nie dodawaj do narkotyków socjalizmu.

- Nie jestem socjalistą.

- Nie jesteś socjalistą?

- Nie jestem socjalistą, Londe... Ale wszyscy obywatele mają prawo do jednakowej ochrony policyjnej...

- Milton, to jest idealizm. To może nawet gorsze niż bycie socjalistą. Spójrz prawdzie w oczy... i wykonuj swą pracę.

- To właśnie próbuję robić, do cholery - odciął się Germinal, z trudem panując nad głosem. - To właśnie próbuję robić. Landau odebrał mi sprawę Neef i przydzielił zabójstwo Juffridiego, by trzymać mnie z daleka od wyższych sfer, ponieważ twierdzi, że brak mi taktu podczas czynności śledczych... Ale ty rozumiesz związek między tymi dwiema sprawami? Rozumiesz, co do ciebie mówię? - zaatakował przyjaciela Germinal.

- Tak, oczywiście, nawet kretyn by to zrozumiał. Mordercą jest ten sam człowiek.

- Nie tylko o to chodzi. Przestępca ma też nam coś do przekazania. W tym morderstwie jest jakaś informacja. Informacja, która ma do nas dotrzeć nawet kosztem ludzkiego życia. Jest jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi... Zabił Juffridiego tylko dla moszny? Czyli że zabił jego, ale mógł zabić jakiegokolwiek innego mężczyznę? Czy też zabił go, ponieważ było to częścią bardziej skomplikowanego planu? Ludzka moszna, zawierająca zwierzęce kości. No i ten kij z bluszczem podczas ceremonii pogrzebowej... Był w kościele, rozumiesz? Morderca był tam, między nami... Co oznacza ten kij z bluszczem? Był tam, miał go przy sobie, czekał na zamieszanie... Ale nie mógł wiedzieć, co się stanie, prawda? A wtedy jak zdołałby zostawić kij? To potworna sprawa, Londe, cały czas o niej myślę i nie dochodzę do żadnych wniosków... i te kły z żelaza... Wiesz, co mi odpowiedział Landau? „Zastanowię się nad tym”. A chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Że Landau nigdy nie zechce skojarzyć wielkiej damy z obdartusem z Piekła. Boi się. I z powodu tego strachu gotów jest pozwolić mordercy uciec. Dlatego Sanguineti musi mi pomóc. Ponieważ na Pijawczaku nie ma jednego policjanta, który...

Sierżant Londe podniósł się ze swojego miejsca.

- Dojechaliśmy. Wsiadamy - powiedział.

Majestatyczna budowla górowała nad całą dzielnicą i odcinała się na tle szarego nieba. Więzienie Centralne.

Germinał i Londe przeszli przez ulicę, a tramwaj bez koni, co wciąż wprawiało w zdumienie całe miasto, ruszył w dalszą drogę.

- Szef powiedział, że jest gotów udzielić ci wszelkiego koniecznego wsparcia - poinformował Londe, zatrzymując Germinała przed wielkimi pancernymi drzwiami.

- Ach tak? To powiedz Sanguinetiemu, że wystarczy, jeśli zneutralizuje Landaua. To Landau jest rakiem Pijawczaka. Jego jedyne zmartwienie to poszukiwanie młodego socjalisty, który, jego zdaniem, wywołał zamieszki... Słucha tylko wielkich panów...

- Panów? Uważaj, Milton, może i nie jesteś socjalistą, ale mówisz jak socjalista.

- Idź do diabła, Londe. Wiesz, co krzyczeli ludzie w kościele? Że Neef została zabita z zemsty. To mnie przeraża i powinno przerazić też akcjonariuszy. Wyobrażasz sobie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ten morderca stał się dla robotników bohaterem? Gdyby to zabójstwo nabrało charakteru politycznego? Ty nie widziałeś, w jakich warunkach żyją robotnicy. Nie mają nic do stracenia, są jucznym bydłem, niczym więcej. I nie jest to kwestia socjalizmu, tylko rozsądku. To beczka prochu, mówię ci... i to niebezpieczniejsza, niż Landau i ci skretyniali, aroganccy akcjonariusze sądzą.

- Idziemy - powiedział Londe, otwierając drzwi. I ruszył do okienka, w którym drzemał strażnik więzienny.

- Musimy porozmawiać z... - sprawdził w notatkach, które miał w kieszeni - z więźniem Lucasem Siderasem.

- Już późno. A w ogóle macie zezwolenie? - spytał strażnik apatycznie.

- Pośpiesz się i powiedz nam, gdzie on jest. I znajdź zaraz kogoś, kto zaprowadzi nas do jego celi - polecił sierżant władczy tonem, który nie przyjmował sprzeciwu. - Czy to jasne?

Strażnik opuścił głowę nad rejestrem więźniów, potem wstał.

- Zastąp mnie w okienku, muszę zaprowadzić tych dwóch gości do więźnia - powiedział do kogoś w pokoju obok, a potem zwrócił się do Germinała i jego przyjaciela sierżanta:

- Proszę za mną.

I ruszył w kierunku strefy więziennej.

- Cella 50/DF - mrucał, jakby chciał wyryć w pamięci cel ich drogi.

- Lucas Sideras? Nigdy nie poznałem jego imienia... - rzekł Germinał.

- Pewnie. Poza tym twój ekspert interesował cię z innych powodów - skomentował Londe i ruszył za strażnikiem.

Gdy przechodzili przez ciemne i wilgotne korytarze więzienia, Germinal nie odezwał się ani słowem. W kieszeni miał szklaną buteleczkę. A w buteleczce dokładnie połowę hydratu chlorału, który ukraść w wieczór nielegalnej sekcji zwłok. Połowę przeznaczoną dla Lucasa Siderasa. Więźnia z celi 50/DF. Człowieka, którego znał pod imieniem Singapur. Tego, który nauczył go znosić swe koszmary za pomocą opium, a potem nowego, najczystszej alkaloidu, który wszyscy zaczęli nazywać heroiną.

- Zostaw nas samych - zwrócił się Londe do strażnika, kiedy dotarli pod celę.

Strażnik przekręcił klucz w zamku i odsunął się o kilka kroków. Londe pchnął żelazne drzwi i stanął z rękoma skrzyżowanymi na piersi, obrzucając celę uważnym spojrzeniem.

Germinal wszedł, mrużąc oczy. Zeszli po schodach dwa poziomy w dół. Przez okienko na górze przenikała tylko słaba poświata. W powietrzu czuć było odór pleśni i moczu. Na drewnianej pryczy, utrzymywanej poziomo przez łańcuchy przykute do pokrytego wilgotnymi wykwitami muru, leżał przeraźliwie chudy mężczyzna i drżał, skulony w pozycji embrionalnej. Nawet się nie obejrzał, kto wchodzi. Gdy podchodzili bliżej, ich oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności i Germinal dostrzegł, że człowiek ten porusza ustami, popękany z odwodnienia i niedożywienia. Dopiero po chwili usłyszał, że mruczy coś na podobieństwo kołysanki.

- Singapur... - odezwał się. - Poznajesz mnie? To ja, Germinal. Inspektor Milton Germinal. Pamiętasz mnie?

Na dźwięk tego imienia Singapur podniósł oczy i ręką, która drżała w powietrzu, przywołał go do siebie. Wyglądał prawie, jakby się uśmiechał.

- Niech pan... stanie w świetle... - poprosił ledwie słyszalnym głosem.

Germinal stanął tak, by jego twarz zebrała mdłe światło, które spływało przez okienko.

Singapur roześmiał się cicho.

- To pan... - powiedział tylko, ale wyczuwało się nutę zadowolenia w tej odrobinie głosu, który udało mu się wydobyć.

- Wody, Londe - rzekł Germinal w kierunku drzwi celi. - Powiedz mu, żeby przyniósł wody.

- Przynieś nam wody! - krzyknął natychmiast Londe do strażnika więziennego. - Migiem! I żeby nie była stęchła!

Germinal pomógł tymczasem Singapurowi podnieść się i usiąść. Przytrzymał go za ramiona. Pod rękoma wyczuwał same kości. Kości, które drżały, trawione gorączką i głodem narkotykowym.

- Coś ci przyniosłem - wyszeptał mu do ucha. - Chloral. Nie mam innej. Na razie złagodzi trochę twój ból. Dziesięć granów to maksymalna dawka, ale w twoim stanie nie zniósłbyś jej i umarł. Dam ci tylko pięć. I zostawię ci buteleczkę. Spójrz na mnie, Singapurze. - I odwrócił jego kościstą czaszkę do siebie. - Oszczędzaj to. Nie wiem, czy uda mi się coś jeszcze ci przynieść.

Singapur opuścił powieki na znak zgody, ale w jego wzroku Germinal wyczytał to, co każdego dnia widział w oczach swoich i wszystkich innych, takich jak on. Poszedłby na każdy kompromis, obiecałby pod przysięgą wszystko, czego zażądałby Germinal, byle tylko dostać chloral. Milton słyszał już kroki zbliżającego się strażnika, więc odkręcił szklaną buteleczkę i umożliwił Singapurowi przełknięcie dawki. Singapur uśmiechnął się z wdzięcznością. Wężowe usta stężały, a z pękniętych właśnie strupów wypłynęła zamiast krwi jasna, żółtawa wydzielina.

- Wracaj tam, gdzie twoje miejsce - powiedział Londe do strażnika i wszedł do celi z wiadrem, w którym brzęczała chochla. Postawił je u stóp Germinala, rzucił okiem na zjawę, jaką był Singapur, i znów wyszedł.

- Pij - rzekł Germinal, pomagając Singapurowi przełknąć łyk wody z chochli.

Singapur pił łapczywie, potem ogarnęły go mdłości. Zatkaną usta ręką.

- Zwymiotuj, nie ma sprawy - powiedział Germinal.

- Nie... nie chcę...

Singapur oddychał chrapliwie i ledwie mówił.

- Nie chcę zmarnować... chloralu... I znów roześmiał się z trudem. Potem koścista dłoń ścisnęła rękę Germinala.

- Dziękuję... - dodał.

- Trzymaj - rzekł Germinal, podając mu buteleczkę. - I schowaj ją. Singapur gwałtownym ruchem wsunął cenny skarb do kieszeni spodni, a jego oczy na tę chwilę się ożywiły.

- Jak się pan ma? A... zapomnienie? Znalazł je pan... w końcu? Germinal nie odpowiedział.

- Zabrali mi wszystkie książki... - wymamrotał Singapur, który już zamknął oczy i oparł się całym ciałem na Germinalu. Chloral uśmierzył na chwilę udrękę jego nędznego żywota.

- Zabrali mi... okulary... a tu nie ma światła...

Germinal gładził go powoli po plecach, składających się niemal z samych kości.

Singapur oderwał się od niego, otworzył oczy i rozejrzał się wokół, powoli, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem przyjrzał się Germinalowi.

- Wody... niech pan mi da wody... - rzekł.

Germinal zbliżył chochlę do jego ust, by mógł zaspokoić pragnienie.

Singapur ujął twarz Germinala w kościste dłonie.

- Proszę posłuchać, inspektorze... pan... pamięta pan, co powiedziałem ostatnim razem, gdy pan do mnie przyszedł... zanim... zanim to wszystko się stało?

- Nie, Singapurze.

- Powiedziałem panu... że wierzyłem w pana... że byłem pewien, że przynajmniej pan znajdzie siłę, by przestać... Pamięta pan?

- Tak - skłamał Germinal.

- Niech pan na mnie teraz spojrzysz... jakby przeglądał się w lustrze... Nie przyszedł pan tutaj, by mi pomóc... ale żebym to ja pomógł panu, prawda?

Germinal nie odpowiedział. Niespodziewanie, w cuchnących ciemnościach, ujrzał twarz Ignés.

- Niech pan pomoże mi stanąć przy świetle... chcę, by spojrział mi pan w oczy... I to ja zadam pytanie, którego pan nie ma odwagi mi zadać...

- Nie chcę cię o nic pytać - zaprotestował słabo Germinal. Ale już przesunął wymizerowane ciało do światła, tak aby rozjaśniło ono oczy Singapura.

- O tak... - rzekł Singapur. - Niech pan popatrzy... na to, co chciał pan we mnie ujrzeć.

Płytki wdech.

- Chce pan... odpowiedzi?

Kolejny płytki wdech.

- Ma pan... powód... żeby... żeby przestać?

Znowu twarz Ignés przeniknęła przez ciemności celi i umysłu Germinala, rozświetlając na moment jego spojrzenie.

- Tak... Ma pan jeszcze czas... Germinal... oto pora wyboru...

- Singapurze...

- Zobaczył pan... to, co miał pan zobaczyć? Czy się pan... przejrzał?

Germinal nie wytrzymał ciężaru spojrzenia Singapura. Spuścił oczy. Potem położył rękę na ramieniu odurzonego mężczyzny, wstał i wyszedł z celi.

- Trzeba znaleźć sposób, by go stąd wyciągnąć - powiedział do sierżanta Londe, kiedy wychodzili.

Już mnie stąd wyciągnęliście, pomyślał Singapur, kiedy ciemności celi przeszło echo przekreścanego klucza i zatraskującego się zamka w drzwiach.

- Już mnie stąd wyciągnęliście... - powiedział cicho i wsunął drżącą dłoń do kieszeni spodni.

Wyjął buteleczkę chloralu, odkręcił korek i wypił całą gorzką zawartość. Z uśmiechem na ustach czekał na sen.

CZĘŚC DRUGA

XV

Kolor żółty dominował w całej jego postaci. Żółte, kędzierzawe, potargane włosy opadały nierównymi kosmykami na twarz, gdzie plątały się z bokobrodami, tak bujnymi, że wyglądały jak sztuczne. I oczy dalekie, nieruchomo utkwione w jeden punkt, pozbawione emocji i współczucia dla tego, czemu się przyglądały, też były żółte. Z kolei skóra - naciągnięta na długą i pomarszczoną twarz, jakby coś trawiło ją od środka - wyglądała jak u chorego na żółtaczkę, była chropowata i wilgotna. Fosforowa żółć rozpląwała się również po reszcie ciała i przywodziła na myśl monstra w otchłaniach, zaprojektowane przez naturę tak, aby stawiały czoło egipskim ciemnościom miejsc niedostępnych dla innych istot. Zęby, długie i żółte niczym stara i źle konserwowana kość słoniowa, wystawały z dziąseł jak spiczaste wapienne stalagmity w grocie, pościerane nierówno po bokach. Palce, blade i chude, przypominały nóżki pająka albinosa i znajdowały się w ciągłym, niepokojącym ruchu, niezależnie od siebie, jakby się roiły. Mimo to Gabriel Sciron zachował jeszcze cień dawnej urody i szlachetności w rysach twarzy i zachowaniu - zwłaszcza w cienkim, haczykowatym nosie oraz w dystygowanych, wyniosłych manierach - które kiedyś musiały czynić zeń fascynującego mężczyznę.

Stary Sciron patrzył na nagiego dzieciaka, leżącego na stole. Miał prawie trzynaście lat, otępiały wyraz twarzy jak u nierozgarniętego wieśniaka, a jednocześnie niewinny jak u dziecka, szerokie ramiona, silną i dobrze umięśnioną klatkę piersiową, rozwinięte bicepsy. W ogóle cała jego budowa pozwalała przypuszczać, że od urodzenia nie zaznał głodu. Był wyższy od swych rówieśników i równy wzrostem wielu dorosłym.

- Nie będzie bolało - obiecał chłopcu Sciron, na którego twarzy pojawiły się małe krople potu, a oczy zerkały w lewo i w prawo, same nie wiedząc, czego szukają.

Potem starzec wziął strzykawkę i wstrzyknął w chłopięce ramię płyn, który wcześniej przygotował. Popatrzył prosto w źrenice chłopaka i szeptem, powoli, zaczął liczyć:

- Sto jeden... sto dwa... sto trzy... sto cztery...

Chłopiec uśmiechnął się; a więc już po strachu. Rozluźnił zaciśnięte powieki, całkowicie zdając się na Scirona. A wtedy tamten delikatnie unióśł je swymi długimi, pajęczymi palcami, zmuszając dziecko, by patrzyło na niego jeszcze przez parę chwil. Po czym znów podjął liczenie hipnotyzującym głosem:

- Sto pięć... sto sześć... sto siedem... sto osiem...

Poprzedniego wieczoru Sciron był zgięty w pół, miał wykrzywioną twarz i ręką uciskał żołądek. Kiedy się wyprostował, wyglądał, jakby coś wysssało całą krew z jego udręczonej twarzy, pooranej głębokimi zmarszczkami. Ciemne oczy były bardziej zapadnięte niż zazwyczaj i czarna, cienka kreska makijażu - jak u aktora teatralnego - lekko się rozmasała i spływała z rzadkich rzęs.

- Mój wrzód - wyjaśnił stojącej przed nim kobiecie, demonstrując górny rząd zębów w kolorze kości słoniowej - lubi przypominać mi o swej obecności. Jak haczyk połknięty przez rybę, która uszła z życiem wędkarzowi.

Potem Sciron wyciągnął rękę do kobiety, prosząc, by zaczekała, otworzył skrzydło kredensu i wyjął kryształową karafkę z długą szyjką i z fasetowanym korkiem, także z czystego kryształu, który chwycił nikłe światło lampki i oddawał je przemienione w tęczę. Sciron wlał biały płyn do kieliszka, który był tak przezroczysty, że można by pomyśleć, iż nie istnieje.

- Mleko - powiedział, podnosząc kieliszek w kierunku kobiety, jakby wznosił toast. - Mój wrzód jest łakomy na mleko. Pozwoli pani, że go nakarmię... Jak pani powiedziała, że się nazywa? - I wypił duży haust.

- Lavaronne - odparła kobieta.

- A pani mąż... czym się zajmuje?

- Mój mąż i ja mamy jedyną przyzwoitą knajpę tu, na Pijawczaku, i nasze interesy dobrze idą.

Kobieta zawahała się na chwilę.

- Mamy czym zapłacić, panie doktorze.

- Muszę zobaczyć chłopca - podjął temat Sciron, odwracając się do niej plecami. - Muszę sprawdzić, czy jest wystarczająco zahartowany, by znieść zabiegi. Cała moja nauka nie da mu siły. Musi ją mieć w sobie, rozumie pani?

- Jest silny, panie doktorze - zapewniła natychmiast pani Lavaronne. - Mój chłopiec jest silny jak wół, ręczę panu.

- Z całym szacunkiem dla pani matczynej miłości... - wyskandował Sciron - proszę pozwolić mi to ocenić. Siły, o której mówię, nie mierzy się ani nauką, ani miłością.

- Ale on jest silny... - załkała kobieta. - Jest silny, mówię panu... jest silny...

Sciron podszedł do niej powoli. I powoli pochylił się tak, że jego twarz, pomarszczona i wymizerowana przez trawiący go wrzód, znalazła się na wysokości oczu kobiety. Poczł unoszący się od niej zapach kuchni i prania, sosu i mydła.

- Chce pani, żebym go operował, nie wiedząc nawet, czy jest silny? - syknął jej do ucha.

- Chciałabym, żeby mój syn... - Kobieta przerwała. - Panie doktorze, pan nie wie, czym dla matki jest dziecko... - I wybuchnęła płaczem.

- Ile lat ma chłopiec?

- Trzydzieści i pół. - Kobieta podniosła głowę i spojrzała błagalnie w żółte oczy doktora Scirona. - Ale wygląda na dwadzieścia, a jeśli chodzi o siłę... to gdyby nie...

- Zna pani cenę?

- Nie, ale...

- Jest wysoka.

- Nieważne.

- Tak samo powiedziałby pan Lavaronne?

- On tym bardziej. Rozchorował się przez tę...

- Czyli że zapłaci?

- Zapłacimy.

Sciron odwrócił się gwałtownie.

- Umawiamy się na jutro? - zapytał.

Kobieta przycisnęła rękę do piersi i otworzyła szeroko oczy. Oraz usta.

- Jutro? - powtórzyła omdłym głosem.

- Już się pani nie śpieszy?

- Ależ oczywiście, że tak. Na miłość boską, tak... - Zapewniła gorliwie pani Lavaronne.

Potem osłabła zrezygnowana. - Chce pan wiedzieć, jak się nazywa mój chłopiec? - zapytała zdziecinniałym nagle głosem. - Ma na imię Jack.

- Do widzenia pani - odparł Sciron. - Do jutra.

Kobieta wyszła bez pożegnania, pokonana przez swój własny ból.

- Sto dwadzieścia jeden... sto dwadzieścia dwa... sto dwadzieścia trzy... sto dwadzieścia cztery... - liczył wciąż Sciron. - I... sto dwadzieścia pięć. Śpij... śpij, mój mały Jacku.

Sciron spojrzał na dolną część ciała chłopca. Prawe udo było silne, jak toczony, rozwinięty mięsień czwórógłowy stabilizował więzadła kolana, co stworzyło masywne połączenie stawowe. Łydka, wypukła jak bukłak, smuklejąc, przechodziła w dość grubą kostkę; silna budowa, może mało arystokratyczna, z pewnością budziła zaufanie, jak u jucznego zwierzęcia. Schron wziął długą igłę i wbił ją bez wahania w lewe udo chłopca. Chude, z dużym, wystającym kolanem. Z atroficznej łydki zwisała nieproporcjonalnie duża w porównaniu z resztą kończyny stopa. Lewa noga, krótsza od prawej, nie wyglądała nawet na jej daleką krewną. Igła wbiła się głęboko; przez ciało chłopca przebiegł lekki skurcz.

- Coś poczujesz... - powiedział Sciron i odwrócił się do ciemnego kąta wielkiego wozu, w którym podróżował, sypiał i operował.

- Wpuść ją - powiedział w kierunku ciemnego kąta.

Z ciemności wynurzyła się monstrualna postać. Człowiek-Maszyna mechanicznym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je. Spojrzał na kobietę z niezmiernie okrutnym wyrazem twarzy.

- Niech pani wejdzie, pani Lavaronne - rzekł Sciron. - Oto pani chłopiec - ciągnął dalej, gdy kobieta weszła do wozu i zbliżała się z niepokojem w oczach do półprzytomnego syna. - Jest gotów do zabiegu.

Kobieta przytknęła dłoń do ust.

- Pieniądze? - zapytał Sciron.

Kobieta wyciągnęła z rękawa brzęczącą sakiewkę ze skóry i podała mu ją. Starzec rozwiązał węzełek i wysypał monety na małe biurko. Przeliczył pobieżnie pieniądze.

- Daj więcej światła - rozkazał Człowiekowi-Maszynie.

Olbrzym zapalił parę przygotowanych już lamp po bokach stołu. Umieszczone za każdą z nich dwie płytki błyszczącego metalu potęgowały światło, skupiając je na stole operacyjnym. Chłopiec leżał nieruchomo, nagi. Z otępiłym uśmiechem na ustach.

Sciron wziął gruby ołówek i zrobił szereg znaków wzdłuż uda, w miejscach gdzie zanikły mięśnie. I drugą grupę znaków w połowie łydki.

- Jeden zabieg nie wystarczy, no i nie gwarantuję całkowitego sukcesu - powiedział do kobiety. - Długość kości zostanie taka sama. Aby to naprawić, mógłbym wstawić mu protezę. Jak u mojego nadzwyczajnego Człowieka-Maszyny. Ale w takim wypadku musiałbym zażądać dodatkowej zapłaty.

Kobieta popatrzyła zdjeta grozą na Człowieka-Maszynę.

- Ale mój syn... - bełkotała kobieta. - Ja... ja nie chciałabym, żeby mój syn... żeby stał się... maszyną. - I wybuchnęła płaczem.

Sciron zaniósł się swoim złośliwym i szyderczym śmiechem.

- Pani syn będzie miał najwyżej mechaniczną nogę, pani Lava-ronne - powiedział.

Potem spojrzął na Człowieka-Maszynę i skinął na niego głową. Olbrzym wziął chłopaka na metalowe ręce i posadził go. Nogi, ta zdrowa i ta atroficzna, dyndały w powietrzu, o piędź od ziemi.

- Jack, słyszysz mnie? Chcę, abys poruszył prawą nogą - polecił Sciron.

Chłopiec napiął silne mięśnie zdrowego uda i podniósł nogę.

- Dobrze, Jack. Teraz zrób to samo z lewą nogą - nakazał wówczas.

Chłopiec ledwie poruszył atroficzną nogą. Matka stłumiła desperacki szloch.

- Przynies mi narzędzia - rozkazał Sciron Człowiekowi-Maszynie.

Olbrzym z ciała i mosiądzu otworzył skrzynię i wyciągnął z niej wielką szpulę miedzi, połączoną ze skomplikowanym mechanizmem tarcz, kół pasowych, cylindrów i bloków, zakończonym korbką. Ze szpuli wychodziły przewody, też miedziane, obciążone impregnowanym materiałem, spięte na końcu zaciskami. Człowiek-Maszyna postawił urządzenie na stole, obok chłopca. Potem wziął mniejsze, czereśniowe pudełko i podał je Scironowi. Starzec otworzył wieczko i powoli - podczas gdy kobieta drżała, zakrywając oczy - wbił jedną po drugiej w udo i łydkę chłopca tyle igieł, ile było znaków narysowanych grubym ołówkiem. Potem do każdej igły podłączył po jednym izolowanym metalowym przewodzie, mocując je za pomocą zacisków. Na koniec dał znak swemu nieludzkiemu asystentowi.

Człowiek-Maszyna mechanicznym ruchem zaczął kręcić korbką, ładując energią elektryczną szpulę.

- Niech pani teraz spojrz - powiedział Sciron do kobiety.

- Poruszaj lewą nogą, Jack - rozkazał, opuszczając jednocześnie dźwignię urządzenia.

Atroficzna noga chłopca podskoczyła go góry, wstrząsana ładunkami elektrycznymi. Przez łydkę przeszły skurcze, które wypchnęły do przodu stopę. Sciron odłączył prąd i noga wróciła do swej wcześniejszej pozycji. Potem znów go podłączył i noga, odzyskawszy życie, zaczęła kopać.

Pani Lavaronne uklękła i przeżegnała się.

- Niech pana Bóg błogosławi, panie doktorze! - wykrzyknęła z oczami pełnymi łez, ale tym razem łez radości, a potem chwyciła dłoń swego dobroczyńcy i zaczęła ją zapalczywie całować. - Niech pana Bóg błogosławi!

- Na razie ruch ten jest indukowany - oznajmił Sciron. - Ale wygląda na to, że chłopiec dobrze reaguje na leczenie. Będzie potrzebował wielu zabiegów, zanim można będzie powiedzieć, że osiągnęliśmy sukces. Moja elektryczna gimnastyka, choć nadzwyczajna, nie czyni cudów.

- Ale to już jest cud! - rzekła kobieta, podnosząc się z klęczek i obejmując Scirona. - Rusza nią! Rusza nogą!

Sciron uwolnił się z uścisku pełnym niesmaku gestem.

- Niech pani przyjdzie po niego za parę godzin, a potem przyprowadzi go jutro. Jeśli chodzi o dzisiejszą zapłatę... - I Sciron odwrócił się w kierunku monet, które błyszczały na małym biurczku. - ...to pokrywa ona koszt dziesięciu spotkań. Jeśli będą potrzebne kolejne... będzie pani w stanie zdobyć pieniądze?

- Oczywiście, doktorze. Wszystko, byleby mój Jack mógł chodzić, nie ciągnąc za sobą tej nogi.

Sciron odwrócił się do niej plecami. Kobieta usłyszała, że drzwi się otwierają. Człowiek-Maszyna, w nieprzeniknionej masce ze skóry i mosiądzu, wskazał jej wyjście. Kobieta rzuciła ostatnie spojrzenie na syna i wyszła.

Gdy tylko zostali sami, Sciron nasączył szmatkę chloroformem i przytknął ją do buzi dziecka, które zasypiając, przewróciło oczami. Wtedy Sciron usiadł z widocznym zmęczeniem w fotelu krytym aksamitem.

W drzwiach na tyłach wozu pojawiła się Ignés. Miała napiętą twarz i wyglądała na rozzłoszczoną. Spojrzała na monety na blacie biurka.

- Nieźle ją oskubałeś.

- Ludzka głupota jest najlepszym sprzymierzeńcem naukowców
- odparł ze śmiechem Sciron.
- Widziałam ją... - powiedziała Ignés zirytowanym tonem. - Wygląda na dobrą kobietę.
- Przykręć lampy, denerwują mnie tak samo jak twoje kazania
- rzekł Sciron beznamiętnym głosem. - I pomóż mu złożyć to zbyteczne urządzenie.

Ignés podeszła do chłopca, odpięła zaciski na przewodach, wyjęła igły z uda i łydki i włożyła je z powrotem do czereśniowego pudełka. Potem zwinęła kable i odwróciła się do Człowieka-Maszyny, który właśnie rozpinał szeroką marynarkę z ciężkiego materiału w ciemnozielonym kolorze.

- Poczekaj - odezwała się do niego niezbyt uprzejmie. - To jest dla mnie za ciężkie. - I wskazała na szpulę miedzi oraz mechanizm tarcz, kół pasowych, cylindrów i bloków. - Ty to odstaw na miejsce.

- Światło - powtórzył Sciron.

Ignés przykręciła lampy i wóz pogąrzył się w półmroku. Chłopiec leżał na stole, nieruchomy, nieobecny. Sciron spojrzał na nią złym wzrokiem.

- Na dzisiaj zorganizowałem dwa prywatne spektakle... moja Królowo Mgieł - oznajmił. - Jedno jest za chwilę, a drugie dziś w nocy. Postaraj się. - Zachichotał.

Ręka Ignés powędrowała do kieszeni sukni. Ścisnęła guzik Germinala z macicy perłowej.

- Jesteś tylko starym wieprzem.

Sciron znów się zaśmiał. Niemal rozbawiony.

- Na tyle zasługuję za to, że uratowałem cię od ojca?
- Wywiozłeś mnie, by robić ze mną to samo, co robił on.
- Ale ja nie byłem twoim ojcem. - Sciron się uśmiechnął. Ignés spojrzała na niego twardym, okrutnym wzrokiem.

- Nie, ale już wtedy byłeś od niego starszy. Sciron wyglądał, jakby go ktoś uderzył.
- Cieszysz się, że Stigle do nas wrócił? On przynajmniej jest młody.
- Mam dość twoich plugastw - oświadczyła Ignés, mocno ściskając perłowy guzik.
- I swoich, od których nie możesz się uwolnić - odgryzł się Sciron.

Jak można było wyczytać w protokole, mężczyzna, który znalazł to, co zostało z ciała Juffridiego, był dyrektorem działu fermentacji w cukrowni. Germinal postanowił odwiedzić go,

by uzyskać mniej bezosobowe informacje, niż te, które zdołał wyłuskać z bardzo ogólnego raportu. Czasami we wspomnieniach świadków kryje się jakiś ślad.

Germinal wyszedł z komisariatu i zapalił motor pod zaciekawionym spojrzeniem wartownika. Poprzedniego wieczoru ponownie zażył dawkę chloralu.

Objechał masywne mury Instytutu Upośledzeń i zanim dostrzegł dwie wieże cukrowni, jego myśli jeszcze raz powędrowały ku Ignés. Gdy zatrzymał się, by zapytać o drogę dyżurnego strażnika, wyobrażał sobie jej twarz, kiedy śpi, lub zaraz po przebudzeniu, z nierozczesanymi rzęsami i policzkami zaczerwienionymi od ciepła pościeli. Wyobrażał ją sobie po miłosnym akcie, widział ją jako kochankę, która po przebudzeniu nie jest niemile widziana. I gdy przekraczał próg budynku z cegieł i metalu, z drewnianym dachem, miał już w sercu jej obraz, który odrywał go w znaczącym stopniu zarówno od koszmarów, jak i od Landaua.

Fabryka została wzniesiona niedawno, o czym świadczyła widoczna jeszcze jasna zaprawa, zastygła między cegłami i żelazem rdzewiejącym tylko w miejscach najbardziej wystawionych na działanie wody i wilgoci. To był przejściowy pawilon, w którym robotnicy ogrzewali się przy ogniu płonącym w sporym piecu koksowym, ustawionym pośrodku budynku; dym uchodził przez prymitywny okap, wiszący pod sufitem na czterech ciężkich łańcuchach. Wzdłuż całej prawej strony pawilonu biegły dwie pary torów. Na torach skrzypiały wózki - pełne buraków, gdy wjeżdżały, i puste, kiedy wracały - z jednym bokiem ruchomym, otwieranym na małych kółkach, ciągnięte przez silne wałachy. Każdy koń był prowadzony krok po kroku za uzdę przez niedożywionych chłopaczków, którzy mieli najwyżej po dziesięć, dwanaście lat i wyglądali niemal identycznie. Stamtąd Germinal zszedł po trzech wysokich stopniach i dotarł do kanciapy bez okien, oświetlanej za dnia przez dwa gazowe palniki, oklejone lustrami, które odbijały i zwielokrotniały światło. Podłoga w pokoju była niższa niż w poprzednim pomieszczeniu o prawie cztery stopy, z wyjątkiem platformy, na której zakręcały zawracające tory. Wózki zatrzymywały się na zakręcie, na najdalszym końcu platformy, gdzie dwaj starzy robotnicy odblokowywali hamulec i bok wagonu odchylał się. Buraki, dopiero co oczyszczone z łądyg i liści, spadały na niższy wózek, niestojący na szynach, który robotnicy wypychali później na środek pomieszczenia, by wysypać jego zawartość na ziemię. Około trzydziestu robotnic, w dość podeszłym wieku, uzbrojonych w noże, kończyło obieranie buraków i wrzucało je do dziury w podłodze, w której dostrzec można było dwie spore klatki z żelaznych prętów. Do pierwszej trafiały buraki większe i lepiej przechowane - przeznaczone do produkcji oczyszczonego cukru -

w drugiej piętrzyły się robaczywe lub przejrzałe, których obróbka zatrzymywała się na etapie ciemnego cukru.

W każdym pomieszczeniu panował niepodzielnie ostry smród fermentacji, który tylko o włos różnił się od fetoru zgnilizny, a powietrze stawało się duszące od gęstej wilgoci oparów.

Kierując się wskazówkami, które co jakiś czas przekazywali mu robotnicy, Germinal szedł niepewnym krokiem do działu fermentacji w poszukiwaniu dyrektora. Fabryka była istnym labiryntem. Skomplikowaną strukturą, która najwidoczniej powiększała się z biegiem czasu, wraz z rozwojem interesów. Tyle że bez jakiejś zrozumiałej logiki, czy też raczej z logiką improwizacji i oszczędności. Pomieszczenia podobne do naw w świątyniach łączyły się z kolejnymi niskimi kanciapami, które wychodziły zarówno na korytarz, jak i na magazyn. Wszędzie słychać było ogłuszający huk maszyn, jeśli akurat nie rozlegały się przekleństwa robotnika, któremu koła zębate wciągnęły rękę.

Sektor fermentacji był bardzo rozległy. Po drugiej stronie drzwi znajdował się balkon z żelaza i drewna, z wysoką ażurową balustradą o niezbyt gęstym splocie, wychodzący na rząd olbrzymich, zamkniętych zbiorników ciśnieniowych, wpuszczonych w ziemię. Fetor stawał się nie do zniesienia i wilgoć uderzała do głowy. Germinal poczuł, że do gardła podchodzą mu opary alkoholu i aż musiał chwycić się poręczy, kiedy robotnik wskazywał mu zawieszoną w próżni budkę na końcu przejścia, po drugiej stronie bezkresnego pomieszczenia. Za zamkniętą, przydymioną, szarawą szybą majaczyła postać dyrektora. Germinal natychmiast rozpoznał wymuskanego mężczyznę, ubranego na czarno, z długimi włosami, zebranymi w węzeł na karku, który w dniu pogrzebu pani Neef siedział obok starego Scirona.

- To pan jest dyrektorem, zgadza się? - zapytał go z uśmiechem Germinal, otwierając drzwi budki. - Dotarcie do pana to prawdziwe wyzwanie.

Stigle odpowiedział uśmiechem, nie dając po sobie poznać zaskoczenia z powodu wizyty, i odwrócił się do manometru, który wbudowano w delikatną skrzynkę z różowej czereśni.

- A pan jest nowym komisarzem policji, jeśli się nie mylę - powiedział, wciąż tyłem do Germinala.

Na podłodze z drewnianych desek, może bardziej jako wyraz osobistych upodobań, niż jako oznakę władzy, dyrektor rozłożył chiński dywan w kolorze kremowym i granatowym, z kwiatami o delikatnych różowych płatkach; wprawiały one zawsze w zakłopotanie robotników, kiedy je deptali swymi zapaćkanymi podeszwami. Biurko z czerwonego błyszczącego mahoni

było masywne. Lampa na obitym skórą blacie przedstawiała skrzydlatą nimfę, przyciskającą do piersi snop żyta, z którego, niby z pnia drzewa, wyrastała ręka z brązu, podtrzymująca abażur z kolorowego szkła; gazowy płomień podkreślał nierówności i pęcherzyki powietrza w szklanej masie.

- Jestem tylko inspektorem. Inspektor Milton Germinal.

Po zakończeniu kontroli Stigle zamknął mosiężne wieczko manometru na kluczyk, który miał zawieszony na łańcuszku przy kamizelce i ponownie spojrzął na gościa.

- Szkoda - rzekł uprzejmym tonem, cały czas się uśmiechając. - Nie sędzę, abym był jedynym, który uważa, że ten grubas Landau jest żaloszny, jeśli mogę to panu wyznać w zaufaniu.

Germinal powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza, ale w duchu ucieszył się ze słów dyrektora działu fermentacji.

- Proszę usiąść, Germinal - zaprosił Stigle. - Co pół godziny sprawdzam ciśnienie całkowite - rzekł, wskazując na manometr. - Od tego urządzenia wszystko zależy, wie pan? Można kontynuować w nieskończoność cały proces, ale też rozstroić maszyny w razie spadku lub nadmiaru ciśnienia. Dlatego nie przekazuję nikomu tej kontroli. Wolę już dokonywać jej sam... niż dać się komuś wykiwać. - Roześmiał się. Potem podszedł do zadymionej szyby i zerknął ukradkiem na uwijających się robotników. - Wydarzenia ostatnich dni wywołały pewne poruszenie - wyjaśnił.

Germinal spojrzął na niego bez słowa. Dyrektor działu fermentacji miał charyzmatyczną urodę. Pomimo czarnego stroju, od butów po muszkę, która zdobiła kołnierzyk jego koszuli, wyglądał na pogodnego i otwartego. Germinal poczuł nagły przypływ sympatii.

- Wśród robotników krąży opinia, że pozwolił pan uciec temu młodemu, socjalistycznemu wichrzycielowi w kościele - zagadnął Stigle, siadając za biurkiem, wciąż z tym szczególnym, otwartym uśmiechem.

- Mylą się... - zaprotestował Germinal. - Uciekł mi.

- Uznaliby pana za bohatera. Albo za... towarzysza, jak sami siebie nazywają. - Stigle roześmiał się.

- A tymczasem jestem tylko nieudolnym inspektorem. Natomiast bohaterem tamtego dnia przez chwilę wydał mi się ktoś inny. Bardziej niż młody Ignaszewski.

- Ma pan na myśli tego nieuchwytnego i tajemniczego mordercę? - zapytał Stigle. - Tak, odniosłem podobne wrażenie.

- I nie martwi to pana?

- Mnie? Jeśli zapewni mnie pan, że jest na jego tropie, nie będę miał powodu, by się niepokoić - powiedział.

Germinal spojrzał na niego w milczeniu.

- Nie jest pan na jego tropie? - spytał Stigle. - A więc może ma pan rację, zacznę się martwić.

- Kto wie... za wcześnie, by coś powiedzieć.

Stigle zaczął bawić się piórem, przesuwając je między palcami, trwale splamionymi przez kwas.

- Robotnicy burzą się... jak te kotły, które wrą pod naszymi stopami. Ale to, co mogliby wydestylować, nie będzie słodkie jak cukier.

- A co pan sądzi o tym wszystkim? Można to jakoś rozwiązać?

- Akcjonariusze postrzegają idee socjalistyczne jako raka, który toczy cywilizowane społeczeństwo.

- Spytałem, co pan o tym sądzi - powtórzył Germinal.

Stigle wzruszył ramionami i jeszcze przez chwilę bawił się piórem.

- Problemem są jak zawsze pensje - prychnął, podnosząc wzrok i wbijając go w Germinala. - Jak powiedział ktoś mądrzejszy ode mnie, uposażenia są ustalane przez żelazne prawo, wyznaczające niezbędne minimum. Tyle, ile konieczne, by robotnicy jedli tylko chleb i wydawali na świat następnych małych robotników. Jeśli przekroczy się tę granicę, robotnicy zdechną... i pensje będą musiały wzrosnąć proporcjonalnie do zapotrzebowania na siłę roboczą. Ale jeśli wzrosną za bardzo, większa oferta siły roboczej ponownie je obniży. „Równowaga pustych żołądków to skazanie na dożywotni głód”, chyba jakoś tak to powiedział ten wielki człowiek. Ale ja się nie znam na polityce. A pan?

- Ja też nie.

- Przypuszczam też, że nie to jest powodem pańskiej wizyty - rzekł z uśmiechem Stigle.

- Jak to się stało, że właśnie pan znalazł ciało Juffridiego? - zapytał Germinal bez wstępów.

- Ach... o to chodzi... - powiedział Stigle, chmurząc się, podczas gdy jego palce zacisnęły się na piórze. - Myślałem, że zajmuje się pan rzezią w wili Neefów.

Germinal spojrzał na niego w milczeniu. Nie odpowiedział.

- Mógłby mi pan łaskawie wyjaśnić, co osoba taka jak pan robiła w Piekło... tak to nazywają, prawda?

- Tak, Piekło... - przytaknął Stigle, znów bawiąc się piórem. - I doprawdy widok Juffridiego był piekielnym wstrząsem. Wyglądał jak... przywodził na myśl kozła ofiarnego na pogańskim ołtarzu... lub jakiegoś skazańca z dawnych, mrocznych czasów... Czytałem, że kat ćwiartował ich publicznie, a wnętrzności rzucał na rozżarzony węgiel, kiedy jeszcze żyli. By wzbudzić grozę wśród ludu. I widok Juffridiego był naprawdę przerażający. Kiedy wszedłem, natychmiast zrozumiałem, co się tam stało... to znaczy, pojąłem natychmiast, że nie żyje, oczywiście, a nie co mu zrobiono. Odrażające widowisko. I ta czarna chmara much, doskonale pamiętam ich bzyczenie... i kot... był tam kot, który zlizywał krew z podstawy pieńka. Przy całym tym... tym *pożywieniu*... zadowalał się zlizywaniem krwi. Nie wiem dlaczego, ale to mnie silnie uderzyło.

Stigle spojrzął na Germinala, który słuchał niewzruszenie.

- Ale pan chce wiedzieć, co tam robiłem, przepraszam. Juffridi był na swój sposób artystą, rozumie pan? Był kowalem i szlifierzem... Nie ulegał panom. Przez krótki czas pracował jako mechanik tu, w fabryce. Ale miał za nic jakąkolwiek hierarchię, był doskonałym specjalistą, przesiąkniętym... socjalizmem... i dyrekcja go zwolniła. Zajmował się naprawą kół zębatach w maszynach. Każdą część potrafił idealnie skopiować. Był swego rodzaju fałszerzem, jeśli tak można powiedzieć. Jego największą pasję stanowił metal. I miał wielki talent, naprawdę. Proszę sobie wyobrazić, inspektorze, że odtworzył całą serię narzędzi tortur, używanych przez inkwizycję. Nie wiem, gdzie znajdował informacje i modele do kopiowania, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale miał dużą i, można powiedzieć, dość... ekscentryczną kolekcję. Komu by się chciało trzymać w domu narzędzia tortur?

- Jak to się stało, że właśnie pan znalazł ciało Juffridiego? - zapytał ponownie Germinal.

- Zwraçałem się do niego, kiedy nie byłem w stanie zdobyć jakiejś części zamiennej. Dawałem mu pęknięte i nieprzydatne koło zębate, a on je precyzyjnie odtwarzał - wyjaśnił Stigle.

- Tego ranka niosłem mu właśnie przegrodę z dwoma otworami do opróżniania zbiorników z zanieczyszczeniami... A on tam leżał, za swoim barakiem... na pieńku...

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli.

- A przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby życzyć mu śmierci? - spytał Germinal.

- Nie byliśmy aż tak blisko... - odparł Stigle. - To był pieniacz, ale od tego do

zaszlachtowania w taki sposób... cóż, Piekło nie jest najpilniej strzeżonym miejscem przez was, policjantów... ale mimo to po co zarzywać człowieka tak bestialsko? Wciąż wracam myślą do tego. Do metody... tak to nazywacie w waszym żargonie, prawda?

- Tak - odrzekł Germinal zamyślony. - Metoda... I nic pan nie pamięta? Nic, co by pana zdziwiło... uderzyło w szczególny sposób...

- Oprócz tego, co widziałem? - rzekł Stigle, kręcąc głową. - Nie, panie inspektorze, przykro mi.

- A co mi pan może powiedzieć o panu Neefie? - zmienił temat Germinal. - To jeden z akcjonariuszy cukrowni...

- Cóż, gość jak każdy inny - odpowiedział Stigle, wzruszając ramionami. - Pan, jak zważy robotnicy. A panowie to... jakby to powiedzieć... to panowie.

- Robotnicy go nienawidzą?

- Wszyscy robotnicy nienawidzą wszystkich panów, panie inspektorze. To jedna z niezmiennych reguł gry. Wyzyskiwani nienawidzą wyzyskujących. - Stigle uśmiechnął się. - Ale nienawidzą panów jako postaci abstrakcyjnych... czy też politycznych, jak pan woli. Pan Neef nie jest postrzegany gorzej niż inni akcjonariusze... z tego, co wiem. Myśli pan, że wasz morderca kryje się między robotnikami?

- Niestety, jeszcze nic nie myślę.

- Z tego, co wiem, choć nie jest to wiele podjął znów wątek Stigle - rzeź w wili Neefów była chyba zbyt wyrafinowana, by przypisać ją robotnikowi. I ja też byłem w kościele, kiedy znalazł pan kij z bluszczem w ręku zmarłej... Włożył go zabójca, prawda? Sądzi pan, że robotnik byłby tak wyrafinowany?

- Młody socjalista, który zainicjował zamieszki, jest wyrafinowany, prawda?

- No to nie powinien pan pozwolić mu uciec.

- Nie pozwoliłem mu uciec...

- Jest pan socjalistą, panie inspektorze? - spytał Stigle. Germinal wzruszył ramionami.

- Ostatnio wielu zadaje mi to pytanie.

- Jeśli wielu zadaje to samo pytanie... - uśmiechnął się Stigle - może niepotrzebna jest odpowiedź.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Panie inspektorze - powiedział Stigle, wstając - teraz muszę pana pożegnać, jeśli nie ma

pan więcej pytań. Wie pan, jak to się mówi, prawda? „Nie wolno tracić czasu, który odmierza Bóg, a opłacają ludzie”.

Germinal także wstał i uściśnął zniszczoną dłoń Stigle'a.

- Dziękuję panu... - powiedział.

- Niech pan zaczeka, odprowadzę pana do wyjścia, to przynajmniej nie będzie pan ryzykował, że się zgubi - zaproponował Stigle.

Otworzył drzwi i poprowadził Germinala wzdłuż balkonu. Potem przeprowadził go przez labirynty fabryki. Robotnicy, jak zauważył Germinal, pozdrawiali Stigle'a dość poufale, a zarazem z szacunkiem i nazywali go Chemikiem.

- Nazywają mnie Chemikiem, choć nie studiowałem - powiedział Stigle, gdy już byli na zewnątrz. - To był mój uniwersytet - kontynuował, pokazując zniszczone ręce. - Zacząłem jako pomocnik w garbarni skór, potem stopniowo odkryłem sekrety reakcji między pierwiastkami. Umieję dokonać destylacji cukru... i wszelkich innych substancji.

Germinal uśmiechnął się z zakłopotaniem. Efekty chloralu prawie całkowicie już znikły. Żołądek i ścięgna w nogach znów dawały o sobie znać w postaci nieprzyjemnych skurczy.

- Muszę już iść - rzucił ostro i ruszył w kierunku motocykla. Stigle patrzył, jak odchodzi, potem wszedł do fabryki, ale zamiast wrócić na swe stanowisko pracy, zszedł po koślawych schodach, zapalił lampę i przeszedł przez ciemne korytarze i pomieszczenia, które były wnętrznościami cukrowni. Dotarłszy do metalowych drzwi, zatrzymał się, położył przeżartą przez kwasy dłoń na kołatce i pchnął skrzydło. Żelazne drzwi były zniszczone i chropowate. A na wszystkie kolory i farby nakładała się metaliczna rudność, która pieniała się w bąblach powietrza i spływała w dół krwawą rdzą, skapującą z wyżartych dziur. Stigle nadstawił ucha.

- ...może trzeba będzie posunąć się nawet do tego - mówił głos wewnątrz kanciapy. - Sprawiedliwość społeczna zrodzi się w sposób nieunikniony poprzez walkę proletariatu, towarzysze. Walkę, która musi proporcjonalnie równoważyć represyjne metody panów... walkę, która, jeśli to konieczne, musi mieć w sobie gniew i krzyk rewolucji...

- Ale teraz nie jest to konieczne, Ignaszewski - rzekł Stigle, wchodząc do środka.

Około dwudziestu, nie więcej, robotników, którzy słuchali przemówienia młodego socjalisty, poszukiwanego przez policję, odwróciło się gwałtownie, z zaniepokojeniem w oczach. Ale gdy rozpoznali Stigle'a, ich twarze rozpozodziły się. Kilku z nich wstało. Rinaud skinął Chemikowi głową.

Stigle uśmiechnął się do wszystkich, ale jego wzrok za każdym razem wracał do towarzysza Ignaszewskiego. Przeszedł przez całą kanciapę - stary, nieużywany magazyn, ciemny i słabo oświetlony przez nieliczne lampy. Robotnicy siedzieli na drewnianych, nadgniłych skrzyniach; mdły fetor cukru mieszał się z ostrym i nieprzyjemnym zapachem wilgoci i pleśni. W kącie znajdowało się przygotowane naprędce posłanie - właściwie tylko siennik - i kuchenka spirytusowa. Na tym prymitywnym łóżku dwa koce, jakaś książka, płaszcz i stary pistolet. Stigle zobaczył go, podniósł i wsunął za pasek spodni.

- Nie chcę broni w fabryce - oświadczył, przyglądając się bacznie młodemu socjaliście.

Potem odwrócił się do robotników.

- To dotyczy także was. Żadnej broni w fabryce.

- Kiedy będziemy musieli narzucić poszanowanie naszych praw siłą - zaczął mówić towarzysz Ignaszewski - jak będziemy walczyć?

- Nikt nie będzie walczył - odparł zniecierpliwiony Stigle, podchodząc do niego. - Nie jesteście żołnierzami.

- Ale jesteśmy rewolucjonistami - odparł z dumą Ignaszewski.

- Słuchajcie - zwrócił się Stigle do robotników, odwracając się tyłem do młodego socjalisty. - Nie chcę, żebyście popełnili jakieś głupstwo. Każdy z was reprezentuje swoich kolegów z pracy. Dlatego was wybrałem. I macie w stosunku do nich zobowiązania. Powiem wam, kiedy nadejdzie moment. Nie róbcie głupstw.

- Mówisz jak wielki pan - przerwał mu Ignaszewski. - Proletariat ma prawo decydować o swym losie.

- Przestań, Ignaszewski - uciszył go Stigle. - Ryzykujemy, ukrywając cię tutaj. Okaż trochę wdzięczności. Na razie nie toczy się żadna rewolucja i gdyby właściciele zdecydowali się na interwencję policji i wojska, nikt nie stanąłby po stronie robotników...

- Będzie nas ponad pięciuset, Chemiku - powiedział Rinaud. Stigle spojrzał na niego rozpalonym wzrokiem.

- Jesteś tego pewien? A nawet gdyby, połowa to kobiety i dzieci. Wojsko nie składa się z kobiet i dzieci.

- Możemy zablokować produkcję, Chemiku - wtrącił się inny robotnik. - Towarzysz Ignaszewski mówi...

- Czy towarzysz Ignaszewski powiedział ci, jak skończył się strajk w kopalni, o którym

ciągle opowiada, Bertrand? - rzekł Stigle, prawie na niego napierając. - Każ mu to zrobić. Każ mu powiedzieć, jak skończyła ponad połowa strajkujących. No, dalej, mów, towarzyszu!

- Ideały potrzebują męczenników - odparł młody socjalista.

- Męczenników! - wykrzyknął Stigle. - Oto odpowiednie słowo, ponad stu ludzi, padłych od kul z wojskowych strzelb! Trzystu górników zwolnionych, trzysta rodzin na bruku! Powinieneś zamienić ten śmieszny znaczek, który wszystkim pokazujesz, na inny. Nie dwie solidarne ręce, ale trup zamordowanego przez policję robotnika. Oto najwłaściwszy symbol dla ciebie!

- Ale towarzysz Ignaszewski mówi, że tego wymaga sprawa... - odezwał się trzeci robotnik.

- Towarzysz Ignaszewski mówi o sprawie - podjął temat Stigle. - Ale czy ty wiesz, co znaczy sprawa, Portland? Znaczący, że pewnie ty będziesz jednym z zabitych. A twoja żona? Twoje dzieci? Co będą jeść? To właśnie znaczy sprawa dla towarzysza Ignaszewskiego. Że można się obyć bez ciebie i bez twojej rodziny. Dopiero co urodziła ci się córka, prawda, Portland?

Robotnik wbił wzrok w ziemię.

- To co powinniśmy robić, Chemiku? - rzekł Rinaud, potrząsając pięściami. - Być potulni jak baranki, choć nie udaje nam się nigdy przeżyć za wypłatę do końca tygodnia? Jesteśmy wszyscy zadłużeni w sklepiku, a pracujemy jak muły, nawet po czternaście godzin dziennie...

- Prostack z ciebie - powiedział Stigle. - A kto ci powiedział, że nic nie zrobimy? Ja zarabiam tyle co was pięćdziesięciu... jak sądzisz, dlaczego ryzykuję? Co mogę zyskać? Nic. Mogę tylko wszystko stracić. Ale robię to, bo wierzę w sprawiedliwość społeczną. Tyle że bez niepotrzebnych ofiar. Osiągniemy to, co mamy osiągnąć... i kiedy nadejdzie moment, rykniemy potężnym głosem, zobaczycie. Ale musi nadejść odpowiedni moment...

Wielu robotników popatrzyło na Ignaszewskiego. Kilku z nich wstało.

- Wracajcie do pracy - polecił Stigle.

Robotnicy zaroili się w przerdzewiałych drzwiach, a potem rozeszli się powoli, z pochylonymi głowami.

Gdy tylko zostali sami, Stigle podszedł do Ignaszewskiego.

- To ja cię tu sprowadziłem, nie zapominaj o tym - powiedział mu. - Musisz im pomóc zrozumieć, o co walczą... nie potrzebują cię, by umrzeć albo wylecieć z roboty.

- Chemiku - odparł młody mężczyzna - ci ludzie muszą walczyć o ideały. O siebie samych i o cały proletariatus.

- Nie wykorzystuj ich do swoich interesów.

- Mój interes to interes ludu.

- Ale nie masz tych samych potrzeb co lud. Nie musisz pracować, żeby jeść.

- Urodziłem się na ulicy jako syn dziwki. Wiem, czym jest głód.

- Wiedziałeś - poprawił go Stigle. - Teraz jesteś intelektualistą, który nie martwi się, co włożyć do garnka. Nie rób nic, co mogłoby zaszkodzić moim ludziom. Ostrzegam cię. Rób, co do ciebie należy. Rób to, po co cię tu wezwałem, a decyzje zostaw mnie.

- Widzisz, że mówisz jak wielki pan? Twoi ludzie, jak ich nazywasz, słuchają mnie i zaczynają rozumieć, co jest słuszne... Chemiku.

Stigle popatrzył na niego w milczeniu, a potem wycelował palec w jego klatkę piersiową i trzy razy puknął go w mostek.

Na koniec ruszył do drzwi. Otworzył je i odwrócił się do młodego socjalisty.

- Jesteś tu moim gościem. Szuka cię policja, pamiętaj o tym.

- Policja zawsze szuka socjalistów. Przyzwyczailem się do tego.

- Nie rób nic, co mogłoby zaszkodzić moim ludziom, ostrzegam cię - powtórzył Stigle i wyszedł.

We wnęce, przy wejściu na schody prowadzące na powierzchnię, ukrył pistolet, który zabrał młodemu rewolucjonistce. Potem wyszedł z cukrowni, kazał chłopcu przyprowadzić karalucha i odjechał, smagając konia batem.

Stigle dojeżdżał już do celu i zaczynał ściągać koniowi cugle, kiedy drogę przecięła mu kobieta podtrzymująca kulawego chłopca.

Chłopiec powłóczył chorą nogą po błocie ścieżnym przez mróz i wyglądał na ogłuszonego. Stigle usłyszał, jak kobieta mówi:

- Już niedługo i ty będziesz mógł biegać, Jack.

Pokonując trzy schodki, Stigle lekko się roześmiał. Potem wszedł do wozu Scirona.

Człowiek-Maszyna odwrócił się do niego, zakrywając z niepokojem klatkę piersiową. Potem, rozpoznawszy go, odprężył się i opuścił ręce, odsłaniając rozpiętą kamizelkę.

- Cześć - rzucił Stigle do Człowieka-Maszyny.

- Cześć - odpowiedział tamten cienkim, nosowym głosem i skierował się ku ławce w ciemnym kącie wozu, pod trzema metalowymi hakami, zawieszonymi na sznurach umocowanych na ścianie. Dwa zewnętrzne haki znajdowały się na wysokości jego ramion, a hak pośrodku na wysokości karku.

- Pomóż mi - powiedział Człowiek-Maszyna do Ignés.

Ignés spojrzała na Stigle'a krótkim, umykającym spojrzeniem, a potem wbiła wzrok w Scirona.

Stigle podszedł do właściciela obwoźnego cyrku o żółtaczkowej cerze, który wciąż siedział w swym przysadzistym fotelu.

- Wygląda pan na zmęczonego - zauważył z troską, siadając obok niego.

- Mój wrzód nie daje mi wytchnienia - odparł starzec słabym głosem. - Powoli mnie zjada.

- Powinien pan odpocząć - rzekł Stigle.

- Pomóż mi - powtórnie zwrócił się do Ignés Człowiek-Maszyna.

- Pomóż mu, rusz się - nakazał jej rozszluszczony Sciron. Ignés wytrzymała spojrzenie starca, jakby to była próba sił, potem spuściła oczy i podeszła do Człowieka-Maszyny.

Sciron wziął rękę Stigle'a w swoją i popatrzył na nią.

- Gdybyśmy rozkroili mój żołądek, przypominałby dokładnie twoje ręce. Stary worek z wypalonymi kwasem dziurami. - Uśmiechnął się.

Tymczasem Ignés umocowała dwa boczne haki na ramionach Człowieka-Maszyny. Potem wsunęła środkowy hak w otwór u dołu karku, gdzie krąg z mosiądzu miał specjalnie wyrobione oczko. Skończyła rozpinąć kamizelkę i rozchyliła ją wraz z ciężką, płócienną marynarką.

- Oddychaj, Tristan te - rzekł ze śmiechem Stigle. - Oddychaj. Głowa karła, tkwiąca pośrodku klatki piersiowej Człowieka-Maszyny, była prawie całkiem sina. Ale uśmiechnęła się do Stigle'a.

Ignés zbliżyła dłonie do jego twarzy.

- Nie, uwolnij mi ręce - powiedział karzeł. Ignés podwinęła mu rękawy koszuli.

Każde z krótkich przedramion karła było wciśnięte w dwie obręcze z wypolerowanego żelaza, zakończone motylkową śrubą. Pierwszy i drugi paliczek każdego palca u rąk był wsunięty w żelazne tuleje, wyglądające jak długie pierścienie, połączone z szeregiem metalowych cięgien.

Ignes poluzowała wpierw obręcz, odkręcając zgodnie z ruchem wskazówek zegara śruby motylkowe, i uwolniła przedramiona, noszące głębokie ślady zacisków. Następnie wysunęła tuleje, które więziły palce prawej dłoni.

Karzeł uwolnił przedramię z żelaznych oków i jego dłoń tkwiąca w protezie opadła, jakby była martwa. Potem nadeszła kolej na lewą rękę. Przedramiona Człowieka-Maszyny zostały skonstruowane z rzędu stalowych cięgien - giętkich i czułych - poruszanych przez palce karła, których względna siła była zwiększana przez szereg przekładni z dobrze naoliwionego żelaza.

Karzeł jęknął, prostując i zaciskając zeszywniałe palce.

- Teraz ja sam - powiedział.

Potem przyłożył ręce do twarzy. Najpierw odhaczył cienkie, metalowe pręciki, umocowane na dwóch pierścieniach, wbitych w łuk brwiowy. Podnosząc lub marszcząc brwi, poruszał powiekami Człowieka-Maszyny.

Następnie odczepił przypiętą do brody skórzaną maskę, z której odchodziły dwa kolejne druciki, grubsze od tych przy powiekach. Zaczepione u podstawy szyi umożliwiały - za pomocą dwóch sworzni - zamykanie i otwieranie mechanicznych ust. Na koniec odpiął skórzany pasek, zaciśnięty na głowie.

Rozmasował sobie czoło, po czym - odczepiając po kolei sprzączki - poodpinał cały szereg skórzanych pasków, którymi był przywiązany do szkieletu Człowieka-Maszyny. Na początek ten opasujący szyję, potem drugi, pod pachami, oraz trzeci, na wysokości bioder. Ściśnięta i zniekształcona klatka piersiowa Tristante była zlana potem.

Kiedy karzeł uwolnił już górną część ciała, rozpiął spodnie. Krótkie i masywne nogi były sztywno unieruchomione na wysokości kolan. W całej swej długości stanowiły udo Człowieka-Maszyny. Stopy zostały umocowane w specjalnych butach o kulistym kształcie, które stanowiły kolana Człowieka-Maszyny i poruszały protezami, stanowiącymi jego dolne kończyny, poprzez ruchomy przegub u kostki, wzmocniony i podtrzymywany przez szereg metalowych wsporników tłokowych.

Wreszcie karzeł wydostał się z martwego teraz korpusu Człowieka-Maszyny.

- Oto nasz olbrzym. - Siedzący wciąż obok Scirona Stigle uśmiechnął się do karła. - Witamy wśród nas, Tristante. Ostatnim razem, gdy cię widziałem, miałeś roztrzaskaną szczękę. Widzę, że ci ją na nowo przyśrubowano.

- Musiałem udać się na koniec świata, by znaleźć przyzwoitego ślusarza - westchnął

Sciron. - Śmierć Juffridiego to katastrofa.

Karzeł Tristante podszedł do Scirona i bez słowa oparł na chwilę głowę na jego ramieniu, na znak przywiązania. Jak wyszkolony pies. Ale jego wzrok był skierowany na twarz Stigle'a.

- Dopiero co rozmawiałem o Juffridim z policją... wiecie, z tym nowym inspektorem... - powiedział Stigle.

- Aha... - Sciron stał się czujny. - I czego chciał?

- Niczego szczególnego - odparł Stigle. - A co? Ma pan jakieś ważne informacje dla policji?

Sciron odwrócił się do Tristante. Twarz miał ściągniętą.

- Idę się ubrać - oznajmił karzeł, wychodząc z wozu, i w podskokach udał się do namiotu, gdzie każdego wieczoru występował.

- Coś pana martwi? - zapytał po chwili Stigle.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś? - aroganckim tonem zwróciła się do Scirona Ignés.

Pożółkły starzec odchylił głowę do tyłu i wyczerpany zamknął oczy. Nic nie odpowiedział.

- Wyjdźmy - powiedział Stigle, wstając. - Pozwólmy mu odpocząć.

Sciron, wciąż z zamkniętymi oczyma, poszukał jego ręki wyżartej przez kwasy.

- Nie, ty zostań ze mną przez chwilę - poprosił, po czym, zwracając się do Ignés, dodał:

- Pamiętaj o spektaklu, Królowo Mgieł. - I roześmiał się. Ignés wyszła z wozu i schodząc z trzech schodków, uniosła spódnicę, pokazując bez wstydu piękne nogi.

- Zrób coś dla mnie - rzekł Sciron do Stigle'a. - Weź te monety ze stołu i włóż je do sakwy, która wisi na tamtym haku.

Stigle zgarnął monety kantem dłoni.

- Widziałem chłopca, którego pan... leczy - zaczął mówić. - Nie sądzę, żeby elektryczność pozwoliła mu chodzić.

- Nie... - Sciron uśmiechnął się. - Ale bądź spokojny, kiedy spostrzegą się, że moje leczenie nie przynosi efektów, ja już będę daleko. Do tego czasu zdążę zwinąć namioty. Stigle spojrzał na niego ze współczuciem.

- Czy nie byłoby pięknie, gdyby któregoś dnia mógł się pan zatrzymać gdzieś na dłużej?

- Straciłem swą okazję wiele lat temu - westchnął Sciron. - I na pewno nie zatrzymałbym się tutaj, blisko Hrabiego bez Rękawów. - Stigle chwycił skórzaną sakwę, która dyndała na haku

wbitym w belkę wozu. Otworzył ją i wrzucił do środka monety od pani Lavaronne, potem zacisnął ją, uważnie się jej przyglądając.

- To jest sakwa od dobroczyńcy, który pana tu wezwał? - zapytał. Sciron przytaknął.

- Kiedyś miałem taką samą - powiedział. - I podarowałem ją pięknej dziewczynie. - Westchnął. - Na starość... na starość robimy się sentymentalni. To była sakwa duża jak ta, jak...

- ...jak moszna byka - rzekł ze śmiechem Stigle.

- Nie - zaprzeczył Sciron. - Jak macica. W środku zmieściłby się płód.

- Ktoś mógłby się tu w środku urodzić? - spytał z rozbawieniem Stigle, obracając w zniszczonych rękach skórzaną sakwę. - Żywiłby się złotem. - Znow się zaśmiał.

Sciron spojrzał na niego.

- Słyszałem, że nadal leży ci na sercu los robotników - rzekł poważnym głosem.

- Ignés to panu powiedziała?

- Dlaczego martwisz się o tych nędzarzy? Jeśli akcjonariusze się o tym dowiedzą, stracisz pracę - ciągnął Sciron.

- Robotnicy potrzebują kogoś z głową na karku, kto będzie umiał ich poprowadzić - odparł Stigle, bawiąc się wciąż sakwą pełną monet. - A akcjonariusze o niczym się nie dowiedzą. Nie pokazuję się na zebraniach, robotnicy zaś są świadomi, że ich sukces zależy też od tego, czy pozostaną anonimowy... przynajmniej w obecnej chwili. To zaufani ludzie.

Sciron pokręcił głową.

- Jesteś idealistą, Stigle. Nędzarze nie mogą być zaufanymi ludźmi, z samej definicji. Są w stanie sprzedać wszystko za o wiele mniej niż trzydzieści srebrników. Umierający z głodu jest jak narkoman.

- Niech się pan nie martwi, sprawy są pod kontrolą.

- Jestem zmęczony, Stigle - wymamrotał Sciron.

- Tak, niech pan odpocznie - powiedział Stigle, wstał i wyszedł. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz wozu, ujrzał Ignés stojącą na skraju wzgórza, u stóp którego rozciągało się wielkie miasto, ledwie widoczne w mroku nadchodzącej nocy. Stigle podszedł do niej.

- Zastanawiasz się, czy nie wybrać się do miasta w najbliższych dniach? - zapytał.

- Czego chcesz, Stigle?

- Może chcesz kogoś odwiedzić?

Ignés nie odpowiedziała; jej wzrok był wciąż wbity w połyskujące w dole światła.

- Miałaś rację... - rzekł w końcu Stigle swobodnym tonem. - Dziś poznałem nowego inspektora. Rzeczywiście jest fascynujący.

- Nigdy tego nie powiedziałam - odparła Ignés. Stigle odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Pamiętaj, że należysz do Scirona.

- To ty należysz do Scirona.

- Tak, wszystko mu zawdzięczam - przyznał z powagą Stigle. - To on nauczył mnie chemii i tego, co teraz umiem.

- Ja nie należę do nikogo - powiedziała Ignés.

- Ignés... mój mały, umierający ogieńku - odezwał się cicho Stigle. - Tylko ten, kto cię kocha, wie, czego pragniesz... a Sciron cię kocha, na swój sposób.

- Ja nie należę do nikogo - powtórzyła Ignés.

W tym momencie wielki czarny powóz wjechał na plac przed namiotem. Mężczyzna, który zazwyczaj był bileterem, pobiegł, by otworzyć drzwi. Z powozu wysiadło siedmiu elegancko ubranych mężczyzn. I każdy z nich wręczył bileterowi pieniądze.

- Naprawdę do nikogo nie należysz? - Stigle zaśmiał się.

- Muszę wracać do pracy - odparła Ignés i ruszyła w kierunku mniejszego namiotu. Namiotu Królowej Mgieł.

Stigle odprowadził ją wzrokiem, a potem odwrócił się i popatrzył na miasto.

Nagle z mroku wysunęła się mała, pokraczna postać. Karzeł podszedł do Stigle'a i bez słowa położył dłoń na jego rękę.

- Bądź przy nim - poprosił po chwili Stigle. - Jest stary... i ty też wiele mu zawdzięczasz.

- Tak - odparł karzeł. - On uczynił mnie olbrzymem. Dwaj mężczyźni, trzymając się za ręce, stali nieruchomo.

- Ściśnij mocniej - powiedział tylko Stigle. Tristante wzmocnił uścisk.

Potem stali w milczeniu.

Stigle zapatrzył się na miasto, obejmując je wzrokiem poprzez mrok nadchodzącej nocy. Jego oczy zasły śmiercionośną melancholią, która załśniła w ciemnościach.

XVI

Germinal otworzył oczy. Wokół niego rozciągała się nieprzenikniona ciemność. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedział tylko, że mu zimno. Miał na sobie jedynie białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Czuł znużone mięśnie, jakby biegł do kresu

wytrzymałości. A jego umysł i każde przechowywane w nim wspomnienie były niby pod wpływem narkozy.

Zmusił się, by wstać z łóżka, ciągnąc za sobą kołdrę z pierza, by ochronić się przed zimnem. Poruszał się ostrożnie, szukając jakiegokolwiek wskazówki, jakiegoś światełka, które wyznaczyłoby drogę. Posuwając się z wyciągniętymi do przodu rękoma, natrafił na ciężką zasłonę, miękką w dotyku, może z aksamitu. Bez wahania szarpnął ją z jednej strony. Przez małą szybę, przenikało sine światło nocy. Otworzył okno i rozpoznał widok na miasto, który rozciągał się z jego poddasza.

- Cholera jasna! - krzyknął.

Potem odwrócił się wściekły w kierunku łóżka, pogrzebał w pościeli i znalazł buteleczkę z chloralem, za pomocą którego zamroczyl się także i tego popołudnia po powrocie do domu. Już miał ją rzucić o ścianę, ale w połowie ruchu zastygł. Ścisnął buteleczkę ze złością i mrużąc powieki oraz zgrzytając zębami, zaczął bić się pięścią w czoło. Kiedy otworzył oczy, miał już przytomny, zwycięski wzrok. Osunął się na łóżko. Potem pochylił się nad podłogą i podniósł zmiętą karteczkę, którą znalazł pod drzwiami po powrocie do domu. Rozprostował ją na brzegu łóżka.

„Milton, przykro mi, wpadłem, żeby powiedzieć Ci to osobiście, ale Cię nie było”, przeczytał po raz enty. „Lucas Sideras, Singapur, został znaleziony dziś rano martwy w swej celi. Na ziemi leżała szklana buteleczka, pusta. Może po truciznie. Twój Londe”.

- Trucizna... - Germinal roześmiał się i powoli rozprostował dłoń, z której wypadła buteleczka z chloralem i potoczyła się po pościeli. Z tym samym chloralem, który wcześniej ukradł w zakładzie pogrzebowym, a potem podzielił się nim z Singapurem jak obietnicą śmierci. I dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wyczytał śmierć w źrenicach handlarza narkotykami. W tym ciemnym zwierciadle, w którym się przejrzał, przerażony, że mógłby się rozpoznać.

- Trucizna... - powtórzył.

Na podłodze stało szare pudło z nienaruszonymi jeszcze pieczęciami Więzienia Centralnego, zawierające rzeczy osobiste Singapura.

„Nie miał nikogo” - napisał na boku pudełka sierżant Londe. - ”Nie wiedziałem, komu to przekazać. Jeśli Cię to nie interesuje, wyrzuc”.

Z podstemplowanej listy, przyklejonej na wieku, wynikało, że pudło zawiera około dwudziestu książek, fajkę i ceramiczny tygielek oraz bambusowy cybuch, zegarek i dwie pary

okularów do czytania. To wszystko, co pozostało z życia spopielonego przez narkotykowego demona.

Germinal zamknął okno, wieczorne powietrze było mroźne. Dzwon z pobliskiego kościoła zaczął wybijać godziny. Germinal naliczył dziesięć uderzeń.

Jego spojrzenie znów powędrowało ku buteleczce z chloralem. Przetarł ręką oczy. Był zmęczony. Bolało go całe ciało. Zaczęła go kusić idea poszukania morfiny w jakimś obskurnym lokalu na peryferiach. Ale postanowił wytrzymać. Nawet on sam nie wiedział dlaczego. Jeszcze nie. W uszach rozbrzmiewały mu ostatnie słowa Singapura. „Ma pan powód, żeby przestać?” - zapytał mężczyzna. Potem popatrzył na Germinala oczyma śmierci i odpowiedział za niego: „Tak. Jeszcze ma pan czas, Germinal. Oto pora wyboru”. Milton nie wiedział, co takiego ujrzał Singapur w jego wzroku. Ale to był czas wyboru. Germinal uderzył się pięścią w udo. Ściągnięte były napięte, mięśniami targały kurcze. Czuł nieznośne klucie w żołądku.

Wziął buteleczkę z chloralem i rzucił nią z całej siły o ścianę. Szkło rozprysło się i ostre kawałki spadły na brązowy dywan z kwiecistym wzorem, stary i poplamiony. Germinal z desperacją w oczach odwrócił głowę w kierunku drzwi, wykrzywiając twarz i zaciskając pięści. Stał bez ruchu.

Potem rysy twarzy wypogodziły się, pięści rozprostowały. Wyglądał niemal, jakby się uśmiechał. Gdy pierwszy raz spotkał Ignés, też czuł się podobnie. A jednak przez cały czas, kiedy był przy niej, nie dręczył go narkotykowy głód. Zapomniał o nim.

- Nie ma znaczenia, kim jest i co robi - powiedział na głos do siebie, ubierając się gorączkowo. Musiał z nią porozmawiać. A jeśli nie będzie mógł porozmawiać, wystarczy, że ją zobaczy. Że popatrzy, jak Ignés tańczy.

Wybiegł, nie zamknawszy nawet drzwi. Zapalił motor, wrzucił bieg i odjechał w kierunku wzgórza, gdzie występowała Ignés.

Kiedy dotarł do namiotu Scirona, było już późno. Rój widzów wracał do domu, komentując nadzwyczajne popisy Człowieka-Maszyny. Światła powoli gasły. Germinal podszedł do biletera, który stał z boku i palił papierosa.

- Gdzie jest Ignés? - zapytał.

- Spektakl już się skończył - poinformował go bileter.

- Pytałem, gdzie jest Ignés.

- Proszę pana, nie można się z nią widzieć... jest zajęta. Germinal rozejrzał się wokół. Za

namiotem zauważył czarny powóz.

I zobaczył, jak z powozu wysiada czterech eleganckich mężczyzn, którzy śmiali się i rozmawiali. Sciron natychmiast ich powitał i poprowadził do namiotu Królowej Mgieł. Germinal ruszył w kierunku grupki.

- Nie może pan tam pójść - powtórzył bileter, przytrzymując go za ramię.

Germinal uwolnił się z uścisku.

- Spróbuj mi tego zabronić - powiedział, jakby rzucał mu wyzwanie.

- Proszę tu poczekać - rzekł w końcu bileter. - Muszę sprawdzić, czy da się coś dla pana zrobić.

I szybkim krokiem, wciąż oglądając się, czy Germinal za nim nie idzie, dotarł do małego namiotu.

- Za chwilę będą panowie mogli obejrzeć spektakl - mówił właśnie Sciron do czterech eleganckich mężczyzn, którzy instynktownie spuścili oczy i głębiej wcisnęli kapelusze na głowy, gdy tylko zobaczyli nadchodzącego biletera. Sciron się odwrócił.

- Co znowu? - zapytał po cichu, odciągając tamtego na bok. Bileter wyglądał na poruszonego.

- Pewien człowiek, o, tam stoi, chce zobaczyć spektakl.

- Powiedz mu, żeby się wynosił, albo ja mu pomogę kopniakami.

- To ten policjant, który był tu wczoraj wieczorem. - W głosie biletera zabrzmiała nuta niepokoju.

Sciron spojrzał na Germinala. Potem na czterech eleganckich mężczyzn.

- Proszę - powiedział - mój pomocnik zaprowadzi panów na wasze miejsca. - I cichym głosem zwrócił się do biletera: - Od pierwszego do czwartego. Ja porozmawiam z policjantem.

Uśmiechnął się do mężczyzn, uklonił i ruszył w kierunku Germinala. Podchodząc do niego, spostrzegł Stigle'a i Tristante, którzy rozmawiali ze sobą i śmiali się.

- Inspektorze - zagadnął Sciron Germinala - powiedziano mi, że chce pan zobaczyć Królową Mgieł.

- Tak jest. Ma pan coś przeciwko temu?

- Mogę zapytać, czy jest pan tu służbowo... czy prywatnie?

- Prywatnie - odparł Germinal. - Nie chcę sprawiać panu kłopotu. Twarz Scirona rozpuodziła się.

- Ale rozumie pan, że ci inni panowie, tam w środku... no, że jeśli dowiedzą się, że jest tu przedstawiciel prawa... mogłoby to ich onieśmielić...

- Dlaczego? - spytał zaskoczony Germinal. - Będziemy... wszyscy razem?

- Och nie, nie, każdy ma swój prywatny pokój, jeśli o to chodzi... - Sciron szukał dyplomatycznej drogi - ale i tak... gdyby się dowiedzieli... Cóż, to chyba nie najlepszy pomysł, proszę mi wybaczyć szczerłość. Mógłbym zorganizować pokaz w jakiś inny dzień, jeśli pan nalega.

- Teraz.

- Inspektorze, stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji...

- Chce pan, żebym zaczął grozić? - zapytał Germinal. - Nie ma żadnego problemu. A pana czterech klienci nie tylko wezmą nogi za pas, ale odpowiedzą o tym wśród swoich znajomych. Tego pan chce?

Sciron spuścił głowę.

- Nie, nie chcę. Proszę za mną.

- Niech pan mi najpierw powie, ile mam zapłacić.

- Prezent od firmy - powiedział Sciron, ruszając w kierunku namiotu Królowej Mgieł. Po kilku krokach odwrócił się i dodał: - Nasze ceny nie są na kieszeń policjanta.

Gdy dotarli do namiotu, Sciron spojrzał na Germinala.

- Tylko proszę zachować spokój.

Potem odchylił połę namiotu przy wejściu i poprowadził go na miejsce.

Germinal próbował przyzwycząić się do półmroku. Powietrze w namiocie było ciepłe, wilgotne i pachnące. Wąski, okrężny korytarzyk biegł wzdłuż szeregu lekkich, zdobionych drzwi z malowanego drewna, a na każdym z nich widniał kolejny numer. Kiedy dotarli do wejścia oznaczonego cyfrą siedem, Sciron zatrzymał się i przytknął palec do ust. Potem otworzył drzwi.

Germinal wszedł i znalazł się w małym, ale przytulnym pomieszczeniu, osiem stóp na osiem. W kącie stał fotel obity aksamitem. Trochę dalej wieszak. Do przeciwległej ściany tulił się lakierowany stolik. Na stoliku misa z wodą, miseczka, mydełko, ręcznik. Nad nimi lustro. Na podłodze mały perski dywanik. Ściany były z lekkiego drewna, oklejonego tapetą. Ciemnoczerwoną i złotą. Jaskrawą. Lampa oliwna rzucała dyskretne światło.

- Jeśli pan woli, może ją pan zgasić - szepnął Sciron i wskazał na drzwi. - Zamykają się od wewnątrz. Choć zapewniam, że i tak nikt nie będzie panu przeszkadzał.

Germinal nie rozumiał. Ciągłe patrzył na fotel.

- I Ignés tu przyjdzie? - zapytał w końcu. Sciron zaśmiał się po cichu. Potem pokręcił głową.

- Co pan sobie myślał, inspektorze? Królowa Mgieł jest tam.

I wskazał na ścianę naprzeciw drzwi, na której wisiała ciężka zasłona o tym samym wzorze, co na tapecie. Pociągnął za ozdobny sznur, a zasłona zaczęła się unosić niby kurtyna, ukazując małą, obramowaną dziurkę w ścianie. A sama ściana, jak się okazało, była z płótna, a nie z drewna.

- Proszę - powiedział Sciron.

Germinal przytknął oko do otworu. Środek namiotu stanowiło okrągłe pomieszczenie - puste, oprócz dywanu na podłodze - do którego przylegały wszystkie pokoiki, wyposażone w wizjery, przez które można było podglądać. Germinal rozeźlony spojrział na Scirona, który przyglądał mu się z rozbawieniem.

- I nie mogę się z nią zobaczyć?

- Królowa Mgieł nie jest prostytutką, panie inspektorze - odparł Sciron. - To artystka.

Co powiedziawszy, wyszedł.

Przemierzył korytarz w przeciwnym kierunku i wrócił do swego wozu. W tym czasie Królowa Mgieł, w towarzystwie dwóch pomocników, z których każdy niósł po dwa wiadra wrzątku, przygotowywała się do spektaklu.

- Twoi klienci są od jedyńki do czwórki - poinformował ją Sciron. - Milej pracy.

Potem skinął na biletera, który natychmiast do niego podszedł.

- Postaraj się, by nikt się nie dowiedział, że ten policjant jest w siódemce - powiedział do niego. - Przede wszystkim Ignés nie może nic wiedzieć.

W pokoiku było duszno z gorąca. Germinal czuł się niepewnie, jak w klatce. Dwa razy podchodził do otworu w ścianie. Scena była pusta. Teraz, gdy tu był, miał wrażenie, jakby zdradzał Ignés. Chciałby móc ją uprzedzić. Ale z drugiej strony, myśl, że nie będzie przez nią widziany, podniecała go. Samo oczekiwanie go podniecało. Odruchowo dotknął nóg. Ręce zawędrowały do ściągien z tyłu, pod kolanem. Odkąd tu był, nie czuł już ukąszeń głodu. Wlał trochę wody do miseczki. Zobaczył, że w wodzie pływają płatki róż. Obmył twarz, potem znów zerknął przez dziurkę w ścianie. Nic. Germinal otworzył drzwi i wyszedł z pokoiku. Wychudzony mężczyzna koło pięćdziesiątki, z cienkim wąsikiem, rozglądał się dookoła. Mizerną

twarz od prawego oka po kość policzkową przecinała okropna, sina blizna. Mężczyzna zdjął marynarkę i stał w koszuli z podwiniętymi rękawami oraz w kamizelce. W ustach trzymał grube cygaro. Kiedy zobaczył Germinala, struchlał na krótką chwilę. Potem uśmiechnął się zakłopotany.

- Ma pan może ogień? - spytał go.

- Nie, przykro mi - odparł Germinal i wrócił do swego pokoiku. Usłyszał, jak mężczyzna puka do drzwi i mówi:

- Arthur, daj mi ognia.

Potem powróciła cisza. Wtedy Germinal zbliżył oko do dziurki w ścianie.

Scena zmieniła się. Światła były przygaszone. Gęsta, ciężka mgła, zalegająca przy ziemi i nieznacznie tylko unosząca się w powietrzu, przesyciła powietrze. A pośrodku sceny stała naga kobieta w niezwykle wyrazistej pozie. Kobieta o ciemnej skórze. I kruczoczarnych włosach. Jej twarz zakrywała czarna maska z prześwitującej koronki. Można było domyślić się mięsistych, lekko rozchylonych warg. Skóra prawie błyszczała, a kobieta była nienaturalnie wręcz nieruchoma.

Ale to nie Ignés, pomyślał Germinal rozczarowany. Potem z niskiej mgły wyłoniła się ręka. W długiej rękawiczce z pomarańczowego atlasu.

Serce Germinala podskoczyło do góry. To ona.

Ręka wężowym, miękkim i zmysłowym ruchem na powrót zanurzyła się we mgle i znikła. Wszystko pozostawało nieruchome. Naga kobieta nadal trwała w nienaturalnej pozie. Po chwili w innym miejscu pojawiła się noga w błękitnej pończosze.

Germinal patrzył na tę długą, prowokującą nogę. I znów jego serce zatrzepotało.

To jest prawdziwa Ignés, pomyślał.

Noga poruszyła się w powietrzu, odsłaniając się prawie do samej pachwiny i ukazując pomarańczową podwiązkę. Błękit i oranż. Potem, jakby wessana przez mgłę, znikła. Wciąż nic. Nagiej kobiecie na środku pomieszczenia nie drgnął nawet jeden mięsień.

Z drugiej strony wynurzyła się nowa ręka. Odziana w rękawiczkę z błękitnego atlasu. I z długim sznurem pereł między palcami.

- Trzy kobiety - policzył Germinal.

Ale już sam nie wiedział, którą z nich trzech jest Ignés.

- To ona - powiedział na głos. - Tak, to ona. - Ponieważ na widok ręki serce podskoczyło

mu do gardła. Z emocji, której nigdy wcześniej nie doświadczył.

Także błękitna ręka znikła we mgle. I znów, po chwili przerwy, w innym miejscu sceny wysunęła się noga odziana w pomarańczową pończochę. A nad pończochą widniała błękitna podwiązka.

Germinal nie wiedział już, co myśleć. Cztery kobiety i każda z nich mogła być Ignés. Zdawało mu się, że oszaleje, ale nie był w stanie oderwać oka od dziurki w ścianie. Pomarańczowa noga ponownie opadła w dół. Ale oto już wychyliła się ręka. W pomarańczowej rękawiczce. Ręka, która należała do tej samej kobiety. Leżącej na ziemi. Niewidocznej z powodu mgły. I kiedy ręka się zanurzyła, uniosła się noga. Tym razem błękitna. I naj tychmiast za nią wysunęła się z mgły błękitna ręka, a za nimi pomarańczowa dłoń i pomarańczowa noga. A potem, wyginając plecy w łuk w zwierzęcym skoku, który rozproszył mgłę, pojawiła się ona, Ignés. Ubrana w połowie na błękitno i w połowie na pomarańczowo.

Serce Germinala zaczęło bić jak oszalałe. Każdą z czterech kobiet, które on brał za kogoś innego, była Ignés. I za każdym razem ją rozpoznawał.

Ignés klęczała bez ruchu przez krótką chwilę, opierając ciężar ciała na rękach za wygiętymi w łuk plecami, w niezwykle plastycznej, a zarazem dynamicznej pozie, która przywodziła na myśl przerwę w spazmie seksualnej rozkoszy.

Germinal poczuł wzbierające podniecenie. Oderwał na chwilę oko od dziurki, popatrzył na drzwi za plecami, jakby chciał wyjść. Ale jego ręka dotknęła lampy, zgasiła ją i w ciemnościach oko znów zaczęło podglądać Ignés.

Miała na sobie sznurowany z przodu gorsecik z wielką liczbą małych, okrągłych guziczków, na których załamywało się światło. Reflektory mocniej rozbłysły w chwili, gdy dziewczyna ukazała się w całości. Połowa gorseciku, który ją okrywał aż po szyję, była pomarańczowa. Druga część - błękitna. Ignés znów opadła w dół i przeturlała się w zawrotnym tempie do przeciwległej części sali, niby śniegowa nawałnica. Z rękoma związanymi w górze, nad głową, opierając się plecami o ścianę, zaczęła wstawać powoli, węzowym ruchem. Tam gdzie kończył się gorsecik, zaczynały się dwa paski cienkiego materiału. Błękitny i pomarańczowy. Ignés opuściła ręce i zaczęła gładzić swe ciało aż do bioder. Potem erotycznym ruchem zaczęła ocierać się o płócienną ścianę. W końcu, wciąż przyklejona do wyokrąglonej ściany, zaczęła kręcić się wokół własnej osi. Pośladki, kiedy stanęła tyłem, okazały się gołe. Ale widać je było tylko przez chwilę, ponieważ Ignés nieprzerwanie wirowała wokół własnej osi,

okrażając całą okrągłą salę, wciąż przyklejona do ściany, tak że pośladki pojawiały się i znikwały.

Kiedy Ignés dotarła pod pokoik numer siedem, zatrzymała się. Germinal oderwał się od dziurki i wchłonął jej zapach, zobaczył kształty ciała, które przywierały do ściany. Mógł usłyszeć, jak tancerka dyszy z wysiłku. Ręka Germinala, nie dotykając Ignés, obrysowała podniecające kształty jej ciała.

Potem dziewczyna oderwała się od ściany.

Germinal znów zaczął patrzeć przez dziurkę. I zobaczył na płótnie cienie wyciągniętych w kierunku sali rąk mężczyzn ukrytych w czterech pokoikach. Rąk duchów, od których zawrzała mu krew. Ręce, które pragnęły Ignés, tak jak on jej pragnął.

Tymczasem Ignés dotarła do kobiety stojącej nieruchomo na środku sali. Zbliżyła się do niej jak wąż, od tyłu, pogłaskała ją po plecach w kolorze hebanu, przeciągając obiema rękami od pośladek po szyję. Kobiecie nie drgnął ani jeden mięsień. Ręce wślizgnęły się teraz między czarne włosy, tworzące widoczny kontrast ze złotymi puklami Ignés.

I nagle głowa odskoczyła od reszty ciała.

Germinal usłyszał chóralny szmer zdziwienia przez płócienne ściany pokoików.

Ignés wzięła głowę manekina w obie ręce, odwróciła ją do siebie i ze zmysłową delikatnością pocałowała w usta. Potem, odchylając się do tyłu w pantomimie rozkoszy, wcisnęła ją sobie między piersi, w płaski brzuch i niżej, między uda. W końcu, jakby już spełniona, odsunęła głowę i ułożyła z powrotem na karku manekina.

Następnie zdjęła pomarańczową rękawiczkę i wsunęła ją na prawą rękę czarnoskórej kobiety. To samo zrobiła delikatnie z pomarańczową pończochą - którą naciągnęła na prawą nogę manekina - wraz z błękitną, podtrzymującą ją podwiązką. Wtedy dłoń bez rękawiczki powędrowała ku okrągłym guziczkom na gorseciku, rozpinając je powoli, by w końcu jednym ruchem go zerwać. Ignés pozostała na pół naga, z połową pomarańczowego gorsecika w ręku, którą zręcznym ruchem nałożyła na manekin, ubierając go niczym swe lustrzane odbicie.

Germinalowi zabrakło tchu. Był niemal przerażony urodą Ignés, jej pełnymi, białymi jak mleko piersiami, które chciałby trzymać w dłoniach, jej miękkim brzuchem, na którym chciałby złożyć pocałunek. Targały nim przeciwstawne emocje niczym suchą gałązką, niesioną przez porywczy nurt wezbranej rzeki. Podniecenie ustępowało miejsca złości, złość poddawała się żądzy, żądza upodlała się, przechodząc w zazdrość na samą myśl o tym, że ci czterej mężczyźni patrzą na Ignés, tak samo jak on. Dziurka w ścianie była zbyt mała, chciałby wbić w nią nóż i

rozerwać ją. Ale już po chwili zdawała się zbyt duża i bał się, że zostanie odkryty. Chciałby wykrzyknąć swe imię, a tymczasem zatykał usta ręką, aby uspokoić przynajmniej swój oddech.

W końcu, zanim występ się zakończył, potykając się w ciemnościach, przewróciwszy miseczkę z wodą, Germinal otworzył drzwi i uciekł.

Do uszu Ignés dobiegły hałasy z pokoiku numer siedem, który uważała za pusty. Wzrok dziewczyny zapłonął. Potem wydało jej się, że słyszy daleko, w ciemnościach nocy, warkot motoru.

XVII

- Cholera jasna! Jest prawie pierwsza! - krzyknął rozwścieczony Landau w nocnej koszuli.

- Niech się pan pośpieszy i wyda rozkaz - odparł chłodno Germinal. - Potem, jeśli pan chce, może pan dalej spać.

Landau ubrał się, przeklinając. Następnie, dotarłszy na komisariat, polecił sierżantowi uformować grupę i przygotować powóz.

Ludzie na komisariacie nie byli bynajmniej uszczęśliwieni pomysłem Germinala, ale musieli posłusznie wykonać rozkaz przełożonego. Sam Landau nadal kipiał ze złości, ale sprawa stała się już powszechnie znana i nadkomisarz Sanguineti wyraził się jasno: Germinal ma największe doświadczenie śledcze na Pijawczaku. Sprawa była jego i Landau musiał spełniać wszystkie jego polecenia.

Umysł Germinala był jeszcze odurzony spektaklem Królowej Mgieł. Targały nim wciąż te same przeciwstawne emocje, które miały nim podczas striptizu Ignés. I jego umysł nadal poruszał się leniwie, z trudem oczyszczając pogorzeliśko po narkotyku, który zażył tego popołudnia i który zostawił w nim - niby mulistą kołdrę - słabość i swoisty brak zainteresowania tym, co robi. Okulał jego naturalną tendencję do działania i uspił wolę. Ale erotyczne mgły zasugerowały mu, że należy szukać. Dalej szukać. Czegoś, co jest może ukryte, niewidoczne.

Po niecałej półgodzinie koła policyjnego powozu, zazgrzytały na wyboistej drodze i zatrzymały się.

- Germinal, postarajmy się to szybko załatwić. Niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości - warknął komisarz, wysiadając i rozglądając się wokół zaniepokojony. - To, że Sanguineti każe mi ponownie włączyć pana do tej sprawy... przez jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności...

- Czy nieszczęśliwy zbieg okoliczności - odparował natychmiast agresywnym tonem Germinal - to fakt, że dzięki sekcji zwłok, której pan chciał zabronić, odkryłem, że zabójca pani Neef i Juffridiego to jedna i ta sama osoba?

- Germinal, niech pan nie przeciąga struny.

- Tak samo uważa doktor Noverre...

- Hrabia bez Rękawów stał się pana najbliższym sprzymierzeńcem? - przerwał mu Landau. - Ten potwór nie jest policjantem. I dlatego nie interesuje mnie, co on uważa. Pośpieszmy się z tym kolejnym kretyństwem - dodał, wciąż rozglądając się wkoło. - Nie lubię Piekła. A już na pewno nie w środku nocy.

Potem odwrócił się do swych ludzi i rozkazał:

- Zapalić wszystkie lustrzane lampy.

Germinal odwrócił wzrok od przełożonego i zaczął wpatrywać się w ciemny świat, w którym się zgubił, gdy jechał po raz pierwszy na komisariat na Pijawczaku, w ten opuszczony świat, zbudowany ze starych, rozpadających się kamienic, stojących w sąsiedztwie drewnianych baraków, zagubionych wśród ulic, kleconych bez planu, przyklejonych do siebie przypadkowo, z ubikacjami na zewnątrz i okrągłymi blaszanymi pojemnikami, w których tliła się odrobina ciepła i nędznego żaru. Powietrze przepełniał wszędobyłski, ostry zapach brudu, biedy oraz odór moczu kotów i myszy. Wszystko wyglądało jak bez życia.

Policyjne lampy przeszukiwały ciemności, poruszając się tak nerwowo, jak posługujący się nimi ludzie.

Policyjny powóz stał przed kamienicą, która kiedyś musiała liczyć pięć pięter. Tyle że dach się zapadł. Landau zabrał ze sobą czterech strażników, którzy zaniepokojeni kręcili się w kółko z wycelowaną bronią. Poza tym Piekło zdawało się wyludnione.

Germinal podniósł rękę i zasalutował owej nicości cztery razy, obracając się przy tym o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Komu pan salutuje? - zapytał Landau.

- Każdemu, kto się nam przygląda - wyjaśnił Germinal. Potem spojrzał w stronę kamienicy i spytał:

- To tu mieszkał?

- Tak.

- Na którym piętrze? - Lustrował wzrokiem fasadę kamienicy, pełną szczelin

wyglądających jak rany i poprzecinaną oknami bez szyb.

- Na którym piętrze? - powtórzył Landau głośno, tak aby usłyszeli go jego czterej ludzie. I wybuchnął śmiechem.

Także policjanci się zaśmiali. Ale w ich śmiechu nie było wesołości. Germinal wyczuł w nim tylko napięcie.

- Idziemy - powiedział w końcu Landau i ruszył w kierunku kamienicy. - Wy dwaj wejdziecie z nami do środka - zwrócił się do policjantów, zanim otworzył drzwi. - A wy obaj zostańcie tutaj. I miejcie oczy szeroko otwarte. Broń w pogotowiu.

Potem pchnął ciężkie drzwi, które otwarły się, skrzypiąc na starych zawiasach. Lampy oświetliły wnętrze.

I Germinal zrozumiał, dlaczego się roześmiali, gdy spytał, na którym piętrze mieszkał Juffridi. Kamienica, poza zewnętrznymi murami, zapadła się. Szokujący widok. Cztery i pół piętra całkowicie puste, jak gigantyczna wieża bez dachu, z której wystają dyndające kawałki podłóg, belki i pozostałości schodów, urywających się na pierwszym piętrze i dalej nieosiągalnych, ciągnących się od trzeciego do czwartego piętra. I to wszystko. Poza tym nic. Wszędzie gruzy tworzące skupiska wzdłuż szczytowej ściany kamienicy. Pozostał tylko pusty placyk, pełen błota, na którym pieniały się jak chwasty wszelkiego rodzaju śmieci. Długie żelazne pręty, zardzewiałe i wykrzywione. Duże, połamane koła zębate. Uszkodzone w wypadkach koła dylżansów, ze zgniłego drewna, o sterczących drzazgach i wygiętych drutach. Drażki, z których niby pajęczyna zwisały strzępy metalowych siatek ogrodzeniowych. Stara, dziwna taczka, do której przymocowano tarczę ścierną do szlifowania noży w domach. Sterta szmat i spleśniałych gałganów, przywodzących na myśl epidemię dżumy.

Pośrodku placyku stał barak o rozmytych przez mgłę i ciemność konturach, pokryty dachem z drewnianych desek. Barak w środku kamienicy. Wysunięte z zawiasów drzwi wisiały krzywo z jednej strony. Trochę dalej żelazny łańcuch i obroża ze sznurka.

- Psa nie znaleziono - poinformował zwięźle Landau, wskazując palcem łańcuch.

Po prawej stronie Germinal oświetlił jakąś zagrodę. Może kurnik. Pusty.

- Kury też znikły - dodał Landau. - Choć raz ci z Piekła mieli ucztę. Strażnik z tyłu roześmiał się.

Obok nich majaczył ciężki i szeroki zarys szopy.

Germinal ruszył za Landauem. Weszli do baraku, którego umeblowanie stanowił stół,

kredens i łóżko. Na podłodze z ubitej ziemi leżał wyszczerbiony ceramiczny nocnik. Trochę dalej przewrócona cynowa miska i jej żelazny trójnóg, który kiedyś był polakierowany. Na niebiesko. Tłusta polna mysz, zaskoczona snopem światła, wśliznęła się natychmiast między deski w ścianie i znikła. Na posadzce wałała się obgryziona skórka czerstwego czarnego chleba i chitynowy pancerzyk karalucha. Mimo że wszystko było pootwierane, w powietrzu unosił się nieznośny fetor pleśni, śmierci i odchodów.

- Tędy - powiedział jeden z policjantów i otworzył na oścież niskie drzwiczki, które prowadziły prosto do sąsiedniej szopy, prawdziwego warsztatu, wyposażonego w miech, piec, tarczę szlifierską i wszelkie inne narzędzia, służące do topienia i obróbki metalu.

- Tam - rzekł zwięźle policjant, kierując lampę na ogromny pień.

- Tam go znaleźliście? - spytał Germinal dla pewności. Policjant skinął głową na „tak”.

Germinal podszedł. Drewniana powierzchnia była ciemna, umazana czarną już niemal krwią szlifierza. Topór, którym został poćwiartowany, znajdował się w suterenie komisariatu, gdzie przechowywano dowody.

- Naprawdę pan myśli, że trafi na coś, co uszło uwagi moich ludzi?

- spytał Landau.

Germinal nie odpowiedział. Rozglądał się dookoła, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce, kiedy ktoś tu mieszkał. Chyba niemal tak samo, pomyślał.

- Dyrektor działu fermentacji cukrowni powiedział mi, że korzystał z usług Juffridiego, który naprawił lub odtworzył mu kilka części, i że podczas swych wizyt zauważył kolekcję narzędzi tortur, identycznych z tymi, których używała inkwizycja - oznajmił Germinal.

- Nie widzę ich tu...

- Pewnie ktoś je ukradł - rzekł Landau.

- Morderca?

- Możliwe. Kto to może wiedzieć? - odpowiedział komisarz z ostentacyjną obojętnością.

Germinal obszedł szopę, przewracając rzeczy na chybił trafił, bez jasnej koncepcji, czego właściwie szuka. Otworzył kufer przedziurawiony z jednej strony przez wilgoć i pogrzebał wśród zardzewiałych narzędzi. Potem przeszedł do starego mebla, komody z szufladami, która kiedyś musiała mieć marmurowy blat. Jej połamane części stały oparte o ścianę, zaraz obok. W szufladach leżały skłębione, porozrzucane ubrania oraz małe narzędzia do obróbki metalu. Pilniki, dłuta, żelazne frezy, twarde świdry do grawerowania, połyskujące w świetle lampy.

- Znalazł pan tego młodego socjalistę? - zapytał Germinal, kontynuując swe poszukiwania.

- Nie, jeszcze nie.

- Zastanawiał się pan, czy zamieszki w kościele miały jakiś związek z kijem oplecionym bluszczem, włożonym w ręce pani Neef?

- Nie, Germinal, nie zastanawiałem się na tym - odparł Landau.

- Ma pan jakiś pomysł, co to może znaczyć? - Nie.

- A jeśli to jakaś wiadomość od robotników, a nie od mordercy? Jak pan sądzi? - ciągnął dalej Germinal. - Czy kij z bluszczem może coś oznaczać dla robotników? Czy to robotniczy symbol?

- Może się pan pośpieszyć, Germinal? Jest środek nocy, a ja tu zaraz przez pana zamarznię.

Germinal zajął się stertą drewnianych skrzyń, stojących jedna na drugiej. Zestawiał kolejno każdą, grzebał w środku i przechodził do następnej.

- Robi pan to, co zrobili już moi ludzie - rzucił zniecierpliwiony Landau. - Prawda? - I odwrócił się do pełniących straż policjantów.

- Tak - potwierdził ten z bronią przewieszoną przez ramię. - Opróżniliśmy każdą po kolei. Nic.

Germinal z uporem kontynuował pracę aż do ostatniej skrzyni.

- Zadowolony? - spytał sarkastycznie Landau.

Germinal kopnął ostatnią skrzynię, już opróżnioną z zalegających w niej gratów. Lekka skrzynia zachybotała się nieznacznie na boki. Germinal odwrócił się do Landaua z uśmiechem.

- Ale pana ludzie nie kopnęli ostatniej skrzyni, prawda? - powiedział, oświetlając podłogę.

Landau podszedł bliżej.

- A niech mnie... - wymamrotał jeden z policjantów, podchodząc do nich.

Skrzynia przesunęła się i odsłoniła klapę w podłodze. Kłapa była z żelaza, bez klamki, ale z zamkiem, który na pierwszy rzut oka wyglądał na potężny.

- Pomóżcie mi - rzekł Germinal, stawiając lampę na ziemi. Wziął mocny pręt i próbował wbić go między żelazną ramę a ościeże kłapy. Kiedy po wielu próbach udało się wreszcie podważyć klapę, wszystkich ogłuszył huk metalu.

Jeden z policjantów, który stał na straży przy powozie, rzucił się do baraku z wycelowaną bronią.

- Co się dzieje, panie komisarzu?

- Dzieje się to, że jesteście bandą idiotów! - wrzasnął Landau. W dole rozciągała się ciemna, głęboka sutereana.

- Daj mi lampę, imbecyłu - rozkazał Landau drugiemu policjantowi.

- To prawdopodobnie piwnica kamienicy - powiedział Germinal i zaczął schodzić pod ziemię.

Landau podał mu lampę.

- Widzi pan coś? - zapytał.

Ciepłe światło olejnej lampy słabło, w miarę jak Germinal zanurzał się w podziemny korytarz.

- Tak, to muszą być stare piwnice, które wytrzymały zapadnięcie się budynku - oznajmił Germinal.

- No i? Znalazł pan coś?

- Jest! - wrzasnął Germinal. - Co?

- Kolekcja narzędzi tortur.

- Coś jeszcze?

- Rysunki... - W słowach Germinala słychać było wahanie.

- Rysunki?

- Tak, rysunki, szkice, projekty... - Głos Germinala nie tyle zamilkł, ile nagle się zaciął.

- Germinal? Germinal? Z oświetlonej drżącym płomieniem piwnicy przedarł się przez kłapę głos Germinala, daleki, ściszy, niedowierzający:

- Mój Boże!

XVIII

Czas Nadejścia został uczczony przez Pierwszą.

I teraz, tej nocy, nastał czas Drugiej.

Ponieważ tej nocy zastanie ją samą w jej łóżku.

Bóg krzyku przemknął w ciemności aż do willi. Wyważył okno i wszedł do domu. Położył na fotelu worek - cięższy niż za pierwszym razem - wziął święte narzędzie i wszedł na poddasze, gdzie mieszkało czworo służących, ale najpierw zmienił swą naturę.

Ponieważ bóg sam w sobie miał dwie natury. Był mężczyzną, ale też kobietą. Był szlachcicem i dziwką. Był prawdą, a jednak fałszem. On narodził się dwa razy, był chłopcem, który przeszedł przez podwójne wrota. I mógł zadawać dwie odmienne śmierci. Czterem wybranym, które miały uczestniczyć w jego orgiach, odzianym w jego święte szaty rytualne, ukazywał się jako bóg. Dla innych, dla służących, którzy stawali na drodze jego chwały, był mordercą.

I jako morderca wszedł po schodach, które prowadziły do pokoi dla służby. Ze świętym narzędziem. Ponieważ nawet morderca nie mógł dotykać tych pogańskich ciał.

Kucharka umarła pierwsza. Bez hałasu. Morderca wsunął jej na głowę święte narzędzie, zacisnął i przekręcił. Rozległ się tylko lekki chrzęst kręgów szyjnych, gdy wyskakiwały ze stawów. Drugi zmarł młody chłopak, który zajmował się końmi, stajniami i ogrodem. Chrapał głośno. Na podłodze koło łóżka stała butelka po piwie, pusta. Kiedy morderca blokował służącemu głowę świętym narzędziem, poczuł, jak silne mięśnie młodego chłopaka naprężają się i stawiają opór. Mechanizm sprężynowy z trudem zacisnął imadółka. Ale potem skrócenie karku okazało się już proste. Rękojeść świętego narzędzia przesuwała się po dobrze nasmarowanym kole pasowym, a wewnętrzny mechanizm podwajał moc urządzenia i mordercy. Nawet wół nie byłby w stanie przeciwstawić się takiej sile skrętu. Kiedy poczuł, że z chłopaka uszło życie, pozwolił, żeby jego głowa opadła na poduszkę, z ostatnim tchnieniem na ustach, i odciągnął sprężynę, aby go wyswobodzić. Chłopak miał otwarte usta, ale już nie chrapał. Potem morderca wszedł do pokoju kamerdynera, ale zobaczył, że jest pusty. Wtedy usłyszał dochodzące z pokoju obok skrzypienie drewna. Wszedł na ciemny i niski korytarz poddasza dla służących i przyłożył ucho do drzwi. Skrzypienie desek i sapanie. Powoli przekręcił klamkę. Drzwi otwały się ze szczękiem i morderca zajrzał do pokoju. Kamerdyner miał szerokie plecy, a jego ręce obejmowały głowę pokojówki; poruszał się rytmicznie i dyszał. Nogi dziewczyny oplatały biodra kamerdynera. Pokojówka miała rude włosy, tak jak kobieta, którą morderca zobaczył po raz pierwszy szesnaście lat temu.

Rozejrzał się po korytarzu, ale nie znalazł tego, co było mu teraz potrzebne. W kieszeni miał naostrzoną brzytwę, bóg jednak nie pozwoliłby mu przelać krwi, która nie miała służyć do jego świętych obrządków. Bardzo ostrożnie zszedł do kuchni i tam znalazł to, czego potrzebował. Potem wrócił na górę. Kochankowie nadal dyszeli. Ich oddechy stawały się szybsze. Morderca jednym kopnięciem otworzył drzwi na oścież, rzucił się w kierunku łóżka i wymierzył szybki

cios w czoło kamerdynera, który upadł na wznak na łóżko. Wtedy morderca wsunął święte narzędzie na głowę kobiety, która zaczęła krzyczeć, i przekręcił je. Kobieta zamilkła. Morderca zobaczył, że na czole kamerdynera tworzy się ciemna, napuchnięta plama. Niezadowolony potrząsnął głową. Nie chciał go uszkodzić. Potem spokojnie złamał mu kręgi szyjne.

Morderca zszedł piętro niżej, odłożył święte narzędzie i stał się na powrót bogiem. Wziął święty worek, wspiął się po schodach dla państwa, wszedł do pokoju, gdzie spała Druga, rozebrał ją i przywiązał nagą do łóżka. Potem oderwał kawałek prześcieradła i zakneblował jej usta. Nie nadszedł jeszcze moment, by śpiewać pieśni wielbiące boga. Położył na ziemi święty worek, w którym zabręczały ostre szczęki jego bestii i wyszedł z pokoju.

Pół godziny później wszystko było gotowe.

Bóg rozpoczął swe orgie.

Ostre kły jego okrutnych kapłanek, wgryzając się w mięso, połyskiwały na nieskalanym ciele Drugiej. I błyszczący metal zaszedł krwią.

Mężczyzna drżał jeszcze zdjęty grozą, kiedy Germinal i Landau wkroczyli do willi. Gdy weszli, podniósł się na moment, by zaraz opaść na fotel. Nawet na nich nie spojrział. Było rano, ale na niskim stoliku stała kryształowa butelka i kieliszek. Mężczyzna nalał sobie i jednym haustem przełknął alkohol.

Germinal natychmiast go rozpoznał. I poczuł gwałtowny przypływ nienawiści.

- Jest... jest na gorze... - jękał się mężczyzna. - Ja... ja...

- Proszę się uspokoić, panie Finnegan - powiedział troskliwie Landau, podchodząc do niego. - Inspektor Germinal i ja zaraz wszystko obejrzymy. Nie musi pan nic mówić.

- Byłem w podróży służbowej... - ciągnął mimo to pan Finnegan złamanym głosem, jakby chciał się usprawiedliwić. - Wróciłem o świcie... i... i nikogo nie było... więc ja... więc... ja zacząłem... zacząłem...

- Proszę się uspokoić.

- ...zacząłem krzyczeć... wołać służbę... przeklinać ich... Nalał sobie kolejną porcję alkoholu i wypił ją łapczywie.

- Skląłem ich, rozumie pan? Nazwałem nierobami... i chciałem... chciałem ich zwolnić... może przesadziłem z brandy, aleja nie... A potem... wszedłem na górę...

Landau położył mu rękę na ramieniu.

- Proszę się uspokoić, panie Finnegan - powtórzył.

Mężczyzna wziął cygaro. Drżącą ręką włożył je do ust. Miał około pięćdziesiątki, cienki wąsik i był przeraźliwie chudy. Wymizerowaną twarz od prawego oka po kość policzkową przecinała niesamowita, sina blizna. Germinal podszedł do stolika, wziął zapałki i zapalił jedną, przysuwając ją do cygara. Mężczyzna nie patrzył na niego.

- Co to za marka? - zapytał Germinal ściszym głosem. - Królowa Mgieł?

Pan Finnegan gwałtownie się odwrócił. Teraz i on rozpoznał Germinala. Poruszył ustami, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo.

Germinal zgasił zapałkę, machając mu nią przed oczami, i wrzucił ją do popielniczki. Potem wyszedł. Landau podszedł do policjanta, który stał w kącie pokoju. Miał napięty i zakłopotany wyraz twarzy.

- Zostań z panem Finneganem - rozkazał. Potem zwrócił się do Germinala: - Idziemy.

Obaj policjanci weszli na górę po schodach dla państwa. Bez pośpiechu. W ciszy. Słowa nie były potrzebne. Po drodze Landau wyjaśnił Germinalowi, że pan Finnegan jest jednym z akcjonariuszy cukrowni. Nie trzeba było komentować rysunków znalezionych w skrytce Juffridiego. Już o tym rozmawiali. O nich i o podejrzeniach, jakie w nich wzbudziły.

Doszli do drzwi pani Finnegan i obaj się zatrzymali. Ręka Germinala spoczęła na klamce. Pomyślał, że może pani Finnegan nie zginęłyby, gdyby tej nocy mąż jej nie zdradził. Z Ignés. Znowu poczuł przypływ złości.

- Jestem gotów - rzekł Landau.

Ale wtedy pewnie zginąłby także on. Germinal odetchnął głęboko. Musi się uspokoić. Nie powinien mieszać dwóch spraw, musi oddzielać swoje prywatne życie od pracy. Znowu odetchnął. Zza drzwi dochodził słodkawy zapach krwi. Germinal powoli nacisnął klamkę i wszedł.

Kobieta miała około czterdziestu lat. Była przywiązana za rozłożone ręce, nadgarstki unieruchomiono przy kolumnach łóżka z baldachimem. Siedziała przekrzywiona. Z otwartymi oczami. Prześwitujące zasłony baldachimu zostały porwane z lewej strony, skąd prawdopodobnie zaatakował ją morderca. Ale krew była wszędzie.

Germinal i Landau jak zahipnotyzowani przeszli przez pokój, ze wzrokiem przyklejonym do kobiety, która wyglądała, jakby patrzyła na nich, krzycząc. Sznury wbiły się w ciało przy nadgarstkach i kostkach u nóg. Ciało zostało zmasakrowane przez dziesiątki ugryzień. Jak zwłoki pani Neef. Pościel była przesiąknięta krwią. Ściana była przesiąknięta krwią. Podłoga i cenne

dywany były przesiąknięte krwią. Całe ciało kobiety było czerwone.

Na ziemi, u stóp łóżka, stała miseczka z białej porcelany, napełniona wodą, i leżały dwa ręczniki. I gaza. Nieskalane. Krew tu nie dotarła.

Germinal odwrócił głowę, by rozejrzeć się wokoło. Po lewej stronie - komoda z szufladami, a na niej lustro.

- Mój Boże...

W lustrze odbijały się nieruchome twarze czterech kobiet.

Germinal odwrócił się. Pod ścianą z prawej strony stała kanapa. A na kanapie, siedziały z otwartymi oczyma cztery kobiety, jedna przy drugiej, i wyglądały, jakby patrzyły na łóżko, na którym leżało zmasakrowane ciało pani Finnegan.

- To... - wyjąkał Landau - to... to nie jest kobieta.

- Ten trzeci też nie - wymamrotał Germinal, podchodząc do kanapy.

- To służba? - zapytał Landau.

Pierwsza kobieta, licząc od prawej strony, była młodym mężczyzną. Miała na sobie satynową sukienkę z głębokim dekoltem, który odsłaniał owłosioną klatkę piersiową, na głowie brzydką perukę z blond loczkami. Na ramionach koźlącą skórę z kędzierzawym runem, zawiązaną pod szyją. Jedna ręka oparta była na poręczy i trzymała kij z pędem bluszczu. Usta pomalowano krzykliwie szkarłatną szminką. Twarz była blada od ołowianej bieli, a policzki lekko zaróżowione. Na zamkniętych powiekach morderca namalował oczy czarną i białą kredką.

Tuż obok siedziała gruba kobieta. Miała na sobie strój amazonki, który ledwie na nią wszedł. Obie ręce złożono równo na kolanach. Także ona trzymała kij opleciony bluszczem i miała na ramionach koźlącą skórę. Jej oczy zostały namalowane na zamkniętych powiekach, a usta były przesadnie czerwone, jak u prostytutki.

Za grubą kobietą siedział drugi mężczyzna, około trzydziestki, z blond peruką o niewyszukanej fryzurze, w czarnej jedwabnej sukni; miał twarz jasną od ołowianej bieli, szminkę, namalowane oczy, koźlącą skórę na szerokich i mocnych ramionach. Na czole, rozjaśnionym lekko ołowiową bielą, rysowała się spora, krwawa wybroczyna. W ręku ścisnął kij z pędem bluszczu. Druga była spleciona palcami z ręką czwartej ofiary, młodej dziewczyny o rudych włosach, spływających na ramiona i ozdobionych wstążkami z zielonego aksamitu między lokami, wyglądającymi jak węże. W wolnej ręce trzymała kij z bluszczem. Morderca namalował jej oczy z błękitną tęczówką. Tylko jej.

Germinal podniósł powiekę młodej kobiety. Tęczówka miała banalny, brązowy kolor.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego ty masz niebieskie oczy?

Na ziemi zauważył wystrzępiony kawałek różowego lnu. Podniósł go. Był jeszcze wilgotny. Germinal spojrział na łóżko i zobaczył dziurę w różowym prześcieradle.

- Zakneblował jej usta - powiedział powoli. - Nie chciał, by krzyczała, gdy on... przygotowywał czterech służących. Ale chciał, by widziała, co ją czeka. Żeby sobie wyobraziła, w jakim stanie ją znajdziemy. I na koniec wyjął jej knebel i ją... zaszlachtował.

Landau powstrzymał mdłości. Germinal spojrział na niego.

- Niech niczego nie dotykają w tym pokoju - oznajmił zdecydowanym głosem - dopóki fotograf nie zrobi wszystkich zdjęć, które będą nam potrzebne do śledztwa. - Zrobił pauzę i spojrział twardo na komisarza. - I chcę zezwolenia na przeprowadzenie sekcji zwłok wszystkich... wszystkich ciał.

Landau nie odpowiedział.

- Mąż nie będzie się przeciwstawiał, zapewniam pana - ciągnął dalej Germinal. - I pan też nie, w przeciwnym razie zwrócę się bezpośrednio do Sanguinetiego i zrobię wszystko, by został pan zdjęty ze stanowiska.

Landau znów nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w cztery trupy, siedzące na kanapie, jeden obok drugiego, z zamkniętymi, a jednocześnie otwartymi oczyma.

- Wyglądają jak... widzowie... - wymamrotał. W jego głosie brzmiał strach. - To... jest potworne...

- Tak, mamy do czynienia z potworem - potwierdził cicho Germinal.

XIX

- Jasper, przyłóż dwa palce na wysokości wybroczyny - powiedział Noverre.

Młody asystent, skrępowany obecnością Germinala w sali do sekcji zwłok w suterenie Instytutu Upośledzeń, wykonał polecenie. Przyłożył palec wskazujący lewej ręki do skroni kamerdynera leżącego na błyszczącym stole sekcyjnym i wskazujący palec prawej ręki po przeciwnej stronie czaszki, w miejscu, gdzie wcześniej celowo wygolono włosy. Kamerdynier miał wciąż przypudrowaną twarz, czerwone policzki i szkarłatne od szminki usta. Wyglądał, jakby wpatrywał się w nich oczyma, które morderca namalował na zamkniętych powiekach.

- Rozumie pan, co mam na myśli? - zwrócił się nagle Noverre do Germinala. - To tak, jakby do łamania kręgów szyjnych używał jakiegoś narzędzia, którego nie umiem nawet panu

opisać.

- Dokładnie tak - odparł Germinal, patrząc doktorowi w oczy. - Zupełnie jakby ten morderca nie chciał używać rąk.

Noverre wytrzymał przez chwilę jego wzrok, a potem wrócił do oznaczania głowy kamerdynera. Jasper stał nieruchomo w niezmienionej pozycji, z palcami wskazującymi przy skroniach zmarłego.

- Narzędzie, którego używa - ciągnął wyjaśnienia Noverre - silnie uciska czaszkę. Potem coś obraca go z nadzwyczajną siłą. Zauważyłem to już w przypadku trzech zgonów w willi Neefów. Albo ten człowiek ma więcej siły niż normalni ludzie, albo...

- Albo?

- Albo narzędzie, którego używa, zwiększa jego siłę.

- Jak?

- Nie wiem - odpowiedział Noverre. - Ale w takim wypadku nietrudno wysunąć hipotezę, że jest to mechanizm, który opiera się na zasadzie dźwigni.

- Zabił swe ofiary na dwa różne sposoby, zarówno w willi Neefów jak, i w willi Finneganów - rozważał na głos Germinal, rzucając pobieżnie okiem na worek, który przyniósł ze sobą i oparł o nogi stołu do sekcji zwłok. - W przypadku służących użył narzędzia, tak jak pan mówi. A dla dwóch kobiet zarezerwował żelazne szczęki. Jest tylko jeden punkt wspólny w tych dwóch odmiennych sposobach zabijania.

- To znaczy? - zapytał Noverre.

- Już panu mówiłem, doktorze. Nie słucha mnie pan? - Głos Germinala był pełen napięcia. - Wygląda na to, że ten morderca nie chce używać rąk. Jak pan sądzi, dlaczego?

Noverre patrzył na niego, nic nie mówiąc. Jasper wciąż trzymał wskazujące palce na skroniach zmarłego.

- Możemy zostać sami? - zapytał w końcu Germinal. - Są pewne szczegóły, które chciałbym omówić tylko z panem.

Noverre odwrócił się do Jaspera.

- Zostaw nas samych - powiedział. Asystent oderwał palce od czaszki kamerdynera i wyszedł z sali.

Ciała trojga kolejnych służących leżały w kącie pomieszczenia, przykryte białym płótnem. Ciało pani Finnegan, nagie i umyte, znajdowało się na drugim stole operacyjnym.

Głębokie nacięcie w kształcie litery Y dzieliło je na pół. Wdowiec Finnegan nie przeciwstawił się autopsji. Germinal przedstawił mu swą prośbę w cztery oczy, dając do zrozumienia, że jeśli się zgodzi, nikt się nie dowie o jego nocnej wizycie na spektaklu Królowej Mgieł, po której najprawdopodobniej nastąpiła wyprawa do burdelu. Komisarz Landau odrzucił propozycję uczestniczenia w sekcji zwłok. I teraz Noverre i Germinal byli sami.

- No więc inspektorze, zechce mi pan powiedzieć, o co chodzi? - rzekł Noverre, kiedy Jasper zamknął drzwi.

- Najpierw spróbujmy wszystko podsumować, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - zaproponował Germinal. - Zechce pan usiąść?

Noverre podszedł do kwiecistego fotela, zupełnie nie na miejscu w tak ascetycznym i budzącym grozę wnętrzu, i usiadł. Germinal rozejrzał się dookoła, potem wziął krzesło stojące przy biurku, na którym Jasper spisywał dyktowane raporty, i postawił je naprzeciwko dyrektora Miasta Zwierząt.

- Okoliczności dokonania obu rzezi są właściwie identyczne - zaczął. - Ale może pan widzi coś, co różni te morderstwa? Proszę mi powiedzieć.

Noverre przymknął oczy, koncentrując się.

- W świetle sekcji zwłok Virgini Caldwell... - Spojrzał na Germinala, który zmarszczył brwi. - Proszę mi wybaczyć, podobnie jak nazywałem panią Couze panią Neef, tak i teraz mam ten sam odruch w stosunku do pani Finnegan. Nazywała się Virginia. Virginia Caldwell...

- Zechce pan kontynuować?

- Tak, oczywiście... - I na zdeformowanych ustach dyrektora pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Pierwsza rzucająca się w oczy różnica, to ta, że ani na ciele Virginii Caldwell... ani wewnątrz jej ciała... w przeciwieństwie do Couze, morderca nie zostawił żadnej informacji.

- Istotnie.

- I można przypuszczać, że prawdopodobnie nie liczy na inną okazję, by zostawić nam swą wiadomość - ciągnął dalej Noverre. - Po tym, co się wydarzyło na pogrzebie Cynthii Couze, musi wiedzieć, że policja będzie bardzo uważać na każdego, kto zbliży się do katafalku z trumną. Mam rację?

Germinal z uwagą przyglądał się doktorowi. Podziwiał inteligencję tego człowieka o tak potwornym wyglądzie. Człowieka, któremu powierzył swą tajemnicę. Ale spojrzenie, którym go

obrzucił, było twarde. Coś się zmieniło.

- Druga podstawowa różnica - kontynuował Noverre - to sposób wykorzystania... wybaczy mi pan to określenie... służących. W pierwszym przypadku po prostu ich zabił, ponieważ stali mu na drodze do wykonania planu, to logiczny wniosek. Ale za drugim razem wykorzystał ich jako widzów. Aby zorganizować... przedstawienie. Pomalował ich i przebrał za kobiety, z których każda trzymała kij z bluszczem... taką samą wiadomość zostawił podczas pogrzebu Couze... można by to uznać za swoisty podpis... no i ta koźlęca skóra. Runo.

- A pytanie brzmi, czy to przedstawienie było przeznaczone dla nas, czy dla niego samego? - zastanowił się głośno Germinal.

- Ma pan rację, inspektorze. Dla nas czy dla niego? A może dla wszystkich? - dodał Noverre z błyskiem w oczach. - Może po prostu potrzebował przedstawienia dla siebie samego i jednocześnie chciał, by przedstawienie stało się środkiem przekazania nam wiadomości?

Germinal rozważał przez chwilę taką możliwość, patrząc na worek, który położył na ziemi. Jego wzrok powędrował do góry, ku brzegowi stołu operacyjnego, błyszczącego, metalowego. Miał wrażenie, że widzi na nim swe odbicie, i poruszony, natychmiast odwrócił głowę.

- Coś nie w porządku? - spytał Noverre.

- Nie, nie... nic.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę.

- Ten morderca... uważa go pan za potwora? - spytał Germinal. Noverre spojrział na niego z powagą.

- Tak. Z tego, co wiem, tacy jak on wcześniej nie istnieli. Germinal stał zamyślony.

- Rozmawiałem wczoraj z mężczyzną, który znalazł ciało Juffridiego... a propos, znał pan Juffridiego?

Noverre wyglądał przez chwilę na zaniepokojonego.

- Tutaj każdy zna każdego, inspektorze - odpowiedział.

- Czyli znał go pan niezbyt dobrze.

- Niezbyt dobrze.

- Z tego, co słyszałem, Juffridi był doskonałym rzemieślnikiem. Artystą. Powierzał mu pan prace dla instytutu?

- Nie...

- Dlaczego?

- Dlaczego tak to pana interesuje?

- Nieważne. Pytałem z ciekawości - uciął Germinal. - Mówiłem panu o mężczyźnie, który znalazł zwłoki Juffridiego. Opisując mi tę scenę, powiedział, że przywodziła mu na myśl egzekucje w mrocznych czasach, gdy skazańcom wrywano wnętrzności, kiedy jeszcze żyli, i rzucono je na ruszt, tak aby jeszcze przed śmiercią mogli zobaczyć, jak ich ciało skwierczy. Wyobraża pan sobie spojrzenia tych biedaków? Zastanawiałem się nad tym. Nie ulega wątpliwości, że nie chodziło o to, by sprawiedliwość pastwiła się nad skazanym na śmierć, ot tak, żeby go ukarać. Uważam, że informacja była kierowana bezpośrednio do tłumu widzów. Żeby siać grozę... grozę stanowiącą środek odstraszący. Egzekucja była w pewnej mierze inwestycją w przyszłość zgromadzonych osób. To był znak, że sprawiedliwość jest nieubłagana. Także w naszych sprawach śmierć ofiary wydaje mi się drugorzędna w stosunku do wiadomości wykrzyczanej z całym okrucieństwem przez mordercę. Morderca krzyczy, że jest nieubłagany i sprawiedliwy. Ten... potwór... jest przekonany, że udziela lekcji sprawiedliwości. Tu nie chodzi o zwykłą zemstę ani o zwykłe zabójstwo. I prawdopodobnie... choć tu wypływam na niepewne wody... prawdopodobnie nie czerpie z tego korzyści materialnych, które moglibyśmy... jakby to powiedzieć... zrozumieć... Nie kradnie. Nie dziedziczy... On wymierza karę.

- Wymierza karę... i celebrytuje siebie samego - dodał Noverre.

- Ale za co karze i co celebrytuje? - ożywił się Germinal. - Były niewierne? Zrobiłem małe dochodzenie. Wygląda na to, że nie. - Spojrzał na doktora. - Co oznacza kij z bluszczem? Co oznaczają te kości w ludzkiej mosznie, znalezione w pochwie? Co oznacza... jak pan to nazwał... runo? Co on celebrytuje?

- To wygląda jak pogański rytuał, nie uważa pan?

- Ile jeszcze rzeczy pan przede mną ukrywa, doktorze? - spytał nagle Germinal, wstając.

- Co pan powiedział?...

- Dlaczego nadano panu przydomek Hrabiego bez Rękawów? Głos Germinala był twardy, agresywny. Ale doktor Noverre nie okazał zakłopotania. Poruszył kikutami. Zapadnięte rękawy marynarki zatrzepotały.

- Znał pan Juffridiego? Tak czy nie?

Germinal naparł na niego całym ciałem, z rękoma wbitymi w oparcie fotela, w którym siedział Noverre, z twarzą przy monstrualnej twarzy dyrektora Miasta Zwierząt. Uwięził go.

- Proszę pozwolić mi wstać - powiedział Noverre. - Nasza rozmowa dobiegła końca.

- O nie! Niech choć raz powie mi pan prawdę! - krzyknął Germinal i podbiegł do drzwi pokoju, by zamknąć je na klucz.

Kłamka u drzwi przekręciła się kilka razy, obracana z zewnątrz. Potem rozległ się hałas, jakby taran próbował je wyważyć.

- Pański olbrzym nie może pana uratować! - krzyknął Germinal w przypływie złości, pochylił się nad workiem, otworzył go i wyjął metalową protezę. Mechaniczne przedramię z prymitywną dłonią. Położył je na kolanach doktora, po czym pchnął go i plecy kaleki wbiły się w oparcie. - Niech pan popatrzy na tę rękę! Niech pan popatrzy! Poznaje ją pan?

Noverre zbladł. Zdjęte grozą oczy wpatrywały się w metalową protezę.

- Wygląda na to, że morderca nie chce używać rąk - ciągnął Germinal. - Dlaczego? Może dlatego, że nie ma rąk? Niech pan odpowie! Zaprzecza pan, że znał Juffridiego? Wciąż pan zaprzecza?

Drzwi skrzypiały w zawiasach pod straszliwymi uderzeniami Zoli. Germinal dyszał.

- Niech pan zabierze ode mnie tę makabrę... - powiedział Noverre cichym głosem. - Bardzo proszę...

Germinal patrzył na niego przez chwilę, potem wziął mechaniczną rękę i z furią odrzucił ją daleko od siebie.

- Niech pan otworzy Zoli... - poprosił Noverre wciąż słabym głosem. - Niech mu pan otworzy, bo zaraz oszaleje z bólu.

- Tak jak oszalały z bólu dwie nieszczęsne kobiety? - wykrzyknął Germinal i znów pogrzebał w worku. Wyjął rysunek i położył go lekarzowi na kolanach. - Tę rękę i te rysunki znalazłem u Juffridiego. Dziś w nocy.

Noverre opuścił wzrok na rysunek. Jego oczy wypełniał nieskończony smutek. Rysunek przedstawiał mechaniczne przedramię, które nakładało się na kikut.

- Nie rozumiem, co chce pan udowodnić... - mruknął Noverre złamanym głosem.

Drzwi pod naporem szaleńczego łomotu Zoli drżały i trzeszczały.

- Nie rozumie pan? - rzekł Germinal z płonąącym wzrokiem. Chwycił doktora za marynarkę i zsunął jedną połą, potem podwinął rękaw koszuli, odsłaniając nagi kikut. Blizny odpowiadały wkładkom zaznaczonym na rysunku. - Teraz pan rozumie? Nie? Jeszcze nie?

- Niech pan otworzy Zoli... proszę pana...

Germinal podniósł worek i wyjął kolejne rysunki. Rozłożył pierwszą kartkę na kolanach lekarza. Grube linie, poprowadzone czerwoną kredką, wyznaczały kształt narzędzi, które do tej pory tylko sobie wyobrażali. Oczy doktora przebiegały po kreskach naniesionych sangwiną. Na drugiej kartce widniała czaszka zwierzęcia, ledwie zarysowana, z widoczną jednak uzębioną szczęką. Poniżej szkic uzębienia został podzielony na sekcje i ponumerowany. Na trzeciej kartce projekt był już wyraźniejszy. Szczęki z przerażającymi kłami i zaostrozonymi zębami trzonowymi, zostały naniesione na dwa łuki, które wchodziły w błyszczącą, złoconą czaszkę. Były ze sobą połączone przez sworzeń, na którym mogły się obracać i dzięki temu otwierać i zamykać. Szereg sprężyn i cięgien kończył się w opasce na przedramię, z zamknięciem wpustowym i skórzanymi pasami. Każda kartka opisywała szczegółowo proces konstrukcyjny, a uwagi na marginesach - nabazgrane niewprawnym charakterem pisma - wyjaśniały to, czego nie można było wywnioskować ze szkiców, oraz wyszczególniały wytrzymałość materiałów i stopy metali, które należało wykorzystać. To były paszche. Paszche gotowe, by kogoś zagryźć.

- Oto czego szukał morderca Juffridiego - oznajmił Germinal, z twarzą niemal tuż przy twarzy doktora. - Oto dlaczego zginął Juffridi.

- Niech pan otworzy Zoli... - powtórzył Noverre słabym głosem, ze zmrużonymi od bólu oczyma.

Germinal popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, potem podszedł do drzwi i otworzył je. Zóła wpadł jak burza i rzucił się na niego.

- Zóła! Zóła... - powstrzymał go Noverre. - Nic mi nie zrobił... Olbrzym podszedł do swego pana i przyjrzał mu się.

- Łza - powiedział grobowym, gardłowym głosem, wskazując palcem jak u dusiciela oczy doktora Noverre.

- Zostaw nas, Zóła - powiedział lekarz. - Nic się nie stało. Olbrzym ani drgnął.

- Nie robi mi krzywdy - uspokajał go Noverre. - Obiecuję ci.

Zóła spojrział na kikut swego pana, odwinął rękaw koszuli, pomógł mu delikatnie włożyć z powrotem marynarkę, potem odwrócił się do Germinala i zlustrował go od stóp do głów. W końcu wyszedł z sali. Germinal ruszył, by zamknąć za nim drzwi, ale Zóła zatrzymał go.

- Otwarte - powiedział. Germinal wrócił do doktora.

- Pański sługa byłby gotów dla pana zabić.

- Niech pan nie nazywa go sługą. Już o to pana prosiłem. Zóła nie jest moim sługą.

- Czym więc jest?

- Jest moim ciałem. Jest... moim rękami i dłońmi. Germinal opadł na krzesło.

- I jest człowiekiem o nadzwyczajnej sile.

- Pan mnie podejrzewa? - zapytał w końcu Noverre. - Naprawdę pan myśli, że to ja jestem pańskim mordercą?

- Proszę podać mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym pana podejrzewać - zaproponował Germinal.

- Rozumiem - wyszeptał Noverre, spuszczać wzrok.

- Kłamał pan od samego początku.

Noverre zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wyglądał tak jak zawsze.

- Nie. Po prostu nie o wszystkim panu powiedziałem - rzekł.

- Nadeszła pora, żeby pan to zrobił, doktorze Noverre.

- Jestem aresztowany? Germinal nie odpowiedział. Potworny dyrektor Miasta Zwierząt patrzył na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Jeśli nie jestem aresztowany, proszę przyjść do mnie jutro, Miltonie... i powiem panu wszystko, co chce pan wiedzieć. - Wstał. - Domyślam się, że chloral już się panu skończył. Mam rację? U mnie znajdzie pan swoją strzykawkę.

Germinal po raz ostatni rzucił okiem na zwłoki kamerdynera i pani Finnegan.

- Może się pan uważać za aresztowanego, doktorze - oznajmił twardym głosem. - Nakazałem, by instytut był strzeżony. Dwóch ludzi stoi przed głównym wejściem i dwóch pilnuje tylnej bramy. Niech pan nie próbuje się oddalać, bo pana zatrzymają. I niech pan nie liczy na siłę Zoli. Rozkazałem strzelać do niego, jeśli zajdzie taka potrzeba. Proszę nie pogarszać swojej sytuacji - dodał lodowatym tonem i wyszedł z sali sekcyjnej, a potem z Instytutu Upośledzeń.

Kiedy przeszedł przez bramę, zobaczył czarny powóz policyjny, stojący nieopodal w zaułku.

- Macie stać tu, przed wejściem! - krzyknął rozwścieczony.

Dwóch policjantów wysiadło z powozu i szybko dopadło bramy, z bronią przewieszoną przez ramię.

Germinal zapalił motor i okrążywszy wysokie, grube mury Miasta Zwierząt, dotarł do obdrapanej małej bramy po przeciwnej stronie budynku. Dwóch policjantów, którzy strzegli tylnego wyjścia, powitało go skinieniem głowy. Germinal spojrział na nich, nie odwzajemniając

pozdrowienia, dodał gazu i po chwili zniknął. Jego myśli, gdy tylko wiatr zaczął wymiatać grozę sali do sekcji zwłok, powróciły do Ignés. Musiał ją zobaczyć.

Noverre, po wydaniu instrukcji Jasperowi, aby zajął się przekazaniem ciała staremu Saronno, właścicielowi zakładu pogrzebowego, powiedział mu, że teraz zamknie się w swych apartamentach i że nikt, pod żadnym pozorem, nie może mu przeszkadzać. Potem skinął na Zolę, aby mu towarzyszył. Wszedł do gabinetu i poprosił, żeby pomógł mu się ubrać. Włożył gruby płaszcz i skórzany kapelusz.

- Wychodzimy - powiedział do Zoli.

Zeszli na parter, ale kiedy Zóla skierował się ku głównym drzwiom, Noverre go zatrzymał.

- Nie mam ochoty na towarzystwo - rzekł, zwracając się do obłąkanego, i wszedł do dużej biblioteki na parterze. - Zamknij na klucz - nakazał. Potem zaczął na niego przed masywną szafą z książkami, wykonaną z ciemnego orzecha. - Wyjdziemy tędy - powiedział.

Zóla wyjął trzy opasłe tomy, oprawione w czerwoną skórę, wsunął ogromną rękę w szczelinę, która powstała, i nacisnął guzik. Biblioteczka obróciła się natychmiast wokół własnej osi, ukazując sekretne przejście.

XX

Sciron właśnie nalewał sobie do szklanki mleka z kryształowej karafki, kiedy drzwi jego wozu otworzyły się raptownie. Człowiek-Maszyna czujnie stanął między nimi a Scironem.

- Cóż za niespodzianka - rzekł Sciron, próbując ukryć niezadowolenie. - Hrabia bez Rękawów zaszczyca mnie wizytą.

Zóla przytrzymał otwarte drzwi. Noverre wszedł po chybottliwych schodkach wozu, nie odpowiedziawszy, rozkładając z lekka kikuty, aby zachować równowagę.

Ignés w głębi wozu właśnie ubierała chłopca. Spojrzała na doktora, nie okazując ani zaskoczenia, ani obrzydzenia. Pólnagi chłopiec, siedzący na stole, odwrócił głowę w stronę ułomnego dyrektora Miasta Zwierząt, obrzucił go odurzonym wzrokiem i uśmiechnął się. Noverre zauważył nogę z zanikiem mięśni i rozpoznał znaki po naelektryzowanych igłach.

- Podalesz mi narkotyki? - spytał, patrząc Scironowi w oczy.

- Dziękuję za wizytę, hrabio - odparł Sciron - ale wybrał pan niewłaściwy moment. Jestem zajęty.

Człowiek-Maszyna zrobił krok w kierunku doktora.

- Podalesz mu narkotyk.

- Tylko znieczulenie...

- Tak jak to robilesz ze mna - rzekl Noverre z odrazą. - - Nie - odparl zlosliwe Sciron. - Dla ciebie... przepraszam, dla *pana*... potrzeba go bylo o wiele wiecej.

- Pani Lavaronne - wezwal kobiety Noverre, odwracajac sie w glab wozu.

Matka kuternogi stanela w drzwiach.

- Niech pani wyprowadzi syna - powiedzial lekarz. - Ten szarlatan nie przywróci władzy w nogach pani synowi, tak jak nie zdołal zrobic nic, by mnie odrosly ręce.

Twarz kobiety przebiegla fala sprzecznych emocji.

- Ale... ja widzialam, jak on... ruszal noga... - wybelkotała zdeorientowana.

- To oszustwo kuglarza - wyjasnil Noverre. - Pani syn jest kulawy i pozostanie kulawy przez cale zycie.

- Nieprawda! - zareagowala wybuchem pani Lavaronne, a jej oczy napełnily sie łzami i gniewem. - To nieprawda! Jack nie jest jak... jak... nie jest taki jak pan.

- Nie, nie jest taki jak ja. Na szczescie jest tylko kulawy - rzekl cieplym głosem Noverre. - Przykro mi...

- Bawi pana dręczenie tej kobiety? - zainteresowal zmieszany Sciron.

- Pani Lavaronne - powiedzial Noverre - prosze ubrac syna i zaprowadzic go do domu. - Potem spojrzal Scironowi w oczy. - A ty oddaj pieniadze, ktore jej ukradles, jesli nie chcesz, bym wezwal policje.

Twarz Scirona wykrzywil grymas bolu. Dotknal ręką zoladka, wypil jednym haustem mleko i nic nie mowiac, rąbnal szklanką w stol.

Ignés patrzyla na doktora Noverre pelna podziwu, z lekkim usmiechem. Potem skonczyla ubierac chlopca przy pomocy pani Lavaronne, ktora poplakivala cichutko i mruzczala:

- Jack... Jack... moje dziecko...

- Oddaj jej pieniadze - powtorzil Noverre. Czlowiek-Maszyna podszedl do niego z grozna mina.

Wóz zachybotal sie pod gigantycznym ciezarem Zoli, ktory wszedl na pierwszy stopien, bacznie sledzac to, co sie dzieje wewnatrz.

Ignés, patrzac na Scirona w geście wyzwania, podeszla do skorzanej sakwy, wiszacej na gwoździu, rozwiázala ja, wyjęła monety i wsunęła je do kieszeni sukni pani Lavaronne. Kobieta,

podtrzymując syna z boku, wyszła z pochyloną głową. Zóla zszedł ze schodka, by przepuścić kobietę, nie spuszczając jednak oczu ze swego pana.

- Mściciel ciemieżonych i kuternogów czuje się usatysfakcjonowany? - odezwał się Sciron. - Pańska święta krucjata przeciwko mnie jeszcze się nie zakończyła?

- Po co tu wróciłeś? - spytał Noverre.

- Tego też chciałby mi pan zabronić? Noverre spojrział na Człowieka-Maszynę z grymasem absolutnej pogardy.

- Oto jaki koniec spotkał całą twą wiedzę - powiedział. - Nieszczęśliwy biedaczyna, zamknięty w kupie blachy. Jesteś żaloszny jak twój potwór.

Człowiek-Maszyna wyciągnął rękę i pchnął doktora tak, że ten upadł.

- Stój, Tristante! - rozkazał Sciron.

Ale Zóla już rzucił się z impetem na Człowieka-Maszynę jak w ataku szału. Z niespodziewaną jak na swą posturę gibkością chwycił go za kamizelkę, ugiął kolana, opierając na stopach cały ciężar ciała i katapultował go na ziemię, w kierunku drzwi. Człowiek-Maszyna stoczył się z głuchym, metalicznym chrzęstem po schodach, niezgrabnie koziółkując. Kamizelka i marynarka rozpięły się i teraz, pośrodku klatki piersiowej, można było zobaczyć wykrzywioną twarz karła imieniem Tristante. Z jednego oka kapąła mu krew. Trochę wyżej ciągnę połączone z brwią wydarło pierścień i kawałek ciała.

- Stój, Zóla! - krzyknął Noverre.

Olbrzym, pomimo swego wieku, wyszedł z wozu podskakując; jego oczy, zazwyczaj pozbawione wyrazu, płonęły żądzą mordy. Pozostawał głuchy na wołania doktora. Człowiek-Maszyna dopiero co zdołał stanąć na nogi. Z bestialskim okrzykiem wymierzył na ślepo cios. Zóla uchylił się i straszliwa ręka z metalu uderzyła o ścianę wozu, roztrzaskując drewno na wióry. Zóla skoczył i stanął naprzeciwko Człowieka-Maszyny.

Tymczasem Ignés pomagała doktorowi się podnieść. Kaleka spojrział jej w oczy, potem zszedł po schodkach i chwiejnym krokiem podszedł do dwóch walczących olbrzymów.

- Przestańcie! - krzyknął. Sciron śmiał się w drzwiach wozu.

- Patrzcie na nich! Są wspaniali. Nasi tytani rozwiążą nasz odwieczny spór. Jak dwaj paladyni!

Kilku cyrkowych pomocników, słysząc krzyki, wychyliło się z namiotu.

Noverre podszedł do dwóch olbrzymów, którzy mierzyli się wzrokiem jak byki przed

atakiem, i stanął przed Zolą.

- Przestań! - rozkazał piskliwym głosem. - Stój, Zóla! Obląkany spojrzał na swego pana.

- Zóla, stój - powtórzył Noverre zdecydowanym głosem. - Chodź ze mną - dodał, omijając go i kierując się do wozu Scirona.

Zóla odwrócił się i ruszył za nim.

Twarz Tristante pośrodku klatki piersiowej Człowieka-Maszyny była napięta, spojrzenie pełne goryczy. Zamachnął się i z całej siły uderzył Zolę metalową pięścią w plecy.

- Zóla! - krzyknął Noverre.

Zóla przewrócił oczami i nogi zaczęły mu się uginać. Bez zmysłów padł na ziemię, wznosząc falę błota swą olbrzymią posturą.

- Tchórz! - rzucił Noverre w stronę Tristante. Człowiek-Maszyna wyciągnął rękę, by chwycić go za gardło.

- Przestań - rozkazał jednak Sciron.

Tristante zatrzymał się. Znieruchomiały spojrzał na Scirona.

- Ten pół-człowiek - zwrócił się do niego Sciron - ma herb, który daje mu nad nami zbyt dużą przewagę.

Noverre ukląkł przy swoim olbrzymim służącym.

- Zóla... Zóla... pomóżcie mi! - zażądał, rozglądając się dookoła. Kilku posługaczy stanęło wokół placu. Niektórzy się śmiali. Karzeł wewnątrz Człowieka-Maszyny uśmiechnął się zjadliwie, odwrócił się i zaczął oddalać.

- Tchórz! - krzyknęła Ignés, spoglądając za nim z pogardą, i uklękła przy doktorze.

- Wiadro wody dla Zoli, proszę - zwrócił się do niej Noverre.

- Ty. Idź po wodę. Natychmiast - rzekła Ignés, zwracając się do jednego z posługaczy.

Mężczyzna wszedł z powrotem do namiotu.

- Odebrał pan swoją lekcję, hrabio - powiedział Sciron.

- Ty i twój karzeł skończycie w więzieniu - zagroził Noverre.

- Przecież ja nic nie zrobiłem - odparł Sciron aroganckim tonem.

- Wiedziałeś o śmierci Juffridiego? - rzucił zniecierpliwiony Noverre napiętym głosem.

Sciron pobladł.

- Czego pan ode mnie chce, hrabio? - spytał, patrząc na niego.

- Masz coś wspólnego z jego śmiercią? - Noverre podniósł się i zrobił krok w jego

kierunku.

Ignés patrzyła zafascynowana na doktora, ubłoconego, ponizonego, ale niepokonanego. I teraz ponownie dostrzegła w spojrzeniu Scirona strach.

- Proszę nie mówić głupstw... - wybełkotał Sciron.

W tym momencie wszyscy odwrócili się, słysząc mechaniczny warkot za swymi plecami. Germinal zgasił motor. Za nim podjechał czarny powóz policji. Z powozu wysiadł komisarz Landau i pięciu policjantów. Szósty policjant, siedzący na koźle przy woźnicy, przyciskał do piersi broń.

- A o rzezi w willi Neefów też nic nie wiesz? - natarł na Scirona Noverre, podchodząc coraz bliżej niego.

Starzec o żółtej cerze spojrział na Germinala, potem na Landaua i policjantów.

- Czego pan ode mnie chce? Nie wystarczyło panu to, co już mi pan zrobił? - zwrócił się do doktora płaczliwym głosem.

- Co tu się dzieje? - włączył się rozwścieczony Germinal, podchodząc do nich.

- Doktorze Noverre, jak się panu udało?...

- Morderca zostawił wiadomość w ciele biednej Couze... - drażył Noverre, coraz bliżej Scirona.

- Doktorze Noverre... - znów wtrącił się Germinal.

- „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi...” - wysyczał Noverre staremu Scironowi w twarz. - Mówi ci coś to zdanie? Tylko ty je mogłeś znać. Tylko ty mogłeś włożyć te kości do...

- Doktorze Noverre! - krzyknął Germinal. - Proszę nic więcej nie mówić!

Noverre dyszał, ze złością patrząc Scironowi w oczy.

- Nie wiem, o czym... - wyjąkał Sciron, zwracając się do Germinala - nie wiem, o czym on mówi, inspektorze... Ten człowiek prześladowuje mnie, ale ja... ja nie mam nic wspólnego z... Chce się zemścić... Ja nic nie wiem... ja...

- Ty jesteś Gabriel Sciron? - wtrącił się komisarz Landau.

- Tak... aleja...

- Nie marnuj teraz powietrza w płucach. Będziesz miał czas wyjaśnić nam wszystko po kolei na komisariacie - przerwał mu natychmiast Landau. - Znaleźliśmy rysunki Juffridiego i w ich sprawie należą nam się od ciebie wyjaśnienia. Odwrócił się do swych policjantów i rozkazał:

- Bierzcie go.

- Nie wiem, o czym pan mówi... - zaprotestował Sciron.

- Bierzcie go - powtórzył Landau swoim ludziom.

Dwóch policjantów wzięło go pod ręce i zaciągnęło do powozu.

- To podstęp tego przeklętego kaleki! - krzyknął Sciron. - Ja nic nie zrobiłem!

- Wyjaśnisz nam wszystko na komisariacie - powtórzył Landau, po czym, zwracając się do posługaczy, którzy zaciekawieni zbili się w grupkę, dodał: - A wy idźcie do powozu i zostawcie swoje dane. Pierwszego, który będzie próbował uciec, zamknę w pace i oskarżę o współudział. Dalej, ruszać się.

Zgromadzeni ludzie, który jeszcze przed chwilą się śmiali, teraz z pochylonymi głowami i zaniepokojonym wzrokiem zaroili się wokół czarnego powozu policyjnego, gdzie strażnik na koźle, słysząc rozkaz Landaua, czekał na nich z kartką, kałamarzem i piórem.

- Ty też idziesz do aresztu, maszynowa szkarado - powiedział po chwili Landau. - Ściągaj tę zbroję.

- Nie mogę sam jej zdjąć - odpowiedział Tristante.

- Nie martw się, my się tym zajmiemy - obiecał Landau. - Monk, pomóż temu karłowi wrócić do własnych rozmiarów - rozkazał ze śmiechem jednemu z policjantów.

Człowiek-Maszyna w asyście policjanta ruszył ciężkim krokiem do wozu Scirona.

- Próbował zabić Zolę - powiedział Noverre.

- Niech pan nic nie mówi, Noverre - ostrzegł Landau i ruszył do policyjnego powozu.

- Złożę doniesienie!

- Proszę nie zapominać, że pan też jest podejrzany! - Germinal podniósł głos, rzucając doktorowi pełne złości spojrzenie. - Niech pan nie liczy na to, że pańska pozycja będzie pana chronić w każdych okolicznościach.

Noverre nastroszył się, potem odwrócił się plecami i ruszył do Zoli, który wciąż leżał na ziemi i dopiero teraz zaczął pojękiwać coś niezrozumiale. Człowiek, który poszedł po wodę, postawił przy nim wiadro.

Ignés podeszła do Germinala. Dotknęła jedną ręką zwisającej z peleryny nitki, tam gdzie brakowało guzika. Jej szare oczy były pełne niepokoju.

- Ślicznotko, stań w kolejce razem ze swoimi przyjaciółmi - nakazał jej Landau pełnym pogardy tonem.

- Znam ją - rzekł Germinal. - Ręczę za nią.

- Jasne, tak jak pan ręczył za doktora Noverre, prawda? - Landau roześmiał się szyderczo. Ręka Germinala musnęła dłoń Ignés.

- Proszę iść - szepnął. - To zwykła formalność. Ignés puściła nitkę u peleryny.

- Ja mam pański guzik - powiedziała, wsuwając rękę do kieszeni, i pokazała mu go. Germinal patrzył na nią, nic nie mówiąc. Tak bardzo chciał ją pocałować. Objął ją.

- Rusz się, dziewczyno! - krzyknął w końcu Landau.

Ignés włożyła guzik z powrotem do kieszeni i poszła do powozu. Wtedy gniewny Germinal podszedł do doktora klęczącego przy Zòli.

- Jak się panu udało wymknąć z instytutu? - zapytał rozsierdzony.

- Proszę mi pomóc - powiedział Noverre. - I zmoczyć mu głowę. Germinal bez skrępowań chlusnął wodą na Zolę, który ogłupiałymi otworzył oczy. Nadal miał twarz w błocie.

- Jak się panu udało wyjść z instytutu? - powtórzył pytanie Germinal.

- Niech pan oderwie mi kawałek rękawa i obwiąże mu ranę - polecił Noverre. - Traci bardzo dużo krwi.

Germinal stał przez chwilę bez ruchu, próbując zapanować nad złością, potem popatrzył na krew mieszającą się z błotem, wyciągnął koszulę ze spodni i oderwał rąbek. Zwilżył go wodą i przycisnął do głowy olbrzymia z tyłu, zaraz nad karkiem. Potem znów spojrzął na doktora. Oczyma zaciśniętymi w dwie szparki.

- Powiedziałem panu, że jest pan aresztowany - warknął.

- Mieliśmy starą sprawę do załatwienia.

- A cenę za nią zapłaci on.

- Próbowałem ich powstrzymać. Tamten zaatakował go od tyłu.

- Pana nie powinno tu w ogóle być! - krzyknął Germinal. Ludzie wokół policyjnego powozu odwrócili się i patrzyli teraz na nich.

- Niech mi pan pomoże - powiedział Noverre. - I odsłoni mu włosy. Rana była głęboka i szarpana.

- Gdyby został uderzony trochę niżej, już by nie żył - skonstatował Germinal. - Warto było?

Zóla poruszył się, próbując wstać, ale poślizgnął się na łokciu i przewrócił na bok. Popatrzył na swego pana z zaskoczeniem w oczach i zwrócił się do niego ogłupiałym głosem

obląkanego:

- Zóła się nie rusza.

- Tak, wiem. Teraz wrócimy do domu... - rzekł łagodnie Noverre i poprosił Germinala: - Niech pan zatamuje mu krew, jeśli łaska.

- Jak pan tu dotarł? - zapytał Germinal. Noverre wskazał na chłopski wóz.

Tymczasem Tristante wyszedł w kajdankach z wozu Scirona, eskortowany przez policjanta, który pomógł mu wyswobodzić się ze zbroi Człowieka-Maszyny. Karzeł miał twarz umazaną krwią, która nadal kapała mu z rany na łuku brwiowym.

Germinal wstał i podszedł do nich.

- Uważaj, by w czasie drogi nie rozmawiał z tym drugim - poinstruował policjanta, który aresztował karła. - I wsadźcie ich do oddalonych od siebie cel.

Następnie ruszył w kierunku chłopskiego wozu i kiedy znalazł się obok leżącego na ziemi Zóli, skinął ręką na dwóch innych policjantów. - Pomóście mi go podnieść.

Z wielkim wysiłkiem udało im się wsadzić Zolę na wóz, potem obaj policjanci zostali przywołani wezwaniem Landaua.

Noverre popatrzył zmieszany na Germinala.

- Nie mogę trzymać lejc w ręku...

- Ponownie zawiódł pan moje zaufanie, doktorze - rzekł Germinal głosem przepełnionym urazą. - Pańska pozycja nie stawia pana ponad prawem i sprawiedliwością.

- Proszę mi pomóc, Germinal... Z Zolą jest kiepsko... Ja nie mogę... - I Noverre poruszył bezsilnie kikutami, wskazując na konia. - Nie mogę...

- Oczywiście, że pan nie może. - Germinalem targnęła złość. - Odwiozę pana. A potem tu wrócę.

- Niech pan mi pomoże wsiąść z tyłu i położy mi głowę Zoli na kolanach. Nie powinien doznać teraz kolejnych wstrząsów - wyjaśnił Noverre. - W instytucie Jasper pomoże mi go opatrzyć i zszyć.

- Landau nie aresztował pana tylko dlatego, że jest pan wysoko urodzony - powiedział Germinal.

- To niech pan mnie aresztuje.

Germinal spojrzał na niego twardym wzrokiem.

- Pan nie może nawet uratować życia swemu słudze bez pomocy innych - odparował

rozzłoszczonym głosem. - Nie przeżyłby pan jednego dnia w więzieniu.

- Nie aresztuje mnie pan z litości? - Na zniekształconej twarzy doktora pojawił się dumny uśmiech.

Germinal spojrzał na niego, ale nie odezwał się.

- Niech pan się nie kryje za moją ułomnością. To nie w pańskim stylu - oznajmił Noverre.

- Nie aresztuje mnie pan, bo pan uważa, że to nie ja jestem mordercą.

- A Sciron nim jest?

Dyrektor Miasta Zwierząt nie odpowiedział.

Germinal usadził doktora na wozie, uniósł ogromną głowę Zoli i położył ją na kolanach kaleki. Potem między nogi jednego i głowę drugiego wsunął kawałek mokrej i zakrwawionej koszuli jako dodatkową ochronę rany. Na koniec wdrapał się na kozioł i strzelił batem starego konia. Przejeżdżając obok Ignés, posłał jej głębokie spojrzenie. A Ignés odwzajemniła je z tym samym żarem!

Gdy już zjeżdżali w dół doliny wyboistą ścieżką, Noverre zauważył:

- Jest bardzo piękna.

- Był pan w areszcie domowym! - krzyknął Germinal, odwracając się i patrząc na niego z nabrzmiałymi na szyi żyłami i płonącym wzrokiem, dając upust całej złości i frustracji, które w nim wrzały. - Został pan aresztowany i po raz kolejny wystrychnął mnie pan na dudka!

Ciężkie koła wozu wgniatały kamienie w błoto.

- Jak się panu udało wymknąć z instytutu? - zapytał Germinal.

- Miasto Zwierząt było kiedyś burdelem. Uważa pan, że prostytutki ograniczały się tylko do dozwolonych wyjść, aby uciec przed policyjnymi łapankami?

Germinal odwrócił się i zapatrzył na błotnistą drogę przed nimi. Niebo było pochmurne i przygnębiające. Na horyzoncie dwa fabryczne kominy. W powietrzu duszący, gnilny zapach rafinowanego cukru.

- Dziękuję, Miltonie - odezwał się Noverre, a potem pochylił zniekształconą głowę, by dotknąć czoła Zoli.

- Nie bój się - szepnął do olbrzyma.

XXI

Germinal, zostawiwszy doktora Noverre i Zolę w instytucie, rozkazał, by jeden z policjantów stanął na straży przy sekretnym przejściu. Następnie pojechał na komisariat, gdzie

znalazł Scirona, nie w celi na parterze budynku, ale w suterenie, przykutego kajdankami do żelaznego pierścienia, wbitego w mur. Trzech policjantów kończyło właśnie wyrzucanie papierzyk i gazet z jednej z nieużywanych od dawna cel, które kiedyś były wykorzystywane jako izolatki do przetrzymywania więźniów. Dokumenty, z których spora część była spleśniała, w pomarszczonych okładkach, pełnych wilgotnych plam, składał na wózku gruby policjant, sapiąc jak miech kowalski za każdym razem, kiedy się pochylał. Gdy wózek był już załadowany, stary funkcjonariusz o głęboko wyłobionych zmarszczkach na twarzy, opierał się całym swym ciężarem na dyszlu i popychał pojazd do kolejnej celi; kiedy przejeżdżał obok Scirona, spluwał na ziemię niedaleko niego. Wózek rozładowywał trzeci, młody policjant, który gwizdząc popularną arię, układał broszury w stosik bez żadnej selekcji.

Dzienne światło, przenikające z góry przez okienka zabezpieczone grubymi prętami, padało z boku na prostą posadzkę z wylewki, rozświetlając kurz, który unosił się w powietrzu.

- Dlaczego traktuje mnie pan jak przestępcę? - zaprotestował Sciron na widok Germinala

- Nic nie zrobiłem.

Germinal nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

- Gdzie jest ten drugi? - spytał natomiast młodego policjanta.

- Na górze. Kazał pan, żeby ich rozdzielić - odpowiedział tamten.

- Skończyliście już tutaj? - spytał Germinal, wskazując na celę.

- Tak, jeśli Bóg łaskaw - zaskrzeczał starzec, popychając wózek, i znów splunął na ziemię, tuż przy butach Scirona.

- To odwiążcie go i wsadźcie do celi - powiedział Germinal. Młody policjant, wciąż pogwizdując, wysunął klucze zza paska, otworzył kajdanki Scirona i pchnął go do środka.

- Siadaj - powiedział, wskazując zakurzoną pryczę, na której wcześniej leżała sterta dokumentów.

- Przynieś mi krzesło i stolik - powiedział Germinal.

- Jaki stolik? Gdzie ja panu znajdę teraz stolik? - zamruczał gruby policjant. - A nawet jak jakiś znajdę, to na pewno będzie zawalony papierami.

- No to dwa krzesła - uciął krótko Germinal. Potem wszedł do sporego pomieszczenia w suterenie, oddzielonego zardzewiałą metalową siatką od izolatek naprzeciwko, i zaczął szukać w szafkach tego, co było mu potrzebne. Kiedy wrócił do celi Scirona, krzesła, o które poprosił, już tam były. Usiadł naprzeciwko niego, a drugie krzesło postawił między sobą a więźniem.

Powolnym, wystudiowanym gestem położył na siedzeniu pustego krzesła topór z przyciemnionym od zastygłej krwi ostrzem. Przyglądał się twarzy Scirona, analizując jego reakcje. I nic nie mówiąc.

- Co to jest? - zapytał Sciron, przerywając ciszę. Germinal nie odrywał od niego wzroku.

- Nie wie pan?

Sciron czuł się niepewnie; żółtą twarz wykrzywił wrzodowy ból.

- Nic nie zrobiłem - powiedział.

- Znał pan kowala Juffridiego?

- Oczywiście, że znałem. To on stworzył mojego Człowieka-Maszynę.

- I nie tylko to, jak się wydaje.

- Co pan ma na myśli?

- Niech pan ze mną nie prowadzi gry, Sciron. Dobrze pan wie, o czym mówię.

- Chodzi panu o... ręce doktora Noverre?

- Niech pan mówi - odparł lakonicznie Germinal, wpatrując się w niego przenikliwymi oczyma.

- To stara historia, prawie sprzed czterdziestu lat... - zaczął niechętnie Sciron. - Czyż nie zapłaciłem już dosyć? Czego chce ode mnie ten cholerny kaleka?

- Niech się pan uspokoi.

- Przez niego wyrzucono mnie... ukradł mi to, co mi się należało... prześladował mnie na wszelkie sposoby...

- Niech się pan uspokoi, powiedziałem panu! Sciron spuścił nisko głowę, z trudem oddychając.

- Źle się czuję, inspektorze... jestem stary - wyznał po cichu. - Proszę, niech pan im każe przynieść mleka.

- Kiedy już skończymy.

- Skończymy z... czym? - W oczach Scirona malowało się zaskoczenie.

Germinal, najwolniej jak to było możliwe, wyciągnął zwitek papieru z wewnętrznej kieszeni peleryny, rozwinął go i patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Co pan mi może powiedzieć o tym zdaniu, które przypomniał panu doktor Noverre, kiedy przyjechaliśmy pana aresztować? - spytał, nie patrząc na Scirona, nadal wpatrzony w kartkę. - „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi” - zgadza się?

- To zdanie wypowiedział jego ojciec, kiedy go zobaczył zaraz po urodzeniu... kiedy zobaczył, że jego syn to potwór - odparł Sciron. - Ale co to ma wspólnego z...

- Wie pan, co się okazało podczas sekcji zwłok pani Neef?

- Wszyscy wiedzą. Ja też byłem w kościele na nabożeństwie żałobnym. Została zamordowana, czyż nie?

- Czyli, nic poza tym pan nie wie?

- Co ma pan na myśli?

- A wie pan przynajmniej, kto to zrobił?

- Zwierzęta, tak mówiono w kościele.

- Zwierzęta... - rzekł Germinal, pokazując mu kartkę, którą trzymał w ręku. - Zwierzęta... takie jak te?

Sciron spojrział na rysunek Juffridiego. Metalowe szczęki zdawały się błyszczeć na papierze.

- Mój Boże...

- Doceniam pańskie zdziwienie. Dobrze odegrane - ciągnął Germinal, wskazując palcem na rysunku mechanizm, który pozwalał straszliwym szczekom gryźć. - Zechce się pan temu przyjrzeć, Sciron? Dostrzega pan zapewne niejaki podobieństwa z pewnymi mechanizmami, które zna pan dość dobrze?

Sciron rozłożył ręce, kręcąc głową.

- Chce pan zaprzeczyć, że są niezwykle podobne do mechanizmów, które pozwalają pańskiemu cudownemu Człowiekowi-Maszynie rozwierać i zaciskać dłonie?

- Ja... ja...

- Chce pan zaprzeczyć, że te rysunki mogły być dobrym powodem, by zabić Juffridiego, człowieka, który wykonał szczęki?

- Inspektorze...

- Niech pan się im dobrze przypatrzy! - krzyknął Germinal, wstając i gwałtownie podtykając rysunek pod żółtackową twarz Scirona. - Niech się pan przypatrzy tym przegubom! Czyż nie są identyczne z tymi na przedramionach pańskiego Człowieka-Maszyny? Czyż tych drapieżnych zwierząt nie mogłyby zastąpić owe ręce?

Sciron odchylił głowę do tyłu, dotykając potylicą odrapanego muru. Jedną ręką trzymał się za brzuch. Z jego napiętych warg odpłynęła krew.

- Chce mi pan powiedzieć, że nie żywi urazy... głębokiej urazy... do doktora Noverre?

- Znienawidziłem tego potwora, jeszcze kiedy był dzieckiem! - krzyknął Sciron. - Nienawidzę go, ponieważ miał wszystko i nic. Nienawidzę go, bo jego tytuł pozwolił mu mnie prześladować... mścić się... I chciałbym ujrzeć go martwym. Tak, chciałbym ujrzeć go martwym... chociaż nie, chciałbym, żeby wycierpiał to wszystko, co ja przez niego wycierpiałem po śmierci jego matki, hrabiny... ale... ale...

- Morderca pani Neef zostawił wiadomość - przerwał mu Germinal, chodząc nerwowo po celi. - A pan udaje, że jej nie rozumie. Zostawił ludzką mosznę... chirurgicznie usuniętą mosznę Juffridiego... w pochwie ofiary. W mosznie były kości. Paliczki zwierząt, które tworzyły łapę. A łapa to jakby... ręka. Doktor Noverre opowiedział mi wszystko. Teraz rozumie pan, dlaczego to zdanie, które pan znał już wcześniej, nabiera zasadniczego znaczenia dla rozwiązania tej sprawy?

- Germinal zbliżył twarz do twarzy Scirona. - „Szukajcie w pochwie tej suki” - wyskandował powoli - „kości, których brakuje mojemu synowi”.

- Nie tylko ja je znałem... - wybełkotał słabo Sciron.

- Nie, z pewnością - przyznał Germinal. - Ale pan jest jedynym, który żywi głęboką urazę... co więcej, nienawiść, jak pan powiedział...do doktora Noverre. Chce pan zobaczyć, jak cierpi, prawda? Chce pan jego śmierci.

- Ja...

- Co pan?

- Ja...

- Pan stworzył Człowieka-Maszynę. To chciał pan dodać? Tego samego Człowieka-Maszynę, do którego, cóż za przypadek, doskonale pasują... szczęki, które zabiły dwie osoby... panią Neef i panią Finnegan.

- Nic nie wiedziałem o tych... o tych szczękach...

- Ma pan motyw, Scironie. I miał pan narzędzie do popełnienia zbrodni. Czy to pański karzeł dokonał ich osobiście? Jeśli będzie pan z nami współpracował, może pan liczyć na złagodzenie kary...

- Ja nic nie wiem. A jeśli to był Tristante...

- Mówi pan, że to był... Tristante, tak się nazywa karzeł?

- Nie... tak... nazywa się Tristante, ale nie wiem, czy to był on...

- Jakie miałby powody, by to zrobić? Jaki motyw? Tkwi pan w tym po uszy, Sciron.

Niech pan mówi, powinien pan. Dlaczego wybrał pan żony akcjonariuszy cukrowni? Myślał pan, że jeśli plan się nie powiedzie i doktor Noverre nie zostanie oskarżony, to podejrzenie padnie na robotników?

- Nie mam z tym nic wspólnego - wyrzucił z siebie Sciron i zgiął się wpół, wciąż uciskając ręką żołądek. - Widział pan spektakl Ignés... wie pan, kim są moi klienci. Na pewno nie umierający z głodu robotnicy pozwalają mi zarobić trochę grosza. Widział pan, ilu potrzebuję ludzi, by ciągnąć dalej cały interes... jaki sens miałoby gryzienie ręki, która mnie karmi?

- To po co pan przyjechał i rozbił swoje namioty właśnie tutaj, w tak biednej okolicy?

- Pewien człowiek dał mi sakwę pełną złotych monet. Nie wiem nic więcej, nigdy go nie widziałem, nie wiem, kto to jest...

Germinal patrzył na niego w milczeniu. Starzec leżał na boku, zgięty wpół na zakurzonej pryczy.

- Sakwę pełną złotych monet? Co to znaczy, że pan nie wie, kto to jest?

- To, że nie wiem, kto to jest...

- Jak dostał pan sakiewkę?

- Dostarczył mi ją przez chłopca... był przy niej bilecik... tej... tej mniej więcej treści: „Niech pan rozstawi swój cyrk na wzgórzu, naprzeciwko fabryki cukru, dwa dni przed sylwestrem, a będzie pan mógł zatrzymać te pieniądze”.

- Zapytał pan chłopca, kto go przysłał?

- Nie...

- Umiałby pan go rozpoznać?

- Nie, nie sędzę. Zostawił sakiewkę i natychmiast wybiegł...

- I ma pan jakiś pomysł, kim mógł być ów dobroczyńca?

- Nie, przecież mówię panu...

- Ta historia wygląda na zmyśloną. Pan wierzy w bajki?

- Nie... ja... ja... Stigle mówi, że to mógł być akcjonariusz obawiający się rozruchów... że może to był sposób na odwrócenie uwagi robotników od socjalistycznych idei...

- Człowiek-Maszyna miałby moc powstrzymania strajku? Niech pan nie gada głupstw.

- Sakwa pełna złotych monet mi wystarczyła... nie zadawałem sobie zbyt wielu pytań...

- Powinien pan zacząć je sobie zadawać, jeśli chce stąd wyjść - powiedział stanowczo Germinal. - I powinien pan zacząć odpowiadać na moje. W przekonujący sposób.

Starzec nie odezwał się, tylko jęczał zgięty wpół.

Germinal ruszył do drzwi celi, ciągnąc za sobą dwa krzesła, topór, który zabił Juffridiego, i rysunek szczęk, które rozszarpały żony akcjonariuszy cukrowni.

- Przynieś mu mleka - polecił jednemu ze strażników. Potem zamknął celę.

- Inspektorze... - odezwał się w końcu Sciron, podnosząc się i zbliżając wykrzywioną twarz do zardzewiałych krat. - Ojciec doktora zbudował cukrownię. A hrabina ją sprzedała. Syn... ten cholerny, potworny Noverre... to on nienawidzi akcjonariuszy.

Poruszając się po cichu, przebiegając z jednego ciemnego miejsca w drugie, dotarł do działu fermentacji, niezauważony przez nikogo. Pod nim stały ogromne kadzie, w których obrane i obkrojone buraki podgotowywały się w temperaturze osiemdziesięciu stopni, utrzymywanej przez skomplikowany system kontrolowanego ciśnienia. Powietrze było przesycone wilgocią i zapachem zgnilizny. Sprawdził po raz setny schemat rur, by nie popełnić błędu. Jego plan wymagał perfekcji. Potem przeszedł najbardziej niebezpieczny odcinek, wstrzymując oddech. Pięćdziesiąt stóp niczym nieosłoniętego balkonu z żelaza i drewna, bez możliwości ukrycia się. Każdy, kto spojrzełby w tę stronę, mógłby go zobaczyć. I cały plan spaliłby na panewce. Z sercem w gardle dotarł do schodów używanych do konserwacji urządzeń. Dysząc, skulił się na pierwszym żelaznym stopniu. Czekał.

Większość została już zrealizowana, pomyślał.

Teraz pokaże im, do czego jest zdolny.

Ogłosi nadejście nowej ery.

Poczuł, jak rośnie w nim nadzwyczajna siła. Siła pochodząca ze świadomości, że jego plan jest wspaniały. Czas się zatrzymał. Jego przeszłe życie, poniżenia, poświęcenia i wysiłki, cały mrok jego egzystencji szezł w obliczu przyszłej chwały.

Zaczął schodzić ostrożnie, stopień po stopniu; czuł się lekki, podniecony. Powietrze stawało się coraz cięższe, wilgotniejsze i cieplejsze. Ale nie istniała już żadna przeszkoda, która mogłaby go odstraszyć czy kazać mu ustąpić. Piekło, w które się zanurzał, było jego Rajem. Było początkiem. Było łonem matki, w którym miał się odrodzić.

Zszedł ze schodów i rozejrzał się wkoło. Nikogo. Jeszcze raz rzucił okiem na schemat, by zorientować się, gdzie jest. Ogromne kadzie wisiały nad nim jak groźne, wrzące głązy. Przeszedł, trzymając się blisko ściany, do końca północnej części. Stamtąd dotarł do pierwszego szeregu rur

zaznaczonych na schemacie. Teraz miał przed sobą cztery śluzy i siedem zaworów. Musiał zamknąć śluzy odpływowe. Wyważył pierwszą, a potem drugą. Po skończeniu wyjął z kieszeni trzy gwoździe z hartowanej stali. Zaklinował je kolejno w trzech zaworach na górze. Para gwizdała przeraźliwie przez krótką chwilę. Potem trzy przegrody zablokowały zawory z głuchym, metalicznym chrzęstem.

Przyklejony wciąż do nieotynkowanej ściany z prostych, porowatych cegieł, którymi wyłożono olbrzymie pomieszczenie wykopane w ziemi, dotarł do części południowej. Otworzył trzy śluzy i zamknął dwie z nich. Potem zablokował cztery zawory.

Teraz musiał już tylko wrócić tak, by nikt go nie zauważył. Wszedł po schodach używanych do konserwacji urządzeń i wychylił się przez balkon. Nikogo. Puścił się biegiem i szybko pokonał pięćdziesiąt metrów nieosłoniętej przestrzeni. Potem bez tchu, schował się w mroku.

- Gotowe? - spytali go.

- Gotowe - odparł z dumą towarzysz Ignaszewski. - A teraz pora na dział rafinacji.

Stigle w swoim biurze, zawieszonym nad olbrzymimi, wrzącymi kadziami, sprawdził wskazania manometru, wbudowanego w elegancką skrzyneczkę z różowej czereśni. Wszystko przebiegało prawidłowo. Ciśnienie było stabilne. Zamknął na klucz pokrywę urządzenia i na powrót usiadł za biurkiem. Wpisał do grubej czarnej księgi dyspozycje na następny tydzień i zajął się gazetą.

„Cukrowe rzezie” - głosił prasowy tytuł. Artykuł przywoływał wydarzenia ostatnich dni, stwarzając atmosferę rozdmuchiwanego skandalu. Były też zdjęcia dwóch willi, w których nastąpiły krwawe wydarzenia, a na pierwszym planie umieszczono fotografię mężczyzny około pięćdziesiątki, z cienkim, zadbanym wąsikiem. Podpis informował, że to nadkomisarz policji, Edward Sanguineti.

W wywiadzie znajdującym się pod artykułem nadkomisarz zapewniał, że dochodzenie prowadzi młody, ale bardzo doświadczony inspektor, obdarzony wyjątkowym zmysłem śledczym, bohater, który wcześniej wykrył skomplikowaną machinę porwań dzieci. Milton Germinal uratował syna samego Sanguinetiego, zatrzymując całą bandę i zabijając osobiście jej szefa, kobietę. Wszystkie władze, dodawał Sanguineti, zostały postawione w stan gotowości w związku z nowymi, mrozącymi krew w żyłach sprawami, które czekają jeszcze na rozwiązanie.

Nadkomisarz był jednak pewien, że już niedługo dojdzie do ich wyjaśnienia. Dziennikarz w swym krótkim komentarzu do wywiadu był raczej sceptyczny. Słowa Sanguinetiego, pisał, to „czcza gadanina”. Według jego źródeł - wiarygodnych źródeł policyjnych - zabójstwa zostały dokonane na tle politycznym i miały związek z obecnym stanem głębokiego niezadowolenia robotników cukrowni. Dziennikarz zaryzykował nawet twierdzenie, że jednym z głównych podejrzanych, choć policja nie potwierdziła tego oficjalnie, jest młody socjalista z Międzynarodówki, chroniony przez samych robotników, których podburzał i zachęcał do rewolty. „Pospółstwo” - podsumowywał - „silnie wierzy, że przerażający łańcuch przestępstw jest dziełem paladyna proletariatu, który poprzez swą działalność - zasługującą na miano terroru - chce wymóc bezsensowne i utopijne prawa dla robotników, przepowiadane przez tego bredzącego ideologa. Jeśli to prawda, a wydaje się to rzeczą coraz bardziej prawdopodobną, władze policyjne będą zmuszone zniszczyć wszelkimi dostępnymi środkami - łącznie z interwencją wojska - tego raka, zatruwającego cywilizowane społeczeństwo.”

Stigle potrząsnął głową i złożył gazetę. Sprawdził godzinę. Wyjął z kamizelki kluczyk, służący do otwierania pokrywy manometru i wstał.

W tym momencie w całej cukrowni rozległy się syreny alarmowe. Dwa razy z rzędu, potem cisza, i znów dwa razy. Sygnał ten wskazywał na wyciek bezwodnika siarczanu w dziale oczyszczania cukru. Stanowił nakaz ewakuacji działu i alarm dla wszystkich pozostałych działów w fabryce.

Stigle rzucił okiem na manometr i wybiegł z biura. Był już pośrodku balkonu z żelaza i drewna, gdy zobaczył Ignaszewskiego, który wdał się w pogawędkę z grupką robotników; wśród nich zobaczył Rinauda.

- Co się dzieje? - krzyknął do nich Stigle.

- Odejdź, Chemiku, mamy wyciek! - odparł Rinaud.

- Co ty gadasz, Rinaud? - spytał Stigle, a podejrzenie zaczęło przedzierać się powoli przez jego umysł. - Tu nic nam nie grozi.

- Mówię ci, odejdź - powtórzył Rinaud, odwracając się na chwilę, by spojrzeć na Ignaszewskiego.

Stigle podszedł do niego, patrząc mu prosto w oczy.

- Co się dzieje, Rinaud? - zapytał jeszcze raz. Potem skierował wzrok na pozostałych robotników, którzy unikali jego spojrzenia. - Co przede mną ukrywacie?

- Idźcie stąd, towarzyszu - odezwał się Ignaszewski. - To niebezpieczny wyciek, może nas wszystkich otruć...

- A co ty, do diabła, wiesz o sulfatacji? To wyciek gazowy czy ciekły? - zapytał, podchodząc do niego.

Ignaszewski popatrzył na robotników, którzy stali przy nim.

- Ciekły czy gazowy? - Stigle chwycił go za kołnierzyk marynarki.

- To wyciek w urządzeniach do sulfatacji? Nastąpił podczas wybielania?

- Nie wiem! Ale trzeba ewakuować fabrykę!

- To dlaczego wy nie uciekacie? Co tu robicie? Ten wyciek to wasza robota? - Stigle puścił Ignaszewskiego. - Gadaj, Rinaud!

W tym momencie usłyszał złowrogi chrzęst metalu i zaraz potem trzask, a po nim przenikliwy gwizd pary. Stigle wrócił na balkon i oparł się o kadzie ciśnieniowe, przytrzymując się chybotałej poręczy.

- Co zrobiliście? - krzyknął, rzucając się ku schodom używanym do konserwacji urządzeń.

- Zatrzymajcie go! - nakazał Ignaszewski, sam też biegnąc, by złapać Stigle'a.

Robotnicy rzucili się za Chemikiem.

Rinaud okazał się najbardziej zwinny i chwycił go za rękę.

- Stój, Chemiku! - krzyknął, chuchając mu w twarz ciężkim od alkoholu oddechem. - Za chwilę wszystko wyleci w powietrze!

- Nic nie wyleci w powietrze! - Stigle uderzył Rinauda pięścią w twarz.

Rinaud upadł do tyłu, i o mało co nie poleciał w dół. Ale podtrzymało go dwóch robotników. Tymczasem Stigle zbiegł już po schodach do konserwacji urządzeń. Lekkie buty odbijały się echem po metalowych stopniach.

- Stój, Chemiku! - zawołał za nim Ignaszewski.

Młody robotnik rzucił się schodami, dopadł Stigle'a i wymierzył mu kopniaka. Stigle upadł, ale wciąż przytrzymał się poręczy. Zaczął się podnosić, lecz młody robotnik i Ignaszewski złapali go i natychmiast obezwładnili.

- To twoje dzieło? - spytał rozwścieczony Stigle, wpatrując się w rozpalone oczy Ignaszewskiego.

- Sabotaż produkcji przemysłowej to jeden ze środków walki proletariatu - odparł

socjalista, dysząc.

- Nikt nic nie zrobi, dopóki ja na to nie pozwolę! - wykrzyczał mu w twarz Stigle.

- Pomóżcie nam go wyprowadzić - zwrócił się Ignaszewski do pozostałych robotników, którzy do nich dołączyli.

- Posłuchajcie mnie, w ten sposób nie rozwiążecie swych problemów. Nie przez słuchanie fanatyka...Rinaud, z zakrwawionym nosem, uderzył Stigle'a w żołądek, pozbawiając go tchu.

Z północnego sektora, z pomieszczenia z kadziami, dobiegł ponownie chrzęst metalu, a potem gwałtowny syk pary, która znalazłszy ujście, rozsadziła kolejną rurę.

Stigle uderzył głową przytrzymującego go młodego robotnika, kopnął Rinauda i wyrwał mu się.

- Nie rób z siebie bohatera, to wszystko wybuchnie! - krzyknął Rinaud.

Stigle nie odpowiedział. Potykając się, podnosząc i znów dając susy, pokonywał po dwa stopnie schodów naraz. Ignaszewski znów rzucił się za nim.

- Dokąd idziesz, towarzyszu? - wrzasnął Rinaud. A potem, widząc, że młody socjalista go nie słucha, zaczął pośpiesznie wchodzić po schodach. - Uciekajmy! - krzyknął do innych robotników, którzy natychmiast podążyli za nim.

Tymczasem Stigle pokonał już schody i rzucił się w stronę północnego skrzydła. Ignaszewski za nim. Stigle dopadł skrzynki kontroli ciśnienia i zaczął odkręcać opuszczone śluzy. Z rur, które eksplodowały, wydobywała się gwałtownie para. Ignaszewski próbował zbliżyć się do Stigle'a - który krzyczał z bólu - ale nie był w stanie pokonać wrzącej kurtyny. W kłębach pary widział go walczącego z ukropem i rozpalonymi do czerwoności śluzami.

Nad nimi wibrowały przerażająco kadzie z wrzątkiem. Śruby zaczęły wyskakiwać i odrobina lepkiej cieczy wyciekła ze złączy.

- Jesteś sługusem właścicieli! - krzyknął bezsilny Ignaszewski.

Stigle odwrócił się na chwilę, by na niego spojrzeć z wykrzywioną od wysiłku twarzą. Parząc sobie palce, wyciągnął trzy gwoździe, które klinowały zawory, i odblokował je. Potem zamknął śluzy zasilające. Para, które wydobywała się z rur, zaczęła powoli rzednąć. Stigle wycieńczony padł na ziemię.

Fabryczne syreny zawyły siedem razy z rzędu. Stigle z uśmiechem spojrzał na Ignaszewskiego.

- Wyciek jest opanowany. Twój plan nie wypalił. Mimo że zablokowałeś śluzy w

południowym skrzydle... bo zrobiłeś to, prawda?... i tak kadzie nie są już zagrożone.

Dwaj mężczyźni zmierzili się wzrokiem, dysząc. Wyzarte przez kwas dłonie Stigle'a krwawiły.

- Nie rozumiesz, Chemiku... - zaczął Ignaszewski.

- Rozumiem więcej, niż ci się wydaje - przerwał mu Stigle, podnosząc się i podchodząc do niego. - Rozumiem, że jesteś niebezpiecznym fanatykiem. Wystawiłeś na niebezpieczeństwo życie robotników, dla których, jak twierdzisz, walczysz. Wiesz, co może spowodować nadmierny wyciek bezwodnika siarczanu? Wiesz, co to jest obrzęk płuc?

- Panowie muszą zrozumieć...

- Co muszą zrozumieć? - rzekł Stigle, rzucając się do niego. - Że jesteś gotów poświęcić całą fabrykę dla swojej sprawy? Że jesteś gotów sprowadzić śmierć na robotników? - krzyczał, szarpiąc fanatyka za kłapy marynarki, a potem rzucił go z całej siły na jedną z kadzi.

Znaczek Ignaszewskiego odpiął się i upadł na ziemię.

Żelazne schody zadudniły pod ciężkimi krokami Rinauda i pozostałych robotników, którzy zawrócili, gdy już zrozumieli, że kadzie nie eksplodują. Stigle odwrócił się i patrzył na nich rozwścieczony. Ignaszewski podniósł znaczek i dysząc jeszcze, wpiął go sobie w marynarkę.

- Wy też! - krzyknął Stigle. - Tego właśnie chcecie? Pozabijać waszych towarzyszy za parę pensów więcej na tydzień?

- Ja już nie wiem, czy jesteś po naszej stronie, Chemiku - powiedział Rinaud, podchodząc do niego. - Zaczynam myśleć, że towarzysz Ignaszewski ma rację. Udajesz, że jesteś z nami, ale tak naprawdę jesteś opłacany przez wielkich panów.

- Rinaud, nie gadaj bzdur... - rzekł Stigle.

- Przepowiadasz ciągle, że nadejdzie właściwy moment, ale ten moment nigdy nie nadchodzi!

- Moment nadejdzie! - wrzasnął Stigle. - Nadejdzie! Nadejdzie!

- Kiedy? - Rinaud zachowywał się, jakby wyzywał Chemika na pojedynek.

- We właściwym czasie, Rinaud - wysyczał mu w twarz Stigle. - Kiedy wszyscy robotnicy będą uświadomieni, kiedy wszyscy będą gotowi wykrzyknąć na głos swoje racje. A nie wtedy, gdy to obwieści fanatyk bez skrupułów, wspierany przez... przez takiego pijacznę jak ty. Kiedy społeczeństwo będzie gotowe zrozumieć powody...

- Jakie społeczeństwo? - wtrącił się Ignaszewski. - To same społeczeństwo, które zgadza się, by robotnicy i górnicy byli zaledwie o jeden szczebel wyżej niż pańszczyźniani chłopci?

- A ty jak zamierzasz przekabacić społeczeństwo na waszą stronę? Jak chcesz je przekonać o waszych słusznych żądaniach? - rzucił mu w twarz Stigle. - Zabijając żony akcjonariuszy?

Ignaszewski struchlał. Cofnął się o krok, pobladył.

- Nie chcesz chyba...

- Policja ma już winnego - oznajmił Rinaud. Stigle odwrócił się i spojrzał na niego.

- Słyszałem od tych z drugiej zmiany - ciągnął Rinaud. - Aresztowali tego gościa od Człowieka-Maszyny.

XXII

Germinal wszedł do biura Landaua na pierwszym piętrze komisariatu.

- Karzeł zaczął mówić? - spytał komisarz. Germinal pokręcił głową. Miał podkrążone oczy.

- Niech pan usiądzie - powiedział komisarz. Germinal prawie padł na krzesło.

- Dziękuję - wymamrotał.

- No i? - ponaglił go Landau.

- Do niczego się nie przyznał - rzekł z westchnieniem Germinal. - Jest odważny, nie boi się. Nawet się nie zająknął, kiedy pytałem go o rzeź w willi Neefów i w willi Finneganów. Dopiero gdy... tak, miałem wrażenie, że widzę... coś jakby światło w jego oczach, kiedy wspomniałem o rysunkach Juffridiego. Powiedziałem, że morderca był idiotą, że je tam zostawił, a wtedy on struchlał. Ale to była tylko chwila. Drażyłem temat, jednak... nic z tego. Chociaż jestem przekonany, że coś ukrywa... jak wszyscy w tej historii. Tylko co? - Germinal zamilkł na chwilę i potarł zmęczone oczy. - Doktor Noverre i Sciron oskarżali się wzajemnie. Nienawidzą się... ale przez jakąś starą historię. Kręcimy się w kółko, nie dochodząc donikąd. Tak naprawdę to, co mamy w ręku, nikogo nie przygwoździ do muru... ani Scirona, ani doktora Noverre... ani tym bardziej karła.

- Rysunki Juffridiego to nic? - rzekł Landau, marszcząc brew. - Żartuje pan? Zarówno Hrabia bez Rękawów, jak i ten szarlatan...

- Nie, komisarzu - przerwał mu Germinal. - Chcemy tak uważać... to nasze pobożne życzenie... ponieważ nie mamy nic innego. Przyznajmy się do tego. Sztuczne ręce doktora i

Człowieka-Maszyny opierają się na tych samych rozwiązaniach technicznych co szczęki, które rozszarpały panią Neef i panią Finnegan, ale wykonanie tych szczęk mogło zostać zlecone również przez kogoś innego. Podobieństwo może wynikać... ba, na pewno w dużej mierze wynika z faktu, że projektant to jedna i ta sama osoba, czyli Juffridi, który wykorzystał swe umiejętności mechanika przy dwóch różnych... zleceniach. Ta sama zasada, ale inne zastosowanie. Na razie mamy jedynie podejrzenia oparte głównie na podobieństwie. Nie dowody.

- A obecność tych kości w... w pochwie pani Neef? - Landau poruszył się gwałtownie na fotelu, który zaskrzypiał pod ciężarem jego ciała. - Jak pan to wytłumaczy? Chce mi pan powiedzieć, że nie mają ścisłego związku z epizodem, który miał miejsce przy narodzinach doktora?

- Cóż, wygląda na to, że tak... - przyznał Germinal. - Istotnie, to niezwykle dziwny zbieg okoliczności... jeśli to jest zbieg okoliczności. Ale jakie wnioski możemy z tego wyciągnąć?

- Na przykład, że Sciron chciał, by podejrzenia padły na doktora Noverre. Dla mnie to ma sens.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Ale jeśli celem Scirona byłoby załatwienie doktora - odparł Germinal - to czy nie zostawiłby kolejnego dowodu również przy następnym zabójstwie? Bardziej namacalnego dowodu?

Landau zamachał rękoma, odwracając wzrok.

- Proszę pomyśleć, komisarzu - kontynuował Germinal. - Chce pan, by pańskie przewinienie spadło na doktora, nienawidzi go pan tak bardzo, że zabija niewinne osoby, i co? Nie zostawia pan żadnego dowodu, który by go przygwoździł na dobre? Nie, ta historia nie trzyma się kupy. A poza tym po co wystawiać się na ryzyko i zabijać cztery osoby w willi Neefów i pięć w willi Finneganów? Wystarczyłoby panu zabicie jakiejś nędzarki, żebraczki... - Germinal spojrział uważnie na Landaua. - Proszę pamiętać, że ta domniemana podstawa oskarżenia, ukryta w ciele pani Neef, pozostałaby niezauważona, gdybym usłuchał pańskiego rozkazu.

Landau poruszył się niezadowolony.

- Tymczasem, gdyby zabójca chciał mieć pewność, że sekcja zwłok zostanie

przeprowadzona - pastwił się dalej nad komisarzem Germinal - jakaś nędzarka byłaby dla niego wygodniejsza, jeśli wziąć pod uwagę, jak w tych okolicach mają się sprawy. - Germinal zamilkł na parę chwil. - Nie, komisarzu. Także pan widział willę Finneganów, pamięta pan czterech służących? Widzów przebranych za wielkie damy, przyglądające się scenie przestępstwa? Ten morderca nie może działać po prostu z chęci oskarżenia doktora Noverre. Precyzyjnie wybrał swe ofiary. Przeanalizował wszystko. Znał ich zwyczaje. Właśnie te dwie kobiety, Neef i Finnegan... a nie inne, przypadkowe... miały umrzeć. I to umrzeć dokładnie w taki właśnie sposób. Ale dlaczego? Co oznacza kij z bluszczem? Jeśli nie odpowiemy sobie na te pytania...

- Czyli, według pana, to są nieistotne zbiegi okoliczności? - przerwał mu poirytowany Landau. - Powinniśmy zwolnić Scirona, karła... i doktora?

- Coś mi mówi, że są w to zamieszani. Ale nie jestem przekonany, że mordercą jest jeden z nich - myślał na głos Germinal. - To tylko wrażenie, nic więcej. Tak jakby byli częścią... choć pewnie nawet o tym nie wiedzą... planu tego potwora. Jakby jakiś element ich historii przypadkiem miał... nie wiem, nie umiem tego... Tak jakby jakiś element ich historii dotyczył bezpośrednio zabójcy. Jakby mieli... może tylko doktor Noverre... albo tylko Sciron... lub obaj... jakby mieli jakąś rolę do odegrania. Tak, rolę. Rozumie pan?

- Chce pan wypuścić Scirona, karła i Hrabiego bez Rękawów? - powtórzył z uporem Landau.

- Nie, teraz nie. Ale będziemy musieli to zrobić, jeśli nie znajdziemy czegoś bardziej przekonywającego, by ich obciążyć.

- Czuję ich oddech na karku, Germinal! - wrzasnął komisarz. - Pan nie rozumie! Potrzebujemy winnego albo wydrą nam stołek spod tyłka! - Landau zniżył głos. - To musi być Sciron. Albo karzeł. Ale jeśli to żaden z nich... to znajdzie się ktoś inny. I ja już mam swój typ...

Germinal skulił się w fotelu. Był zmęczony uporem tego człowieka.

- Komisarzu... - zaczął mówić powoli, z wysiłkiem, jakby nie znajdował słów. Potem spostrzegł gazetę na biurku Landaua. Wziął ją. - Komisarzu... ten dziennikarz twierdzi, że ma swojego informatora w policji, którego zdaniem przestępstwa te mają podłoże polityczne.

- Umiem czytać - powiedział Landau, wrywając Germinalowi z ręki gazetę.

- I co z tego?

- Komisarzu, nie wiem, kto rozmawiał z tym dziennikarzem. - Germinal próbował mówić przyciszonym, spokojnym głosem. - Nie wiem, kto to był, i nie chcę wiedzieć. Ale

przedstawianie przestępstwa w tym świetle to poważny błąd. Ponieważ obaj doskonale wiemy, że sytuacja w cukrowni jest krytyczna.

- Insynuuje pan, że to ja? - zapytał zirytowany Landau.

- Nic nie insynuuje. - Głos Germinala drgnął. - Ale chciałbym, żeby pan zastanowił się przez chwilę nad tym, co mówię... i żeby wydał pan także swoim ludziom rozkaz, aby nie składali oświadczeń, które nie znalazły potwierdzenia w toku śledztwa.

- Mam już dość pańskich dyrdymałów genialnego detektywa, Germinal! - wybuchnął Landau, wstając. - Ci socjaliści w końcu zatrują nam życie. Im szybciej się ich pozbedziemy, tym lepiej. I, mówiąc między nami, traktuję ujęcie Ignaszewskiego jako priorytetową sprawę w moim okręgu.

Także Germinal podniósł się, czerwony na twarzy, mierząc wzrokiem przełożonego.

- To priorytet dla okręgu czy rozkaz wielkich panów?

- Powiedziano mi, że jest pan socjalistą. - Landau uśmiechnął się.

- Nie jestem socjalistą! - krzyknął Germinal, waląc pięścią w biurko. - Ale stanę się nim w końcu, jeśli dalej będę musiał słuchać tych wszystkich idiotyzmów!

Landau patrzył na niego w milczeniu, z nieznacznym uśmiechem na obwisłej, jak u sowy, twarzy. Potem powoli usiadł w fotelu.

- Nie bierze pan pod uwagę możliwości, że zabójcą jest Ignaszewski?

- Jeszcze długa droga przed nami, komisarzu - odpowiedział Germinal. - W tej chwili to może być każdy.

- Także Ignaszewski?

- Także Ignaszewski.

- Dobrze. Jak pan widzi, nie ma nic niewłaściwego w tym, by spróbować go złapać. - Landau uśmiechnął się zjadliwie.

Germinal czuł, że zaraz wybuchnie. Ruszył rozzłoszczony do wyjścia, zaciskając pięści.

- Należy jednak postawić uzbrojone strażę wokół domów akcjonariuszy fabryki - powiedział w drzwiach, odwracając się, by spojrzeć na Landaua. - Jeśli nie ma pan wystarczająco dużo ludzi, możemy poprosić o wsparcie.

- Czyżby chciał mi pan przypomnieć, jakie ma wpływy u nadkomisarza? - spytał ironicznie Landau.

- Do diabła z panem!

- Niech pan nie przesadza, Germinal - ostrzegł go komisarz zniżonym głosem. - W każdym razie każe rozstawić strażę. Dwóch uzbrojonych mężczyzn na jeden dom wystarczy panu? Jakież inne życzenia?

Największym na świecie życzeniem Germinala była strzykawka wypełniona heroiną. Coś, co pozwoliłoby mu uciec stąd, i to natychmiast.

- Idę porozmawiać z doktorem Noverre - oznajmił, wychodząc, i trzasnął drzwiami.

Kiedy zszedł na dół, na parter, zobaczył smukłą i elegancką czarną postać, która gestykulowała z zapalem, rozmawiając przy wejściu z wartownikiem. Natychmiast rozpoznał długie włosy, zebrane nad karkiem niemal jak u kobiety, oblane purpurową poświatą zachodzącego słońca.

- Dobry wieczór - powiedział, podchodząc do niego. Stigle odwrócił się gwałtownie z osłupiałym wzrokiem.

- Czy to prawda?

- Co prawda?

- Niech pan da spokój, inspektorze, to nie jest dobry moment na gierki. - W głosie Chemika słyhać było szczere zmartwienie. - Aresztował pan Scirona? Wierzy pan, że to on jest zabójcą? Jakie macie dowody?

- Niech pan się uspokoi, Stigle - powstrzymał go Germinal. - Widzę, że jest pan poruszony...

- Jestem. I to do głębi.

- Nie miałem pojęcia, że ma pan tak bliskie kontakty ze Scironem.

- Co pan chce wiedzieć? Do rzeczy, inspektorze - powiedział Stigle. - Niech pan mi zada pytania, które chce zadać, i potem pozwoli mi z nim porozmawiać.

- Już mówiłem temu panu, że nie może się widzieć z zatrzymanym - wtrącił się wartownik.

Germinal podniósł rękę, by go uciszyć, nawet na niego nie patrząc. Wpatrywał się w Stigle'a.

- Niech pan mi sam opowie, co trzeba, żebym nie musiał zadawać pytań.

- Temu człowiekowi zawdzięczam wszystko - zaczął Stigle. - Nie wstydę się do tego przyznać. Byłem zaledwie podrostkiem, kiedy mnie ze sobą zabrał. I wszystko, co wiem, zawdzięczam jemu. Osiągnąłem obecną pozycję tylko dlatego, że on przekazał mi swą wiedzę.

Mam ogromny dług wdzięczności w stosunku do niego... To panu wystarczy? Mogę z nim teraz porozmawiać?

Germinał patrzył na niego w milczeniu. Potem skinął ręką na strażnika przy bramie, która prowadziła do celi w suterenie.

- Zaprowadź go do zatrzymanego - rozkazał.

- Dziękuję - mruknął Stigle.

- Jest jakieś miejsce, skąd mógłbym ich podsłuchać tak, żeby mnie nie widzieli? - zapytał Germinał wartownika, gdy tylko Stigle zniknął.

- Okno w celi nie ma szyby i wychodzi na podwórze.

- Pokaż mi, gdzie to jest. Wartownik poprowadził Germinała korytarzem zakończonym dwuskrzydłowymi drzwiami, przez które wychodziło się na podwórze. Otworzył je, zszedł po trzech stopniach i po kilku krokach wskazał Germinałowi wąskie okno przy ziemi. Germinał przytknął palec do ust i dał mu znak, by sobie poszedł. Potem kucnął przy murze i nadstawił ucha.

Sciron leżał na pryczy, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się.

- Stigle... - powiedział słabym głosem. Na jego twarzy malował się strach.

- Otwórz - rzekł Stigle do policjanta, który go eskortował.

- Nie mogę - odparł tamten.

- To przynajmniej zostaw nas samych. Policjant wahał się przez chwilę, potem odszedł.

Tymczasem Sciron podszedł bliżej.

- Stigle... - powtórzył.

- Jak się pan czuje? - spytał Chemik.

- Jak pan widzi... - Sciron uśmiechnął się bezsilnie.

- Wyciągnę pana stąd - obiecał Stigle, stykając wyżarte przez kwasy ręce z dłońmi starca.

- Zobaczy pan, że pana wyciągnę.

- Ale jak? - Sciron rzekł z nutką rezygnacji w głosie.

- Wyciągnę pana stąd. Obiecuję to panu. - Głos Stigle'a był pełen determinacji i złości.

- Aresztowali też Tristante.

- On jest silny. Niech się pan nie martwi. Jestem pewien, że nie mają nic przeciwko wam.

- Są rysunki Juffridiego...

- Niech pan się nie przejmie rysunkami. - Głos Stigle'a był teraz twardy. - Jest mi pan

bliski bardziej, niż pan przypuszcza - dodał, łagodząc surowy ton, jakby recytował starą rymowanąkę. - Ci dwaj policjanci skrzywdzili... dobroczyńcę. Z zawiści, złości... spętali go więzami, ubliżali mu... - Stigle przerwał. Spojrzał na Scirona rozpalonym wzrokiem. Kiedy zaczął mówić, jego głos był znów twardy i stanowczy. - Wyciągnę stąd pana. Niech pan teraz myśli tylko o tym.

- Dziwny z ciebie człowiek, Stigle - zauważył Sciron, jakby mówił do siebie. - Byłeś dla mnie jak syn...

Stigle spuścił wzrok.

- A jednak próbowałaś wykraść mi Ignés...

Skulonego przy oknie Germinala przeszedł dreszcz. Zacisnął pięści.

- Przed tą historią z Ignés... wiesz... myślałem, że... byłem pewien, że nie podobają ci się kobiety - ciągnął Sciron ściszym głosem. - A teraz jesteś tu... jesteś tu i... i znów mówisz do mnie jak syn... Nigdy cię do końca nie rozumiałem, Stigle. Czasami mi się zdaje, że masz mniej serca ode mnie. A potem się dowiaduję, że ryzykujesz posadę w fabryce, by pomóc tym niewydarzonym robotnikom... ja... nie, nigdy cię nie rozumiałem.

Germinal nie był w stanie zrozumieć wszystkiego, co mówił cichym głosem Sciron. Pochylił się jeszcze bliżej okna, nad słuchując. Stopa pośliznęła mu się na żwirze.

Stigle usłyszał hałas. Rzucił szybko okiem na okno celi. Jeszcze raz ścisnął ręce Scirona.

- Wyciągnę pana stąd - powtórzył po cichu. Ze złością. Potem odwrócił się i wyszedł.

Ignés stała na szczycie wzgórza, które wносиło się zarówno nad miastem, jak i nad monotonną równiną Pijawczaka, i patrzyła na zachodzące na horyzoncie słońce.

Jeszcze rok została wtedy pod dachem swego ojca. Potem Sciron zabrał ją ze sobą i nauczył uprawiania tańca i miłości. Po kilku latach Stigle próbował ją osiąść, ponieważ odkrył, że oddaje się wielu mężczyznom. Ale jemu się nie oddała. A Sciron po wypędzeniu Stigle'a nie był już nigdy w stanie jej dotknąć. Od tamtego dnia, od prawie pięciu lat, Ignés nie należała do żadnego innego mężczyzny. Czuła głębokie, pełne wstrętu zmęczenie mężczyznami. Od tamtego dnia też, za każdym razem, gdy jej młode ciało drżało z żądy, ona, by pamiętać kim jest, dawała sobie rozkosz poprzez ból.

- Potraktuje cię jak dziwkę - powiedziała do siebie cicho, pocierając czubkiem buta stary, odcisnięty w błocie ślad po oponach motocykla Germinala. Potem ze złością zamazała błotny

podpis motoru i zeszła ze wzgórza, kierując się w najciemniejsze miejsce w mieście, szukając tego, co zawsze znajdowała, kiedy jeszcze zdradzała starego Scirona.

Przechadzała się bez celu, wiedząc, że ten, którego szuka, ukaże się sam i że go natychmiast rozpozna. Szła, nie rozglądając się naokoło, nie odwzajemniając spojrzeń nielicznych przechodniów, których napotykała. I z każdym krokiem palący ją płomień wzrastał, jej decyzja się umacniała, wątpliwości gasły. Jakby jeden pożar mógł zostać ugaszony tylko przez drugi pożar. Jakby ogień żywił, a nie niszczył. Szła szybko, niemal biegnąc naprzeciw temu, co porzuciła pięć lat wcześniej, i odnajdując to w sobie, w nienaruszonej formie, takie, jakie było wtedy i jakie trwało przez całe jej krótkie życie, które - przeżywane dzień po dniu - wydawało się nie mieć końca. Zanurzyła się w sercu miasta namiętnie, przepelniona złością, której nie potrafiła nazwać, popychana przez pragnienie skosztowania smaku śmierci, która była częścią jej samej. Śmierci za życia, składającej się z pogardy dla siebie, z poniżenia i cierpienia. Śmierci składającej się z jej smaku, ze smaku jej ciała, gdyby wbiła w nie zęby, z zapachu jej duszy, gdyby nią oddychała.

Szła, dopóki nie znalazła się w ciemnym, zrujnowanym świecie brudu, biedy i ziemi użyźnionej odchodami, które psuły powietrze.

- Niech panienka tam nie idzie - ostrzegła ją przed chwilą kramarka. - To jest Piekło.

Pierwszy raz stało się to przez przypadek. Sciron wziął ją siłą, w swoim wozie, tak jak to robił jej ojciec. Potem Ignés uciekła. Kręciła się bez celu, albo przynajmniej w to wierzyła. Weszła do karczmy, poprosiła o piwo, a potem się upiła. Śmiała się ze łzami w oczach. Wszyscy mężczyźni na nią patrzyli. Wyczuwała ich spojrzenia, niby pożądlive ręce, które rozdzierały jej ubranie. Przypatrzyła im się uważnie, wszystkim po kolei i każdy z nich miał twarz ojca. I pozołkłą twarz Scirona. Potem zobaczyła jego. Siedział w kącie oberży; miał wyżarty i dziobaty nos oraz zajęczką wargę, która odsłaniała krzywe, popsute zęby. Ujrzała go i natychmiast przejrzała się w tym potworze. Zobaczyła siebie samą. Taka właśnie była. Nie ojciec, nie Sciron, ale właśnie ona; taką się widziała. Zbrukaną, zniekształconą, odrażającą. Taką, jaką ojciec i Sciron chcieli, żeby była. Wyszła z karczmy i ukryła się w mroku, czekając na potwora. Zatrzymała go w zaułku i pozwoliła, by zbrukał ją swą deformacją, by obślinił jej szyję, by parszywym nosem wachał ją w najbardziej intymnych zakamarkach, by gryzł ją swymi nadpsutymi zębami.

- Niech panienka tam nie idzie. To jest Piekło - powiedziała kramarka.

- Tak, piekło - odrzekła wtedy głośno Ignés. Ponieważ to właśnie piekła szukała. Ponieważ przez lata go szukała i znalazła. Stigle nigdy nie zrozumiał, dlaczego go nie chciała. Jego wyżarte przez kwasy ręce nie wystarczały Ignés. Jego wizerunek odbiegał od wyglądu potwora, którego mogła sobie wyobrazić. Był uosobieniem piękna. Nie czułaby się przez niego splamiona, zgwałcona i poniżona. Nie przejrzałyby się w nim, nie widziałyby swej własnej deformacji. A wtedy pojawiłaby się twarz jej ojca. I Scirona. - Tak, piekło - powtórzyła, niemal krzyżąc, aby zwróciły na nią uwagę śledzące ją w ciemnościach oczy, które czuła na swym ciele, wciąż gotowym do zbrukania, po owych pięciu latach, ponieważ teraz się bała, od kilku dni bała się policjanta, który nie był potworem. Patrząc na tego fascynującego mężczyznę na motocyklu, nigdy nie ujrzała nakładającej się na niego twarzy ojca czy Scirona. I przeglądając się w jego oczach, dostrzegła obraz siebie samej, którego nie znała, który ją napawał jeszcze większym lękiem niż zdeformowana istota - do niej się przyzwyczaiła. Przy tym mężczyźnie natomiast nie czuła się zbrukana.

Nagle zza jeszcze ciemniejszego zaułka wychyły dwie czarne postacie. Skoczyły na nią, przykładając jej nóż do gardła, i pchnęły ją pod odrapany mur, szarpiąc dziewczynę swymi plugawymi rękoma. Ignés nie zareagowała, pozwalając im się popychać niczym nieuchronnej fali, zatracając się w ich brutalności, która przywracała jej siebie samą i uwalniała ją od złudzeń. Poczwała, że rozrywają na niej ubranie, a czubek noża drapie jej szyję. Usłyszała pochrząkiwania dwóch mężczyzn. Pozwoliła, by ciągnęli ją za włosy, przewrócili na ziemię, zadarli spódnicę, zaczęli obmacywać piersi. Pozwoliła, by jeden z nich, śmiejąc się, przytrzymał jej ręce nad głową, podczas gdy drugi rozpinał spodnie. Nie kopała, nie krzyczała, nie zamknęła oczu.

Tym właśnie jesteś, pomyślała tylko. Śmieciem.

- Stójcie! - rozległ się nagle ochrypły głos kobiety, zanim dwaj gwałciciele znaleźli się w Ignés.

I zaraz potem warczące ujadanie. I przekleństwo.

- Cholerna gadzina! - rozdarł się jeden z dwóch mężczyzn, wymachując nożem koło pokrytej parchami sukni, która wczepiła się w kostkę u jego nogi. - Powiedz jej, żeby mnie puściła, albo ją zabiję! - krzyknął znowu, zwracając się do staruchy, która nadchodziła powoli, opierając się jedną ręką o rozwalony wózek, a w drugiej trzymając zapaloną pochodnię.

- Chloe, spokój - nakazała kobieta, wymachując kawałkiem drewna, owiniętym w szmatę nasączoną palącym się olejem.

Suka puściła ofiarę, nie przestając warczeć i szczekać na napastników.

- Puście ją - powiedziała żebraczka, wskazując na Ignés.

- Stara wariatka - wymamrotał ugryziony mężczyzna, rozcierając kostkę u nogi.

- Odczep się, jeśli nie chcesz, żebyśmy przelecieli twoją sukę - zagroził drugi i zaraz się roześmiał. Płomień pochodni oświetlił mu bezzębne usta.

Ignés w podartym ubraniu, wciąż leżała na ziemi. Z piersiami umazanymi błotem.

- Puście ją - powtórzyła starucha, wywijając pochodnię. Jeden z mężczyzn dał susa do przodu i rozbroił staruchę. Suka skoczyła na niego, ale mężczyzna uderzył ją pochodnią. Suka zaskowyczała i cofnęła się, nie przestając zażarcie szczekać.

- Co tu się dzieje? - odezwał się nagle męski głos za ich plecami.; Gwałciciel z pochodnią odwrócił się jak oparzony.

Przed nim stał mężczyzna ze szpakowatymi włosami, brudnymi i zmierzwionymi, zarośniętą twarzą i niebieskimi oczyma, które błyszczały jak szlachetne kamienie w chudej, poranej bruzdami twarzy, czarnej od smaru. Za pasem miał dwa noże. Dwa stare noże o wyszczerbionych ostrzach.

- Co tu się dzieje? - powtórnie padło pytanie.

Suka podeszła do niego, merdając ogonem, i zaczęła ocierać się o jego nogi.

- Ona jest nasza - odparł z nutą niepewności w głosie jeden z gwałcicieli. I czubkiem buta szturchnął Ignés w bok.

- Tak, to myją znaleźliśmy, jest nasza... - dodał drugi z wyczuwalnym lękiem.

Mężczyzna z dwoma nożami przelotnie rzucił okiem na Ignés.

- Oddaj mi pochodnię - powiedziała starucha.

- Oddaj - rozkazał mężczyzna z dwoma nożami. Tymczasem z ciemnych zaułków zaczęli wychodzić ludzie i wkrótce zebrał się obdarty tłum, złożony ze starców i bardzo młodych ludzi, z kobiet i mężczyzn; wszyscy z zaciekawieniem przypatrywali się scenie. Pochodnia wróciła do rąk staruchy.

- Co się dzieje, Teresya? - spytał mężczyzna z dwoma nożami, odwracając się do starej i głaszcząc sukę.

- Miałam sen, Lipset - odparła żebraczka. - I w tym śnie była ona - dodała, wskazując Ignés.

- Skąd wiesz, że to ona? Nawet się jej nie przyjrzałaś - zaprotestował mężczyzna

ugryziony w kostkę.

- Cicho - powiedział Lipset. W jego niebieskich oczach odbijało się światło pochodni.

Suka zawarczała.

- Wiem, że to ona, bo mi się przyśniła - rzekła starucha.

- Co dokładnie było w tym śnie? - spytał Lipset Teresyę.

- Ze nie możemy jej skrzywdzić.

- Teresya - odparł Lipset - jesteś starą wariatką, wiesz o tym, prawda?

Żebraczka patrzyła na niego w milczeniu. - I straszną kłamczucha.

Żebraczka zaśmiała się. Suka wcisnęła się między jej nogi, opatulone szmatami, i zamerdała ogonem.

- Idź stąd, dziewczyno - rzekł w końcu Lipset do Ignés. Potem odwrócił się do obdartego tłumu. - Siny, jesteś tam? - rzucił w mrok pytanie.

I z tego mroku wysunął się o dwa kroki chłopak, który mógł mieć co najwyżej, albo i nie, trzynaście lat. Na jego skórze widniały sinawe plamy.

- Odprowadź ją - nakazał mężczyzna z dwoma nożami. Podeszedł do Ignés i wyciągnął do niej rękę. - Idź stąd, dziewczyno - powtórzył, pomagając jej się podnieść.

Ignés popatrzyła na staruchę, a potem na mężczyznę z dwoma nożami. Siny machnął na nią ręką i ruszył. Ignés poszła za nim, przyciskając porwaną sukienkę do nagich piersi.

Po kilku krokach chłopak odwrócił się i krzyknął:

- Teresya, ale potem będziesz musiała opowiedzieć mi całą historię!

Nikt mu nie odpowiedział.

Noverre przyklęknął i uniósł głowę znad klatki piersiowej Zoli, który leżał uśpiony na sienniku u stóp łóżka swego pana.

- Nigdy nie udało mi się go nauczyć spać na prawdziwym łóżku. Przyzwyczyił się tak, kiedy byliśmy mali - wyjaśnił z uśmiechem - i nie było mowy, żeby zmienił ten obyczaj.

Germinal spojrział na zakrwawiony bandaż, który spowijał ciasno głowę obłąkanego olbrzyma.

- Jak on się czuje? - spytał.

- Jest tak silny, na jakiego wygląda - odpowiedział Noverre z niemal rodzicielską dumą. - Ma niesamowity hart ducha. Rana nie zagoi się szybko, ale on będzie na nogach już jutro rano,

zobaczy pan. Aby przynajmniej dziś zatrzymać go w łóżku, musiałem zaaplikować mu dawkę środka usypiającego, która powaliłaby byka. Ale z jego sercem jest wszystko w porządku.

Germinał uśmiechnął się zmieszany.

- Dziękuję - powiedział Noverre. - Nie wiem, jakbym sobie poradził bez Zoli.

Germinał podszedł do kaleki i pomógł mu wstać. Teraz wiedział o nim wszystko. Noverre przez godzinę opowiadał mu o swoim przyjściu na świat, o starym hrabi, o instytucie, w którym się wychował, o spotkaniu z Zolą. Teraz Milton wiedział już o jeleniu, którego ojciec kazał kalekiemu synowi zabić i zjeść, wiedział też o złamanym żebrze i młodym doktorze instytutu, Gabrieli Scironie. Wiedział o hrabinie i jej rozwiązłym romansie z ambitnym lekarzem. Wiedział o masce młodego boga z papier *mâché* i rękach wystruganych z drewna, które upokorzyły małego hrabiego Noverre. Wiedział o eksperymentach, operacjach, torturach, mechanicznych kończynach, prądzie elektrycznym, o Juffridim i rękawiczniku. I wiedział o morfinie.

- Proszę ze mną, przejdźmy do mojego gabinetu - powiedział Noverre. Odwrócił się i rzucił okiem na Zolę. - Pozwólmy mu odpocząć. - Potem przeszedł przez podwójne przesuwane drzwi razem z Germinalem. - Zechce pan je przymknąć?

Germinał przesunął oba skrzydła, zostawiając szparę, przez którą Noverre mógł kontrolować stan Zoli.

- A pan jak się czuje, Miltonie? - zapytał go Noverre, siadając za biurkiem. - Jak tam pańska walka z uzależnieniem?

Wzrok Germinała instynktownie powędrował ku czarnej skrzyneczce z laki, ze smokiem z nefrytu, ziejącym koralowym ogniem.

- Tak, kazałem ją panu przygotować - uspokoił go Noverre. - Ale najpierw niech pan usiądzie.

Germinał spojrzał na niego. I opadł bezładnie na fotel.

- Dlaczego wybrał pan pracę policjanta? - zagadnął go Noverre.

- Ponieważ wierzę w sprawiedliwość.

- Zła odpowiedź - powiedział Noverre. - Filozof wierzy w sprawiedliwość. A święty niekiedy ją czyni. Ale policjant po prostu odkrywa prawdziwe oblicze, potem zaś karze tego, kto działa wbrew prawu... a prawo to raczej relatywna i dyskusyjna forma sprawiedliwości. Policjant może pomścić krzywdy w imieniu społeczeństwa. Dlatego jest pan tylko mścicielem, Miltonie. Jak każdy człowiek. Jak zabójca, którego pan szuka. Obaj macie zachwiane poczucie

sprawiedliwości... nie zawaham się zaliczyć również siebie do tej kategorii. Każdego z nas usprawiedliwia deformacja. Ja urodziłem się ułomny i brak jednej ręki oznacza, iż zostałem okradziony z możliwości, by karać mieczem, a brak drugiej zwalnia mnie z odpowiedzialności, bo nie mogę trzymać szali sprawiedliwości. Pański zabójca ma zdeformowaną psychikę. Ja zemściłem się na Scironie. On postąpił tak samo wobec mnie. Zabójca mści się na tych kobietach...a pan musi odkryć motyw, aby go złapać. I tak w imieniu społeczeństwa będzie pan mógł zemścić się na mordercy. A jaka jest pańska deformacja? Na kim chciał się pan zemścić, kiedy pan postanowił zostać policjantem?

- Wychowałem się w policyjnym sierocińcu - odparł Germinal. - Nie mogłem zostać nikim innym niż policjantem.

- Jest pan sierotą?

- Coś w tym rodzaju... - odparł skrzepowany Germinal, wstając. Jego wzrok powędrował znowu ku szkatułce z laki, kryjącej strzykawkę. Inspektor odwrócił się gwałtownie plecami do pokusy.

- Coś w tym rodzaju - powtórzył Noverre z uśmiechem. - Cóż za niejednoznaczna odpowiedź. Pański ojciec był policjantem i zginął na służbie?

- Nie wiem, kim był mój ojciec... Ale nie mam ochoty o tym mówić. Germinal przemierzał pokój z jednego końca w drugi, próbując nie patrzeć na pudełko z heroiną.

- Ale poznał pan przynajmniej swą matkę, prawda? - nalegał Noverre.

- Powiedziałem panu, że nie mam ochoty o tym mówić. - W głosie Germinala wzbierała złość.

Noverre milczał przez parę chwil i przyglądał mu się.

- Pamięta pan, co panu powiedziałem podczas naszej ostatniej sesji? - Nie.

Noverre uśmiechnął się z wyrozumiałością mistrza wobec ulubionego ucznia.

- Zaleciłem panu przyjrzenie się ogólnemu planowi.

- Ach tak?

- I zrobił pan to?

- Niech pan posłucha, doktorze Noverre - rzucił impertynenckim tonem Germinal - to jakaś farsa, że ja tu rozmawiam o swoim życiu z podejrzanym o zabójstwo. To ja miałem panu zadawać pytania.

- Na które ja odpowiedziałem - przerwał mu Noverre, wpatrując się intensywnie w jego

oczy. - Oby ta sytuacja nie sprowadziła pana na manowce, Miltonie. Odpowiedziałem, choć pan nigdy nie podejrzewał, że to ja jestem mordercą. Był pan urażony tym, że przemilczałem kilka spraw... sądził pan, że je przemilczałem. A tak naprawdę miałem takie same opory, by opowiadać o swoim życiu, jakie pan ma teraz, bo... bo to bolesny temat. I pan to rozumiał. Mam rację?

Germinal chrząknął pojednawczo.

- Zechce pan z powrotem usiąść, Miltonie? Germinal nie ruszył się.

- Niech pan usiądzie i przestanie się kręcić wokół tej strzykawki. Germinal usiadł z jednoczesnym grymasem złości i winy na pięknej twarzy.

- Jaka jest pańska trauma? - spytał Noverre, który nie odrywał od niego niesamowitych, magnetyzujących oczu.

- Przecież pan wie. Mówiłem o tym.

- Naprawdę pan wierzy, że pańska trauma to przypadkowe zaszytowanie kryminalistki w ciąży? - napadł na niego Noverre, wychylając się zza biurka i opierając na kikutach.

- Zabiłem niewinne dziecko! I jego matkę! To dla pana za mało na traumę?

Noverre patrzył na niego w milczeniu.

- Nie, Miltonie... nie - powiedział cicho. - Ale czytam teraz w pańskim spojrzeniu. Próbuje pan ukryć coś innego... Jak gdyby milcząc, mógł pan temu zaprzeczyć...

- Brednie!

- Dobrze się panu przyjrzałem - ciągnął Noverre. - Język gestów, zwłaszcza dla osoby, która nie może ich czynić, jak ja, jest bardzo wymowny. Nie chciał pan dotknąć stołu operacyjnego ani podczas sekcji zwłok Cynthi Couze, ani Virginii Caldwell. Co więcej, w pewnej chwili w trakcie drugiej sekcji dostrzegł pan swe odbicie w stalowym stole i był pan tym wstrząśnięty...

Germinal zmieszany wiercił się w fotelu.

Noverre wstał, obszedł biurko i stanął za jego plecami.

- Zauważyłem też, że nie zrobiło na panu spodziewanego wrażenia rozcinanie piłami i skalpelami ciała biednej Couze, ale zawahał się pan przed dokonaniem o wiele mniej krwawego czynu, czyli wsadzenia wacika do pochwy. I nie przypisałbym tego świętoszkowatemu zażenowaniu czy seksualnej fobii. Nie wygląda mi pan na osobę, która ma opory przed penetracją kobiety. No więc... dlaczego? To tu powinien pan szukać swej traumy. Swej deformacji. To są poszlaki, mówiąc policyjnym językiem. Operacyjny stół ze stali. Pochwa...

Czyja? Pańskiej matki?

Germinal odwrócił się gwałtownie, z wytrzeszczonymi oczami. Nie chciał słuchać tego człowieka. Nie chciał słuchać tego, co do niego mówił.

Ale Noverre nie przerwał przemowy.

- A więc tej nocy, kiedy już pan odkrył, że zanurzył nóż w ciężarnym brzuchu... myślał pan, że kogo zabił? Zabił pan matkę i dziecko. Ale kogo pan zabił tak naprawdę, Miltonie? Swoją matkę lub siebie samego?... Dziecko, które nie powinno się urodzić?... Niech pan mi opowie o tych krótkich pierwszych latach spędzonych z matką. Latach, które będzie pan nosił w sobie aż do ostatniego dnia życia, jak nieuleczalnego raka. To te krótkie lata nauczyły pana umierać. To te krótkie lata rozwinęły w panu przywiązanie do śmierci. Na co więc umarł mały Germinal? Nie różni się pan zbyt od tych wszystkich potworów, które mieszkają tu, w Mieście Zwierząt. - Noverre przysunął swą oszepeconą twarz do ucha Germinala. - Niech pan mi opowie o tym... bólu... - wyszeptał.

- Nie ma żadnego bólu - burknął Germinal, odsuwając się.

- Tego dnia... tak jak zdarza się to każdemu z nas pewnego dnia w życiu... miał pan możliwość przejść niewzruszenie obok włazu, który otwierał się przed panem i obiecywał prawdę - powiedział Noverre swym hipnotyzującym głosem. - I teraz wszystko wyglądałoby inaczej...

Germinal pochylił głowę, jakby ktoś zaciął go brzytwą.

- Tyle że pan otworzył ten wąż, prawda? - naciskał go Noverre.

Germinal poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Nie płacz, powiedział sobie. I natychmiast oczy stały się suche. Poczuł, jak pękają drobne naczynka, pokrywając białą galękę oczną niczym błoto, które zasycha na słońcu.

- Nie wąż. To były... drzwi - powiedział, a jego serce zaczęło łomotać, podchodząc do gardła.

- Drzwi. I jakiego potwora zobaczył pan za tymi drzwiami? - ciągnął Noverre.

Germinal był dzieckiem. Ledwie dosięgał klamki u drzwi. Ale pamiętał tę klamkę, mosiężną klamkę z pyskiem dzika, ostro wygiętą w górę.

- Zobaczyłem... moją...

- Niech pan mówi.

- ...matkę... - I Germinal padł wyczerpany na fotel. Oddech się uspokajał. Serce ponownie

znalazło się na swoim miejscu, uwalniając gardło. Cisza. Także w środku.

- Pańską matkę, aha... - rzekł Noverre ze sztucznym zdziwieniem w głosie. Z wyraźną ironią, prawie szyderstwem. - Śmierć wiary - podsumował z powagą cichym głosem.

Germinal przetaił oczy, które same zaczęły płakać, jakby do niego nie należały.

- Dalej, Miltonie.

- Niech pan mnie zostawi w spokoju! - wybuchnął nagle rozzłoszczony inspektor.

- Nie rozumie pan, że to epicentrum naszego nowego świata? - przypierał go do muru poruszony Noverre. - To tak, jakby nasze kobiety oszalały, wszystkie. Jakby wszystkie nasze matki doprowadzały do szaleństwa swe dzieci. Ta smuga seksualnych płynów łączy nas niby wspólna, gigantyczna pępowina, która nie tylko wiąże nas z naszymi narodzinami, ale przykuwa łańcuchem jednych do drugich...

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia! - krzyknął Germinal gwałtownie, waląc pięścią w biurko.

- No to czego pan chce? Strzykawki? - zaatakował go Noverre.

- Strzykawki, tak! - wrzasnął Germinal.

- Niech pan ją bierze. Na co pan czeka?

Milton podniósł się raptownie, bez wahania, jakby nie mógł się doczekać rozkazu, by móc wreszcie go wypełnić. Zwłaszcza tego. Wstał jak lalka - zdolna do pragnień, ale z mózgiem wypchanym słomą. Pragnień, które nie miały trampoliny rozumu i czekał je tylko instynktowny, ślepy skok w przepaść. Pragnień, którym brakowało wizualizacji, wyobraźni. Pragnień tak pierwotnych, że stawały się niewolą. Zwierzęcymi odruchami. Otworzył gwałtownie skrzyneczkę z laki, wyłamując zamek w wieczku. Wziął strzykawkę.

- To chciał pan zobaczyć? - krzyknął do doktora, ze łzami zasychającymi na policzkach. - No to pan nie zobaczy - dodał, wkładając strzykawkę do kieszeni. - Nie dam panu satysfakcji przyglądania się mojemu upokorzeniu.

- Albo pańskiemu bólowi - powiedział Noverre, patrząc mu w oczy.

- Bólowi? - Na twarzy Germinala pojawiła się pogarda.

- Bólowi, oczywiście - potwierdził Noverre swym hipnotyzującym głosem. - To jest właśnie patologia natury ludzkiej. Autentyczna, jedyna, ogromna, niedająca się niczym wypełnić luka między zwierzętami i ludźmi. Zwierzę nie umie cierpieć bez powodu, jak my. - Spojrzenie jego zdeformowanych oczu stało się nagle surowe. A głos twardy. - Niech pan już idzie,

Miltonie... idzie i popłacze gdzieś indziej. Ile jest pan gotów wydać na narkotyki? Płaci pan łożami... kto panu daje prawo do zadufanego myślenia, że to dobry środek płatniczy? Uważa się pan za tak cennego, że płaci mi pan słoń wodą? Nie uważa pan, że jest mi winien przynajmniej szczerość?

Za podwójnymi przesuwanymi drzwiami Zóla wiercił się, jęcząc w potrzasku sennego koszmaru.

Germinal, jak obłąkany, pchnął dyrektora Miasta Zwierząt i niemal biegiem opuścił gabinet.

Ignés była w swoim wozie, siedziała na brzegu łóżka. Nieruchoma, zgarbiona, z rękoma na brzuchu, w sukience rozerwanej na piersi i z kocem na ramionach, by zwalczyć wieczorny chłód i wilgoć. Nie myślała o niczym. Jej umysł był jak sparaliżowany. Zmysły znieczulone. Wpatrywała się w jeden punkt, w swój cień, który drżał poruszany słabym płomieniem świecy stojącej za nią. Zjawa bez życia. Nie umiała płakać ani uzalać się nad sobą. Nie potrafiła bluźnić, a nikt nie nauczył jej modlitwy. Nie mogła uciekać ani nie miała już siły, by się ukrywać.

Siedziała nieruchomo, ot tak, po prostu, na brzegu łóżka. Jakby to nie zależało od niej. Jakby już nic od niej nie zależało. Zdana na ciszę, która w niej powstała. Jakby to nie była jej cisza.

Nie podniosła głowy, kiedy usłyszała warkot motocykla. Tylko krótkie westchnienie wyrwało się z jej piersi. I została tak na brzegu łóżka, nie mając siły, by wstać ani obmyć twarzy czy piersi, utyłanych rękami dwóch włóczęgów z Piekła.

Dopiero gdy drzwi otwarły się z impetem, choć wcześniej nikt nie zapukał - jakby w jej dryfującej duszy powstał nagle jasny prześwit - dopiero wtedy Ignés podniosła wzrok i w pełni zrozumiała całą siebie. I poczuła, że jest bezkształtnym kłębkim gniewu i bólu.

Wsparła stopy o ziemię, jakby chciała zapuścić korzenie, i podniosła się, stając naprzeciw surowego spojrzenia mężczyzny, który rozwarł na oścież drzwi. I który już podczas ich pierwszego spotkania otworzył ów prześwit, który ją jednocześnie wykrwawiał i wzmacniał. Koc upadł na ziemię.

Germinal stał nieruchomo w progu; jego twarz skrywał mrok. Dyszał przez półotwarte usta. Miał wilgotne wargi i rozszerzone nozdrza. W kieszeni igłę z heroiną, którą wziął z gabinetu doktora. Jego ręce zaciskały się w pięści. Jakby chciał ją uderzyć. Biegł aż tutaj i

dopiero teraz zastygł w bezruchu jak kamień, niezdolny pokonać tych kilku kroków, które ich dzieliły, niezdolny przemówić.

A Ignés stała przed nim w milczeniu. Z brudną twarzą, piersiami umazanymi ziemią, włosami przylepionymi do czoła. Na nadgarstkach wciąż czuła zaciśnięte dłonie włóczegi, który ją obezwładnił. Oraz chłód, który owiał jej nogi, kiedy drugi podniósł jej spódnicę. W nozdrzach wciąż czuła odór dwóch ciał, których szukała, by uciec przed mężczyzną stojącym teraz przed nią. Niezdolna do niego podejść. Niezdolna go wyrzucić. W kieszeni miała guzik z macicy perłowej.

Germinal zrobił krok w jej stronę.

- Stój! - rozkazała ze złością Ignés.

Germinal patrzył na nią przez dłuższą, pełną napięcia chwilę, potem odwrócił się do drzwi.

- Zamknij je - powiedziała Ignés.

Germinal zamknął drzwi i dalej stał do niej tyłem. Na ścianie wozu widział przed sobą cień Ignés, rzucany przez świecę. Wyciągnął rękę i musnął ramię drżącej zjawy. Poglądził szyję cienistej postaci. Potem dłoń Germinala ześliznęła się do jej ręki i znów powędrowała do góry, aż do piersi, głaszcząc ją opuszkami palców. Paznokcie drapały drewnianą ścianę. Następnie podniósł drugą rękę, oparł ją na drugim ramieniu cienia Ignés i pozwolił, by ubranie opadło, zsuwając je ręką aż do ziemi i klękając. Poglądził cień po biodrach, oparł wargi na środku brzucha, a jego ręce powędrowały do góry i objęły piersi. Ręce cienia dotknęły rąk kochanka. Paznokcie Germinala wbiły się w ścianę z całej siły, wydobywając rozdzierający odgłos.

Kiedy Germinal wstał i odwrócił się, Ignés była naga. Na piersi miała czerwone pręgi. Oboje rzucili się na siebie z impetem jak dwaj wrogowie, dwaj wojownicy. Paznokcie znów drapały wzajem ciała, a wargi obnażyły zęby, nim złączyły się w pocałunku. Ręce rozerwały ze złością ubranie i brutalnie zanurzyły się w ciałach. Oddechy złączyły się w sapanie dzikiej bestii. Połączyli się i odepchnęli, wdychając swój zapach, usuwając pocałunkami brud ziemi i kalając swymi płynami to, co było nieskalane. Upadli na ziemię w połowie drogi między łóżkiem a drzwiami, obracając się i próbując pokonać jędrno drugiego, osiąść go, zwyciężyć, z plecami zaczerwienionymi od chropowatych desek wozu. On brał ją w szale, ona z tym samym odwzajemnionym szałem nakazywała mu, by ją posiadał. Wykrzywione wargi i kęsające, pogryzione usta. Palce we włosach, które szamotały się jak węże w siatce. Rozszerzone źrenice,

wpatrujące się w oczy drugiej osoby, pełne złości i rozkoszy, walki i żądzy. Wyginające się w łuk plecy, przyjmujące i przygniatające, biorące i umykające. Nogi, które kopaly i oplatały, głowy, które odskakiwały od siebie i szukały się.

Potem ciała obojga wyprężyły się, nozdrza rozdziły, wargi się wykrzywiły w zwierzęcym grymasie, powieki zacisnęły. Germinal przycisnął do podłogi przeguby rozrzuconych rąk Ignés. Krzyknął. Krzyknęła i Ignés. Germinal upadł na nią, zanurzając twarz w jej włosach. Oddechy wypełniła nowo powstała cisza.

W końcu Germinal wstał.

Twarz Ignés była zwrócona w drugą stronę. Przed nią leżała koszula Germinala. Chwyliła ją i rzuciła, nie patrząc na niego. Ubrał się bez słowa. Gdy dziewczyna usłyszała, że wychodzi, zamknęła oczy i zastygła bez ruchu.

XXIII

Noc nie była ciemna dla boga. Ponieważ bóg był światłem. Najjaśniej świecąca gwiazdą na firmamencie bogów. I tej nocy bardziej niż kiedykolwiek bóg jaśniał okrutnym światłem swej furii.

Próbowali go skuć kajdanami. Poprowadzili do stajni, ale bóg pomieszał ich zmysły. Pozwolił, by przykuli łańcuchem byka, skępowali mu sznurem nogi przy kopytach, wierząc, że to święte ręce boga. A bóg patrzył na nich, śmiejąc się w gniewie. On, który był syreną instynktów, krzykiem nienawiści. Ujadaniem, rykiem, wyciem, sykiem i skrzekiem. On, który był bogiem pierwotnych energii, uwolnionych w całej swej sile, objawionych w całej chwale. Był bogiem drzemiących mocy, przed którymi nie można było się schronić ani obronić, które uderzają w nieprzewidywalnych kierunkach, niosąc zniszczenie i niekończący się ból.

On był Bykiem, Kozłem, Lwem i Wężem.

Od jego krwi wybrańca dojrzewał granatowiec.

On był Śmiercią i Odrodzeniem.

On narodził się dwa razy, był chłopczykiem, który przeszedł przez podwójne wrota.

Bóg drżał z niecierpliwości w swej śmiertelnej powłoce. W tej nędznej skorupie, którą wybrał, by przyoblec ludzki kształt, zanim się objawi. Wygląd człowieczy, do którego bóg się zniżał, by karać. Zanim objawi promieniujące światło swej boskości.

Nie kochał matki, tej zdirowatej połowy swej boskiej natury. Kochał tylko siebie. Ale zstąpił na ziemię, by pomścić matkę, bo to w matce obrażono jego samego.

On był bogiem niekończącego się powrotu. Bogiem bękartem. I bóg zstąpił na ziemię, by się zemścić i zadać ból, którym odplaci za kłamstwa i krzywoprzysięstwo.

I teraz, tej nocy, która dla niego nie była ciemna, da ujście całej swej furii. Pokaże wszystkim, do czego jest zdolny bóg nienawiści.

I będzie krzyczał świętym głosem Sprawiedliwości.

Przez cały dzień policja kręciła się po fabryce. Dwie pary agentów. Z policyjnymi pałkami w ręku. Z bronią przewieszoną przez ramię. I ze wszędobylskim spojrzeniem jak u stróżujących psów. Gotowych gryźć, nie pytając o powód. Tylko dlatego, że są zwykłymi, głupimi psami stróżującymi. Krążyli po działach, wierząc w to, w co władza kazała im wierzyć. Że sama obecność policji jest w stanie uciszyć robotników. Że broń palna, pałka i bestialstwo na twarzy mają moc zniwelowania przepaści niesprawiedliwości społecznej, której nowy wiek nie ma już ochoty akceptować.

Chodzili wolnym krokiem po działach, jakby ich flegmatyczność mogła świadczyć o powadze ich władzy; zadawali pytania z arogancją wymalowaną na dychawicznych twarzach służących, jakby arogancja mogła równać się sprawiedliwości; grozili robotnikom, jakby zastraszanie wnosilo w posagu moc zdejmowania i nakładania więzów.

W końcu, gdy nadszedł wieczór - po tym, jak dyrekcja obwieściła, że nocna zmiana zostaje zawieszona na czas nieokreślony - czterej policjanci wyszli, a na ich miejsce przybyli tylko dwaj, którzy sami mieli strzec całej fabryki. Jeden przed głównym wejściem, tam gdzie opróżniano wózki ze świeżo zebranych burakami, drugi w strefie załadunku oczyszczonego już cukru.

Powietrze było zimne i wilgotne. Zamarzające błoto skrzypiało pod stopami dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Obaj policjanci mieli prawo otworzyć ogień.

Jak dwie dziwki, pomyślał Ignaszewski, obserwując ich z ukrycia. Poruszał się bez trudu po opustoszałej fabryce. Jak moja matka.

Mógłby zaatakować ich od tyłu, zadając cios w głowę. I chętnie by to zrobił. Nienawidził policji. Nienawidził władzy.

Urodził się w nędzarskim getcie z kobiety, która była zmuszona się prostytuować. Widział, jak umierała, dzień po dniu, zabijana przez klientów, przez alfonsów. Przez policjantów, którzy od czasu do czasu, z regularnością przypominającą nawroty malarii, przyjeżdżali do ich

dzielnicy w swych czarnych powozach, żeby bić, aresztować, skuwać kajdankami i gwałcić. Tak, zadałby im cios prawie z radością. A już na pewno ze złością. Już dawno, jeszcze zanim stał się wyznawcą idei socjalistycznych, wiedział, że policja uosabia wroga. Ale dopiero później, kiedy rozszyfrował złożony, hierarchiczny porządek społeczny, zrozumiał, że policjanci są tylko zwykłymi sługusami. Nie byli władzą, jak mu się wydawało, gdy był chłopcem i patrzył, jak wyciągają matkę za włosy. Władzę uosabiali ci, którzy nie brudzili sobie rąk. I to przeciw nim walczył całym swym jestestwem, spalając się w płomieniu Sprawiedliwości.

Podniósł z ziemi ciężką metalową rurkę. On był gotów ubrudzić sobie ręce. Zawsze. Zrobiłby to nawet bez powodu, tylko po to, by dać upust swej złości. Ale teraz miał powód, motyw. Plan. Przeznaczenie do spełnienia. Odłożył metalową rurkę na ziemię. Ruszył w kierunku dużych, matowych okien magazynu, gdzie składowano worki przeznaczone dla burżuazji, w połowie drogi między strefą ładowania i rozładunku, w połowie drogi między paszczą a zwieraczem potwora, który pożerał buraki i biednych ludzi, a efektem procesu trawienia był alabastrowy cukier. Dokładnie w połowie drogi między dwoma uzbrojonymi strażnikami.

Tej nocy miał do wykonania o wiele ważniejsze zadanie niż usunięcie dwóch policjantów.

Ostrożnie otworzył jedno z okien i wymknął się z fabryki, niezauważony ani nieusłyszany przez nikogo. Przeszedł półtora kilometra, przecinając zmarznięte pola, zanim podjął ryzyko, by iść drogą. Potem, przy rozwidleniu, gdzie droga rozdzielała się na dwie części, jedną prowadzącą do miasta, a drugą do osady robotników, skręcił w ledwie widoczną ścieżkę i po mniej więcej dwudziestu krokach dotarł do drewnianej szopy, z rozwalającym się dachem i zgniłymi ścianami. Wieśniacy przechowywali tu kiedyś swoje narzędzia. Sprawdził, czy nie ma nikogo, otworzył skrzypiące drzwi, które trzymały się na jednym tylko zardzewiałym zawiasie i, zgodnie z planem, znalazł rower ukryty pod stertą słomy.

Ulice w centrum były wyludnione. Puste i czyste, ponieważ bogacze nie mogli wdychać stęchlizny swych własnych śmieci. Obsadzone drzewami, na które padał cień kamienic o gładkich fasadach, świadkach wieków historii i arogancji. Siedziby królów. Uzurpatorów. Panów.

Ignaszewski jechał szybko, będąc cieniem w cieniu, światłem w świetle. Sprawiedliwości nikt nie powstrzyma. Sprawiedliwość ma oczy, które potrafią przeniknąć ciemności.

Zobaczył, że człowiek, za którym jechał aż tutaj, do dzielnicy wielkich panów, podchodzi do masywnej bramy z lakierowanego drewna, ozdobionej scenami historycznymi. Widział, jak rozgląda się dookoła, z uwagą sprawdzając, czy nie ma nikogo, i w końcu popycha skrzydło drzwi, tych jedynych drzwi, przez które nie powinien przejść, drzwi, które nie powinny być otwarte. Ale drzwi - te drzwi, które go zdradziły - były otwarte. O tak późnej porze, w środku nocy.

Ignaszewski rzucił się do przodu, podczas gdy tamten człowiek zniknął już w kamienicy. Przebiegł przez ulicę, nie przejmując się już czynionym hałasem. Dopadł bramy w momencie, gdy postać przysmykała ją po cichu od wewnątrz. Otworzył drzwi ramieniem. Smuga światła naftowej latarni przecięła sień, oświetlając twarz postaci, za którą przyjechał aż tutaj.

- Wiedziałem! - wybuchnął Ignaszewski. - Wiedziałem, że jesteś w zмовie z panami.

Stigle odwrócił się raptownie i rzucił się na niego, zatykając mu dłonią usta.

- Nie krzycz - nakazał. Jego napięta twarz nie zdradzała żadnych emocji. - Ignaszewski, co tu robisz?

- Co ty tu robisz, Chemiku? - Głos Ignaszewskiego odbił się echem po holu.

- Mów cicho.

- Wiedziałem, że prowadzisz podwójną grę - ciągnął rozsierdzony Ignaszewski, chwytając Stigle'a za kołnierz marynarki i popychając go pod ścianę. - Wiedziałem, że nie można ufać przełożonemu.

Światło latarni, przenikając przez otwartą bramę, oświetliło młodego socjalistę, który przyciskał Stigle'a do zacienionej ściany.

- Jesteś idiotą, Ignaszewski. - Głos Chemika był chłodny.

- Oszukujesz robotników - ciągnął młody rewolucjonista, zaciskając pięści na materiale marynarki Stigle'a. - Chcesz im wmówić, że czekasz na odpowiedni moment... ale nigdy nie będzie strajku, prawda? Nigdy nie nastanie odpowiedni moment. Ile ci płacą panowie, judaszu?

- Moje wynagrodzenie jest tak wysokie, że takie zero jak ty nie może go sobie nawet wyobrazić - odpowiedział niewidoczny w mroku Stigle, wyraźnie skandując słowa.

Ignaszewski oniemiał wobec podobnej pewności siebie, jego oczy obiegały niespokojnie Stigle'a, a ręce powoli zwalniały uścisk.

- Postawię cię przed nimi - oznajmił ostrym tonem. - A ty wytłumaczysz im, że ich oszukujesz... i powiesz, co robiłeś w domu jednego z największych akcjonariuszy cukrowni o tej

porze, w środku nocy. Wiem, kto tu mieszka. Wiem doskonale.

- Naprawdę myślisz, że wiesz? - Głos Chemika był niski, prawie rozbawiony, ale wciąż zjadliwie ironiczny.

- Zostawiono ci otwartą bramę... o tej porze, w środku nocy... - powtórzył Ignaszewski, ale puścił ofiarę i cofnął się niepewnie.

- Także narożne okno jest ledwie przymknięte. - Stigle zrobił krok w stronę Ignaszewskiego, wchodząc pod ostrze światła, które przenikało przez bramę, i spojrzał mu prosto w oczy.

- Czekają na ciebie? Przyznaj się...

- Postanowili na mnie zaczekać trzydzieści dwa lata temu - rzekł, uśmiechając się Stigle.

- O czym ty mówisz? - Ignaszewski cofnął się o kolejny krok. Stigle znów się przybliżył.

- Ale nie umięją na mnie czekać.

- Nie uda ci się wmówić mi tego, co zamierzasz. - Ignaszewski był zdezorientowany przebiegiem rozmowy. - Zdemaskowałem cię...

- To wszystko złudzenie. A ciemności to strefa religii - powiedział Stigle, coraz bliżej młodego socjalisty. - To, co widzisz... nie jest tym, czym sądzisz, że jest.

- Próbowałeś mnie wykorzystać, by pokazać robotnikom, że jesteś po ich stronie - wyszczał mu prosto w twarz Ignaszewski, pragnąc, by złość dodała mu nadszarpniętej pewności siebie. - Żeby jeszcze lepiej ich oszukać! Ale ja cię zdemaskowałem!

- Jesteś idiotą, Ignaszewski. - Głos Stigle'a był teraz twardy, a jego oczy nieruchome i zimne. Szybkim, zmysłowym gestem rozpuścił zebrane w węzeł długie, miękkie włosy.

- Powiem wszystkim, kim jesteś! - krzyknął Ignaszewski. - Powiem, że... - Jego głos załamał się i furia, która rozpalala mu wzrok, ustąpiła zdziwieniu.

Stigle chwycił go za kark i przyciągnął do siebie, odciskając usta na jego wargach. Prawa ręka wystrzeliła raptownie ku żołądkowi Ignaszewskiego. Oczy młodego socjalisty po raz kolejny niemal wyszły na wierzch z powodu palącego zaskoczenia. Potem Stigle oderwał usta od warg Ignaszewskiego i z uśmiechem cofnął się o krok. Anielska twarz, okolona spływającymi włosami, wyglądała jak buzia dziewczyny.

- Powiem, że... - wyszeptał Ignaszewski, wyciągając jedną rękę w kierunku Stigle'a, jakby szukał oparcia, a drugą kładąc na swym żołądku - ...że... - spuścił wzrok, usta zaś wykrzywił mu grymas bólu - ...że... - Ręka przy brzuchu coś chwyciła. Ignaszewski zachwiał się

i lekko zatoczył. - Że jesteś... zdrajcą... - W świetle latarni rozbłysła czerwona plama, która rozlewała się po ubraniu. Ręka była zaciśnięta na nożu. Nóż tkwił w ciele.

Stigle przysunął się kocim ruchem i jednym szarpnięciem wyciągnął ostrze, cofając się o krok. Strumień krwi zbryzgał bramę.

Ignaszewski spojrział na swoją zakrwawioną dłoń i z głuchym łoskotem upadł na ziemię.

Zmusili go, by działał przed czasem. A teraz jego gniew był podwójny. Zmusili go, by zmienił swój doskonały plan. I teraz bóg odpłaci im swoją monetą. Zemstą, furiją.

Stigle natychmiast zatkał ranę, która zabiła Ignaszewskiego, by nie zostawić śladów. Ściągnął z niego marynarkę i starł nią plamy na drzwiach i na podłodze. Potem zarzucił na plecy płócienny worek, w którym przechowywał przerażające, święte szczęki, i przeszedł przez ciemny hol, ciągnąc za sobą pozbawione życia ciało młodego socjalisty w marynarce nasiąkniętej krwią, zaciśniętej na ranie. Po lewej stronie znajdowały się schody prowadzące do apartamentu Trzeciej na pierwszym piętrze, tej która się roześmiała, splunęła i powiedziała: „Należałoby go zabić”. Bóg doszedł do końca holu, zszedł po schodach na brukowany dziedziniec, skąpany w słabym, mlecznym świetle księżyca i rozejrzał się dookoła. Za klombami po prawej stronie dojrzał małe drzwiczki. Ręce okryte cienkimi rękawiczkami z kozłowej skóry poruszały się zręcznie. Zamek drzwiczek natychmiast ustąpił. Bóg otworzył je. Zepchnął martwe ciało Ignaszewskiego ze stromych schodów, które prowadziły do piwnic. Zwłoki stoczyły się w ciemności; odgłos ciała, które uderzało o schody, tłumilo ubranie. Stigle położył worek na ziemi i zszedł w mrok, oświetlając drogę zapalniczką do cygar. Zaciągnął ciało aż pod drzwi ostatniej piwnicy, wyłamał zamek i ukrył Ignaszewskiego za stertą jakichś domowych sprzętów, które butwiały tu w zapomnieniu. Nie powinni go znaleźć, nie był częścią jego wzniesłego planu. Potem wszedł z powrotem po schodach przy słabym świetle zapalniczki do cygar, zamknął drzwi i nasłuchiwał przez chwilę, ukryty w mroku. Nic, żadnej oznaki, że go usłyszano. Zarzucił worek na ramię i wdrapał się na okno w rogu bez najmniejszego wysiłku, popychany przez własną furiją. Okiennice były tylko przymknięte. Wysunął bolec, który trzymał je razem. Okno także było otwarte. Tak jak powiedział Ignaszewskiemu. Czekala na niego pewna osoba, służąca, która też myślała, że wie, dlaczego Stigle chce wejść do apartamentu. I ona również, podobnie jak Ignaszewski, myliła się. Ponieważ on nie był tym, za kogo go brali, oszukani przez własne zmysły. Ich uwagę rozpraszał nędzny kształt człowieczy, które przyoblekł bóg, by zaprowadzić

zamęt w mieście, by dokonać zemsty i wypełnić przeznaczenie. Ponieważ był bogiem magii i złudzenia.

Stigle wskoczył do apartamentu. Wylądował na miękkim wełnianym dywanie, który stłumił odgłos skoku i metaliczne pobrzękiwanie szczęk w worku. Rozejrzał się dookoła. Na jednej ze ścian zawieszono średniowieczną broń. Na drugiej arras przedstawiający bitwę. Na środku pokoju, wokół marmurowego kominka, stały trzy szerokie kanapy, z orientalnymi narzutami, zgodnie z modą panującą w domach bogaczy. Po prawej stronie, za zamkniętymi drzwiami, znajdował się pierwszy pokój, do którego miał wejść bóg. Po lewej - kolejne drzwi, prowadzące do wejścia. Naprzeciwko podwójne drzwi, przez które przechodziło się do dwóch różnych korytarzy. Ten wąski, skryty za kwiecistą zasłoną, prowadził do kuchni i dalej do pokoi służby. Drugi, szeroki i obity dekoracyjną tkaniną, dochodził do pokoju pani domu, do Trzeciej.

Bóg wyjął z worka święte narzędzie.

Nagle drzwi, przez które miał właśnie przejść, otworzyły się tuż przed nim. W progu stał mężczyzna z lampą w ręku. Miał około pięćdziesiątki, obwisłą twarz i zwiotczałe policzki.

- To ty, mamó? - spytał zaspany mężczyzna, otulając się szczelniej jedwabnym szlafrokiem i podnosząc lampę. Potem w oczach mężczyzny pojawiło się zdziwienie. I zaraz po nim lęk.

Stigle skoczył do przodu bez wahania, ze świętym narzędziem skierowanym w stronę głowy mężczyzny, który właśnie się cofał z otwartymi ustami, nie będąc jednak w stanie wydać nawet jednego dźwięku, i wsunął mu je na głowę. Lampa upadła na ziemię, wzniecając ogień.

- Nie... - wykrztusił tylko mężczyzna.

Bóg uruchomił mechanizm świętego narzędzia. Ten zaskoczył z suchym, metalicznym szczękiem i pułapka uwięziła skronie mężczyzny. Bóg podważył ją i zdecydowanym ruchem przekreślił w lewo. Sprężyny urządzenia skoczyły w drugą stronę, w prawo, a źrenice wytrzeszczonych ze strachu oczu mężczyzny zapatrzyły się na mordercę. Kręgi niebezpiecznie chrupnęły. Głowa została z całej siły skręcona. Ciało ofiary osunęło się na ziemię bez życia.

Stigle odwrócił się, podniósł narzutę z kanapy i ugasił ogień, który uwolnił się z lampy. Potem spokojnie zsunął święte narzędzie z głowy mężczyzny, która zwisała na bok z martwej szyi. Wyprostował ją, aby spojrzeć w nieruchome źrenice.

- Mamó... - szepnął takim tonem, jakby smakował słowo. Następnie ściągnął cienkie rękawiczki z kożłęczą skóry z wyżartych przez kwasy dłoni i pogładził obwisłą twarz syna

Trzeciej. Tej, która się roześmiała, splunęła i dodała: „Należałoby go zabić”.

- Ty będziesz moim Penteuszem - oznajmił z zadowoleniem bóg. - A twoja matka będzie moją Agawę.

Następnie, jeszcze raz pogładziwszy delikatnie twarz zmarłego, Stigle wstał i odłożył święte narzędzie do worka.

- Teraz bóg będzie mógł swobodnie dać upust swej furii - rzekł, podchodząc do ściany, na której wisiała stara broń. Wybrał coś w rodzaju maczugi i udał się do pokoju dla służby.

Dziewczyna, którą Stigle uwiódł tydzień wcześniej po to, by móc rozejrzeć się po apartamencie Trzeciej, poderwała się na łóżku, kiedy bóg, nie zwracając uwagi na czyniony hałas, otworzył drzwi. Potem uśmiechnęła się, rozpoznając go w półmroku.

- To ty! - krzyknęła podnieconym głosem.

- Tak, to ja.

Maczuga spadła na jej czaszkę dwa razy.

Kiedy Stigle wychodził z pokoju służącej, kamerdyner otwierał swoje drzwi. Pierwszy cios, zadany prosto w twarz, wepchnął go do pokoju. Był już na kolanach, kiedy cios roztrzaskał mu kręgi szyjne i zabił go. Ale bóg po raz kolejny podniósł maczugę i zmiażdżył mu głowę. Ponieważ tej nocy był okrutny. I jego okrucieństwo musiało napoić się krwią.

Stigle wyszedł z bronią w ręku i udał się do pokoju, z którego przeniknął do wnętrza domu.

- Za chwilę mama Agawę obejmie cię, mój Penteuszu - zwrócił się do trupa ze skrzywionym karkiem.

Wziął worek i przemierzył korytarz prowadzący do pokoju Trzeciej. Wszedł po cichu, z dwoma sznurami w jednej ręce i szmatą w drugiej.

W powietrzu wyczuł zapach starej kobiety, którego talk nie był w stanie usunąć. Stigle podszedł do łóżka i odkrył Trzecią.

- Eunice Fairfirth - powiedział - przygotuj się, by poznać moje misteria.

Stara kobieta otworzyła szeroko oczy i zaraz potem bezzębne usta. Sucha i pomarszczona skóra na twarzy napięła się. Stigle wcisnął jej szmatę do ust. Tej nocy nie będzie mógł wsłuchiwać się w krzyki swej ofiary. Nie mógł ryzykować, że ktoś je usłyszy.

- Ale będę patrzył ci w oczy - powiedział do starej kobiety. Potem, przytrzymując ją ręką opartą na zwiotczalej piersi, powoli podwinął jej koszulę, odkrywając brzuch, i napluł na niego.

- „Tego bękarta należałoby zabić” - zacytował. - Pamiętasz to? W przerażonych oczach starej kobiety pojawił się błysk.

- Tak, teraz pamiętasz.

Następnie sprawnymi, skutecznymi i brutalnymi ruchami Stigle związał jej ręce w przegubach i zaczepił sznur o wezglowie. Potem przeszedł do nóg, unieruchamiając kościste łydki starej kobiety i przywiązując je do fryzu łóżka. Na koniec wsunął rękę za dekolt koszuli i rozdarł ją, obnażając stare ciało.

- Twój syn nie był bękartem jak ja... a jednak to on w końcu został zabity - oświadczył Stigle na odchodnym.

Stara kobieta szamotała się unieruchomiona. Wytrzeszczała oczy w przerażeniu i bólu. Jej słabe pojękiwania tłumila szmata wypełniająca usta.

Kiedy Stigle wrócił do łóżka ze straszliwymi szczękami, zobaczył sztuczną szczękę w szklance na komódce.

- Będziesz musiała umrzeć bez zębów, przykro mi, Eunice Fairfirth... - Zaśmiał się i zatopił kły w zwiotczalym ciele.

CZEŚĆ TRZECIA

XXIV

Pokoik był zanurzony w półmroku. Tylko jedna świeca na komodzie. Błask płomienia oświetlał stal i szkło strzykawki, w którą Germinal wpatrywał się nieruchomo, wbity w oparcie fotela; siedział spięty, z naprężonymi mięśniami. U jego stóp, wciąż zapieczętowane, szare pudełko z Więzienia Centralnego, zawierające osobiste rzeczy Singapura. Wszystko, co pozostało z życia spopielonego przez narkotykowego demona. Ale oczy Germinala widziały tylko strzykawkę. Gdyby wysunął się do przodu i wyciągnął rękę, mógłby ją chwycić. A gdyby ją chwycił, wystarczyłoby odciągnąć kryzę, blokującą tłoczek. Potem ciecz w kolorze miodu weszłaby do jego żył, za co zapłaciłby małą ranką, nad którą zapłakałaby tylko jedna łyza krwi.

Tak, jedno wtargnięcie stali do krwiobiegu i zapomnieliby o Ignés, która zaledwie kilka godzin temu uratowała go od tej strzykawki. Nie czułby już ciężaru winy, że schronił się w jej ciele, ze złością, tchórzliwie, wypaczając pożądanie i zamieniając je w ucieczkę. Wystarczyłoby chwycić strzykawkę i wstrzyknąć sobie heroinę. Mała ranka zaraz by się zagoiła, nie zostawiając blizny i uciszyłaby niemilknący głos doktora Noverre: „A więc tej nocy, kiedy już pan odkrył, że zanurzył nóż w ciążarnym brzuchu... Myślał pan, że kogo zabił?”. Narkotyk zawarty w

strzykawce zapewniłby schronienie przed odpowiedzią, która cisnęła mu się na usta. Wyłączyłby wspomnienia, uśmierzył ból. Pozwolił patrzeć bez zainteresowania, z odległego miejsca, na duszę, która zapomniałaby, że istnieje. Cały świat zamieniłby się w drabinę, która nie prowadziła ani w górę, ani w dół, a on osiągnąłby zapomnienie i całkowity brak zainteresowania nawet sobą samym. Mógłby przyznać wtedy bez wstydu, że uciekł przed Noverre'em ze strachu. I że ze strachu pobiegł do Ignés, po to tylko, by uciec również od niej... powodowany strachem tamtego dziecka, które wiele lat temu otworzyło drzwi, które powinny pozostać zamknięte. Ponieważ prawda nie przyniosła ulgi i spokoju. Nie jemu. Jeszcze nie teraz.

Połowa świeczki już się wypaliła, ale Germinal wciąż siedział nieruchomo przed strzykawką. „Kogo pan zabił tak naprawdę, Miltonie? Swoją matkę czy siebie samego... to znaczy dziecko, które nie powinno się urodzić?” - dźwięczał mu ciągle w głowie głos doktora. A im był głośniejszy, tym intensywniej Germinal wpatrywał się w narkotyk, zdecydowany wstrzyknąć go sobie, gdy tylko poczuje, że się poddaje, że przerażająca odpowiedź, niczym wstrzymywane wymioty, gotowa jest przedrzeć się przez usta, z chwilą gdy zauważy, że on nie jest już w stanie dłużej jej w sobie tłumić. Siedział zeszywniały, jakby najmniejszy gest mógł naruszyć tę kruchą równowagę i ciszę pełną głosów i wpatrywał się w połyskującą strzykawkę. Analizował każdy jej detal. Wystającą część tłoczka w kształcie pierścienia, w który łatwo wchodził kciuk. Małą kryzę na dole tłoka, która uniemożliwia jego wysunięcie, i która po lekkim obrocie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara odblokowuje przekładnię. Dwa stalowe skrzydełka, o które zahacza się palec wskazujący i środkowy, jako przeciwwagę dla kciuka, aby umożliwić mu wpompowanie cieczy do żyły.

Strzykawka, którą wziął z gabinetu doktora, leżała tu, na blacie komody, i drżała, jakby była żywa, poruszana przez cienie i blask świecy, która płonęła niespokojna niby dusza Germinala. A jednocześnie tak samo nieruchoma. On nie przestawał się opierać, a ona kusić. W jego nieruchomych oczach odbijał się rozedrgany blask płomienia, który szarpał go w dwóch przeciwnych kierunkach - chęć stawienia oporu walczyła z pragnieniem kapitulacji.

Kiedy otworzyły się nigdy niezamykane na klucz drzwi jego poddasza, Germinal nie odwrócił od razu wzroku od strzykawki, jakby najmniejszy ruch mógł zaważyć na wyniku walki, pozbawić go równowagi, rzucić w otchłań, na której krawędzi wisiał już i tak od zbyt dawna. Język ognia, który rozpuszczał łój świecy, poruszony gwałtownym prądem chłodnego powietrza, stanął dęba, by zaraz potem zgiąć się wpół, skwiercząc.

Dopiero gdy usłyszał, że drzwi się zamykają, Germinal spojrzął w głąb krótkiego korytarza. I zrozumiał, że stoi tam ona.

Ignés nie poruszyła się. Trzymała zaciśniętą dłoń na klamce, jakby to utrzymywało ją w pozycji stojącej. Jej szare oczy były przyzwyczajone do ciemności. Ciepłe światło świecy malowało na twarzy Germinala nieustannie zmieniające się cienie, które jednocześnie postarzały go i odmładzały, dając jej przez chwilę złudzenie, że zna go od zawsze. A przecież wcale go nie znam, myślała Ignés, czując, że sukienka opina jej piersi, wznoszące się w nagłym rytmie oddechu przyspieszonego wchodzeniem po schodach i obawą przed skutkami własnej lekkomyślności. Piersi prowokujące i białe jak mleko, które godzinę wcześniej pochyliła nad stolikiem w komisariacie na Pijawczaku, pokazując je policjantowi z tłustą cerą, by zdobyć adres inspektora policji Miliona Germinala.

Ignés nie miała w głowie żadnego planu, zawędrowała aż tutaj, w środku nocy, po opustoszałych drogach. Ponaglana przecuciem. Była ofiarą żądzy, którą teraz, w wyniku lęku i wątpliwości, postrzegała jako bezsensowną. Pobudzona przez gniew i namietność, które nie opuszczały jej od chwili, gdy brutalnie się oddała i została wzięta przez Germinala kilka godzin temu. I teraz stała tu, nie mając już ochoty nigdzie się ruszyć, z krótkim oddechem, który wypychał pod sztywnym szwem sukienki pierś, wyrrywającą się z dekoltu.

Germinal zauważył wejście Ignés. Usłyszał. Wiedział, że tylko ona może teraz stać w ciemnym korytarzu. Wyczuwał jej zapach, jej wyjątkowy, kobiecy zapach, który przeniknął już na zawsze jego nozdrza i duszę tamtego wieczoru, kiedy ich ciała stopiły się w jedno, i który teraz, od czasu ich pierwszego spotkania w osadzie robotników, natychmiast rozpoznawał. To była ona. Ignés. Posłał jej zmęczony, szczery uśmiech. Choć nawet nie wiedział, czy go widzi. Ale brak mu było słów.

Blask świecy oświetlił białe zęby Germinala. Ignés zobaczyła, jak załśniły w półmroku. Ręka porzuciła oparcie, jakie dawała jej klamka. Dziewczyna jęła się zbliżać w milczeniu, ponieważ jej także brakowało słów. Weszła do pokoju powolnym, ale już nie bojaźliwym krokiem, jak ten, który doprowadził ją schodami aż do drzwi na poddaszu. Uśmiechnęła się. Uśmiechem bez złości, bez broni, bez zbroi.

Bez wojny. Ale nie poddańczym. Uśmiechem między dwoma światami, które po raz pierwszy, i to całkowicie, zaakceptowały zbliżenie. Uśmiechem bez słów. Przeszła za fotelem, na którym siedział Germinal, muskając ręką wyściełane oparcie, jakby to jego pieściła. Jakby to był

zwykły, codzienny powrót do domu. Potem położyła się na niezaścielonym łóżku, zrzucając z nóg buty.

Germinal odwrócił głowę. Na chwilę jego wzrok ponownie napotkał strzykawkę, ale nie zatrzymał się na niej. Milton odwracał głowę, dopóki nie odnalazł spojrzeniem Ignés. Z czułością i naturalnością, która zaskoczyła go, ale nie wprawiała w zakłopotanie, wyciągnął ręce, i zaczął rozgrzewać jej zziębnięte stopy. Niespiesznie, jakby czas się zatrzymał, jakby wskazówki zegara przestały kręcić się w kółko, jakby klepsydra pozostała bez piasku. Oczy zatopione w oczach, w milczeniu. Potem dłonie Germinala przesunęły się od stóp ku kostkom i wyżej, odsłaniając nogi, białe i długie, na które kilka godzin temu nawet nie spojrział, jakby chcąc obnażyć tajemnice, których pozbawił się podczas pierwszego, brutalnego zespolecia; próbując odcisnąć w umyśle każdy pieprzyk, każdą bliznę, każde znamię, każde odgniecenie na nieskalanej i gładkiej skórze. Nachylony zaczął całować małą myszkę w kolorze herbaty nad lewym kolaniem.

I Ignés, z tą samą czułością i uwagą co Germinal, poddawszy mu się bez oporu, patrzyła na dotykające ją ręce, głaskała je i nadstawiała ucha, aby słyszeć, jak jego palce przesuwają się po jej skórze. Skóra tuż przy skórze, cichy szept pieszczot. I oddechy, które się nie urywały, namiętność, która nie krzyczała, nie zagłuszała kochanków. I jeszcze dłonie w dłoniach, by zobaczyć, czy palce jednego pomieszą się i zagubią w palcach drugiego. Oczy w oczach, nie po to, by się w nich przegłębiać, ale żeby widzieć. I dopiero po długiej opowieści, składającej się z pieszczot, ich usta złączyły się, jakby na znak przypieczętowania i potwierdzenia długiego zapoznania. Po to, by zaspokoić pragnienie, a nie po to, by się upić, żeby uśmierzyć, a nie żeby dręczyć, by nakarmić się nawzajem, a nie zaspokoić tylko własny głód. Po tych pocałunkach, wymowniejszych niż jakiegokolwiek słowo czy przysięga, uklękli na łóżku i powoli zaczęli zdejmować z siebie nawzajem ubranie, nie po to, by się rozebrać, ale by obnażyć się jak najgłębiej, aby się oddać, by pokazać jedno drugiemu, z jaką łatwością twarde skorupy zbroi zmieniają się w aksamitne płatki, gotowe do oberwania. Oba ciała połączyły się w końcu, turlając się po zmiętej pościeli. Ale teraz nie było już tego, który brał i tej, która była brana, nikt nie przyjmował, ani nikt się nie wdzierał, nikt nie zdobywał i nikt nie był ujarzmiany, nie było ofiary i łowcy, nikt nie chwycił w szpony i nikt nie dusił w uścisku. Wszystko stapiało się w jeden strumień, tak jak rzeczne wody łączą się z morzem, tworząc jedną, delikatną, niezauważalną zmarszczkę na wodzie, tam, gdzie słodycz i słoność są razem, już nierozdzielne. Żadne z nich nie krzyczało, żadne nie dyszało. Nie zamykało oczu ani ich szeroko nie otwierało. Nie szarpało

włosów ani nie przestawało splatać palców. Nie gryzło ani nie odrywało ust od warg kochanka.

A sama rozkosz miała smak, który nie pozbawił obu ciał życia, choć przekreślił całe życie, jakie istniało przed ich spotkaniem. I leżeli tak nadzy, rozciągnięci na niezaścielonym łóżku, wciąż jedno w drugim, aż słowa stały się naturalnym następstwem ich wspólnego bycia po raz pierwszy razem, jakby nadal delikatnie obrywali z siebie wzajem płatki. I obnażali się.

- Widzisz tę strzykawkę na szafce? - spytał Germinal.

- Tak - odparła Ignés.

- Nawet na nią nie spojrzałaś! - Germinal roześmiał się. - Jak możesz mówić, że tak?

- Widzę ją twoimi oczami.

Wyraz twarzy Germinala zmienił się, stał się pełen bólu. Zmarszczył brwi.

- Chciałbym nie mieć oczu.

- Jestem gotowa widzieć wszystko to, co ty widzisz... - wyszeptła Ignés, gładząc pieścziotliwym gestem zmarszczki na czole. - Ale nie prosz mnie, bym cię oślepiła.

Germinal roześmiał się z jakiegoś odległego miejsca; poczuł, że tam wpada, jakby wciągany przez wir. Długie rozmowy z Noverre'em brzęczały mu niewyraźnie w uszach i głębiej, tam gdzie coś rozstało się po tym, jak kochał się z Ignés. Jakby w końcu zobaczył cały, ogólny plan. I zrozumiał, że jeśli nadal będzie powstrzymywał i tłumił tamtą prawdę, dławiając go w środku, to postawi pod znakiem zapytania żywą i obecną prawdę, którą uosabia Ignés.

- Zabiłem kobietę - powiedział.

Ręka Ignés, która nadal głaskała jego czoło, zawahała się.

- Nie musisz mi wszystkiego opowiadać... ale jeśli chcesz to zrobić - odparła - ogarnę wzrokiem wszystko i nie odwrócę się w drugą stronę.

- A wraz z nią zabiłem dziecko, które miało się narodzić.

- Tak... widzę to...

- I nie umierasz po trosze na ten widok?

- To właśnie ci się przytrafiło? Umarłeś?

- Kiedy byłem dzieckiem, otworzyłem drzwi. Miałem zaledwie cztery lata... z trudem dosięgałem klamki... klamki, która mnie przerażała... ponieważ był to pysk dzika i pod ręką wyczuwało się ostre kły... Otworzyłem drzwi i zobaczyłem... zobaczyłem moją matkę zalaną krwią. Ona... ona odwróciła się do mnie i pokazała mi ręce. Były zakrwawione... - Germinal nie płakał i już się nie lękał. Ale chwycił dłonie Ignés i ścisnął je z całej siły. - W pokoju była też

druga kobieta, rozciągnięta na stalowym łóżku... i krzyczała... płakała... i ona także była zakrwawiona... Moja matka... zabijała dzieci. Zabijała dzieci, które miały się nie narodzić... Przeprowadzała aborcje... Stałem tam i... i... zobaczyłem swoje odbicie w błyszczącym kancie łóżka... zobaczyłem swoją przerażoną twarz tam, gdzie spływała cała krew... zobaczyłem siebie między nogami tej kobiety... i pomyślałem... pomyślałem... - Germinal zamknął oczy.

- ...że twoja matka właśnie zabija ciebie - dokończyła łagodnie Ignés.

Germinal znów otworzył oczy. Głęboko odetchnął. Wsunął rękę pod kark Ignés. Objął ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Miesiąc później przyszli policjanci i ją zabrali. Zabrali też i mnie. Ale gdzie indziej. Do policyjnego sierocińca. Nigdy już nie zobaczyłem matki. Nie wiem dlaczego. Wiele lat temu dowiedziałem się, że zmarła... - opowiadał Germinal, głaszcząc Ignés po miękkich włosach, całując ją w czoło, ponieważ była jedyną osobą na świecie, której pozwolił spojrzeć tak głęboko. Poznać okropną prawdę, do której on sam nie chciał się nigdy przyznać i która dla niej wyszła na jaw z mrocznych czeluści jego podświadomości. Przycisnął ją jeszcze mocniej, szukając jej ciepła, mając nadzieję, że będzie w stanie przeciwstawić się lodowatemu zimnu, które go opanowało. Potem, po długiej chwili milczenia, znowu przemówił:

- Doktor Noverre kilka dni temu zapytał mnie, czy zabijając tę kobietę w ciąży, w ubikacji, myślałem, że zabijam swą matkę, morderczynię dzieci, czy też dziecko, którym wtedy byłem i które nie powinno się było urodzić.

- I odpowiedziałeś sobie? Kogo zabiłeś?

- Zabiłem tamtą kobietę i dziecko nożem... a siebie strzykawką... Co za różnica?

- A teraz? Nie żyjesz?

Germinal czuł ciepły oddech Ignés na klatce piersiowej.

- Niełatwo jest umrzeć.

- Nie, niełatwo jest umrzeć - powtórzyła cicho Ignés i jeszcze mocniej przytuliła się do niego, splatając swe nagie nogi z jego nogami. Głaskała jego gładką i muskularną klatkę piersiową, widziała na nowo wszystkie potworne twarze mężczyzn, którym oddała się, by uciec przed sobą samą i za każdym razem znaleźć potwierdzenie swego zbrukania; to odczucie nie opuściło jej od czasu, gdy ojciec posiadał ją po raz pierwszy pod fabryczną ścianą. - Ja też zabiłam nienarodzone jeszcze dziecko - wyznała prawie z pośpiechem, wysuwając się z uścisku Germinala i patrząc mu w oczy. Leżała teraz na boku, wsparta łokciem o poduszkę. - Byłoby

moim synem i moim jednocześnie bratem. A jego ojciec był moim ojcem i mężem. - Ignés nie przestawała wpatrywać się w Germinala, jakby spodziewała się potępienia w oczach kochanka. - Nigdy nie będę mogła mieć dzieci. Tak powiedział mi Sciron po... zabiegu.

Germinal pogłaskał ją po twarzy, odsuwając kosmyk włosów, złapany w potrzask przymkniętych ust Ignés. Potem, przewyciężywszy jej początkowy opór, przyciągnął ją do siebie, delikatnie, ale i zdecydowanie, silnie, ale nie brutalnie. Jego wskazujący palec obrysował profil Ignés, dochodząc do ust, a potem ześliznął wzdłuż szczupłej szyi.

- Może dlatego się rozpozналиśmy. Oboje jesteśmy martwi - powiedziała Ignés, przymykając oczy.

Germinal nadal ją głaskał w milczeniu. Potem świeca obok strzykawki zgasła i pokój pograżył się w ciemności. I w ciszy. Ponieważ nie było już słów, które należało wypowiedzieć. Ani przemilczanych wspomnień, które by ich dręczyły. Leżeli po prostu obok siebie, zanurzając się powoli w spokój, którego nigdy wcześniej nie zaznali. Tak długo, że nie byli już w stanie odróżnić swojego ciała od ciała kochanka.

Nie potraktowałeś mnie jak dziwki, pomyślała Ignés z lekkim uśmiechem, bliska zaśnięciu.

I wtedy otworzyła szeroko oczy w ciemnościach. Przerazona.

Leniwe światło poranka ledwie zaczęło przenikać przez gęste zasłony na poddaszu, a obwoźni sprzedawcy dopiero co zahurkotali kołami wozów po brukowanych ulicach miasta, kiedy ktoś gwałtownie zapukał do drzwi. Kilka razy. Germinal wyskoczył z łóżka. Ignés patrzyła na niego w milczeniu, naga, siedząc w fotelu, z kolanami podciągniętymi do piersi.

- Idę! - krzyknął Germinal, wstając i otulając ciało Ignés granatowym kocem. Ukłęknął u jej stóp, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Ignés nie odwzajemniła uśmiechu. Wyciągnęła rękę i pogłaskała twarz Germinala, wciąż poważna. Jej oczy, szare jak mgła, były dalekie i płonęły zimnym ogniem.

Znów natarczywie zapukano do drzwi.

Germinal nagi poszedł otworzyć.

- Sierżant Londe chce, żeby... - zaczął przemowę stary policjant w mundurze, ale natychmiast przerwał, zaskoczony nagością Germinala, i patrzył na niego rozbawiony. - Musi pan pójść ze mną. Mam pana zaprowadzić na miejsce przestępstwa.

- Jakiego przestępstwa?

- To sprawa znajdująca się w pańskiej kompetencji, tak mówił sierżant Londe. Nic więcej nie wiem - rzekł stary policjant. - Dom Fairfirthów. To kilka przecznic stąd, proszę pana.

Germinal odwrócił się w stronę sypialni. Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Ignés.

- Tylko się ubiorę i idę - powiedział do starego policjanta, chcąc zamknąć drzwi.

- Z całym szacunkiem, inspektorze - powstrzymał go tamten - na dworze jest zimno jak w psiarni. Mogę wejść i może nawet poprosić o gorącą kawę?

- Nie - odmówił brutalnie Germinal. - Jeśli ci zimno, zaczekaj na mnie tu, za drzwiami. - I zamknął je.

Wrócił do sypialni, ubrał się w milczeniu, zadowolony, że może czuć na sobie szare oczy Ignés. Kiedy był gotów, narzucił pelerynę i podszedł do dziewczyny.

Ignés wyciągnęła rękę i zaczęła się bawić urwaną nitką.

- Mam cały czas twój guzik - szepnęła. Germinal uśmiechnął się.

- Kuchnia jest tam - powiedział. - Powinna być też kawa. Ignés nadal nawijała na wskazujący palec nitkę przy pelerynie, unikając spojrzenia Germinalowi w oczy.

- Muszę iść - powiadomił ją.

Ignés nie odpowiedziała. Ale cofnęła rękę, która bawiła się nitką. Germinal wsunął palce w jej włosy, odsłaniając czoło, a potem ruszył do drzwi. Otworzył je i przystanął. Odwrócił się do Ignés.

- Muszę iść... - powtórzył.

- Wiem...

Germinal wyszedł, zbiegł po schodach i zanim wszedł do policyjnego powozu, który czekał na niego na ulicy, aby zawieźć go w miejsce kolejnej śmierci, spojrzał w górę, w okno swej sypialni, z niespełnioną nadzieją dostrzeżenia zarysu sylwetki Ignés, odprowadzającej go wzrokiem.

Po kilku minutach powóz wjechał w przestronną aleję, obramowaną szerokimi chodnikami, z których w równych odstępach wystrzeliwały w górę wysokie, bezlistne platany. W połowie alei Germinal zobaczył zbiegowisko ludzi. Kiedy byli już blisko, trzech policjanci kazali się gapiom odsunąć, rozdzielając tłum, tak by powóz mógł przejechać. Zatrzymali się obok drugiego, identycznego, czarnego, dwukonnego powozu; Germinal zobaczył, że wysiada z niego

nadkomisarz Sanguineti. Magnetyczna lampa aparatu fotograficznego przecięła bure światło nowego dnia.

- Trzymajcie fotografów z daleka! - krzyknął nadkomisarz do jednego z policjantów. Potem dał znak Germinalowi, by poszedł za nim, i zniknął za zdobioną historycznymi scenami bramę.

- Eunice Fairfirth - powiedział, gdy obaj znaleźli się w holu o marmurowej, lśniącej posadzce. - Akcjonariuszka cukrowni.

Germinal poczuł, że krew stygnie mu w żyłach.

Krępy odzwierny w czerwonym mundurze ze złotymi pętlcami wyjrzał ukradkiem zza podwójnych szklanych drzwi po prawej stronie holu, otwierając usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale Germinal i Sanguineti wyminęli go, nawet na niego nie spojrzawszy, i skierowali się ku szerokim schodom o niskich, wytartych stopniach, które prowadziły do luksusowych apartamentów kamienicy.

- Nie wszedł po schodach - oznajmił młody policjant w głębi holu, z którego wychodziło się na wewnętrzny dziedziniec kamienicy. - Wszedł tędy.

Sanguineti i Germinal skręcili i podeszli do policjanta, który wskazywał na narożne okno. Dziedziniec był brukowany i miał geometryczny kształt. Cztery zadbane klomby tworzyły kształt czterolistnej koniczyny, pośrodku której tryskała wodą fontanna z omszałą kamienną nimfą. Po prawej stronie zobaczyli pomalowane na zielono drzewczki. Okno wskazane przez policjanta znajdowało się po drugiej stronie, w lewym rogu kamienicy, na pierwszym piętrze. Nadkomisarz Sanguineti zawrócił i wszedł po schodach wyłożonych czerwonym chodnikiem, prowadzących do apartamentu. Germinal natomiast podeszedł bliżej i zbadał teren. Natychmiast zauważył ciemny znak na jasnej ścianie. I miedzianą rynnę po prawej stronie. Postawił prawą nogę na ciemnym śladzie. Po chwili prawa stopa znalazła naturalne oparcie dokładnie na wysokości kolejnego śladu. Germinal piął się bez trudu po rynnie do góry i gdy otworzył okno od zewnątrz, policjant znajdujący się w apartamencie odwrócił się gwałtownie, zaalarmowany hałasem.

- Spokojnie - powiedział sierżant Londe. Potem, zwracając się do Germinala, dodał: - Ktoś je zostawił otwarte. Zarówno okno, jak i okiennice. Nie zostały wylamane.

Germinal wylądował na podłodze. Nie odzywał się. Jego wzrok krążył po pokoju, koncentrując się kolejno na każdym szczególe. W drzwiach pojawił się też Sanguineti. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez krótką chwilę. Potem sierżant Londe przeszedł w kąt pokoju i

pokazał im częściowo spaloną orientalną narzutę, która cuchnęła naftą. Podniósł materiał, odsłaniając lampę ze stłuczonym szkłem. Ale wzrok Germinala przykuła plama na środku przeciwległej ściany, na której wisiała średniowieczna broń. Czerwona plama od krwi skapującej z maczugi.

- Po wszystkim odwiesił ją na miejsce - potwierdził Londe i dodał: - Wiem, co myślisz... że to nie jest jego rutynowy schemat działań. Ale kiedy zobaczysz kobietę, nie będziesz miał wątpliwości. Ona jest... jak wszystkie pozostałe. To człowiek, którego szukasz.

Germinal spojrzał na nadkomisarza Sanguinetiego.

- Popełniłem błąd - powiedział cicho. - Wszystkie wille akcjonariuszy, którzy mieszkają na Pijawczaku, są obstawione... ale nie pomyślałem, że będzie działał w całym mieście.

- Niech się pan skoncentruje na sprawie - odparł Sanguinetti.

- Tędy - powiedział sierżant Londe, prowadząc ich do pokoi służby. Sanguinetti i Germinal podążyli za nim w milczeniu. Kiedy przechodzili, policjanci obecni w apartamencie uciszyli się.

- Był wściekły - rzekł cicho Germinal, jakby rozmawiał sam ze sobą, podczas gdy jego wzrok błądził po zwłokach młodej służącej i kamerdynera. - Zmasakrował ich, bo coś doprowadziło go do szału... To prawda, nie działał jak poprzednim razem... - Odwrócił się do przyjaciela. - Gdzie ona jest? - spytał.

Sierżant, któremu Germinal i Sanguinetti deptali po piętach, zawrócił, przeszedł przez szeroki korytarz obity tkaniną i poprowadził ich przed zamknięte drzwi. Na drzwiach widniał napis: „Zatem wyгнаłem je z pałaców, rażąc szalem”.

- To krew - powiedział sierżant Londe.

- Zaczął do nas... *mówić*. - I Germinal powoli otworzył drzwi.

Kobieta siedziała grzecznie na środku łóżka, oparta plecami o wezglowie; jej udręczone przez metalowe szczęki ciało okrywała koźlęca skóra. Twarz, umalowana krzykliwie, ni to jak u prostytutki, ni to jak u opętanej, była wykrzywiona. Bezzębne usta otwarte w niemym krzyku.

- Ona jest stara! - krzyknął zaskoczony Germinal i natychmiast odwrócił się plecami do przerażającego widoku, by nie pozwolić się opanować myślom, które nagle zaczęły kłębić się w jego głowie. - To nie ma sensu... - dodał cicho. - Dwie pierwsze kobiety były piękne... sądziłem, że... - Przetarł ręką oczy. Wiedział, że musi się skupić na obejrzeniu pokoju. Potem będzie miał czas, by się zastanowić. Teraz musiał dokładnie się przyjrzeć. Chłonał makabrę. I zaraz zobaczył

coś, co przeraziło go bardziej niż same morderstwa. - Tak, zaczyna z nami rozmawiać - powtórzył i odwrócił się.

Ściany pokoju były oklejone błękitną tapetą w nikłe, złote prążki i delikatne kwiaty, które przechodziły z różu w kolor lila. Pokój niemal dziewczęcy. Łóżko stało na środku ściany znajdującej się naprzeciwko drzwi. Krew poplamiała czerwoną pościel i ścianę po lewej stronie ofiary. Parę bryzgów zachlapało też blat komody i zabarwiło wodę w szklance, w której leżały zęby Eunice Fairfirth.

Ale to, co pochłonęło całą uwagę Germinala, znajdowało się nad wezgłowiem łóżka ze zwykłego, jasnego orzecha, z dwiema małymi, ciemnymi kolumnkami po bokach, oraz dwoma eleganckimi, złożonymi zwieńczeniami na górze. Drugi napis. Czerwony.

Nie posepny ani złowieszczy. Ani zatrwajający.

„Raduję się, że wielki, wielki i wspaniały czyn dla miasta tego spełniłam”.

Germinal, wstrzymując oddech, podszedł do starej kobiety, umalowanej jak dziwka. Koźleca skóra okrywała zwiotczone ciało, zmasakrowane ukąszeniami. Nogi okrywała kołdra nasiąknięta krwią. Nadgarstki obu rąk nosiły ślady głębokich zadrapań. Morderca przywiązał kobietę tak jak pozostałe. Ale tym razem zabrał sznury. Ponieważ spektakl wymagał, by miała wolne ręce. Prawa dłoń ścisnęła krótki kij, opleciony pędem bluszczu. Lewa natomiast, oparta o brzuch ręka trzymała odciętą głowę mężczyzny około pięćdziesiątki. Na jego zamkniętych powiekach morderca namalował białą i czarną kredką oczy.

- To jej syn - poinformował Londe z zakłopotaniem. - Reszta... ciała, no cóż... jest pod łóżkiem.

Germinal wziął głęboki oddech, próbując nie ulec panice. Odwrócił wzrok w lewo. Na szkle, za którym znajdowała się akwarela przedstawiająca bukoliczną scenę, widniał trzeci krwawoczerwony napis. „Niepowściągliwe języki, głupota praw nieznająca, przynoszą w końcu nieszczęście”.

- Przyjechał doktor Vestris - zaanonsował od drzwi policjant, nie wchodząc i stojąc ze spuszczoną głową, by nie patrzeć na jatki w pokoju.

- Sekcję zwłok musi przeprowadzić doktor Noverre - powiedział niemal odruchowo Germinal, odwracając się do nadkomisarza, wciąż wstrząśnięty napisami.

- Doktor Vestris jest lekarzem sądowym w tym okręgu - odparł ostro Sanguineti.

- Wolałbym, żeby...

- Nie chcę zaczynać rozmowy na temat kompetencji - przerwał mu Sanguineti.

Germinal spojrzał na niego w milczeniu.

- Zgoda - powiedział.

Sanguineti czekał, aż policjant się oddali, i zrobił krok w kierunku Germinala, patrząc mu w oczy.

- Inspektorze, jest pan w stanie prowadzić to śledztwo? - spytał.

Germinal zjeżył się. Wytrzymał spojrzenie przełożonego. Bez słowa. Z zaciśniętymi pięściami.

Sanguineti odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Londe patrzył na Germinala. Chciał zapytać, jak się czuje. Chciał mu pomóc. Ale nie odezwał się.

- Ma rację - rzekł Germinal, przerywając ciszę. - To wszystko moja wina.

Sierżant Londe patrzył na niego przez chwilę, po czym również wyszedł.

Germinal usłyszał, jak wydaje swym ludziom rozkazy. Potem rozpoznał nienawistny głos komisarza Landaua. Zamknął drzwi, próbując odizolować się od hałasu. Ten morderca mówił, pragnął wykrzyczeć swe obłąkane motywy, a on nie miał uszu, by go usłyszeć.

Odsunął kołdrę, która okrywała nogi starej kobiety. I cofnął się o krok, przerażony. Oto znów koszmarny głos mordercy. Germinal, dysząc, pochylił się nad łapczywie nadzartymi nogami. Na lewym udzie między ukąszeniami wił się napis kręty jak wąż. „Mnie, boga, ciężko wyście...”. Zdanie się urywało, by skończyć się na prawym udzie drugim trującym węzłem czerwonych liter, tym razem krótszym: „...znieważyli”.

- „Mnie, boga, ciężko wyście znieważyli” - powiedział głośno Germinal.

Potem odsunął się, wstrząśnięty. Osłonił rękoma klatkę piersiową, jakby szukając schronienia, pragnąc, by to ramiona Ignés go objęły, i osunął się na podłogę. Był zmęczony. Pokonany. Pod łóżkiem ujrzał ciało syna Eunice Fairfirth. Gołe, owłosione nogi wystawały spod czarnej atlasowej spódnicy. Ofiara została przebrana za kobietę. Cień łóżka ukrywał resztę ciała, od którego oderwano głowę. Paznokcie mężczyzny były pomalowane krwią.

Germinal podniósł się z podłogi, w chwili gdy doktor Vestris otworzył bez pukania drzwi i wszedł do pokoju w towarzystwie fotografa.

Lekarz sądowy trzymał w ustach cienkiego papierosa i dym, który unosił się w szarych spiralach, zmuszał go do mrużenia oczu, jakby był krótkowidzem bez okularów. Siwe włosy

pożółkły od nikotyny.

- Fantastyczny sposób na rozpoczęcie dnia - burknął, zwracając się do Germinala i jednocześnie pochylając nad zwłokami starej kobiety. Odkasznął i odrobina popiołu zaskwierczała w jednej z ran po ugryzieniu. Lekarz wzruszył ramionami, spojrzął na odciętą głowę z oczami namalowanymi na powiekach i skomentował: - Zabójca i malarz. - Potem, przeklinając swe zeszywniałe stawy, ukląkł i zajrzał pod łóżko.

Germinal przepuścił fotografa ze statywem i wyszedł z pokoju. W korytarzu natknął się na komisarza Landaua, ale poza krótkim, powitaniem, które zabrzmiało jak warknięcie, nie zamienił z nim ani słowa. Szedł, nie rozglądając się dookoła, opuścił apartament i skrył się w korytarzu kamienicy. Usiadł, opierając się o ścianę naprzeciwko muru, po którym wdrapał się morderca. Potrzebował powietrza. Brakowało mu tchu. Z zewnątrz słyszał wrzeszczący tłum gapiów. Przez szyby okien na pierwszym piętrze widział krążących policjantów, przeszukujących apartament, wypatrujących śladów pozostawionych przez mordercę, którego on, Germinal, nie docenił. Tego potwora, którego planu nie zdołał rozszyfrować. Tego chorego umysłu, do którego nie był w stanie przeniknąć. Zamknął oczy i próbował prześledzić chronologicznie serię obmierzłych przestępstw.

Więc pierwszy to Juffridi. Jego śmierć była w jakiś sposób potrzebna. Kował wiedział, kim jest morderca. Tak samo jak potrzebne były - wedle okrutnego sposobu postępowania i myślenia zbrodniarza - zabójstwa służących ofiar.

Dziewięcioro ludzi! - pomyślał ze zgrozą Germinal.

Dziewięć istot ludzkich, wyeliminowanych tylko dlatego, że stanęły na drodze potwora. Usuniętych z lodowatą obojętnością. Trojga pierwszych po prostu się pozbył, jakby nie istniały. Cztery następne osoby zostały wykorzystane do wystawienia spektaklu śmierci i usadzone jako widzowie. I w końcu dwie ostatnie, okrutnie zmasakrowane. Zmasakrowane z furją. Coś kazało przestępcy zmienić metody działania. Syn trzeciej ofiary znalazł miejsce pośrodku, jeśli tak można powiedzieć, hierarchii. To oczywiste, że nie on był celem mordercy, ale jednocześnie odgrywał mniej bierną rolę niż widzowie drugiego zabójstwa. Stanowił integralną część spektaklu. Nie patrzył. To na niego miano patrzeć. W łonie matki.

Jakby dopiero się urodził? - zadał sobie w duchu pytanie Germinal, zdjęty dreszczem.

Przebiegł go jakby lekki wstrząs elektryczny, delikatne podniecenie, które dobrze znał, bo odczuwał je za każdym razem, gdy zbliżał się do prawdy. Do tematu narodzin, któremu po

zwierzeniu się Ignés mógł teraz stawić czoło bez problemu. Prawie bez strachu. Ponieważ przerażająca tajemnica jego matki, którą nosił w sobie przez wiele lat, ukryta w najmroczniejszych zakamarkach jego duszy, teraz wychynęła na światło dzienne. Zobaczył siebie jako dziecko odbite w owym jeziorze krwi. Zobaczył się jako dziecko i wreszcie zrozumiał. Poczuł ciężar owej śmierci, która naznaczyła go i towarzyszyła mu aż do teraz, wierniejsza niż jego własny cień. I strach, że zostanie odrzucony, niechciany. Ból owego objawienia był przeszywający, nie byłby nigdy w stanie znieść go sam ani stawić mu czoła, ale dzięki Ignés to się udało. Dzięki Ignés uczynił krok, do którego przygotowywał go Noverre podczas ich psychoanalitycznych sesji. I teraz, choć udręczony wypieranym przez lata wspomnieniem, czuł się wolny. Wolny. Gotów spojrzeć na ogólny plan.

- Jakby dopiero się urodził... - powtórzył na głos, myśląc o głowie syna, którą matka trzymała na brzuchu. W pochwie pierwszej ofiary morderca ukrył ludzką mosznę - jak macię w macicy - która zawierała kości łasicy. Wszystkie kości, służące do uformowania łapy. Z powodu zdania wypowiedzianego przez starego hrabiego Noverre: „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi”, oni zdekoncentrowali się, zbczyli z drogi. Ta wiadomość mogła przecież wskazywać na inne narodziny. Przyczyna, dla której morderca wybrał jako symbol kobiecej macicy męską mosznę, nie była jeszcze jasna, ale musiało to znaczyć coś konkretnego. A tendencja do nieużywania rąk zarówno przy zabijaniu służących, jak i masakrowaniu kobiet, łączyła się nierozzerwalnie z łapą, która oznaczała płód. Łapa jak ręka. I ręka jako symbol dziecka. Poza tym, ponieważ nie można było nie rozpoznać w tych zabójstwach symbolu ściśle seksualnego, z całą pewnością ręce miały dla mordercy silną wymowę seksualną. On *był* swoimi rękoma. „To tak, jakby nasze kobiety oszalały, wszystkie. Jakby wszystkie nasze matki doprowadzały do szaleństwa swe dzieci. I ta smuga seksualnych płynów nas wszystkich łączy, niby gigantyczna wspólna pępowina, która nie tylko wiąże nas z naszymi narodzinami, ale przykuwa łańcuchem jednych do drugich” - powiedział niedawno Noverre.

- Tak, jesteś związany ze swymi narodzinami - znów powtórzył na głos Germinal, patrząc na okno, przez które morderca wszedł do domu ostatniej ofiary. I wbił spojrzenie w miedzianą rynnę, po której to potworne dziecko wspięło się niby po sztywnej pępowinie, by wrócić do swej matki.

- Za każdym razem wracasz do matki? - zadał pytanie Germinal, wyraźnie rozdzielając słowa.

I wtedy odnalazł także w drugim zabójstwie symbol, którego mu brakowało. Na ziemi, u stóp łóżka, znaleźli białą porcelanową miskę z wodą. I dwa białe ręczniki. Nietknięte. I gazę. Nietkniętą. W tym pokoju zalanym krwią biel nie została zbrukana. Germinal myślał wtedy, że to czysty przypadek. Ale w tych zabójstwach nie było nic przypadkowego. Błędnie przypuszczał, że przedmioty te służyły do kobiecej toalety. Tymczasem były to symbole porodu. I gaza służyła do owinięcia noworodka. „Mnie, boga, ciężko wyście znieważyli” - napisał morderca na udach starej kobiety. Na udach. Tak blisko okolic przeznaczonych do porodu. Morderca stał się ciałem, zaznając gwałtu. Urodził się, doznając niesprawiedliwości. W tym momencie każde pytanie znajdowało odpowiedź: jego narodziny. Oto co celebrował, jak określił to Noverre.

- Tak, jesteś związany ze swoimi narodzinami - powiedział znów Germinal. - I wielu jest połączonych z tobą tą pepowiną...

Germinal usłyszał odgłos szybkich kroków na podwórku. Gdy po chwili podniósł oczy, zobaczył zbliżającego się doń policjanta. Spuścił wzrok, by nic go nie rozpraszało w czasie tych ostatnich rozważań. Czuł, że jest o krok od ważnego odkrycia. O krok od zrozumienia mordercy. Był w euforii. Przeszłość stanowiła klucz. Narodziny tworzące związek - prawdziwy i symboliczny - z trzema kobietami, które potwór wybrał, by zabić je w tak bestialski, a jednocześnie rytualny sposób. I instynkt podpowiadał Germinalowi, że gdyby trzecia kobieta przypominała dwie pierwsze wiekiem lub wyglądem, może musiałyby przeważać teza o związku symbolicznym. Ale wybór trzeciej ofiary, tak starej i tak różnej od tamtych, nie tyle matki, ile raczej babki, wskazywał niewątpliwie, że teraźniejszość, której nadano formę widowiskowej, potwornej wizji, sięgała swymi korzeniami do równoległej, minionej rzeczywistości o identycznych konotacjach, niczym w koszmarnym śnie. Coś naprawdę się stało. Coś traumatycznego, co Germinal może mógłby odtworzyć właśnie dlatego, że faktycznie się wydarzyło. Wydarzyło się przy udziale tych samych bohaterów. „To morderca urodzony w starym wieku... który każe się czcić w nowym stuleciu” - powiedział Noverre. I oto właśnie przyglądali się oddawaniu czci. I w tym oddawaniu czci została opisana - najprawdopodobniej bardzo szczegółowo - przeszłość, w której urodził się morderca. Tak, wszystko musiało być powiązane z narodzinami.

A trzy ofiary musiały mieć coś wspólnego z jego tragicznym, nieszczęsnym przyjściem na świat.

- Inspektorze... - zaczął mówić policjant, idąc w kierunku Germinala i przerywając tok

jego myśli - ...doktor Vestris pyta, czy może zabrać ciała, żeby... - Ale uczyniwszy ostatni krok, przerwał i przeniósł wzrok na swe ciężkie wojskowe buty, które na coś nadepnęły, wydając metaliczny zgrzyt. Policjant pochylił się i podniósł mały przedmiot.

- Tak, tak... niech je zabierze - odparł zniecierpliwiony Germinal. Ale policjant nie odchodził i dalej obracał między skostniałymi z zimna palcami znaleziony przedmiot.

- No, co jest? - spytał Germinal, z każdą chwilą bardziej rozdrażniony.

Wtedy policjant podał mu mały metalowy przedmiot. Znaczek. Dwie skrzyżowane ręce na tle czerwonej fabryki i złożone brzegi dookoła.

- Germinal, my już idziemy - oznajmił w tym momencie nadkomisarz Sanguineti, podchodząc w asyście sierżanta Londe.

Wzrok Germinala był wbity w znaczek. W ten wyjątkowy znaczek, który widział tylko jeden raz, w klapie marynarki mężczyzny, którego miał w rękach i któremu pozwolił uciec.

- Co znalazłeś? - zapytał Londe.

Germinal spojrzał na niego. Z rozczarowaniem w oczach. Jego podniecenie sprzed zaledwie kilku minut znów ustępowało miejsca poczuciu klęski. Zobaczył, że również komisarz Landau podchodzi bliżej.

- Ten znaczek... - ledwie wymamrotał inspektor - należy do... do... Ignaszewskiego...

- Ignaszewskiego? - powtórzył Landau. - Niech mi pan go pokaże, Germinal - rzekł, wyrwijąc Miltonowi znaczek z ręki. - Gdzie pan to znalazł?

Germinal przeniósł wzrok na Sanguinetiego.

Nadkomisarz patrzył na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Ten Ignaszewski to... - zaczął po chwili.

- ...człowiek, którego od pierwszej rzezi uważałem za winnego - wtrącił się Landau. - Wichrzyciel, który zabija, by usankcjonować swe zbrodnicze idee socjalistyczne. I ten znaczek na miejscu przestępstwa jest tego dowodem. - Komisarz wymierzył palec w Germinala. - To wina pańskiego najlepszego człowieka, panie nadkomisarzu! Gdyby nie pozwolił mu uciec... gdyby z uporem nie odrzucał oczywistych wniosków z dochodzenia... ilu zmarłych mniej mielibyśmy teraz?

Dziewięciu zamordowanych mniej, pomyślał Germinal, czując bolesny skurcz w klatce piersiowej. Pięć ofiar zamiast czternastu, obliczył z desperackim poczuciem winy.

- To pan ich zabił, Germinal! - krzyknął Landau.

- Niech się pan uspokoi, komisarzu - zainterweniował Sanguinetti, unikając wzroku Germinala. - Od tego momentu śledztwo wraca w pańskie ręce. Niech pan weźmie tylu ludzi, ilu potrzeba, by złapać tego socjalistę.

Landau z uśmiechem zjadliwej satysfakcji, którego nie zdołał powstrzymać, wypiął szeroką, masywną pierś.

- Niech pan już idzie - polecił oschle Sanguinetti. Potem, gdy Landau był już daleko, zwrócił się do swego protegowanego: - Niech pan weźmie kilka dni wolnego, Germinal - rzekł zbolalym głosem, odwrócił się do niego plecami i odszedł.

Germinal miał zgaszony wzrok. Wyprostowane ramiona znów poddały się i opadły, sprawiając wrażenie, jakby inspektor był mniejszy i szczuplejszy niż w rzeczywistości. Człowiek opuszczony przez siebie samego.

- Londe, pośpiesz się! - rzucił nadkomisarz Sanguinetti, nawet się nie odwracając.

- Muszę iść... - usprawiedliwił się przed Miltonem zakłopotany Londe.

Germinal usłyszał rozbrzmiewające w głowie zdanie, którego nie powiedział Ignés nawet godzinę temu, kiedy się z nią żegnał. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że w jej oczach, szarych jak mgła, coś wyczytał. Coś, co sprawiło, że zaczął myśleć, iż nie są już tacy jak tamtej nocy. I dopiero w tym momencie, kiedy cały świat mu się zawalił, poczuł, że i ją straci.

- Muszę iść... - powtórzył Londe, odwracając się do niego plecami.

- Wiem... - wyszeptał Germinal.

XXV

- W dół! - krzyknął łysy mężczyzna z bujnymi, opadającymi wąsami.

Dwa zespoły pomocników jednocześnie odczepiały długie, grube odciagi, ściemniałe od niepogody. Namiot wibrował przez chwilę, gdy liny z plecionych konopi z chrzęstem wyskakiwały z zabezpieczających pierścieni. Potem płótno pomalowane w jaskrawe pionowe pasy rozdzieliło się na dwie części i z głuchym łoskotem zwinęło na ziemi, odsłaniając drewniany szkielet cyrku Scirona.

Pośrodku gęstych rusztowań ukazała się pusta jak podest szubienicy podwyższona arena, na której występował Człowiek-Maszyna.

Sciron i Tristante, zwolnieni dziś rano z aresztu, obserwowali wszystko, stojąc z boku, oparci plecami o wóz. Na pożółkłej twarzy Scirona widać było ślady cierpienia wywołanego pobytem w więzieniu. Starzec oderwał się od wozu i podszedł do dwóch zespołów pomocników,

którzy zaczęli rozkładać płótna namiotu, by następnie je złożyć i zapakować.

- Musicie się pośpieszyć - powiedział z nutą niepokoju w zmęczonym głosie do tysego mężczyzny z opadającymi wąsami.

- Tak, proszę pana - odparł szef zespołu. - Ale będziemy potrzebowali całego dzisiejszego dnia i prawdopodobnie jutrzejszego poranka. Nie sądzę, żeby udało nam się wyjechać przed południem.

- Nie chcę zostać ani jeden dzień dłużej w tym przeklętym przez Boga miejscu - oświadczył Sciron. - Podwójna stawka dla wszystkich, jeśli się pośpieszycie. I skrzynka dżinu.

- Dziękuję panu - uśmiechnął się mężczyzna zaskoczony. - Jeśli da nam pan skrzynkę dżinu teraz, będziemy pracować także po zmroku.

- Idź po nią - zezwolił mu Sciron, wskazując ruchem ręki wóz z zapasami.

- Podwójna stawka! - krzyknął wąsacz do swych ludzi. - I skrzynka dżinu na rozgrzewkę! Pomocnicy wybuchnęli radością, gwizdząc i pokrzykując.

- Ale musimy być gotowi do wyjazdu jutro rano! - dodał wąsacz, idąc do wozu z żywnością.

Sciron odprowadził wzrokiem zespół cieślów, którzy już wdrapywali się na szkielet namiotu, a potem wrócił do Tristante, który właśnie pomagał wąsaczowi przenieść skrzynkę z dżinem wśród wesołych gwizdów pomocników. Nagle zobaczył samotnie idącą Ignés, która zdawała się wylaniać z nicości. Przyciskając ręce do piersi, zatrzymała się na skraju wzgórza, pod którym rozpościerało się wielkie miasto. Sciron przeszedł przez plac, gdzie wszyscy hałasowali i wykrzykiwali polecenia, i podszedł do dziewczyny.

Ignés usłyszała szuranie starych, niepewnych kroków, ale się nie odwróciła. Sciron stanął przy niej, zachwycił się jej harmonijnym profilem i wyczytał w spojrzeniu tancerki głęboki smutek.

- Ile razy rozbijaliśmy i zwijaliśmy namioty? - odezwała się Ignés.

- Nie wróciłaś na noc - rzekł Sciron, błędząc wzrokiem po rozciągającym się poniżej mieście i szukając tego, co widziała tam Ignés.

I tak bez ruchu, ramię w ramię, a jednak bardzo sobie dalecy, stali długo w milczeniu.

- Cieszę się, że cię wypuścili - powiedziała Ignés.

Sciron odwrócił się i spojrzał na nią zaskoczony. Prawie przestraszony. Podejrzliwy.

- Popeliłem wiele błędów... ale nigdy nikogo nie zabiłem. Oczy Ignés wciąż były

wpatrzone w miasto, jakby wiedziała, na co patrzeć. Tylko usta poruszały się z lekka, zaciskając się jednocześnie, jakby chciała powstrzymać cały smutek, który wyzierał z jej oczu.

- Można pozbawić kogoś życia, nie zabijając go.

- Zrobiłabyś to?

Ignés odwróciła głowę. Jej szare oczy skrzyżowały się ze zmęczonymi oczyma Scirona. Ale go nie widziały. Potem odeszła w milczeniu, mijając manekin, którego używała podczas spektaklu Królowej Mgieł. Sztywna lalka leżała w poprzek drogi, oparta o stertę desek.

Zwisła wyłamana ze stawu ręka. Ignés podążyła dalej i weszła do swego wozu, zamykając za sobą drzwi.

Sciron odprowadził ją wzrokiem, a następnie zaczął szukać w niekończącym się ciągu anonimowych dachów miasta domu, gdzie mieszkał mężczyzna, który zabrał mu Ignés. Odwrócił się przodem do ludzi, którzy pracowali, śpiewając, śmiejąc się i pijąc dżin. Słupy tworzące rusztowanie szczytowej części namiotu zostały zdemontowane i ułożone na ziemi wraz z wciągarkami. Cieśle odczepiali kolejne deski areny i układali je w równe, wysokie stosy; lustrzane lampy zdjęto i przełożono do masywnych drewnianych skrzyń, wyścielonych słomą, która miała je chronić przed wstrząsami podczas przejazdu; afisze informujące o wyczynach Człowieka-Maszyny leżały jeden na drugim; maszyny umożliwiające podniebne akrobacje Kobiety-Motyła zostały wcześniej starannie nasmarowane, a teraz je pakowano; długie stalowe przewody czekały na zwinięcie, każdy na opatrzonej numerem szpuli. Jak za każdym razem, cały magiczny świat Scirona rozpadał się na tysiąc kawałków, które pojedynczo nie miały znaczenia ani wartości.

Kiedy Sciron otworzył drzwi wozu Ignés, zastał ją stojącą z rękami na brzuchu, ze wzrokiem zapatrzonym w pustkę, jakby na niego czekała.

- Jestem stary. Jestem chory. Wiele razem przeszliśmy - oznajmił bez żadnego wstępu.

- Ja zawsze stałam w miejscu - wyszeptała Ignés, jakby kończyła ciąg własnych myśli.

- Jestem stary. Jestem chory. Ty nigdy nikogo byś nie zabiła. Jesteś... dobrą dziewczynką

- powtórzył Sciron, łagodząc ton głosu i przywołując na nowo zdanie, którego używał, by ją chwalić, bardzo dawno temu, kiedy zabrał ją ze sobą, uwalniając od zakusów ojca i czyniąc z niej swoją kochankę.

Ignés, wciąż bez ruchu, nie odrywając wzroku od stojącego przed nią starca, zaczęła płakać cichymi łzami - łzami całej swej przeszłości, która na powrót chciała ją przy sobie

zatrzymać.

Sciron zaciskał długie dłonie o delikatnych palcach na framudze drzwi. W nieruchomych, pozbawionych uczuć i zrozumienia oczach pojawiło się niezwykłe dla nich, trudne do uchwycenia światło, które mogło przywieść na myśl zepsuta, zniszczoną i wypaczoną formę miłości.

- Ja i ty jesteśmy tacy sami - rzekł po chwili głosem, w którym dźwięczały przeraźliwe nuty głosu ojca i kochanka. - Oboje możemy przeżyć tylko w wypadku, jeśli nie zapadniemy na chorobę, na którą cierpią ludzie, co przychodzą nas oglądać, pragnąc zapomnieć o swej nędzy. - Zrobił krok do środka wozu, odrywając długie ręce od drzwi. - Miłość to przecenione słowo. Oznacza jednakowe, monotonne dni, pozbawione wspomnienia pierwszego spotkania. - Pod kolejnym krokiem Scirona zaskrzypiały deski podłogi.

- Potrzebuję go... - Głos Ignés był słaby.

- A on cię potrzebuje? Ignés nie przestawała płakać.

Wtedy Sciron podszedł do niej. Objął jej plecy ramieniem. Przyciągnął do siebie. I z szorstkością osoby, która od dawna nie wykonuje tak prostego w istocie gestu, pocałował ją w usta. Jak nie czynił tego od lat. Pocałował ją, gwałcąc jej usta i wpychając się w wilgotny zaułek ich minionej bliskości. Nie kierowała nim dawna, odrodzona namiętność ani nie targał znajomy lęk, że ją straci. Jedynie zaborczy, niski instynkt psa znaczącego swój teren.

A Ignés - choć ani go nie odpychała, ani nie przyjmowała - czując na ustach palące, straszliwe wargi kochanka, który był dla niej jak ojciec, już znów wiedziała, kim jest i kim już zawsze będzie. I poczuła, że nieodwołalnie należy do nędznej przeszłości, którą ten starzec chował w swych pajęczych dłoniach.

- Dla mnie... nigdy nie byłaś zbrukana - szepnął jej do ucha Sciron.

Fabrykę zalała chmara policjantów z bronią w ręku. Czterech mężczyzn ustawiło się przed głównym wejściem z wycelowanymi strzelbami. Kolejni czterej naprzeciwko tylnego wyjścia, skąd z łatwością mogli kontrolować również magazyn do załadunku i rozładunku. Wszyscy mieli rozkaz strzelać do każdego, kto będzie próbował ucieczki. Trzy grupy, każda po siedmiu ludzi, dowodzone przez trzech sierżantów, podzieliły między siebie kolejne sektory i zaczęły przeprowadzać szczegółową inspekcję w każdym pomieszczeniu.

Komisarz Landau i dwóch akcjonariuszy - pan Boamorte i pan Montague, obaj

reprezentujący właścicieli cukrowni - eskortowani przez dwóch uzbrojonych policjantów dotarli do pokoju dyrekcji, dokąd wezwano trzech dyrektorów działów: fermentacji, rafinacji i magazynowania.

- Proszę pana ze mną - powiedział policjant, wchodząc do biura Stigle'a.

Stigle wstał zza biurka i żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Niedbałym gestem włożył prawą rękę do kieszeni czarnej, błyszczącej marynarki, która przylegała do jego smukłego ciała, wyjął stamtąd lancet i zacisnął w pięści. Podchodząc powoli do policjanta, wysunął ostrze lancetu. Jego stalowe oczy wpatrywały się w białą i bezbronną szyję policjanta. Położył lewą, wyżartą przez kwasy dłoń na jego ramieniu, gotów w każdej chwili przytrzymać go i poderznąć gardło.

- Proszę się pośpieszyć - powiedział policjant - dwaj inni dyrektorzy są już pewnie w sali dyrekcji. Komisarz Landau liczy na waszą współpracę.

Stigle gwałtownie złożył lancet. Uśmiechnął się.

- No to chodźmy - rzucił jowialnie.

Kiedy Stigle i dwaj inni dyrektorzy już się stawili, Landau poinformował ich, że trwają poszukiwania Ignaszewskiego, sprawcy rzezi w willi Neefów, w willi Finnegan i, ostatniej nocy, zabójstwa pani Fairfirth, jej syna oraz dwojga służących.

- Osoba, która ma informacje, mogące pomóc w schwytaniu mordercy, a która zatai je przed policją - oznajmił z groźbą w głosie Landau - zostanie oskarżona o współudział i osądzona w trybie przyśpieszonym. - Komisarz miał srogi i jednocześnie zadowolony wyraz twarzy, przez co przypominał tłustego puszczyka, a mówiąc, cały czas kierował wzrok na dwóch akcjonariuszy, szukając ich aprobaty. Potem nakazał trzem dyrektorom, by zwrócili się do robotników ze swych działów o jak najściślejszą współpracę.

- Mógłbym zadać pytanie? - przerwał mu Stigle. - Skąd pewność, że to Ignaszewski jest mordercą, którego szukacie?

- Nasze wnioski śledcze nie powinny pana interesować, Stigle. Niech pan zajmie się swoją pracą, a my będziemy robić to, co należy do nas - oznajmił Landau wyniosłym tonem. - Ale w drodze całkowitego wyjątku wyznam panu, że jestem tego absolutnie pewien. Morderca popełnił błąd - dodał, kiwając się na piętach i wypinając pierś w kierunku dwóch akcjonariuszy niczym indyk. - Na miejscu ostatniej zbrodni osobiście znalazłem znaczek... bardzo szczególnie...

zresztą zauważyłem go już na pogrzebie pani Neef, kiedy ten socjalista wywołał rewoltę w kościele, którą na pewno pan dobrze pamięta.

- Dwie skrzyżowane ręce na tle czerwonej fabryki? - zapytał Stigle.

- W rzeczy samej. Widzę, że jest pan równie spostrzegawczy, jak ja. - Landau tym razem odwrócił się z wypiętą pierśią ku małemu; panu Montague i panu Boamorte, który ziewnął mu w twarz.

- Dziękuję, komisarzu - powiedział Stigle, lekko pochylając głowę. - Podnosi mnie na duchu myśl, że wkrótce odda pan niebezpiecznego złoczyńcę w objęcia sprawiedliwości...

- Szubienicy, chciał pan powiedzieć.

- Oczywiście, szubienicy... - Stigle uśmiechnął się. - Gratuluję.

- Cóż... - Landau zasłonił się przykrywką udawanej skromności - niech pan pamięta, że w każdym udanym śledztwie kryje się łut szczęścia.

- Szczęście sprzyja odważnym. Czyż nie tak się mówi? - Stigle ponownie się uśmiechnął.

- Jeśli już skończyliście z tymi bzdurami - przerwał zniecierpliwiony pan Boamorte, odsuwając z czoła czarny kosmyk - proponuję zakończenie zebrania. Wy - nakazał trzem dyrektorom - zróbcie wszystko, by ułatwić pracę policji... starając się nie opóźnić zbytnio normalnej produkcji. A pan, komisarzu, niech dopilnuje, by pańscy ludzie przeszukali fabrykę od góry do dołu. To wszystko to był łut szczęścia, dobrze pan powiedział. Proszę go więc nie zaprzepaścić niedołęstwem. - I zmierzył Landaua surowym spojrzeniem. Miał twarz o tłustej, ciemnej cerze, w kolorze wysuszonego na słońcu tytoniu. - Jeśli chodzi o mnie, nie ma najmniejszego sensu, bym tu został. Ty też idziesz, Spencer? - zakończył, zwracając się do drugiego akcjonariusza.

Kiedy pan Boamorte kierował się ku wyjściu, Stigle podszedł do niego i spojrzał mu prosto w oczy.

- Pozwoli pan, że poprowadzę komisarza? - spytał przyciszonym głosem, jakby znał tego człowieka od zawsze. - Fabryka to labirynt, w którym trudno się połapać, jeśli się go dobrze nie zna. A jeśli będą jakieś ważne nowiny, osobiście i bezzwłocznie je panu przekażę.

- Niech pan działa wedle swego uznania, Stigle - odparł obojętnie akcjonariusz i wyszedł, a za nim mały pan Montague oraz dyrektorzy działów rafinacji i magazynowania.

- Wyżej sra niż dupę ma ten... ten Mulat - uniósł się Landau, gdy tylko znalazł się sam na sam ze Stigle'em. - Jego matka była jeszcze czarniejsza niż on. Dorobili się majątku w koloniach,

ale nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że wywodzą się z niewolników. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie mam nic przeciwko czarnemu kolorowi skóry, ale... - Komisarz tylko machnął ręką, nie wiedząc, jak zakończyć zdanie.

- ...ale pieniądze nie mogą jej wybielić - dokończył Stigle.

- Właśnie, cholernie dobrze pan to ujął. - Landau roześmiał się, zadowolony z tej solidarności. - Dalej, chodźmy wypełnić swój obowiązek. - Ruszył za Stigle'em i z pokoju dyrektora przeszli do pulsującego serca fabryki w eskorcie dwóch policjantów, z których jeden trzymał wycelowaną broń, a drugi oświetlał drogę lampą naftową i sprawdzał każdą ciemną wnękę.

- Czyli Sciron i Tristante zostali uniewinnieni? - spytał Stigle, kiedy schodzili po chwiejnych i zardzewiałych schodach.

- Są już na wolności - odparł Landau, dysząc z wysiłku. - Nigdy nie uważałem, że mordercą może być starzec. Albo karzeł. Już od pierwszego zabójstwa wiedziałem, że to sprawka tego socjalistycznego wichrzyciela. Ale, niestety, z powodu rozkazu z góry śledztwo zostało powierzone niekompetentnemu...

- Mówi pan o inspektorze Germinalu?

- Właśnie o nim... - sapnął Landau, dochodząc do końca schodów. - Wie pan, nie mam w zwyczaju źle mówić o kolegach... ale to nowe pokolenie wbiło sobie do głowy... wszyscy są przekonani, że metody śledcze, które sprawdzały się przez stulecia, ni stąd, ni zowąd są błędne. Plotą coś o psychologii... daktyloskopii i innych podobnych bzdurach.

- Tędy, panie komisarzu - powiedział Stigle, opierając się z całej siły na wyżartych przez pęcherze rdzy drzwiach, prowadzących do starego, nieużywanego już magazynu, w którym ukrywał się Ignaszewski.

Landau wyteżył wzrok w mroku przecinanym przez szybkie smugi światła, kreślone przez ręczne lampy. Pociągnął nosem i poczuł mdlącą woń cukru, zmieszaną z ostrym zapachem wilgoci i pleśni, który unosił się ze skrzyń z nadgniętego drewna. Siennik, koc i kuchenka spirytusowa, których używał Ignaszewski, znikły.

- Idziemy stąd. Zostawcie to - nakazał swym ludziom, zde gustowany wyziewami. - Nawet socjalista nie mógłby przeżyć w takim chlewie jak ten. - Roześmiał się, zadowolony ze swego dowcipu.

- A więc inspektor Germinal - podjął jakby mimochodem Stigle przerwany wątek, kiedy

znów znaleźli się na pierwszym poziomie fabryki - ma wątpliwości, czy mordercą jest Ignaszewski?

Landau wzruszył ramionami.

- Znaczek to niepodważalny dowód.

- Tak, ale gdyby nie znaleziono znaczka, inspektor Germinal nie rozpocząłby pościgu za Ignaszewskim, dobrze zrozumiałem?

- Germinal to zarozumiały bufon - wybuchnął Landau, dając wyraz swemu oburzeniu. - Jest przekonany, że wszyscy inni to krety. Ale ja znalazłem znaczek, takie są fakty. Sam nadkomisarz osobiście odebrał mu sprawę i był zmuszony przyznać, że to ja miałem rację, od samego początku... i, mówiąc między nami, przeprosił mnie w imieniu policji.

Gdy zbliżali się już do głównego wyjścia, w akompaniamencie zgrzytu wózków załadowanych burakami, które wrzucano do specjalnej klatki, służącej do ich obierania, Stigle napotkał wzrok Rinauda. - Proszę mi wybaczyć na chwilę, panie komisarzu - zwrócił się do Landaua i podszedł do robotnika. - Zostań tu. Jak tylko sobie pójdą, muszę z tobą porozmawiać - szepnął mu.

- To prawda, co mówią? - spytał Rinaud.

- Później - odparł zniecierpliwiony Stigle i wrócił do Landaua akurat w odpowiedniej chwili, by usłyszeć, jak rozkazuje swym ludziom wsiąść do wozów, jechać do osady robotników i dokładnie przeszukać każdy dom.

- Ostatnie pytanie - rzekł Stigle do komisarza. - Pozostawi pan ochronę przy domach akcjonariuszy?

- Dopóki Ignaszewski pozostaje na wolności, oczywiście - odparł Landau. - Doceniam pańską chęć współpracy, Chemiku. Zapamiętam to sobie.

Stigle pochylił lekko głowę w geście wdzięczności i zaczął czekać, aż wszyscy policjanci odjadą. Potem zawrócił, skinął na Rinauda i znów zszedł po schodach prowadzących do opuszczonego magazynu. Robotnik podążył za nim.

- Nadszedł moment, na który tak bardzo czekaliśmy - powiedział do niego Chemik, gdy tylko skryli się w mroku.

- Ale czy to prawda, co mówi policja?

- Tak, Ignaszewski jest mordercą.

- Wiedziałem, że to wielki człowiek, Chemiku. Zabił te wszystkie dziry. To naprawdę

prawdziwy rewolucjonista...

- Nie gadaj bzdur! - przerwał Stigle władcym tonem, chwytając go za klapę lichej bawełnianej bluzy. W oczach pełgał mu złowrogi blask. Bóg, który był w nim, drżał z chęci ujawnienia się i unicestwienia tego sługi, tego zera. Ale bóg jeszcze go potrzebował, aby jego genialny plan idealnie się wypełnił. - Ignaszewski to nędzny złodziejaszek - dodał Stigle człowieczym głosem, nakazując bogu, by się wycofał.

- Złodziejaszek?

- A pewnie, wykorzystał was, by stworzyć sobie przykrywkę. Miał was gdzieś i omal nie zaprzepścił całej naszej pracy. - Stigle pchnął robotnika w jeszcze ciemniejszy kąt. - Posłuchaj mnie uważnie. Chcę, aby nie rozmawiano już więcej o Ignaszewskim. Powiedz to swoim towarzyszom. Jeśli powiążą nas z Ignaszewskim, policja i właściciele cukrowni powiedzą, że jesteśmy jedynie złodziejami i mordercami. I wszyscy chętnie im uwierzą. A wiesz, co to znaczy? Wiesz, Rinaud? Ze pozwolono by im do nas strzelać... że wezwano by wojsko, aby zdławić strajk. Czy to jasne?

- Spokojnie, Chemiku - zaprotestował robotnik. - Zrozumiałem. Zrozumiałem. Co chcesz, żebyśmy zrobili?

- Macie być gotowi dzisiejszej nocy. Stan gotowości dla wszystkich. Ale dobrze załatw tę sprawę. Nikt nie może nic podejrzewać. Zaskoczenie to podstawa planu, który mam w głowie.

- No a policja?...

- Powiedziałem ci, że mam plan - odparł lodowato Stigle. - Ty postaraj się tylko, aby wszyscy byli gotowi dziś w nocy.

Rinaud opuścił głowę, a potem wszedł schodami na górę.

Gdy Stigle został sam, pozwolił bogu, by nad nim zapanował, by radował się tym szczęśliwym przypadkiem, który skierował podejrzenia policji na nieprzydatnego Ignaszewskiego, co tylko potwierdzało, że uniwersalne przeznaczenie sprzyjało i błogosławiło jego wspaniały plan.

On narodził się dwa razy, był chłopczykiem, który przeszedł przez podwójne wrota. Spłodzony w śmiertelnej macicy matki przyszedł na świat w boskim jądrze ojca.

Wtedy bóg wcisnął się aż pod schody i wyjął z wnęki pistolet, który zabrał Ignaszewskiemu kilka dni wcześniej. Wsunął go za pasek spodni na plecach, zapiął marynarkę, przesunął ręką po karku, aby sprawdzić węzeł świętych włosów, wężową koronę, insygnia

władzy, i wszedł po schodach na górę.

Dotarł do najcieplejszej części fabryki, dokładnie u podstawy dwóch ogromnych kominów z czerwonej cegły, upewnił się, że nikt go nie widzi, i odsunąwszy brudną płachtę, upstrzoną zaprawą, odsłonił dwie ciężkie szpule izolowanych przewodów elektrycznych, których końcówki nikły gdzieś wysoko w ciemnościach. Przetoczył szpule aż do wlotu powietrza, który znajdował się w zewnętrznym murze na tyłach fabryki. Skończył rozwijać oba przewody, zablokował wirnik wywietrznika metalowym prętem i przeciągnął przewody elektryczne przez otwór. Następnie wrócił, zamaskował kable między rurami, które biegły od podstawy kominów, i na koniec wrzucił do kotła obie drewniane szpule. Dopiero wtedy wyszedł na powietrze, przechodząc wcześniej przez magazyn, gdzie składowano oczyszczony cukier, dotarł na tyły fabryki, podniósł końce przewodów elektrycznych, po czym przeciągnął je wśród chaszczy i rzadkich krzaków, oddzielających ten kawałek pustej przestrzeni od przysadzistej drewnianej szopy z drzwiami zamkniętymi na masywną kłódkę. Wyjął klucz z czarnej kamizelki, otworzył ją i wśliznął się do szopy, wlokąc za sobą kable.

Z drewnianej skrzyni wyciągnął dwa detonatory ładunków wybuchowych i połączył z nimi po jednym biegunie każdego z dwóch przewodów.

- Wstrząśnij ziemią... boska Enosis! - wyszeptał.

Obok dwóch detonatorów położył na ziemi otwarty worek z juty. A w worku przerażające mechaniczne szczęki, których bóg używał, by pożerać swe ofiary.

Germinal po powrocie na poddasze nie zastał czekającej na niego Ignés. Krążył po mieszkaniu, tropiąc ślady jej obecności, próbując odtworzyć to, co robiła, kiedy on wdychał zapach śmierci w domu Fairfirthów. Szukał na siedzeniu fotela wgłębienia po jej ciele lub jej zapachu na poduszce w łóżku. Obracał w rękę każdy przedmiot w kuchni, którego ona mogła dotknąć. Ale wszystko wyglądało tak, jakby Ignés po prostu tu nie było. Nic nie wskazywało na jej obecność, nic, czego Germinal mógłby się uchwycić, by zyskać pewność, że nie przyśniła mu się, że nie była jedynie jego przywidzeniem.

Usiadł na fotelu, przytłoczony poczuciem klęski w dochodzeniu. „Byłem przekonany, że jest pan detektywem... ale tak naprawdę jest pan tylko narkomanem” - powiedział mu kiedyś Noverre. I Germinal powtarzał sobie obsesyjnie, że dziewięć niewinnych osób nie zginęłyby, gdyby on nie pozwolił uciec Ignaszewskiemu owego dnia w kościele, na pogrzebie pierwszej

ofiary, pani Neef. Ale czy tak było naprawdę? Dlaczego, pomimo oczywistego dowodu, że młody socjalista był tam, w domu Fairfirthów, Germinal nie potrafił zaakceptować, że to naprawdę Ignaszewski jest mordercą, którego szukają? Duma mu nie pozwalała? To z powodu dumy odrzucał ewidentny dowód winy tamtego? Nie chciał przyznać, że się mylił, i tyle? A może chciał się sprzeciwić losowi, który postanowił uczynić Landaua bohaterem? Temu losowi, który przyznał rację ograniczonemu sposobowi myślenia komisarza, jego przestarzałym metodom śledczym? „Tak naprawdę... jest pan tylko narkomanem”.

Oto powód, pomyślał z goryczą Germinal.

Jego spojrzenie odruchowo powędrowało ku blatowi komody, ku strzykawce, w którą poprzedniego wieczoru wpatrywał się tak długo, że mógłby ją odtworzyć z pamięci w najmniejszych szczegółach. I wtedy zrozumiał, że Ignés mu się nie przyśniła. Podniósł się gwałtownie z fotela i podszedł do przyrządu ze stali i szkła, wypełnionego roztworem diacetylomorfiny, który tak go kusił, z uśmiechem na ustach. Gdyby nie kontemlował strzykawki przez cały ten czas, może nie zauważyłby tego. Ale tak zrobił. I to dawało mu teraz pewność, że Ignés była tu z nim ostatniej nocy. Ponieważ strzykawka została przesunięta. Może Ignés wzięła ją do ręki i obejrzała. Myślała o nim, obracając ją w dłoniach. A potem nie odłożyła jej dokładnie na to samo miejsce. Germinal patrzył na strzykawkę z uśmiechem, bo choć wiedział, że Ignés spędziła z nim noc, czuł potrzebę namacalnego dowodu jej bytności, teraz, gdy świat mu się zawalił. I patrząc na strzykawkę, zaczął sobie wyobrażać oczy ukochanej.

Wtedy dopadła go kolejna udręka. Zdał sobie sprawę, że nie potrafi przypomnieć sobie, jak wyglądały oczy Ignés, ani kiedy ją głaskał, ani kiedy się kochali, ani kiedy rozmawiali. Jedynym obrazem, jaki potrafił przywołać, były oczy przesłonięte żalem, które patrzyły na niego tego ranka, gdy pożegnał się z nią, aby wdychać zapach śmierci. Tej śmierci, która nigdy go nie opuszczała, która była od zawsze tak silnie obecna w jego życiu, że mylił ją ze swym własnym cieniem. I znowu zdał sobie sprawę, że w spojrzeniu Ignés wyczytał coś, co wskazywało, że nie były to te same oczy co minionej nocy. I poczuł w tym momencie pewność, że również i ją straci. To było przeczucie. Jak wtedy, gdy wdychał zapach śmierci.

Wbił strzykawkę w blat komody, bez złości, z każdą chwilą bardziej pokonany. I zostawił ją tak, wibrującą w powietrzu, przykutą igłą do drewna, a potem osunął się na łóżko, ze wzrokiem wbitym w sufit, niczego niewidzącym. Ponieważ nie miał już przed sobą przyszłości.

Kiedy usłyszał, że drzwi na poddasze otwierają się, struchlał. Ale nie poruszył się.

Słuchał, jak czyjeś kroki przemierzają korytarz. Policzył je. Dziewięć. Jak dziewięć ofiar, które by żyły, gdyby nie pozwolił uciec Ignaszewskiemu. Dziewięć kroków. Potem cisza. Już była w pokoju. Była w pokoju. Germinal poznał to po zapachu, który wniknął w niego już za pierwszym razem, kiedy ją ujrzał. Tak głęboko, że nie będzie mógł go już nigdy zapomnieć.

- Szykowałam się do ucieczki - powiedziała Ignés. Germinal nadal leżał bez ruchu na łóżku, patrząc w sufit. Nie chciał na nią spojrzeć, nie chciał wyczytać w jej oczach tego, co wyczuwał w głosie.

- Jestem tchórzem - ciągnęła Ignés. - Szykowałam się do ucieczki... ale znalazłam w sobie przynajmniej siłę... by przyjść i ci to powiedzieć...

Germinal nawet nie drgnął. Bał się, że ona do niego podejdzie, że go dotknie.

- Wyjeżdżam. - Głos Ignés był coraz słabszy. - Wyjeżdżam. Wyjeżdżam ze Scironem... i już nie wrócę.

Germinal poczuł, że krew stygnie mu w żyłach, ale dalej leżał nieruchomo, starając się nawet nie mrugać powiekami.

- Nigdy nie poznałam miłości... - W głosie Ignés brzmiało dalekie, szczere cierpienie. - Nie mam... nie wiem, czym ona jest... Może miłość to uczucie, które dało mi siłę, by tu przyjść... by nie uciec, by nie zniknąć po cichu... nie wiem... Ale nie jest wystarczające, by mnie zatrzymać, boja... nie wiem, czym jest miłość... bo jestem tym, kim jestem... To nie jest moje miejsce... i chciałam ci to powiedzieć...

Germinal poruszył się gwałtownie. Zerwał się z łóżka jak ogarnięty szaleńcem, chwycił Ignés za ramię i zaczął ją szarpać, popychając w kierunku wyjścia i krzycząc:

- Wynoś się, na co czekasz? Wynoś się! Jesteś tchórzem? Nie interesuje mnie to... nie interesuje. - Otworzył drzwi mieszkania. - Musisz wyjechać? Wyjeżdżaj! Nie obchodzi mnie, z kim wyjeżdżasz! Nie musisz mi tego mówić... Nie musisz mi mówić dlaczego! Nie mam ochoty cię słuchać... Czego ode mnie chcesz? Czego chcesz? Wyjeżdżaj! Wynoś się! - I brutalnie wypchnął ją na klatkę schodową. Miał wytrzeszczone oczy, zachrypnięty głos i spięte ciało.

Ignés nie reagowała. Pozwoliła się popychać jak pozbawiony życia worek. Kiedy Germinal ją puścił, dotknęła ręki, którą on ścisnął z taką gwałtownością. Ale nie odezwała się. Spuściła głowę. Pochyliła ramiona. Stała tak bez ruchu, oparta o poręcz schodów.

Germinal patrzył na nią, dysząc, gotów zamknąć jej drzwi przed nosem. Ale powstrzymał ten odruch i zrobił krok w jej kierunku.

Ignés podniosła rękę do twarzy, jakby obawiając się spoliczkowania.

Germinal wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie.

- Wynoś się - powiedział po cichu, całując jej włosy. - Wynoś się. Potem wszedł do mieszkania i zamknął drzwi, delikatnie, nie trzaskając. Z bólem. Ale już bez złości.

Ignés osunęła się na ziemię. Żadnego szmeru. Żadnego hałasu. Tylko ubranie zaszeleściło. Twarz ukryta w dłoniach. Oczy bez łez. Potem zaczerpnęła gwałtownie długi haust powietrza, niekontrolowany, rozdzierający, jakby wynurzała się z odmętów na powierzchnię wody. Jeden haust powietrza, tragiczny jak pożegnanie. Chwyła się poręczy schodów i z trudem podniosła. I wciąż trzymając się obdrapanej barierki, zaczęła schodzić po schodach, stopień po stopniu. Powoli. Jakby wspinała się pod górę.

Była na drugim piętrze, kiedy usłyszała, że drzwi na poddaszu otwierają się z impetem.

- Nie jesteśmy dwojgiem umarłych! - krzyknął Germinal w dół klatki schodowej. - Razem nie jesteśmy umarłymi!

Ignés oderwała rękę od poręczy i przykleiła się do ściany, jakby chciała się ukryć. Skamieniała przerażona. Jakby te słowa były ostrymi nożami, które mogą rozedrzeć jej duszę. I zranić ją jeszcze bardziej, niż była zraniona. I jeszcze bardziej zabić.

- Ja i ty, razem, nie jesteśmy dwojgiem umarłych! - krzyczał Germinal. - Razem może nam się udać! Jeszcze nie umarliśmy!

Ignés przycisnęła ręką usta i powstrzymała krzyk. Potem rzuciła się w dół po schodach stromych jak urwisko i uciekła, biegnąc najszybciej, jak mogła, z rękoma na uszach, by je zapieczętować, by nie słyszeć swego imienia, wzywanego w rozpacz przez mężczyznę, którego kochała.

- Jestem tu, tak jak nakazałeś - rzekł Tristante.

- Oto pora Nadejścia - odparł bóg i usłyszał, jak boski głos rozbrzmiewa w jego wnętrzu.

Stigle wstał z łóżka, na którym spoczywał zdrętwiały, oparty plecami o wilgotną ścianę baraku, oczekując na przebudzenie przez świętą naturę boga. Oczekując, aż będzie w stanie przypomnieć sobie swą boską istotę, ponieważ pamięć była matką wszelkich czynów, jak nauczył go bóg będący w nim.

- Chodź - powiedział do przybyłego, wychodząc z baraku.

I znowu zrozumiał, że jego pełen chwały los właśnie się ziszcza. W każdym,

najmniejszym nawet szczególe. Zgodnie z tym, co bóg, który był w nim, wiedział od zawsze, i co zostało obwieszczane przed wszystkimi wiekami, wryte złotymi zgłoskami w świętej księdze, która przedstawiała jego historię. W księdze, która opowiadała, opisywała, zapowiadała, przewidywała. W Księdze Poznania ze szczytu drabiny prowadzącej do ciemnego, rozgwieżdżonego nieba. I bóg zadrżał, ponieważ nadszedł moment, dla którego przyszedł na świat, dla którego przyoblekł nędzny kształt człowieczy i dla którego poniżył się przed oczyma świata. Ponieważ nadszedł moment zadania bólu, którym odpłaci za kłamstwa i krzywoprzysięstwo.

Stigle spojrział na swe zamknięte za ogrodzeniem kapłanki - kuny, łasice i lisice - które biegały bez przerwy tam i z powrotem wzdłuż zardzewiałej siatki. Ich okrucieństwo było celebracją boga, jego furii.

Tristante stał obok niego. W akcie adoracji.

- Zrobisz wszystko, o co cię poproszę? - spytał Stigle karła śpiewnym głosem, zaczynając, jak w liturgii odprawianej wiele razy, sekwencję zdań, która połączyła ich nierozzerwalnie szesnaście lat temu, o północy w Nowy Rok, kiedy to poczuł, że rodzi się w nim bóg.

- Tak - odpowiedział Tristante, przystępując się do rytuału. Rozemocjonowany jak zawsze.

- Zawsze i bez wahania? - Tak.

- Weź zatem moją dłoń w swoją rękę. I ściśnij ją z całej siły, Tristante.

- Ale sprawię ci ból, Stigle...

- Bez wahania. Obiecałeś.

Karzeł zamknął rękę Stigle'a w swojej dłoni.

- Ściśnij mocniej. Karzeł wzmocnił uścisk.

- Jeszcze mocniej...

Karzeł pamiętał krew, która szesnaście lat temu zalewała czerwone bandaże; obwiązano nimi wówczas zgiętą rękę Stigle'a. Ale tak jak wtedy, ścisnął ją z całej siły swych małych, zdeformowanych palców.

Stigle przymknął oczy. On w bólu się zrodził. On sam był bólem. I nie było udręki, której nie byłby w stanie pokochać.

Potem odemknął skobel, na który zamykał ogrodzenie swych świętych zwierząt, uchylił

furtkę z metalowej siatki i razem z Tristante cofnął się o kilka kroków.

- Przez pragnienie koźlącej krwi... przez głód surowego mięsa... jesteście wolne, moje kapłanki! - krzyknął - *Euóí... euóíl.*

Dzikie stworzenia podchodziły po kolei do szpary i zatrzymywały się tam przez chwilę, by w następnej jednym susem dopaść na powrót najciemniejszego kąta klatki. Ale zaraz znowu stawały przy wyłomie wolności, która mogła je kosztować życie, by w końcu po długiej zwłoce, śliniąc się i szczerząc kły, skacząc z wysuniętymi pazurami, zatapiając kły w ciałach innych, ze zjeżoną sierścią i sztywnymi, podniesionymi ogonami, pośpiesznie i ukradkiem, rozproszyć się po wymarłej wsi.

Kiedy zagroda opustoszała, Stigle wciągnął w płuca zimne i wilgotne powietrze i poczuł zapach zgniłego mięsa, którym nakarmił swe bestie. Zapach ten stał w powietrzu, by następnie unieść się spiralą do góry i szybko się rozprzestrzenić, przypominając mu śmierć, którą był gotów znowu zadać.

Nastał czas Ostatniej, tej, która roześmiała się, splunęła i potwierdziła: „Tak, należałoby go zabić” i która później poraziła matczyne łono swą czarną klątwą, skazując boga na ułomność i zmuszając go do ukształtowania się w ojcowskim jądrze.

Ale zanim cokolwiek zrobi, musi zatrzeć wszystkie ślady.

Wskazał dwie metalowe bańki z benzyną. Wziął jedną, odkręcił zakrętkę i powiedział do karła:

- Zajmij się obejściem.

Potem wszedł do baraku, który nie był już jego mieszkaniem, ale pieczarą boga, i zaczął polewać paliwem stół, ściany, drzwi i nędzną pryczę, gdzie się kulił w oczekiwaniu na przebudzenie przez boga w nim będącego. Zobaczył przez okna Tristante, który okrążał barak, wylewając zawartość drugiej bańki. Wtedy wyszedł. Opary zatruwały powietrze, także pod rozchybotanym wejściem. Kiedy karzeł podszedł do niego z pustym naczyniem, wyjął mu je z ręki i wrzucił do środka baraku. Odszedł na kilka kroków i zapalił gałgan nasączony benzyną. Począł, aż płomień liźnie mu rękę wyżartą przez kwasy, a potem rzucił go na stare, rozchwiane, drewniane deski.

Płomienie buchnęły już po chwili, rozświetlając groźnym błyskiem wczesne popołudnie, zazwyczaj ciemne i ponure jak umierający dzień.

- Widzę grób mojej matki, płomienie... - zaczął recytować słowa mowy pogrzebowej,

której szesnaście lat temu nie wygłosił - ...i szczątki jej domu... - a przed jego oczyma pojawił się na powrót obraz tamtego płonącego stosu, który uświęcił narodziny boga i śmierć matki - ...dyszące jeszcze żywym ogniem Dzeusa... - I znów usłyszał imię wybranego przez los człowieka, w którym bóg się poniżył, by umożliwić spełnienie swego chwalebego planu.

Potem Stigle i Tristante patrzyli nieruchomo na stos w ekstatycznej ciszy, z twarzami zaczerwienionymi od gorąca, jeden przy drugim, jak zawsze od tamtego dnia, od owego sylwestra szesnaście lat temu, i wsłuchiwali się w trzeszczący krzyk drewna, które kurczyło się i rozpadało. Nieruchomi, trzymając się za ręce niby para nowożeńców, drgając wśród huku, z jakim dymiący barak zwał się na ziemię i szezeł. Czerwonymi od ognia żrenicami śledzili lekki lot żarzących się wiórów, które wzlatywały w powietrze na chwilę przed spopieleniem.

- Sciron chce wyjechać jutro rano - odezwał się Tristante, kiedy z baraku została tylko kupka skwierczących głowni.

- Nie wyjedzie. Jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment - powiedział Stigle zapatrzony w ostatnie języki ognia. - Musi zebrać owoce. Potem odjedziemy. Wszyscy razem. We trzech.

Szkielet baraku runął, wznosząc tuman pyłu i kurzu.

- Będziesz musiał znów to zrobić - rzekł Stigle.

- Jestem gotów.

- Zabicie Juffridiego sprawiło ci przyjemność?

Tristante nie był człowiekiem. Nigdy nim nie był. Był karłem. Był płodem. Owego odległego wieczoru, szesnaście lat temu, spotkawszy Stigle'a, płód narodził się jako nowe życie i odkrył w sobie cały swój byt. Byt pulsujący nienawiścią i chęcią zemsty. I miłością. Całkowicie poświęconą bogu. Ponieważ bóg opowiedział historię, która była jego własną rozkoszą i jego własną, największą żądzą. Ponieważ w historii boga zapisana też była jego mała część. I bóg podarował mu pana, Scirona. Sciron podarował mu siłę Człowieka-Maszyny. I dla tej siły bóg znalazł cel.

Tristante spojrział na Stigle'a, swego idealnego boga. Swą idealną miłość.

- Przyjemność sprawiło mi wykonywanie twoich poleceń - powiedział.

- Będziesz musiał znów to zrobić.

- Jestem gotów.

- I będziesz musiał to zrobić razem ze mną.

- Będzie jeszcze wspanialej.

Wtedy Stigle wyciągnął z kieszeni pęd bluszczu, ukląkł przed Tristante tak, że jego nieskazitelna twarz znalazła się na wysokości niedoskonałego oblicza karła, rozpiął mu kołnierzyk koszuli i owiązał bluszcz wokół szyi. Potem wziął skórzany rzemyk, do którego był przywiązany kawałek koźlącej skóry, i również okręcił mu go wokół szyi.

- Jego szal i opętanie mają moc wróżebną... - wyrecytował, trzymając kciuk na ustach karła. - Gdy dużo boga przeniknie do ciała... każe to opętanym wróżyć przyszłość... i ma on też w sobie jakąś część Aresa. - Na koniec zapiął karłowi kołnierzyk koszuli, skrywając bluszcz i runo.

Tristante go objął.

Wtedy Stigle wstał.

- Weź stary wóz - powiedział. - A potem swoją zbroję i wróć tu, kiedy nastanie wieczór.

- A ty co będziesz robił?

- Czekał na ciebie.

XXVI

Ostrze igły było nieodwracalnie wykrzywione, kiedy Germinal wyciągnął strzykawkę z blatu komody, w który ją wcześniej wbił. I teraz, wkłuwając igłę w przedramię, poczuł ostry ból przecinanej skóry. Ale się nie zatrzymał. Wcisnął głębiej zakrzywiony dziób, który utracił ostrość, aż dotarł do żyły. Prawie natychmiast ból stałby się odległym, wyblakłym wspomnieniem. Narkotyk wnikałby szybko w krwiobieg. Odurzając go, spowijając sztucznym woalem ból jego ręki i osładzając gorycz klęski poniesionej w śledztwie. I może zagłuszyłby także rozpacz po utracie Ignés w chwili gdy uwierzył już, że ją odnalazł.

Germinal powoli odciągnął tłoczek strzykawki, by upewnić się, że igła tkwi w żyłę. Bursztynowy płyn w jednej chwili zabarwił się na czerwono. Jego krew. Jego życie. To, co z niego zostało.

- Nie! - krzyknął Germinal, wyciągając z wściekłością strzykawkę z ciała. Zakrzywiona igła zahaczała o tkanki jak szydelko, rozrywając je.

Strzykawka przeleciała przez pokój i uderzyła o ścianę. Germinal pomyślał, że nie umrze jak Singapur. Szklany cylinder roztrzaskał się, a roztwór heroiny rozlał się po podłodze. Obcasem wysokiego buta Germinal zaczął wściekle deptać stalową oprawę, zgniatając ją. To był moment wyboru. W ataku szału podniósł kartonowe pudło z więziennymi stemplami, które zawierało to wszystko, co zostało z nędznego życia Singapura, i z całej siły rzucił je o ziemię. Pieczęcie z laku i ołowiu odpadły, boki kartonu pomarszczyły się. Szttywne wieczko odskoczyło i

zawartość pudła wysypała się na podłogę. Szkło na zegarku Singapura pękło. Okulary do czytania przygniótł stos książek. Germinal podniósł fajkę z długim cybuchem i odrzucił daleko. Potem zaczął kopać książki, przewrócił jak oszalały fotel, komodę i niewielką dwuskrzydłową szafę, w której trzymał ubrania. Krzycząc, wyszarpnął materac z łóżka, na którym kochał się z Ignés, i cisnął go w drugi kąt pokoju. Podniósł róg dywanu i pociągnął, przewracając jak rozszalała fala wszystko, co na nim stało. W końcu, dysząc, padł na podłogę. Twarzą do ziemi. Odwrócił lekko głowę.

Przed oczami miał książki Singapura, rozrzucone chaotycznie, pootwierane, z wydartymi stronicami i odklejonymi grzbietami. I wtedy ją zobaczył.

Na jednej z okładek ujrzał ilustrację w żywych kolorach. Rysunek przedstawiał młodego mężczyznę o niemal dziewczęcej twarzy. Z włosów wystawały mu rogi kozła. A we włosach, skreconych w loki, wiły się węże. Wokół młodzieńca tańczyły kobiety, przedstawione w najdziwniejszych pozach opętańczego tańca, nagie pod płaszczami z runa, zawiązanymi wokół ramion; w rękach trzymały kije oplecione bluszczem.

Z walącym sercem Germinal usiadł i wziął do ręki książkę. „Bakchantki”, głosił tytuł. Przesunął palcem po skórach okrywających ramiona kobiet. A następnie po kijach, które oplatał bluszcz.

- Bakchantki - powtórzył na głos, nie wiedząc jeszcze dlaczego.

Otworzył książkę i zaczął czytać.

„Przybywam tutaj do Teb, syn Dzeusowy... Dionizos. Kadma córka mnie zrodziła... Semela, zległa w ogniu błyskawicy...”. Oczy Germinala przebiegały szybko wersy, w poszukiwaniu czegoś, co potwierdziłoby jego przeczucia na widok rysunku na okładce. „Lecz z ziemi greckiej Teby ja najpierwsze... napelniam krzykiem, odziewam w nebrydy... tyrs daję w ręce, w bluszcz owity pocisk...”. Germinal przerwał, cały drżąc. Widział w myślach runo na ramionach ostatniej ofiary oraz czworga służących w domu Finneganów. Każde z tej czwórki ścisnęło w rękę kij owinięty bluszczem. Tyrs Dionizosa. Ale dlaczego? To nie miało jeszcze sensu. Czy chodziło o zwykły zbieg okoliczności? Wrócił do lektury, „...bo siostry matki mówią - one właśnie - że ów Dionizos nie jest synem Dzeusa... Semelę uwiódł bowiem inny człowiek... a ona winę złożyła na Dzeusa...”. Tyle że ofiary nie miały siostr. Ani nie były dla siebie siostrami, „...i radowały się... gdy ją zabił Dzeus, bo pyszniła się sklamanym związkim...”. Germinal nadal nie rozumiał. To nie miało sensu. Nic z tego, co przeczytał, nie miało sensu. Zaczął czytać dalej.

„Zatem wygnałem je z pałacu, rażąc szalem...”. Tu przerwał, wstrzymując oddech. Jeszcze raz przeczytał ten wers. „Zatem wygnałem je z pałacu, rażąc szalem...”.

To samo zdanie, które morderca napisał na drzwiach pokoju ostatniej ofiary, pani Fairfirth. Napisał ręcznie krwią.

Germinal łapczywie zanurzył się w lekturze tragedii. Była to opowieść o bogu Dionizosie, który po latach spędzonych na wygnaniu powraca do miasta, w którym został splodzony przez Semele, kobietę śmiertelną, i Dzeusa. Jego ciężarną matkę okrzyknięto niegdyś zhańbioną i obrzucono ją oszczerstwami i kłamstwami. Wszyscy mieszkańcy Teb, począwszy od jej sióstr, twierdzili, że Semele to dziwka, która wymyśliła historię o Dzeusie, by ukryć swój grzech pójścia do łóżka z pierwszym lepszym. Ojciec bogów, uciekając przed gniewem i zazdrością żony, Hery, raził piorunem biedną Semele, ale przyjął syna, którego nosiła jeszcze w łonie, do swego boskiego jądra, gdzie płód się uformował, by przyjść później na świat. Dionizos wraca zatem do Teb, aby pomścić niesprawiedliwość, jaka spotkała jego matkę, i potwierdzić swą boską naturę poprzez praktykowanie orgiastycznych rytuałów. Nigdy nie był bękartem, jak twierdzili wszyscy wokół. W pierwszym akcie doprowadza kobiety do szaleństwa, odsuwa je od kołowrotek i palenisk, każe im wejść na górę, gdzie stają się jego kapłankami i okryte skórą młodego jelenia, trzymając w dłoniach tyrsy oplecione bluszczem, tańczą w obłądnie.

Na czterdziestej stronie Germinal znów się zatrzymał, z sercem oszalałym z podniecenia po przeczytaniu przerażających wersów, wypowiedzianych przez Chór. „Niepowściągliwe języki... głupota praw nieznaną... przynoszą w końcu nieszczęście”. To samo zdanie, które morderca napisał na szkle akwareli w pokoju pani Fairfirth. Germinal zarzucił kołdrę na ramiona. Już w chwili pierwszego kontaktu z szaleństwem mordercy poczuł wszechogarniający chłód. Ale nie przestał czytać.

Stary Kadmos, król Teb, wkrótce po tym, gdy został splodzony Dionizos, abdykował na rzecz Penteusza, syna Agawę, jednej z sióstr Semele. A teraz Agawę znajdowała się na szczytach otaczających miasto wzgórz, wprowadzona przez boga w stan obłądzenia i wybrana przez niego na najwyższą ze świętych kapłanek. Bakchantek. Penteusz był jedynym, który przeciwstawił się Dionizosowi, a nie rozpoznawszy go jako boga, nie tylko nie oddał mu czci podczas obrzędów, ale nakazał go ścigać. Kiedy go schwytano, Penteusz postanowił go uwięzić, lecz bóg krzyku, bóg złudzenia tak pomieszał mu zmysły, że zamiast niego król skuł łańcuchem byka. Tymczasem straszliwe wiadomości dotarły ze wzgórz, gdzie kilku pasterzy, przekonanych o swej męskiej

wyższości nad grupką kobiet, postanowiło pochwyć bakchantki.

Germinal przebiegał wzrokiem wersy, zafascynowany opowieścią. „Ale Agawę zawołała: »Suki moje szybkie... ludzie was gonią, ci tutaj, więc za mną... pędźcie z rękoma w tyrs uzbrojonymi!«” - opowiadał pasterz Penteuszowi. „My byśmy jeszcze zdążyli uniknąć rozdarcia, ale bakchantki na ciołki... które się pasły na trawie, wpadają... szarpiać je ręką nie zbrojną żelazem... ujrzałbyś jedną, jak ryczącą krowę... z wzdętym wymieniem podnosi, rozrywa... Inne - jak szarpia w kawałki jałówki... ujrzałbyś polcie zwierząt i racice... porozrzucane w dole, w górze. Wiszą... w gałęziach jodeł i krew się z nich sączy...”. Germinalowi zdawało się, że w tych brutalnych opisach widzi tę samą rzeź, którą morderca urządził swym ofiarom. Oto rytuały, o których mówił Noverre. Oto celebacja. Nie mordercy, ale szaleńca, który uwierzył, że jest mitologicznym bogiem. Oto wyrachowane i okrutne morderstwa, które wiążą się z przeszłością, są wyrazem zemsty i bez wątpienia nawiązują do greckiej tragedii.

Na stronie osiemdziesiątej trzeciej Germinal znów się zatrzymał, zdumiony tak, że aż zaparło mu dech. Dionizos przekonał Penteusza, by przebrał się za kobietę i podejrzwał orgiastyczne obrzędy bakchantek. I król, ponownie pozbawiony przez boga zdolności rozumowania, poniżony, w kobiecych szatach, ośmieszając się w oczach wszystkich mieszkańców miasta, dotarł do wzgórz. Ale został odkryty i zamordowany przez opętane szaleńce kobiety. A jego matka Agawę, wracając do Teb w radosnej procesji, pokazywała wszystkim odciętą głowę syna, którego nie rozpoznała. Dzierżąc ją w ręku, tak jak pani Fairfirth, która trzymała głowę jedynaka. „Raduję się... że wielki, wielki i wspaniały czyn... dla miasta tego spełniłam”. To samo zdanie pojawiło się na ścianie pokoju starej kobiety, nad wezłowiek łóżka ze zwykłego jasnego orzecha, z dwiema małymi, ciemnymi kolumienkami po bokach oraz dwoma eleganckimi, złożonymi zwieńczeniami na górze. Ta sama była obląkańcza radość matki, trzymającej na kolanach odciętą głowę syna.

Oczy Germinala coraz szerzej otwierały się pod wpływem nienazwanego lęku w miarę czytania straszliwej opowieści. Ostatni raz przerwał lekturę, tym razem już bez zdziwienia, na stronie dziewięćdziesiątej drugiej, gdzie odnalazł czwarte i ostatnie zdanie, które napisał morderca. Tragedia osiągnęła już swój przeraźliwy epilog. Agawę otrząsa się z koszmarne amoku, w który wprowadził ją Dionizos, i rozpoznaje twarz ukochanego syna. Wraz ze starym ojcem, Kadmosem, przyniesiona swą winą do ziemi, która nie miała już króla, ale za to nowego boga, opuszcza miasto. „Mnie, boga, ciężko wyście znieważyli” - mówi jej Dionizos. Jedyny

wers, który morderca podzielił na dwie części. Jedną umieścił na prawym, drugą na lewym udzie starej pani Fairfirth. Objawił się. I chciał ukazać powody swych bestialskich, symbolicznych mordów. To była zemsta. I sprawiedliwość.

Germinal zamknął książkę. A więc Dionizos był młodym socjalistą, któremu on sam pozwolił uciec? Ignaszewski miałby być obłąkanym mordercą, który krył się za szlachetną ideologią, by dokonać swej mroźnej krew w żyłach zemsty? Jak to się stało, pytał sam siebie Germinal, że nie wyczytał w jego spojrzeniu załączka owego szaleństwa, kiedy miał go w rękach? Jak to możliwe, że był aż tak ślepy? Nagle spojrzał na to, co zostało na ziemi ze strzykawki. I na małą kałużę diacetylomorfiny, rozlaną wśród spiczastych szklanych odłamków. Pochylił się nad zamkniętą książką, wykrzywiając usta w przerażającym uśmiechu szydery. Dionizos był bogiem wina, odurzenia. Narkotyków. „Jest pan zwykłym narkomanem” - ponownie zabrzmiał mu w głowie głos doktora Noverre.

- Nie... - powiedział cicho Germinal.

Nic nie było tym, czym się wydawało podczas dochodzenia. Dionizos, czyli imię, które morderca sobie wybrał, by zrealizować swój obłąkańczy plan, był bogiem złudzenia. Był bogiem pomieszanych zmysłów. Był prestidigitatorem, a rzeczywistość była inna, niż to się wydawało.

Zamknął oczy i jeszcze raz odtworzył w myślach poszczególne etapy śledztwa, które było niepodobne do poprzednich. Juffridi. Pierwsza rzeź w willi Neefów. Nielegalna sekcja zwłok, przeprowadzona pod kierunkiem doktora, i odkrycie w pochwie moszny z kośćmi. Tyrs, który pojawił się w ręku zmarłej podczas zamieszek na pogrzebie.

Germinal poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu prąd. Ignaszewskiego nie było w kościele, kiedy trumna została strącona z katafalku, a tłum rozebrał zwłoki pani Neef. Ani na chwilę nie zbliżył się do trumny, nawet kiedy rzucił hasło rozpoczęcia zamieszek. Zatem to nie on włożył kij z bluszczem w ręce zmarłej. A jeśli nie on, to kto?

Germinal ponownie zaczął analizować następujące po sobie zdarzenia. Juffridi został zamordowany pierwszy. Potem dokonano rzezi w willi Neefów. Później nastąpiła nielegalna sekcja zwłok i odkrycie moszny...

- Moszna, no jasne - powiedział na głos Germinal. Moszna Dzeusa, w której Dionizos zakończył proces formowania. Wszystko wiązało się z narodzinami, teraz był tego pewien. A łapa łasicy, znaleziona w mosznie, była symbolem Dionizosa. Dionizos, morderca, identyfikował się z łapą. I z ręką. Z ręką, której podczas morderstw uparcie nie używał.

I Germinal zaraz znów skoncentrował się na następujących po sobie zdarzeniach. Po nielegalnej sekcji zwłok tyrs wetknięty podczas pogrzebu. Potem druga rzeź: służący jako widzowie, przebrani za kobiety, czy też raczej - teraz już to wiedział - za bakchantki. Rysunki Juffridiego. Podejrzanie doktora Noverre. Aresztowanie Scirona. Potem trzecia zbrodnia z całym szeregiem rytualnych wyjaśnień, których morderca postanowił im dostarczyć. I w końcu szczęśliwy zbieg okoliczności ze znaczkami. Morderca, który nigdy nie popełnił błędu, głupio zgubił swój znaczek?

- Tak daleko od miejsca, gdzie wdrapał się, by wejść do mieszkania - zastanawiał się Germinal na głos, jakby próbował przekonać kogoś innego, kto był z nim w pokoju. - Jak to możliwe, że znaczek wylądował po przeciwnej stronie podwórka, za klombami... za fontanną...

Germinal przytknął ręce do skroni. Coś mu umykało. Jakaś poszlaka, którą miał przed oczyma i której nie był w stanie dostrzec. To było tylko wrażenie, ale wiedział, że jest coś więcej. Nie rozumiał, co takiego nie pasuje do siebie w odtwarzanych przez niego zdarzeniach. Jakby zapomniał o jakimś zasadniczym czynniku. Może pogrzebanym w jego podświadomości. O czymś, co było tak nieostre, że wciąż jeszcze nieuchwytnie...

Nagle otworzył „Bakchantki”. Było tam zdanie, przy którym zatrzymał się na chwilę podczas lektury, jakby już je kiedyś słyszał, ale nie odpowiadało ono żadnemu z czterech napisów, zostawionych w domu Fairfirthów. Przekartkował książkę drżącymi dłońmi. Według chronologii śledztwa, po aresztowaniu Scirona nie nastąpiła od razu trzecia rzeź.

Dotarłszy do końca dziewięćdziesiątej strony, Germinal wiedział już, czego szuka. Kiedy Sciron został aresztowany, Stigle złożył mu wizytę. A on, Milton, podsłuchiwał ich rozmowę, przykucnięty koło okna celi. Początkowo uwierzył, że nie przekazali sobie nic ważnego. Ale teraz doskonale pamiętał to, co Stigle śpiewnym głosem powiedział Scironowi. „Ci dwaj policjanci skrzywdzili... dobroczyńcę. Z zawiści, złości... spętali go więzami, słowami, ubliżyli...” - rzekł Stigle. Choć język ten zdawał się zbyt podniosły dla normalnej rozmowy, wtedy Germinal nie przywiązał do tego wagi. A to był błąd. Ale nie mógłby tak precyzyjnie odtworzyć tego zdania, doskonale pasującego do tamtej sytuacji, gdyby nie znalazł go teraz, na końcu dziewięćdziesiątej strony „Bakchantek”.

Wypowiadał je Dionizos: „Z zawiści, złości, skrzywdził dobroczyńcę... spętali więzami, słowami ubliżył”.

Germinal wybiegł z domu jak strzała.

- Muszę zobaczyć się z panem Boamorte.

Dwóch policjantów, strzegących willi, odwróciło się gwałtownie z wycelowaną bronią. Robiło się już ciemno, bo na horyzoncie zachodziło słońce, zerkając ukradkiem zza kominów cukrowni. Twarze strażników - rozjaśnione światłem małego ogniska, które rozpalili, by chronić się przed zimnem nadciągającego wieczoru - były napięte. Przestraszone.

- Nie słyszałem pana - powiedział jeden z nich, odprężając się i opuszczając broń.

- Mógł pan zarobić kulkę, Chemiku - rzekł drugi agresywniejszym tonem.

Stigle popatrzył na znajdujące się za bramą okna willi, oświetlone już ciepłym blaskiem lamp. - Muszę zobaczyć się z panem Boamorte - powtórzył.

- Mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać.

- Nikogo - potwierdził drugi policjant - to sprawa dotycząca fabryki - oznajmił Stigle. Dwaj policjanci wymienili niepewne spojrzenia.

- Nie powiedzieli wam, że mordercą jest ten socjalista? - zapytał Chemik. - Nie informują was na bieżąco o tym, co się dzieje?

- Nazywa się Ignaszewski - odparł z irytacją w głosie agresywniejszy z policjantów. - Wiemy o tym.

- To dobrze. A ja nie nazywam się Ignaszewski - rzekł Stigle z sarkastycznym uśmiechem na ustach. Potem jego spojrzenie stało się surowe. - Mam ważną wiadomość dla pana Boamorte, więc zrób mi tę przysługę i zapowiedz mnie.

- Niech pan tu zaczeka - sapnął policjant i ruszył w kierunku willi.

Stigle odwrócił się przodem do ciemnej i zwartej kępy drzew i zagwizdał krótką melodyjkę. Dwa razy. Potem spojrzał na policjanta, który z nim został.

- Twój kolega to nerwowy typ - powiedział, uśmiechając się przyjaźnie.

Policjant wzruszył ramionami.

- Warty są długie. A ta nocna zmiana jest najgorsza. Zwłaszcza jak ma się narzeczoną. - Chłopak roześmiał się. - Można zrozumieć, że jest nerwowy, nie?

- Jasne... O której was zmieniają? - rzekł Stigle, widząc, że drzwi willi się otwierają.

- Dwie godziny przed świtem.

- Pan Boamorte może pana przyjąć - ogłosił policjant, wracając z rozmowy z akcjonariuszem i wymachując bronią.

Stigle, nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku willi. Ciemna postać akcjonariusza

rysowała się w progu.

- Przykro mi, że zakłócam panu spokój o tej porze - powiedział Chemik, gdy do niego podszedł.

- Złapali go? - zapytał pan Boamorte.

- Nie, proszę pana - odparł Stigle. - Mogę wejść?

Akcjonariusz, z niezadowoleniem malującym się na twarzy o błyszczącej, ciemnej cerze w kolorze suszonego na słońcu tytoniu, cofnął się o dwa kroki.

- Niech pan zamknie drzwi - polecił Stigle'owi, skracając w krótki korytarz po prawej stronie od wejścia. - No więc? - spytał, kiedy znaleźli się w gabinecie, przytulnym pokoju, pełnym książek.

Stigle rozejrzał się po bibliotece, przypominając sobie inną, z sufitem w kolorze intensywnego granatu, na którym przeblyskiwały miriady złotych gwiazd. Pokój, który przechowywał dla niego Księgę Poznania.

- To nowa moda - powiedział pan Boamorte, wskazując na stare książki, ustawione na półkach.

Stigle posłał mu pytające spojrzenie.

- Są sztuczne - rzekł akcjonariusz z nieukrywaną dumą. - To pomysł dekoratora. Książki z drewna użyte ku ozdobie. - I zaśmiał się zadowolony, podchodząc do półki. Potem przeciągnął ręką po grzbiecie jednej z książek, by wysunąć ją na zewnątrz. Ale cały rząd poruszył się z rozdzierającym skrzypnięciem drewna, ukazując wnękę głębokości dwóch kciuków. - W ten sposób oszczędza się też miejsce. Proste i praktyczne - pochwalił akcjonariusz, ustawiając na powrót zawartość półki. - No więc? - zapytał mniej uprzejmym tonem.

Stigle odwrócił się, udając zainteresowanie sztuczną biblioteką, by ukryć wyraz wzdargy, jaki odmalował się na jego twarzy. Kiedy ponownie spojrzął na ciemnoskórego akcjonariusza, uśmiechał się uprzejmie.

- Niestety, przychodzę, by panu powiedzieć, że strajk robotników, którego się obawiamy, wybuchnie lada dzień.

- Jak to?...

- Przykro mi, ale nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Posiadam swoich informatorów, a to ludzie godni zaufania - kontynuował Stigle. - Ten Ignaszewski to nie tylko morderca, ale prawdziwy socjalistyczny wichrzyciel. Podburzył robotników do tego stopnia, że

nawet bez niego chcą rozpocząć strajk.

- Jak ma pan zamiar się temu przeciwstawić? - spytał akcjonariusz, wymachując rękoma.

- Wyliczył już pan, jakie poniesiemy straty finansowe? Fabrykę musi koniecznie otoczyć policja... albo wojsko, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Słyszałem, że mają zamiar ruszyć się w przyszłym tygodniu, ale... - Ale?...

- Proszę dać mi czas, bym sprawdził wiarygodność pogłosek i zorientował się, czy istnieje jakiś mniej drastyczny środek zaradzenia tej sytuacji niż zbrojna ochrona - powiedział Stigle. - Mam zresztą pewien pomysł, który odwróci ich uwagę... ale jeśli pan na to zezwoli, musiałbym poprosić o wsparcie finansowe...

- Co to takiego?

- ...no i nie mogę zagwarantować, że ten plan się powiedzie...

- Co to takiego? -

- Robotnicy, proszę pana, to ludzie prości... - kluczył dalej Stigle. - Są jak dzieci...

- Niechże pan wreszcie mówi - zniecierpliwiał się pan Boamorte. - Niech pan mnie nie trzyma w niepewności. Spróbujemy wszystkiego, czego można spróbować.

- Właśnie... słyszał pan o jednej z atrakcji cyrku, która ostatnio zaciekawia gawieź? - spytał Stigle. - Wszyscy zwą go Człowiekiem-Maszyną.

- Nie mam tych samych zainteresowań co pospólstwo.

- Pół człowiek, pół maszyna. Tak go reklamuje impresario, niejaki Sciron. W praktyce to tylko genialne oszustwo. Mechaniczny szkielet, który jest... jakby to powiedzieć... uruchamiany od wewnątrz przez karła, istotę z krwi i kości.

- Niech pan przejdzie do rzeczy.

- Pomysł polegałby na zaangażowaniu go do niecodziennego przedstawienia, które miałyby wywołać zdziwienie i niepokój w fabryce - oświadczył Stigle. - Naturalnie Człowiek-Maszyna musiałby być wykorzystany w inny sposób, niż robi to jego impresario. W spektaklu, który mam na myśli, ten blaszany furiał nie służyłby do walki, ale... do pracy.

- Do pracy?

- W rzeczy samej, proszę pana. Pan jest człowiekiem dalekowzrocznym, który docenia praktyczne innowacje. - Stigle wskazał ręką na sztuczne książki w bibliotece. - Nasze społeczeństwo coraz bardziej się mechanizuje. Nietrudno wyobrazić sobie, że następnym krokiem nauki będzie zredukowanie do minimum wkładu pracy istot myślących... i jedzących...

na rzecz spokojniejszej siły roboczej, czyli technologii, która będzie mogła zastąpić robotnika. Sądzę, że zgodzi się pan ze mną, że od czasów zniesienia niewolnictwa wydajność i przychody, niestety, coraz bardziej zależą od kosztów i czasu pracy robotników... Rozumie pan, o czym mówię?

- Niech pan kontynuuje - zachęcił Chemika zaintrygowany pan Boamorte, zmieniając postawę wobec podwładnego, którym jeszcze kilka minut temu gardził. - Napije się pan czegoś? Mam doskonałe brandy. Proszę, niech pan usiądzie, dyrektorze.

- Dziękuję panu - rzekł Stigle, wybierając fotel za biurkiem, zza którego z pewnością pan domu, miał w zwyczaju wydawać polecenia przybyłym pracownikom.

Pan Boamorte, zaskoczony niespodziewanym zwrotem sytuacji, nie powiedział nic i sam usiadł na niewygodnym krześle, które istotnie zachowywał dla niższych rangą gości, by poczuli się nieważni i skrepowani.

- Niech pan mówi dalej.

- Zarówno pan, jak i ja dobrze wiemy, że obecnie taka technologia, której niepodważalną zaletą byłaby jedna, początkowa inwestycja, do której dochodziłby potem tylko koszt zwykłej konserwacji zamiast robotniczych pensji, nie została jeszcze wymyślona - wrócił do tematu Stigle. - Ale jakie to ma znaczenie? Czy robotnicy o tym wiedzą? Odpowiedź brzmi: nie. Nie wiedzą. Więc powtarzam, zaangażujemy Człowieka-Maszynę. Niech popracuje przez cały dzień w fabryce, jedynie w celu demonstracji. Pokażemy buntownikom, że można ich zastąpić w każdej chwili kimś, kto ma dziesięć razy taką siłę, jak oni, który nie je i nie pobiera wynagrodzenia... Roześliśmy wici, że w razie strajku akcjonariusze są gotowi zlecić skonstruowanie całych zastępów Ludzi-Maszyn. Damy im do zrozumienia, że możemy się bez nich obejść, proszę pana. - Stigle zrobił krótką przerwę. - Wierzę, że staną się łagodni jak baranki. To tylko prestidigitatorska sztuczka...

- Prestidigitatorska sztuczka! - wykrzyknął podekscytowany pan Boamorte.

- Tak. - Stigle mierzył go przenikliwym wzrokiem. - Złudzenie. Magia. Pan Boamorte plasnął otwartą dłonią w udo, wybuchając frenetycznym śmiechem.

Stigle patrzył na niego, lekko się uśmiechając. Oto pora Nadejścia. Nastał moment wystawienia rachunku także Czwartej. Ostatniej, czarnej wiedźmie, która się roześmiała, splunęła i potwierdziła: „Tak, należałoby go zabić” i która później poraziła matczyne łono swą czarną klątwą, skazując boga na ułomność i zmuszając go do ukształtowania się w ojcowskim jądrze.

- A ile to będzie kosztowało? - spytał pan Boamorte.

- Dużo... - Głos Stigle'a był ponury.

Czas Nadejścia został uczczony przez Pierwszą. I przez Drugą, i przez Trzecią. Teraz nadszedł czas Czwartej.

- A pańska córka... jak się czuje? - spytał Stigle uprzejmiejszym tonem. - Dowiedziałem się o przedwczesnej śmierci pańskiej żony. Domyślam się, że dziewczyna cierpiała bardziej niż ktokolwiek inny...

Pan Boamorte zjeżył się. W innej sytuacji dałby podwładnemu odczuć, że jego prywatne sprawy nie powinny go nic obchodzić. Ale pomysł z Człowiekiem-Maszyną i oszukaniem robotników zelektryzował go na tyle, że pozwolił sobie na niemal przyjacielskie wynurzenie.

- Mimo że moja żona od dawna chorowała... - rzekł, wzdychając - i nikt już nie liczył na jej wyzdrowienie... moja dziewczuszka nie traciła nadziei i śmierć matki głęboko nią wstrząsnęła...

- Dziewuszka? - przerwał mu Stigle, truchlejąc. Pan Boamorte roześmiał się.

- Dla ojca córka zostanie małą dziewczynką na całe życie... wie pan, jak to jest, nie? Tak naprawdę to prawie kobieta. Za dwa dni skończy szesnaście lat.

- Szesnaście... - mruknął Stigle. - Piękna liczba.

- Piękny wiek, chciał pan powiedzieć - poprawił go akcjonariusz. Stigle spojrzał na niego bez słowa. Szesnaście lat. On był w tym samym wieku, kiedy bóg objawił się w jego ciele po raz pierwszy. I tę samą liczbę lat od tamtego czasu przeczekał cierpliwie w śmiertelnym ciele Stigle'a, pozostając w letargu, zanim dojrzała era Nadejścia.

- Proszę mi zatem pozwolić na ofiarowanie prezentu pańskiej pięknej córce. - Stigle uśmiechnął się tajemniczo. - Panience... Boamorte.

Wiele lat temu, kiedy bóg, który był w nim, planował Nadejście, musiał stawić czoło przypadkowości kierującej życiem. I śmiercią. Z czterech kobiet, które fizycznie obraziły i poniżyły jego matkę oraz samego boga, będącego w niej, tylko jedna została przy życiu. Trzecia. Pani Fairfirth. Która przez zbieg okoliczności była jednym z najbogatszych akcjonariuszy. Natomiast Pierwsza, pani Couze zmarła, zostawiwszy jednak córkę, żonę pana Neefa, akcjonariusza cukrowni. I córce tej przekazała w spadku swą winę do odkupienia. To samo przydarzyło się pani Caldwell, która była tak przezorna, że podarowała po trzech synach bogu córkę Virginie, z którą ożenił się pan Finnegan, dziwnak i przypadkowo również akcjonariusz fabryki. I w końcu Czwarta, Ostatnia, wiedźma Boamorte, wydała na świat tylko owego

nieprzydatnego syna, który teraz stał przed nim. Ale drogi boga strzegły gwiazdy. „Gdy los nie zsyła cierpienia, nie jest losem prawdziwym” - głosiła Księga Poznania. I los nie tylko podarował mu wnuczkę jego świętej ofiary, która miała zastąpić wiedźmę Boamorte, ale teraz dowiadywał się oto, że ta dziewczyna żyje od szesnastu lat, stworzona specjalnie dla niego na dzień zemsty.

- Jakiego prezentu? - spytał podejrzliwie pan Boamorte.

- Wie pan - powiedział Stigle, wstając z fotela pana domu - że znałem pańską matkę... z opowiadań mojej matki.

- Były przyjaciółkami?

- Czymś więcej - mruknął Stigle. - Były prawie... siostrami.

- A jak się nazywała pańska matka?

- Semele.

- Dziwne imię... - powiedział zdezorientowany pan Boamorte. - Nie wydaje mi się, żebym je słyszał z ust mojej matki.

- A jednak... trzydzieści dwa lata temu... usta pańskiej matki były bardzo blisko macicy mojej matki... i mnie, który się w niej formowałem. I obojgu nam zostawiła prezent.

- Prezent? - Pan Boamorte czuł się coraz bardziej nieswojo, zwłaszcza że Stigle okrążył biurko i teraz zbliżał się do niego.

- I także dlatego chciałbym, by pozwolił mi pan odwdzińczyć się i podarować coś pańskiej córce.

- Ale... co to takiego?

- Proszę, niech pan pójdzie za mną. - Stigle wziął go pod rękę i poprowadził ku drzwiom wyjściowym. - Proszę ze mną - powtórzył, wypychając akcjonariusza za drzwi, i poprowadził go przez zadbane ogród, lekko zaróżowiony od umierającego blasku słońca, które zachodziło między dwoma kominami cukrowni. Doszli aż do bramy, gdzie dwóch policjantów podniosło się i oddało śmieszny, wojskowy salut. - Zechce pan powiedzieć tym dwóm głupcom, żeby czasem z nadgorliwości nie zaczęli strzelać? - szepnął mu do ucha. - Muszę panu kogoś przedstawić. I ten ktoś jest prezentem dla pańskiej córki.

- Ale... - pan Boamorte był zmieszany, oszołomiony. - No dobrze... Ej, wy dwaj, nie strzelać, chyba że na mój rozkaz.

Bóg wydał z siebie krótki gwizd, a następnie dwa kolejne, w szybkim rytmie.

- Tam - powiedział, wskazując na małą kępę drzew.

Ciszę wieczoru zakłócił daleki odgłos kroków, deptanych liści i suchych gałęzi, które pękały z trzaskiem. Potem na tle karminowego nieba ukazała się imponująca postać, zbliżając się sztywnym krokiem.

- Mój Boże...

- Jeśli zrobił na panu takie wrażenie - zaśmiał się Stigle - to mogę liczyć, że plan przeciw robotnikom się powiedzie.

- To... to on? - spytał podekscytowany pan Boamorte.

- Tak, proszę pana. To on - przytaknął z dumą Stigle. - Człowiek-Maszyna.

- Niesamowite! - wykrzyknął akcjonariusz, kiedy olbrzym ze skóry i metalu do nich podszedł. - Opuśćcie broń, idioci! - nakazał dwóm policjantom i znów zapatrzył się na Człowieka-Maszynę. - Jest nadzwyczajny!

- Bo widzi pan - odezwał się Stigle - pomyślałem, że powinien pan sprawdzić na własne oczy, czy mój plan, dotyczący strajku, ma jakąś szansę powodzenia.

- Jakąś szansę? Ależ to... to jest cud! Może pan liczyć na godziwe wynagrodzenie, dyrektorze. Miał pan genialny pomysł! Genialny! - Potem pan Boamorte podszedł do Stigle'a i szepnął mu na ucho: - Ale czy jest prawdą to, co pan mówi? Gdzie kryje się... karzeł? Mogę go zobaczyć?

Stigle spojrział na policjantów i dał znak panu Boamorte.

- Wy dwaj. Odwrócić się - rozkazał natychmiast akcjonariusz. Policjanci posłusznie wykonali polecenie.

- Niech mi go pan pokaże.

- Proszę to zrobić samemu - powiedział Stigle. - Niech mu pan rozepnie kamizelkę.

Pan Boamorte drżącymi dłońmi jął rozpinać po kolei guziki kamizelki z szacunkiem, którego nigdy nie miał dla ubrań żony. Potem rozchylił ubranie i odskoczył do tyłu.

- Święty Boże! - wykrzyknął i znów zbliżył się do Człowieka-Maszyny, zerkając na kamizelkę.

Zdeformowana twarz Tristante patrzyła na niego obojętnie.

- Dobry wieczór... - szepnął zmieszany pan Boamorte.

- Dobry wieczór - odparł cicho jak echo Tristante, przesadnie artykułując słowa. Szczeka Człowieka-Maszyny poruszała się w idealnej harmonii z ustami karła.

- Niesamowite! - jęknął podekscytowany akcjonariusz.

- Co pan powie na demonstrację siły Człowieka-Maszyny? - spytał Stigle, zapinając na powrót kamizelkę na twarzy karła, który patrzył na niego pełnym adoracji wzrokiem. - Moglibyśmy zaimprovizować małe przedstawienie dla pańskiej córki jako prezent urodzinowy.

- Absolutnie tak. Martha będzie zachwycona - rzekł natychmiast pan Boamorte. - To co teraz robimy?

- W domu są służący?

- Trzech.

- Niech tu przyjdą. I niech przyniosą lampy, by oświetlić ogród. A potem niech zostaną z nami i z pańską córką, bo wie pan, im więcej publiczności, tym lepszy efekt.

- Złudzenie... magia... - Rozemocjonowany akcjonariusz mrugnął porozumiewawczo.

- W rzeczy samej, proszę pana - odpowiedział Stigle. - I jeśli uda się panu przekonać tych dwóch policjantów, by... wzięli udział w przedstawieniu, mogłoby z tego wyjść coś naprawdę zabawnego.

- Przekonać ich? - Pan Boamorte klepnął po ramieniu dwóch policjantów. - Róbcie, co wam powie pan dyrektor - rozkazał. - Ja tymczasem zawołam Marthę i służących. - I ciemnoskóry mężczyzna szybkim krokiem ruszył do domu.

- Będziecie walczyć z Człowiekiem-Maszyną - obwieścił Stigle dwóm policjantom. Potem uśmiechnął się. - Oczywiście na niby. I szepnę panu Boamorte, by przysłał wam wieczorem jakąś butelczynę na rozgrzewkę.

Dwaj policjanci roześmiali się z zadowoleniem i zaciekawieniem zaczęli krążyć wokół Człowieka-Maszyny, waląc kłykciami w jego metalowe części.

- Jesteśmy gotowi! - krzyknął akcjonariusz, kiedy część ogrodu została oświetlona.

Stigle podszedł do grupki, uśmiechając się uprzejmie. W niewielkiej odległości za panem Boamorte zobaczył kobietę około pięćdziesiątki, zapewne kucharkę, młodą pokojówkę i korpulentnego mężczyznę o silnych i sękatych dłoniach. Stigle przyjrzał mu się uważnie, analizując stopień ryzyka. W końcu skierował wzrok na córkę akcjonariusza, wnuczkę czarnej wiedzmy Boamorte, na tę, która została wybrana, by odegrać rolę Ostatniej. I uśmiech na ustach mu zamarł.

- Miała być czarna - powiedział rozwścieczony bóg.

- Słucham?... - rzekł zaskoczony pan Boamorte.

- Dlaczego nie ma czarnych włosów, jak babka? - ciągnął dalej bóg z grymasem

niezadowolonia.

Dziewczyna spuściła wzrok na ziemię, zmieszana. Blond loczki opadły jej na twarz, która oblała się rumieńcem.

- Ma przepiękny koloryt matki - powiedział ugodzony do żywego akcjonariusz, przybierając znów wyniosły ton swojej klasy. - Co z panem, Stigle?

Bóg przyczał się w cieniu. Nie nastąpił jeszcze moment objawienia całej jego władzy.

Stigle uśmiechnął się do pana Boamorte, a potem zwrócił się do dziewczyny:

- Proszę mi wybaczyć, panienko. Pani babka była dla mnie bardzo ważną osobą...

- Możemy zaczynać? - przerwał mu akcjonariusz, który z kolei odziedziczył czarne włosy i ciemną skórę po wiedźmie Boamorte.

- Świetnie - powiedział na to Stigle, zwrócony przodem do dwóch policjantów. - Na początek musicie odłożyć swoją broń.

Policjanci ociągali się przez chwilę, ale w końcu oparli broń o mur willi. Potem stanęli w groteskowych pozach, z podniesionymi pięściami, naprzeciwko Człowieka-Maszyny.

Dziewczyna klasnęła w dłonie. Trzech służących patrzyło w zachwycie na scenę i mechanicznego olbrzyma. Pan Boamorte dzielił spojrzenia między pantomimę walki a córkę. Stojący z boku Stigle przyłożył rękę do pleców na wysokości talii.

Dwóch policjantów wymierzyło żartobliwe ciosy, a następnie pozwoliło, by Człowiek-Maszyna położył swe olbrzymie ręce z wyprawionej skóry i metalu na ich głowach. Mechaniczne palce zacisnęły się na skroniach, unieruchamiając mężczyzn.

- Tylko delikatnie, osiłku - zachichotał jeden z policjantów, próbując się uwolnić.

Dziewczyna śmiała się podekscytowana. Ojciec nie posiadał się z radości. Trzech służących klaskało w ręce.

- Oto pora Nadejścia - powiedział bóg.

Palce Człowieka-Maszyny zwiększyły ucisk. Na twarzach dwóch policjantów pojawił się grymas bólu.

Potem, gdy uśmiechy na ustach widzów zamarły, a w ich oczach zamigotał błysk zaskoczenia i niepokoju, mechaniczne palce zgruchotały kości dwóch czaszek z podwójnym łoskotem, który rozszedł się echem w nagłej ciszy wieczoru.

Strużka krwi zabarwiła na czerwono twarze dwóch policjantów. Pozbawione życia ciała osunęły się bezładnie na ziemię.

Dziewczyna krzyknęła.

Stigle wyciągnął pistolet zza pleców, wycelował go w muskularnego służącego i strzelił mu z bliskiej odległości prosto w serce. Następnie błyskawicznie zabił z zimną krwią również służącą i kucharkę.

Dziewczyna krzyczała coraz głośniejsze, zasłaniając rękoma twarz i histerycznie kręcąc się w kółko, zupełnie oszołomiona.

- Wiesz, jaki prezent podarowała twoja matka mojej? - zwrócił się bóg do pana Boamorte.
- Taki. - I splunął mu w twarz; ta nie była już tak ciemna i wyglądała po prostu jak kawałek skóry, z którego odpłynęła cała krew. - A potem twoja matka potwierdziła: „Tak, bękart należałoby zabić”. - Wycelował pistolet w jego prawy policzek i strzelił.

Tymczasem Człowiek-Maszyna zatrzymał dziewczynę, zaciskając na jej szyi metaliczne palce, po których ściekała krew.

Wtedy bóg chwycił jej ręce i skrępował je z tyłu za plecami. Potem szarpnął za blond włosy i zbliżył swe pałające boską furią oczy do jej źrenic. - *Mala suerte* - wytchnął jej w twarz.

Dziewczyna płakała i krzyczała.

Bóg się śmiał.

- Zanieś ciała do domu, weź tę broń i wracaj do mnie - polecił Człowiekowi-Maszynie, popychając dziewczynę w kierunku bramy.

Słońce wciąż mrugało porozumiewawczo zza kominów cukrowni.

- To nie Ignaszewski, mówię panu - upierał się Germinal, opierając się o biurko, za którym siedział komisarz Landau. - To Stigle.

- Niech pan zabierze ręce z mojego biurka.

- Popelnia pan poważny błąd, proszę mi wierzyć.

- Powiedziałem panu, żeby pan zabrał ręce z mojego biurka! - krzyknął Landau, wstając.

Rozwścieczony Germinal odskoczył, cofając się o dwa kroki. Wbił wzrok w komisarza. - Proszę posłuchać, ten morderca wierzy, że jest starożytnym bogiem, Dionizosem... Wszystkie zdania, które napisał, kij z bluszczem, mężczyźni przebrani za kobiety... wszystko pasuje, co do joty, do greckiej tragedii zatytułowanej „Bkchantki”...

- A więc Ignaszewski wierzy, że jest tym Dionizosem. Świetnie. Doskonała robota.

- To nie jest Ignaszewski! - krzyknął zrozpaczony Germinal. - Nie może pan tego

zrozumieć? Słyszałem na własne uszy Stigle'a, który wypowiedział do Scirona zdanie z tej książki. To on! Nie Ignaszewski.

- Czegóż by pan nie zrobił, by pokazać, że się nie mylił! - Landau uśmiechnął się wzgardliwie. - A znaczek? To nie dowód? - zapytał po chwili. - Usłyszane przez pana zdanie... tylko przez pana... liczy się bardziej niż niepodważalny dowód?

- Znaczek mógł podrzucić on, Stigle, by nas zmylić, żebyśmy robili dokładnie to, co teraz robimy... - Germinal odwrócił się z zaciśniętymi pięściami, drżąc z wściekłości. - Jak pan może być tak uparty, na miłość boską! - krzyknął. - Idę porozmawiać z Sanguinetim - oznajmił w końcu ponurym głosem i znów wbił na dłuższą chwilę wzrok w swego przełożonego. Następnie wyszedł z biura.

Germinal właśnie schodził po schodach, kiedy Landau wychylił się zza poręczy. Hol komisariatu wypełniał tłum policjantów, którzy wracali z przeszukań w osadzie robotniczej.

- Dalej, niech pan idzie do Sanguinetiego! - ryknął Landau.

Wszyscy policjanci odwrócili się i spojrzeli na niego. Germinal zatrzymał się w połowie schodów. Na jego twarzy widać było oznaki znużenia. A w oczach ból po utracie Ignés.

- Niech pan idzie, niech pan idzie do Sanguinetiego - powtórzył Landau ze śmiechem. - A on powie panu to, co powiedział mnie. Że już panu nie ufa. Że jest pan skończony! - Komisarz popatrzył na swoich ludzi, stłoczonych u stóp schodów. - Wiecie, dlaczego genialny inspektor Milton został przeniesiony do tego chlewu? - krzyknął do nich z pierwszego piętra, z rękami kurczowo zaciśniętymi na poręczy, podczas gdy na jego tłustej jak u sowy twarzy rozkwitał triumfalny uśmiech. - Bo to narkoman! Oto dlaczego! Prawda to czy nie? Niech pan nam powie, że to nieprawda, inspektorze... Spojrzenia policjantów powędrowały ku Germinalowi.

- Jest pan tylko nędznym narkomanem, na którego widok flaki się przewracają! - krzyknął Landau.

Germinal pokonał ostatnie stopnie w absolutnej ciszy. Oczy wszystkich funkcjonariuszy spoczywały na nim i kiedy rozsuwali się, by mógł przejść, ustawiając się w dwie zwarte ściany ciał, tworzące ciasny korytarz, w ich wzroku Germinal mógł wyczytać pogardę.

- Jest pan skończony! - krzyknął jeszcze komisarz Landau, kiedy Germinal przekraczał próg komisariatu.

- Otóż to, teraz jesteś doskonała - szepnął bóg do Marthy Boamorte.

Rzucił na ziemię szylkretowy grzebień i wytarł ręce w szmatę, którą upaścił na czarno, cofając się o krok, niby malarz spoglądający na ostateczny kształt swego dzieła.

Dziewczyna była przywiązana za ręce i nogi. Zakneblowana. Włosy połyskiwały w ciepłym świetle lampy, którą bóg trzymał w ręku. Czarne. Jak smoła, którą bóg je posmarował, a następnie starannie uczesał, tak aby przypominała swoją babkę. Czarną wiedźmę. Ostatnią.

- Doskonała - powtórzył bóg. Potem wyszedł z magazynu, gdzie swego czasu ukrywał się towarzysz Ignaszewski, i zamknął za sobą zardzewiałe drzwi na kłódkę.

- Na razie nie mów nikomu o dziewczynie - ostrzegł Stigle Rinauda, gdy wchodzili po rozchwianych schodach, prowadzących na zewnątrz. - Tylko ty o niej wiesz. I tylko ty masz o niej wiedzieć.

- Możesz mi zaufać, Chemiku - odparł przez zaciśnięte zęby robotnik, z oddechem przesyconym alkoholem.

- Dziewczyna jest naszą przepustką do strajku - ciągnął Stigle już na szczycie schodów, w opustoszałej części fabryki. - W wypadku tak cennego zakładnika policjanci zastanowią się dwa razy, zanim zaczną strzelać.

Rinaud roześmiał się.

- Ale jak to ci się udało? - spytał. - Mówiono, że wille akcjonariuszy są strzeżone.

- To był zachód słońca, ale niespodziewanie dla nich zapadła noc. Niczego nie spostrzegli. - Stigle uśmiechnął się zagadkowo. - Jestem bogiem złudzenia...

Rinaud ponownie parsknął śmiechem.

- A broń? Skąd ją wziąłeś?

- Podarowano mi. Ukryj ją także, a potem... Stary Jones wyszedł z wnęki pod schodami, w której się schował, i nadstawił ucha. Ale nie słyszał już nic więcej z tego, co mówili. Pokuśtykał więc ostrożnie do żelaznych drzwi opuszczonego magazynu. Zobaczył kłódkę. Zapukał po cichu rozsadzonymi przez artretyzm kłykciami. - Panienko... słyszy mnie panienka? - spytał cicho, przykładając ucho do drzwi.

Z magazynu docierało tylko stłumione pojękiwanie.

- Niech panienka - powiedział stary Jones - będzie spokojna... znajdę sposób, by panienkę uwolnić. - I ponownie przyłożył ucho do zardzewiałych drzwi.

Znow usłyszał tylko słabiutki, stłumiony lament.

- Muszę teraz iść, panienko - oznajmił i ostrożnie wszedł po schodach, stawiając najpierw

zdrową nogę, a potem pociągając za sobą kulawą kończynę.

Kiedy zbliżał się do wyjścia z fabryki, w jego głowie tłoczyły się wspomnienia. Był jeszcze chłopcem, kiedy pierwszy właściciel, stary hrabia Noverre, uruchomił cukrownię, i jednym z dwudziestu pięciu robotników, którzy tam pracowali. Od samego początku. Sam hrabia go zatrudnił. A kiedy wózek z burakami wykoleił się i przygniótł mu nogę, przez co okulał na całe życie, hrabia Noverre odwiedził go w domu jego matki i obiecał, że jeśli przeżyje, on go nie zwolni. Od tamtego czasu, od ponad czterdziestu lat, Jones był nocnym stróżem w fabryce. Dzięki staremu hrabiemu Noverre, ojcu potwora, który kierował Miastem Zwierząt. Od tamtych odległych czasów fabryka zmieniła się tak radykalnie, że stary Jones czasami nie był w stanie uwierzyć, że to ta sama cukrownia, którą pamiętał z dzieciństwa. Liczba robotników z dwudziestu pięciu wzrosła do przeszło pięciuset. Było ich tak wielu, że co wieczór po skończonej zmianie odkrywał nowe twarze, których nigdy wcześniej nie widział. Ale tego Rinauda dobrze znał. Nigdy mu się nie podobał, już od pierwszego dnia. Zobaczył go i od razu wiedział, kim jest - ot, nic dobrego. On, jego żona i jego syn. I tyle samo był wart Chemik. Nie należało ufać dyrektorowi działu fermentacji, który ubierał się jak pan. I który siedział za biurkiem pięknym jak biurka właścicieli cukrowni, a na podłodze w swoim biurze miał dywany, na które mogli sobie pozwolić tylko bogacze.

Stary Jones przecisnął się przez tłum robotników, kłębiący się przed wyjściem z fabryki. Większość z nich to mężczyźni. Ale było też sporo kobiet i zaledwie dwunastoletnich chłopców.

Niebo przytłaczało czernią.

- Nie róbcie nic dzisiejszej nocy. Czekać, aż wrócę - zwracał się właśnie Stigle do robotników przez megafon. - Towarzysz Rinaud podzielił was na grupy. Każdej grupie wyznaczymy przywódcę, który będzie mi podlegał, aby w razie konieczności przyspieszyć przepływ informacji oraz wspólne działania. Jesteście od tej chwili jak wojsko. A ja jestem z wami.

W twarzach prawie wszystkich robotników, którzy go otaczali, stary Jones mógł wyczytać napięcie i lęk.

- Co będzie, jeśli policja zacznie strzelać? - spytała jakaś kobieta.

- Właśnie, Chemiku, co będzie? - powtórzył niby echo kolejny głos. - Słyszałem, jak mówiono, że policja i wojsko strzelają bez litości do strajkujących.

Z tłumy robotników podniósł się zgodny pomruk zaniepokojenia.

- Nie musicie się bać. - Głos Stigle'a, wzmocniony przez megafon, uciszył wątpliwości. - Mam plan, który przedstawię wam po powrocie i który rozproszy wszelkie wasze obawy. Na razie, jak generał swe wojsko, proszę was o zaufanie. Ale zanim stąd odejdę... ponieważ muszę opracować pewne szczegóły naszego przedsięwzięcia, które przejdzie do historii... chcę wam coś pokazać. - Po czym spokojnym krokiem podszedł do swego czarnego pojazdu, karalucha, którego tylnej ściany trzymała się kurczowo imponująca postać, okryta od stóp do głów ciemnym materiałem. Stigle chwycił róg tkaniny. - Chcę wam przedstawić naszego nowego sojusznika - powiedział i w tym samym momencie odsłonił Człowieka-Maszynę.

Z tłumu podniósł się okrzyk zdziwienia.

- Stanie u naszego boku, by walczyć razem z nami! - zawołał Stigle. Robotnicy przyjęli oświadczenie owacjami.

- Będzie naszym symbolem - kontynuował Stigle. - Człowiek niezwycięzony. Tak jak i my będziemy niezwycięzeni!

Stary Jones próbował się przecisnąć do wyjścia, ale wciąż odpychał go rozentuzjasmowany tłum.

- Od tej chwili oficjalnie zaczął się strajk! - krzyknął Stigle przez megafon. Potem wszedł do karalucha, świsnął konia batem i zniknął w tumanie kurzu.

Robotnicy, pamiętając niezwykle wyczyny siłacza, które widzieli w cyrku Scirona, w podnieceniu wychwalali Człowieka-Maszynę.

Rinaud, z pomocą żony i syna Berta, zaczął rozdawać butelki z gorzałką.

Stary Jones przypadł do zewnętrznego muru, z nadzieją, że nikt go nie zauważył, i kuśtykając opuścił teren fabryki.

- Strajk! - krzyczeli robotnicy, podając sobie z rąk do rąk butelki z wódką. - Strajk!

Żaden z nich nie czuł już strachu.

XXVII

- Zostań tu, narobiłbyś za dużo hałasu - powiedział bóg do Człowieka-Maszyny.

Zamek szybko się poddał zręcznym rękóm boga. Zawiasy lekko zaskrzypiały, zgrzytnęło żelazo o żelazo, kiedy otwierał małą, tylną furtkę. Następnie, minawszy klatki z królikami, a potem ogrodzenie warzywnego ogródka, bóg dotarł do dziwnego budynku, który był jego celem. Sine światło bezgwiazdnej nocy rzeźbiło niepewnie zarysy wieżyczek. Żelazne poręcze balkonów przypominały szkielety zwierząt. Skrzydlate amorki z gipsu, uzbrojone w łuki i gotowe

do wypuszczenia strzały, były ledwie widoczne, ciemne jak demony. Naga Wenus zamknięta w dużej muszli wyglądała jak stara dziwka bez klientów, która zaraz rzuci się z okna. A miast kwietnych dekoracji, wijących się wzdłuż murów, widać było tylko ciemne żyły, które wyglądały niby oplatająca cały budynek gigantyczna pajęczna sieć.

Bóg wyłamał wytrychami zamki w drzwiach wejściowych i wszedł do Miasta Zwierząt.

Kiedy docierał w ciszy do pierwszego piętra, usłyszał, jak w pobliskiej sypialni pojękuje przez sen któryś z potworów, pensjonariusz instytutu. Mijając uchylone drzwi, ujrzał jednego z sanitariuszy, śpiącego na pryczy, z książką na kołdrze i otwartymi ustami. Na palcach podszedł do drzwi prywatnego apartamentu hrabiego Noverre. Delikatnie pchnął jedno ze skrzydeł, a nasmarowane olejem zawiasy wydały jedynie niemal niesłyszalny szmer.

Bóg wyciągnął pistolet zza paska czarnych spodni i wślizgnął się do sypialni doktora, oświetlonej zaledwie bladym blaskiem lampy, przykręconej do minimum. Bóg podszedł do łóżka. Na ziemi zobaczył olbrzymi kształt służącego, który spał na sienniku.

Przystawił zimną lufę pistoletu do twarzy doktora.

Dyrektor Miasta Zwierząt obudził się raptownie.

Zóła chrząknął, otworzył oczy i natychmiast zerwał się z posłania, wyciągając ręce dusiciela w stronę intruza.

Bóg skoczył na łóżko, cały czas trzymając pistolet wycelowany w twarz kaleki, i zasłonił się chorym na fokomelię jak tarczą.

- Jeszcze jeden krok i go zabiję - wysyczał do służącego.

- Stój, Zóla - nakazał Noverre. - Stój, stój...

Olbrzym, z gniewnym grymasem na obłąkanej twarzy, zrobił krok w stronę łóżka.

Bóg załadował pistolet.

- Stój, Zóla - powtórzył Noverre, dysząc. - Stój...

Zóła zawahał się. Ale w jego oczach widać było instynkt, każący mu ratować za wszelką cenę swego pana.

- Stój, Zóla, nie ruszaj się - wyskandował powoli Noverre stanowczym głosem. - Jeśli nie posłuchasz, ten człowiek mnie skrzywdzi...

Zóla drżał.

- Stój spokojnie... Pamiętasz tego konia, który tak bardzo ci się podobał i który okulał? - Noverre mówił do niego jak do dziecka, które należy uspokoić. - Jeśli nie będziesz stał spokojnie,

ten człowiek zrobi mi to samo. Stanę się jak ten koń, który tak bardzo ci się podobał... Pamiętasz, że gdy go zastrzelono, nie mogłeś mu już zadać obroku? Stój, Zóla. Stój...

W oczach olbrzyma pojawiła się łza. Jego ręce opadły. Przez chwilę w pokoju słychać było tylko sapanie Zoli, który nadal toczył wewnętrzną walkę.

- Świetnie, Zóla - pochwalił go Noverre.

- Teraz każ mu, żeby pozwolił się związać - powiedział bóg.

- Kim pan jest? Czego pan chce? - spytał Noverre, próbując odwrócić zniekształconą twarz.

- Rób, co mówię. - Bóg mocniej przycisnął lufę pistoletu do jego policzka. - Każ mu się odwrócić i założyć ręce za plecy.

- Zóla, słyszałeś? - podjął temat Noverre, próbując przelać w obłąkanego swój spokój i jednocześnie zmusić go do posłuszeństwa. - Odwróć się i załóż ręce za plecy... Dalej, bądź posłuszny.

Zóla patrzył z napięciem na swego pana. Wycelował palec w pistolet, nie będąc w stanie ubrać w słowa swego niepokoju.

- Uśłuchaj, Zóla...

Olbrzym odwrócił się powoli i założył ręce za plecami.

Bóg wyjął z kieszeni sznur z gotową pętlą i wychylając się z łóżka, zacisnął ją wokół nieproporcjonalnie grubych nadgarstków Zoli. Potem okręcił kilkakrotnie jego ręce sznurem, tak że skóra olbrzyma aż zbielała, i zawiązał supeł.

- Odwróć się - rozkazał mu.

Zóla nie poruszył się. Jego muskularne przedramiona mocowały się z więzami.

- Odwróć się, Zóla - powiedział Noverre. Olbrzym odwrócił się.

- Każ mu się położyć.

- Połóż się, Zóla.

Służący patrzył na pana zaniepokojonym wzrokiem. Powoli ugiął masywne nogi i położył się na sienniku.

Bóg skrępował mu kostki u nóg drugim sznurem. Potem go zakneblował.

- Ubieraj się - polecił doktorowi.

Chory na fokomelię potrząsnął kikutami. Zapadnięte rękawy nocnej koszuli zatrzepotały niby dwie chorągwie.

- Nie mogę tego zrobić sam - wyjaśnił.

Bóg rozejrzał się wkoło. Zobaczył palto i chwycił je.

- Wstawaj - nakazał kalece. Potem włożył mu okrycie w grubiański sposób. - Siadaj. - Zasznurował doktorowi buty.

- Dokąd mnie pan zabiera? - spytał silnym głosem Noverre.

- Do Scirona. By stawiał pan czoło swemu przeznaczeniu - odparł bóg. Potem jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Zoli, dygoczącego z bezsilnej złości. - Jesteś lekarzem - zwrócił się do doktora Noverre. - Z pewnością masz chloroform. Gdzie go trzymasz?

Dyrektor Miasta Zwierząt milczał.

- Albo to - powiedział bóg - albo rozwalę mu łeb. Twój wybór.

- W gabinecie, o tam. W drewnianej szafce, wiszącej za biurkiem.

- Rusz się i pokaż mi - rzekł bóg, chwytając go za kikut i ciągnąc.

Zóła jęknął, obracając się na sienniku. Bóg wrócił do sypialni z buteleczką chloroformu w ręku. Oderwał kawałek prześcieradła, hojnie skropił je płynem i przycisnął szmatkę do nosa Zoli, który szarpał się, próbując się uwolnić.

- Nie martw się - przemawiał do niego łagodnie Noverre, chociaż z wyczuwalną nutą niepokoju w głosie. - Spokojnie... wszystko będzie dobrze...

W końcu wielka głowa Zoli opadła na siennik, źrenice zapadły się w głąb czaszki i powieki opadły.

- Idziemy - odezwał się bóg. - I ani słowa, jeśli nie chce pan, żebym kogoś zabił.

Kiedy dotarli do tylnej bramy Instytutu Upośledzeń, Noverre przyjrzał się bez strachu swojemu porywaczowi.

- Znam pana - powiedział. - Pan się nazywa Stigle. Bóg roześmiał się.

- Mylisz się. Jestem Dionizosem.

- Czy tu mieszka Stigle? - spytał Germinal zaspianą i zaniepokojoną kobietę, która po długim pukaniu otworzyła mu drzwi domu w środku nocy.

- Kim pan jest?

- Policja. Proszę odpowiadać. Czy tu mieszka Stigle?

- Pana nie ma w domu - mruknęła kobieta w wełnianym czepku, wciśniętym głęboko na głowę, opatulając się ciaśniej szlafrokiem i powoli zamykając drzwi.

Germinal powstrzymał ją ruchem ręki.

- Niech się pan odsunie. I pozwoli mi wejść - rozkazał zdecydowanym głosem.

- Pana nie ma w domu, już mówiłam.

- Niech się pani odsunie - powtórzył Germinal i wszedł do środka.

- O co chodzi? - W głosie kobiety słychać było teraz strach.

- Jak się pani nazywa? - zapytał Germinal.

- Ruth. Jestem gospodynią... - powiedziała kobieta, która mogła mieć około sześćdziesiątki.

- Proszę zapalić wszystkie światła, Ruth. Muszę przeszukać dom.

- Ale o co chodzi?...

- Proszę zrobić to, co powiedziałem. Natychmiast! - krzyknął Germinal.

Gospoia uczyniła znak krzyża i skierowała się do pierwszego pokoju po prawej stronie.

Germinal wyjrzał przez drzwi. Światło nielicznych latarni ukazywało wyludnioną ulicę. Wszystkie domy były praktycznie identyczne jak ten, w którym mieszkał Stigle. Dwa równe rzędy przyklejonych do siebie budynków, wąskich, dwu - lub trzypiętrowych, z których każdy mieścił jedną rodzinę. Małe ogródki między drzwiami wejściowymi a chodnikiem, ogrodzone niską balustradą. Okna były ciemne. W dzielnicy drobnomieszczan wszyscy już spali.

Germinal zamknął drzwi.

Oba pokoje, po lewej i prawej stronie, były oświetlone. Jak również pomieszczenie na końcu wąskiego korytarza, prawdopodobnie kuchnia. Gospoia tymczasem wchodziła na pierwsze piętro, burcząc coś pod nosem i szurając szmaciakami po wytartym chodniku, którym wyłożono drewniane, wypastowane schody.

Germinal wszedł do pokoju po lewej stronie. Nie wiedział, czego szuka. Został już całkiem sam. Nawet Sanguineti, sądząc z tego, co powiedział Landau, go opuścił. Rozejrzał się dookoła. Pokój był spartańskim, skromnie urządzonej gabinetem. Biurko, krzesło. Kinkiet. Welniany dywan na podłodze. Piecyk naftowy. Pogrzebał w szufladach. Nic tam nie było. Pod oknem grzejnik.

Przez chwilę, w drodze z komisariatu, Germinal pomyślał, żeby zwrócić się do Londego. Ale bał się, że i ostatni przyjaciel odwróci się do niego plecami.

Wróciwszy do drzwi, usłyszał człapanie gospoiny na piętrze.

Wszedł do pokoju po prawej stronie. Pośrodku ściany kominek, prosty, z dwoma

kamiennymi słupkami po bokach. Również wełniany dywan na drewnianej podłodze, dwuosobowa kanapa i dwa fotele. I tu pod oknem był kaloryfer.

Wyszedł z pokoju, przemierzył krótki korytarz i wszedł do kuchni. Zajrzał pobieżnie do szuflad i szafek, gdzie znalazł obrusy, naczynia i jedzenie.

Zawrócił i wszedł na pierwsze piętro, podobnie jak na parterze, i tu były trzy pomieszczenia. Zamiast kuchni łazienka. Wygodna, ale nie luksusowa. Nad gabinetem sypialnia pana domu. Skromna. Pojedyncze łóżko pod ścianą, pojemna komoda, wysoka, prosta dwudrzwiowa szafa, w której wisiały trzy jednakowe czarne ubrania z doskonałego materiału. Przy drugiej ścianie - bielizniarka z blatem z jasnego marmuru, w której leżały porządnie złożone i poukładane koszule, kołnierzyki, mankiety, czarne krawaty, czarne żaboty, czarne kamizelki, bielizna i jedwabne chusteczki. Zobaczył wciśnięty pod okno kaloryfer, pośrodku którego, za żeliwnymi drzwiczkami, widać było podgrzewacz do potraw.

Nad bawialnią na parterze, po drugiej stronie schodów, znajdował się pusty pokój. Nieużywany. Bez kominka. Germinal pamiętał, jakie wrażenie zrobiło na nim biuro Stigle'a. Masywne, eleganckie biurko, wyszukany dywan na podłodze, wytworna czereśniowa skrzynka, kryjąca manometr do kontroli ciśnienia kotłów.

Stigle nie kochał tego domu. Używał go. I tyle.

Prawdopodobnie nic nie znajdzie, myślał Germinal, wchodząc po schodach na drugie piętro, gdzie czekała na niego gosposia, ciasno opatulona szlafrokiem.

- Uważa pan, że to odpowiednia pora na nachodzenie porządných ludzi? - burknęła kobieta.

Germinal zauważył, że zdjęła wełniany czepek i przyczesła włosy w dziwnym, rudym kolorze, chyba farbowane. Pomimo wieku musiała być próżną kobietą. I starą panną.

- Przykro mi, pani Ruth - powiedział, nadając głosowi uпрzejme brzmienie. - Prawie skończyłem.

Rozejrzał się. Lakierowane wąskie drzwi z szybką z matowego szkła u góry prowadziły do małej łazienki. Na jej ścianach wisiały w ramach wykonane haftem krzyżkowym obrazki, przedstawiające owce, kosze z owocami, psią mordę i koci pyszczek. Następnie Germinal wszedł do dużego pokoju, urządzonego bez smaku i zastawionego tandetnymi meblami. Kilka stolików było zawalonych bibelotami ze szkła i porcelany malowanej na krzykliwe kolory. A pod każdą z kiczowatych figurek leżała serwetka wydziergana na szydełku. Był też fotel bujany z

przewieszonym przez poręcz kocem w szkocką kratę, podnózek, mały kominek, wiklinowy kosz ze szczapami drewna, kaloryfer przykryty haftowaną serwetą, a na nim karafka z wodą, dwie niskie gablotki na złożonych nóżkach, zawierające kolejną serię szklanych i porcelanowych zwierzątek, a na ziemi stary wełniany dywan, który prawie zupełnie wyblakł. I jeszcze stolik na trzech nogach i dwa krzesła nie do pary. Na blacie stołu otwarte magazyny kobiece. Obok jednego z krzeseł koszyk z robótkami.

Germinal wyszedł z pokoju. Gospośia stała przed zamkniętymi drzwiami, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Co tam jest? - zapytał ją Germinal.
- Moja sypialnia - odparła kobieta, stojąc nieruchomo.
- Muszę zajrzeć również i tam.
- Po co? - Kobieta skrzywiła się.
- Proszę pani, to zajmie tylko minutę.

Gospośia odwróciła się raptownie i rozzłoszczona otworzyła drzwi na oścież.

Germinal oparł ręce o framugę i wsunął głowę. Łóżko było rozgrzebane. Pod kołdrą Germinal dostrzegł węglową szkandelę. Na przetartym dywaniku przy łóżku buty gospośi. Na krześle jej codzienna sukienka. Była tam też jednodrzwiowa szafa z lustrem i szufladą pod nim. Na wąskim stoliku, stojącym przy samym łóżku, stała lampa i drugie, wahadłowe lustro, obok którego leżała szczotka, lokówka, buteleczka z farbą, grzebień i miseczka. Pod stołem pełny do połowy nocnik. Na ścianach hafty krzyżykowe w ramkach, większe niż te w łazience i przedstawiające bardziej skomplikowane sceny.

- To najładniejszy pokój w całym domu - pochwalił Germinal. - To pani haftuje te cudeńka?

W oczach kobiety pojawił się błysk zadowolenia, ale natychmiast zgasł.

- Od dawna zna pani pana domu? - spytał Germinal.
- Odkąd mnie zatrudnił - odparła gospośia.
- Czyli?
- Odkąd tu zamieszkał.
- Rozumiem - powiedział Germinal. - Dobrze. Skończyłem.
- Najwyższa pora - mruknęła kobieta, schodząc na dół.
- Często się zdarza, że pan nie wraca na noc do domu? - zapytał Germinal, idąc za nią.

- Za każdym razem, kiedy ma to miejsce.

- Ani razu więcej, ani razu mniej, prawda? - rzucił Germinal, zrezygnowany wobec wymijających odpowiedzi gosposi.

- Dobrze pan to ujął.

- I pewnie nie jest pani w stanie mi powiedzieć, ile razy miało to miejsce? Dwa, może trzy?

- Trzy po trzy plotą nawet porządni ludzie, wyciągnięci z łóżka o tej porze, w środku nocy.

- Jasne... - westchnął Germinal, znalazłszy się na parterze. Gosposia otworzyła drzwi wyjściowe. Mroźny podmuch wiatru podwinął do góry wełnianą falbanę szlafroka. Kobieta otuliła się szczelniej, stojąc przy otwartych drzwiach.

- Dobranoc - powiedziała.

Germinal spojrzął na swój motocykl, zaparkowany przy drodze. Niczego nie znalazł. Niczego, co wskazywałoby, że Stigle ma jakieś życie. Sądząc po tym domu, ono nie istniało. Rozczarowany zrobił krok, by przestąpić próg. Ale przystanął.

- Widziałem kaloryfery - rzekł do gosposi. - Gdzie jest kocioł?

Gosposia zatrasnęła drzwi z powrotem. Potem, mrucząc pod nosem niezrozumiałe przekleństwa, poczłapała przez korytarz prowadzący do kuchni. W połowie drogi, pod schodami, przycisnęła dłoń do górnej krawędzi płytki drzwi, które z suchym chrzęstem obróciły się na dwóch zawiasach i ukazały ciemną, ciepłą i wilgotną komórkę.

- Proszę się rozgościć, panie policjancie - buknęła nieuprzejmie. - Zna się pan na kotłach?

- Mam nadzieję - odparł Germinal. - Proszę mi podać lampę.

Gosposia odsunęła go ręką i z jednej z półek komórki wzięła zapalki i starą oliwną lampkę bez klosza. Wyciągnęła do góry knot, zapaliła go, a następnie zawiesiła lampę na haku pod niskim sufitem, z którego zwiisał kawałek drutu.

- Coś jeszcze?

Germinal wślizgnął się do komórki. Wodę w żeliwnym kotle podgrzewał piecyk węglowy. Jej obieg zapewniała pompa parowa. Na zagrzebionych ścianach komórki wisiły narzędzia do naprawy i czyszczenia różnych części. Trochę dalej stała mała drewniana szafka. Jej drzwiczki były zamknięte na kłódkę.

- Ma pani klucz do tego? - zapytał Germinal gosposię.

- Nie. Pan nosi go na łańcuszku.

Germinal zdjął ze ściany długi, masywny śrubokręt.

- Co pan chce zrobić? - spytała zaniepokojona kobieta.

Germinal wbił narzędzie między dwie pętelki kłódki, podważył je i mocnym szarpnięciem wyłamał jedno z nich.

W szafce, na pierwszej półce, leżały banknoty poukładane w paczki obwiązane kawałkiem sznurka. Na drugiej - prostokątny, płaski pakunek z błyszczącego czarnego materiału. Jedwabiu. Germinal wziął go do ręki i wyczuł, że jest jednocześnie miękki i sztywny. Delikatnie odwinął brzegi czarnej materii. W środku był kawałek kozłęczącej skóry.

- Złożę skargę... - zaczęła protestować kobieta.

- Cicho! - rzucił opryskliwie Germinal, przeszywając rozpalonym spojrzeniem znalezisko.

Upuścił na ziemię jedwabną chusteczkę, która zaszeleściła w powietrzu, i z komórki przeszedł prosto do gabinetu. Położył skórkę na biurku. Owijała jakiś prostokątny przedmiot. Sztywny. Obwiązany na krzyż skórzanym rzemykiem. Rozwiązał supeł i rozpostarł kozłęczą skórkę. W środku była książka, stara i zniszczona, w czerwonej okładce. „Bakchantki”. Wstrzymując oddech, otworzył książkę. Na pierwszej stronie suchy stempel biblioteki, której była własnością.

- „Prywatna Biblioteka Wielmożnego Pana Hrabiego Noverre, egzemplarz numer 12904”

- przeczytał słabym głosem.

- Jest twój - powiedział Stigle, wchodząc do wozu Scirona i brutalnym pchnięciem rzucając doktora na podłogę, koło łóżka.

Kaleka instynktownie wystawił przy upadku kikuty, jak zrobiłby to każdy człowiek o zdrowych rękach, ale twarzą uderzył o ramę łóżka, rozcinając dolną wargę.

- Co tu się dzieje? - krzyknął Sciron, otrząsając się ze snu. Jego żółte oczy próbowały dojrzeć coś w ciemnościach. Z impetem uderzył plecami o ścianę i skulił się na łóżku.

W wozie rozbłysła zapalka i zapłonęła lampa. Stigle zdjął ją ze ściany i podszedł bliżej.

- Jest twój - powtórzył, pokazując doktora.

- Stigle... - wymamrotał Sciron, wciąż oszołomiony. Potem wychylił się z łóżka. Oczy lekarza były wbite w niego. Ciemnoczerwona plama skapywała z ust na podbródek. - Panie hrabio... - Sciron natychmiast wrócił spojrzeniem do Stigle'a. - Co tu się dzieje? - spytał głosem,

który nie był już przerażony, ale nie nabrał jeszcze władczości. Spod kołdry wysunęły się chude, kościste nogi z dużymi, guzowatymi kolanami. Sciron spojrział raz jeszcze na leżącego i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku Stigle'a.

- Co tu się dzieje? - spytał raz jeszcze, a jego głos stawał się coraz bardziej stanowczy. - Co cię opętało, Stigle?

- Przeprowadziłem ci twojego wroga - wyjaśnił mu bóg.

Sciron szybkim ruchem wyciągnął starczą, wychudłą rękę i poźółkłymi, pajęczymi palcami chwycił Stigle'a za kołnierz marynarki. Ale jego chwyt był słaby i niepewny. W świetle lampy starzec widział oczy Stigle'a, zimne i nieugięte. I dopiero teraz zrozumiał, że zawsze się go bał. Tak jak boimy się obcych, kogoś, kogo nie rozumiemy. Palce zwolniły ucisk. Stary impresario cofnął się, wpatrzony w oczy Stigle'a. Zahipnotyzowany. I uświadomił sobie, że Stigle nie zwraca się już do niego per „pan”, że przeszedł na „ty”, sugerujące niebezpieczną poufałość, która wprawiała go w zakłopotanie i przerażała. Złapał kalekę za kikut i pomógł mu wstać z ziemi, potem cofnął się o kolejny krok.

Stigle stał wciąż bez ruchu, trzymając lampę w uniesionej powyżej ramienia ręce. Światło rzucało niepokojące cienie i błyski na jego idealną twarz.

Wóz zachybotał się. W drzwiach pojawiła się ciemna, imponująca postać Człowieka-Maszyny.

- Czego chcesz, Stigle? - zapytał Sciron łamiącym się głosem.

- Chcę, abys uczestniczył w moim przeznaczeniu - odparł cicho bóg. - Chcę dać ci to, co twoje. I chcę, byś ty dał mi to, co moje.

Noverre patrzył bez lęku na człowieka, którego imię teraz już znał. I w czerwonym świetle lampy mógł wyczytać w jego oczach chorobę, która go spalała. Jak lodowaty płomień, przed którym nie ma ucieczki.

- Nie rozumiem... czego chcesz? Pieniądzy? - Sciron chwycił skórzaną sakwę, wielką jak moszna byka, pełną monet, i rzucił ją Stigle'owi pod nogi.

- To ja ci wysłałem te pieniądze... - powiedział bóg. - Kto bardziej niż ja mógłby pragnąć mieć cię blisko siebie?

- Ty?...

- To ode mnie masz tę sakwę. Spójrz na nią. Nie przypomina ci ani trochę tej, którą miałeś w czasach jakże odległej młodości, kiedy mogłeś być szczęśliwy i rządzić światem?... -

Głos boga zawibrował. - „Przyjął go jednak w swoje męskie łono... syn Kronosowy, Dzeus... ukrył w głębi swego uda... spiął złotymi agrafami”. - Spójrz na nią. To ta sakwa. Ta sama, którą wtedy zawiązywałeś czerwoną tasiemką.

- O czym ty mówisz, Stigle? - spytał Sciron drżącym głosem.

- To twój syn, Scironie. Jeszcze tego nie zrozumiałeś? - odezwał się Noverre. - To syn Penny... którą ty i moja matka wypędziliście z domu trzydzieści dwa lata temu, dowiedziawszy się, że jest w ciąży.

- Penny... - mruknął Sciron, czując, jak wsysa go przeszłość.

- To nie jest Stigle - kontynuował Noverre. - To Dionizos.

- Ty mi dałeś Księgę Poznania. - Bóg uśmiechnął się, podchodząc do niego.

- Teraz rozumiem... Couze, Caldwell, Fairfirth - powiedział cicho Noverre, patrząc mu prosto w oczy i przypominając sobie scenę sprzed wielu lat, gdy Dionizos jeszcze się nie narodził, a on sam był małym chłopcem. - One tam były... z moją matką... tego dnia, gdy Penny została wypędzona...

- I poniżona - uzupełnił bóg swym przerażającym głosem.

W oczach doktora pojawił się błysk. Zaciśnął usta, by nie pozwolić im przemówić.

Bóg wybuchnął śmiechem.

- Tak, dobrze pamiętasz, była jeszcze jedna. Ostatnia. Jej godzina już wybiła.

Sciron osunął się na łóżko, z zamglonym wzrokiem, wbitym w pustkę, i z ręką na żołądku.

- Ty mi dałeś książkę, która opowiadała moją historię - rzekł bóg do doktora Noverre. - Przechowywaną przeze mnie na szczycie drabiny Dionizosa. - Poglądził jego zdeformowaną twarz okaleczoną dłonią. - Gdybyś był tylko mój... - westchnął bóg, lekko potrząsając głową. Potem jego głos stał się twardy. - Ale twój los należy do niego... do tego, kogo pozbawiłeś tytułu boga nad bogami... - Chwycił doktora za włosy, odwrócił, podciął kalekę kopniakiem w tył kolan i rzucił na ziemię przed Scironem.

- Daję ci w darze jego życie, ojczyzna. Do ciebie należy wybór.

Stary Jones, strażnik z cukrowni, ciągnąc za sobą chromą nogę, dowlókl się wyczerpany do pierwszych zabudowań Pijawczaka, znajdując siłę jedynie w obietnicy, którą złożył dziewczynie przetrzymywanej w opuszczonym magazynie.

Przy każdym kroku ciemna noc podsuwała mu pod nogi kamień albo koleinę, które pozbawiały go ostatnich sił. Jego stare serce waliło jak oszalałe w klatce z żeber. Jones uśmiechnął się na wspomnienie swej młodości, kiedy to serce biło mu tak samo, gdy po raz pierwszy zobaczył kobietę, która kilka miesięcy później została jego żoną. Ale uśmiech szybko mu zbladł, ponieważ wysiłek zasnuwał mgłą nawet najpiękniejsze wspomnienia, a serce Jonesa nie było już tak młode jak wtedy.

Już niedaleko, pocieszał się.

Usta wykrzywił mu grymas bólu, strużka śliny spłynęła przez rzadkie zęby po źle ogolonym podbródku i pomarszczonej szyi. Stary Jones przycisnął rękę do piersi i zatrzymał się, ciężko dysząc. Wypatrywał w ciemnościach świateł Pijawczaka.

Już niedaleko.

Potem usłyszał za plecami, początkowo ponury jak warknięcie, odgłos toczących się dróżką kół. Odwrócił się i ujrzał dwie lampy, które zbliżały się, falując w mroku nocy. I usłyszał świst bata, rzenie koni i głos poganiającego je mężczyzny.

- Stać! Stać! - zaczął krzyżeć stary Jones ostatkiem tchu, który został mu w gardle. - Stać! Stać! - Rozpoznawszy ciemne kontury policyjnego powozu, który niemal na niego wjechał, podwoił siłę głosu i zaczął wymachiwać rękoma, podskakując na swoich niepewnych nogach. - Stać! Stać!

Już prawie czuł na twarzy gorący oddech, wydobywający się kłębami z chrap zdyszanych koni. Usłyszał kopyta, które wbijały się w ziemię, miażdżąc kamienie i wgniatając je w błotnistą ścieżkę. Poczul mocne uderzenie piasty koła, która otarła się o jego udo i odrzuciła go aż do kanału nawadniającego, otaczającego pole buraków cukrowych.

- Stać... - krzyknął raz jeszcze, ale wóz kontynuował szalony rajd. Dwaj policjanci, kierujący pojazdem, nie mieli ani oczu, ani uszu dla Jonesa. Ich oczy oślepiły przerażające, krwawe obrazy, które ujrzeli. Ich uszy ogłuchły od milczenia trupów, które znaleźli.

- Zabici! Wszyscy zabici! - krzyczeli, wpadając na komisariat. Siedzący w holu dyżurny policjant, który właśnie się zdrzemnął z głową na stoliku, obudził się raptownie.

- Wszyscy zabici! Co do jednego!

- Kto? Kto? - spytał z naciskiem dyżurny policjant, wybiegając zza kontuaru i chwytając jednego z kolegów za ramię, by go uspokoić.

- Co tu się dzieje? - zapytał drugi policjant, wychylając się przez poręcz schodów z

drugiego piętra komisariatu, a za nim pozostali koledzy, zaspani jak on, którzy powstawali z prycz w sali sypialnej. - Co tu się dzieje?

- Nathan... - łkał jeden z policjantów, który jeszcze przed chwilą prowadził powóz. - Nathan... - I wciąż powtarzał to imię - imię swojego przyjaciela.

- Pojechaliśmy tam, żeby ich zmienić - rzucił drugi policjant, osuwając się na ławkę przy wejściu.

- Zaraz, co on mówi? - pytali funkcjonariusze, którzy się obudzili i teraz zbiegali na parter po dwa stopnie naraz. Niektórzy byli tylko w wełnianych kalesonach, inni wkładali właśnie bluzy od mundurów.

- Cicho! - krzyknął dyżurny policjant i kiedy wszyscy tłoczyli się wokół ławki, zwiększył płomień trzech lamp w holu, by lepiej oświetlić wnętrze. - Pozwólcie im mówić - powiedział, podchodząc do kolegów. I ująwszy w dłonie twarz tego, który wydawał się przytomniejszy, rozkazał: - Dalej, opowiadaj.

Policjant spojrział na kolegę oszołomionym wzrokiem.

- Pojechaliśmy tam, żeby ich zmienić...

- Tam, czyli gdzie?

- Cicho!

- Do willi... do willi pana Boamorte'a... - Głos policjanta zdawał się ledwie tchnieniem. - Byli martwi... Wszyscy martwi, zamordowani... Tego Mulata i trzech służących... zastrzelono... Ale... Nathan i Lloyd... - Zaszłochał, zamknął oczy, a potem potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć wszystkiemu temu, co widział, jakby pragnął wymazać to z pamięci. - Boże... Mój Boże...

- Nathan... - powtarzał z płaczem siedzący z boku drugi policjant, na którego nikt nie zwracał uwagi. - Nathan... Nathan...

- Co?

- Co zrobili Nathanowi i Lloydowi?

- Właśnie, co?

Policjant siedzący na ławce, ze zdjętymi grozą oczami, podniósł obie ręce do skroni, wsunął palce we włosy, uciskając czaszkę i zgrzytając zębami, a potem niespodziewanie oderwał je i rozłożył na boki, symbolizując nagłą eksplozję.

- Rozłupali im głowy! - krzyknął.

Tłoczący się wokół niego koledzy odstępili do tyłu jak jeden mąż. I wszyscy, jak jeden mąż, zbledli i zamilkli.

W ciszy można było usłyszeć tylko tłumiony płacz i imię „Nathan”, powtarzane w nieskończoność.

Dyżurny policjant wrócił chwiejnym krokiem za kontuar, gdzie leżał otwarty rejestr dyżurów, i przesunął brudnym od atramentu palcem po nazwiskach dwóch policjantów, oddelegowanych na nocną zmianę do willi Boamorte'a. W górę i w dół, w górę i w dół, po dwóch nazwiskach, które będzie musiał wykreślić z listy czynnych zawodowo policjantów.

- Mulat i trzech służących, powiadasz - odezwał się nagle, zwracając się do policjanta, który siedział zrozpaczony na ławce. - A dziewczyna? Spójrz na mnie! Spójrz na mnie! Nie znaleźliście też córki pana Boamorte'a? Odpowiadaj!

Policjant podniósł wzrok i popatrzył na niego oczami pełnymi łez i strachu, po czym pokręcił głową w lewo i w prawo, w powtarzalnym, niemym geście.

- Nie?

- Nie...

- Nie było dziewczyny?

- Nie...

- Co tak sterczycie jak słupy? - wrzasnął dyżurny policjant na kolegów tłoczących się w holu. - Ubierać się! Szybko! Szybko! Macie być gotowi w trymiga! Ruszać się! Ruszać!

Policjanci rzucili się pędem po schodach, popychając się i potykając, wciąż jeszcze oszołomieni, i znikli w sali.

Dyżurny znów odwrócił się do młodego kolegi na ławce.

- Trzeba powiadomić o tym komisarza - powiedział. I wymierzył mu dwa policzki dla otrzeźwienia. - Wstawaj, do cholery! Wstawaj i powiadom o wszystkim komisarza. Powiedz, że przyjedziemy po niego. Ruszaj!

Podniósł go z ławki i pchnął w kierunku drzwi wyjściowych. Następnie podszedł do drugiego policjanta i też postawił go na nogi.

- Przygotuj pozostałe powozy! - krzyknął mu w twarz. - Obudź stajennych, niech zaprzęgą konie! Pośpiesz się! - I pchnął go w kierunku drzwi na podwórze.

Następnie, gdy został już sam, wziął rejestr dyżurów i cisnął nim o ścianę.

- Niech to szlag! - i usłyszał z holu komisariatu zduszony krzyk starego Jonesa, który

wchodził, kulejąc, po schodkach, z wytrzeszczonymi z wysiłku oczami i otwartymi ustami, nie mogąc złapać tchu. A potem powietrze zawibrowało od ostrego dźwięku gwizdka.

Wszedł do komisariatu, w chwili gdy wszyscy policjanci zbiegali po schodach, z pałkami za paskiem i bronią w ręku.

- Stać! Stać! - wydyszał.

- Z drogi - rzekł jeden z policjantów, potrącając go.

- Do powozów! - krzyknął dyżurny policjant i ponownie zaczął dać w gwizdek alarmowy.

- Do powozów!

- Proszę pana... - powiedział stary Jones, wpijając mu się w ramię. - Proszę pana... niech mnie pan wysłucha...

- Dziesięciu ludzi tutaj! Do pierwszego powozu!

- Proszę pana, niech mnie pan wysłucha, proszę...

- Nie mam dla ciebie czasu, starcze - burknął dyżurny policjant. - Gdzie idziecie, imbecyle? Tutaj! Tutaj! - I znowu zagwizdał, ponaglając biegnących funkcjonariuszy.

Stary Jones zatkał sobie rękoma uszy.

- Porwali dziewczynę! - krzyknął ostatkiem tchu, zamykając oczy.

- Jaką dziewczynę?

Stary Jones otworzył oczy. Twarz dyżurnego policjanta była o kilka centymetrów od niego.

- Jest w fabryce. Widziałem ją... na własne oczy... znam ją. To panienska Boamorte...
Uwięzili ją.

Zóla otworzył oczy. Ponownie je zamknął. Targnęła nim fala mdłości. Znowu otworzył szeroko oczy. Starał się głęboko oddychać, ale knebel zatykał mu usta. Spróbował się poruszyć. A potem puste spojrzenie obłąkanego przeciął błysk na wpół złości, na wpół determinacji. Warknął jak zwierzę, wydając mroczny i przytłumiony przez knebel odgłos. Skulił się na posłaniu u stóp łóżka i jednym ruchem napiął swe olbrzymie ciało, wypychając klatkę piersiową i umięśnione ramiona do przodu. Sznury wpity się w przeguby i wokół kostek u nóg, trzeszcząc i przecinając skórę. Ponownie się skulił, warknął rozzłoszczony i gwałtownie napiął mięśnie, próbując się uwolnić. Sznury zaczęły zachodzić krwią, konopne włókna jeszcze raz jęknęły, a następnie pękły z suchym trzaskiem. Zóla wyszarpnął z ust knebel i rozwiązał supły, które

więziły mu nogi. Wciągnął ciężkie buty i narzucił na siebie płaszcz. I wyszedł, trzaskając drzwiami. Przebiegł korytarz, mając tylko jedną myśl w głowie i mrucząc niezrozumiałe słowa, najpierw po cichu, a potem coraz głośniejszym, im bliżej był wyjścia, by w końcu wydać bestialski okrzyk, gdy tylko znalazł się na zewnątrz, pośród bladej nocy, przygotowującej się do obwieszczenia świtu.

I jakby w odpowiedzi na to zrozumiałe tylko dla nich wezwanie, wszyscy młodzi, pozbawieni środków do życia pensjonariusze Miasta Zwierząt, obudzili się w swych salach sypialnych i jeden po drugim odpowiedzieli przeraźliwym wyciem, które przerodziło się w jednogłośny, prymitywny chór, zdający się dodawać Zoli sił w biegu do celu.

Germinal jadący do Instytutu Upośledzeń - z zamiarem rozliczenia się z doktorem Noverre i spytania go, w jaki sposób książka z jego biblioteki znalazła się w rękach groźnego mordercy - na widok olbrzymiego służącego, który przeciął mu drogę, wyhamował motocykl.

- Zóła! - krzyknął za nim. - Zóła!

Ale olbrzym zdawał się go nie słyszeć. Z opuszczoną głową, jak rozjuszony byk, z zaciśniętymi pięściami, rozszerzonymi nozdrzami i otwartymi z wysiłku ustami, Zóła miażdżył potężnymi stopami bruk, nie zatrzymując się.

Germinal wrzucił bieg, dodał gazu i podjechał bliżej, zrównując się z nim.

- Zóła! Zóła, dokąd idziesz? Co się stało? Zóła, Zóła! Odpowiedz mi!

Olbrzym mamrotał coś pod nosem i biegł, jakby był głuchy.

Germinal przyspieszył i zahamował gwałtownie, przecinając mu drogę. Zóła prawie go przewrócił. Germinal chwycił go za płaszcz i zdołał napotkać jego wzrok.

- Dokąd idziesz? - krzyknął mu prosto w twarz. - Gdzie jest Noverre? Dokąd idziesz? Mów.

- Sciron - powiedział jedynie olbrzym, wyciągając gigantyczną rękę w kierunku czarnego wzgórza, które zaczynało odcinać się na tle jaśniejącego z wolna nieba. A potem znów ruszył przed siebie.

- Wsiadaj - rzekł Germinal, wskazując mu siodełko motoru. Zóła zawahał się, próbując podjąć jakąś decyzję w swym słabym umyśle.

- Jest szybszy od ciebie, osiłku - wyjaśnił Germinal. - Będziesz prędzej u swego pana. No wsiadaj, Zóła.

Olbrzym wdrapał się na siodełko za Germinalem. Amortyzatory w motocyklu jęknęły.

- Trzymaj się mnie - nakazał Germinal i dodał gazu.

Motor jęknął z wysiłku, ale zaraz nabrał rozpędu i ruszył. Przeciął pośpiesznie ulicę i zaczął piąć się po ścieżce prowadzącej na wzgórze, na którym stał namiot Scirona.

Kiedy Germinal wyłączył silnik, sine światło, zwiastujące nadchodzący świt, ukazało im rozebrane obozowisko. Wszędzie leżały równo poukładane części cyrkowej budy, zdemontowane i zapakowane, gotowe do załadowania na wozy.

Zóla zsiadł z motoru i pomknął przed siebie.

- Zóla! Stój! - krzyknął za nim Germinal.

Ale olbrzym już go nie słyszał. Biegł z zadartym do góry nosem i rozszerzonymi nozdrzami, jakby wyczuwał w powietrzu zapach swego ukochanego pana.

Człowiek-Maszyna, stojący przed drzwiami wozu Scirona, odwrócił się, pokonał trzy schodki w dół i przygotował się do odparowania ciosu.

- Zóla, nie! - zdążył krzyknąć Germinal.

Na odgłosy zamieszania z wozów dla pomocników zaczęły wychylać się zmęczone i zaspane twarze.

Człowiek-Maszyna ugiął kolana, rozłożył ręce i pchnął nadbiegającego Zolę prosto w pierś. Starcie dwóch ciał było straszliwe. Człowiek-Maszyna zachwiał się. Zóla upadł na ziemię, ale natychmiast się podniósł, jakby nawet nie poczuł okropnego uderzenia.

Germinal sięgnął ręką po pistolet z kolbą z macicy perłowej i strzelił w górę.

- Stój, Tristante, albo będę musiał cię zabić! - krzyknął, podchodząc do dwóch gigantycznych przeciwników, którzy zastygli na chwilę.

- To ty stój! - rozkazał czyjś głos. - Rzuć pistolet! Germinal odwrócił się.

Z wozu Scirona wyszedł Stigle z lufą przyłożoną do skroni doktora Noverre.

- Rzuć go! - rozkazał ponownie bóg. - Rzuć go!

Za ich plecami pojawił się blady Sciron w jedwabnym szlafroku.

Germinal rzucił pistolet pod nogi Stigle'a.

Stigle uwolnił się od doktora, rzucając go na ziemię, i podniósł broń z uśmiechem na ustach, który Germinalowi wydał się niepewny, jakby przytłumiony wszechogarniającym znużeniem. Przed nim stał odrażający potwór, najbardziej bezlitosny morderca, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia, a jednak nie zareagował tak, jakby się tego po sobie spodziewał, nie poczuł ani nienawiści, ani pogardy, ani przemożnego instynktu policyjnego, by go złapać.

Jakby w idealnej twarzy Stigle'a wyczytał żal z powodu przelanej krwi, jakby to anielskie niemal oblicze zostało oszpecone przez, szalone przestępstwa swego właściciela. Jakby on pierwszy nie był w stanie dłużej znieść tego całego zła, myślał Germinal.

Tymczasem Zóla, widząc swego pana na ziemi, rzucił się do przodu, aby mu pomóc, ale straszliwy cios Człowieka-Maszyny ugodził go w plecy. Zóla ryknął z bólu. Odwrócił się i przypuścił atak na rywala, rzucając się z opuszczoną głową ku żołądkowi przeciwnika. Ale Człowiek-Maszyna, spodziewając się tego ruchu, podniósł już ręce i opuścił je jak mechaniczny młot na ramiona Zoli, który upadł twarzą w błoto, przy suchym odgłosie kości i metalu.

Stigle śmiał się, trzymając Germinala na muszce. Jego śmiech był ponury, posępny, zjadliwy. Potem zobaczył zbliżających się pomocników, wycelował w ich stronę jeden z pistoletów, a drugim nadal kontrolował ruchy Germinala. Jego spojrzenie ponownie stało się twarde, a głos władczy.

- Stać tam, gdzie jesteście! Pierwszy, który się ruszy, zginie!

Z niespodziewaną dla swej postury gibkością, Zóla uchylił się od kolejnego ciosu Człowieka-Maszyny, przekoziółkował i wstał.

Ignés wyszła ze swego wozu i zbliżała się wolnym krokiem, torując sobie drogę wśród ludzi. Wydawało się, że i ona przygląda się bójce, ale jej wzrok skierowany był tylko na Germinala stojącego za dwoma olbrzymimi przeciwnikami. Ignés przystanęła. Jej szare oczy zatraciły się w oczach Germinala, jakby zapadała się w nim, w całym jego jestestwie, wciągnięta w wir, któremu nie mogła się oprzeć. Jakby wokół niej nie działo się nic innego.

Stigle odwrócił się do Scirona. Zobaczył, że stoi w drzwiach wozu. Drżący, samotny, stary.

- Nie tu jest twoje miejsce! - krzyknął do Ignés łamiącym się ze złości głosem i wycelował w nią pistolet. - Wracaj do swego pana!

Ignés nawet nie drgnęła i nie dała po sobie znać, czy go słyszała, nawet mrugnięciem powiek. Jej oczy tkwiły w oczach Germinala. Bez cienia strachu. Była zdecydowana, jakby wyraźna, pełna pasji obietnica, którą miała w spojrzeniu, nie pozostawiała miejsca na żadne inne emocje.

- Idź - syknął Germinal.

Kiedy Ignés przechodziła obok dwóch przeciwników, kierując się do Scirona, ale nie spuszczać wzroku z Germinala, Zóla, uchyliwszy się od ciosu, chwycił Człowieka-Maszynę za

głowę, ścisnął ją potężnymi rękoma i rycząc jak dziki zwierz, skręcił mu szyję, zdecydowanym i błyskawicznym ruchem. Mosiężne kręgi groźnie zatrzeszczały i pękły z metalicznym szczękiem.

Głowa Człowieka-Maszyny potoczyła się po ziemi.

Rozległ się jęk bólu. Człowiek-Maszyna, cofając się, złapał się metalowymi palcami za żołądek, zaczął rozdzierać kamizelkę i podarł ją na strzępy, ukazując zakrwawioną twarz Tristante. Pękające cięgna, które łączyły go z głową Człowieka-Maszyny, rozciąły mu brew i poszarpały ciało. Tristante, z oczami zalany krwią, silny siłą Człowieka-Maszyny, rzucił się z krzykiem na Zolę.

Bezgłowy olbrzym z żelaza i wyprawionej skóry uderzył przeciwnika w bok, następnie w podbródek i prosto w pierś, a na koniec wymierzył mu cios w kość policzkową, głęboko go raniąc.

Noverre wstał i przyglądał się walce z bezsilnością w oczach.

Zóła zachwiał się, ogłuszony ciosami, niezdolny zareagować ani się bronić. Kiedy pięść ugodziła go w szyję, nogi poddały się i upadł na kolana, wbijając pusty wzrok w bezgłowego przeciwnika, który właśnie podnosił złączone ręce, by zadać mu ostateczny cios.

- Nie! - krzyknął zdesperowany Noverre.

Zdołał podnieść kikutami kawałek długiego, drewnianego drąga, ostro zakończonego po obu stronach jak lanca i przytrzymując go na brzuchu rzucił się nieporadnym biegiem w kierunku karła, który chciał zabić Zolę.

- Nie!

Człowiek-Maszyna odwrócił się. Na zakrwawionej twarzy Tristante gościł złośliwy uśmiezek.

Wtedy Noverre zamknął nieforemne, nierówne oczy i z desperacką siłą rzucił się na niego ze swą niestabilną bronią. Wyszczerbiony czubek dzidy wbił się z kleistym i chrupiącym odgłosem chrząstek w podstawę szyi Tristante, przebijając tchawicę i zatrzymując się na kręgach. Uśmiech na twarzy karła przeistoczył się w grymas zdziwienia; stał z otwartymi szeroko ustami, próbując złapać dech, który został mu na zawsze odebrany przez drewniane zadry.

W końcu, z łoskotem pustej zbroi, Człowiek-Maszyna upadł na ziemię.

Noverre zatoczył się.

Pomocnicy patrzyli na scenę w milczeniu. Zdjęci grozą. Stigle upadł na kolana, jakby jego serce opadło z siłą jeszcze wcześniej niż nogi. Podniósł rękę i wycelował pistolet w plecy

doktora. Germinal rzucił się do przodu.

- Nie ruszaj się! - ostrzegł go Stigle głosem przepełnionym bólem i wymierzył w niego broń. Potem wstał i zaczął powoli zbliżać się z pistoletem wycelowanym w plecy doktora, który cały czas stał nieruchomo na swych chwiejnych nogach przed Zolą - z rozpostartymi kikutami i zapadniętymi rękawami, powiewającymi na wietrze - jakby chciał mu coś pokazać.

Sciron prawie niedostrzegalnie kręcił głową. Cała jego przeszłość przesuwała mu się szybko przed żółtymi oczami.

- Twoja matka była zwykłą... służącą - powiedział po cichu, pozbawionym intonacji głosem i nie spojrzawszy nawet na Stigle'a, zapatrzył się w pustkę, potrząsając rytmicznie głową.
- Nie była niczym więcej niż kurewką, która chciała potańczyć...

Stigle zatrzymał się, ale się nie odwrócił, by na niego spojrzeć.

- Ja... ja nawet nie pamiętam koloru jej oczu... - ciągnął Sciron lekkim, śpiewnym głosem, zanurzając się w swą przeszłość. - Była tylko... najmłodszą służącą... Zapłaciłem za jej jeden taniec... i to wystarczyło, by ją mieć... Była... była niczym...

- Miała niebieskie oczy - szepnął Stigle, nie patrząc na ojca. - I rude włosy...

- Jeden taniec... zapłaciłem jej za jeden taniec... i była moja... jak rzecz bez żadnego znaczenia... - Sciron mówił coraz ciszej. - I także to, co rosło w jej brzuchu, stałoby się bez znaczenia... gdyby mi o tym powiedziała na czas... Żelazem wydarłbym z niej... tego bękarta...

Stigle opuścił rękę, w której trzymał pistolet, jakby przygniatał ją nieznośny ciężar, i odwrócił się do ojca.

- Dałeś jej sakwę pełną złotych monet, żeby mnie wychowała...

- Bałem się, że hrabina mnie przepędzi... z tego pięknego domu... - powiedział Sciron do siebie samego.

Potem wycelował chudy i długi palec wskazujący w Stigle'a.

- Ty nie jesteś moim synem...

Stigle zbladł. Przez chwilę wyglądał jak mały chłopczyk o oczach pałających niewinnym, dziecięcym i powalającym bólem. Przez chwilę poczuł bezkres swej nieutulonej samotności. I uświadomił sobie, że jego los mu nie wystarczy. Wyczuł, że węże wijące się między włosami boga umierają, poczuł, jak pęka mu na skroniach twarda zbroja z koźlich rogów. Wrzask nienawiści nie zagrzmiął na nowo w boskim ciele. Pierwotne energie nie zaczęły na powrót się uwalniać, ukazując swą nadzwyczajność i chwałę. Nie był już Śmiercią i Życiem. Bóg opuszczał

jego ciało, a on nie był w stanie go zatrzymać swymi wyżartymi przez kwasy palcami.

I zaczął się bać. Po raz pierwszy w swym życiu bał się. *On*, który nie był ani Stigle'em, ani Dionizosem. Bał się siebie samego. Tego, czym nie był.

Spojrzał na zakrwawioną twarz Tristante. T na poźółkle oblicze starca, który nie był już jego ojcem. Nie znał już żadnego z nich. Szukał choć jednej znajomej twarzy wśród ludzi, którzy obserwowali go w milczeniu, przerażeni jak on sam. Nikogo nie rozpoznał. Potem napotkał spojrzenie Germinala. Podeszedł bliżej, wbijając w niego wzrok. Oto on. Jedyne człowiek, którego już znał. Jedyne, który mógłby przyznać mu rację. Wycelował mu pistolet w twarz, tak samo piękną jak jego własna. Pochylił głowę na bok, by lepiej mu się przyjrzeć.

Ale w oczach Germinala nie wyczytał swej samotności. Bo teraz w niego wstąpił bóg.

- Gdybym mógł wybrać jeszcze jeden rozdział swego losu - powiedział po cichu, jakby szeptem wyznawał komuś miłość - chciałbym, by to pan napisał go wraz ze mną.

Wycelował pistolet w motocykl Germinala i wystrzelił. Za trzecim strzałem zbiornik wybuchnął i stanął w płomieniach. Nikt się nie poruszył. Nikt nie oddychał. Stigle wskoczył do swego czarnego powozu, smagnął batem konia do krwi i zniknął w różowawej poświacie świtu.

Germinał skoczył do drewnianego pieńka, w który był wbity długi nóż z rogową rączką, chwycił go i podbiegł do konia, zaprzęzonego do powozu policyjnego.

W tym momencie podeszła do niego Ignés i przytrzymała go za rękę, patrząc mu z napięciem w oczy.

- Będę na ciebie czekać - powiedziała. Potem cofnęła rękę. Germinał odciął skórzaną uprząż, za którą przywiązano zwierzę, wskoczył na nieosiodłanego konia, wbił obcasy oficerek w jego boki i ruszył galopem.

- Panie doktorze - rozległ się nagle apatyczny, gardłowy głos. Ignés odwróciła się. I odwrócili się posługacze i cieśle.

Zóla trzymał doktora na rękach. I przekazywał go Scironowi.

- Panie doktorze - powtórzył.

Noverre miał bladą, skrzywioną bólem twarz. W ramionach Zoli wyglądał jak małe dziecko. Tam gdzie wbił się drewniany drąg, pośrodku brzucha, rozplýwała się czerwona plama krwi, barwiąc szybko białą koszulę nocną.

Noverre uśmiechnął się słabo do Scirona.

- Na koniec to on miał rację... - szepnął słabnym głosem, patrząc w oczy starego wroga.

- Moje życie jest w twoich rękach... - I zemdłał.

Ignés patrzyła na Scirona.

- Ignés, rusz się - nakazał jej Sciron, odnajdując nagle siły i ducha, które stracił wiele lat temu. - Każ podgrzać wodę i zobacz, czy zostało trochę dzinu. Potem weź bandażę i wygotuj je. I znajdź mi igły i grubą nić.

Rozdarł nocną koszulę rannego i obejrzał ranę. Spojrzał na Zolę. Pamiętał go jeszcze jako dziecko. Olbrzymie dziecko. Zobaczył, że teraz ma siwe kosmyki na skroniach. Ale oczy pozostały takie same. Oczy dziecka, które nigdy nie dorosło.

- Wyjdzie z tego, nie martw się. To nic poważnego - powiedział i odwrócił się do niego plecami. - Zanieś go do środka, na co czekasz, obłąkańcze? - I wszedł do swego wozu.

Na horyzoncie dwa złowrogie kominy fabryczne barwiły się na czerwono, podczas gdy za wzgórzem, nad miastem, wschodziło słońce.

XXVIII

- Już jest! To on! - krzyknął stary Jones, celując zreumatyzowanym palcem na czarną sylwetkę małej kolaski. Nadjeżdżała z dużą prędkością, odcinając się na tle bezładnej, krwawej masy chmur, za którymi wschodziło słońce.

- To Chemik!

Pięć zamkniętych policyjnych powozów dopiero co się zatrzymało przed cukrownią, na szerokim wydeptanym placu, gdzie każdego dnia zsypywano niezliczone ilości wózków rzeczno-piasku, by utwardzić wieczne błoto, typowe dla tutejszego deszczowego klimatu. Ponad pięćdziesięciu umundurowanych mężczyzn, gotowych wtargnąć do fabryki, wysiadło z powozów, z pałkami za pasem i bronią w ręku, i ustawiło się w podwójnym szyku. Każdy z nich miał rozkaz strzelać do robotników, którzy będą stawiać opór.

- Przystawcie powozy! Szybko! Przystawcie powozy! - krzyknął komisarz Landau, z oczami utkwionymi w kolaskę Stigle'a, który bryzgając wodą i błotem jechał jedyną wąską drogą, prowadzącą do cukrowni. - Zablokujcie przejazd! Szybko! Szybko! Dalej! Przystawcie powozy na środek drogi.

Woźnice wskoczyli do powozów i wszyscy w tym samym momencie strzelili batem, a konie stanęły dęba i powpadały na siebie. Koła powozów zazębiły się na wysokości piast.

- Imbecyle! Co za imbecyle! - krzyczał Landau z posiniałą twarzą. - Dziesięciu ludzi do mnie! Dwa rzędy! Pięciu na ziemię i pięciu z tyłu, już. Szybko! Szybko!

Dziesięciu policjantów przebiegło przez plac i ustawiło się na końcu drogi, gotowych do oddania strzału.

- Nie strzelać! Jeszcze nie! - rozkazał Landau plutonowi. Stigle był już tak blisko, że ziemia wibrowała od uderzeń kopyt konia pędzącego z pianą na pysku. - Czekać na mój rozkaz! Ładować broń!

Stigle skulił się, zaciskając ręce na lejcach, jedną nogę postawił na stopniu, drugą pośrodku karalucha. Wyciągnął pistolet zza pasa i zaczął strzelać w grupę ludzi, poganiając konia.

- Ognia! - krzyknął Landau.

Dziesięć strzelb wystrzeliło serię na chwilę przedtem, zanim kolaska wjechała w grupę osób, przewracając je. Karaluch zachybotał się, kiedy okute żelazem koła przetoczyły się po ciałach dwóch mężczyzn. Koń biegł dalej, wpadł na plac, robiąc z rzeniem gwałtowny unik. Potem galopujące zwierzę jakby zacięło się, nerwowe nogi straciły harmonię i zeszywniały, zwalniając biegu. Siła bezwładu pchnęła kolaskę na konia, który zaczął się słać, a na jego piersi i szyi rozlała się plama krwi, zabarwiając na czerwono błyszczącą od potu i piany sierść.

- Ognia! Ognia! - krzyczał Landau do pozostałych mężczyzn z plutonu.

Kiedy koń przewrócił się i osunął na ziemię, hołoble po obu stronach zaprzęgu wbiły się w glebę i roztrzaskały z suchym odgłosem pękającego drewna i poskręcane żelaza, a następnie wyrzuciły karalucha jak z katapulty razem ze Stigle'em.

Policjanci zaczęli strzelać, gdy Stigle wypadł z kolaski i runął na ziemię między dwoma powozami. Ale on natychmiast się podniósł, strzelił prosto w twarz jednemu z policjantów, wskoczył na kozioł powozu, zaciął batem konie i popędził ku wejściu do fabryki, skąd dobiegły nagle strzały oddane w kierunku plutonu policjantów, którzy musieli paść na ziemię, by się przed nimi osłonić.

Policyjny powóz ze Stigle'em na koźle wjechał z pełną prędkością do pierwszego pomieszczenia cukrowni. Oszalałe konie, próbując się zatrzymać, stanęły dęba i wyłamały ścianę z matowymi szybami.

Rinaud i inni robotnicy w oknach dalej strzelali. Policja przeformowała się i umundurowani mężczyźni odpowiadali teraz strzałami.

Przednie, lewe koło uderzyło w jeden z torów dla wózków i powóz przewrócił się, przygniatając jednego z robotników i miażdżąc nogę innemu, który został uwięziony pod

masywnym bokiem pojazdu. Dwóch robotników uwolniło go i natychmiast przeniosło w bezpieczniejsze miejsce.

Stigle wyszedł z powozu z głębokim, krwawiącym rozcięciem na czole.

- Rinaud! - krzyknął, osuwając się na ziemię, gdy tymczasem policyjne kule roztrzaskiwały lampy oraz maszyny i z głuchym świstem odbijały się od wózków, by w końcu zakończyć swój żywot w workach z burakami.

- Rinaud! Zostaw broń, idź po dziewczynę i zaprowadź ją do dyrekcji - rozkazał i rzucił mu klucz do kłódki.

Rinaud podał strzelbę swemu synowi Berto.

- Zabij wszystkie te wieprze! - powiedział ze wzrokiem mętym od alkoholu i pobiegł w dół krzywymi schodami, prowadzącymi do opuszczonego magazynu.

- Skierujcie na zewnątrz megafony w strefie wyładunku! - krzyknął Stigle do dwóch młodych robotników i wszedł do pokoju dyrekcji na pierwszym piętrze cukrowni.

- Co chcesz zrobić, Chemiku? - zapytał go dyrektor działu wybielania. W ręku miał pistolet.

Stigle strzelił do niego z zimną krwią. Potem wziął mikrofon, którego używano do koordynowania operacji wyładunku i włączył go.

Megafony zaszumiały. Potem wydały przeszywający pisk. I w końcu na opuszczonym placu rozbrzmiał wzmocniony przez głośniki kobiecy krzyk.

- Niech pan każe im przestać strzelać, Landau! - krzyknął Stigle do mikrofonu. - Wstrzymać ogień! Mamy zakładnika! Córkę Boamorte'a! Wstrzymać ogień albo będziecie odpowiedzialni za jej śmierć!

Stigle odwrócił się do Rinauda, który trzymał ostrze noża przy gardle przerażonej dziewczyny o twarzy zalanej łzami. Smoła, która barwiła jej włosy, skapywała lepka i czarna mazią na ramiona. Sukienka była porwana i dziewczyna jedną ręką przytrzymywała skrawek materiału, zakrywający piersi. Z zadrapania pod lewym okiem spływała krwawa łza. Stigle skinął głową na Rinauda i podstawił dziewczynie mikrofon. Ostrze noża powędrowało ku lewemu oku Marthy Boamorte.

Megafony zwiłokrotniły kolejny, płaczliwy krzyk.

- Stać! Stać! Nie strzelać! - rozkazał Landau, kryjąc się za powozem.

Gdy tylko policjanci wstrzymali ogień, z cukrowni rozległy się owacje oraz krzyk

zwycięskiego wojska, uzbrojonego w siedem strzelb, z których pięć stanowiły myśliwskie dubeltówki.

- Fabryka została zajęta! - zabrzmiał na placu zniekształcony głos Stigle'a. - Niczego nie próbujcie! Powiadomimy was o naszych warunkach!

Robotnicy znów wiwatowali, obejmując się i przekazując sobie z rąk do rąk butelki z gorzałką, która oddalała strach.

- Wygraliśmy! - krzykali. - Teraz nas usłyszą! Tłuste wieprze! Stigle przekazał pistolet Rinaudowi.

Przeżrana dziewczyna wpatrywała się w martwe ciało dyrektora działu wybielania, który leżał na boku na podłodze i wybałuszonymi, pozbawionymi światła oczami odwzajemniał jej spojrzenie.

- Strzelaj do każdego, kto będzie próbował tu wejść - polecił Stigle Rinaudowi, wychodząc z pokoju. Potem zszedł po schodach, wymknął się cichaczem przez jedno z okien na tyłach fabryki, dotarł do baraku, otworzył kłódkę i połączył drugi biegun dwóch przewodów elektrycznych z detonatorami.

- „Wstrząśnij ziemią... boska Enosis...”-wymamrotał szeptem. Ale to nie był już głos boga.

- „Wstrząśnij ziemią... boska Enosis...”-próbował powtórzyć głośniejsze.

Ale była to tylko pusta przyśpiewka, wyuczona na pamięć. I poczuł, jak z oczu zaczyna mu się wylewać cały jego nowy ból, ten tak śmiertelny ból, niemający już przed sobą chwalebne losu, w którym on miał osiągnąć doskonałość. On, który nigdy nie płakał, nawet przy przyjściu na świat; on, który był boskim bólem; on, dla którego nie istniała udręka, jakiej nie mógłby pokochać, ponieważ jego ból był dobrym bólem, wiedział, że zaraz się rozplacze. Ponieważ męka jego mizernego ciała nie stanowiła już triumfu. Ani celebracji. Ani środka wybranego przez los, by przynieść mu życie pełne chwały.

On, który był mniej niż niczym, opuszczony przez boga, co wzrastał w nim przez szesnaście lat, teraz został sam. Okropny świat, który bóg dla niego stworzył oraz koszmary, które powołał do życia, obracały się przeciwko niemu. W jego uszach rozbrzmiewał śmiech boga, ponieważ ten dręczył go teraz, władając drzemiącymi siłami, przed którymi nie można było się ukryć ani obronić, jako że uderzył w nieprzewidywalnych kierunkach, niosąc niekończące się zniszczenie.

Przyniosły zniszczenie również jemu, który kiedyś sam był bogiem.

Stigle wsunął rękę do otwartego worka z surowego płótna, leżącego obok dwóch detonatorów, i ofiarował swe ciało jako posiłek straszny, świętym szczękcom, aż tortura pozwoliła mu zapomnieć o bólu.

- „Wstrząśnij ziemią... boska Enosis...” - wyrzekł raz jeszcze i uśmiechnął się, bo skoro nie mógł być już bogiem, będzie przynajmniej jego sługą.

Oderwał kawałek płótna i obwiązał poszarpaną rękę, podniósł z ziemi worek, zarzucił go na plecy, zamknął barak, wszedł do fabryki i dotarł do sali dyrekcji.

- Wracaj do swoich ludzi - powiedział Rinaudowi. - Nie pozwólcie się zbliżyć policjantom. Strzelajcie do nich, jeśli będą próbować wejść. Dziewczyna pójdzie ze mną - dodał, chwytając Marthę Boamorte za nadgarstek i ciągnąc za sobą. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na Rinauda. - Teraz fabryka jest wasza - oświadczył. - Zróbcie z nią, co chcecie.

Kiedy wchodził po schodach prowadzących na zewnątrz, na dach cukrowni, i jeszcze wyżej, aż do wykuszu w połowie dwóch rozpalonych kominów, górujących nad całą częścią nowego, objętego rewoltą świata, ujrzał wrzeszczących w podnieceniu robotników. Pijanych, jak pragnął tego bóg, któremu teraz i on służył. Celebrował orgie, które bóg zapowiedział.

Niektórzy robotnicy chwyтали żelazne pręty i demolowali wszystko, co było w ich zasięgu. Inna rozszalała grupa zawzięła się na jedną z wrzących kadzi. Kiedy wyjęli sworznie i wyleciały śruby, kadź zachybotła się z przerażającym zgrzytem zawiasów, niczym trzaskający gróźnie statek, który idzie na dno, i w końcu przewróciła się, zalewając podłogę z ubitej ziemi słodkawym, mulistym morzem, które skrywała w swych grubych metalowych ścianach.

Najmłodszy od razu rzucił się do środka i z wrzaskiem oraz śmiechem zaczęli się ochlapywać, jakby to był jakiś festyn. A stare kobiety, zarażone euforią, zdjęły buty, podkasały spódnice, usiadły na murku z zaprawy i zamoczyły odretwiąłe z zimna stopy w ciepłym szlamie.

Tymczasem Rinaud zaciągnął ciało dyrektora działu wybielania aż do balkonu na pierwszym piętrze, by z dumą pokazać zwłoki swym towarzyszom. Potem wyrzucił je przez balustradę.

Nadjeżdżający na galopującym koniu Germinal zobaczył policjantów chroniących się za powozami i zardzewiałymi wózkami, które zastawiały przyfabryczny placyk.

Słyszając, że ktoś się zbliża, dwóch policjantów, znajdujących się najbliżej drogi,

wycelowało w niego broń.

- Nie strzelać! To jeden z naszych! - krzyknął sierżant. Germinal minął ich, zatrzymał się za pierwszym powozem i zeskoczył z konia.

- Co się dzieje? - spytał sierżanta.

- Są uzbrojeni - odparł policjant, wskazując na cukrownię. - I mają zakładnika. Córkę akcjonariusza. Grożą, że ją zabiją, jeśli wtargniemy do środka.

Germinal wychylił się, by się rozejrzeć. Dwa powozy dalej dostrzegł krępą postać Landaua. Wskoczył na odkrytą przestrzeń i biegnąc zygzakiem z pochyloną głową, dotarł do komisarza, który znajdował się w bezpiecznym miejscu.

- Dokonał kolejnej rzezi dziś w nocy - poinformował Landau, nie patrząc na niego i śledząc wzrokiem wejście do fabryki. - Pan Boamorte, trzech służących... i dwóch moich ludzi... bardzo młodych...

- To nie Ignaszewski - powiedział Germinal. - To Stigle.

- Wiem, do cholery! - wybuchnął Landau, odwracając się do Germinala ze wzrokiem pełnym złości.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Właśnie mi przekazano, że stróż w willi Fairfirthów znalazł ciało Ignaszewskiego w piwnicy - rzekł Landau, cały czas patrząc na Germinala.

- Stigle jest w środku?

- Tak.

Zamyślony Landau przeniósł swoje oczy na cukrownię. Po chwili znów spojrzał na Germinala.

- Czego pan ode mnie oczekuje? Przepraszam?

- Gdzie trzymają dziewczynę? - spytał Germinal, odwracając wzrok i zerkając na wejście do fabryki, widoczne między końskimi ogonami, które poruszały się nerwowo w powietrzu.

- Nie wiem.

- Co pan ma zamiar zrobić? - spytał go Germinal.

Landau nie odpowiedział. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że oczy jego ludzi są w nich wpatrzone.

- Czy ktoś tu zna dobrze fabrykę? - zapytał Germinal.

- Stróż nocny - powiedział Landau i wskazał starca siedzącego na ziemi, który obracał w

palcach znoszony kapelusz.

Germinal wyszedł na nieosłoniętą przestrzeń i pobiegł w stronę starego Jonesa. Pojedynczy strzał wznicił małą chmurę błotnistego piasku przed jego stopami. Germinal padł na ziemię i przeczłogał się do wózka, który dawał schronienie stróżowi.

- Pozabijam was, wieprze! - krzyknął robotnik, który strzelił.

- Wszyscy są pijani - powiedział stary Jones, potrząsając głową. Germinal usiadł obok, opierając się o zardzewiały grat.

- Jak pan sądzi, gdzie mogą trzymać dziewczynę? - zapytał.

- Słyszysz ich pan? - rzekł starzec. Z fabryki dobiegały ponure łaskoty. - Wszystko rozwalają... Jaki to ma sens? - Głos starca był matowy, złośliwy. - Było nas dwudziestu pięciu, kiedy pan hrabia ją wybudował... każdy każdego znał.

- Jak pan myśli, gdzie mogą trzymać dziewczynę? - powtórzył pytanie Germinal.

- Dzisiejszej nocy była w opuszczonym magazynie - odparł starzec. - Potem musieli ją zaprowadzić do dyrekcji, bo tam mają mikrofony... Co im wszystkim strzeliło do głowy?...

- Gdzie jest dyrekcja?

Starzec odwrócił się i wskazał na mały, murowany sześcian z szerokim oknem, wystający spod głównego dachu fabryki.

Germinal przeanalizował możliwe sposoby dotarcia w to miejsce, a potem jego wzrok przyciągnęły dwa kominy. W połowie dwóch wież, w wąskim wykuszu, osłoniętym balustradą, zauważył mężczyznę ubranego na czarno. Natychmiast go rozpoznał. A obok Stigle'a dostrzegł drugą, drobniejszą postać w rozwianej spódnicy, próbującą się uwolnić.

- Kiedyś wszyscy zwracaliśmy się do siebie po imieniu... a teraz nawet nie znam ich twarzy... - mówił sam do siebie stary Jones.

Germinal przebiegł do powozu, za którym krył się Landau.

- Jest tam, na górze - rzekł, wskazując kominy.

Z tego, co udało mu się dostrzec, Stigle kazał dziewczynie przejść przez poręcz i teraz przywiązywał ją do żelaznej konstrukcji, zawieszanej tuż nad przepaścią. Trochę wyżej widać było sporej wielkości pakunek, przymocowany do ściany komina. I drugi, identyczny, na bliźniaczym kominie.

- Ma pan lornetkę? - spytał zaniepokojony Germinal.

- Lornetka! - krzyknął Landau do swoich ludzi.

Z fabryki podniósł się śpiew. Ponad sto głosów śpiewało starą, sprośną piosenkę ludową.

Jeden z policjantów podszedł do nich i podał Landauowi lornetkę. Komisarz wziął ją, chcąc przez nią popatrzeć, ale zaraz podał ją Germinalowi.

Podczas gdy śpiewana przez robotników piosenka zalewała plac, Germinal przytknął lornetkę do oczu i nastawił ją tak, by widzieć ostro wykusz, w którym stał Stigle, ściskający w rękach straszne, metalowe szczęki, którymi zaszlachtował już trzy kobiety. Wytrzeszczone oczy dziewczyny wpatrywały się w przepaść, która otwierała się pod jej nogami. Germinal przesunął lornetkę wzdłuż ściany komina. Zobaczył związaną wiązkę lasek dynamitu, przymocowaną do metalowego sworznia, wbitego między czerwone cegły. Szybko przesunął lornetkę na drugą wieżę. Także tam były przygotowane ładunki wybuchowe.

- Chce wszystko wysadzić w powietrze - powiedział, patrząc na Landaua.

Ponownie nastawił lornetkę na laski dynamitu. Z każdego z dwóch ładunków odchodziły przewody, które łączyły się ze sobą na wysokości balkonu, a potem opadały i znikwały za kominami.

Germinal wyszedł bez słowa na otwartą przestrzeń i okrążył fabrykę, biegnąc od jednego krzaka do drugiego, czołgając się z łokciami przy ziemi tam, gdzie nie było osłony, i zatrzymując się od czasu do czasu, by leżąc na plecach, dostrzec przez lornetkę trasę wyznaczoną przez przewody elektryczne. Kiedy dotarł na tyły cukrowni, spostrzegł, że kable giną gdzieś na dachu. Pobiegł aż do drewnianego baraku i ponownie sprawdził sytuację. Ogarnęło go uczucie bezsilności. Opuścił lornetkę. Powinien wejść do fabryki, by rozbroić ładunek. Sfrustrowany spojrzał na ceglany mur i idąc od jednego gniazdko do drugiego znalazł przewody. Okrążył barak i zobaczył, że wszystkie zostały wsunięte pod zamknięte drzwi z potężną kłódką. Wrócił na tył budynku, rozejrzał się i podniósł zardzewiały, żelazny rygiel, zahaczył go o deski tylnej ściany i zaczął je podważać. Gwoździe puszczały, jeden po drugim, umożliwiając mu przejście. Wewnątrz baraku znalazł dwa detonatory. Ostrożnie rozwarł ich styki i rozbił detonatory rygłem.

- Potrzebuję mocnej liny. Bardzo długiej - powiedział do Landaua, wróciwszy do osłoniętego miejsca za powozem.

- A gdzie ja teraz znajdę linę?

Germinal spojrzał na starego Jonesa, który cały czas siedział za przewróconym wózkiem, ściskając w ręku kapelusz.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - rzekł, podchodząc do niego. - Gdzie mogę znaleźć długą i

mocną linę?

- Liny są w magazynie - odparł strażnik, potrząsając głową. - Tam, w środku. - I wskazał kciukiem fabrykę za swoimi plecami. Nagle jego zmęczone oczy rozbłysły. - Ale zaraz, tu powinny być stare powrozy do wózków... - rzekł podekscytowany. - Są długie, oj, długie... kiedyś były nawet mocne, a czy teraz...

- Gdzie?

- W pojemnikach - odparł starzec, odwracając się na kolanach i wskazując dwa duże pojemniki z poczerńałego metalu, które wystawały zza muru fabryki, obok okna z potłuczonymi szybami.

- Jak wysoko od ziemi jest wykusz przy kominach? - spytał Germinal.

- Pięćdziesiąt metrów.

- A jaką długość mają powrozy?

- Co pan chce zrobić?

- Zobaczyłem, że są drugie schody, prowadzące na kominy.

- To było stare wejście dla robotników, którzy je naprawiali - rzekł strażnik. - Ale nikt go nie używał przez przynajmniej dwadzieścia lat...

- Jaką długość mają powrozy?

- Przynajmniej dwa razy taką. Ponad sto metrów - powiedział starzec. Potem przytrzymał Germinala za rękę. - Niech pan zaczeka. Pokrywa pojemników jest żeliwna. Sam pan nie da rady.

- Dziękuję. - Germinal uśmiechnął się. Potem spojrział na Landaua, który mu się przyglądał. - Potrzebuję jednego człowieka - oświadczył, pocierając dłońmi policzki.

Landau wskazał mu mężczyznę, który stał obok niego. Germinal przytaknął, dał policjantowi znak, by za nim poszedł, i kryjąc się za powozami, dotarł do aluminiowych pojemników na odległość jakichś trzydziestu stóp. Młody policjant, który dysząc przycupnął koło niego, miał przerażony wzrok.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił go Germinal. - Chodźmy. Rzucił się biegiem do fabryki i przyłgął plecami do muru przy pojemnikach, pod oknem z potłuczonymi szybami. Policjant przemknął za nim.

- Ty podnieś pokrywę. Ja zajmę się linami. Potem po cichu wracamy - poinstruował towarzysza szeptem.

Młody policjant przytaknął i z trudem podniósł ciężką żeliwną pokrywę. Sznury cuchnęły

pleśnią. Niektóre miały metalowe złączki. Germinal zaczął wyciągać te, które wydawały mu się najdłuższe.

Nagle policjant zobaczył twarz robotnika, który wychylił się z okna. Przerażony wypuścił z rąk pokrywę, która opadła z hukiem, przytrzaszkując w połowie wyciągany przez Germinala powróż.

- Próbują wejść! - krzyknął Berto.

Germinal chwycił go za barki i wyciągnął przez okno, tak że ten przeokożkował. Potem uderzył go pięścią prosto w twarz.

- Podnieś pokrywę! - krzyknął do sparaliżowanego strachem policjanta.

Chłopak otrząsnął się, podważył pokrywę i Germinal zdołał wyciągnąć cały kłęb sznurów.

- Uciekaj! Uciekaj! - krzyknął do policjanta, słysząc zbliżających się robotników.

- Wieprze! - krzyknął Rinaud, pojawiając się w oknie z pistoletem w garści. Wymierzył i strzelił.

Młody policjant z jękiem osunął się na ziemię. Germinal, który dobiegł do pierwszego wózka, rzucił liny na ziemię i zawrócił. Zaczął ciągnąć policjanta za rękę, a kule Rinauda wzbijały tumany piasku i błota, nie dosięgając ich. Kiedy obaj znaleźli się w bezpiecznym miejscu, usłyszeli grzechot pustego bębna w pistolecie.

- Wieprze! - wrzasnął jeszcze bardziej rozwścieczony Rinaud. - Dajcie mi strzelbę! Dajcie mi strzelbę!

Germinal zobaczył, że policjant został trafiony w nogę.

- Wejź tam - powiedział, wskazując na wózek.

Chłopak wdrapał się na metalowy wózek i osunął do środka. Germinal podał mu liny. Potem zaczął popychać wózek w kierunku policyjnych powozów przy akompaniamencie kul trafiających w opancerzony bok.

Kiedy dotarli do osłoniętego miejsca za powozem Landaua, dwóch policjantów pomogło rannemu młodemu koledze wyjść z wózka i położyło go na ziemi. Ściągnęli mu wysoki but, rozdarli spodnie i zajęli się raną.

- Co chce pan zrobić? - zapytał Landau Germinala, który tymczasem mierzył długość powrozu, przykładając go do przedramienia.

- Muszę wejść na górę - odparł Germinal, wskazując na kominy.

- Zginie pan.

- Albo ja, albo dziewczyna - rzucił ostro Germinal, zwijając sznur i przewieszając go przez ramię. - Niech pan odciągnie ich uwagę, kiedy będę na tyłach fabryki. Jeśli będą patrzeć na was, może mnie nie zauważą.

Landau wziął megafon i biegnąc ociężale, dotarł do powozu stojącego po przeciwnej stronie placu.

- Słuchajcie! - krzyknął do robotników, którzy wyglądali przez wybite okna fabryki. - Jeszcze możecie się poddać!

Robotnicy obrzucili go stekiem przekleństw.

- Chronicie mordercę! - krzyknął Landau do megafonu. - To już nie jest strajk!

Germinal ruszył w przeciwną stronę. Gdy tylko skręcił za róg budynku, wskoczył w krzaki. Z daleka słyszał zwiłokrotniony głos Landaua, który próbował przekrzyczeć wrzeszczących robotników. Germinal wstał i dobiegł do baraku, w którym znalazł detonatory. W kącie dostrzegł drewnianą drabinę. Oparł ją o ścianę i dotarł aż do pierwszego blaszanego dachu. Dalej posuwał się ostrożnie, stawiając stopy tam, gdzie były gwoździe, wskazujące na to, że poniżej znajduje się poprzeczna belka. W połowie dachu usłyszał groźne skrzypienie drewna. Konstrukcja podtrzymująca blachę była przegniła. Długo nie wytrzyma. Pochylił się i zaczął się przesuwac na czworakach wzdłuż dachu, próbując dotrzeć do równoległej belki. Blacha wyginała się z jękiem pod jego ciężarem. Kilka gwoździ, którymi przybito ją do poprzecznych belek, wyskoczyło. Germinal wstrzymał oddech. W końcu doczołgał się do belki, ponownie się wyprostował i dotarł do kolejnego dachu, wyższego o mniej więcej dziesięć stóp. Podciągając się na rękach do góry, usłyszał jakieś krzyki.

Kiedy dotarł na szczyt, zauważył, że tak naprawdę dach jest jedną wielką lukarną. Przez szyby dostrzegł około pięćdziesięciu robotników, którzy w sali znajdującej się poniżej pili i klócili się o butelki. Gdyby go zauważyli, dziewczyna porwana przez Stigle'a nie miałaby żadnych szans. Ale to była jedyna droga, by dotrzeć do kominów. A przejście stanowiła wąska, murowana ścianka osłonowa, która biegła jak rama wokół lukarny. Germinal zrobił ostrożny ruch, rozkładając ręce, by utrzymać równowagę, z dodatkowym ciężarem w postaci zwoju lin. Po kilku chwiejnych krokach wpadł na grudkę zaprawy, która oderwała się od ścianki i z łoskotem spadła na szyby lukarny.

Kiedy robotnicy wlepili nosy w sufit, nikogo nie zauważyli.

Germinal zwisał z murowanej ścianki, nogi dyndały mu w powietrzu, a ręce ocierały się o chropowatą zaprawę, która zdzierała skórę. Odczekał chwilę i z powrotem wdrapał się na wąskie obramowanie, zaczął stąpać jak ekwilibrysta i bez szwanku dotarł do starych schodków, które służyły do przeprowadzania prac przy kominach.

Schodki te nie były niczym innym, jak łysymi i zardzewiałymi bolcami, wbitymi między cegły i nadzartymi przez czas. Germinal zaczął po nich wchodzić. Wykusze przy dwóch kominach był bardzo daleko. Wydawało mu się, że wspinaczka trwa już całą wieczność, a on nawet nie był jeszcze w połowie drogi. Pod jego ciężarem wiele bolców chwiało się i ugięło.

Wrócił mu oddech, a tymczasem blade słońce próbowało przedrzeć się przez chmury. Powietrze było mroźne. Ręce mu krwawiły, palce kostniały z wysiłku i zimna. Spojrzał w dół. Roztrzaskałby się, gdyby teraz spadł.

Postanowił ruszyć dalej. Wdrapał się na kolejny bolec, oderwał rękę i oparł ciężar ciała na stopach. Żelazo opadło zniechęca. Germinal, uderzając twarzą o cegły, szukał jakiegoś występu w murze. Poczul na oślepe rant bolca w ręku i chwycił go resztką sił. Modlił się, by ten go utrzymał. Poczul silne szarpnięcie w ramieniu, ale palce nie zwolniły uchwytu. T tak został, z krwawiącym nosem, zawieszony na jednej ręce, z nogami dyndającymi w powietrzu. Germinal rozhuśtał lekko ciało, próbując się obrócić i wolną ręką chwycił drugi bolec. A potem stopy odnalazły oparcie.

- Nigdy mi się nie uda.

Wydało mu się, że słyszy płacz dziewczyny.

Spojrzał do góry. W ustach czuł słodkawy smak krwi. Kolejno pokonał wszystkie pozostałe bolce i dotarł do wykusza.

Usłyszał płaczącą dziewczynę. I obłąkany głos Stigle'a. Ale nie był w stanie zrozumieć, co mówi. Było to tylko niezrozumiałe, monotonne mruczenie, brzmiące jak modlitwa.

Zatrzymał się pod żelaznym podestem, łapiąc oddech. Nie miał już sił, a musiał je odzyskać. Nad nim, w podłodze wykusza, która miała szerokość ledwie dwóch kroków, widać było klapę wejściową. Germinal miał nadzieję, że nie jest zbyt zardzewiała. Jeśli chciał wygrać ze Stigle'em, musiał przejść przez właz i stanąć wyprostowany przed swym przeciwnikiem. Jeżeli pozwoli mu się zaskoczyć z nogami na bolcach, nie będzie miał możliwości obrony. Sprawdzał właz, żeby upewnić się, czy będzie w stanie go po cichu otworzyć. Żelazna klapa ani drgnęła. Próbował poruszyć ją z większą siłą. Zardzewiałe zawiasy lekko skrzypnęły.

Germinal zatrzymał się i nadstawił uszu. Usłyszał, jak dziewczyna płacze i przeklina porywacza. Ale nie słyszał już głosu Stigle'a. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech. Przez lornetkę widział wcześniej, że Stigle włożył sobie metalowe szczęki, przywiązane do przedramienia. Germinal pomyślał, że to straszna broń, ale przynajmniej uniemożliwia użycie pistoletu.

Ponownie przyjrzał się klapie. Nie było możliwości otwarcia jej po cichu. Zostało mu tylko jedno wyjście. Wszedł na najwyższy bolec, kuląc się w pozycji embrionalnej i plecami naparł na metalową klapę. Musiał pchnąć z całej siły, opierając się na nogach. W ten sposób kłapa otworzy się, czyniąc hałas, ale - taką miał nadzieję - w jednej chwili. A on wtedy będzie już w połowie wykusza. Nie zaskoczy Stigle'a od tyłu, ale może, przy odrobinie szczęścia, uda mu się stanąć w wyprostowanej pozycji, tak by móc odparować pierwszy atak. Musiał zaryzykować.

Odetchnął głęboko i skoczył z krzykiem.

Zawiasy puściły łatwiej, niż się tego spodziewał. Germinal wyleciał do góry, jak w skoku, i na chwilę stracił równowagę.

W tym momencie Stigle, słysząc uderzenie kłapy, zasadził się w oczekiwaniu i uderzył go w głowę jedną z swych stalowych broni.

Germinal upadł na żelazną poręcz, ale otworzył oczy na tyle szybko, by zobaczyć drugi cios, który miał na niego spaść. Instynktownie odchylił się w bok i uniknął uderzenia z góry. Chwycił obiema rękoma poprzeczne belki poręczy, podkulił nogi pod klatkę piersiową i z całej siły kopnął Stigle'a prosto w pierś, powalając go o dwa kroki dalej. Sam, choć nieco ogłuszony bólem w skroniach, miał jednak czas, by stanąć na nogi. I zarzucić z jednej strony liny.

Dziewczyna krzyczała teraz na cały głos.

Stigle wstał, rozstawił nogi i przygotował się do ataku. Ostre szczęki pobrzękiwały w powietrzu, gotowe gryźć.

Twarze obu mężczyzn były czerwone od krwi. Stigle miał głęboką ranę na czole, którą rozdzielał kosmyk włosów. Germinal krwawił z nosa i skroni. Patrzyli sobie w oczy, ciężko dysząc. Jeden nie groził, a drugi nie kazał się poddać. Nie było rozmowy. Nie było słów. Tylko surowe spojrzenia mężczyzn gotowych do starcia. Fabryka, strajk, robotnicy, policja, nic nie istniało poza nimi. Nie słyszeli nawet rozdzierających krzyków dziewczyny. Ani nie patrzyli na ładunki wybuchowe nad głowami.

Stigle ruszył pierwszy. Wymierzył cios i zacisnął stalowe paszcze. Ostrza poharatały

Germinalowi ramię. Potem, drugą szczęką, Stigle zamierzył się na szyję. Germinal ugiął kolana, jęcząc z bólu, chwycił rękę Stigle'a i padając do tyłu, kopnął w żołądek przeciwnika, który uderzył o balustradę.

Żelazne bolce, wbite między cegły, puściły, krusząc cement, który je podtrzymywał. Dziewczyna zachwiała się niebezpiecznie do tyłu. Krzyknęła zdesperowana, kiedy uwolniona od śrub poręcz oderwała się od podestu. Potem poprzeczne belki ugięły się i zaczęły się zwiijać jak węże. Żelazo jęczało, podtrzymując zawieszoną w powietrzu dziewczynę. Ostatnie śruby, na których opierał się wykusz, drgały z niepokojącym skrzypieniem. Nagle dziewczyna przestała krzyczeć. W milczeniu zapatrzyła się w przepaść pod sobą.

Germinal skoczył do Stigle'a, chwycił go za głowę i przewyciężając zadawany przez szczęki ból, który rozdzierał mu mięśnie kręgosłupa, uderzył nią z całej siły o mur. Potem podniósł z podłogi cienki jak pogrzebacz, żelazny pręt, który odpadł z poręczy i uderzył Stigle'a w kolana, powalając go na ziemię. Następnie uniósł żelazny pręt do góry i z całej siły walnął go w kark.

Stigle osunął się z głuchym jękiem. Znieruchomiał.

- Niech mi pan pomoże... proszę... - szepnęła wtedy dziewczyna. Germinal, opierając się o wystający kawałek muru, chwycił ją za ręce, przeciął nożem sznury i wciągnął ją w bezpieczne miejsce na wykuszu.

- Teraz znowu muszę panienkę zwiazać - powiedział, podnosząc powróż, który przyniósł ze sobą na komin.

Zahaczył koniec sznura na bolcu zakotwiczonym mocno w murze, potem przymocował do bolca drugą końcówkę i przywiązał do siebie dziewczynę w pasie.

- Proszę się mnie trzymać obiema rękoma, o tu, za szyję.

Dziewczyna skinęła głową. Germinal pomyślał, że to jeszcze dziecko. Poglaskał ją po włosach, odkrywając jasne kosmyki pod czarną smołą.

- Jak się panienka nazywa? - spytał.

- Martha...

- To już prawie koniec, Martho - powiedział, siląc się na uśmiech. Dziewczyna zamknęła oczy i oparła czoło o jego pierś. Germinal zerknął jeszcze na Stigle'a leżącego twarzą do ziemi. Plama krwi z rany na karku rozlewała się po żelaznym wykuszu.

- Czy panienka jest gotowa? - spytał, rzucając w dół sznur, przytrzymywany z obu stron

na bolcu.

- Tak...

Germinal naprężył oplatający ich sznur i zaczął schodzić w dół, powoli popuszczając powróż.

- Proszę nie patrzeć w dół.

Stigle poruszył lekko głową. Nogi przebiegł kurcz. Oczy się otworzyły. Odkaslnął, splunął krwią. Położył szczęki na żelaznej podłodze, wprawiając ją w głuche drżenie i próbował wstać.

Germinal usłyszał go. Także dziewczyna musiała go usłyszeć, ponieważ spojrzała mu w oczy przerażonym wzrokiem.

- Jesteśmy prawie na ziemi - zapewnił Germinal. Ale wiedział, że to nieprawda. Spojrzał w górę i dostrzegł Stigle'a, który wychylał się z wykusza. Potarł ręką włosy dziewczyny, a potem zmienił rękę i także nią przesunął po czarnej smole. - Proszę się nie martwić, Martho, jeśli zacznę krzyczeć - powiedział i spuścił powróż między palcami najszybciej, jak mógł. Smoła prędko się skończyła i sznur zaczął palić jego ciało.

Stigle widział rozgrzewający się na bolcu sznur. Nie miał siły się podnieść. Podczołgał się do brzegów wykusza, wysunął przed siebie szczękę i wbił ją głęboko w linę. Poczł silne szarpnięcie, pasy mocujące szczękę do ręki wpiły mu się w ciało i pękły. Szczęka spadła w dół.

Germinal zobaczył lecaącą i ocierającą się o nich stalową paszczę. Usłyszał, jak uderza o blaszany dach pod nimi, z boku lukarny i jeszcze niżej. Spojrzał i zobaczył, że brakuje im przynajmniej dwudziestu metrów.

Stigle zdołał usiąść. Położył stopę na sznurze przy samym bolcu i mocno docisnął. Sznur zwolnił. Następnie wbił ostre zęby drugiej szczęki w konopne włókna, które zaczęły się strzępić i latać w powietrzu jak śmigła.

Gdy Germinal spostrzegł, że ich prędkość się zmniejsza, podniósł oczy do góry, ku wykuszowi. W ściskających sznur rękach poczuł narastające drżenie, a potem usłyszał suchy trzask, bez echa. Przez długą, niekończącą się chwilę zdawało mu się, że zawisł nieruchomo w powietrzu, ale wtem podtrzymujący ich sznur stał się luźny i zaczął na nich opadać miękkimi spiralami.

Przywiązana do niego dziewczyna krzyknęła.

I on krzyknął.

Potem, po zapierającym dech locie, poczuł uderzenie kręgosłupa o blachę, która otwierała się pod ich ciężarem jak żarłoczne i kąśliwe usta, krzyczące metalowym głosem.

Germinal zamknął oczy, oczekując upadku na ziemię, który ich zabije.

Góra zsypanego i gotowego na przesypanie do worków cukru eksplodowała białą chmurą, kiedy Germinal i Matha Boamorte spadli w jej środek.

Pierwszą rzeczą, którą po otwarciu oczu zobaczył ocalały Germinal, była lufa strzelby.

- Wstawaj wieprzu! - powiedział pijany Rinaud, zataczając się na krótkich nogach.

Germinal spojrzał na Marthę. Także dziewczyna żyła. I wyglądała jak anioł. Miała prawie całkiem białe włosy. Kryształki cukru, które przykleiły się do smoły, połyskiwały w świetle wczesnego poranka, wpadającego przez okna magazynu.

- Wstawaj, wieprzu! - krzyknął znowu Rinaud.

Germinal dotknął ręką sznurów i rozwiązał supły, którymi był przywiązany do dziewczyny. Potem pomógł jej się podnieść.

- Teraz mamy dwóch zakładników! - rzekł ze śmiechem Rinaud, zwracając się do robotników.

Robotnicy zaczęli rechotać i gwizdać.

Germinal patrzył na nich w milczeniu, trzymając mocno dziewczynę w ramionach.

Z dachu rozległ się głuchy łoskot blachy i ostatnia żelazna szczeka Stigle'a wylądowała w cukrze, u stóp Germinala. Wszyscy podnieśli wzrok ku niebu, ku dwóm kominom, ujętym w ramki blaszanej dziury.

Stigle, ledwie trzymając się resztek wykusza, rozłożył ramiona i coś do nich krzyknął.

- Co on powiedział? - spytał jeden z robotników. Ale nikt nie zrozumiał.

Stigle patrzył na nich z wysokiej wieży, skąd miał celebrować swój triumf. Widział ich, takimi jacy są: ot, małe, nic nieznaczące istoty ludzkie, których życie nie jest warte nawet tyle, co tysięczna część boga. Ale w nich - teraz, gdy bóg go opuścił i pozwolił, by także ostatnia część jego planu szczyła, spełzała na niczym - w nich właśnie Stigle widział odbicie własnego nic nieznaczącego bytu. Bóg zmienił świątynię. Wszedł do ciała Germinala. Wyczytał to w jego oczach. I uczynił go nieśmiertelnym, tak jak wcześniej jego. I dał tamtemu siłę, by zabrać mu Ostatnią, a wraz z nią jego ostateczną zemstę.

Ponieważ bóg zmienił plan.

Ponieważ bóg się go wyrzekł.

Ponieważ bóg swym tysiącem głosów krzyczał mu w głowie: „Bękart! Bękart!”.

I wtedy, przytykając ręce do uszu, Stigle pojął to, o czym zawsze wiedział. Że nie kocha tego okrutnego boga, który znieczulił mu serce. Który osuszył jego oczy. Który zabrał mu dłonie i życie. Który uczynił go niewolnikiem swych najnikczemniejszych pragnień, najplugawszych instynktów.

Pojął, że nienawidzi tego boga, który zasklepił się w jego ciele, umyśle i duszy jak rak.

To właśnie krzyczał Stigle do tych małych, nic nieznaczących istot ludzkich, które patrzyły na niego z otwartymi ustami, stojąc u stóp cukrowej góry.

Krzyczał do nich, że nienawidzi swego szaleństwa.

Przetrząsnął kieszenie. Poczul na dłoni jej zimno. Wyciągnął powoli rękę, bojąc się, że bóg mógłby spróbować ostatniej sztuczki, ostatniego złudzenia. Podziwiał przez chwilę jej lśniący blask. Nie, bóg nie wygra. Pokona go tą samą bronią, na tym samym terenie i doprowadzi do końca swój plan, który teraz obracał się przeciw niemu.

- Spójrzcie! Co on robi? - krzyknął zaniepokojony robotnik, wskazując palcem na otwór w dachu.

Niebo nagle pociemniało. I na tle tej nienaturalnej ciemności zobaczyli błysk płomienia, na szczycie wież.

- Zniszczyłem detonatory... - powiedział po cichu Germinal, wpatrując się w wykusz. - Nie może...

- Zapala krótki lont! - krzyknął Rinaud.

- Wszystkich nas zabije! Uciekać! Uciekać! Szybko!

Robotnicy rzucili się do wyjścia. Germinal zobaczył, jak Stigle przechodzi przez żelazny mostek, łączący oba wykusze przy kominach. Potem z boku jednej z wież wybuchnął płomień onia, dymu i kruszejących, spadających na dół cegieł.

Germinal chwycił Marthę Boamorte za rękę i wypchnął z magazynu.

- Niech panienka ucieka! - krzyknął do niej; blaszany dach trzeszczał groźnie pod ostrzałem deszczu odłamków.

Stigle uchwycił się barierki wykusza. Podmuch powietrza cisnął go na cegły drugiego komina. Podniósł się. Spojrzał w dół, na rojących się robotników, zdumionych i dezorientowanych.

Nie krzyczeli.

Nikt nie krzyczał.

Poczuł ciepłą strużkę spływającą po szyi. Przejrzał się w błyszczącej powierzchni zapalniczki do cygar, którą ścisnął w rękę, i zobaczył, że z uszu leci mu krew. Wsłuchał się w ten nowy świat, który nagle ucichł. Uśmiechnął się i dotknął ręką bębenków ogłuszonych przez wybuch.

Także tysiąc głosów boga zamilkło.

Wygrał. Pomyślał, że to on wygrał i, zapalając lont drugiego ładunku wybuchowego, odwrócił się, by spojrzeć na miasto, na horyzoncie swego ostatniego świtu.

Mur drugiej wieży runął, wymiotując pokruszonymi cegłami. Dymiący i rozżarzony niczym wulkan. Pierwszy komin powoli się chwiał. W przód i w tył. Potem osunął się na bliźniaczą wieżę i oba kominy, jak spłaszczone rulony, runęły jednocześnie na fabrykę.

Przerażeni robotnicy krzyczeli i tłoczyli się, by się dostać do wyjścia. Rinaud, ze strzelbą w rękę, zadawał ciosy każdemu, kto chciał wejść mu w drogę. Germinal zobaczył, że wychodzi pierwszy.

Seria strzałów zatrzymała robotników. Przez okno Germinal widział Rinauda, który zaczął biec niezdarnie, wymachując w powietrzu rękoma i uginając nogi. Potem robotnik osunął się na ziemię, martwy.

- Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyczeli robotnicy, ale nie decydowali się na wyjście, choć z tyłu naciskali na nich inni, którzy nadbiegali, patrząc na dach bombardowany po wybuchu kawałkami gruzu.

- Nie strzelać! - krzyknął Germinal, przeciskając się przez tłum i pokazując się policjantom. - Nie strzelać!

- Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyknął Landau. - Wstrzymać ogień!

Wtedy robotnicy, zaatakowani przez deszcz odłamków, dusząc się w gęstej i czarnej chmurze pyłu, wyszli z fabryki, która była całym ich życiem, przewracając się i tratując nawzajem, z przerażeniem na twarzach, przy akompaniamencie huku zapadających się wież.

Germinal podtrzymywał Marthę Boamorte i przepychał się wśród ludzi, by wyprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Oczy zaczęły zachodzić mu mgłą. Ból rozrywał ciało. Krew zalewała twarz i tamowała oddech.

- Proszę iść dalej... - powiedział do dziewczyny, puszczając ją. Wyczerpany.

Dziewczyna z cukrowymi włosami zatrzymała się, nie wiedząc, co robić.

- Zmykaj! - krzyknął Germinal i ugięły się pod nim kolana.

Dziewczyna znów zaczęła biec i znikła w tłumie.

Germinal został tam, gdzie stał, chwiejąc się i nie mogąc złapać tchu. Sam. W czarnej mgle popiołu. Z rozłożonymi rękoma. Pałacy wir po upadku kominów targał mu włosy i szarpał ciało. Ubrania powiewały na wietrze jak porwane chorągwie.

Potem zapadła ciemność. Ostatnia fala pyłu opadła na świat z ogłuszającym hukiem.

I w tych ciemnościach o gorzkim zapachu zaprawy i słodkim zapachu cukru, przesyconym udreńczonymi ciałami i stopionym żelazem, zapachu, który cuchnął nienawiścią i strachem, tam właśnie, w ciemnościach, poczuł, że mu się udało. Że odniósł zwycięstwo.

Nad heroiną, nad krwiożerczym bogiem, nad demonami przeszłości.

Nad sobą samym.

I gdy padał na ziemię, w rzednącej mgle popiołu, między policjantami zobaczył właśnie ją. Zobaczył Ignés.

SZESNAŚCIE SZCZEBLI

PIERWSZY SZCZEBEL

13 grudnia 1854

Starszy mężczyzna jechał galopem w kierunku domu, okładając batem do krwi swego ukochanego konia i dźgając go w boki ostrogami.

- Rodzi się! - krzyknął przed chwilą z pola służący do myśliwego. - Już się rodzi!

Starszy mężczyzna czekał na syna przez całe życie. Ożenił się w wieku trzydziestu lat, a ze względu na swą pozycję i ogromny majątek mógł wybrać perłę śmietanki towarzyskiej. Ale ta perła po piętnastu latach bezskutecznych prób wydania na świat dziedzica przedwcześnie odeszła na zapalenie płuc. Wdowiec ożenił się ponownie rok później, nie szukając już jednak wśród klejnotów wyższych sfer, ale wśród najlepszych rodziolek synów, sądząc przynajmniej po drzewie genealogicznym. Wybrał młodą, głupią i ograniczoną córkę bogatego handlarza zbożem; za to miała szerokie biodra i była siódmym z dziesięciorga dzieci oraz wnuczką kobiety, która wydała na świat aż dwanaścioro potomków. Po kolejnych dziesięciu latach cierpliwych prób rozwiódł się ze swą rozplodową połowicą. Posiadanie syna, dziedzica, stało się jego bolesną obsesją podczas owych długich dwudziestu pięciu lat, które zaowocowały przedwczesnym starzeniem się twarzy, włosów oraz członków ciała. Ktoś inny już by się poddał, uznał swą porażkę i zgorzkniał, a na pewno wywiesił białą flagę. Ale pragnienie mężczyzny podsyciła

obsesja, a brak sił fizycznych rekompensowała wytrzymałość psychiczna. Odrzuciwszy z góry przypuszczenie, że to on, a nie jego żony, może być bezpłodny, w trzecim etapie swego życia oddał się swobodnym, przypadkowym kontaktom, w nadziei, że może któreś z nieprawych łóż przyniesie mu chociaż bękarta, zgodnie ze statystycznym współczynnikiem prawdopodobieństwa, wynikającym z dużej liczby okazji. Kobieta, która pierwsza udała, że jest w ciąży, została trzecią żoną mężczyzny pragnącego za wszelką cenę mieć syna. W tym czasie był już sześćdziesięcioletnim starcem. Nowa żona przeczekała tydzień małżeństwa, a następnie pewnego poranka odegrała scenę złego samopoczucia i mistrzowsko wydała na świat podroby kurczaka, które ukradła z kuchni poprzedniego dnia. Mężczyzna nigdy nie odkrył oszustwa. Wprost przeciwnie, tak widowiskowe poronienie utwierdziło go tylko w wyborze. Ta kobieta uczyniła więcej niż wszystkie poprzedniczki - dała mu krwawą grudkę nadziei. Starzec kazał więc lekarzom przepisywać sobie mikstury, które miały podsycać jego popęd seksualny, i przez dwa lata z obsesyjną regularnością wypełniał swe małżeńskie obowiązki. Kiedy wreszcie wszyscy - poza nim samym - stracili nadzieję, a już na pewno jego żona, kiedy najbliżsi krewni z całą powagą zaczęli analizować, z której linii należy wyłonić przyszłego dziedzica, po trzydziestu dwóch latach prób, pewnego dnia kobieta zaczęła wymiotować. I nie dostała miesiączki. Natychmiast zwołano najwybitniejszych lekarzy, którzy poinformowani o pierwszym poronieniu ukarali, nawet o tym nie wiedząc, kobietę za oszustwo, nakazując jej leżeć w łóżku, zabraniając jakiegokolwiek ruchu przez cały okres ciąży oraz faszerując ją smakołykami i cudownymi lekarstwami. Przez siedem miesięcy.

- Już się rodzi - myślał starzec, galopując na koniu do domu. Teraz. Prawie dwa miesiące za wcześnie - powtarzał w ataku paniki.

Jego jedyne dziecko, tak długo oczekiwane, w końcu się urodzi. Ale o dwa miesiące za wcześnie.

Starzec zsiadł z konia przed wielkimi drzwiami, wszedł do domu, wnosząc ze sobą resztki błota z polowania oraz krew zabitych w locie bażantów, i wbiegł - o ile pozwalały mu na to jego starcze nogi - na pierwsze piętro. Prawie dopadł już drzwi do sypialni żony, kiedy usłyszał wrzask. Ale to nie był krzyk rodzącej. To był wrzask przerażenia.

Otworzył drzwi. Dwie służące, stojące tyłem, właśnie czyniły znak krzyża. Lekarz miał rozdziawione usta. Położna powiedziała:

- To nie jest człowiek.

Zona leżąca w kałuży krwi nie miała nawet sił, by zalać się łzami. Tylko noworodek płakał, leżąc sam na łóżku, w jeziorze krwi, która rozplywała się po pościeli. Miał siną, zdeformowaną główkę. I dwie niewykształcone rączki, dwa kikuty bez dłoni, którymi wymachiwał w powietrzu.

- To chłopiec - powiedział lekarz na widok mężczyzny. Ale nikt nie miał odwagi dotknąć niemowlęcia.

- Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi! - krzyknął stary hrabia Noverre.

DRUGI SZCZEBEL

15 grudnia 1854 -13 maja 1860

Malec dotknięty fokomelią, kiedy już jego ojciec pogodził się z niezaprzeczalnym faktem posiadania syna potwora (co zajęło mu zaledwie dwa dni), został odstawiony od piersi mamki, która zażądała podwójnego wynagrodzenia za pozwolenie, by te nieforemne wargi ssały z jej wypełnionej mlekiem piersi. Udało jej się uzyskać to, że okropne, niewykształcone ręce dziecka były bandażowane za każdym razem, gdy je karmiła, aby odrażające kikuty nie dotykały jej nabrzmiąłych białych piersi.

Gdy tylko dziecko-potwór przestało żywić się samym mlekiem, zostało oddalone z domu i umieszczone w kosztownym zakładzie zamkniętym, w którym ułomne dzieci z wyższych sfer wychowywały się z dala od rodziny.

Chłopiec dorastał, nie poznawszy rodziców, mimo że wiedział, o ich istnieniu. Zasypiał, marząc o dniu, w którym jego dłonie odrosną, i budził się, szukając rąk. Rósł, przyzwyczajając się do szorstkich uwag sanitariuszy, którzy wypominali mu jego ułomność za każdym razem, gdy musieli rozpiąć mu spodnie, zaprowadzić go do łazienki czy przykryć kołdrą. Zrozumiał, że jest skazany na bycie karmionym przez innych lub na jedzenie jak zwierzę, ustami prosto z talerza. Wyczuł od razu swą odmienność od istot ludzkich godnych tego miana. Jedynym sposobem, w jaki natura pozwalała mu osuszać łzy, było wycieranie twarzy o poduszkę. Zrozumiał od razu swą odmienność. Mógł też przekonać się o całym jej ciężarze. Odmienność ta odbierała mu wszelkie szanse na samodzielność. Najgorszą rzeczą była niemożność ukrycia się, niemożność ucieczki w jakieś odludne miejsce z nadzieją na życie z dala od ludzkich oczu. Ułomność chłopca uzależniała go bowiem od ludzi. Od ludzi, którzy mają ręce.

Jednocześnie, żyjąc w małym odizolowanym świecie, mógł obserwować u innych

odmienności równie żałosne jak jego własna. Populację mieszkańców zakładu - z wyjątkiem dyrektorki, wicedyrektorki, komitetu dam miłosierdzia, dziesiątki salowych i opiekunek, dwóch pielęgniarek, jednego lekarza, kucharki i jej trzech pomocnic - stanowiły w całości żywe anomalie natury. Dziecku, które miało być spadkobiercą starego hrabiego Noverre, brakowało większej części rąk. Miało również zdeformowaną twarz, na którą nie można było patrzeć bez odrazy. Niektóre dzieci nie miały nóg lub miały za dużo palców u jednej ręki. Innym brakowało rozumu, a ich życie było tylko powolnym gniciem i wpatrywaniem się w pustkę. Jeszcze inne miały wiele osobowości. Ich życie składało się z urywków i było podzielone między liczne głosy, które krzyczały w ich głowach. Niektóre nie miały oczu, uszu lub innych narządów. Jedne nie mówiły, a inne potrafiły tylko krzyczeć. Jeszcze inne miały za duży kręgosłup, zbyt duże skronie, zbyt wiele kości lub kości zbyt różniące się od tych, jakie należały do ludzkich istot. W ten sposób malec, przyzwyczajony do odrażającej szpetoty innych, która tu, w zakładzie, stanowiła normę, powoli przyzwyczał się do własnej szpetoty, którą każdy potwór musi znosić jako najstraszliwszą karę za własną potworność. A w populacji wyrzutków społecznych widział swój naród, swoją rodzinę, gdyż w ich nieszczęsnej równości nie było różnic nie do zaakceptowania. Jednakże elementu łączącego te dzieci nie stanowiło, przynajmniej na początku, poczucie solidarności, lecz instynkt popychający podobne do siebie zwierzęta do zbijania się w jedno stado. Była to wzajemna akceptacja, ale jeszcze nie wybór, którego po latach dokona dziecko bez rąk.

Mały miał zaskakująco bystry umysł i był nad wiek rozwinięty. Ale to instynkt, a nie świadomy wybór podpowiedział mu, by nie ujawniać tym, którzy mają ręce, swego daru, swoistego piękna, uwięzionego w odrażającej skorupie. W ten oto sposób jego głęboko skrywana inteligencja rozwijała się niezależnie od ograniczeń narzucanych przez stereotypy. Z łatwością nauczył się reguł egzekwowanych przez wychowawców z zakładu. Zrozumiawszy od razu to, czego od niego wymagano, posłusznie się do tego dostosowywał. Nauczył się powstrzymywać potrzeby fizjologiczne aż do granic wytrzymałości, bo zdał sobie sprawę, że im lepiej będzie w stanie kontrolować własne ciało, tym bardziej osłabi swą ułomność związaną z brakiem rąk. Oddawał mocz wtedy, gdy przypominał sobie o tym salowy. Sam nigdy pierwszy nie prosił o pomoc. Gdy nikt go nie widział, na podwórzu pił wodę z kałuży po to, by nie być zależnym od ręki, która trzymała szklanekę z wodą. Gdy upadał, nie leżał na ziemi, machając kikutami niczym robak pozbawiony odnóży, lecz zanurzał głowę w błocie i niczym zraniony żołnierz, z trudem

podnosił się sam. Gdy odczuwał chłód, nie prosił o kurtkę, której nie byłby w stanie włożyć bez pomocy innych, a latem stał nieruchomo w cieniu. Wolał raczej pocić się niż poprosić salowego, by zdjął mu kurtkę. Jako że psychika chłopca była delikatna i wrażliwa, siła, którą pielęgnował w sobie, nigdy nie przeobraziła się w złość i frustrację. Był tylko małym chłopcem, który nie rzucał się w oczy. Potwór zrozumiał, że będzie wydawać się mniej potworny, jeśli nie będzie wciąż obecny, przypominając swymi prośbami o własnej szpetocie. Siła, którą dziecko pielęgnowało w swym wnętrzu, nie służyła mu do walki, lecz do ukrywania się.

Już w wieku pięciu lat chłopiec pojął różnicę między obłąkanymi i ułomnymi; ocenił zdolności intelektualne ułomnych, zdając sobie sprawę, że jest to kategoria, do której sam należy. Już w wieku pięciu lat zupełnie sam doszedł do wniosku, że jest najmądrzejszy z „populacji wyrzutków”, jak ich nazwał. Nie były to racjonalne, w ścisłym tego słowa znaczeniu, spostrzeżenia, gdyż dziecko było tylko dzieckiem, niemniej jednak zrodziły się w dobrze rozwiniętym umyśle.

W tym czasie populacja chorych dzieci z dobrych domów zaczęła się niebezpiecznie kurczyć, doprowadzając do kryzysowej sytuacji zakładu. Z ciężkim sercem dyrektorka zmuszona była porozumieć się z władzami i pozwolić na umieszczanie w instytucie również chorych dzieci z niższych klas społecznych. Tyle że opłata za mieszkanie i utrzymanie, jaką władze uiszczaly za każdego nowego potwora z uboższej warstwy, była o wiele niższa od opłaty, którą płaciły zamożne rodziny za swych nieudanych potomków. Dlatego też dyrektorka zdecydowała o wprowadzeniu dwóch różnych porządków w obrębie tego samego królestwa. Duża sala jadalni została podzielona na dwie równe części. W pierwszej podawano befsztyki i kielbaski, a w drugiej rzepę i ziemniaki. Potwory z zamożnych rodzin rozdzielano na noc według zgodności charakterów. W jednym pokoju nocowało nie więcej niż dziesięcioro dzieci; miały one wełniane koce i piec, który pozostawał włączony przez większą część wieczoru. Natomiast potwory z biednych rodzin spały po trzydzieścioro i więcej w takich samych pomieszczeniach, a na zgodność charakterów nikt nie zwracał uwagi. Nie było też pieca, a dzieci nakrywano cienkimi kocami. Garderoba tych pierwszych, mimo że skromna, składała się z dwóch mundurków, zimowego i letniego, wełnianego i płóciennego. Nowo przybyli mieli tylko kombinezony z surowego płótna, do którego zimą dodawano kurtkę z tego samego materiału. Zimą dzieci z pierwszej grupy nosiły skarpety i wysokie buty, zaś te z drugiej miały tylko drewniane chodaki, a jeśli rodzice nie zaopatrzyli ich w skarpety, były narażone na odmrożenia.

Ta mała rewolucja uświadomiła dziecku, że również wśród populacji wyrzutków może istnieć hierarchia społeczna i że niektóre potworności są gorsze od pozostałych. Jak również to, że oprócz deformacji ciała lub umysłu istnieje inna haniebną wadą, jaką jest bieda.

Jego sprawny umysł dostrzegł w tych różnicach możliwość wyzwolenia się od salowych. W grupie nowo przybyłych od razu zauważył dzieciaka, który mógł być w jego wieku, doskonale rozwiniętego fizycznie, lecz o charakterystycznym dla obłąkanych pustym spojrzeniu. Jego oczy były jednocześnie zamglone i łagodne. Pewnego dnia, podczas obiadu, chłopiec wziął do ust duży befsztyk, który miał na talerzu i którego nikt mu nie pokroił, by mógł go zjeść. Udało mu się wrzucić mięso do kieszeni kurtki. W ogrodzie podszedł do obłąkanego.

- W tej kieszeni - powiedział - mam duży befsztyk. Jeśli pomożesz mi go zjeść, połowa będzie twoja.

Obłąkany patrzył na niego pustym wzrokiem.

- Wyjmij befsztyk z mojej kieszeni - powtórzył chłopiec - i pomóż mi.

Obłąkany wsunął rękę do kieszeni chłopca i wyjął z niej zimny już befsztyk. Gdy tylko go zobaczył, włożył go sobie w całości do ust i połknął w dwóch kęsach.

Chłopiec odszedł bez słowa, lecz następnego dnia wrócił do obłąkanego z kolejnym befsztykiem w kieszeni.

- Wczoraj zjadłeś sam cały befsztyk - rzekł, patrząc obłąkanemu prosto w oczy. - Jeśli zrobisz to jeszcze raz, już nigdy nie przyniosę ci befsztyka i umrzesz z głodu. Musisz zawsze być mi posłuszny, a ja będę dla ciebie dobry. Weź befsztyk i podziel go na dwie części.

Obłąkany wykonał polecenie i stanął z dwoma kawałkami mięsa w dłoni.

- Teraz zjedz swoją część - rozkazał chłopiec, a obłąkany włożył do ust jeden kawałek mięsa.

- Teraz podziel moją część na małe kawałki i nakarm mnie. Obłąkany śmiał się zadowolony, gdy podawał chłopcu jedzenie.

Śmiał się też i chłopiec, który nie musiał już prosić salowych o pomoc. Kiedy skończył jeść, kazał obłąkanemu przynieść sobie wodę, a potem nauczył go rozpinać mu spodnie i pomagać przy oddawaniu moczu. W zamian za to chłopiec nadał obłąkanemu imię, bo wcześniej nikt tego nie uczynił. Odtąd nazywał się Zóla.

Po kilku miesiącach salowi poinformowali dyrektorkę o coraz silniejszej zażyłości między malcami. Pewnego dnia, uważnie przyjrząwszy się im na podwórzu, dyrektorka podeszła

do chłopca i powiedziała:

- Zdaje się, że znalazłeś ręce, których ci brakowało. Od dziś będziesz odpowiedzialny za swojego niewolnika, tak jakby był częścią twojego ciała.

Gdy to mówiła, obłąkane dziecko słuchało jej z głupim uśmiechem na twarzy. Dyrektorka pozwoliła spać obu w tym samym pokoju, choć obłąkany musiał zadowolić się siennikiem u stóp łóżka drugiego chłopca. Wyżywienia obłąkanego nie dostosowano do wyżywienia chłopca, a jego ubrania nie stały się cieplejsze. Lecz Zóla, bo tak już go odtąd zwano, zawsze się śmiał, gdy był w towarzystwie chłopca. Jadł połowę jego mięsa i nie irytowało go rozpinanie mu spodni ani mycie go, bo nie miał nic lepszego do roboty. A teraz, gdy znalazł rozum, którego mu brakowało, jego życie - choć nie zdawał sobie z tego do końca sprawy - nabrało sensu.

TRZECI SZCZEBEL

18 października 1861 - 25 stycznia 1862

Chłopiec nie mógł pamiętać ojca, którego widział tylko w dniu swoich urodzin i nigdy więcej. Ale wśród rzeczy, które pozwolono mu trzymać w pokoiku, był mały portret rodzica z czasów młodości. I tę twarz chore na fokomelię dziecko utożsamiało ze swym tatą.

Kiedy hrabia Noverre po raz pierwszy pokazał się w instytucie, syn nie rozpoznał w tym chudym i kościstym starcu swego ojca. Chłopiec miał prawie siedem lat. Ojciec pojawił się niespodziewanie i zabrał syna do swego powozu, nie dotknąwszy go ani razu; starał się też na niego nie patrzeć. Machinalnie głaskał swego starego psa. Chłopiec nie wyglądał przez okno. Świat go nie interesował. I nie patrzył na ojca, ponieważ nauczył się już, że jego spojrzenia krępują innych. Siedział naprzeciwko tak bliskiego mu nieznanemu i wpatrywał się w swoje stopy, które nie sięgały podłogi powozu i podskakiwały od szybkiej jazdy.

Kiedy zatrzymali się na rozległej polanie na końcu gęstego dębowego lasu, ojciec powiedział mu:

- Nigdy nie będę mógł cię nauczyć całowania w rękę, rozumiesz? Chłopiec milczał, ponieważ wiedział, że tego właśnie oczekują od niego inni.

- Ale my, ród Noverre, zawsze byliśmy wielkimi myśliwymi - kontynuował swój wywód nieznanemu ojciec. - I chcę, abyś przynajmniej raz w życiu stał się myśliwym. Jednym z naszego rodu.

Następnie pod lasem pojawili się czterej mężczyźni. Trzymali za szyję i skrępowane przednie nogi wielkiego jelenia z królewskim porożem.

Ojciec dał znak swemu potwornemu synowi, by z nim poszedł. Za nimi służący z workiem. Kiedy byli już o kilka kroków od jelenia, czterej mężczyźni uklękli przed hrabią, rzucili szybkie spojrzenie na ułomne dziecko i pozostali bez ruchu, gdy uwięzione zwierzę szarpało się, obficie tocząc pianę.

Służący podał hrabiemu strzelbę. Starzec ustawił syna w odpowiedniej pozycji; skórzanym paskiem przywiązał lufę broni do kikuta lewego przedramienia, a do prawego przymocował kolbę i przywiązał do spustu sznurek. Chłopiec drżał podekscytowany fizycznym kontaktem z rodzicem. Wtedy stary hrabia wskazał na kurek strzelby.

- Musisz przynajmniej sam załadować broń, jeśli nazywasz się Noverre - powiedział do niego.

Chłopiec otworzył usta, chwycił krzywymi zębami zimny metal i odwiódł kurek strzelby, raniąc sobie dziąsła. W tym momencie stary hrabia włożył mu do ust sznurek przywiązany do spustu.

- Teraz - powiedział - wyceluj w serce jelenia i naciśnij spust, ciągnąc za sznurek, który masz w ustach. Zabij go jak prawdziwy myśliwy. Jak Noverre.

Chłopiec nie widział zwierzęcia. Miał oczy pełne łez, bo czuł dotyk mężczyzny, który go spłodził i który mówił do niego jak do jednego ze swoich. Pociągnął za sznurek. Odrzut powalił go na ziemię i złamał mu żebro. Nabój rozgrzał lufę strzelby, która oparzyła go w kikut i ugodziła zwierzę w bok, nie uśmierciwszy.

Wtedy ojciec oswobodził chłopca, wziął długi nóż z ząbkowanym ostrzem, przywiązał go jak bagnet do kikuta prawego przedramienia i rozkazał:

- Dobij go, synu!

I postawiwszy na ziemi swego potwornego dziedzica, chwycił go w ramiona, przycisnął do siebie i skoczył ku charczącemu, dogorywającemu na ziemi jeleniowi, nadal związanemu sznurem.

- Tu. W serce. Wbijaj - zachęcał, trzymając go w powietrzu, jak ojciec swe ukochane dziecko, i popychał jego zaostroszony kikut w kierunku twardego ciała zwierzęcia.

Jeleń zamykał oczy na zawsze, a chłopiec płakał z radości, ponieważ ojciec mówił:

- Doskonale, synku, doskonale, mój nieszczęsny synu, doskonale, teraz wiem, że jesteś jednym z rodu Noverre.

I zanim postawił go na ziemi, zanim uwolnił z więzów makabryczne przedramię,

pocałował go w zdeformowaną głowę. A chłopiec płakał, ponieważ przez całe życie nikt go nie pocałował.

W powozie, w drodze powrotnej do instytutu, ojciec nie spojrzał więcej na syna i znów zajął się psem. Chłopiec wpatrywał się w głowę jelenia, która zwisała martwo z dachu powozu. Lekko otwarty pysk, odsłonięte zęby, zamglone oko, rogi wybijające rytm o szybę. Niewielka strużka krwi, kapiąca z pyska.

- Zabił go mój syn - powiedział hrabia dyrektorze instytutu, pokazując jelenia, który został zdjęty z powozu i zanieiony do kuchni. - Chcę, żeby spróbował mięsa swej ofiary, chcę, żeby wiedział, co przeżywają członkowie rodu Noverre. Niech go nie jedzą wasi pracownicy ani inne dzieci. To mięso jest tylko jego.

Potem odwrócił się, wsiadł do powozu i odjechał, nawet nie spojrzawszy na potwora, którego spłodził - i którego po raz drugi stworzył tego popołudnia na polowaniu - ponieważ, choć był nieustraszonym i okrutnym myśliwym, nie mógł znieść widoku tej odrażającej szpetoty.

Tego wieczoru mały Noverre zjadł mięso jelenia, dzieląc się nim z Zolą pomimo ojcowskiego zakazu. Jadł je też dnia następnego i przez cały tydzień, dopóki nie zagnieździły się w nim robaki i nie wyrzucono go na ulicę bezpańskim psom. Głowa zwierzęcia z okazałym porożem została wypchana na koszt hrabiego i zawieszona na ścianie jadalni.

Nikt nie zauważył, że chłopiec ma złamane żebro ani też on sam nie chciał o tym nikomu powiedzieć, ponieważ ten ból był jego radością. Radością, która nierozzerwalnie łączyła się z pierwszym i jedynym objęciem innych ramion. Objęciem ojcowskich ramion.

Aż któregoś dnia zaczął pluć krwią.

I po raz pierwszy zobaczył studenta ostatniego roku chirurgii, który odbywał praktyki w instytucie jako lekarz. Młody mężczyzna miał na imię Gabriel Sciron. Doktor Gabriel Sciron.

Doktor Sciron, obwiązując żebra ochronnym bandażem, nie odrywał wzroku od kikutów dziecka.

Pewnego dnia mógłbym sprawić, że odrosną mu ręce, pomyślał.

Trzy miesiące później dyrektorka zawiadomiła chłopca, że hrabia Noverre zmarł.

Doktor Sciron zaproponował, że odwiezie dziecko na pogrzeb, aby w imieniu instytutu przekazać wdowie kondolencje.

CZWARTY SZCZEBEL

27-29 stycznia 1862

- Nie może jeść przy stole razem z gośćmi - powiedziała matka, gdy tylko zobaczyła chłopca. Swojego syna. Potwora, którego nie widziała wcześniej, od chwili narodzin. - Nie może jeść z nami - powtórzyła, umykając wzrokiem, zanim on, nie daj Boże, zechce się z nią przywitać. Śliniąc się. Bełkocząc. Wpadając na nią, próbując ją objąć. Ale czym objąć? - pomyślała ze wstrętem matka, wdowa po starym hrabim Noverre.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem doktor Sciron, chirurg - powiedział młody mężczyzna, który przywiózł chłopca. - Jeśli może pani kazać nakryć w kuchni dla dwóch osób, przy stole dla służby, ja się tym zajmę... by nie miała pani kłopotu.

Wdowa spojrzała na niego dopiero teraz i - na chwilę - zobaczyła w jego pięknej, wyrazistej i pociągłej twarzy to, co zawsze chciała znaleźć w mężu i synu. I poczuła lekki zawrót głowy; jeden miedziany kosmyk wysunął się ze skomplikowanego upięcia nad białym czołem, lekko poprzecinanym przez zmysłowe zmarszczki czterdziestoletniej kobiety. Oceniała szybko, z typowym dla wielu kobiet wyczuciem, że różnica wieku, jaka dzieli ją i lekarza, wynosi około piętnastu lat. I w mgnieniu oka o tym zapomniała.

Nigdy jej się coś takiego nie przydarzyło. Nagle poczuła ulgę, że jej stary mąż zmarł. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo się bała przez te wszystkie lata, że zostanie wypędzona przez hrabiego, który co dzień wypominał jej, że wydała na świat potwora. I dopiero w tym momencie - dzięki temu intymnemu, fizycznemu wrażeniu - zdała sobie sprawę, że odtąd już nikt nigdy nie będzie jej mógł odrzucić. Teraz wszystko należało do niej. I mogła z tym zrobić, co tylko chciała.

- Nie ma powodu, żeby lekarz jadał razem ze służącymi - rzekła. - Jakie polecenia mam wydać w kuchni? Jego... trzeba karmić?

- Wystarczy, że pokroją jedzenie na małe kawałeczki i zostawią je na talerzu - odparł lekarz. - Wtedy będzie mógł zjeść sam.

- Jak... pies - powiedziała matka, nie patrząc na syna. Potem uśmiechnęła się. - Na pewno jest pan zmęczony po podróży i chciałby się pan odświeżyć przed kolacją. Pokojówka pokaże panu pokój. I poda wszystko, czego pan potrzebuje.

Młody doktor został zaprowadzony do dużego, słonecznego pokoju, obitego jasnym jedwabiem. Służąca biegła schodami w górę i w dół, napełniając wannę, w której rozpuściła bursztynowe sole.

- Twoja pani powiedziała, że zostaniesz, by umyć mi plecy - rzekł młody doktor, kiedy

pulchna pokojówka wlała ostatnie wiadro gorącej wody.

Dziewczyna zaśmiała się, zarumieniła i wyszła, z pochyloną nisko głową.

Kiedy Sciron wyszedł z wanny i wytarł się, znalazł na łóżku eleganckie ciemne ubranie, świeżo uprasowane i pachnące. A także koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem i drogą krawatką z błyszczącego jedwabiu. U stóp łóżka odkrył, wraz ze zwiniętymi w środku skarpetkami z miękkiej, cienkiej wełny, parę czarnych, błyszczących i wygodnych butów, z lekko startymi zelówkami. Ubrał się, a elegancki strój leżał na nim, jak uszyty na miarę. Gabriel Sciron przejrzał się zadowolony w lustrze i pomyślał, że chciałby posiadać wiele ubrań i butów takich jak te. Równie wspaniale byłoby spać każdej nocy w tak pięknym pokoju. I kąpać się codziennie, wydając jedynie polecenia pulchnej pokojówce. Ale nie mógłby zapewnić sobie z pensji w instytucie tego wszystkiego, czego nagle zapragnął. Sciron ujrzał w lustrze, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Zobaczył twarde, cyniczne spojrzenie. Pełne pogardy. Dla siebie samego, bo nigdy nie będzie miał tego, czego pragnie. Spojrzenie pełne nienawiści.

Potem, gdy zapukano do pokoju i zapowiedziano kolację, twarz doktora Scirona w jednej chwili znów rozbłysła uśmiechem. Jakby fala złości, która wyostrzyła mu rysy i boleśnie ścięła wnętrzności, nie pozostawiła żadnego śladu na jego pięknej, szczupłej twarzy, która ponownie stała się wyrazista i pociągająca. A kiedy zobaczył, że przy stole wyznaczono mu miejsce po prawej stronie wdowy, jego uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny.

- Niech... panicz usiądzie tutaj - powiedział majordomus do chłopca, wskazując mu miejsce przy dużym stole w kuchni.

Chłopiec usiadł, nie dziękując ani nie patrząc na nieznanego w ubraniu z pętlcami i wbił wzrok w stojący przed nim talerz i srebrne sztućce. Także majordomus spojrzał na sztućce, niezdecydowany, czy je zostawić, czy zabrać. Potem pochylił się nad talerzem i pokroił na małe kawałki panierowany kotlet wieprzowy, który podano chłopcu.

- Teraz muszę iść do jadalni, paniczu - oznajmił, wypełniwszy swoje zadanie. - Ale jeśli panicz będzie czegoś potrzebował, trzeba poprosić jednego z nich. - I wskazał palcem innych służących, którzy już jedli po przeciwnej stronie stołu.

W tym samym momencie służący podnieśli wzrok i spojrzeli na chłopca. Pulchna pokojówka próbowała się do niego uśmiechnąć. Potem, jak wszyscy inni, spuściła wzrok na własny talerz.

Chłopiec zerknął na nich przelotnie. Zaczekał, aż majordomus wyjdzie z kuchni, a potem pochylił usta nad wieprzowiną i zaczął jeść. Zorientował się, że służący zamilkli, i wyobraził sobie, że niektórzy, a może i wszyscy, znów patrzą na niego. Ale nie podniósł oczu. Zjadł wszystko, co było na talerzu, a potem zastygł z pochyloną głową.

W kuchni nikt nie rozmawiał. Słysząc było tylko brzękanie łyżek, noży i widelców o talerze. Potem chłopiec podskoczył. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

- To czkawka paniczu, trzeba się napić - powiedziała pulchna pokojówka.

Dziecko podniosło oczy w kierunku głosu. Teraz wszyscy na niego patrzyli, a jego zdeformowane ciało wciąż podskakiwało od czkawki. Między nim a pozostałymi osobami stał kryształowy kieliszek wypełniony wodą. Nieosiągalny dla jego kikutow. I każdy ze służących uświadomił to sobie w tej samej chwili. Większość spuściła wzrok. Ci, którzy pili, odstawili szklanki. Ale nikt się nie poruszył. Tylko pulchna pokojówka wstała i podeszła do niego. Jedna ze służących uczyniła znak krzyża.

- Proszę pić, paniczu - zachęciła pulchna pokojówka, podstawiając kieliszek pod jego zniekształcone usta.

Dziecko wypilo cały kieliszek i zawstydzone nie umiało nawet powiedzieć dziękuję. Czkawka przeszła, pokojówka usiadła na swoim miejscu i powoli wszyscy zaczęli udawać, że zapomnieli o chłopcu. On zaś wstał bezgłośnie z krzesła i podszedł do drzwi prowadzących do reszty domu. Stał nieruchomo w mrocznym kącie i kiedy jeden ze służących, którzy podawali do stołu, wchodził po nowe danie, zerkał do środka. Nie chciał nikogo szpiegować, próbował tylko pobyć sam. Ale wesołe głosy z jadalni przyciągały go jak śpiew syren. Przemierzył korytarz, przeszedł przez hol i wśliznął się do ciemnej biblioteki, pełnej książek, z niebieskim sufitem, na którym błyszczały wszystkie gwiazdy firmamentu. Jedyne cztery świece oświetlały bladym płomieniem ciemną, pokrytą intarsjami trumnę z błyszczącymi, złożonymi uchwyty, Wyściełaną pomarańczowym aksamitem. Wewnątrz katafalku ujrzał znieruchomiałą, woskową twarz ojca. Widział ją po raz drugi w swym krótkim życiu. Poprzednim razem zaledwie trzy miesiące wcześniej. Kiedy zabił jelenia. Kiedy złamał żebro. Kiedy został przytulony i nazwany „synem”. Pierwszy i ostatni raz, kiedy ktoś go pocałował.

Chłopiec pochylił głowę nad twarzą zmarłego ojca. Przycisnął czoło do jego zimnych warg. Zamknął oczy i cmoknął, udając, że to ojciec ponownie go całuje.

Potem przez szparę w drzwiach zobaczył biesiadników, którzy przy stole świętowali

śmierć jego ojca. I patrząc na matkę - z martwym ojcem za plecami - pomyślał, że nigdy nie widział tak pięknej kobiety.

Zerknął na bogato zastawiony stół i wszystkich ubranych na czarno z okazji modlitewnego czuwania przy zmarłym. Patrzył, jak jedzą, śmieją się i rozmawiają. Jak gestykują. Obserwował ich w milczeniu, wydając tylko niemiły odgłos wciągania śliny, która bulgotała mu w gardle, gdy oddychał. I patrzył na swą piękną i nieznaną matkę, która uśmiechała się do doktora z instytutu i dotknęła jego ręki.

Podglądał ich, wiedząc, że bardzo się od nich wszystkich różni i że nigdy w swym życiu nie będzie mógł usiąść do stołu z tymi ludźmi. Chyba że znajdzie sposób, by ich do tego zmusić. Ale i tak, pomyślał chłopiec, nie odrosną mi przedramiona i dłonie. Aby móc gestykulować. Dotknąć ręką ręki matki, choćby przez jedną krótką chwilę.

I gdy to sobie uświadomił, przebiegł z powrotem swój, a jednak nie swój dom, od pulsujących życiem ust jadalni po trzewia kuchni, jakby po raz pierwszy był w stanie całkowicie siebie strawić. Uświadamiając sobie nie tylko ból swego nędznego losu, ale też mizerne zalety instytutu, w którym się wychował. Idąc do kuchni, poczuł swoisty żal i swoistą miłość w stosunku do zastępu wyrzutków społeczeństwa, do których niedługo miał wrócić.

I niemal z uśmiechem wśliznął się do pomieszczenia, gdzie kucharka stała tyłem do kuchni. Wszyscy milczeli. Jedni siedzieli, inni stali oparci o ścianę i słuchali, jak opowiada o jego narodzinach. I kończąc relacje, stara kobieta powiedziała:

- I wtedy hrabia krzyknął: „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi!”.

I tak oto chłopiec dowiedział się, że jego ojciec, ten zmarły, któremu przed chwilą wydarł pocałunek, nazwał go synem też innym razem. Poczuł, że serce puchnie mu ze wzruszenia. Zapłakał po cichu, wciąż w ukryciu. Płakał z radości, że miał ojca, i z bólu, że go utracił. Płakał, bo ojciec będzie nazywał go swym synem już tylko w jego własnych wspomnieniach.

- Co to jest pochwa? - spytał chory na fokomelię chłopiec w drodze powrotnej do instytutu, siedząc obok doktora Scirona.

- Dałbym ci w twarz, gdybym nie brzydził się jej dotknąć - odparł lodowato lekarz.

Chłopiec miał ochotę rzucić temu mężczyźnie wyzywające spojrzenie. Ale nie chciał dostrzec w oczach Scirona obrazu swej potworności. Pochylił więc głowę i nie odezwał się już

słowem.

Młody Sciron wrócił do rozmyślań, nie zauważając ani nie podejrzewając nawet, co dzieje się w sercu dumnego chłopca. Myślał znów o hrabinie Noverre, jej gościnności i atencji, którą go obdarzyła. Poczawszy od ciemnego, eleganckiego ubrania.

- Proszę się nie obrazić za to ubranie - powiedziała, gdy tylko usiadł obok niej przy stole.
- Pomyślałam po prostu, że zajmując się tym... dzieckiem, zapewne nie miał pan nawet czasu spakować bagaży. Jest pan tej samej postury, co mój mąż, gdy był młody.

Ubranie po mężu, myślał Sciron. Po młodym mężu. Ciekawe, czy służący rozpoznali to ubranie, zastanawiał się młody chirurg z instytutu, i gładził ręką małą skórzaną walizeczkę, podarowaną mu przez wdowę, mieszczącą starannie złożone ubranie, które miał na sobie w trakcie kolacji pierwszego wieczoru, ze wszystkimi gośćmi, oraz następnego dnia na pogrzebie i znów na kolacji; do niej zasiadł sam na sam z hrabiną.

Może powinienem obrazić się za te prezenty? - zastanawiał się chwilami, ale natychmiast mówił sobie, że nie, ponieważ myśl o pozbyciu się tak pięknego ubrania, jakiego nigdy nie miał, była nieznośna.

Oraz dlatego, że już pierwszego wieczoru pewien pomysł zaczął wykluwać się w jego głowie.

Przy stole hrabina natychmiast okazała mu serdeczność i zasypała go gradem pytań na temat jego profesji, przekazując współbiesiadnikom każdy szczegół, który ukazywał go w dobrym świetle. A młody chirurg w trakcie wieczoru pozbył się wszelkiego skrepowania i zaczął mówić głośno, tak by wszyscy go słyszeli. Szczególnie o swej profesji, ponieważ zauważył, że panie - choć formalnie poruszone - w istocie łaknęły naturalistycznych szczegółów, jakie odkrywa się, krojąc ciała. Z kolei mężczyźni ostentacyjnie okazywali chłodne, naukowe zainteresowanie, ale odczuwali te same emocje, co kobiety. Młody Sciron zauważył, że ludzie ci lubili opowieści pełne grozy, pod warunkiem że nie wkracza ona do ich domów. I opowiadając o nieprawdopodobnych operacjach, zrozumiał, że lekarz może zdobyć sławę i uznanie, zanim jeszcze weźmie do ręki skalpel. I tak, pod wpływem euforii obiecał, że w krótkim czasie nauka naprawi wypaczenia i dziwactwa stworzone przez naturę.

- Chciałbym, aby sztuka chirurgiczna stała się na tyle subtelna, by móc celebrować piękno - powiedział. - Jak uczyniłby to rzeźbiarz, modelując surową i niedoskonałą materię. Będziemy eksperymentować na anomaliach, by pewnego dnia przeistoczyć piękną twarz w jeszcze

piękniejszą - i spojrział na każdą z kobiet, siedzących przy stole. - I by kuszące ciało przeistoczyć w jeszcze bardziej kuszące. Będzie to chirurgia zorientowana na estetykę, która zapewni wieczną młodość - podsumował.

Może pod wpływem euforii wywołanej zaimprovizowanym wystąpieniem, niepopartym nauką, a może odurzony zapachem luksusu, chirurg Gabriel Sciron opuścił wzrok na kikuty chłopca.

Pewnego dnia mógłbym sprawić, że odrosną mu dłonie, pomyślał.

Tej nocy nakazał, by chłopcu nie podano kolacji i by spał bez koca na sienniku, który położono w zimnym pokoju. Pozbawił go również wsparcia Zoli, tak by nauczyć go, że istnieją słowa tak potworne jak on sam, słowa takie jak „pochwa”.

A może była to już zapowiedź tego, co chłopiec miał wycierpieć.

PIĄTY SZCZEBEL

20 sierpnia 1862

Poprzedniego wieczoru chłopiec zauważył, że dyrektorka i doktor Sciron przyglądają mu się uważnie i z pochylonymi głowami rozmawiają o czymś w jadalni. I zobaczył, jak dyrektorka wstaje od stołu i wychodzi, by wrócić po kilku minutach z torebką, kartką i piórem. Dyrektorka ponownie usiadła, odliczyła na dłoń doktora Scirona siedem dużych monet i trzy małe, a potem podsunęła mu kartkę i pióro do podpisu. Następnie podmuchała na atrament, by móc złożyć kartkę we czworo i przywołała skinieniem opiekunkę, której przydzielono chore na fokomelię dziecko. Powiedziała jej coś na ucho. Pracownica cały czas potakiwała głową i w końcu ona też zaczęła przyglądać się chłopcu w bezczelny, jawny sposób.

Tak więc, kiedy obudzono go o świcie szorstko i bez uprzedzenia, chłopiec nie był zdziwiony, że dzieje się to, na co zanosilo się już poprzedniego wieczoru, i pozwolił się ubrać, nie zadając ani jednego pytania. Wiele dzieci w sypialni obudziło się i patrzyło, również biernie w milczeniu.

W kuchni włożono chłopcu świeżo upraną marynareczkę, podwinęto rękawy i podpięto agrafką aż do miejsca, gdzie zaczynały się kikuty, dostał też do wypicia czarną, słodką kawę, tak gorącą, że parzyła mu język, ale nie zaplamił jasnej marynareczki, bo opiekunka trzymała mu pod brodą śliniak. Przez cały czas nie mówiono mu, co się dzieje, i dopiero kiedy uznano, że jest już gotów, pojawił się doktor Sciron, w nowym ubraniu, którego nigdy wcześniej nie wkładał, kupionym u taniego krawca. Służący, który stał za nim, trzymał mały, podniszczony kufer z

lekkiego drewna, wyposażony w dodatkowe zabezpieczenia na środku wieka. Młody lekarz udał się do wyjścia, gdzie czekała na niego dyrektorka, która oficjalnie uściskała dziecko i otworzyła mu drzwi. Sierpniowe słońce, jak zawsze zamglone w tych okolicach, zajrzało do holu, oświetlając chłopca - próbującego przysłonić zdeformowane oczy kikutami - odprowadzanego i popychanego przez opiekunkę, której wydano stosowne polecenia poprzedniego wieczoru. Za nimi szedł służący z kufrem doktora Scirona.

Wsadzono chłopca do krytego, czarnego powozu z małymi okienkami. Wisiały w nich zasłonki z ciemnopomarańczowego aksamitu, którym wyściełane były też siedzenia z wysuwanymi podłokietnikami. Kiedy zamknięto drzwi, w środku powozu zrobiło się ciemno, a jedyny jaśniejszy cień stanowiła pomarańczowa poświata draperii. Chłopiec pomyślał, że to wewnątrz wygląda jak trumna, w której zobaczył ojca. Jedyne go człowieka, którego pocałował. I od którego otrzymał jedyny pocałunek w życiu. I poczuł się pewniej. Pod opieką.

Po mniej więcej półgodzinnej podróży doktor Sciron, który siedział naprzeciwko chłopca, ukryty w ciemnościach, wychylił się do przodu. Jego piękny profil zabarwił się na pomarańczowo. Przetrzęsął kieszeń i wyjął kartkę. Rozłożył ją i zbliżył do twarzy. Potem niecierpliwym i pełnym wściekłości gestem odsunął zasłonkę w oknie, zrywając przy tym kółeczko. I trzymając kartkę w jasnym prześwicie, spokojnie, jakby nie stracił przed chwilą panowania nad sobą, przemówił:

- Niefortunna decyzja hrabiego Noverre stawia wdowę po nim, hrabinę, w jeszcze bardziej niefortunnej sytuacji - rzekł, kierując wzrok na kartkę. - W testamencie twój ojciec napisał: „Za prawowitego dziedzica moich dóbr oraz tytułu hrabiego Noverre uznaję mojego nieszczęsnego syna... i nakazuję jego natychmiastowy i dożywotni powrót do domu. Do osiemnastego roku życia będzie pozostawał pod opieką swej matki, która wydała go kalekim na świat. Daję mojej żonie jako zadośćuczynienie za niekompletne wypełnienie mego obowiązku małżeńskiego - tak jak niekompletny był owoc jej małżeńskiego obowiązku - możliwość mieszkania w domu mego syna pod warunkiem, że otoczy go opieką. Zarówno przywilej użytkowania domu, jak i dożywotnia renta zostaną zgodnie z prawem odebrane matce, jeżeli będzie próbowała odesłać mego syna...”.No, to teraz już wszystko wiesz. Od dwóch miesięcy twoja matka i ja wymieniamy między sobą długie listy z opiniami najznamienitszych adwokatów w dziedzinie prawa spadkowego. Nie ma sposobu, by się ciebie pozbyć... legalnie. Gdybym był hrabiną, nie wahałbym się. Jesteś słabego zdrowia, mógłbyś umrzeć na zapalenie płuc tej zimy. A

ja wiem, jak sprawić, byś zachorował na zapalenie płuc. Ale los chce, bym raczej był zainteresowany, abyś żył długo, ponieważ to ty przyniesiesz mi szczęście. Dlatego możesz się cieszyć. - Sciron roześmiał się.

Potem wyciągnął ręce po dwie agrafki, odpiął je i puścił luzem rękawy marynareczki jak dwa warkocze. Spojrzał na dziecko i powiedział:

- Chyba nie chcesz, by cię nazywali Hrabią bez Rękawów, prawda? - I znów ponownie się roześmiał.

Kiedy Sciron zaciągnął zasłonki, a wewnątrz znów ogarnęły pomarańczowe ciemności, chłopiec opadł na oparcie w najbardziej zaciemnionym zakątku powozu i uronił kilka łez wzruszenia. „Syn”, tak nazwał go ojciec. Ciepło osuszyło mu szybko łzy na skórze i potwór w milczeniu zasłuchał się w odgłos końskich kopyt na drodze, skrzypienie resorów powozu, szczeł kół i głęboki, regularny oddech Scirona, który spał aż do końca podróży.

- Jest mi bardzo miło, że zgodził się pan opuścić instytut i zająć się... nim - powiedziała hrabina do młodego i pociągającego lekarza, kiedy powóz zatrzymał się przed domem, skrzypiąc na żwirze.

Chłopiec pomyślał po raz kolejny, że nigdy nie widział tak pięknej kobiety, ale ona nawet na niego nie spojrzała. Hrabina nie spuszczała oczu z młodego mężczyzny, który przeniósł się tutaj na stałe.

- Jeśli dobrze rozumiem, on nie potrafi sobie sam radzić - ciągnęła hrabina. - Muszę zatem wyznaczyć mu jakąś osobę?

- Zastanawiałem się nad tym w drodze - odparł Sciron. - Za pozwoleniem, hrabino, sądzę, że opłacanie dodatkowego służącego to strata...

- Strata. No tak... - rzekła kobieta, nie dbając o to, że chłopiec ich słucha. - Ale problem ten trzeba jakoś rozwiązać, skoro już muszę go znosić.

- Dlatego właśnie chciałbym zaproponować, by wykorzystać okazję, jaka nadarzyła się w instytucie. Pani syn... - i Sciron przerwał, widząc niezadowolenie w oczach kobiety - on - zaraz się poprawił i wzrok hrabiny rozpoznał się - nawiązał kontakt... jakby to powiedzieć... No więc, inne dziecko, nędzarz, którym nikt się nigdy nie zainteresuje, stał się w naturalny sposób jego służącym. Gdyby zechciała pani go tu przyjąć, mógłby zajmować się nim dniem i nocą... bez żadnych roszczeń.

Chłopcu zadrzało serce. Ale z jego zniekształconej twarzy nie można było nic wyczytać.

- Kolejny potwór w tym domu? Nie ma mowy - zachnęła się hrabina.

- To nie jest potwór. Przeciwnie, jest bardzo dobrze zbudowany. Tyle że opóźniony umysłowo. Ale nieszkodliwy i w ogóle nieagresywny. Między nimi dwoma wytworzyła się swoista symbioza. Jeden jest ciałem, a drugi umysłem.

- Chce pan powiedzieć, że on jest inteligentny? - zapytała hrabina z nutą sceptycyzmu w głosie. A ponieważ Sciron przytaknął, odwróciła się do syna, którego nie uznawała za swojego. - Czyli że rozumie, o czym mówimy? - upewniła się, patrząc na potwora, który rodząc się, skazał ją na cierpienie i zmusił, by znosiła przez lata wyrzuty starego męża. - Nawet lepiej, że nas rozumie. I że rozumie, kim jest. - Spojrzała na Scirona. - Ten głupek może przyjechać.

Chłopczyk aż wstrzymał oddech. Zóła, pomyślał tylko.

- Kazałam przygotować dla pana sypialnię na drugim piętrze, z przyległym gabinetem i łazienką, doktorze - odezwała się znów hrabina, tym razem serdecznym tonem, kierując się w stronę domu. - Mam nadzieję, że będzie się tam panu podobało.

- Będzie to dla mnie prawdziwa radość, ponieważ będę mógł spotykać panią, hrabino - odparł Sciron, uśmiechając się i wpatrując w kobietę z napięciem.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, zatrzymując wzrok na pięknej twarzy lekarza dłużej, niż pozwalały na to zasady. Potem odwróciła się i zobaczyła dziecko stojące nieruchomo pośrodku szerokiego placu, wysypanego żwirem i okolonego świeżo przystrzyżonymi, niskimi krzewami bukszpanu.

- No chodź, na co czekasz? - Zwróciła się do niego ostrym głosem. - Brakuje ci rąk, nie nóg.

Chłopiec ze wzrokiem wbitym w ziemię zrobił pierwsze kroki. Zóła, myślał.

- Kiedy zacznie pan go ulepszać? - spytała nagle Scirona hrabina.

- Szybko. Bardzo szybko.

SZÓSTY SZCZEBEL

21 sierpnia 1862 - 14 grudnia 1862

Każda rzecz w domu go przerażała. Każda rzecz była nieprzyjazna. Ale nade wszystko młody hrabia Noverre bał się otaczających go ludzi, tak odmiennych od niego. Nie było tu nikogo, kto by go przypominał. Nie było żadnego z owych potwornych dzieci z instytutu. Nikogo, kto byłby jak on. Nikogo, kto odwróciłby od niego spojrzenia gości i służących.

Po kilku dniach od przyjazdu założono mu maskę. Aby ukryć twarz. Aby ukryć

deformację czaszki. Hełm z papier mache. Z dwoma otworami na oczy, otworem na nos i na usta. Twarz z uśmiechem, który nigdy nie zamierał, dwoma pyzatymi, czerwonymi policzkami i pomalowanymi na niebiesko powiekami. I jasnymi loczkami, które miękko opadały na czoło i uszy. Błyszcząca twarz miniaturowego boga z szelaku. Matka włożyła mu maskę i zakazała ją zdejmować.

Pewnego dnia maska zsunęła się ze zniekształconej głowy. Hrabina znalazła chłopca w jego pokoju, jak śliniąc się i dysząc z przerażenia, próbował wsunąć czaszkę w hełm. Kikuty były za krótkie, by go przytrzymać czy choćby uchwycić. Hrabina kazała wezwać rzemieślnika, szewca, który w czasie karnawału konstruował alegoryczne pojazdy - by ulepszył maskę, a ten przymocował skórzane rzemyki u dołu hełmu i zawiązał je pod pachami dziecka, które nie potrafiło utrzymać go na głowie.

Założono mu również dwie ręce. Dwie drewniane kończyny, zakończone delikatnymi, nieruchomymi dłońmi o wypiełgnowanych paznokciach, które nigdy nie rosły. Ręce przymocował inny rzemieślnik. Długie, eleganckie i nieruchome palce, które nie mogły niczego chwycić. Opuszki, które nic nie czuły. Ręce wydające suchy martwy stuk przy kontakcie z przedmiotami. Stuk drewna.

Pewnego dnia młody hrabia Noverre upadł na zwirowej alejce. I złamał mały palec. Chłopiec spojrzał na złamanie. Nie poczuł żadnego bólu, dopóki z całej siły nie wbił sobie drzazgi - przytrzymując ją pomiędzy ocalałymi drewnianymi palcami - z małego palca w udo. Dopiero wtedy rozplakał się z bólu, że złamał palec.

Potem, prawie po miesiącu, do wielkiej willi przyjechał Zóla. U stóp łóżka chłopca przygotowano legowisko z miękkiego kwiecistego materiału. Gdy nadszedł wieczór, obłąkany zwinął się na posłaniu, przykrył kocem, tak grubym, jakiego nigdy nie miał w instytucie, i zasnął. I także chłopiec tamtej nocy spał, nie czując już strachu.

Następnego dnia dwaj upośledzeni - jeden na ciele, drugi na umyśle - weszli niezauważeni do biblioteki w willi. Obaj patrzyli w uniesieniu na sufit z freskami w intensywnym, niebieskim kolorze, na którym błyszczały miriady złotych gwiazd. Potem mały hrabia Noverre poprowadził ręce Zoli ku opasłej księdze, oprawionej w oślą skórę, której nikt nigdy nawet nie przekartkował. Słownik. Miał w głowie tylko jedno słowo, które znalazł mniej więcej w połowie wolumenu. „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi!”. Zdanie to brzmiało mu bez ustanku w uszach, od chwili gdy dowiedział się, co

wykrzyczał ojciec w dniu jego narodzin.

Pochwa. Przez osiem miesięcy chłopiec powtarzał w myślach słowo, które identyfikował ze swą potwornością. Od „pochwy”, wciąż dzięki pomocy rąk Zoli, przeszedł do „macicy”, a stamtąd do „zapłodnienia”, „płodu” i „porodu”. I pojął, że to były wrota, przez które przyszedł na ten świat.

Wrota, których nie mógł przekroczyć po raz drugi, odbywając powrotną drogę. Była to kryjówka, w której już nigdy nie znajdzie schronienia.

Gabriel Sciron rozglądał się bacznie wokół od dnia przyjazdu. Starannie wyceniał każdy przedmiot. Brał do ręki srebrny świecznik i myślał: To jest warte tyle, ile moja roczna pensja. Chodził po dużym perskim dywanie w swojej sypialni i stwierdził: „To jest warte tyle, ile moja trzyletnia pensja”. Jedząc piezzonego bażanta, faszerowanego kasztanami, kalkulował: „By opłacić kucharkę, musiałbym wydać jedną czwartą swojej miesięcznej pensji”. A kolejna jedna ósma poszłaby na pulchną pokojówkę, która podawała do stołu. No i te sztuce, którymi jadł, serwetki z delikatnego lnu, którymi ocierał usta, albo pościel, w której wypoczywał nocą, jedwab okrywający kanapy i fotele, konie w stajniach, a nawet zwykłe uprząże i siodła, nabijane srebrem. Każdy najmniejszy przedmiot został oceniony i porównany z jego pensją, która i tak była trzy razy wyższa niż wynagrodzenie w instytucie. Każdy przedmiot, którego wartość był w stanie określić. Nie biżuteria hrabiny. Nie wielkie obrazy, wiszące na ścianach. Nie stulecia bogactwa, widoczne na surowych obliczach przodków rodziny Noverre. Te liczby bowiem przyprawiały go o taki zawrót głowy, że powstrzymywał się przed policzeniem, ile wyniesie pomnożenie jego pensji przez sto, przez tysiąc. Może nawet przez milion.

I wracał myślą do zdania, które wypowiedział do hrabiny w dniu swego przyjazdu, kiedy ta wyraziła nadzieję, że spodoba mu się przygotowany pokój. „Będzie to dla mnie prawdziwa radość, ponieważ będę mógł spotykać panią, hrabino”. Ale teraz, po prawie miesiącu, zdanie to zaczynało go dręczyć i może z powodu tych wszystkich obliczeń, które nie tylko określały wartość poszczególnych przedmiotów, ale też tworzyły olbrzymi dystans między nim a hrabiną - przepastny ocean pieniędzy i pozycji społecznej - teraz młody lekarz stracił całą swą udawaną pewność siebie, którą okazywał początkowo. Był przyzwyczajony uwodzić służące, pielęgniarki i przekupki na targach. Powtarzał w myślach tamto zdanie i wracał do sceny przed willą, za każdym razem czując się coraz bardziej śmieszny i nieporadny. I w obliczu pogrzebanych

wartości nie miało już żadnego znaczenia wspomnienie długiego, pełnego napięcia spojrzenia, które odwzajemniła hrabina. Spojrzenie to nigdy więcej się nie powtórzyło; to, co obiecywało, nie nadeszło; to, co wydało mu się załączkiem, nie zakiełkowało. Hrabina traktowała go z wyniosłą uprzejmością. „Jak głównego służącego” - podsumował Sciron. Jak służącego, któremu zezwoliła z racji ukończenia medycyny zasiadać do swego stołu podczas obiadów i kolacji. Ale jednak wciąż jak służącego, któremu płaciła. Jak część majątku. A im bardziej ta myśl się otorbiała, tym silniejsza i bardziej kolczasta дума rozrastała się w jego sercu. Cała frustracja Scirona skupiła się w końcu na niewinnym potworze, którego mu powierzono. A ponieważ w naturze młodego i ambitnego Gabriela Scirona nie leżało bierne akceptowanie tego, co uważał za poniżające, a z drugiej strony, charakter nie pozwalał mu na szlachetną reakcję - do której potrzebna by była świadomość klasowa - z każdym dniem, patrząc na chłopca, coraz bardziej go nienawidził, gdyż pomimo nieszczęścia, kalectwa i braku rąk, którymi mógłby chwycić szczęście, los zdecydował, że jest on lepszy od tego, który miał go ulepszyć.

Niemal jak w obłądnie, a w każdym razie z pasją, którą w innym wypadku z trudem by w sobie znalazł, Sciron poświęcił się studiowaniu mięśni i ścięgien. Wkrótce jego pokoje wypełniły traktaty, nad którymi młody lekarz spędzał większość czasu. Prawdopodobieństwo sukcesu chirurgicznej rekonstrukcji było prawie równe zeru i Sciron zawsze o tym wiedział. Zachowanie przeszczepionego naskórka, tkanek i kości przy życiu było zbyt zuchwałym wyzwaniem dla nauki, mimo że zawsze zadawał sobie pytanie, w jaki sposób można zwalczyć śmierć czy nawet wskrzesić umarłego. Jego uwaga skupiła się zatem od razu na możliwości skonstruowania mechanicznych kończyn, nie żywych, ale działających tak, jakby były żywe. Postanowił zastosować dla mięśni i ścięgien teorie z zakresu elektryczności. Skurcze i następujące po nich rozluźnienie mięśni, które napinały i potem zwiotczały ścięgna - co z kolei wywoływało ruchy ciała - były ulubionym polem badań młodego lekarza, choć pragnął on stać się naukowcem nie z umiłowania wiedzy i może nawet początkowo nie z miłości do pieniędzy, ale z chęci przeciwstawienia się poniżającej pozycji sługi hrabiny. Żaby, myszy, koty na początek, ale też kuny, lisy i łasice, które wpadły w pułapki, zaczęły dostarczać mu pierwszych wskazówek co do dalszego kierunku badań z wykorzystaniem elektryczności, w którym miał podążać, odkrywając jednocześnie nieczułą na ból innych części własnej natury. Odkrywając ją, po czym dodatkowo wzmacniając i utwardzając jak odcisk.

Sciron nie tylko analizował wszystkie elementy, które uważał za fundamentalne dla

odtworzenia ruchu, ale oddawał się też projektowaniu mechanicznych kończyn. Aby doprowadzić do „odrośnięcia” rąk u małego hrabiego Noverre. Aby stworzyć pierwszego człowieka-maszynę.

W tym też czasie, mniej więcej cztery miesiące po przyjeździe do posiadłości, poznał młodego kowala i ślusarza, zafascynowanego swą pracą oraz możliwościami, jakie w dziedzinie mechaniki stwarzają para, elektryczność i rewolucja przemysłowa.

Młody rzemieślnik - nieokrzesany, lekceważący hierarchię społeczną i buntowniczy z natury - nazywał się Juffridi.

SIÓDMY SZCZEBEL

24 grudnia 1862

Zakończono przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. Wszystkie prace koncentrowały się już teraz tylko w kuchni. Chłopczyk w masce małego boga i z drewnianymi rękoma został przebrany za elfa. Zóla, który wciąż rósł jak oszalały, za tytana.

Hrabina kazała ściąć olbrzymi świerk, który królował teraz u wejścia, w holu, sięgając wierzchołkiem balustrady na pierwszym piętrze. Stary hrabia Noverre nigdy nie pozwalał na obchodzenie żadnych świąt, ponieważ twierdził, że w jego domu nie ma czego świętować. Ale po śmierci hrabiego zmieniło się wiele rzeczy. I na to Boże Narodzenie hrabina postanowiła wydać wielkie przyjęcie, inspirowane nie tyle tradycją świętowania narodzin Jezusa, ile pogańskim świętem lasu. Każdy gość miał przybyć do wielkiej willi w przebraniu gнома, elfa, wróżki, wilkołaka lub maga. Po raz pierwszy od wielu lat tę część rezydencji rodziny Noverre oblegali licznie zaproszeni goście, wśród których byli też bogaci mieszczanie.

Stawiło się ich na przyjęciu dokładnie siedmiu, ze starannie wytyczonym celem, który hrabina знаła i któremu była gotowa przyklasnąć. Ród Noverre nie tylko był właścicielem większości okolicznych terenów; pięćdziesiąt lat temu wybudowano tutaj małą fabryczkę cukru. I na nią mieli ochotę zaproszeni mieszczanie. Tydzień wcześniej zaoferowali hrabinie obligacje i pewną sumę pieniędzy, która - choć zdawała się olbrzymia - każdemu, kto dostrzegął nieubłagany rozwój przemysłu, jawiłaby się jako po prostu śmieszna. Ale hrabina nie znała się na interesach, a przede wszystkim nie miała najmniejszego zamiaru troszczyć się o zachowanie rodzinnego majątku w całości ani mnożenie go dla przyszłych pokoleń. Licząca lat trzydzieści kilka hrabina pragnęła głównie cieszyć się życiem, które do tej pory mogła sobie zaledwie wyobrażać. Wychodząc za mąż za hrabiego, oszukała go, wcześniej dostrzegłszy jego słabość.

Wiedziała, że pragnie on nie kobiety, lecz syna, i obiecała mu go, by zaraz rozwiać jego złudzenia za pomocą garści kurzych podrobów. Ale potem pojawił się syn. I wyglądał równie obrzydliwie, jak ten krwawy substytut. Życie, którego pragnęła hrabina, nigdy za życia męża nie było możliwe. I dlatego teraz, za przyzwoleniem i przy współudziale dobrze opłacanego przekupnego zarządcy - który nawet przez chwilę się nie wahał, czy zdradzić swego dawnego pana - sprzedała małą, nic nieznaczącą fabryczkę za sumę, która jej samej wydała się mocno przesadzona.

Wielka zabawa bożonarodzeniowa miała uczcić tę korzystną dla obu stron transakcję.

Godzinę przed nadejściem gości hrabina zapukała do drzwi Scirona.

- Jest pan gotów? - spytała.

Młody lekarz otworzył. Miał na sobie strój fauna, który ona sama zamówiła u krawca. Szeroka i ładnie sklepiona klatka piersiowa Scirona była opasana lekkim materiałem w cielistym kolorze. Na umięśnione nogi wciągnął rajtuzy, na które naklejono kędzierzawe, koźlece runo, a z przodu muszlę, która choć zakrywała, to tak naprawdę uwydatniała członek. Z włosów sterczały dwa małe, zakręcone różki.

- Jest pan doskonały - oceniła Hrabina. - Mogę wejść? - spytała po chwili.

- Jest pani u siebie.

Kobieta, okryta szerokim płaszczem w kolorze nieba, zrobiła krok do przodu i zamknęła za sobą drzwi.

- Jak się posuwają pańskie badania? - zapytała, przesuwając wzrokiem po traktatach, rysunkach i woskowych odlewach.

- Myślę, że jestem na dobrej drodze, hrabino - odparł Sciron; czuł się śmieszny, mówiąc o medycynie w stroju błazna, który włożył, godząc się na to poniżenie, ponieważ nie chciał przeciwstawić się woli swej chlebobdawczyni i jej wielkopańskiej ekscentryczności.

- Bardzo pan niezadowolony, że musi brać udział w moim przyjęciu? - zapytała kobieta, jakby podświadomie czytała w jego myślach.

- Wprost przeciwnie - skłamał Sciron. - Jestem zaszczycony, że pozwala pani... dzielić słudze stół z tak znamienitymi gośćmi.

Hrabina spojrzała na niego z napięciem. Zupełnie jak tamtego dnia, gdy tutaj przyjechałem, przemknęło Scironowi przez myśl.

- Nie jest pan jeszcze moim sługą - odparła.

Sciron nie poczuł się jakoś urażony, choć wcześniej słowo to było udręką dla jego myśli. Dopiero w tej chwili młody lekarz zauważył, że hrabina trzyma w ręku coś na kształt kołnierza z liści, wyciętych z jedwabiu.

- Cóż więc powinienem zrobić, by nim zostać? - spytał.

Hrabina wciąż patrzyła na niego w milczeniu.

Podeksytowana i przejęta tłumnie zjawiającymi się gośćmi, wypila wcześniej dwa kieliszki szampana na pusty żołądek. Ale alkohol, zamiast dodać jej animuszu, przypomniał tylko kobiecie, kim jest i skąd pochodzi. Przywołał wspomnienie, że nie zawsze była hrabiną, że dawniej szybko wskakiwała do łóżka tych, którzy mieli pieniądze. Nie była prostytutką, ale niewątpliwie prostytuowała się ze starym hrabią Noverre. A przed nim z innymi bogatymi panami, z których każdy, jak hrabia, był stary. Przypomniała sobie swój pierwszy raz, przeżyty w wieku szesnastu lat z nakazu matki. I pomarszczone ręce, które w niej zanurkowały. I sakwę pełną pieniędzy i obietnic. Przypomniała sobie śmierć matki, która zostawiła ją samą na świecie. I porady udzielane przez przyjaciółki, jak nie zająć w ciążę, oraz spotkanie z tym ostatnim starcem, który wymagał od niej syna, a ten się nie pojawiał. Potem edukacja starej prostytutki, która nauczyła ją sztuczki z udawanym poronieniem kurzych podrobów. Przypomniała sobie wszystko, a alkohol, który miał dodać jej animuszu, w wieczór, gdy po raz pierwszy miała być prawdziwą hrabiną Noverre, podarował jej lęk. Lęk, bo wiedziała, kim jest. Oraz pewność, że każdy z jej gości również to wie i że patrząc na nią, oceniają za to, kim była. Kochanką starców.

- Cóż powinienem zrobić, by zostać pani sługą? - spytał jeszcze raz Sciron, ten młody i piękny mężczyzna, który był nikim, tak jak ona. Ten mężczyzna, który w ciągu ostatnich czterech miesięcy nie zasłużył na kolejne spojrzenie, ponieważ ona uwierzyła, że jest hrabiną Noverre.

Kobieta, która lękała się tego, kim była, podała mu kołnierz z jedwabnych liści. Sciron wziął go bez słowa.

- Proszę mi pomóc - rzekła kobieta, rozchylając płaszcz w kolorze nieba i pozwalając mu opaść na ziemię.

Miała na sobie jedwabny kostium. Kostium Królowej Wrózek. Szeroką spódnicę uszyto z wielu warstw błękitnej tkaniny, nałożonych jedna na drugą, usianych miriadami małych, naszytych ręcznie lusterek, które chwyciły i odbijały jak gwiazdy na firmamencie ciepłe światło lamp naftowych. Jedwabny gorset w jaskrawym kolorze, pomiędzy granatem a fioletem, ciasno

oblegał gors. Skraj dekoltu ukazywał niemal różowe sutki.

- Goście nie mogą wiedzieć tego, co wie wiemy sługa - powiedziała kobieta. - Proszę mi go zawiązać - nakazała Scironowi, wskazując na kryzę z jedwabnych listków, które miały osłonić różowe sutki.

Młody lekarz przebrany za fauna już nie czuł się śmieszny, nie myślał o ostatnich czterech miesiącach i swych wydumanych poniżeniach. Podeszedł do kobiety i pozwolił, by zielone liście opadły na ziemię, niczym jesienią, która dla nich stała się wiosną pierwszego cielesnego spotkania.

A kobieta pozwoliła, by pierwszy w jej życiu młody mężczyzna klęknął przed nią i zanurkował rękoma bez zmarszczek między jedwabne, gwiazdziste woale. Mężczyzna, który, jak wiele lat temu ona sama, dla sakwy pełnej złotych monet był gotów pójść do łóżka z podstarzałą kobietą. Jedyny mężczyzna, przy którym ona poczuje się jak prawdziwa hrabina Noverre.

ÓSMY SZCZEBEL

25 grudnia 1862-31 maja 1863

Nazajutrz po zdobyciu Królowej Wrózek Sciron obudził się, zadając sobie pytanie, czy to nie ona jego posiadała. Obudził się i spiętrzone frustracje, wytwór jego własnej dumy z poprzednich czterech miesięcy, dopadły go, zanim jeszcze wysunął nogę z łóżka. Jakby ta myśl wyczekiwała na niego przez całą noc i stała się tak nagła, że nie mogła już dłużej zwlekać. Zamiast rozpamiętywać erotyczne zespolenie ciał oraz cały wieczór - kiedy, patrząc na panią domu i rozmawiając z jej bogatymi gośćmi, mógł sobie pozwolić na powtarzanie w duchu: „Tak, to ja ją posiadałem” - Sciron poczuł się przytłoczony swymi kompleksami. Hrabina nazwała mnie sługą, powtarzał w myślach obsesyjnie, odkąd otworzył oczy, zapominając, że sam jej to zasugerował; zapomniał o swym podnieceniu ze wspólnie wymyślonej gry, która przyniosła im spełnienie. Nie mając sił, by wstać z łóżka - i, co więcej, z zaciętym uporem, by w nim zostać, jakby chciał utulić czarny bieg swych myśli - Sciron powtarzał sobie bez przerwy słowo „sługa”, które stopniowo traciło swe początkowe, prawdziwe znaczenie i zaczynało pęcznieć we frustrującym kompleksie niższości, od którego żółć go zalewała; przypisywał hrabinie zachowania i motywacje, które coraz mocniej utwierdzały go w tej negatywnej wizji. Po pół godzinie był już pewien, że został przez swą panią zgwałcony, wykorzystany tak, jak wykorzystuje się ciała, do których ma się całkowite prawo. Jakby to ona była mężczyzną.

Posłał po pulchną pokojówkę i powiadomił ją o swej niedyspozycji. Potem spędził cały

dzień w łóżku, bez ruchu, wpatrując się w stiuki na suficie. Bardziej wyczuwał niż zauważał, że sine światło dnia staje się miedziane i wpada ukośnie do pokoju. Widział, jak błednie w rozmywającym się fiolecie, po którym nastąpiła ciemność i dopiero gdy nie był już w stanie rozpoznać ledwie majaczących kształtów mebli wokół siebie, wstał z postanowieniem przechadzki po opuszczonej wsi, z nadzieją, że zdoła rozproszyć swe obsesyjne myśli w mrokach nocy. Ubrał się, nie myjąc, nie usuwając z twarzy wyblakłych śladów charakterystyki z poprzedniego wieczoru, i otworzył drzwi swego pokoju.

W domu panowała cisza. Z parteru dochodził kojący zapach chleba i ciast, które zostawiono, by wyrosły do rana. Przez otwarte okno poczuł woń czarnej ziemi, która żywiła swymi sokami rośliny. Schody rozsiewały ciepły aromat drewna, wzbogacony olejkiem z kwiatów pomarańczy oraz wetiwerii, którymi je natarto. Znad dywanów unosiła się pachnąca mgiełka talku i wanilii, górująca nad stęchłą nutą wilgoci.

Sciron dotarł do głównych drzwi. Jego ręka opadła na klamkę. I znieruchomiała. Może to lodowaty chłód metalu go powstrzymał. Odwrócił się. Nie myśląc o niczym, wszedł ponownie na pierwsze piętro, przemierzył krótki korytarz i bez pośpiechu, bez wahania i bez strachu otworzył drzwi pomalowane na bładoniebieski kolor. Idąc za delikatną smugą światła, rysowaną przez księżyc na perskim dywanie, podszedł bezszelestnie do dużego łóżka z baldachimem. Chwycił rąbek kołdry i pociągnął, odkrywając hrabinę. Myślał, że Królowa Wrózek przemówi do niego, i był zdecydowany nie odpowiedzieć jej, a nawet gotów uciszyć ewentualne krzyki. Ale ona nie krzyczała. Nie odezwała się. Nie poruszyła. Szorstkim i pozbawionym miłości gestem Sciron zadarł jedwabną koszulę nocną aż po biodra. Potem rozpiął spodnie i nie zdejmując ich, opadł na rozgrzane w pościeli ciało, które ani go nie przyjęło, ani nie odrzuciło. Rozłożył nogi kobiety i wziął ją tak, jak parzą się zwierzęta, gwałtownie i bez czułości, macając brutalnie pełne, miękkie piersi. Wziął ją z pogardą i siłą. Jak mężczyzna. Jak mężczyzna służącą. Ale mimo to w kulminacyjnym momencie rozkoszy wyobraźnia podsunęła mu obraz, jak ona powtarza mu, dysząc z podniecenia: „sługa, sługa, sługa...”.

Przez następne miesiące, gdy przychodził do niej nocą, wszystko odbywało się jak za pierwszym razem, i Sciron w głębi duszy wciąż czuł się sługą, który wchodzi po schodach i otwiera drzwi pokoju, ponieważ pani go wzywa. I może dlatego, przynajmniej w ciągu tych pierwszych miesięcy, przeświadczenie Scirona, że idzie posiąść to, co już posiadał - a czego jednak nie posiadał nigdy - było solą ich seksualnego związku, tak intensywnego, że ich spalał, i

tak nienasyconego, że wyciskał z nich za każdym razem wszystko, co mogli dać i wziąć.

Ale żadne z dwojga kochanków, nawet w momentach największego miłosnego uniesienia, nie było w stanie odczuć nic poza zaspokojeniem. Po zakończonym stosunku leżeli osłabli i wyczerpani na łóżku, niczym na plaży stratowanej przez rozszalałą falę rui, jak rośliny wyrwane z ziemi siłą rwącej wody. Wyniszczeni przez siebie wzajem. W bezładnych pozach, z potarganymi włosami, z kosmykami opadłymi niby umierające czułki. Ubrania leżały na podłodze, skłębione, porzucane po pokoju, zerwane w miłosnym szale, który równie szybko nadchodził, jak ich opuszczał, wycofując się i zostawiając oboje sam na sam, choć to bycie ze sobą nie miało najmniejszego sensu, bo stanowili tylko mieszaninę odmiennych elementów, ślepo połączonych przez los, o którym nie decydowali. Plaża, która podczas nawałnicy stawała się dnem tymczasowego morza, zamieniała się w milczącą pustynię, zamieszkaną, ale już bez życia. I na tym suchym morzu piasku, bezludnym, niemym i jałowym - natychmiast wypalany przez wewnętrzne majaki obojga kochanków - Sciron nie przestawał słyszeć głosu hrabiny, który nazywał go sługą, a ona, spoglądając na siebie i leżącego obok młodzieńca, widziała na swym ciele zmarszczki i oznaki wieku, niby ślady po dżumie, stygmaty pozostawione przez rzeszę starców, którzy niegdyś ją gwałcili, kiedy była jeszcze młoda.

Tak to, w ogłuszającej ciszy, która następowała po wybuchu seksualnej żądzy, para kochanków godziła się z myślą, że jedno jest dla drugiego tylko tym, na co może sobie pozwolić. Ponieważ oboje czuli, że cisza ta zapadała dla każdego z nich osobno.

I dopiero później, gdy stało się jasne, że przygoda, czy raczej seria pojedynczych przygód, staje się powoli codziennością, a może nawet cichą umową, zaczęli rozmawiać. Jakby oboje nagle poczuli potrzebę wytłumaczenia się i usprawiedliwienia. Oraz wytłumaczenia i usprawiedliwienia tego, co stawało się faktem. Jakby rzadkie, sporadyczne spotkania nie potrzebowały wytłumaczenia i usprawiedliwienia, lecz dopiero ich powtarzalność narzuciła wymóg słów i myśli, zmuszając oboje, by przestali udawać, że to nic nie znaczy.

Po kilku miesiącach spontaniczna fala seksu straciła impet i siłę zaskoczenia i stała się łagodnym strumieniem, który nie podmywał już ich instynktów po korzenie, ale jedynie zaspokajał pragnienie tych, którzy przyzwyczaili się być pojeni. Wkrótce kochankowie stali się potajemną parą stałych kochanków, zrezygnowanych jak stare małżeństwo.

I może dlatego, pomimo ostrożności obojga za dnia, służący - dla zabawy lub dla żartu, a jednocześnie z zazdrości i zwykłej złośliwości wobec tych, którym się poszczęściło - zaczęli

nazywać Scirona, ostatniego z mieszkańców willi, nowym hrabią.

W miarę jak umacniała się nowa, pośrednia pozycja społeczna Scirona - kogoś pomiędzy służącym a hrabią - powrócił on do swych dawnych ambicji i na nowo odkrył dumę, dumę z tego, że jest lekarzem, wypaczoną jednak przez jego charakter. Z nowym entuzjazmem - uśpionym w pierwszym okresie związku z hrabiną - wrócił do studiów nad mechanicznymi kończynami i możliwością uczynienia z nich funkcjonalnych protez.

Z pomocą Juffridiego sporządził prototyp - jeszcze niedoskonały we wszystkich szczegółach - a następnie przeprowadził pierwszy sprawdzian jego działania. Chodziło o mechaniczną rękę, zakończoną stylizowaną dłonią, złożoną z kciuka i jednego metalowego bloku, który zastępowałby cztery pozostałe palce. Sciron i Juffridi ustalili, że na tym etapie zrezygnują z ruchomego przegubu w nadgarstku i zdolności zginania palców, aby zredukować do minimum trudności związane z wykonywaniem ruchów. Dlatego też na pierwszy rzut oka ręka wyglądała jak wielkie, nieproporcjonalne szczypcy. Rozwieranie ich i zamykanie odbywało się za pomocą dwóch elastycznych ciagadeł, wykonanych z grubych wołowych ścięgien, przytwierdzonych i zasklepionych na końcach metalowym oczkiem. Mechaniczna kończyna z drugiej strony kończyła się pierwszym z metalowych pierścieni, który należało przytwierdzić do kikuta.

Jednak najpierw Sciron musiał sprawdzić wytrzymałość tkanek dziecka oraz technikę przeszczepu sztucznych ścięgien na miejsce ludzkich. I dlatego zmuszony był otworzyć skalpelem to, czego nie dokończyła natura - kikuty. I popatrzeć.

Podważył więc zrogowaciałe i nieforemne zewnętrzne zasklepienie kikutów i odkrył poplątaną pajęczynę ścięgien, które łączyły się z atroficznymi mięśniami i przeradzały w załączki kości o konsystencji chrząstek, nieopisane w żadnym podręczniku ludzkiej anatomii. Próbując rozszyfrować złośliwy koncept natury, Sciron - w ramach dodatkowego eksperymentu - zaczął spryskiwać surowicą z salamandry rany na kikutach oraz ścięgna, rozmiękłe kości i splecione mięśnie, jako że salamandra jest jedynym kręgowcem w przyrodzie, który ma zdolność doskonałego odtworzenia, w przeciągu zaledwie trzech miesięcy, amputowanej kończyny.

W ten sposób chłopiec po raz pierwszy w wieku dziewięciu lat doświadczył znieczulających właściwości morfiny. I snów, które ze sobą niosła. I może za sprawą morfiny, a może straszliwej samotności, na którą był skazany, w miarę jak dni jego cierpienia stawały się

coraz dłuższe, stwierdzał, że hrabina jest coraz piękniejsza. I bez żadnych zahamowań i lęku zakochał się w kobiecie, która była w tak niewielkim stopniu jego matką, choć wydała go na świat.

Śledził ją, gdy tylko mógł, aby utrwalić w pamięci i sercu jej idealne kształty, ponieważ już w instytucie zrozumiał - kiedy przywiązał się do portretu ojca, a potem nie rozpoznał go w starcu, który kazał mu zabić jelenia - że czas tyranizuje zarówno urodę, jak i młodość. I chłopiec kochał, mając przed oczami śmierć, jakby towarzyszyła mu ona od zawsze. Śmierć, która - jeśli chodzi o niego, chciała wyprzedzić czas, już z góry zniekształcając i degenerując częściowo jego ciało.

Gdy chłopiec podpatrywał hrabinę z zachłannością podyktowaną pośpiechem, zdarzyło mu się kilka razy zobaczyć ją, jak oddawała się pieszczotom Scirona. I dlatego też, niemal podświadomie, pozwalał, by ręce, które obmacywały matkę, grzebały w jego mięśniach i ścięgnach, by jego kikuty płakały krwią, ponieważ dzięki temu czuł, jakby to matka w pewnym stopniu wnikała w jego ciało.

DZIEWIĄTY SZCZEBEL

30 lipca 1863

Po prawie dwóch miesiącach badań i prób - podczas których, operacja za operacją, Sciron dokonywał rewolucyjnych zmian i rozwikływał pogmatwaną płataninę mięśni i ścięgien w kikutach, wycinając, sprawdzając i zalewając ciało swego małego pacjenta niekończącym się strumieniem morfiny do tego stopnia, że stał się on całkowitym niewolnikiem narkotyku - po tych dwóch miesiącach lekarz, który chciał doprowadzić do odrośnięcia rąk u dziedzica rodu Noverre, uznał, że nadszedł moment ostatecznego eksperymentu.

Było to najbardziej parne i wilgotne lato, jakie pamiętano. Wielu kaznodziejów zapowiadało nastanie piekła na ziemi, roztopienie się lodowców i ziszczenie nowego mitu o Atlantydzie. Cykady nieprzerwanym krzykiem obwieszczały nastanie pory ich seksualnego ferworu, komary miały nieograniczoną ilość krwi do ssania i wody do rozmnażania się, wieśniacy tego roku przygotowywali się do trzecich zniw i nie wiedzieli, czy się cieszyć, czy lękać.

Hrabina spała przy otwartych na oścież oknach i służący słyszeli, jak jęczała nocą w ramionach nowego hrabiego.

A chłopiec nie miał rąk, by zatkać sobie uszy.

- Czy mnie słyszysz? - spytał tego poranka Sciron małego hrabiego Noverre po wstrzyknięciu mu uprzednio sporej dawki morfiny.

Puste oczy chłopca błdziły po pokoju. Juffridi po raz ostatni smarował w skupieniu dwie mechaniczne kończyny, które wytoczył i połączył z wielką dokładnością. Hrabina opadła bez sił na fotel w kącie, z dala od skwaru, który wnikał przez okna, i przykładała do nosa chusteczkę nasączoną indyjską wetiwerią, która miała zagłuszyć ostry zapach środków dezynfekujących. Rękawicznik delikatnie ściągnął z kawałków drewna specjalne rękawiczki, jakich nigdy jeszcze nie szył - z kozłczej skóry, miękkiej i wybarwionej tak, że przypominała ludzką, z niewidzialnymi szwami i z wstawkami z najdelikatniejszej kości słoniowej, które zastępowały paznokcie. Dwie rękawiczki idealnie dopasowane do mechanicznych kończyn, które tego ranka zostaną doczepione chłopcu. Tymczasem Sciron sprawdzał cały szereg metalowych klamer, połączonych z małym ciągadłem, które tydzień wcześniej przeszczepił do obciętych ścięgien kikutów. Nie było śladu infekcji.

- Czy mnie słyszysz? - zapytał raz jeszcze, ponownie otwierając skalpelem trzy prawie zabliźnione rany na przedramieniu.

Chłopiec, przywołany przez głos, odwrócił na chwilę zniekształconą twarz, otworzył usta i lekko się obślinił, nie wydając najmniejszego dźwięku, nieczuły na ból.

Sciron wyciągnął więc na zewnątrz ścięgna dziecka i zostawił je luzem, a Juffridi zaczął mocować do przedramienia mechaniczne kończyny. Połączył sztuczne ścięgna, które miały kierować ruchem palców, ze ścięgnami chłopca. Jedno ścięgno do kciuka, jedno do palca wskazującego i średniego, jedno do serdecznego i małego. Sciron skontrolował naprężenie i wyregulował je za pomocą ciągadeł. Wtedy nadeszła kolej na rękawicznika, który wywróciwszy najpierw rękawiczki na lewą stronę i nasmarowawszy oczyszczonym zwierzęcym tłuszczem, następnie z największą starannością nałożył je na mechaniczne kończyny, wygładzając zmarszczki na każdym z metalowych palców. Niczym wprawny balsamista. Rany zacisnął opatrunkiem hemostatycznym, aby zatrzymać krwotok, który mógłby zaplamieć jego cacka, i na koniec zaczepił koniec rękawiczek do podstawy mechanicznej kończyny, tam gdzie zaczynało się ciało chłopca. Kolor był idealnie taki sam.

Hrabina wstała, aby popatrzeć na efekt końcowy.

- Zaczekajcie - powiedziała i wyszła z pokoju.

Kiedy wróciła po krótkiej chwili, trzymała w ręku dwie bransolety z ciemnego srebra.

Wcisnęła je na przedramię chłopca, tam gdzie kończyły się rękawiczki, zakrywając ślad połączenia dwóch skór.

- Doskonale - orzekła i ponownie usiadła. Zaraz znów podsunęła pod nos lnianą chusteczkę, nasączoną indyjską wetiwerią, i dodała: - Proszę kontynuować, doktorze.

Sciron spojrzał na nią i w oczach kochanki wyczytał głęboki szacunek. I głos, który od początku ich związku w zakamarku jego umysłu powtarzał nieustannie „sługa, sługa, sługa”, po raz pierwszy zamilkł. Ręce drżały mu niezauważalnie, kiedy grubym ołówkiem rysował dwa czerwone pieprzyki na każdym z przedramion chłopca. Jego wzrok zaszedł lekko mgłą wzruszenia. I tak, pomyślał, i tak oto potworowi wyrosły ręce. Spojrzał na hrabinę, a potem na dziecko. Dzięki mnie, skorygował poprzednią myśl, wyrosły mu ręce i przez chwilę miał ochotę pogłaskać zdeformowaną głowę nieszczęsnego stworzenia. Jakby je kochał.

- Chodź tu, Zóla - wezwał drugiego chłopca.

Nieświadom tego, co się dzieje, i nie będąc w stanie tego pojąć, uśmiechnięty Zóla wszedł do pokoju, odsuwając ciężką zasłonę i pchając wózek, na którym leżała szpula miedzi, połączona ze skomplikowanym mechanizmem tarcz, kół pasowych, cylindrów i bloków zakończonych korbką. Ze szpuli wychodziły druciki, też miedziane, pokryte impregnowanym materiałem, spięte na końcu zaciskami. Sciron wziął cztery igły i jedną po drugiej wbił je w przedramiona chłopca, w zaznaczone grubym ołówkiem czerwone kropki. Potem połączył każdą igłę z metalowym drucikiem, osłoniętym izolacją i spiął zaciskami.

- Zaczynaj - rozkazał Zoli.

Zóla jął kręcić korbką z zapalem, z jakim dziecko oddaje się wesołej zabawie, akumulując energię elektryczną w szpuli.

- Wystarczy - zwrócił się do Zoli Sciron.

W pokoju zapanowała absolutna cisza, przerywana jedynie cichym odgłosem przepływu ładunków elektrycznych.

- Bodźce nerwowe, które rządzą ruchami mięśni - zaczął tłumaczyć Sciron swej kochance - można porównać z wyładowaniem elektrycznym. Elektryczność to sekret życia. Hrabino, czy zechce być pani osobą, która pozwoli tej nowo narodzonej istocie ludzkiej na użycie swych nowych rąk? Czy zechce pani zostać wyjątkową matką chrzestną mego wyjątkowego eksperymentu?

Hrabina zdawała się przez moment zaskoczona, ale potem próżność kazała jej wstać z

fotela.

- Co mam robić? - spytała podekscytowana.

Chłopiec odwrócił głowę w kierunku matki, która w oparach morfiny jawiła mu się jeszcze piękniejsza i bardziej pociągająca.

- Proszę to opuścić w dół - powiedział Sciron, wskazując na dźwignię urządzenia. - Proszę to opuścić... na moją komendę.

Oczy zauroczonej hrabiny tonęły w jego oczach. Jedną ręką dotknęła serca, a drugą dźwigni. Potem przeniosła wzrok na mechaniczne kończyny, tak bardzo przypominające prawdziwe ręce.

Sciron wyczuwał także w milczeniu Juffridiego i rękawicznika napięcie, jakie towarzyszyło tej nadzwyczajnej chwili.

- Teraz! - zakomenderował.

Chłopiec patrzył rozmarzonym wzrokiem na matkę, a na końcach swych ramion widział dłonie, o których śnił przez całe krótkie życie. Ręce, które pozwolą mu kochać. I być kochanym. Hrabina opuściła dźwignię. Prąd elektryczny wyswobodził się z błyskiem, przeskoczył po kablach i za pośrednictwem igieł wślizgnął się do ciała dziecka. Chłopiec gwałtownie wyciągnął ramiona i zacisnął obie ręce na sukni matki, jedną na biodrze, drugą pośrodku szerokiej spódnicy. Hrabina krzyknęła przerażona. Chłopiec krzyknął, gdy przeszedł przez niego prąd elektryczny. Zóla krzyknął z rozbawienia.

Potem ręce chłopca przebiegł prąd niczym rozszalały wichur i zaczął nimi poruszać jak w drgawkach. Mechaniczne szczypce, które tak bardzo przypominały ludzkie dłonie, były wciąż zaciśnięte na sukni hrabiny. I w końcu - zanim Scironowi udało się przerwać dopływ prądu elektrycznego - podarły spódnice pobladłej matki, która upadła na perski dywan w samych podwiązkach i pończochach w kolorze zielonych jabłek, obciskających nagie uda.

Sciron podniósł hrabinę z ziemi i zdjął marynarkę, próbując ją okryć. Kobieta poczerwieniała z wściekłości i wstydu, czując wzrok Juffridiego i rękawicznika, zatrzymujący się na jej niespodziewanej nagości, zaofiarowanej im przez eksperyment, i z furią spoliczkowała Scirona.

- Idiota! - rzuciła, ciągnąc za sobą strzępy drogiej, jedwabnej sukni, i opuściła pokój.

Tylko Zóla przerwał ciszę, śmiejąc się rehotliwie z tego, czego nie rozumiał, jak to zwykle bywało. Wtedy Sciron wziął laskę, którą hrabina podarowała mu kilka dni wcześniej i

uderzył go z całej siły w twarz, a potem w plecy, w głowę i nogi, aż całkowicie połamał ów prezent z drewna orzechowego i srebra. Obląkany Zóla płakał skulony w kącie, nie potrafiąc się bronić. Sciron pożegnał pośpiesznie Juffridiego i rękawicznika, i gdy obsesyjna myśl, dręcząca go od zawsze, znów doszła w nim do głosu i pulsowała mu w skroniach słowem: „sługa, sługa, sługa!”, rozkazał Zoli zanieść chłopca do pokoju, w takim stanie, w jakim nieszczęśnik się znajdował.

Zóla przeniósł swego małego pana do ich pokoju, położył go na łóżku, skulił się u jego stóp i znów zaczął płakać.

Dwie godziny później znieczulająca morfina przestała działać, ale hrabia Noverre nie został uwolniony od mechanicznych kończyn. W jednej chwili ból stał się nie do zniesienia i chłopiec, aby nie krzyknąć, pochylił się nad rękoma, które wyglądały jak prawdziwe, i pogryzł je, zdzierając wybieloną koźlącą skórę i odsłaniając metalowe połączenia. Potem, kierując Zolą rozdzierającym od męki głosem i niemal oślepyłymi od cierpienia oczyma, zdołał doprowadzić do odłączenia kikutów od mechanicznych zakończeń. Na koniec, gdy udręka stała się już prawie ulgą, zemdlął.

DZIESIĄTY SZCZEBEL

17 września 1866 - 21 lipca 1867

Kiedy Penny została zatrudniona w kuchni jako posługaczka, miała zaledwie piętnaście lat. Do jej obowiązków należało pranie ubrań służących w ogromnych kotłach pełnych wrzątku i sody, patroszenie i skrobanie ryb, zmywanie rzeczonym piaskiem garnków i tłustych patelni oraz szorowanie na kolanach porowatej podłogi szczotkami ze sztywnej szczeciny. A kiedy lał deszcz, to właśnie Penny musiała chodzić do studni po wodę lub oporządzać świnię. A kiedy padał śnieg - nosić na plecach długi drag z zawieszonymi na końcach bańkami z mlekiem. I jeśli trzeba było wyczyścić zapchaną ubikację lub uporać się z jakimś innym niemiłym zajęciem, wybór nieodwołalnie padał na Penny. Ponieważ Penny została przyjęta ostatnia.

Jako wynagrodzenie za te wszystkie prace otrzymywała nędzną pensyjke i mogła jeść to, co wszyscy inni służący; tyle że była ostatnią, która siadała do stołu, mogła więc tylko wyskrobywać dno garnków. A ponieważ wszystkie pokoje i łóżka na poddaszu były zajęte - a żadna ze służących nie miała zamiaru rezygnować ze swych małych przywilejów - przygotowano dla niej siennik w murowanej drewnutni, sterczącej jak narośl zaraz za kuchnią, dotychczas niekwestionowanym królestwem myszy i pajaków. Penny miała prawo zaledwie do dwóch

łojowych świec tygodniowo, by rozpraszać przerażające ciemności.

Ale Penny prawie nie zauważała tych niedogodności, ponieważ i tak spała i jadła lepiej niż kiedykolwiek w życiu. I nigdy wcześniej nie uważano jej za coś lepszego niż tu, w rezydencji rodu Noverre.

Jednak dla dwóch osób - i, o paradoksie, poniekąd, z tego samego powodu - Penny nie pozostała niezauważona.

Pierwszą był mały hrabia Noverre, który miał już dwanaście lat. Tak naprawdę to Penny zwróciła na siebie jego uwagę, ponieważ natychmiast go zauważyła, zniekształconego i odstręczającego w swej kalekiej postaci, i uznała za kolejny niemiły obowiązek, który na niej spoczywał. Nieproszona przez nikogo, ale też bez cienia sympatii czy ciepła, Penny - mimo że Zóla doskonale wywiązywał się ze swego zadania - zaczęła pomagać chłopcu, kiedy widziała, że ma jakieś kłopoty. A powód, dla którego dorastający Noverre ją dostrzegł, stanowił fakt, że była prawie ich rówieśnicą, w tym domu zaś, oprócz niego i Zoli, nie przebywał nikt równie młody.

Drugą osobą, która zauważyła Penny, był Gabriel Sciron i - tak samo jak Noverre - pozostawał pod urokiem jej młodego wieku, choć z innych powodów.

Penny miała ciemnorude włosy, a pod warstwą brudu delikatną i gładką mleczną cerę. Oczy w intensywnie błękitnym kolorze, błyszczące, choć niewielkie. Drobne były też jej uszy, nos, dłonie i stopy. Z kolei piersi i pośladki - pełne, okrągłe i jędrne - jak usta, które przypominały przekrojoną truskawkę. Nie była piękna, ale zawsze odkąd dojrzała, pociągała mężczyzn, co nastąpiło dość szybko. Instynktownie wiedziała, jak patrzeć, jak układać wargi, miała w sobie jakąś wulgarną i jednocześnie zmysłową miękkość, tak że mężczyznom od razu kojarzyła się z seksem. Choć Penny nie zachowywała się prowokująco, była jedną z tych istot, które mężczyznom wydają się zawsze chętne. Na tyle chętne, by ich uwolnić od wszelkich trudów uwodzenia, koniecznych raczej w sprawach miłości, a nie seksu.

Penny nie była dobra. Ale nie była też zła. Ot, po prostu starające się przeżyć stworzonko, dla którego świat zewnętrzny jest istotny o tyle, o ile wiąże się z jej własnymi potrzebami i interesami. Żadne inne relacje, ani moralne, ani uczuciowe, jej nie interesowały, jakby podświadomie uważała, że każdy na tym świecie zachowuje się tak jak ona. Że nie istnieje inna wartość poza własnym interesem. Nie było to jednak nastawienie pesymistyczne, zatrute goryczą frustracji, lecz jedynie jej sposób widzenia świata, owoc mizernych doświadczeń i ograniczenia umysłu. I dziedzictwo dziecięcego egoizmu, nierozzerwalnie związanego z jej ubogą naturą i

dlatego niemające nic wspólnego z okrucieństwem czy cynizmem. Penny była tym, kim była, i nikim więcej.

Miesiąc po przybyciu do rezydencji, jednego z niewielu popołudni, kiedy nie potrzebowano jej usług, Penny krążyła po wsi. Postanowiła przejść się w kierunku fabryki, ponieważ wszyscy służący o niej opowiadali. Mówiono, że budują tam całą osadę dla robotników i dwa kominy, które będą sięgać nieba, wyższe od katedralnej dzwonnicy. Słyszała też, że robotnicy w porównaniu ze służącymi to prawdziwi panowie, którzy zarabiają masę pieniędzy, nie musząc się przy tym babrać w gównie jak oni. Mówiono, że każda robotnicza rodzina będzie mieszkała w murowanym, piętrowym domku z piecem węglowym oraz robiła zakupy w przyfabrycznym sklepie, gdzie wszystko miało kosztować połowę tego, co na rynku. Mówiono, że za kilka lat spółka cukrownicza zakupi wszystkie pola, ciągnące się aż po horyzont, i że będzie się tam uprawiać tylko buraki. A Penny nigdy nie widziała żadnego robotnika i chciała zobaczyć, jacy oni są.

Ale przeszła ledwie kilka kilometrów, gdy jej uwagę przykuło zbiorowisko ludzi, którzy pracowali, śpiewając. Zaciekawiona zboczyła z drogi prowadzącej do fabryki i podeszła do grupy. Najpierw zobaczyła dwa wielkie wozy, pełne zbożowych plew, a obok kilku mężczyzn, którzy budowali niskie ogrodzenie z drewnianych desek, wysokości kilkunastu cali. Penny przystanęła za krzakiem i im się przyglądała. Grupka kobiet rozpałała ognisko i zaczęła mieszać w dużych kotłach łój na świece. Kiedy „niecka” - Penny usłyszała, że tak właśnie nazywają okrągłą zagrodę, którą budowali - została ukończona, dwa wozy, załadowane plewami, podjechały bliżej i zrzuciły ładunek do środka, wprost na ziemię. Następnie blisko dwadzieścia szalejących i wrzeszczących dzieciaków rzuciło się na kupkę plew i zaczęło równo rozkładać je rękami i nogami w niecce. Dorośli i dzieci, mężczyźni i kobiety śmiali się i śpiewali. Ale Penny nie rozumiała dlaczego. Wyszła więc z ukrycia i podeszła do grupki.

- Dziś wieczorem tańczymy na płótnie! - wyjaśniła jej jedna z kobiet.

Tymczasem dzieci skończyły wyrównywać i uklepywać plewy i pięciu mężczyzn z jednej strony oraz pięciu z drugiej, trzymając wielką połąć surowego płótna, położyło go na niecce, przymocowało z jednej strony, wbijając w ziemię drewniane paliki, naciągnęło, aż powierzchnia stała się idealnie gładka, i przymocowało z drugiej. Następnie kobiety, które stały przy kotłach, wylały roztopiony i jeszcze wrzący łój na płótno, a jeden z mężczyzn, bosy, zaczął wyrównywać go za pomocą drewnianego narzędzia. Kiedy skończył, starzec w dwóch grubych szklach na

garbatym, zakrzywionym nosie jał krążyć wokół płótna nasączonego łojem, który zdążył już skrzepnąć i wystygnąć. Zatrzymywał się co chwile, kiwał głową i jedną rękę wznosił do nieba, a drugą wskazywał na płótno. Potem kontynuował obchód, ale w miejsce, które wcześniej wskazał, natychmiast ktoś biegł i wyrównywał łój. Drugi mężczyzna, z pochodnią, przysuwał tam gorący płomień, a inny ponownie wyrównywał powierzchnię. Kiedy uznano, że płótno jest gotowe, stara para tancerzy wyjęła z worka lekkie buty, wyszła na środek kręgu i przy dźwięku skrzypiec zatańczyła na próbę. Na koniec występu obsypano ich brawami. Cieśle wykonali drewniane ogrodzenie tak, że po obu stronach znajdowało się przejście. I tam przywiązali sznur z juty o długości połowy obwodu kolistego placyku do tańca.

Oczy Penny rozblęły radością. Nigdy nie tańczyła na płótnie ani nie słyszała o czymś takim. Była to scena dla wprawnych tancerzy, tak gładka, że obiecywała wszelkiego rodzaju wirtuozowskie ewolucje.

- Kiedy się zacznie? - spytała podekscytowana.

- Jak tylko zrobi się ciemno - odparła druga kobieta, a potem zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów i dodała: - Za to się płaci, wiesz o tym?

Penny stanęła oniemiała, z otwartymi ustami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Płaci się? - wymamrotała w końcu. Kobieta zaśmiała się.

- Ta tutaj chce tańczyć za darmo - powiedziała do innych kobiet. Wszystkie się roześmiały. Mężczyźni również.

- Myślałaś, że się tak trudzimy dla twoich pięknych oczu? - wołały za uciekającą Penny.

Przebiegła ledwie kilkaset kroków, zalana łzami złości jej policzki, gdy jakiś mężczyzna na koniu przeciął jej drogę. Penny rozpoznali go i przystanąła.

- Pan nowy hrabia - rzekła, spuszczać wzrok.

Tego dnia Sciron usłyszał po raz pierwszy z ust nieświadomej Penny swój przydomek. I nie poczuł się urażony.

- Spotkamy się za dwie godziny pod dębem, za bramą - oznajmił bez wstępów.

Penny podniosła wzrok i otworzyła usta, by coś powiedzieć. Ale Sciron zrobił to za nią.

- Może będę mógł ci pomóc zatańczyć dziś wieczorem - rzekł i wbił ostrogi w boki konia.

- Zmykaj stąd! - krzyknął, oddalając się galopem.

Dąb był wiekowym drzewem, które wyrosło tu jeszcze przed wzniesieniem rezydencji, kiedy cały ten obszar porastał bór. Dąb jedyny ocalał z rzezi lasu. Był ogromny, o tak szerokiej i

gęstej koronie, że w promieniu dwudziestu stóp trawa wyrastała z nie lada trudem. Jego pień został rozłupany na wysokości dziesięciu stóp przez piorun, który wypatroszył drzewo, ale go nie zabił, tworząc wnękę, w której mogło się schronić przed deszczem dwóch roślących, potężnych mężczyzn, nawet się nie dotykając.

Kiedy Penny dotarła wieczorem do dębu, natychmiast zobaczyła wewnątrz dziupli błękitną suknię z czerwoną falbaną u dołu spódnicy i białą koronką wokół mocno wyciętego gorsetu. I czerwoną wstążkę do włosów z błyszczącego jedwabiu. I w jednej z dwóch kieszonek, która widocznie odstawała, znalazła dwadzieścia małych monet. Dwadzieścia tańców.

- Podoba ci się? - usłyszała głos Gabriela Scirona. Penny odwróciła się z oczami jaśniejącymi radością.

- Pokaż mi, jak na tobie leży - zachęcił, zsiadając z konia i podchodząc do niej. Powiedział to w taki sposób, że nie musiał nic więcej dodawać.

Penny spojrzała na niego. Potem rozsznurowała sukienkę pomywaczki, którą miała na sobie, i zsunęła ją na ziemię. Zrobiła krok do środka dziupli i przymknęła oczy, gdy Sciron dotknął jej piersi.

- Nie, proszę poczekać - odezwała się, kiedy ręce Scirona zjechały w dół, by rozpiąć spodnie. Wzięła błękitną sukienkę i położyła ją nieco dalej. - Nie chcę jej pognieść - wyjaśniła. Potem uśmiechnęła się i rozłożyła ramiona.

Nagie plecy otarły się o szorstkie drzewo, kiedy Sciron wchodził w jej ciało, gwałtownie, niemal ze złością, częściowo tylko rozebrany. Jedną ręką Penny przyciągała do siebie nowego hrabiego, a drugą gładziła delikatną materię sukienki, w której miała zatańczyć. Dwadzieścia monet w kieszeni brząkało rytmicznie.

Tamtego wieczoru Penny nie myślała w tańcu o nieznanym mężczyźnie, który na wiele miesięcy miał zostać jej kochankiem, nie, jedynie w krótkich chwilach po zakończeniu każdego kawałka - gdy jeden z pilnujących porządku ciągnął za sznur, by wypchnąć tancerzy do wyjścia niby stado owiec - czuła jego wystygły już płyn, który sklejał wewnętrzną stronę jej ud. Ale była to myśl przelotna, ponieważ rozpalona, podniecona zabawą Penny natychmiast sięgała po kolejną monetę i obiegała ogrodzenie, by znowu wejść i tańczyć. Nieważne z kim.

Sciron miał prawie trzydzieści dwa lata, gdy został kochankiem Penny. A hrabina prawie czterdzieści cztery. Od pierwszego, nieudanego eksperymentu na małym potworze minęły nie

więcej niż trzy lata.

Początkowo Sciron próbował naprawić to, co zadziało, nie po jego myśli, próbując ograniczyć przepływ energii elektrycznej i zmniejszając do minimum ciężar akumulatora, tak by chłopiec mógł osiągnąć pewną swobodę w poruszaniu rękami, ale szybko musiał się poddać. Rany na kikutach zaczęły się zaogniać i jedynym sposobem na uśmierzenie bólu było zwiększanie dawek morfiny. Niezależnie jednak od tych pseudonaukowych niepowodzeń, Sciron zrezygnował z całego przedsięwzięcia, gdyż hrabina, choć nadal ceniła sobie jego walory seksualne i domagała się zaspokojenia, szybko zaczęła wypominać mu medyczne niedołęstwo. Sciron nie potrafił zrozumieć, że jego kochanka podświadomie znalazła sposób, by przelać na niego frustrację, jaką sama znosiła przez lata od starego hrabiego Noverre. Nie pojmował, że kobieta - oskarżając go o to, że nie jest w stanie przyprawić rąk potworowi, który zniszczył jej życie - zrzuca na niego winę, bezlitośnie wypominaną jej niegdyś przez męża. Ale nawet gdyby Sciron o tym wiedział, to przecież jego egoistyczna natura nie znała wyrozumiałości ani wybaczenia. A charakter ich seksualnego, ale nie miłosnego i czysto egoistycznego związku nie zakładał potrzeby solidarności czy współczucia. Dlatego uraza Scirona w stosunku do tej, którą nazywał już teraz „panią” - co znaczyło, że nadal określa siebie jako służącą - przez owe trzy i pół roku rosła coraz bardziej. I urosła na tyle, że imperatywem dla Scirona stała się sroga zemsta na kobiecie, która go tyranizowała.

Sciron potrafił dobrze interpretować fakty. Wiedział, że hrabina go nie kocha. Ona go po prostu posiadała. A on ją wykorzystywał. Hrabina nie miała właściwie słabych punktów. Jedynym jej słabym punktem był wiek - i Sciron od razu to zrozumiał.

Dlatego zaczął ją zdradzać. Najpierw z prostytutkami, potem z pulchną służącą. Nie obchodziły go te kobiety, nie odczuwał też wcale palącej żądz. Jedynym warunkiem, jaki musiały spełniać jego kochanki, był wiek. Młodość przeciwstawiona starości hrabiny. Ale żadna nie była tak młoda jak Penny.

Pierwszego wieczoru, gdy ją posiadał, Sciron postanowił pojechać na koniu aż na wzgórze górujące nad kręgiem do tańca. Obserwował ją stamtąd, z oddali, jak tańczy w świetle pochodni - błękitna plamka z czerwoną wstążką we włosach. Jesteś najmłodsza z wszystkich kobiet, jakie miałem, pomyślał. Masz prawie trzydzieści lat mniej od pani, uświadamiał sobie z sadystyczną satysfakcją za każdym razem, gdy ją brał, z początku zawsze na stojąco w dziupli wiekowego dębu, potem w drewnitni, zachowując coraz mniejszą ostrożność, jakby jego celem było to, by ich

nakryto - ryzykując nawet wypędzenie - po to tylko, by mógł powiedzieć swej pani: „Robię to, bo twe starzejące się ciało przyprawia mnie o mdłości”.

Młody Noverre spędzał większość czasu w bibliotece, gdzie pożerał książki, które kartkował mu Zóla. Czytał wszystko, od greckich tragedii po podręczniki naukowe, od traktatów filozoficznych po dzieła epickie. Książki rzadkie, książki zakazane, początkowo wybierane niemal na chybił trafił, byle tylko wypełnić czymś pozbawiony kontaktów z ludźmi czas i zwalczyć straszliwy głód morfiny, który zaszczepił w nim Sciron. Kiedy eksperymenty na kikutach ustały, także podawanie narkotyku zostało przerwane. Musiał znowu włożyć drewniane ręce i maskę z papier mache. Latem w masce było duszno. Pot rozpuszczał klej. Zimą maska zamarzała i drapała skórę. A jego ciałem wstrząsały dreszcze narkotykowego głodu. W tym właśnie okresie, po zaniechaniu przez Scirona dalszych eksperymentów, zaczął zamykać się w zakurzonej bibliotece, nigdy nieodwiedzanej przez matkę, gdzie Zóla zdejmował mu maskę i przewracał strony w książkach. Mały Noverre czytał na głos przez całe godziny, by przerwać ciszę, by zagłuszyć brzmieniem własnego głosu i historiami o znamienitych mężach krzyk morfinowego głodu. A kiedy ciało nie słuchało się już dłużej umysłu, kiedy spazmy stawały się tak silne, że rzucały go na ziemię, gdzie wił się w konwulsjach, Zóla kładł się na nim, przygważdżał go swym masywnym ciężkim ciałem, unieruchamiał i płakał, nie wiedząc nawet dlaczego.

Najbardziej fascynowały kalekę traktaty medyczne. W tym czasie mały Noverre nie potrafiłby nawet powiedzieć dlaczego. Ale po wielu latach, gdy ukończył celująco studia w tej dziedzinie, pomyślał, że to Sciron, całkowicie bezwiednie, pierwszy go zainteresował medycyną. I że on sam podświadomie zajął się nią właśnie po to, by wyprostować to wszystko, co wypaczył w niej Sciron, po to, by zostać prawdziwym lekarzem. Sciron próbował ulepszyć ciało małego hrabiego Noverre, a Noverre postanowił symbolicznie ulepszyć duszę Scirona.

Kiedy Penny przybyła do rezydencji, Noverre już prawie całkowicie uwolnił się od morfinowego uzależnienia, ale do wszystkich jego skrzywień doszło kolejne kalectwo. Kalectwo spojrzenia. W oczach chłopca, który miał już dwanaście lat, wyczytać można było teraz ból i gorzką świadomość dorosłego człowieka. Nieszczęsne dzieciństwo, jakie przypadło mu w udziale, skończyło się bezpowrotnie. Potwór zdecydowanie przedwcześnie - podobnie jak przedwcześnie rozwinięty fizycznie Zóla przeistoczył się w olbrzyma - stał się mężczyzną. I to,

czego nie zdołała dokonać ani natura, ani ból związany z wymuszonym odtruciem, dokonywały z każdym dniem coraz poważniejsze lektury, wyzwajając dojrzałą i bystrą inteligencję, która wynagrodziła kalece fizyczną ułomność.

Tylko chwilami stawał się na powrót dzieckiem: kiedy wślizgiwał się do kuchni, siadał w ciemnym kąciku, z boku komina, gdzie blask płomieni nie ukazywał służącym w zbyt wyrazisty sposób jego odrażających kształtów, i prosił starą kucharkę, by opowiedziała mu po raz kolejny przerażającą historię jego narodzin, jedynie po to, by usłyszeć ostatnie zdanie, wykrzywane przez ojca: „Szukajcie w pochwie tej suki kości, których brakuje mojemu synowi!”, wyłącznie po to, by usłyszeć słowo, którym już nigdy potem go nie nazwano. Syn. By poczuć się synem, przynajmniej dla swego ojca. W takich właśnie okolicznościach poznali się z Penny, która zwróciła na niego uwagę, kiedy rozpuszczany przez kucharkę Zóla akurat opychał się jedzeniem.

- Paniczu - powiedziała pewnego dnia Penny do młodego hrabiego Noverre, wślizgując się ukradkiem do biblioteki - chce panicz zostać moim przyjacielem?

Noverre zamarł, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Jeśli panicz się zgodzi - ciągnęła dalej Penny - może panicz, taki mądry, będzie mógł mi wyjaśnić coś, o co nie mogę zapytać innych.

- Tak... - rzekł nieśmiało Noverre.

- Słyszałam - Penny zniżyła głos - że jak ustaje miesiączka, to dziewczyna spodziewa się dziecka... - Przerwała. - Czy to prawda, paniczu?

- Miesiączka - powtórzył Zóla, nic nie rozumiejąc. I wybuchnął śmiechem.

JEDENASTY SZCZEBEL

12 października 1867

- Wejdz - powiedziała hrabina.

Penny miała na sobie błękitną sukienkę z czerwoną falbaną, w której tańczyła po raz pierwszy na płótnie. Z opuszczoną głową, zakładając kosmyk miedzianych włosów za ucho, powoli weszła do wielkiego salonu.

Na kanapie pośrodku siedziały cztery kobiety, które Penny znała. Pierwszą z nich była pani Couze, drugą pani Caldwell, trzecią pani Fairfirth, czwartą pani Boamorte. Obok kwiecistej zasłony stała odwrócona tyłem hrabina. Na oddalonej nieco kozetce siedział w masce małego boga, z drewnianymi rękami, młody hrabia Noverre. A obok niego Zóla.

Penny stanęła na środku salonu, gdzie było dość ciemnawo.

- Miesiączka - powiedział Zóla i wybuchnął śmiechem.

- Cicho, idioto - zwróciła mu uwagę hrabina lodowatym tonem. - A ty, dziewczyno, podejdź bliżej.

Penny znów zrobiła dwa kroki.

- Bliżej - nakazała hrabina, odwracając się przodem. - Chcę, by moje przyjaciółki przyjrzały się dobrze twojej twarzy.

Penny podeszła bliżej i stanęła przed czterema kobietami, siedzącymi na kanapie. Nie podniosła oczu. Mogła tylko dostrzec rąbki spódnic bogatych dam.

- Ile masz lat? - spytała hrabina, która znów odwróciła się tyłem.

- Szesnaście, pani hrabino - odparła Penny.

- A jak ci na imię?

- Penny, pani hrabino.

- I z tego, co widzę, nie jesteś pewnie warta więcej niż twoje imię - oświadczyła zimno hrabina.

Jedna z kobiet roześmiała się. Penny zdawało się, że rozpoznaje nosowy głos pani Couze. Ale wciąż stała z opuszczoną głową. Tylko ręce, które wcześniej trzymała z szacunkiem za plecami, wysunęły się do przodu, jakby chciały podtrzymać, czy ochronić brzemię, które ciążyło jej od siedmiu miesięcy.

- Nie jesteś zamężna, prawda? - spytała hrabina.

- Nie, proszę pani.

- Ale coś ci rośnie w brzuchu.

- Tak, proszę pani.

- Czyli że jesteś dziwką. Penny nie odpowiedziała.

- Ale jest coś gorszego niż bycie dziwką - ciągnęła dalej hrabina, wydychając mroźną pogardę na szyby w oknie i nadal nie patrząc na Penny. - Wiesz, co to takiego?

- Nie, proszę pani.

- Kłamliwa dziwka.

Hrabina odwróciła się, podeszła w milczeniu do Penny i zatrzymała się za jej plecami. Penny wciąż stała nieruchomo.

- Wiesz, co to znaczy „kłamliwa”?

- Nie, proszę pani.

- Dziwka, która opowiada łągarstwa - ciągnęła dalej hrabina cichym i lodowatym głosem. -
Łągarstwa, które szkalują honor innej osoby. Teraz rozumiesz?

- Tak, proszę pani.

- Więc teraz rozumiesz, dlaczego jesteś kłamliwą dziwką?

- Nie, proszę pani.

- To prawda, że rozpowiadasz wokół, że ojcem tego, co ci rośnie w brzuchu, jest niby...
doktor Sciron?

- To on, pani hrabino.

Rozległ się kolejny śmiech jednej z czterech kobiet na kanapie. Tym razem wysoki i cienki. A potem atak kaszlu. Penny podniosła na chwilę oczy i zobaczyła, jak pani Caldwell ociera wąskie usta chusteczką. I zaraz potem Penny spuściła wzrok.

- To dlaczego doktor Sciron - ciągnęła hrabina - kiedy dowiedział się, że rzucasz te haniebne oskarżenia, poprosił mnie o interwencję? Dlaczego nie ma go tutaj, by cię bronić?

Penny odwróciła głowę. Blask naftowej lampy odbijał się w nieruchomym, lśniącem uśmiechu z szelaku na masce młodego hrabiego Noverre.

- Nie wiem... - odparła.

- Nie ma go tutaj, by cię bronić, ponieważ opowiadasz łągarstwa.

- Nie, proszę pani... nie, ja...

- Milcz, dziwko! - krzyknęła hrabina. Kiedy echo jej wrzasku ucichło, rozkazała: -
Podnieś spódnicę. Pokaż nam ten brzuch, bo może i to jest łągarstwem.

Penny chwyciła za skraj spódnicy i powoli podciągnęła ją do góry, aż pod piersi, już nabrzmiałe od mleka.

- Nawet nie nosisz majtek, dziwko - rzekła hrabina. Trzecia kobieta, pani Fairfirth, roześmiała się i powiedziała:

- Należałoby zabić tego bękarta.

Penny stała nieruchomo ze sterczącym, nagim brzuchem i rękami zaciśniętymi na spódnicy.

Wtedy pani Boamorte podniosła się z kanapy z niskim, chrapliwym i przerażającym śmiechem i podeszła do Penny. Dziewczyna wciąż miała oczy wbite w podłogę, ale czuła oddech kobiety o ciemnej karnacji i czarnych jak słoma włosach, arystokratki, której rodzina pochodziła z dalekiej kolonii przypraw.

- Tak, należałoby go zabić - rzekła grobowym głosem. Położyła dłoń z obrączką na brzuchu, nakreśliła szybki znak i powiedziała: - *Mala suerte*. - A potem splunęła na brzuch.

Także pani Couze i pani Caldwell oraz pani Fairfirth wstały i splunęły na brzuch Penny. Potem znowu usiadły.

- A teraz wynoś się - nakazała hrabina - i nie pokazuj się tu już nigdy, bo każę poszczuć cię psami.

Penny nie była w stanie się ruszyć. Czuła zimną plwocinę czarownicy i innych kobiet, powoli spływającą po napiętej skórze brzucha. Ale nie zbierało jej się na płacz.

- Wynoś się! - wrzasnęła hrabina.

Penny rozprostowała palce i kurtyna z błękitnego materiału opadła na jej wstyd. Dopiero wtedy oczy zaszyły łzami. Odwróciła się i wybiegła z salonu. W kuchni nie zastała służących. Dom wydawał się opuszczony. Próbowwała schronić się w drewnitni, ale drzwi były zabite deską. Na ziemi, w błocie, leżało zawiniątko z jej nędznymi rzeczami. Penny podniosła je i po raz ostatni odwróciła się w stronę domu.

W drzwiach kuchni zobaczyła Scirona. Kochanek trzymał w ręku skórzaną sakwę, dużą i nieforemną jak moszna byka, zawiązaną na górze jedwabną czerwoną wstążeczką. Ojciec dziecka, które rosło jej w brzuchu, rzucił sakwę i zniknął wewnątrz domu, zanim ta z brzękiem złota dotknęła ziemi.

Penny rozwiązała wstążeczkę i zobaczyła więcej złotych monet niż kiedykolwiek w życiu. Uśmiechnęła się, a łzy przestały zalewać jej twarz. Zacisnęła sakwę, wsunęła ją do ubłoconego zawiniątka, poszła do wodopoju dla koni i lodowatą wodą zmyła ślinę pani Boamorte, pani Couze, pani Caldwell i pani Fairfirth. Potem odeszła z rezydencji, ani razu nie oglądając się za siebie.

Gdy minęła bramę, zobaczyła, że wiekowy dąb, gdzie po raz pierwszy została wzięta przez Scirona, na rozkaz hrabiny ma być zaraz ścięty. Wszyscy służący zebrali się wokół wielkiego drzewa. Ale Penny nie zatrzymała się, by popatrzeć, tylko skręciła na drogę prowadzącą do miasta. Wcześniej słyszała, jak wieśniacy mówili, że tego, kto zetnie drzewo, spotka nieszczęście. I życzyła sobie w głębi serca, by to była prawda. I żeby klątwa dotknęła też tamte inne kobiety, z których jedna poraziła jej wnętrzności śliną czarownicy.

Penny była już daleko, kiedy usłyszała, jak drzewo pada na ziemię z niesamowitym łoskotem, przypominającym grzmot.

Ścisnęła mocno obiema rękoma sakwę pełną złotych monet, które miały uratować ją i jej dziecko.

- *Mala suerte*, hrabino - powiedziała.

DWUNASTY SZCZEBEL

31 grudnia 1867

Urodził się bez krwi, tak mówiła jego matka. Dziecko bez krwi. I przychodząc na świat, nie pozwolił również, aby ona wylała zbyt dużo krwi. Skuliła się w kącie kuchni, pod wielkim stołem, na którym wyrabiano ciasto na chleb. Podłoga była biała od mąki, delikatnej jak talk. Skuliła się tam, ponieważ nagle poczuła jakiś ruch, bardziej parcie niż ból. Skuliła się, ponieważ, jak mówiła, kobiety - choć ona sama była jeszcze dziewczyną - są jak zwierzęta i zawsze wiedzą, co robić. O tej porze w kuchni nie było nikogo poza nią. Chleb wyjęto już z pieca. Do obiadu pozostało jeszcze sporo czasu. Wszyscy mieli coś innego do roboty w związku z przygotowaniami do Nowego Roku. Jedni byli na rynku lub w ogrodzie warzywnym, inni w kurniku, pozostali zbierali zioła bądź drewno. Do kuchni wpadał promień słońca, jeden z niewielu promieni słońca, jakie docierały do tego ponurego miasta. I promień słońca - dopiero wtedy to zauważyła - rysował ukośną linię, zapyloną mąką, od okienka na górze do miejsca pod wielkim stołem. Dopiero kiedy się skuliła, zauważyła, że promień słońca, tak niecodzienny dla tych okolic, malował lśniący dywan pod stołem, jakby ją tam zapraszał. To dobry znak, pomyślała. Nieobecne zazwyczaj słońce postanowiło oświetlić dziecko wydawane przez nią na świat na lśniącym dywanie z białej, oczyszczonej mąki. Mąki dla panów.

Skuliła się akurat w momencie, gdy wody z pluskiem zalały chropowatą podłogę. Wcześniej nastąpił silny skurcz, ale nie był bolesny, jak opowiadały jej przyjaciółki, które już rodziły. Ciepłe klucie, może nawet palące, które trwało tyle co oparzenie. Tyle że po tej palącej chwili „ta część” - jak ją nazywała - stała się nieczuła na ból. Pochyliła głowę między nogi i zobaczyła, że ciałko noworodka jest już na podłodze, oprócz maleńkich stopek, które po chwili wysliznęły się, łaskocząc ją przyjemnie.

Krew wcale, no, prawie wcale, nie wypływała z tej części. Tylko wody. Nie było żadnej krwi, prawie żadnej, na białej skórze noworodka. Jedynie przezroczysta, błyszcząca patyna. Maleństwo po wyjściu z tej części przekreśliło się i leżało teraz na podłodze na brzuszku. Widziała jego blade plecy, małą, kragłą pupkę, nóżki z lekko startą skórą pod kolanami. I krótkie jeszcze, pulchne rączki, którymi maluch poruszał na podłodze, w wodach, jakby pływał. Jasne

dziecko, tak jasne, że na pewno musiało narodzić się bez krwi w ciele, wyglądało, jakby pływało w mące i w wodach. Ale ono nie pływało, nie bało się, że się utopi - jak opowie po wielu latach matka - ono mieszało mąkę z wodami z jej macicy. Wyrabiało chleb, który miał mieć zapach tego świata - mąki - oraz jego świata, gdzieś daleko. Tego, z którego przybył. Wód, w których pływał przez dziewięć błogosławionych miesięcy.

Wtedy matka, zanim jeszcze objęła nowo narodzoną istotkę, uklękła przy nim i pomogła mu wyrobić cudowny chleb, jak we śnie, jakby nie było nic pilniejszego do zrobienia. Połączyła swe wody z mąką, śmiejąc się wraz z synkiem, który nie płakał. I kiedy powstała mała, zwarta grudka, zebrała ją i rozwałkowała na dużym stole, trzymając na ręku noworodka, wciąż połączonego z nią pępowiną. Oprószyła mąką płaski placek, bez soli i drożdży, niczym przaśny chleb matczyny. Potem wzięła nóż, którego używała do przekrawania na pół słodkich bułek na mleku, które rankiem smarowano świeżym masłem, i przecięła łączącą ich smycz. Popatrzyła na świeżo odcięty, cienki powróż ciała, blade jak kielbasa bez krwi, i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, śmiejąc się tylko bez troski, zwinęła go na przaśnym chlebie, który dochodził na kamiennej płycie w piecu, i zostawiła, aż się przypiekl.

Czekając, przyjrzała się bacznie synowi, po raz pierwszy od jego przyjścia na świat. Był piękny, przezroczystoblady, niczym posągi świętych lub oblicza arystokratów na portretach. I oprócz naturalnej, matczyniej dumy poczuła swoiste poddaństwo. Stojąc przed niewidzącymi jeszcze, mlecznymi oczyma, poczuła się nie na miejscu. Poczuła się tym, kim jest: służącą wobec syna pana. Wobec wyjątkowej i jedynej w swym rodzaju duszy. Wobec wyższego bytu. Wobec boga. Onieśmielona spuściła oczy i podsunęła opuszkę palca, obklejoną jeszcze mąką i wodami, do jasnych i przezroczystych jak reszta ciała ust noworodka, który przyssał się do niego z wprawą i oczyścił go z zaschniętej skorupki.

Kiedy pierwsi służący wrócili do kuchni, zastali ją z noworodkiem u piersi. A ona jadła lekko przypieczony pszenney placek. Z dziwnym kawałkiem bladawego mięsa na wierzchu.

- To on go zrobił - powiedziała jedynie Penny.

TRZYNASTY SZCZEBEL

1 stycznia 1868 - 2 kwietnia 1871

- A jak go nazwiesz? - zapytała kuzynka.

Penny spojrzała na nią pustym wzrokiem. Nie myślała o imieniu. Aż do poprzedniego dnia nie docierało do niej, że jej syn naprawdę się urodzi.

Po wypędzeniu z rezydencji dziewczyna udała się do miasta. Nie знаła tam nikogo oprócz kuzynki, która była służącą w mieszczańskie rodzinie. Zapukała do drzwi dla służby i spytała ją, czy jej pomoże. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pomocnica kucharki odeszła kilka dni wcześniej i Penny została natychmiast zatrudniona. Kuzynka dała jej obszerną sukienkę i zakazała mówić komukolwiek, że jest w ciąży. Pani domu miała istną fobię na punkcie dzieci. Plan kuzynki zakładał porzucenie noworodka pod sierocińcem, ale Penny od samego początku była przeciwna temu pomysłowi. I kuzynka przyznała jej rację, gdy tylko ujrzała sakwę pełną złotych monet. Dzieliły łóżko na poddaszu i w ten sposób udało im się ukryć stan Penny aż do dnia poprzedzającego poród.

- Jak go nazwiesz? - powtórzyła kuzynka w obecności wszystkich służących.

- Dionizos - zaproponował kucharz, potężnie zbudowany mężczyzna o czarnych, kędzierzawych włosach. - Daj mu na imię Dionizos.

- A co to za imię? - spytała Penny.

- To imię mojego dziadka. Mój dziadek był największym szczęściarzem w całej rodzinie. Jeśli któregoś dnia urodzi mi się syn, nazwę go Dionizos.

- Ale to imię cudzoziemskie - zaproponowała kuzynka.

- I co z tego? - powiedziała Penny. - Czyż chłopczyk nie jest piękny jak cudzoziemiec? I miał już sporo szczęścia. Ile dzieci rodzi się w sakwie ze złotymi monetami, jak on? Tak, ma prawo do imienia szczęściarza cudzoziemca. Będzie nazywał się Dionizos.

Nazajutrz rano pani domu weszła do kuchni i zobaczyła Penny karmiącą dziecko. Wpadła w szal i zwolniła ją razem z kuzynką.

Obie kobiety z Dionizosem znalazły się na ulicy, i to bez referencji, których odmówiła im pani. Wynajęły obskurny pokój w pensjonacie na peryferiach i - silnie myślą o sakwie pełnej złotych monet - odsuwały z dnia na dzień poszukiwanie pracy. I tak, bez szastania pieniędzmi, ale też bez zbytnich wysiłków - spędziły rok. Pod koniec roku jednak pieniądze prawie się skończyły. Penny obliczyła, że zostały trzy monety, i tego ranka postanowiła wrócić do rezydencji rodu Noverre, pewna, że ojciec Dionizosa, nowy hrabia, napelni ponownie sakwę.

Ale Gabriel Sciron - któremu hrabina bezustannie zatruwała życie od chwili, gdy odkryła jego zdradę - nie wpuścił dziewczyny nawet do kuchni i w ogóle nie spojrzał na syna.

- Jesteś jeszcze młoda - rzekł pogardliwym tonem i pomacał biust Penny niczym

hodowca, który otwiera młodej klaczy pysk, by sprawdzić, czy jest zdrowa. - W mieście znajdziesz wielu mężczyzn, gotowych dać ci pieniądze.

Potem zamknął drzwi.

Penny stała bez ruchu przez kilka chwil. W mroźnym powietrzu wirowały płatki śniegu. Dziecko zaczęło płakać. Penny splunęła na drzwi i uczyniła w powietrzu znak, który czarownica Boamorte nakreśliła nad jej brzuchem.

- *Mala suerte* - rzuciła w stronę domu i odeszła.

Gdy przechodziła obok miejsca, gdzie ścięto wielki, wiekowy dąb, zdawało jej się, że widzi niskie, młode drzewko. Ale było bezlistne i Penny ruszyła prosto do miasta, nie zatrzymując się, by lepiej mu się przyjrzeć. Gdyby podeszła bliżej, zobaczyłaby - pod cienkim całunem śniegu - że wieśniacy nie zatruli ani nie wykarczowali korzeni i pnia, lecz zasypali je tłustą ziemią z nawozem, i już po roku pierwszy dziki pęd starego drzewa, które nie poddało się śmierci, postanowił wyrzeć na światło dzienne, od wieków dające mu życie. Po powrocie do obskurnego, wynajmowanego pokoju Penny dała upust swej rozpacz. Miała siedemnaście lat, nie była dziewczicą i zdawało się, że w całym mieście nikt nie potrzebuje służby. Opowiedziała kuzynce, co doradził jej Schron, z nadzieją, że ta okaże stosowne oburzenie.

- Głupia jesteś. Ten twój hrabia ma rację - powiedziała jednak kuzynka. - Chcesz skazać nas wszystkich troje na głód? Splugawiłaś się dla jednego tańca, więc dlaczego nie miałabyś tego zrobić dla miski zupy?

Tydzień później połowa ostatniej monety poszła na czerwoną, wyzywającą sukienkę z rozcięciem w spódnicy, ukazującym nogi Penny, w pomarańczowych pończochach z błękitnymi podwiązkami, i z głębokim dekoltem, który łatwo się rozchyłał i ukazywał jasne piersi, by przyciągnąć potencjalnych klientów.

Minał kolejny tydzień i Penny oddała się mężczyźnie, który nie cuchnął alkoholem.

Od tego dnia stała się dziwką. I nie zwracała już więcej uwagi na oddech swych klientów.

Natomiast kuzynka w ciągu miesiąca poznała rzeźnika i wyszła za niego za mąż. Jednak rzeźnik nie wziął do siebie Penny, ponieważ był jednym z pierwszych, którzy poszli z nią do łóżka za pieniądze, a dziwek, jak powiedział, w swoim domu nie chce.

I tak Penny została sama z Dionizosem.

Gdy zarobiła trochę pieniędzy, opuściła obskurny pokój na peryferiach i znalazła inny,

równie obskurny, w dzielnicy prostytutek, gdzie obsługiwała klientów. Tam też poznała i zaprzyjaźniła się z kilkoma koleżankami po fachu. Była wśród nich Inna, która wolała kobiety; Kulaska podniecająca klientów drewnianą nogą; Pasjonata, z ogniem płonącym w środku, którego nie byli w stanie ugasić ani klienci, ani kochankowie; Grzmot, wielka jak mężczyzna; i ta, na żądanie, naśladując Sztuczkę dawnego adoratora, puszczała głośne wiatry, wsadzając sobie w tyłek gwizdek. I w końcu Gniewna, która uzbrojona w bicz i różne narzędzia potrafiła sprowadzać przyjemność przez tortury. Penny została szybko nazwana Wielopensówką, ponieważ dzięki młodemu wiekowi i zmysłowej urodzie zarabiała najwięcej ze wszystkich swoich nowych przyjaciółek.

Jednak świeżość Wielopensówki, jak to bywa ze wszystkimi kwiatami, o które nikt nie dba, zwiędła zaledwie w ciągu roku. Teraz Wielopensówką była taką samą dziwką jak wszystkie inne. Czerwona sukienka wyblakła, dekolt rozdarł się, wystawiając piersi ciągle na pokaz w mroźnym i wilgotnym wietrze, wiejącym zawsze w mieście, błękitne podwiązki straciły już elastyczność i nie przytrzymały pomarańczowych pończoch, pełnych dziur, włosy w kolorze miedzi, od których kiedyś płonęły ulice, przemierzane przez Wielopensówkę, teraz były zawsze brudne i matowe. Dziewczyna, która niegdyś sprzedawała się za taniec na płótnie, miała odmrozone stopy i wolała pić kiepski dzin niż tańczyć. Przemozna gorycz, usypiająca duszę, przenikała ją, podobnie jak wilgoć tego pozbawionego nadziei miasta, aż do kości, skazując na chłód, którego żaden piecyk nie był w stanie rozgrzać. A owa gorycz niosła ze sobą żal za tym, czego dziewczyna nigdy w życiu nie miała. Wielopensówką, jak wiele jej koleżanek, spędzała większość dnia pijana, by łatwiej znieść wulgarne obejście swych klientów, by wypłukać z ust płyny dziesięciu mężczyzn dziennie - jeśli to był dobry dzień - by zapomnieć o koszmarze przyszłości, by znieść ból licznych skrobanek, dokonywanych przez Aksamitkę, jak nazywali wszyscy kobietę, która nie zabiła prawie żadnej ze swych klientek dziwek. Wielopensówką, jak wiele jej koleżanek, w jednej chwili się śmiała, w drugiej płakała, by za moment się złościć lub rozpaczać, i z każdym dniem stawała się coraz bardziej zagmatwanym kłębkim zmiennych nastrojów, nie będąc już nigdy sobą. Aż pewnego dnia, jak wszystkie jej koleżanki, zagubiła się ostatecznie w labiryncie życia i stała się jedynie tym, co chciał z niej uczynić upragniony z każdym łykiem bardziej alkohol. Poddała się swym obsesjom, typowym dla desperackiego rozgoryczenia alkoholików, i wizjom, powtarzającym się z męczącym uporem w nieskończoność i w nieskończoność oplakiwanym. Niektóre wydarzenia zostały wymazane z pamięci Penny, inne

nabrały wagi, której wcześniej nie miały. Tak więc w rytuale wspomnień, przesuwanych w myślach mechanicznie jak przez stare dewotki paciorki różańca, hrabina prawie znikła, a cztery jej przyjaciółki, które tamtego dnia śmiały się z Penny i splunęły na nią z pogardą, stały się, niczym w okrutnej zabawie, postaciami pierwszoplanowymi, aż w końcu zaczęły odgrywać rolę jedynych sprawczyń jej obecnych nieszczęść.

One i to dziecko, Dionizos, który w wieku trzech lat zasypiał co wieczór, słuchając nie bajek, jak jego rówieśnicy, ale bolesnej historii swej matki, dziwki Wielopensówki, którą pokochał hrabia i która została wypędzona z powodu tobołka, jaki nosiła pod piersią - dziecka. To dziecko, razem z tamtymi trzema kobietami i czarownicą Boamorte, pozbawiło ją życia pełnego wygód i tańców.

- Pierwsza roześmiała się i splunęła - opowiadała synowi, opróżniając butelkę aż do dna, gdy tymczasem węgiel w piecyku zaczynał wygasać. - I druga też roześmiała się i splunęła. Trzecia roześmiała się, splunęła i powiedziała, że bękarta... Ciebie! Syna hrabiego!... należałoby zabić. Czwarta, czarna czarownica roześmiała się i przytaknęła, że owszem, z pewnością należałoby cię zabić, a potem splunęła i rzuciła klątwę, która zaprowadziła mnie aż tutaj... teraz...

I tak oto, dopóki nie padała nieprzytomna od alkoholu, powtarzała tę historię chłopcu, który rósł bez niczyjej uwagi, bez żadnych zasad czy wskazówek. Bez niczego, czego mógłby się uchwycić, poza wytartą sakwą ze skóry, wielką jak moszna byka, która była wszystkim, co łączyło się z jego ojcem, hrabią, i którą kiedyś wypełniało tyle złotych monet, że czyniła z jego matki hrabinę, a z niego księcia.

- To wszystko twoja wina - mamrotała Wielopensówka przez sen. Wtedy mały Dionizos nakrywał ją starym kocem, rojącym się od pcheł. A jeśli nie udawało mu się od razu zasnąć, przykładał ucho do ciała matki i próbował usłyszeć robaki, które ją toczyły.

CZTERNASTY SZCZEBEL

31 grudnia 1872

Dionizos, który niedługo kończył pięć lat, był śliczny jak laleczka. Wielu przechodniów na ulicy brało go za dziewczynkę. Urodę odziedziczył po ojcu, zmysłowość po matce.

Dzięki ojcowskiemu dziedzictwu - choć Sciron nie miał arystokratycznych korzeni - podobnie jak on, nie wyglądał na kogoś z ludu. Jego nogi były zgrabne i smukłe. Miał wyprostowaną postawę i elegancki chód. Dłonie o subtelnych, długich palcach poruszały się tak delikatnie, że przywodziły na myśl wygodne życie, wolne od ciężkich i uwłaczających prac. Miał

bystry wzrok, a oczy rzucały dookoła chłodne spojrzenia, jakby nawykły do bogactw i splendoru, a teraz brzydziły się nędzą napotykaną co dzień na każdym kroku.

Matka obdarzyła go alabastrową cerą i budową, która - choć nie był mniejszy od rówieśników - sprawiała, że wydawał się drobny. Arystokratyczne ambicje ojca w połączeniu z genami matki wydały na świat mroczną naturę, która zdawała się skupiać tuż pod oczami, osadzonymi w niewielkich oczodołach, niczym dwie nieruchome, niebieskie kałuże, niczym dwa zmysłowe klejnoty, odbijające się na tle opalizującej, błyszczącej skóry. A włosy, choć miały kasztanowy odcień włosów Scirona, w blasku zarówno naturalnego, jak i sztucznego światła, wyglądały żywo i płonęły miedzianymi refleksami jak u matki.

Dionizos był - w ogóle i pod każdym względem - idealnym odzwierciedleniem cech swoich rodziców. Był księciem i dziwką.

Matka, wybuchowa i zmienna w nastrojach, co typowe dla alkoholików, chwilami zachwycała się jego niezrównanym wdziękiem, strojąc go jak kupidynka, wplatając mu wstążki we włosy lub wpinając w ucho błyszczący kolczyk. Zaraz jednak, gdy tylko alkoholowy szal wciągał ją w ciemny świat goryczy, szydziła z niego, nazywając go „hrabianką”, i obiecując mu, że sprzeda go na ulicy, by zaspokajał najbardziej perwersyjne zachcianki wszystkich klientów, którzy pod kobiecym strojem szukali mężczyzn. Czasami czciła go niczym małego boga, by w mgnieniu oka gardzić nim jak małą dziwką. W jednej chwili różowała mu policzki, by jeszcze bardziej przypominał anioła, za moment zaś malowała mu usta szminką jak dziwce. Jednego dnia zakręcała jego cienkie włoski, wkładała mu na głowę girlandy kwiatów i pokazywała nagiego swym przyjaciółkom, następnego mazała bezkrwistą twarz syna pyłem węglowym i smarowała mu włosy smalcem.

Ale nawet podczas najgorszego delirium alkoholowego Wielopensówka nie przekraczała nigdy ostatecznej granicy zadawanych synowi udręk. I to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Dionizos, nawet zupełnie maleńki, nigdy nie płakał, ani gdy robaki roiły mu się w brzuchu, ani gdy nie jadł przez cały dzień.

- Urodził się bez krwi i bez łez - mówiła przyjaciółkom, a w tych słowach czuło się pewien respekt. - I może nawet nie ma duszy - dodała któregoś dnia.

Drugim powodem, dla którego okrucieństwo Penny nigdy nie przekroczyło ostatecznej granicy, było to, że kiedy Dionizos miał zaledwie trzy latka, pewnego razu zdarzyło jej się tak silnie go pobić, że rozkrwawiła mu nos i rozcięła wargę. Potem alkohol pogrążył ją w głębokim

śnie na całą noc. Kiedy obudziła się rano, poczuła coś zimnego na policzku. Podniosła głowę i zobaczyła na poduszce wielki kuchenny nóż. Ostrze odbijało jej zaskoczone spojrzenie i wargi pomalowane skrzepłą czerwienią. Krwią. Krwią, która nie była jej. Odwróciła się raptownie. Dionizos nie spał i patrzył na nią w milczeniu. Wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek emocji. Nieodgadnionym.

Od tego dnia Wielopensówka zaczęła bać się swego syna i choć nie przestała być tym, kim była, ani robić mu tego, co robiła wcześniej, nigdy nie posunęła się za daleko.

- Zrobię ci prezent na twoje piąte urodziny - powiedziała Wielopensówka do Dionizosa. - Zaprowadzę cię gdzieś i pokażę ci miejsce, w którym żyłabym jak hrabina, gdybyś się nie urodził.

Ubrała go schludnie, wpięła mu kolczyk z koralem w prawe ucho i wplotła pomarańczowe wstążki we włosy. Potem wsiedli do powozu. Po ponad półgodzinnej jeździe ujrzeli cel swej podróży i Wielopensówka kazała woźnicy zatrzymać się w pewnej odległości, tam gdzie jakiś czas temu ścięto wiekowy dąb, a teraz trzy nagie drzewka, dokładnie w wieku jej syna, walczyły z zimą o przeżycie. Ale także tym razem Wielopensówka spojrzała na nie, nie rozumiejąc, że te trzy drzewa tylko wyglądają na młode, tak naprawdę jednak mają wiekowe korzenie dębu, który stał się miejscem jej spotkania z Gabrielem Scironem.

Wielopensówka kazała Dionizosowi, by wysiadł z powozu i zaczekał na nią nieopodal. Potem wciągnęła woźnicę do środka pojazdu, rozpięła mu spodnie i ustami zapłaciła należność za przejazd.

Po chwili, kiedy powóz odjeżdżał, Wielopensówka wyjęła z kieszeni spódnicy płaską, srebrną flaszkę - którą ukradła pewnemu bogatemu klientowi kilka lat wcześniej, kiedy mogła jeszcze uchodzić za atrakcyjną - i pociągnęła łyk dzinu, wypłukała usta oraz gardło i wypłuła płyn. Potem pociągnęła kolejny haust, który tym razem przelknęła.

- Widzisz? - odezwała się do Dionizosa - To ten czerwony dom. Tam jest twój ojciec. Trzymaj. - Wyciągnęła wytartą skórzaną sakwę, wielką jak moszna byka. - Kiedy cię przyjmie, powiesz mu: „Hrabio, proszę napełnić jeszcze raz tę sakwę dla swego syna”. Zrozumiałeś?

Dionizos przytaknął i wziął sakwę. Wtedy Wielopensówka ruszyła w kierunku rezydencji, a syn szedł za nią, z poważnym jak zawsze spojrzeniem. Gdy doszli do bramy, Wielopensówka przystanęła. W jej oczach taił się lęk. Wypiła kolejny, spory łyk ze srebrnej

piersiówki, poprawiła synowi włosy i ruszyła chwiejnym krokiem do kuchennych drzwi. Zanim zapukała, znów się napiła, szukając w dżinie odwagi i nadziei, którą straciła przy ostatnich krokach.

- To ty... Penny? - krzyknęła, rozpoznając ją, stara kucharka, która jak zawsze pachniała mąką i drożdżami. - Mój Boże, co z ciebie zostało...

- Nie kłopotz swego Boga z mego powodu - odcięła się Wielopensówka. - Powiedz mu, żeby raczej pomyślał o tobie, nie widzisz, że już stoisz jedną nogą w grobie?

Stara kucharka pokiwała głową i spojrzała na Dionizosa.

- A ta dziewczynka? To ona? To tamta córeczka?

- To chłopiec - odparła Wielopensówka. - Teraz zawołaj nowego hrabiego i powiedz, że jego syn przyszedł mu się pokłonić.

- Kto to, Beth? - spytał jakiś głos. Potem młody, kaleki hrabia Noverre pojawił się w drzwiach.

- Paniczu... - Wielopensówka uśmiechnęła się. - Z panicza już prawie mężczyzna.

- Kim pani jest?... - spytał zmieszany Noverre.

- Paniczu, to ja, Penny. Nie pamięta mnie panicz?

- Penny...

- Cały czas ma panicz w zwyczaju zaszywać się w kuchni, co? Noverre roześmiał się zakłopotany.

- Jest panicz prawie mężczyzną... - powtórzyła Wielopensówka.

- Tak... prawie.

I kiedy patrzył na kobietę, która przed kilkoma zaledwie laty była dziewczyną, a teraz, zniszczona przez życie i choroby, wyglądała jak duch, Noverre - który skończył dopiero osiemnaście lat - w jednej chwili ujrzał wyłaniające się zmory swej niedalekiej przeszłości. Zobaczył matkę, z każdym dniem coraz bardziej niedomagającą, która w końcu zgasła przedwcześnie w wieku czterdziestu ośmiu lat. I przypomniał sobie swoją wściekłość z powodu tej śmierci, wściekłość prawie bez bólu, którą wyładował na Scironie, wyganiając go z domu, należącym teraz tylko do niego. W jednej chwili na nowo odżyła w nim zajadła uraza, z jaką odmówił kochankowi matki wszelkich, najmniejszych nawet przywilejów, które hrabina zastrzegła dla niego w testamencie. I w tej chwili na nowo rozkwitła w jego sercu okrutna chęć zemsty, którą zrealizował, tocząc i wygrywając długą walkę prawną i doprowadzając do

wykreślenia z rejestru lekarzy Gabriela Scirona, szarlatana.

- Hrabio, proszę napelnić jeszcze raz tę sakwę dla swego syna - odezwał się Dionizos, odrywając młodzieńca od jego myśli.

- To nie on, durniu - zainteresowała Wielopensówka. - Proszę mu wybaczyć, paniczu. Szukaliśmy...

- Jego już tu nie ma - oznajmił cierpko Noverre. Potem odsunął się i dodał łagodniej: - Wejdźcie... Beth, poczęstuj ich czymś.

Wielopensówka i Dionizos weszli do kuchni i natychmiast skierowali się w stronę ognia, który płonął w wielkim kominie.

- Ty też, głupku, nabrałeś krzepy przez te wszystkie lata - rzekła ze śmiechem Wielopensówka na widok Zoli.

Olbrzym, który był wyższy od przeciętnego mężczyzny o dobre dwie piędzi, otworzył pełne jedzenia usta.

- Miesiączka - powiedział. I znów zaczął się opychać.

Tymczasem Noverre szepnął coś na ucho kucharce, która natychmiast wyszła z kuchni i po chwili wróciła z ciemną, intarsjowaną szkatułką z drewna. Stara kobieta postawiła ją na stole i otworzyła, potem wzięła od Dionizosa skórzaną sakwę i napelniła złotymi monetami.

- Paniczu, przyszedłam, by żądać od ojca dziecka tego, co mu się należy, a nie po to, by prosić o jałmużnę - zaprotestowała Wielopensówka w przychywie dumy.

- Jego ojciec nic mu nie da. Wszystko mu odebrałem. - Noverre uśmiechnął się zamyślony. - I przekazując część tego tobie, uwalniam się od czynu, który nie był chyba zbyt szlachetny. Widzisz więc, że nie daję ci żadnej jałmużny.

- Niech Bóg pana błogosławi, paniczu...

- Ale nic więcej wam nie dam, Penny. Przykro mi.

- Niech Bóg pana błogosławi, paniczu...

- Beth da wam jeść. Ja już muszę iść. Do widzenia, Penny.

- Do widzenia paniczu.

Noverre odwrócił się i wyszedł z kuchni. Od śmierci hrabiny w drzwiach nie było klamek, bo Noverre kazał zamontować zawiasy, które umożliwiały otwieranie ich w obie strony, przez lekkie kopnięcie czubkiem stopy w błyszczącą mosiężną płytkę, przymocowaną na dole każdych drzwi, ponieważ bezręki potwór nie chciał już dłużej mieszkać w klatce.

Przejęty tym spotkaniem Noverre szedł ciemnym korytarzem, z pochyloną głową, czując w sobie rwącą rzekę emocji, gdy nagle usłyszał za plecami skrzypienie drewna. Odwrócił się i zobaczył dziecko. Zatrzymał się. Także malec przystanął.

- Podejdź bliżej - powiedział Noverre.

Wtedy dziecko zbliżyło się do niego. Miało poważny wzrok i nie było wcale zmieszane wyglądem kaleki.

- Dlaczego nie masz rąk? - spytało. W ręku trzymało imbirowe ciasteczko.

Noverre przyglądał się chłopcu przez chwilę. Nikt nigdy nie zadał mu tego prostego pytania. I poczuł ulgę, że w końcu ktoś o to spytał.

- Ponieważ zostawiłem je na innym świecie - odparł.

- A dlaczego nie wrócisz po nie?

- Wrócę. Prędzej czy później wrócę... i je odzyskam. Dziecko nie uśmiechało się. Patrzyło na niego i milczało.

- Jak się nazywasz? - spytał Noverre.

- Dionizos.

- Dionizos... - powtórzył zamyślony Noverre. - Coś mi przyszło do głowy, chodź ze mną.

- I ruszył w kierunku biblioteki.

Dziecko szło za nim, pogryzając imbirowe ciasteczko. Gdy doszli do wielkiej sali, pełnej książek, Noverre odwrócił się do chłopczyka.

- Nie bałbyś się wejść tam na górę? - zapytał.

Dziecko spojrzało na drabinkę z drewna i żelaza, która dotykała sufitu w kolorze intensywnego granatu, na którym lśniły miriady złotych gwiazd. Włożyło do kieszeni resztki ciastka i weszło na pierwszy szczebel.

- Wejdź na samą górę - powiedział Noverre.

Dziecko zaczęło się wspinać, licząc szczeble, jeden po drugim, z oczami utkwionymi w suficie, coraz bardziej zbliżając się do tego ciemnego i jednocześnie rozświetlonego nieba. I kiedy tak wchodziło, nie czuło najmniejszego strachu, doliczyło się szesnastu szczebli, prowadzących na sam szczyt. Wtedy spojrzało w dół. Z góry wszystko wydawało się znacznie mniejsze.

Jestem gwiazdą, pomyślało, czując się częścią wspaniałego fresku, który górował nad światem.

- Po twojej prawej stronie - odezwał się Noverre - jest książka w czerwonej okładce? Widzisz? Weź ją i zejdz na dół.

Dziecko jeszcze raz popatrzyło na gwiaździste niebo i zeszło z czerwoną książką w rękę.

- Co to jest? - zapytało, podając ją hrabiemu.

- Trzymaj. Jest twoja - odparł potwór, który nie budził lęku wśród dzieci. - W tej książce została spisana twoja historia.

Dziecko spojrzało z zainteresowaniem na książkę.

- A dlaczego moja historia jest na samej górze drabiny?

- Nie wiem... może dlatego, że to drabina Dionizosa. - Noverre uśmiechnął się.

PIĘTNASTY SZCZEBEL

1 stycznia 1873 - 31 grudnia 1883

Dionizos ukrył książkę, którą podarował mu Noverre, tak by ani matka, ani nikt inny nie mógł jej znaleźć. Potem powiedział do Wielopensówki:

- Chcę nauczyć się czytać.

- Chcesz zostać księdzem? - zakpiła z niego matka. - Tylko księża umieją czytać. - Wybuchnęła śmiechem i wyszła na ulicę w poszukiwaniu klientów.

Nazajutrz, kiedy Wielopensówka jeszcze spała, chłopiec wyszedł i dotarł do domu, gdzie mieszkał ksiądz, pracujący w tej parafii. Zapukał do drzwi. Otworzyła mu gruba kobieta o surowej minie, od stóp do głów ubrana na czarno. Była żoną duchownego.

- Chcę nauczyć się czytać - powiedział Dionizos.

- Zmykaj stąd, właśnie wyrabiam chleb - odparła kobieta.

- Chcę nauczyć się czytać - powtórzył Dionizos.

Kobieta zamknęła mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał przez chwilę bez ruchu, potem usiadł na schodku i czekał. Po godzinie zobaczył wracającego do domu duchownego. Dionizos wstał i kiedy stary człowiek wkładał klucz do zamka, powiedział do niego:

- Chcę nauczyć się czytać.

- Jeszcze tutaj? - spytała go żona, która pojawiła się w drzwiach, słysząc, że mąż wraca do domu.

Ale chłopiec nawet nie raczył na nią spojrzeć. Jego wzrok był utkwiony w przybyłym. Poważny wzrok. Wycelował palec wskazujący w jego klatkę piersiową i powtórzył:

- Chcę nauczyć się czytać.

- Mówiłam, żebyś zmykał - powiedziała zniecierpliwiona kobieta.

- Nie - rzekł jej mąż, podnosząc rękę, by ją uciszyć. - Taka determinacja w małym dziecku jest z pewnością znakiem od Boga. Przyjdź wieczorem, o zachodzie słońca. Ale jeśli zobaczę, że się nie starasz albo że nie jesteś wystarczająco bystry, niczego nie będę cię uczył.

Dionizos odwrócił się i odszedł, krocząc z wrodzoną elegancją, by czekać na zachód słońca.

Gdy minęło trzy i pół miesiąca, umiał już czytać i pisać i duchowny był coraz bardziej pewien, że ten chłopczyk narodził się dla Kościoła. Zatem pewnego dnia po skończonej lekcji powiedział:

- Nadszedł moment, bym poznał twoich rodziców.

Kiedy szli do obskurnego mieszkania, będącego domem chłopca, Dionizos wskazał swemu mentorowi kobietę, zapewne jeszcze młodą, która śmiała się ordynarnie, piła i pokazywała przechodniom piersi, wymęczone przez zbyt wiele rąk.

- To moja matka - powiedział.

Wielopensówka spostrzegła w tym momencie dziecko i starszego mężczyznę. Zakryła piersi i podeszła do nich chwiejnym krokiem.

- Co zbroił? - zapytała go.

- On... nic - odparł tamten i spojrzał na Dionizosa - Przykro mi. Pomyliłem się - rzekł tylko i odwrócił się, by odejść.

- W czym się pomyliłeś, ojczulku? - krzyknęła za nim Wielopensówka.

Duchowny odwrócił się, czerwony na twarzy. Popatrzył na tę kobietę bez przyszłości i oznajmił z całą złością, jaką miał w sobie:

- Chciałem dać twemu synowi możliwość wstąpienia do Kościoła... ale z taką matką los gotuje mu tylko piekło!

Odwrócił się i pełen pogardy odszedł szybkim krokiem.

- Wynoś się, księżulu! - krzyczała za nim Wielopensówka. - Te wszystkie opowieści o Magdalenie to bzdury, nieprawdaż? W prawdziwym życiu dziwka to tylko dziwka, a bękart zostanie na zawsze bękartem! Co, może nie?

I upadła na ziemię, w błoto.

Dionizos podszedł do niej, by pomóc jej wstać.

- I ty też się wynoś, bękartie! - krzyknęła do niego matka. Chłopiec popatrzył na nią

przez chwilę swoim poważnym wzrokiem, a potem poszedł do obskurnego pokoju, w którym ukrył czerwoną książkę, opowiadającą jego historię. Teraz umiał już czytać, i tylko to się liczyło. Teraz będzie mógł poznać swe przeznaczenie.

- Bak... chan... tki - sylabizowało dziecko, odczytując po raz pierwszy tytuł książki, którą podarował mu mężczyzna bez rąk. Aż do tej chwili trzymało ją w ukryciu. Chłopiec chciał być jak najbardziej gotów, zanim pozna swą historię. - Bakchantki - powtórzył już gładko.

Usłyszał na ulicy wrzaski kobiet. Wstał i podszedł do brudnego, matowego okna. Zobaczył Inną, Kulaskę, Pasjonatę, Grzmot i Gniewną. Zobaczył mężczyznę, który trzymał w ręku nóż i im groził. Zobaczył pijaną Wielopensówkę, która zataczając się, przeszła przez ulicę upstrzoną końskim łajnem, zatrzymała się za mężczyzną i zawołała go. Zobaczył, że mężczyzna się odwraca, ze zmieszana miną, zaciśniętymi szczękami i nożem w ręku. Wtedy chłopcu wydało się, że Wielopensówka przestaje się zataczać, że staje się wyższa, że zniszczona sukienka znów nabiera czerwonej barwy, jak dawno temu. W jednej chwili wydało mu się, że matka jest królową. I niczym królowa Wielopensówka przycisnęła ręce do piersi i szybkim ruchem ukazała mężczyźnie, który zgrzytał zębami i wymachiwał nożem w powietrzu, biały biust. Mężczyzna wyglądał jak ogłupiały. Opuścił nóż. I w jednej chwili, przez zamazaną mgłę okna, chłopiec dostrzegł Inną, Kulaskę, Pasjonatę, Grzmot i Gniewną, które rzuciły się na niego. Rozbroiły go, podarły na nim ubranie i zaczęły go kopać i opluwać, niczym dzikie bestie. A Wielopensówka jak królowa zagrzewała je, krzycząc i śmiejąc się, z podskakującymi w powietrzu, miękkimi piersiami. Potem rozległy się policyjne gwizdki. Kobiety znikły w jednej chwili, a ulica opustoszała i ucichła. Tylko mężczyzna, wyciągnięty na całunie z łajna, z rozciętą wargą, z nożem o metr od jego zakrwawionych rąk, powitał nadjeżdżający powóz policji. Odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć. Ale już pałka uderzyła go w twarz, i wciągnięto pobitego do powozu. Jeszcze nie umilkło na ulicy echo końskich kopyt, a kobiety już wyszły ze swych kryjówek. Wielopensówka zasłoniła biust, a mieszkańcy z nędznej dzielnicy wrócili do swego nędznego życia.

Chłopcu zdawało się, że było coś świętego w tym szale, jak w biblijnych opowieściach, które jeszcze niedawno czytał. Odsunął się od okna, usiadł na brzegu łóżka i otworzył książkę, która opowiadała jego historię.

- „Przybywam tutaj do Teb, syn Dzeusowy” - zaczęła lekturę - ”Dionizos”. - Serce zabiło

mu mocno, gdy zobaczył napisane swoje imię. - „Dionizos” - powtórzył, wsłuchując się w dźwięk swego przeznaczenia, które zaczynało się przed nim odsłaniać - „Kadma córka mnie zrodziła, Semele...” - I umysł chłopca został wchłonięty przez tajemny wir, w którym obrazy z przeszłości mieszały się z poetyckimi wizjami, znajdując w nich nowe znaczenie. Przeczytał historię. Potem jeszcze raz. Nie rozumiał jej do końca, ale wiedział, że to o nim. Rozpoznawał w kolejnych ustępach brutalność, w której sam był chowany. Rozpoznawał okrucieństwo świata, w którym wyrósł.

I tak kontynuował lekturę, dzień po dniu, rok za rokiem.

- „... Kształt zmieniszy na człowieczy, idę... blisko pałacu... widzę szczątki jej domu, dyszące jeszcze żywym ogniem Dzeusa, świadectwo zbrodni Hery na mej matce...” - I podczas lektury stopniowo na imiona bogów i postaci zaczęły nakładać się nowe imiona, im chłopiec był starszy i lepiej zaczynał rozumieć to, czego wcześniej nie rozumiał. - „Świadectwo zbrodni zazdrosnej hrabiny Noverre na mojej matce... bo siostry mej matki... bo pani Couze, pani Caldwell, pani Fairfirth i pani Boamorte... mówią, że Wielopensówkę uwiódł inny człowiek, a ona przebiegle winę swego łoża złożyła na Scirona...”. Dionizos, który był już sporym chłopcem, czytał po wielekroć historię, swoją historię, czytał dzień po dniu, rok za rokiem, gdy tylko zostawał sam w obskurnym pokoju, rozświetlanym światłem bogów. „Oto bóg krzyku: jego to niegdyś, w bólach porodu, gdy jeszcze nie przyszedł czas, lotny Scirona piorun wytrącił z łona matki. Urodziła go, tracąc życie od uderzenia gromu. Przyjął go jednak znów w swe rozrodcze narządy syn Kronosowy, Sciron...” - oczy chłopca ujrzwały wytartą sakwę skórzaną, wielką jak moszna byka, napełnioną złotymi monetami - „...ukrył w głębi swego uda, spiął złotymi agrafami, schował przed gniewem Hery...” - Sakwa ta stała się teraz ojcowskim jądrem, dzięki któremu mógł się urodzić i dorastać. - „Zrodził go, gdy się czas dopełnił, boga o byczej głowie. Ustroił go wieńcem z węzów. Stąd też karmicielki zwierza, Menady, węże wplatają w warkocze...” - I im dłużej czytał Dionizos tę opowieść, która była jego przeznaczeniem, zerwanym jak cudowny owoc z czubka drabiny o szesnastu szczeblach, prowadzącej do nieba, gdzie czuł się najjaśniejszą z gwiazd, tym bardziej zbliżał się do fragmentu, gdzie napisano: „Słodko temu, kto w górach, znużony tańcem w kręgu, padnie na ziemię odziany w świętą nebrydę, złowionego kozła krew pijąc i gryząc surowe mięso...”.

W przeddzień swych szesnastych urodzin zamknął książkę, by już nigdy więcej jej nie otworzyć.

Teraz wiedział, co robić.

Teraz wiedział, że jest Dionizosem.

Bogiem.

SZESNASTY STOPIEŃ

31 grudnia 1883

Słabe słońce dopiero co wstało, gdy Dionizos opuścił pokój. Wielopensówka spała, chrapiąc z otwartymi ustami i ukazując w dziąsłach zaognionych przez alkohol szerniałe resztki brakujących zębów. Dionizos poprawił koc na jej nagich ramionach. W wieku trzydziestu dwóch lat matka wyglądała jak staruszka. Jej skóra była pożółkła i zwiotczała, ciało bezkształtne, napuchnięte. Błyszczące niegdyś włosy stały się rzadkie i matowe; pożółkłe oczy świadczyły o przeżartej alkoholem wątrobie, co wyczuwało się też w jej zawsze nieświeżym oddechu.

Umarłaś szesnaście lat temu, pomyślał Dionizos.

Gdy wyszedł na ulicę, wciągnął w płuca mroźne i wilgotne powietrze swych szesnastych urodzin. Ostatniego dnia roku, który wyznaczał narodziny boga.

Poprzedniego wieczoru, po zamknięciu po raz ostatni książki, w której opowiedziano, co mu przeznaczone, Dionizos zapadł w głęboki sen, przepelniony wizjami. Liczby, które do tego momentu były dla niego niczym, nabrały - w tym gorączkowym śnie - życia i znaczenia i zmieniły się w świadków jego przeznaczenia, gwarantów jego nowego planu. Liczby mówiły o bogu i jego świetlanej przyszłości, wyznaczały magiczne etapy jego nowej egzystencji. Życie boga przybrało formę wyjątkowych żywotów.

Ten dzień, rozświetlony przez nikłe światło wschodzącego słońca i roziskrzony blask liczb, był pierwszym dniem boga. Tego dnia bóg kończył szesnaście lat. Tyle samo lat miała jego matka, gdy go urodziła, i była to dokładnie połowa wieku jego ojca w dniu narodzin boga. Wtedy Sciron miał trzydzieści dwa lata. I dziś Wielopensówka miała ich trzydzieści dwa. W gorączce snu Dionizos obliczył, że podobnie doskonała zgodność już nigdy nie pojawi się w ich życiu. Miała ona wymiar magicznej daty. To było pierwsze wydarzenie. Ale odkrył też coś więcej, zatracając swój umysł w liczbach, które łącząc się, stawały się kolejnym magicznym dowodem. Jego nieznanemu ojciec miał teraz czterdzieści osiem lat. Cztery i osiem, to w sumie dwanaście, czyli liczba harmonii, a - sumując dalej - jeden i dwa to trzy, nie tyle liczba doskonałości, co ich liczba. Liczba, która obejmowała ich trójkę, matkę, ojca i boga. A potem, coraz bardziej zagłębiając się w labirynt kabały, bóg dodał liczbę swych lat - szesnaście, jeden plus sześć, czyli

siedem - do wieku matki - trzydzieści dwa, trzy plus dwa, czyli pięć - i wypadło dwanaście, czyli dokładnie tyle, ile suma cyfr wieku ojca w tym momencie. A dwanaście to - jeden plus dwa - trzy, liczba ich trójki, nierozzerwalnie połączonych od tamtej chwili, od tamtego dnia, naznaczonego przez narodziny boga.

I szesnaście było szczebli, po których wspiał się, by osiąść swą historię, przechowywaną jak gwiazda wśród gwiazd na ciemnym i jednocześnie rozświetlonym niebie, w domu mężczyzny bez rąk.

Dionizos oddychał teraz chłodnym powietrzem i wraz z jaśniejącym blaskiem dnia wszystkie te liczby i jego opowieść spisana w książce oraz jego świetlany los jawiły się jasne, ostatecznie jasne. I wiedział, co robić. I wiedział, kim jest.

Przeszedł przez ulicę, wśliznął się w zaułek i ruszył ku drzwiom, zza których unosił się kwaśny i słodki zapach. Krwi, skóry, kwasów. Przeszedł przez próg i stanął przed właścicielem.

Mężczyzna, około sześćdziesiątki, o obleśnym wyrazie twarzy, rozpląnął się w uśmiechu na jego widok. Zdeprawowane oczy przesunęły się po białych, arystokratycznych dłoniach chłopca, o smukłych i długich palcach.

- Dziś w nocy - powiedział. - Nie rano. I nie tutaj. Dionizos spojrzał mu prosto w twarz. Od roku matka sprzedawała go temu mężczyźnie.

- Nie zarabiam już wystarczająco - powiedziała mu. - Nadszedł czas, byś i ty wziął się do pracy, mój piękny książę. Znalazłam klienta, który zakochał się w twoich dłoniach. Nic innego nie będzie z tobą robił. Nie będzie cię brał jak kobietę. Będziesz go musiał tylko dotykać... tymi swoimi dziewczęcymi rękami. Nie zniszczą ci się. Potem roześmiała się i ucałowała jego palce. Od tamtego dnia, przez jeden wieczór w tygodniu, Dionizos uczył się tego, co robią prostytutki rękami.

- Chcę, by mnie pan zatrudnił tu, w garbarni - rzekł Dionizos.

- Wielopensówka wie o tym?

- Od dziś moja matka już o mnie nie decyduje.

- Wielopensówka boi się, że zniszczą się twoje aksamitne ręce. Ja też. - Mężczyzna roześmiał się obleśnie.

- Będę uważał.

- To niebezpieczny zawód...

- Jeśli nie da mi pan pracy, już nigdy nie będzie mnie pan miał.

Mężczyzna spochmurniał. Chciał odpowiedzieć szorstko, ale Dionizos przeciągnął białą dłonią po swych długich włosach i delikatnie poprawił kosmyk, jak uczyniłaby to dziewczyna.

- No dobrze - zgodził się mężczyzna. - Ale dam ci pracę odpowiednią dla twych delikatnych dłoni... I trzymaj się z dala od kadzi z kwasami. Kiedy chcesz zacząć?

- Teraz. I od razu wypłaci mi pan zaliczkę.

Dionizos spędził cały dzień w pracy, nie interesując się procesem wyprawiania skór. Czekał tylko na chwilę, gdy nikt na niego nie będzie patrzył, a wówczas wziął kawałek skóry, która nie została jeszcze poddana wapnowaniu, pogłaskał sztywną sierść i schował skrawek za pazuchę. „Święta skóra młodego jelenia” - powtarzał w myślach.

Potem, w czasie pierwszej przerwy, która mu przysługiwała, wydał całą nędzną zaliczkę, którą dał mu właściciel, na dwie butelki nafty, i ukrył je w kącie pomieszczenia, w którym pracował.

W końcu, już pod wieczór, niezauważony przez nikogo, podszedł do wielkiego kotła z wrzącymi kwasami, w których obrabiano ścinki skóry, i zanurzył w nim ręce aż po nadgarstki. Nie krzyczał.

Szedł, nie czując bólu, z czerwonymi dłońmi, które pokrywały się bąblami, po ulicach pełnych ludzi, którzy przygotowywali się, by świętować nadejście nowego roku. Na chwilę przed powrotem do domu wziął do ręki gałąź, zerwał pęd bluszczu i owinał nim kij. Wszedł do swego pokoju, zarzucił świętą skórę jelenia na ramiona, zacisnął ręce na szyi Wielopensówki i udusił ją. Wtedy dopiero zmył kwasy z dłoni, oddał dwa kawałki materiału z sukienki matki i obwiązał ręce. Potem oblał naftą martwe ciało Wielopensówki oraz cały pokój. Wziął do jednej ręki kij z bluszczem, a do drugiej wytartą, skórzaną sakwę, wielką jak moszna boga, i wyrecytował: „Rażonej gromem widzę grób mej matki blisko pałacu i szczątki jej domu, dyszące jeszcze żywym ogniem Dzeusa... okrywam jej ciało skórą jelenia” - przykrył ciało Wielopensówki skórą - „tyrs daję w ręce, kij ten w bluszcz owity”. - I wcisnął gałąź między martwe palce. - „Ja Dionizos przybywam, by się objawić ludziom jako bóg oraz syn mej matki i Dzeusa”.

Następnie wziął świecę łożową, która płonęła na koślawym stoliku, i rzucił ją na ciało Wielopensówki. Kiedy płomienie ogarnęły matkę, Dionizos wsunął książkę opowiadającą jego historię do skórzanej sakwy, która teraz była jądrem Scirona, wyszedł po raz ostatni z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Gdy znalazł się na ulicy, właśnie wybuchały pierwsze sztuczne ognie. Przeszedł kilka kroków, a potem zatrzymał się w ciemnym zaułku, obserwując niebo.

- Ty też czujesz się samotny? - zapytał go czyjś głos. Dionizos odwrócił się. Obok niego pojawiła się zdeformowana istota. Karzeł. Uśmiechnięty.

Na ulicy, w głębi zaułka, w którym stali, wybuchł sztuczny ogień i rozświetlił na chwilę pobliski szyld. Ale widok ograniczony przez zaułek nie pozwolił Dionizosowi przeczytać go w całości.

- Jak się nazywasz? - spytał karzeł.

„Kształt mój boski przemieniam w człowieczy” - pomyślał Dionizos. Część szyldu, którą Dionizos zdołał odczytać, z miejsca, w którym stał, głosiła:...STIGLE...

- No więc? Jak się nazywasz?

- Stigle - odparł Dionizos.

- A więc, Stigle, jeśli jesteś sam tak jak ja... znam miejsce, gdzie możemy się zabawić dziś wieczorem - powiedział karzeł.

- Nie mam pieniędzy. Karzeł spojrzał na niego.

- Nie trzeba pieniędzy, by dobrze się bawić.

- Zgoda - rzekł Stigle.

Kiedy dotarli do końca zaułka, Stigle przeczytał cały szyld: HASTIGLENN & SYNOWIE - RENOMOWANY ZAKŁAD POGRZEBOWY

- Wyjątkowo celnie - zauważył Stigle, z uśmiechem.

- Co? - spytał karzeł.

- Nie, nic.

Potem Stigle odwrócił się i zobaczył na niebie, nad dachami, gęsty i czarny słup dymu. Stos, na którym ginęła cała minioną historią Dionizosa. Na nim płonęło ciało matki, która powinna była umrzeć od pioruna Dzeusa szesnaście lat temu, zgodnie z przeznaczeniem, opowiedzianym w książce. Stigle przystanął, by popatrzeć. I w dymie na niebie ujrzał kolejne liczby. Aby jednoznacznie spójny ciąg liczb znów zaczął naznaczać jego życie, bóg będzie musiał czekać przez kolejne szesnaście lat. Wtedy osiągnie ten sam wiek, co jego ojciec, gdy wydał go na świat, oraz tyle, co jego matka, gdy z kolei ten świat opuściła. Wtedy bóg będzie miał trzydzieści dwa lata, a ojciec dwa razy tyle, sześćdziesiąt cztery. Nastąpi idealna symetria: trzydzieści dwa, trzy plus dwa, pięć i sześćdziesiąt cztery, sześć plus cztery, dziesięć, czyli dwa

razy tyle. Bóg będzie musiał czekać szesnaście lat. A tego dnia rozpocznie się nowy wiek. Rok 1900. Szesnaście lat do Nadejścia. Szesnaście lat, zanim rozpocznie się, wraz z bogiem, nowy wiek, który będzie jego stuleciem.

- O czym myślisz? - spytał karzeł.

- O niczym.

- Nigdy nie widziałem kogoś tak pięknego jak ty - rzekł karzeł.

- Ponieważ nigdy nie widziałeś boga. - Stigle roześmiał się. Karzeł także się roześmiał.

- Nazywam się Tostante - powiedział. - Zostaniemy przyjaciółmi, Stigle?

- Zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

- Tak.

- Zawsze i bez wahania?

- Tak.

- Weź zatem moją dłoń w swoją rękę. I ściśnij ją z całej siły, Tristante.

- Ale sprawię ci ból, Stigle...

- Bez wahania. Obiecałeś...

Karzeł schował rękę Stigle'a w swojej dłoni.

- Ściśnij mocniej. Karzeł wzmocnił uścisk.

- Jeszcze mocniej...

Karzeł widział, jak krew zalewa bandaż, którymi była obwiązana ręka Stigle'a, ale ścisnął z całej siły.

Stigle przymknął oczy. W bólu się zrodził. On sam był bólem. I nie istniała udręka, której nie byłby w stanie pokochać.

- Tak - powiedział - zostaniemy przyjaciółmi.

PODZIĘKOWANIA

Im bardziej zagłębiam się w pracy, tym bardziej wydłuża się lista osób, którym pragnę podziękować. A to uświadamia mi, jak wielkie miałem szczęście. Kolejność podziękowań jest zupełnie przypadkowa.

Pragnę podziękować mojemu synowi Luce Piccaro, ponieważ na swój szorstki sposób zawsze mi kibicował, pomógł wymyślić mi w książce scenę, którą uwielbiam, i był bardzo pomocny przy korekcie.

Gabrielowi Salvatorese, który zawsze widział przed czasem to, co ja miałem dopiero zobaczyć, i zakochał się w tej historii, kiedy była jeszcze niedojrzała, jakby stanowiła już jego własność, zagrzebana w nim w oczekiwaniu na przebudzenie; Maurizio Tottiemu za jego niezwykle zaangażowanie i za to, że walczył i bronił tej powieści niczym rycerz z minionej epoki; Gianluce Pignatellemu - który zawsze mnie zachęcał - i za to, że łącząca nas głęboka przyjaźń pozwoliła mi skorzystać z jego rad; Enrico Lucheriniemu, ponieważ od kiedy wziął mnie i Carlę pod swe ochronne skrzydła, czujemy się jak w gniazdku; Micaeli Fusco i Leonardo Colettiemu, dwójce prawdziwych i hojnych przyjaciół.

Doktorowi Roberto Fornarze, psychiatrze, który na etapie wymyślania różnych wątków potrafił rozświetlić jasnym blaskiem mój umysł.

Teresie Ciabatti, która od zawsze mnie wspiera, dzień po dniu, i z której talentu i wrażliwości pisarskiej korzystam do granic przyzwoitości.

Szczególne dzięki należą się Massimo Turchecie za jego wiarę w książkę i za energię, którą emanował, aby cały projekt nabrał realnych kształtów.

Na koniec proszę, by przyjęła moje podziękowania Carla Vangelista, ponieważ wymyśliła wiele postaci i sytuacji w tej opowieści i podsunęła mi kluczowy pomysł - „Bakchantki”. Nigdy nie zdołam w pełni spłacić mego długu wdzięczności wobec niej.